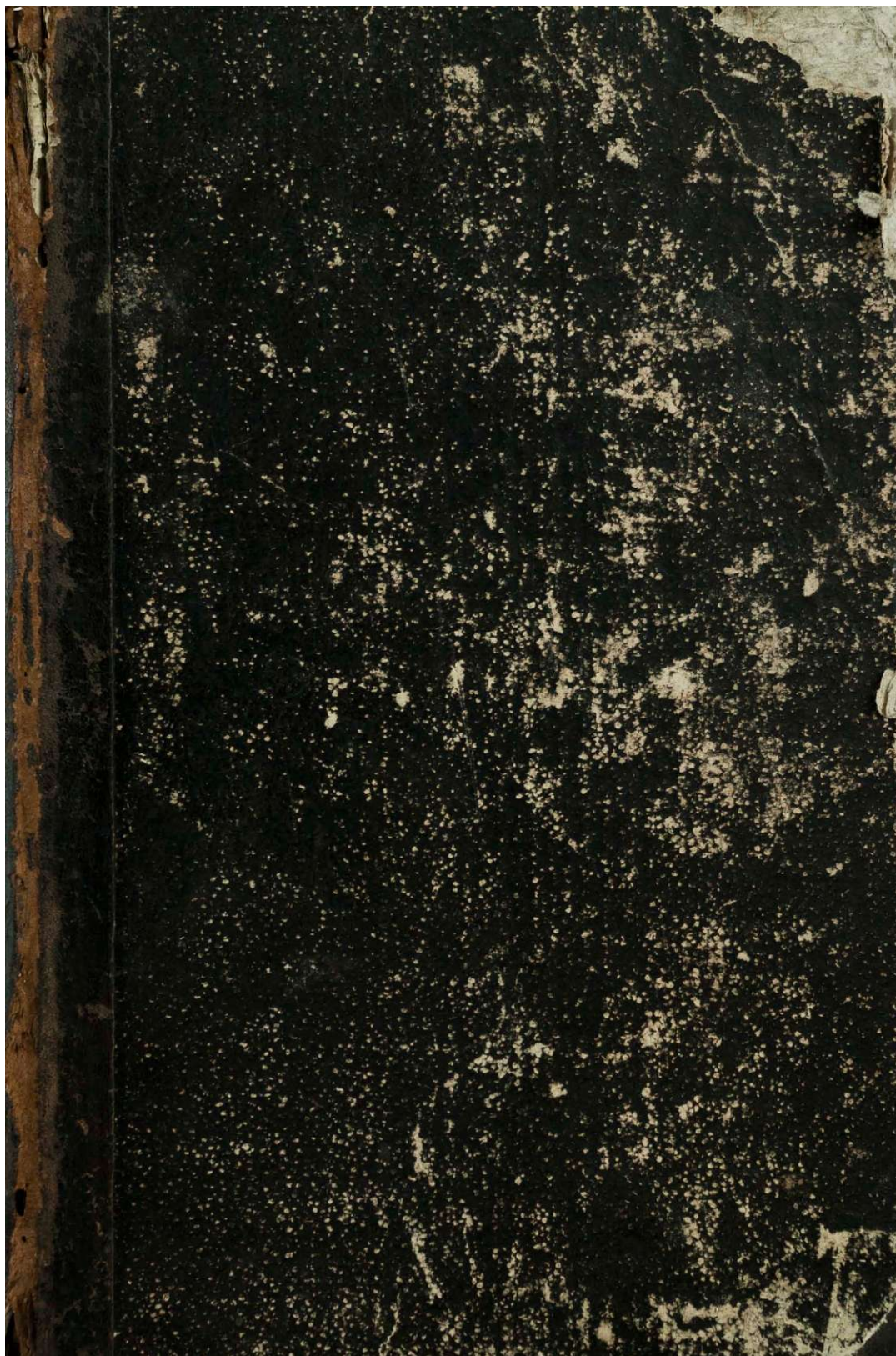
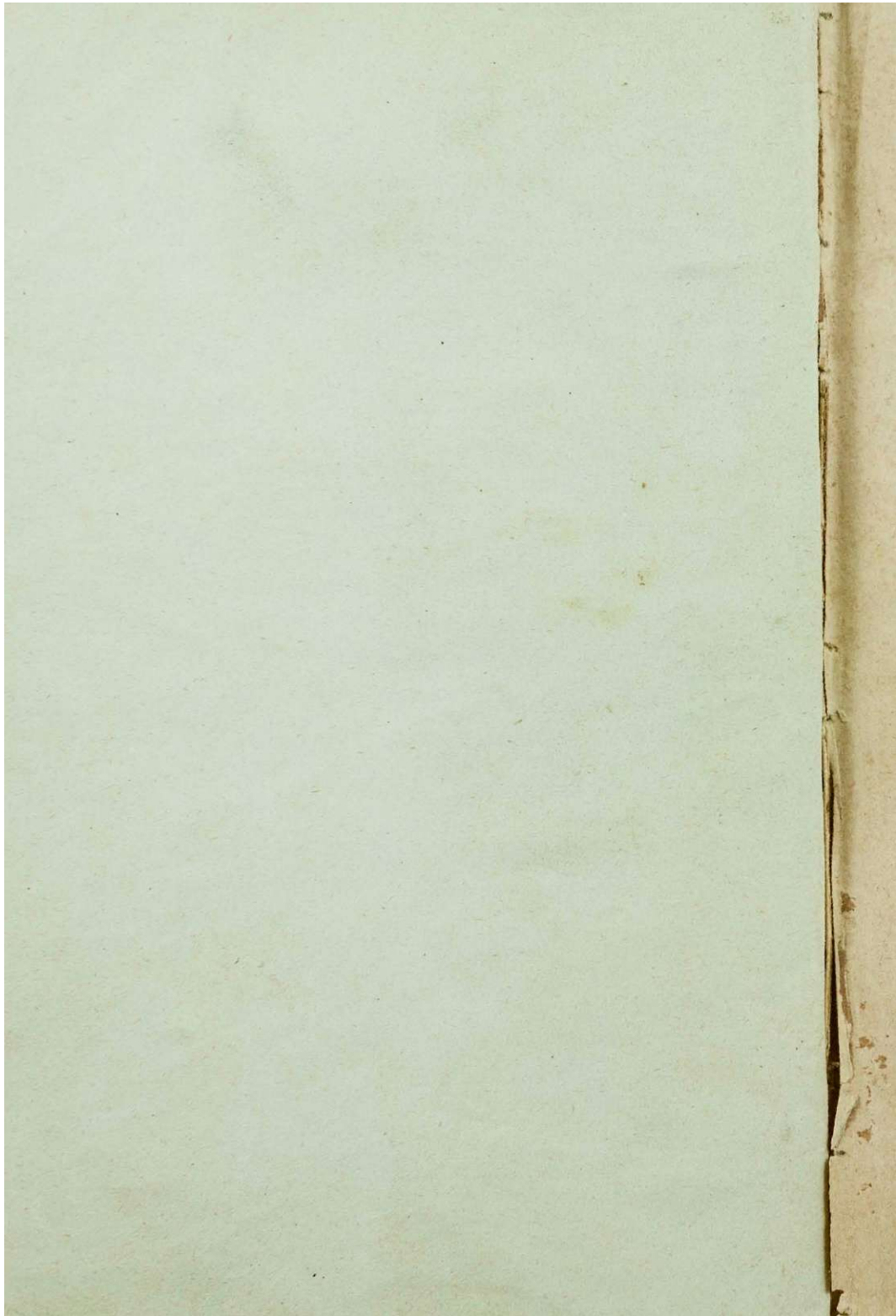






PISMA

X. H. KAJŚIEWICZA.

KRAKÓW.
W DRUKARNI UNIwersYTETU JAGIELLOŃSKIEGO
pod zarządem Konst. Mańkowskiego.

Nakładem Autora.

PISMA
X. HIERONIMA KAJŚIEWICZA

ZE ZGROMADZENIA ZMARTWYCHWSTANIA PAŃSKIEGO.

TOM III.

ROSPRAWY, LISTY Z PODRÓŻY

PAMIĘTNIK

O ZGROMADZENIU.

BERLIN

W KSIĘGARNI B. BEHRA (E. BOCK)

27, POD LIPAMI, 27,

KRAKÓW

W KSIĘGARNI D. E. FRIEDLEINA.

—
1872.

CD.
—POGRANICJE—
№ 7181V

I .

LIST OTWARTY

do

WYDAWCY PRZEGŁĄDU POZNAŃSKIEGO

o stanowisku kapłana względem sprawy narodowej
a polityki.

Kochany Przyjacielu !

'Jfytasz o moje zdanie w rzeczy tak śliskiej, a tak ważnej i codziennego zastosowania: *jakie jest icłaściwe stanowisko kapłana względem sprawy narodowej a polityki?* Jeżeli kiedy, to w tych naszych czasach, gdy wszystkie zasady podważone, prawdy w umysłach zaciemnione, i te same umysły zwichnięte, gdy w sercach namiętności rozburzone; kościół jest powołany i jedynie zdolny zbawić znów ludzkość, jeżeli jeszcze zbawioną być może, to jest zechce się dać zbawić, jeżeli środków do tego niezbędnych szczerze i odważnie się chwyci. O tem wątpi wielu światlejszych i pobożniejszych ode mnie; ja dzięki Bogu jeszcze nie zwątpiłem, i po okropnej chłości, spodziewam się upamiętania i odrodzenia Europy, a w szczególności naszej Polski.

Ojczyzna nasza żyjąc od początku oświatą Zachodu która się psuje gdy inna obiecywana jeszcze nie weszła, przyjmuje dziś jej rozczyn. W skutek podziału kraju odbiera nadto wychowanie w obcych językach, w obcym sobie duchu z rąk

macoszyh i podejrzanych, i przeto nieraz odepchnie coby było do wzięcia, przyjmie coby odrzucić wypadało. Dodać do tego żal gorzki v> duszy, gorączkę ze zbytku cierpienia, pobicie ducha z chybionych wysileń; a w następstwie częsty zawrót głowy. Ważna tedy dla nas, arcy ważna, aby kapłani mający być podług słów Zbawiciela *światłem świata*, szli jak kolumna ognista przed Izraelem w pustyni, jak latarnia morska świecili narodowi pasującemu się ze zewnętrzną i wewnętrzną burzą, aby byli *solą ziemi*, zaprawą chroniącą naród od rozkładania się i zepsucia, a sami *zwietrzeni* nie pomnażali tego rozkładu, dodając zgorszenie złego przykładu. — Pojmujesz, kochany przyjacielu, iż z obawą nie ludzką, ale w sumieniu przystępuję do rozbierania podobnego przedmiotu. Co mię ośmiela i upoważnia po części, to chęć szczerą i czysta podzielenia się z młodszą bracią, osobistem doświadczeniem. Świeckim będąc żyłem w atmosferze politycznej, dostąpiwszy kapłaństwa, tą samą atmosferą zewsząd ciśnięty, musiałem i muszę jeszcze od lat wielu nowych moich obowiązków dopełniać. Musiałem i muszę opowiadać przyszłe życie braciom na wygnaniu gorąco tęskniącym za ziemską ojczyzną, sam tej tęsknoty niewolny. Pozwolił mi też Najwyższy świeżo zajrzeć, jak się też rzeczy boże i nieboże święcą w ojczyźnie, a w szczególności pod panowaniem niemieckiem. Otóż przynoszę owoc moich postrzeżeń i doświadczenia, otwieram sumienie, jakim sobie w tej mierze utworzył; nie dając się za nieomyłnego i zostawiając każdemu kapłanowi dobrej woli, by przyjął to i tyle, co i ile za słuszne i trafne osądzi. Sądzę, że w każdym razie chętniej wysłuchają jednego ze swoich, jak mistrzów świeckich często nie umiejących pacierza, a wdających się z dziwnem bezpieczeństwem i dziwniejszą jeszcze powagą w nauczanie kapłanów, co i jak mają czynić, a czego niechać.

Zaiste, jest za co dziękować Bogu, iż u nas stosunek między kapłanem a społeczeństwem nie jest jeszcze tak zimny i suchy jak w krajach, przez które przeszły i w których bezbożne rewolucye się udały, jak np. we Francyi, gdzie kałuża krwi męczeńskiej, choć już skrzepłej, świątynię od świata mimowolnym u wielu wstrętem oddziela. Dziękować Bogu, iż u nas dziś jak dawniej wszędzie prawie kapłan jest pożądanym w rodzinie, że w każdym ważniejszym wypadku naro-

dowym lud głównie swą ufność w kapłanach pokłada, ich do posług publicznych nagli, na wysłanników i zastępców swoich wybiera; jak to widzieliśmy zeszłego roku w Poznańskim, Krakowie, nawet Galicyi. Pocieszające to zapewne, ale ma swoje niedogodności i niebezpieczeństwa.

A naprzód: na całej przestrzeni ziemi polskiej nie ma zbytku kapłanów, powszechnie nie ma ich dosyć do posług czysto duchownych, w wielu miejscach jak w samym Księstwie straszny niedostatek. Podziwiałem ich pracowitość i gorliwość, w niedzielę i święta, w dwóch czasem i trzech miejscach, 0 godzinę i dwie odległych, sprawujących z kolei służbę bożą. A lud pocziwy i wdzięczny, własnego dobra duchownego niepomny, posługami obywatelskimi pasterzy swoich nadto obarcza. W takim położeniu rzeczy, nie sędzę by ich zawsze odmawiać wypadało, ale życzyłbym, aby się tylko w razie ważnej i nagłej potrzeby podejmowali i co rychlej starali się zastąpić mężami świeckimi pewnych zasad. I tak np. z rozkoszą i podwójną dumą Polaka i kapłana., czytałem wymowne głosy ks. Janiszewskiego w Frankfurcie i Berlinie miane, a przecie radbym go widział na czele seminarium poznańskiego, gdzieby nie do rozmyślnie głuchych mówił i sposobił krajowi zdolnych, gorliwych kapłanów, których ciągły ubytek, upadkiem samej religii w tej prowincyi grozi. Gdyby wszystkie posady duchowne dobrze były obsadzone, niechby księża 1 w izbach siedzieli, zwłaszcza zdolni i wymowni; bo opuszczać parafią dla słuchania niemieckiego kazania i wotowania tylko, doprawdy że nie warto.

Drugie niebezpieczeństwo grożące kapłanom przy zajęciach politycznych, jest osłabienie i utrata ducha kapłańskiego. Wychowanie duchownych u nas pod rządami niekatolickimi lub lichy katolickimi nie jest zbyt silne; pracy około dusz jest tyle, że mało czasu zostaje na naukę i modlitwę. Kapłan jest jak matka karmiąca, która musi się wciąż pożywną strawą posilać, aby miała czem poić dziecko; jeżeli czytania rzeczy duchownych i rozmyślenia zaniedba, słowo jego będzie bez treści, bez namaszczenia, bez siły; dźwięk brzmący albo i niebrzmący, a zawsze nieporuszający; światło niedostateczne lub jaskrawe i rażące, w każdym razie nie grzejące serc. Jeżeli do tych zajęć, a w Polsce nadto gospodarskich, raportów do władz bez końca, przyjdą jeszcze

rady i sejmiki; jak ksiądz na wszystko czas znajdzie? jak ducha w skupieniu utrzyma? A że nie ma ku temu obiecanej szczególnej łaski od Boga. owszem ewangelia i kanony wzbraniają mu mieszania się do rzeczy świeckich; tracąc ducha swego stanu, przy żyłce ludzkiej, a w szczególności polskiej do zajęć politycznych ciągnącej, niestety! ksiądz mimowolnie prawie i nie postrzegając się, poświęci zajęcia swoje kapłańskie, w których przez świeckich zastąpionym być nie inoże, dla obywatelskich i politycznych.

Co gorsza, ądąc dalej kapłan może nadwerżyć sumienie. W polityce by czego dokazać trzeba zwykle transakcyi, ustępowania sobie co do zasad i osób, koalicyi z ludźmi różnego, albo i żadnego nabożeństwa; czy ksiądz to może czynić zawsze bez niebezpieczeństwa sumienia, bez zgorszenia wiernych? Słyszałem, iż na wyborach do izb pruskich, ksiądz jeden dla przeprowadzenia kandydata swego zobowiązał się popierać kandydata strony przeciwnej mało sobie znanego.— Przemówił nawet za nim, rzecz w podobnych razach bardzo zwykła i naturalna. — Tymczasem jakiś pocziwy mieszczanin odzywa się: „a za co to my mamy tego pana wybierać, który na Pana Boga gazetę pisał.” — Większość wyborców stanęła przy mieszczaninie. Czy wypadki podobne, powtarzając się, nie osłabia zaufania ludu w kapłanach, nietylko o ile obywatelach, ale o ile kapłanach? — Dotychczas lud nasz pocziwy niezdolny rozróżnić dokładnie dwóch tych charakterów w jednej osobie. — Ma ufność w kapłanie bo mu jest tłómaczem prawa i woli bożej, biskupem, papieżem prawie i nieomylnym: jeśli o jego omyłności kilka razy się przekona, jeśli naprzykład ksiądz mu z ambony zapowiadał, że powstanie się uda, a tu go Niemiec w więzieniu piętnuje i bije, co sobie o dobrodzieju swoim pomyśli? Dzienniczki dla ludu poznańskie i szląskie, nawet przez księży pisane, niezmiernie podnosiły jenerała Bema jako rycerza prawdziwie chrześcijańskiego; dziś kiedy lud ten wie lub posłysz, że się Bem zbisurmanił, jakie to na nim robi wrażenie? Lękać się trzeba, by tak nie stracił ufności w pasterzach swoich, jak to w wielu częściach Galicyi już się widzieć daje. — W tej nieszczęśliwej prowincyi, podług prawodawstwa józefińskiego rządzonej, ksiądz jest duchownym komisarzem policyi.— Wielu kapłanów szczególnie młodszych, oburzonych takim skrzy-

wieniem swego świętego powołania, chwyciło się gorąco przez opozycją patryotyzmu, czerpiąc niestety pobudki w zatrutych źródłach, i nadstawiając ucha niebezpiecznym doradcom. — Po rewolucyi wiedeńskiej, korzystając z wolności słowa, zamiast wstrząsnąć silnie skrzywione sumienie ^ego grubego i obłąkanego ludu, zamiast pojednać go naprzód z Bogiem i z pokrzywdzonymi, zaczęli w wielu miejscach do rewolucyi nawracać. — I cóż się stało? oto że chłopci głośno przerywali mówiącemu pasterzowi, albo też hurmą z kocioła wychodzili. — Tak, rzecz niesłychana, księża saaaLprzez źle rozumiany patryotyzm (boć im niezawodnie o Polskę chodziło) ludzi z świątyni pańskiej wyganiali; a biada narodowi, gdzie lud się raz odzwyczai kościoła, jak naprzykład we Francyi; wiek krwawej pracy nie zawsze go napowrót sprowadzi.

Do takich rezultatów przychodzą lub przyjść mogą księża, nadstawiając ucha politykom naszym bez Boga, dla których nic świętego. — Wszystkiego oni nadużyją i zużyją; relikwiarz pochwyć z ołtarza byle mieć jeden nabój więcej na nieprzyjaciela. — Przykładem, słowem i pismem robili oni i robią co mogą aby wiarę w ludzie osłabić; ale widząc, że jeszcze nie wskórali zupełnie, że lud więcej księży jak kogo innego słuca, do nich się obracają i przez nich na lud w myśl swoją starają się ^Iziałać. — Piszą im nawet kazania, okólniki centralizacyi, tu i ówdzie wykrzywionemu tekstami ewangelii szpikując; i byli niestety księża, którzy je deklamowali, krucyfiksem wywijając, a dowodząc, że Chrystus był demokratą; szczęśliwi, że ten co kazanie pisał później mówiącego pochwalił. — Tak przed zdziwionym i zgorszonym ludem kapłan się nie wahał Stwórcy wszech rzeczy i Odkupicielowi wszystkich, miano namiętnego stronnictwa przypiąć, a to wszystko w imię patryotyzmu! O mili choć złudzeni współbracia! postrzeżcie się dla Boga! Ludzie, którzy dobrej waszej wiary tak nadużywają, nie wierzą w Chrystusa. — Posługując się wami, gniewają się w duchu, że tyle jeszcze wpływu na lud macie; dopiąwszy swego pracować będą całemi siłami nie przebierając w środkach, jak to czynią oddawna we Francyi, by wam wszelki wpływ na umysły i serca ludu odebrać.

Nareszcie nie jest kapłan wolny od namiętności. — Jeżeli natury szlachetniejszej, a zbieraniu grosza i wygodom

zmysłowym się nie odda, tem przystępniejszy będzie dumie.— Niech się tylko zbytecznie, nieroztropnie i z upodobaniem wda w polityczne działania, koniecznie prawie przejmie ducha i namiętności stronnice, bez których się w polityce nieobyć. Jakże ksiądz dopełni powołania swego Boskiego, zastępstwa Chrystusowego, jak będzie aniołem pojednania wśród zwaśnionych, gdzie znajdzie spokój duszy, bezstronność i miłość dla wszystkich? i Niestety może przyjść do tego co się stało w wojnie domowej Ogińskich z Sapiehami w 18-ym wieku: iż kapłan jednego stronnictwa, zwyciężonego przeciwnika w niebezpieczeństwie życia o rozgrzeszenie proszącego, w policzek uderzył. Tak daleko może namiętność polityczna kapłana zaprowadzić! Dosyć smutnych napatrzyliśmy się obrazów żyjących: kapłan się bratać będzie z bezbożnikami i rozpustnikami byle swoich mniemań, a bogobojnych i przykładnych ludzi mniemań przeciwnych, językiem prywatnie i publicznie szczypać.

To są zapewne nadużycia dowodzące wprawdzie niebezpieczeństwa, ale nie wykluczające jeszcze zupełnie kapłana od brania udziału w sprawie narodowej, i mieszania się niekiedy i w pewnej mierze do polityki. — O tem mi z większą jeszcze oględnością mówić przychodzi.

Bóg jest najwyższym ładem i ®v ładzie tylko sobie podoba; kogo miłościwie wybierze do kapłaństwa, chce aby był kapłanem przedewszystkiem. — Świat dzisiejszy wyszedł z ładu bożego, dlatego w nieładzie się kocha; chce aby każdy był do wszystkiego, a zatem właściwie do niczego.— Wszyscy wszystkich zapędzają do służby narodowej, a nie baczą i nie pilną, by każdy w jakimkolwiek obranym stanie, urzędzie, sztuce, rzemiośle był doskonały, i tak nie czczą gawędą i marzeniem, ale uczynkami miłości swojej ku krajowi dowodził. — Że świeccy wdają się w nieswoje rzeczy, to smutna; ale, że księżda odciągają od jego obowiązków a ciągną do zajęć bez zajęcia, do których pełno ochotników, braci trutniów, to najsmutniejsza,; rozmyślny nieprzyjaciół religii inaczej by sobie nie poczynął. — W skutek tego nieładu pojęć i lenistwa; o wszelką pomoc doczesną, o polecenia, zachody, napastują księżda, choć już apostołowie na to dyakonów postanowili, aby sami tylko *modlitwy i słowa bożego* pilnowali. Zajmują mu wiele czasu chcąc go mieć uczestnikiem swoich zabaw,

a na dobitkę jeszcze ciągną na sejmiki, a klubowe gawędy.— Otóż ksiądz powinien tein się zajmować do czego go Chrystus Pan postanowił, czem się Apostołowie trudnili. — Jest tedy naprzód człowiekiem modlitwy, ofiarnikiem, pośrednikiem między Bogiem a ludem, mającym się modlić za grzechy własne i ludu; dziękować, chwalić Najwyższego, i prosić o wszelkie błogosławieństwo doczesne i duchowne z góry pochodzące, a którego się tylko modlitwą dostaje. — Szczęśliwy naród, który ma wiele kapłanów, czyste dłonie i gorące serca ustawicznie do Boga podnoszących! wiele oni złego od narodu odwrócą, wiele nań błogosławieństw ściągną: i przeciwnie, nieszczęśliwy naród w którym duch modlitwy w kapłaństwie ustanie. — Dalej mają księża jako *rozdawnicy tajemnic Chrystusowych i pomocnicy jego* kształcić sumienia. — O jakie pole dla kapłana w konfesyjonałach, nie na odpustach tylko przy natłoku, z pośpiechem z grubego obmywać dusze; ale spokojnie, powoli tępić w nich wszelkie złe, wszystkie wady osobiste i publiczne osłabiające nasze społeczeństwo, krzewiąc natomiast wszelkie cnoty; a cnotami stoją rodziny i narody. — Każda dusza ukształcona, rozwinięta dla Boga, jest zarazem drogim nabytkiem dla narodu. Gdyby kapłani nasi, jak zaczęli zbawiennie wytępiać pijaństwo w ludzie, wytępił zbytek, miękkość, rozpustę i te nieszczęsne, przekłète rozwody w klasach wyższych; gdyby wytępił próżniactwo, niestaranność, nieład, niestałość, niekarność we wszystkich; zaprawdę uweselałoby niebo odrodziłoby polskie społeczeństwo. — Tego doprawdy przez dzienniki i sejmiki nie dokażą, ale przez gorliwe, światłe opowiadanie słowa bożego i udzielanie Sakramentów świętych. — Jeżeli położenie kraju jest takie, iż bez ściągnięcia prześladowania ze strony rządu, może kaznodzieja wspominać wypadki narodowe pociągające lud do miłości kościoła i ojczyzny, niech to czyni, i owszem; ale zawsze trzeźwo, pod miarą i wagą świątyni. — Pod rządem rosyjskim znowu winni wszelkich alluzji patryotycznych się wystrzegać, by dogadzając rozdrażnionemu uczuciu niektórych, nie odjęli sobie możności służenia wielu na własnej ziemi. — Iluż kapłanów z podobnego powodu musiało się puścić na nieplodne wygnanie.

Podobnie winni kapłani, gdzie tylko mogą i o ile tylko mogą, pracować nad oświatą ludu, pilnować szkół i szkółek,

a ucząc religii i wiadomości pożytecznych, wpajając cnoty rodzinne i społeczne, z ostrożnością znowu, jaką położenie polityczne kraju, stopień oświaty ludu i samo sumienie kapłańskie nakazuje. — Mogą też i winni podług zdolności przykładać się piórem do rozszerzania oświaty, pisząc księgi religijne, obyczajowe, elementarne, i wszelkie użytecznej a poważnej treści; być nawet przewodnikami ludu w rolnictwie i dawać rady higieny. — Mają nareszcie nie ustawać w "dobrych uczynkach nawiedzając chorych, smutnych, potrzebujących, zakładając lub dozorując szpitale i t. d. Tak ksiądz będzie prawdziwie człowiekiem narodowym, ale po kapłańsku, po bożemu. Samo przywiązanie do kraju jak do rodziny, jest każdemu wrodzone, i przeto bez zasługi; jak każdy w swój sposób, tak ksiądz powinien je użytecznem uczynić, zapłodnić i uświęcić. Ma rodzinę, powinien ją kochać, w razie potrzeby podług możliwości wspierać; ale ani czasu należnego posłudze bliźnich na czułości, ani grosza biednych na ich wygody obracać. — Podobnie względem narodu; może i powinien być człowiekiem narodowym, ale przede wszystkim człowiekiem nadprzyrodzonym, kapłanem, apostołem; a im się więcej ztąd okroi korzyści narodowi, tem lepiej, a okroi się tem więcej, im będzie lepszym i gorliwszym kapłanem.

Zakres księdza w polityce czynnej jest daleko ciaśniej-szy. — Nie mówię o wypadkach nadzwyczajnych, które z jednej strony politycznemi się wydają, choć głównie były religijne, jak na przykład: gdy z wyższego natchnienia Piotr pustelnik i Św. Bernard wojnę krzyżową opowiadali, a Św. Jan z Kapistranu Magyarów ze Słowiany przeciw Turkom prowadził. — I dziś w wojnie sprawiedliwej kapłani towarzyszą rycerzom, zagrzewają ich do boju, rannym służą, umierających z Bogiem jedną; ale gdyby ksiądz chciał poświęconą dłoń bronić przeciw nieprzyjacielowi nosić, grzech by to był i obrzydliwość. — Zwykle do tego kwapią się księża brak ducha kapłańskiego i obyczajów podobnym patryotyzmem pokryć chcący; mnisi, którzy przed wojskiem lub głodem do klasztoru wpadli, a przy sposobności do obozu uciekają: tak tam potrzebni i na swoim miejscu, jak niewiasty. Nie mówię o potrzebach chwilowych, jak na przykład w roku zeszłym, gdy lud niektórych kapłanów w deputacyach do Berlina lub Wiednia posyłał, do komitetów dla utrzymania

bezpieczeństwa publicznego zapraszał. W takich wypadkach przyjąć się godzi i często jest ścisłym obowiązkiem. — Nie przesądzam zdaleka i chętnie przypuszczam, iż dla dobra ludu, dopóki nie nabędzie odpowiedniej nowym instytucjom oświaty i doświadczenia, księży winni (jak w Poznańskim do Ligi) do rad gminnych lub miejskich zaproszeni należeć; ale jak skoro potrzeba ścisła ustała lub ustanie, mają kapłani z wielką ochotą od takich obowiązków się usuwać, by każdy widział, że z poświęcenia a nie z upodobania do nich się wzięli. — Do izby francuskiej 1848 roku kilkunastu biskupów i księży wybrano. Siedzieli tam dla pilnowania kwestyi religijnej; ale już wtenczas niektórzy się usunęli, jak naprzykład sławny kaznodzieja ojciec Lacordaire, dla niezaniebawiania obowiązków kapłańskich i nienadwerżenia sumienia. — W r. 1849 już ledwo kilku wybór przyjęło, a między innymi uczony biskup z Langres i to po zasięgnięciu rady, na rozkaz wyraźny Ojca świętego. To są wyjątki czasowe i miejscowe. Ogólnie mówiąc, położenie i stan duchowieństwa w społeczeństwie i polityce jaki był w średnich wiekach, w skutek przywilejów przez ludy same ofiarowanych i przyznanych, w skutek wielkich posiadłości duchownych i szczelnego spojenia kościoła i stanu, przeszedł i przeszedł niepowrotnie. — Tem lepiej dla kościoła, nie wiem, czy tem lepiej dla społeczeństwa; ale w każdym razie nie ma co o powrocie takiego stanu rzeczy myśleć, i wypada nawet pozorów ku temu unikać. Biskupi nie siedzą już po senatach, ani księży po trybunałach, i nie życzą sobie tych zaszczytów. — Niemniej przeto zostaje kapłanom cała polityka teoretyczna, o ile jest umiejętnością, cała filozofia religijna polityki, częścią integralną teologii będącą. Zakon boży nietylko obowiązuje jednostki, ale i społeczeństwa; nietylko ludzi prywatnych, ale i publicznych. — Umiejętność tedy polityki ma posiadać ksiądz, bo nieraz jako spowiednik musi oświecić człowieka publicznego bijącego się z swoim sumieniem; nieraz jako kaznodzieja musi powstać na grzechy publiczne i polityczne. — Ma się, mówi Skarga, mieszać ksiądz do polityki, nie by się nią bawił i w niej sobie podobał, ale by grzech z polityki wypędział. — Tego właśnie politycy niereligijni nie lubią, i ile razy ksiądz do swojej polityki jak słuźalca nie zaprzęgą, wołają: „po co się ksiądz miesza do polityki?” — Otóż ksiądz nie miesząc się

do polityki dziennej, ulicznej, nie mieszając się do stronnictw, powinien z bezstronnością odwieczne zasady przez Boga społeczeństwu wytknięte wyznawać i bronić

Niezłomny przy zasadach Bożych, niech będzie łagodnym względem obłąkanych, by im, upamiętanym, przystępu do siebie nie zagrażał.

Takie jest moje widzenie w tej rzeczy; pamiętam, iż w zdaniu sprawy twojem, o wypadkach poznańskich powiedziałeś: Ksiądz po kilku schodkach do ołtarza przystępuje, bo chodzi jak lud po ziemi, jednak wyżej od ludu, ku Bogu stoi. — Istotnie ksiądz jest synem ojczyzny, jest obywatelem, jest człowiekiem narodu, ale wyżej od ludu i bliżej Boga stać powinien, którego służbie przedewszystkiem ma się poświęcać. — Nie trzymając miejsca swojego, łatwo ksiądz zejdzie na tuzinkowego polityka, łatwo się wda w złe towarzystwo, może jak Lamennais kościół zgorszyć i wiarę stracić; a w każdym razie pozbawić społeczeństwo niezmiernie ważnych, najważniejszych posług jakie w zawodzie kapłańskim oddać mu może. — Oby duchowieństwo nasze, tak patryotyczne, znalazło tę miarę, już ogólną, jużto położeniu różnych części starej naszej ojczyzny odpowiednią; a nigdy chwały Bogu należnej i korzyści dusz nie zaniedbując, święcie i płodnie działało na korzyść narodu, który dziś tyle jego potu apostolskiego potrzebuje.

Pisałem w Paryżu, d. 20. Listopada 1849.

II.

Na wiadomość o pożarze Krakowa.

i.



nie moje dziwi Was zapewne i gorszy. Czy serce wystygło jak śniegi w Pirenejskich szczytach, czy skamieniało jak skały wśród których mieszka czy już spółczuć, spółcierpieć nie umie? Taka skarga wystąpiła może u niejedyne znane mi usta; u innych skonała w samem poczęciu, odrzucona jak sąd niesprawiedliwy. A przecie jakbym słyszał niemy żal dusz nawykłych dostawać a przynajmniej wyglądać odemnie pociechy: „dlaczegoż milczy gdy my tak głośno płaczem, on duchowny spółobywatel, spółkrakowianin nasz?”

O najmilsi moi! bo do wszystkich przez jednego piszę, o najmilsi moi! żałobne wieści z gruzów grodu waszego rozległy się przeraźliwie po najgłębszych zakątach duszy mojej jak piorun powtórzony tysięcznem echem wśród jarów i przepaści Karpat naszych: osłupiałem i zauierałem.

I byłem spokojny, jak głaz, jak martwy. Byłem spokojny, jak małżonka, jak dziatki przy łożu nieżywego ojca, męża, które jeszcze swego nieszczęścia nie rozumieją, albo płakać jeszcze nie mogą.

Sądziłem że już wszystko wypaliło się, wygasło we mnie. Sądziłem że serce, od ciągłej, zbytnej, a wciąż rosnącej boleści, przecierpiało się, przesiliło, obumarło. I zląkłem się sie-

*) Pisałem z Cauterets w Pirenejach r, 1850.

bie, i sam sobą brzydziłem jakby trupem, nie śmiejąc się przyznać nikomu, cóż dopiero Wam!

Potem wszystko zadrżało, zakipiało we mnie, dziwnie silnie, dziwnie głęboko jak kiedy lawa mocije się z brzemieniem cisnącej ją gory, szukając wyjścia trawiącym ją płomieniom. Poczułem że to było poruszenie ze krwi, poruszenie ludzkie, które już nieprzyjaciel dusz naszych swem zarzewiem podzegał, i zląkłem się bym z Jobem nie wyrzekał. Bym nie zlorzeczył narodowi z którego się narodził, nad którym gniew Boży zawisł jak niebo miedziane, jak ołów kapiący, jak ogień trawiący wszystko na węgiel, a węgiel na popiół, i popiół sam jeszcze pełen iskier z wichrem na świat posyłający.

I obróciłem się do Pana, i kładłem krzyż na sercu cisnącego dłońią, i kładłem krzyż na usta by mi się serce nie wyrwało, by na wargi nie wystąpiła skarga grzeszna, najgrzeszniejsza u kapłana. Dopiero po dniach wielu kiedy dusza zapłakała, kiedy się rozkwiliła, poczułem że żyję, że cierpię; dowiedziałem się ze zdziwieniem że tyle kochał Kraków nasz stary, Kraków nasz święty, i że Was w nim tyle ukochałem.

O! jakbym chciał być teraz wśród Was by z Wami cierpieć, by z Wami płakać, by z Wami płaczących cieszyć, głodnych karmić, bezdasznych grzać i tulić. Jakbym się chciał nająć, dać w zastaw, by tylko coś przysporzyć do karbony dla pogorzalców miłych. Ale gdy to niepodobna, gdy ceny pałacu na odbudowanie chat i świątyń dać nie mogę: posyłam ten jęk duszy, com wybolał, com wymodlił — łzy moje zastygłe, westchnienia skrzeple, — bogactwa moje.

Więc już Krakowa jakim go znałem niema! Gniew Boży nieprzeparty, niepowstrzymany przypadł z nagłą, przeszedł po środku — i oto step czarny między grobem św. Stanisława, a wieżycami Matki najświętszej. — Lud wielki stoi obozem, pan zarazem i sługa, bez dachu, bez chleba, załamują dłonie, — płaczą dostatku płaczą chudoby, ale więcej płaczą pamiątek i świątyń Pańskich. Święcie płaczą, obyśmy z nimi płakali za nas samych i za grzechy nasze, i za tych którzy swoich nie płaczą.

2.

Stał gród św. PYanciszka naprzeciwko zamku św. Dominika, jak gdyby dwa olbrzymy podpierające się i rozmawiające z sobą — dziś legły na ziemi. Polska im nie dostarcza mieszkańców jak dawniej, Bóg zabrał mieszkanie. Oby gruzu starczyło do zbudowania namiotu rzadszym coraz sługom Bożym.

Więc i świątynia Odrowążów stoi naga i poczerniona. Znikły te korytarze pełne napisów i pomników, narodowe smętarze i muzea. Słusznie, — mało kto je rozumiał, te pamiątki dawnych czasów, mało kto je czcił wśród tego pokolenia obcych szukającego bogów.

Poszło z dymem Archiwum pełne śladów prac apostołskich po szerokim świecie Synów św. Jacka wielkiego Apostoła wschodu i północy. Słusznie, — bo gdzie dziś u nas czciciele Apostolstwa i Świętości? Uczeni nasi niby dziejopisarze, puszczają ślinę rozpustnej krytyki na męczenników cnoty. Szczepanowski zdrajca i Baryczka buntownik, Bolesław umiarkowany i Kazimierz wstydlivy! Drżałem bym nie posłyszał że i trumny św. Salomei i św. Jacka roztopiły się i zapadły, że prochy ich święte uleciały do nieba opuszczając tę ziemię której strzegły. Dzięki Najwyższemu że tak nie jest, że te odgromniki gniewu Jego jeszcze nam pozostały, byśmy do ostatka skruszeni nie byli. Klasztory i kościoły mogą się dźwignąć z popiołów, mogą się w nowe przybrać szaty; ciał świętych nie możnaby było odbudować.

Ale już tej Kaplicy Różańcowej niema, z której król Jan poszedł pod Wiedeń, z której pobożny lud krakowski wychodził w tryumfie i wracał śpiewając i chwiejąc chorągwiami przed obrazem Bogarodzicy, kolaniem do ziemi przypadając a sercem wyskakując aż ku niebu!

Tak wygląda świątynia Trójecka w której ja pielgrzym, gość przechodni, na grzędzie ojczystej kazałem pokutę i hymn na cześć Matki Boskiej i św. Jacka zawodziłem; gdzieś dawne i nowe grzechy ludowi wyrzucał, dawne i nowe miłosierdzie Pańskie przypominał, obecne i przyszłe chłosty zapowiadał.

Poszedł z dymem kościołek unicki. Czy to zapowiedź że ten Kościół tak już obcięty i podcięty ma też upaść nie-

sławnie? czy znowu za srebrniki Chrystus na krzyż pójdzie? czy znowu dusze zaczną dździć gęsto do piekła, jak kiedy wichler otrząsa drzewo z przejrzałych owoców?

Św. Józef pomocnik dzielny a łaskawy w ostatnich chwilach żywota, wymazał z Krakowa murowane imię swoje — czy i opiekę? czy nie tylko za życia ale i przy śmierci mamy już być opuszczeni?

Wszystko co miłe, wszystko co piękne, wszystko co święte, marnieje i znika. Kościoły i ołtarze, ludzie i rzeczy, pamiątki i nadzieje, popiół i gruz pod nogami, popiół grobowy w sercach, dym i kurzawa w głowach. Czy taka czczość straszniejsza czy pełność taka?

Więc już Krakowa jakim go znałem niema! Gniew Boży nieprzeparty, niepowstrzymany przypadł z nagłą, przeszedł po środku — i oto step czarny między grobem św. Stanisława, a wieżycami Matki Najświętszej. Lud wielki stoi obozem, pan zarazem i sługa, bez dachu, bez chleba, załamują dłonie — płaczą dostatku, płaczą chudoby, ale więcej płaczą pamiątek i świątyń Pańskich. Święcie płaczą, obyśmy z niemi płakali za nas samych i za grzechy nasze, i za tych którzy swoich nie płaczą.

3.

Gdzież się podzieli owi wieszczowie, owe mędrcy, owi prorocy nowożytni nasi, zapowiadający nam koniec wszelkich cierpień, Królestwo Niebieskie zstępujące na ziemię, a naprzód na ziemię naszą? O! biada nam, że górnemi swemi bluźnierstwami chłosty Pańskie na wszystkich sprowadzają. Ludu mój! obacz się że cię zwodzą, że Pan ich nie posłał, nie natchnął, poznaj że nic nie zachowa tego, kim Pan pomiata. Poznaj że niema złego w mieście, którego by Pan nie dopuścił. Jeruzalem! Jeruzalem! nawróć się do Pana Boga Twego!

Wszystko co miłe, wszystko co piękne, wszystko co święte marnieje, znika; ale nam Jezus i Marya pozostaje. W chłostcie samej dają znaki swej opieki, i wskazują że w ich tylko imieniu zbawić się możemy. Gdzie ogień wszedł tam nie wyszedł, ale się przed wizerunkiem Jezusa i obrazem Maryi zatrzymał. Ta sama Matka Najświętsza która przed laty po

rzezi bratobójczej, świecąc na zaniku cieszyła, teraz z ponad płomieni świeci na rynku. Mądra i święta myśl zaczynać odbudowanie miasta od postawienia ołtarza Maryi *wspomożenia wiernych* '). Z Jezusem i Maryą w sercach, z Jezusem i Maryą na ustach, postawim Kraków drugi, jak stanął drugi Syon, i jeszcze w nim hymn dziękczynny zanócim, gdy się nam grzeszyć uprzykrzy, a zagniewanie Pańskie odpocznie. Jeruzalem! Jeruzalem! nawróćże się do Pana Boga Twego!

Jeżeli Pan tak czyni z drzewem zielonem, cóż ze suchem pocznie? Jeżeli tak z Krakowem gdzie może mniej grzechu niż gdzieindziej a pewno więcej wiary i miłosierdzia, cóż będzie z resztą ziemi naszej? Jeżeli tak z nami których Pan tak dawno, tak starannie chłoscze, cóż z tymi których jeszcze karać nie zaczął, ukarać nie raczył? Jeruzalem! Jeruzalem! nawróćże się do Pana Boga Twego!

Więc już tego Krakowa jakim go znałem niema! Lud wielki stoi obozem, bez dachu i bez chleba — płaczą dostatku płaczą chudoby, ale więcej płaczą pamiątek i świątyń Pańskich. Święcie płaczą, obyśmy z niemi płakali za nas samych i za grzechy nasze, i za tych którzy swoich nie płaczą.

') Niestety! piękny ten pomysł nie został wykonany.

III.

PAPIEZTWO I SPRAWA RZYMSKA

Z PUNKTU WIDZENIA PETERSBURGSKIEGO

przez

dyplomatę rosyjskiego.

(Revue des deux Mondes 1er Janvier 1850.)

(La papauté et la question Romaine au point de vue de St. Petersbourg,
par un diplomate Russe.



•Ja¹ rzegląd dwóch światów dał czytelnikom swoim padarek - prawdziwie grecki. Wydawca tego pisma przez ostatek wstydu mówi we wstępie, że chce tylko uwagę swoich rodaków zwrócić w tę stronę i wywołać rozprawy głębiej pomyślane: *mettre a l'ordre du jour des conversations réfléchies et pré- » voyantes, une question nouvelle et grande*, tymczasem nie szczerzego w odpowiedzi umieścić nie chce. Ale zostawmy na boku wydawcę, który musi wyjść na swoim i prenumeratorów w obszernem cesarstwie rosyjskiem stracić się lęka, a przystąpmy do samego autora i do rozprawy.

Zdaje się rzeczą pewną, że autorem jest pan Taczew, czy Tuczew, sekretarz poselstwa rosyjskiego w Monachium: a ponieważ to nie cudzoziemiec w służbie rosyjskiej, więc musiał się ukształcić za granicą, by mógł wystąpić do walki z tym starym i potężnym przez niego zachodem.

Już w miesiącu czerwcu 1849 r. ten sam pisarz dyplomata, w temże samem piśmie ogłosił swój memoriał przedstawiony cesarzowi Mikołajowi o *Stanie obecnym Europy od Lutego* (1848 r.): *Memoire sur la situation actuelle d'Europe depuis Fevrier, presente a l'Empereur Nicolas*. Że pismo podobало się cesarzowi, to i z tego się pokazuje, że autor mógł je drukiem ogłosić: wiemy z kądinąd, jako na dworze petersburskim było głośno polecane. W tym pamiętniku pan Taczew dowodzi, że: „od dawnego już czasu nie ma w Europie jak dwie rzeczywiste siły: rewolucya, i Rossya.” Gdyby tak było, co jednak nie jest, nie wiem z kądby mogło wyjść zbawienie Europy: bo rewolucya z wielogłowym terroryzmem, a Rossya jaka jest dzisiaj, to jest samowładztwo czyli terroryzm rewolucyjny skrzepły, stały, ciągły, skupiony w jednej osobie: to zawsze rewolucya. W najlepszym razie musiałaby Europa wybierać między konwulsjami maligny, z której jeszcze się wyleczyć można a paraliżem we wszystkich członkach i nieuleczonym. Dzięki Bogu tak nie jest: bo żyje, bo trwa kościół katolicki, źródło władzy świętej, i ostatnia ucieczka czystej wolności. Czuł to dobrze dyplomata rossyjski, przeto korzystając z wrażenia, jakie sprawiła na słabych umysłach tryumfująca bezbożna rewolucya w Rzymie, oddalenie się papieża, jął się dowodzenia, że papieztwo nie tylko nie może w żaden sposób odzyskać panowania doczesnego, ale że to panowanie doczesne było aktem nieprawnym rewolucyjnym; że papież, wyłamując się z pod opieki cesarzów wschodnich, otworzyli wrota buntom religijnym, a później politycznym, które dziś i ostatecznie słuszną karą i koniecznem następstwem, samo papieztwo niepodobnem czynią bez wrócenia na drogę czystych podań kościelnych na Wschodzie przechowanych, słowem bez poddania się cesarzowi rossyjskiemu, który proroczo Rzym przed kilku laty odwiedził. Taka jest treść artykułu, na który odpowiedzieć chcemy. Co zwiększa jego ważność, to, że niewiadomo jak, czy dyplomata odgadł myśli pana swego, czy jego myśli u tronu znalazły przyjęcie, dość, że cesarz Mikołaj w sposób podobny, choć mniej jasno, wyraził się w 1848 roku do biskupów polskich przywołanych do Petersburga. „Na zachodzie (mówił) są albo bezbożnicy, albo fanatycy.” Ci fanatycy mamy być my, prawdziwi katolicy, pierwotni Chryścianie

prawosławni są w Rosyi i na Wschodzie. „Słuchajcie narody i kórzcie się: albowiem Bóg z nami!” tak woła do Europy w pierwszym swoim manifeście po rewolucjach 1848 roku. Wprawdzie cesarz sądząc się być powołanym do przywrócenia porządku w Europie, i zapowiadając, że wyteży wszystkie siły, samym wyrazem ponuro-uroczystym twarzy swojej zdradza, iż nie jest zupełnie pewnym ostatecznego wypadku tej walki na zabój: sługa dyplomata nie wątpi ani na chwilę, i pokazując Zachodowi jego zgniliznę, starannie ukrywa wszystkie jej zarody w Rosyi. My go w tej mierze wyręczym i dopełnimy. „Pierwsza rewolucja francuzka wprowadziła ideę antichrześcijańską do rządów towarzystwa politycznego...”¹ Niestety! weszła już ona w życie przez traktat westfalski a podziałem Polski odsłoniła się w swej szpetności. Dalej autor nasz mówi o rewolucyi: „ta organizacja zasady złego, najuczciwsza, i najstraszliwsza, ten świat złego cały uzbrojony i urządzony.” Prawda — ale złe silniej urządzone i uzbrojone w Rosyi, lekarstwo nie straszliwsze od choroby. „Przecucia tysiącletnie nie oszukują. Rosyi krajowi wiary (?) wiary nie braknie w stanowczej chwili. Nieprzełęknie się ona wielkości swych przeznaczeń, i nie cofnie się przed swem powołaniem. Zachód ginie: wszystko się zapada, wszystko ginie w pożarze powszechnym, cywilizacja własną się zabija ręką. A gdy wśród tego niezmiernego rozbicia, widzimy to cesarstwo niezmierniejsze jeszcze unoszące się jak arka święta, któżby mógł jeszcze wątpić o jego powołaniu?” Rosya nie może mieć innego powołania jak swoje dotychczasowe historyczne, to jest niszczenia, karania, chłosty od Boga. Przypuszczamy przeto, iż może być zachowaną na tę ostatnią usługę, do walki i schłostania terrorystów czerwonych, ale nie ona odrodzi Europę; tylko ten kościół Rzymski, który ją zrodził i wychował. Temu właśnie zaprzecza nasz dyplomata, podstawiając natomiast swoją cerkiew prawosławną. „Rosya dopełni swego świętego powołania Kościół prawosławny nigdy nie rozpaczał o tem uleczeniu, czeka nie już z ufnością ale z pewnością.” Przystąpmy zatem do rozebrania argumentów autora przeciw Rzymowi i papieżowi.

A naprzód szczerze mu winszujemy bystrzejszego poglądu, iż głębiej pojął sprawę rzymską od polityków i dzieu-

nikarzy zachodu, i ogólnie naszych w Polsce, klepiących pacierz nie Boży za panią matką. Tak rzeczywiście Rzym jest korzeniem świata zachodniego — *Eome est la racine du monde Occidental*, co więcej jest korzeniem świata cywilizowanego, świata Chrześcijańskiego, bo innej cywilizacji niema

mniemana ona cywilizacya wschodnia jeszcze się nie urodziła i żyje okruchami świata zachodniego. Tak nie jest to: „paradoxem ani potwarzą twierdzić, iż w chwili obecnej, cokolwiek jest chrześcijaństwa dodatniego (positif) na Zachodzie, trzyma się już to jawnie i wyraźnie, już się odnosi powinowactwem mniej więcej przyznawaniem do katolicyzmu rzymskiego, którego papieństwo... jest widocznie więzadłem sklepienia i warunkiem istnienia. Protestantyzm.... umiera ze zgrzybiałości... Co do innych doktryn religijnych... są to wyraźnie jedna mniemania osobiste i pojedynkowe.” To prawda, ale nie mniej prawda, iż co jest chrześcian wierzących i oświeconych, a nie dworaków w Rosyi, ma się równie ku Rzymowi. Mało ich wprowadzie względnie dotychczas, którzy się zdobywają na moc poświęcenia majątku, bezpieczeństwa osobistego, lub ojczyzny dziś tak potężnej, dla przejścia jawnie i otwarcie na łono kościoła rzymskiego; ale ich więcej niż się dyplomatom zdaje, a gdyby tylko lat 10 jakakolwiek wolność religijna nadaną była Rosyi, toby się przelękli i zwątpili o kościele prawosławnym. Reszta ludzi oświeczonych albo się chyli do protestantyzmu, albo już zarażona to francuskim, to niemieckim filozofizmem. Duchowieństwo nie tak już pyszne z swej niewoli: *nous sommes menes par une poignée des ldiqy.es*, jak się jeden metropolita wyraził, zaczyna się zdobywać na opozycyą i kształci się na księgach katolickich lub protestanckich. Zostaje wam tylko lud gruby, a i ten pozbawiony wszelkiego pokarmu duchowego, szuka go po za kościołem. Napróżno chcecie ukrywać przed Europą że sekty, jak robactwo wylęgłe w zepsuciu, toczą wasz obumarły kościół—stare i nowe raskoły, mnożą się w miliony, pomiędzy pierwszymi kupcami w Moskwie i Petersburgu cudzoziemiec poznaje gołobrodych a o piskliwych głosach Orygenistów; macie Gnostyków ze wszystkimi obyczajowemi szkaradami, macie *hezpopoivszczyzn*§, którzy już kapłaństwa nie uznają i t. d. A wszystkie te sekty doskonale nienawidzą cara jako antychrysta, i kościół urzędowy jako

zakład szatana, a wszystkie zarażone już lub skłonne do komunizmu, przy grubości obyczajów, przy zimnej dzikości charakteru, o! jaki element rewolucyjny, przy którym blednieją wszystkie brudne czerwoności, i wszystkie czerwone brudy Zachodu: o! lekarzu, lecz siebie samego wołamy do Rosyi, ty nas pewno nie uleczysz, ale da Bóg, my się wyleczywszy, wyleczym i Ciebie. Francuzów i innych cudzoziemców w ślepotie strachu i grzechu pogrążonych możecie straszyc i durzyć: my się aż nadto dobrze znamy, więc możemy dalej spokojniej rozprawiać, bo miło czytać i u przeciwnika prawdy, postrzeżenia choć pojedyncze, ale trafne i pięknie wyrażone. — Wszystko, co nasz dyplomata mówi o nienawiści Mazziniego i jego popleczników przeciwko papieżowi nie tylko o ile panującemu, ale o ile najwyższemu kapłanowi, jest prawdziwe i bardzo prawdziwe. Tak jest, papież podwójnie przeszkadza powrotowi na świat tego upiora tam zpoza krzyża, tej republiki rzymsko-pogańskiej, na którą wszyscy emisariusze włoscy chorują i papież wyrzekając się nawet panowania doczesnego nienawisci by ich nie rozbroił, tylko by dał im sposobność i łatwość do rozburzenia kościoła, do rozbastwienia ludu, jak tego już w części okazali podczas krótkich swoich rządów. Zgadzam się przeto, iż w obec takich ludzi ustąpienie byłoby zdradą „sumienia kapłańskiego i kościoła: *ici une transaction ne serait pas une simple concession du pouvoir, ce serait une apostasie.*” Zgadzam się, że papież nie może się wyrzec źródła swojej władzy, nawet doczesnej, nie może przystać na wszechwładztwo ludu, i na kreski: ale od konstytucjonalizmu republikańskiego do absolutyzmu opartego *na czystych i prawosławnych podaniach wschodnich i mongolskich*, przestrzeń jeszcze niezmierna. Nie widzę przeto, dla czego by Rzym i zachód miały być zapędzone do ciemnego rogu, w ciasny kąt bez wyjścia: *Romę et l'occident sont accules a une impossibilite — la question Romaine insoluble en elle meme et sans issue.* Nie widzę, dla czego by myśl Giobertego, okurzona z marzeń patriotyczno za dumnych dla Włoch, dla czego by myśl federacyi włoskiej z papieżem, jako z przyrodzonym jej naczelnikiem, a zabezpieczająca go od nacisku dyplomacyi wielkich mocarstw sąsiednich, dla czego by mowa nie była podobna? Dla czego by stan kościelny, należący do federacyi włoskiej czy nie, obda-

rzony dobrą administracją polityczną i sądową, wolnościami gminnymi i prowincjonalnymi, i nawet pewnym rodzajem reprezentacji, dla czego by nie miał być szczęśliwy? Wszakże to są instytucje historyczne we Włoszech, i prawdziwie narodowe; wszakże [papieżstwo tyle wieków z nimi rządziło, z zadowoleniem stron oba: dopiero obalenie tych instytucji w czasie okupacji francuskiej za rzeczpospolitą, i wprowadzenie francuskiej centralizacji stan rzeczy pogorszyło. Ale na teraz już Rzymianie z takich instytucji nie będą zadowoleni? Być bardzo może, lecz z tą samą trudnością mają i będą miały do walczenia wszystkie rządy, nawet dobrej woli, cóż dopiero mówić o Rosyi? Czyż Rosya nie widziała temu lat 25 krwawej rewolucji wojskowej w duchu liberalno-słowiańskim, która dotychczas tli w umysłach, i odzywa się w ciągłej walce z żywiołem rządowo-germańskim? Czy świeżo nie odkryto w Petersburgu sprzysiężenia socjalistowskiego? Rosya przeto musi przechorować tę gorączkę rewolucyjną, a nie widać żywiołów, jakie ją przerodzić mogą, kiedy raz pięknie sprężyna trzymająca ten wielki nieład z góry w pewnym pozornym ładzie. Ta sama przeto trudność powtarzam dla wszystkich rządów, co dla papieżkiego. Owszem, jeżeli nateraz _osłabienie wiary w klasie tak zwanej oświeconej_ utrudnia rząd teokratyczny, pierwsze upamiętanie się ludności wróci papieżowi całą siłą moralną duchową, władzę nad sumieniami, jakiej żaden inny rząd nie posiada. A w tych czasach przejścia, za jakim rządem ruszą się mocarstwa na pomoc, jak to uczyniły za zrządzeniem bożem dla papieża; choć u siebie nie pewne, choć w epoce małej wiary? I dla jakiej władzy Bóg to sprawił, by siły posiłkowe przejmowały się duchem religii, jak się to dzieje z wojskiem francuskim w Rzymie na zawstydzenie, ku upamiętaniu, a może ku dalszej karze Rzymian. Nie można bez wzruszenia czytać szczegółów o odradzającej się wierze w żołnierzu francuskim, i przyszłość zapewne niedaleka pokaże, ile Francuzi zyskają za pomoc, jaką dali następcy Piotrowemu. Więc nad Rzymem spoczywa szczególna opieka Boska, i przyszłość władzy papieżkiej nawet doczesnej lepiej zapewniona od wszelkiej innej, a w każdym razie nie jest w gorszym położeniu. Otóż albo społeczeństwo idzie ku ostatecznemu rozwiązaniu, jak się to niektórym za czarno widzącym zdaje, a w takim razie nie

go, ni Rosssyanie, *ci barbarzyńcę już zepsuci* nie ocalą: albo też Rzymianie równie jak inne ludy, bolesnem doświadczeniem nauczone, będą mniej wymagający. Tak jest jasną dla wszystkich Rzym znających, iż on nie może istnieć bez papieża, że gdyby można było zabezpieczyć miejsca i rzeczy święte od łupiestwa i pokalania, życzyłyby należało, aby mocarstwa pozwoliły demagogom włoskim dłużej pogospodarzyć w Rzymie. W przeciągu kilku miesięcy dług zdwoili i wszystkie zasoby wyczerpali nie szanując zakładów dobroczynnych, grosza pielgrzymów, wdów, starców, dzieci i biedaków. Jeszcze kilka miesięcy, albo rok jaki, a Rzymianie prawdziwi, widząc ulice miasta puste i trawą porastające, jak za czasów pobytu papieży w Awinionie, przyszliby byli do Neapolu na kolanach prosić papieża o powrót.

Zresztą jakkolwiek dyplomata, i to rossyjski, na siły tylko materialne liczy, zanadto pokazuje bystrości, by z niepojęcia rzeczy mieszał władzę głównie duchowną papieża, z podrzędną i doczesną. Przypuściwszy, że papież stracą, i to niepowrotnie, stan doczesny, czy to ich władzę moralną umniejsza? panowanie doczesne ułatwia tylko, i zabezpiecza wolne i swobodne wywieranie najwyższej władzy duchownej, ale nie czyni tej od tamtej zależną. Czy Pius IX inniej był papieżem w Gaecie, Portici, jak w Rzymie? czy owszem nie miał więcej tego czegoś niewymownego co daje prześladowanie? Czy to mu dla władzy jego doczesnej, której już nie miał, wszystkie wielkie mocarstwa nadszakiwały? Papież mogli, i mogliby znowu rządzić kościołem z katakomb, jak pod namiotem pielgrzymim. Najwięksi papież średniowieczni, którzy trzęśli Europą nie byli panami w Rzymie, a wielki św. Grzegorz VII umarł na wygnaniu. Wprawdzie bunt średniowieczne, nie miały tej samej siły, nie miały tego jadu, co dzisiejsze; wszakże były to zawsze upiory pogańskiego Rzymu. Arnold z Brescii to prawdziwy poprzednik Mazziniego.

A zatem: władza papieżów doczesna nie jest im koniecznie potrzebna, strata jej nie spowodowałaby bynajmniej rozwiązania, upadku, ba nawet rdzennego osłabienia kościoła katolickiego, a tem mniej nie wywołałaby potrzeby protektoratu mocarst?/a jakiegokolwiek bądź, tembardziej niekatolickiego i owszem wprost antykatolickiego. Bo jeżeli panowanie do-

czesne ma swoje niedogodności, stratę czasu i troskiienne, a najbardziej intrygi podstępnych dyplomacyi, tedy tem większe byłyby niedogodności w poddaniu się papieża jakiemukolwiek władcy doczesnemu. Czy położenie papieżów było tak świetne i wygodne do sprawowania najwyższego kapłaństwa podczas ich pobytu w Awinionie, choć mieli swój własny kąt ziemi? Mówisz panie, że zajścia -poddanych z papieżem o rzeczy doczesne duszę ich od Boga odwracają, że w nich oni wiarę tracą, ale czy zależność tylko moralna papieżów od królów francuskich nie odrażała od wiary chrześcian i innych krajów? czy wielka schyzma zachodnia, sprzeciwianie się Ludwika bawarskiego i innych cesarzów niemieckich, miały inne źródło i powód? Nie widzieli już w papieżach ojców powszechnych Chrześciaństwa, ale tylko stronnych Francuzów. Czy wszędzie gdziekolwiek kościół zanadto się pochylił ku rządowi, nie tracił dusz poddanych, nie cierpiących swoich rządów? Czy schyzmy w Rosyi mają inny powód? Czy świętokradztwa możniejszych nie pochodzą ztąd często, iż lękają się, by spowiednik, spowiedzi przed policją nie zdradził. Wielki Boże! cóżby to było za położenie dla papieża pod opieką rosyjską! Wkrótceby cały zachód wpadł w odszczepieństwo. Mają i w tej mierze papieża doświadczenie. Byli pod opieką cesarzów Byzanckich, choć zwykle katolickich, choć daleko od Rzymu siedzących. Nie miła i nie wygodna snadź była ta opieka Exarchów cesarskich, niezdolnych do zasłonięcia ich od barbarzyńców, a zdolnych i biegłych tylko w uciskaniu i prześladowaniu, tak iż się nareszcie papieża zdecydowali przywołać na pomoc Franków, na których też cesarstwo przenieśli.

Tak, ale właśnie powiadasz, panie, był to akt buntu, który później wywołał protestantyzm, a nareszcie rewolucye polityczne!.... Dziękuję naprzód za szczere wyznanie, że powody religijne, różnice dogmatyczne mało wpłynęły na odszczepieństwo wschodnie: myśmy o tem wiedzieli, ale to nas uwalnia od wielu dyskusyi teologicznych. Tak jest, duma to obrażona cesarzów Byzanckich ożeniona z szaloną dumą biskupów Byzanckich, a oparte obie na dumie duchowieństwa i całej rasy greckiej wywołały właśnie rozerwanie w kościele Bożym między Wschodem a Zachodem. Ile razy Grecy potrzebowali pomocy Lacinników przeciwko Islamizmowi, róż-

nice dogmatyczne załatwiały się dziwnie snadnie; jak skoro pomoc nie przychodziła dość rychło, albo była niedostateczna lub już nie potrzebna, zaraz *Duch święty nie pochodził od Syna*. To samo w Moskwie, ile razy królowie polscy położyli stopę na gardle wielkich kniaziów wraz wołali na gwałt do papieża, by ich ratował, bo chcą jego pasterstwo uznać; jak skoro Polacy wrócili do domu, Moskwa żartowała z Polaków i z Rzymu. Za dni naszych synod petersburski nie robił żadnych trudności doktrynalnych przewróconym naszym Unitom: uznanie z ich strony cesarza za swego wszechstronnego naczelnika, wystarczyło. Dziś już stolicy apostolskiej z całym kościołem katolickim śmie Rosssa też samą propozycją czynić!!! O ślepotę Europy, a szczególnie katolików, którzy dotychczas powszechnie jasno nie pojmują całej ważności Polski, nie tylko pod względem politycznym, ale i religijnym! ') Czy koniecznie trzeba, by Rosssa była wprzód w Carogrodzie i w Paryżu by wyleczyć z tej ślepoty, w której nierozum, tchórzostwo, a upór walczą o palmę. Nie tak nasz dyplomata: on rozumie całą ważność Polski *tej Polski buntowniczo katolickiej, zapamiętałego służalca Zachodu, zaroszę zdradzieckiej względem swoich* — (cette Pologne factieusement Catholique, seide fanatique de rOccident, et toujours traitre vis-a-vis des siens.)

A więc powód rozerwania nie był religijny: bo istotnie przyznajesz panie, że *kościół rzymski przechował nietykalny skład wiary*. Jakże wtedy możesz zarazem mówić, że *papieżstwo miało wadę ukrytą* (Tinstitution papale a eu un vice cache), więc od początku, od św. Piotra — więc wina Chrystusa Pana, który papieżstwo fundował. Widoczna to znowu, że pisarz rozmyślnie, czy nierozmyślnie, miesza papieżstwo z panowaniem doczesnem papieża. Bo w myśli jego przez to ostatnie właśnie *Rzym zaciął ranę głęboką zasadzie chrześcijańskiej* (Alteration profonde que Róme a fait subir au principe chretien). *Rzym zerwał ostatnie ogniwo, które go przywięzy-*

') Dopóki Polska stała, Europa i Kościół były w spokoju: jak skoro Polska upadła, Rosssa grozi Europie a urąga Kościołowi, bo najboleśniejsem urąganiem takie przymilanie się i ofiara opieki; smutne to, smutne zaślepienie!

wato do podania prawowiernego kościoła powszechnego.—Rzym się oddzielił od jedności, Rzym zblądził: *Róme a devie!* Jakże Rzym mógł przechować nietykalnym skład !wiary (*garder le depot de la doctrine iutact*), a przytem zepsować zasadę chrześciańską, zblądzić? Cóż znowu znaczy, że Rzym zerwał ostatnie ogniwo, które go przywiązywało do podań prawowiernego kościoła powszechnego? Któż był stróżem i tłumaczem tego podania jeżeli nie papież? Jak w pierwszych zaraz trzech wiekach postanowienia jego co do epoki święcenia Wielkiej-nocy, co do niepowtarzania chrztu i t. d. przyjęte były pomimo podań różnych i mniemań odmiennych wielkich biskupów w Azji i Afryce. Cóż znaczy ta wieczna komedia występowania z czterema *patryarchiami Wschodu*, przeciwko *patryarsze rzymskiemu* jak i teraz świeżo w odpowiedzi na encyklikę Piusa IX wzywającego odszczepieńców Wschodnich do jedności. Czy patryarchowie są z ustanowienia Bożego? Nie. Chrystus Pan ustanowił dyakonów, kapłanów, biskupów, i namiestnika swego w osobie biskupów Rzymskich. Czterech patryarchów przeto naprzeciw papieżowi jest to czterech biskupów w obec najwyższego pasterza, tak *baranków jak owiec*, tak wiernych jak kapłanów i biskupów. Tytuł patryarchy zachodu jest tak podrzędny papieżom, jak prymasa Włoch. Zostawmy tedy tę fantasmagoryą patryarchów bardzo użyteczną względem nieuków. Ha! jeżeli Rossya, jak pragnie i spodziewa się, zajmie Carogród, Azyę mniejszą, Palestynę może i Egipt, wtenczas wystąpi śmielej z swymi patryarchami, będzie dowodziła, że Rzym prawdziwy w Jeruzalem, albo w Autyochii, gdzie św. Piotr pierwszą chwilową miał stolicę; wtenczas może nawet Sobór zwołany na skinienie cesarza wykić *[patryarchę heretyka i odszczepieńca w Rzymie starym, może nawet prosić Cesarza prawosławnego, by wyrok świętego Soboru pobożnie wykonał...]* Wszystko to być może: ale i milion baguetów tego niesprawi, by czterech patryarchów było czem innem, jak czterech biskupów zbuntowanych przeciw pasterzowi prawemu wszystkich biskupów wprost z ustanowienia Bożego. Doprawdy, nie będziemy dość prostodusznymi, by dłużej rozbierać to twierdzenie, że *Rzym się oderwał od jedności*, to jest, że całość się oderwała od części, a nie część od całości; to pewna, że dotychczas nigdy Rzym nie żałował, nie upokarzał się, nie pokutował, a tym

czasem *Wschód prawosławny* nieraz z patryarchami i cesarzami swymi przybywał na Zachód dla pogodzenia się z *tą niewierną, odstępną stolicą Rzymską*. O! gdyby się i dziś tego domyślił, kosztem naszym pochwyliłby kierunek epoki...

Odpowiemy raczej na inne twierdzenie, będące wprawdzie następstwem pierwszego, ale obracliowane na wrażenie, bo zdolne przerazić dziś pełno ludzi lękliwych tym wyrazem *bunt*. Otóż nasz dyplomata z największą pewnością i bezpieczeństwem twierdzi rzecz nową zupełnie i dotychczas niesłuchaną: że stolica rzymska wyzwalać się zpod opieki cesarzów wschodnich, przenosząc cesarstwo rzymskie na królów z rodu Franków, a otrzymując w zawdzięczeniu *zwrot* dominium św. Piotra zgrabionego przez Longobardów, jak się akt donacyjny tychże królów wyraża: że stolica apostolska, mówię, popełniła akt buntu, przeniewierstwa, który wywołał logicznie następne bunty religijne, a nareszcie polityczne, i że Grzegorz VII, który bronił nie już przeciw cesarzom wschodnim, ale zachodnim, wolności kościoła i stolicy apostolskiej, jest prawdziwym ojcem i poprzednikiem Lutra, jak ten jest przesłańcem rewolucji francuskiej. A zatem, przed tym aktem buntu stolicy rzymskiej nie powinno było być odszczepieństw i herezyi tak na zachodzie, jak w łonie prawowiernego wschodu. Czy tak istotnie jest podług dziejów? Czy różnowiercy nie są współczesnymi apostołów? Czy trzeba wypisywać długą niepobożną litanią Gnostyków? Czy przypomnieć najobszerniejszą, najbardziej rozgałęzioną sektę, jaka była, sektę aryańską, które się rozpostarły lub zaczęły, gdy papież jeszcze ukrywali się w katakombach. Pelagianie, Manichejczycy, Donatyści, Eutychanie, Nestoryanie, aż do Ikonoklastów albo obrazoburców, czy się pojawili przed przeniesieniem cesarstwa na Franków, czy po? A proszę uważać, że wszystkie te sekty prawie poczęły się, i mogły się przyjąć i rozgałęzić tylko na łonie prawowiernego wschodu, i że patryarchowie carogrodzcy byli ich twórcami, lub popieraczami, że cesarze wschodni władzy swojej najczęściej na korzyść herezyi przeciw prawdzie katolickiej używali; co nareszcie zmusiło papieżów do odrzucenia zgangrenowanego Carogrodu. To prawda, odpowiesz pan, bo zaprzeczyć niepodobna, i dla tego starannie przeskakujesz nieraz kilka, i do dziesięciu wieków niedogodnych świadków dyplomatycznej gimnastyce

umysłowej, zuchwałem *salto mortale*: to prawda, ale od tego czasu już herezy w kościele wschodnim nie hyło, albo słabe i nieznaczące, a przeniosły się one na zachód. A więc, przyznajesz pan, że herezye religijne i córki ich, rewolucye polityczne, niezależne są od władzy doczesnej papieżów. Szukajmyż teraz powodów tego fenomenu, że społecznie 7. oderwaniem się wschodu od jedności kościelnej, herezye ustały na wschodzie, a przeniosły się na zachód. Rzecz bardzo prosta. Nadużycie sił i życia taui tylko podobne, gdzie to życie i siły są. Dopóki wschód był w jedności kościelnej, miał świętych, miał uczonych, ale także miał i heretyków, od czasu, jak tę jedność zerwał nie ma wielkich herezyi, ale też i nauki i świętości nie ma. Rzecz to bardzo prosta, że paralytyk nie rzuca się gwałtownie, że w trupie słyhać zaledwo ruch robactwa toczącego ostatki ciała. Takie są dzisiejsze herezye na wschodzie, mianowicie w Rosyi, takie były w Syrii i Azji mniejszej, kiedy zwycięzki islamizm je pochłoniął i przyswoił sobie, zresztą jad pychy i zepsucia znajdując upływ naturalny w odszczepieństwie, nie czuje tak gwałtownej potrzeby, otwierania sobie dróg nowych. Jakiż stan dzisiejszy umysłowy i moralny Rosyi? Jeżeli zapytamy o teologów, ledwo się mogą zdobyć na katechizmy. O filozofii ani mowy. Bez naszych ascetów, bez naszych ksiąg pobożnych, ludzie piśmienni musieliby w nabożeństwie ograniczyć się wraz z ludem do *dzwonów i polclonów*. Rosya nie miała kaznodziejów od czasu, jak wpadła w schyzmę, ledwo po wielkich miastach, na wielkie święta z kusą jaką nauczka występują uajuczeński. Lud nigdy katechizowany nie był, i łaska Boża, że nie jest gorszym. Wprawdzie cesarz dzisiejszy stara się przynajmniej o polor pozorny dla swoich popów. Staranniej im czeszą brody, uczą po francuzku, frazesów teologicznych, a ascetycznych dla zaspokojenia przynajmniej pobożniejszych niewiast. Ale i ta homeopatyczna uczoność, najczęściej u protestantów pożyczana, wystarczy do odjęcia wiary samemuż duchowieństwu. Za dni naszych, próbując się w polemice z katolikami z arsenałem uczoności episkopalnych Anglikanów, stają koniecznie na stanowisku protestanckiem. Schyzma mogła tylko utrzymać się w skrzepłości i nieruchomości swojej: wszelki ruch umysłowy, wszelka dyskusya jest dla niej zabójczą, jak ciepłe wiatry zachodu

łodom na wiosnę. Taki nam ideał przedstawia Rossya, lepszemu herezycy obok życia, jak śmierć bez herezyi. Wielkie herezye pokazały się naprzód na wschodzie, bo rasa grecka po wszystkie czasy była ciekawą, gadatliwą, niespokojną, to też platonizm przymieszany do ewangelii, tworzył nowe sekty. Na zachodzie rasa łacińska z natury swojej rozmyślniejsza i organiczna, pomimo tradycyjnych zarodków rozczynu pogańskiego, ciężko przyjmowała naroście, potem wieki musiały przejść, zanim barbarzyńcy północni doszli do dostatecznej oświaty, by jej mogli nadużyć. A ten duch sekciarski, który się tak późno pojawił na zachodzie, z kąd przyszedł? Dar to znowu *Greków*, uciekających przed szablą turecką do tych Lacinników tyle nienawidzonych, i przynoszących im w rękopismach starożytnych, jak w koniu trojańskim zarazę, która *odżyła* (renaissance) pogaństwo naprzód przez herezye, a potem przez antychrześcijańską filozofię. Tak własne dary nam wymawiacie. Zresztą nie brzydziecie się tak reformą, którą pan zowieś *oddziaływaniem uczucia chrześcijańskiego przeciwko powadze kościoła* (la reaction du sentiment chretien contre l'autorite de l'Eglise). Winni wprowadzić reformowani, że *poświęcili*, że *zniszczyli ognisko chrześcijańskie na korzyść ja ludzkiego*, ale najbardziej winni, że się nie odnieśli, nie wytoczyli sprawy swojej przed sąd prawowity (au tribunal competent et legitime). A jaki to trybunał? zapewne ci wieczni czterej patriarchowie, tak wygodni do wszystkiego, za którymi stoi w cieniu *cesarz prawosławny*. Więc tak protestanci jak katolicy, byleby się poddali władzy prawnej cesarza prawosławnego, który naturalnie jest *ogniskiem chrześcijaństwa*, wszystkoby było dobrze i w porządku: czyż katechizm prawosławny rossyjski nie uczy, że kto *czci cara, czci Boga*. Teraz pojmujemy trochę, co to znaczy, że *Rzym, który nie poświęcił ogniska chrześcijańskiego ja ludzkiemu, pochłonął go w ja rzymskim* (Rome n'a pas supprimé le centre chretien au profit du moi humain, il l'absorbe dans le moi romain.) A dodaje nasz teolog dyplomata: *przywłaszczyć sobie co jest Boskie, nie jestże to samo co je zaprzeczyć?* (Or usurper ce qui est divin, n'est ce pas aussi le nier). Szukajmy co może znaczyć to *ja rzymskie* i jakie inne *ja* kryje się w tem twierdzeniu i wyrzucie.

Gdzież się da dostrzedz to *pochłaniające ja rzymskie*? Czy godność papieża przysądzona od początku Rzymianom lub Włochom? a jeżeli tak jest faktycznie od trzech wieków, wiadomo, iż to środek zaradczy przeciwko walce wpływów politycznych: z ustaniem takiego stanu rzeczy, wyłączność ta praktycznie konieczna żywiołu włoskiego jako neutralnego, ustanie. Czy papież nie szanowali, nie bronili zawsze najtroskliwiej liturgii starożytnych różnych narodów? Czy rada papieża czy kardynałowie są wyłącznie Rzymianami lub Włochami, czy mocarstwa katolickie nie mają przyznanego sobie prawa posiadania pewnej ich liczby, choć z własnej winy nie zawsze o to dbały lub dbają. Biskupi poza Włochami sali Rzymianie? Sobory powszechne jak i ostatni trydencki składały się z samych biskupów rzymskich lub włoskich? Gdzież tedy to wyłączone, *pochłaniające ja rzymskie*?

Jest i inne jeszcze *ja*, które nasz dyplomata przedstawia jako spółistotne i nierozłączne od *ja rzymskiego*: *ja jezuickie*. *Institut Jezuitów jest to samże katolicyzm rzymski*, w stanie wojującym (l' Institut des Jesuites, c'est le catholicisme romain lui nieme, mais a l'etat de Taction militante). Zresztą nie gniewa się wcale na ten zakon i nie podziela ślepych nienawiści, i gdyby tylko societas uznała prawdziwą władzę, byłby jej zapewne bardzo rad. Jakże tedy, nienawidząc rewolucyi, a wiedząc bardzo dobrze, iż rewolucyoniści okrzyczawszy naprzód zakon Jezuitów, teraz kościół sam z nimi identyfikują: jak mówię, taki zasadny konserwator, taki czysty chrześcianin może bronić rewolucyonistom przeciw stolicy apostolskiej walczyć, i pojedynczy zakon z losami całego kościoła identyfikować? Że Towarzystwo Jezusowe potężnie i korzystnie chodziło w zapasy z protestantyzmem, przeciw któremu było wyraźnie od Boga postanowionem, że wiele i korzystnie pracowało na misjach wśród niewiernych, że się wielce odznaczyło w naukach, że od trzech wieków znamienite usługi oddało kościołowi i jeszcze oddaje; nikt tego nie zaprzeczy: ale żeby dlatego kościół był solidarnym z zakonem Jezusowym, by ten zakon niezbędnie był kościołowi potrzebnym, fałsz to oczywisty, i dziwna, że człowiek tak przenikliwy nie umiał, czy nie chciał tego pojąć i wyznać. W rozmaitych epokach różne zakony stanowiły jakoby przednią straż i zastęp odwodowy kościoła świętego, w walkach

o sprawę Bożą. Najprzód Bazylianie, Benedyktyni i Cystersi jakoby ciężka piechota brali w posiadanie kraj nieprzyjacielski zakładając wszędzie wielkie opactwa jakoby warownie z silną załogą, z której wychodziły na wszystkie strony ewangeliczne harcowniki. Później Franciszkanie, Dominikanie i inne zakony żebrzące lżejszego autoramentu. Nareszcie od 16-go wieku tak zwani klerycy regularni, Teatyni, Jezuici, Pijarzy, Misyjonarze św. Wincentego a Paulo, Redemptoryści czyli Ligoryanie i t. d. jakoby lekkie i uskoczne zastępy podwójną pełnią służbę kapłana świeckiego i zakonnika. Za dni naszych przybyło kilka nowych zgromadzeń we Francyi, we Włoszech i t. d. Tak Jezuici na 18-cie wieków życia kościoła od trzech dopiero wieków pracowali wiele, ale nie sami jedni, i w czasie rozwiązania tegoż towarzystwa kościół bez ich pomocy wytrzymał najstraszliwszą burzę, jaką dotychczas znamy.

A tak panie, wszystko co mówisz o *ja* rzymskiem, o *ja* jezuickiem, jest bez zasady i żadnem nie grozi niebezpieczeństwem: owszem to *ja* przyniosło Europie i niesie światło i świętość. *Ja*, rzeczywiste a groźne, *ja*, które nic nie ma za sobą jedno siłę materyalną obok dumy bez granic, które nic z sobą nie przynosi, jedno zepsucie, głupotę i niewolę, to *ja* ruskie, rozrośnięte pod wiekowem jarzmem *wielkiej hordy*. *Ja* rosyjskie w takiej wykształcone szkole, czy nie dąży wciąż do pochłonięcia wszystkiego, czego tylko dosięgnąć może w swym *Kalifacie chrześcijańskim*, jeżeli go jeszcze chrześcijańskim nazwać można. Co się stało z Nowogrodem i Pskowem? co z Małorosyą? co z Polską? za to, że się nie chce zaprzecć swego historycznego, katolickiego *ja*. Teraz kolej na Serbów tureckich i rakuskich, którzy, jak Pan zapewniasz, czczą w strzechach swoich zawieszony obraz *cesarza prawowitego, cesarza prawosławnego wschodu*. Teraz kolej na te Czechy jak je nazywasz *hussyckie*, czekające tylko na to, by Rosya weszła w posiadanie Galicyi, Teraz kolej na tych Magyarów *Wj nienawidzących was wściekle i instynktowo*, bo są w większości katolicy i którym grozicie zduszeniem w objęciach Słowian i Rumunów, obejmujących ich do koła. Oto *ja* groźne, grożące już Europie, urągające już kościołowi ofiarą protektoratu, *przywłaszczając sobie co Boskiego, nie jestże to samo, co je zaprzeczać*: takiego grzechu i zuchwalstwa niczem nie-

usprawiedliwionego dopuszcza się Rosya, narzucając się Europie i kościołowi z podwójnem jarzmem swoim politycznem i religijnem. Niechże przyjmie to ostrzeżenie: może jej być danem pochłonąć protestantyzm, utracić niedowiarstwo, te rany Hiobowe na ciele zasmuconego kościoła katolickiego, ale jeżeli się poważy ściągnąć rękę na zdrowe jego ciało, jeżeli za zuchwale urągać będzie jego smutkowi, postrzeże się kosztem swoim, że Bóg i dziś może wzbudzić Kłowisów, Martelów, Karolów, Sobieskich na obronę swego kościoła; a wtenczas pychą chorobliwie rozdęte *ja* ruskie wróci do przyrodzonej swojej i pierwotnej małości.

Przywłaszczając sobie co Boże, jest to samo, co zaprzeczać. Śmie Rosya, pomawiać kościół Boży o odszczepieństwo, o przywłaszczenie; śmie stawiać ołtarz przeciw ołtarzowi, śmie się udawać za prawdziwy kościół Chrystusowy, pomimo, że uznaje siedm[^]pierwszych soborów, które kościół rzymski zowią matką i panią wszystkich kościołów; niechże wie: że jest podwójnie w odszczepieństwie, odszczepioną od matki swojej, odszczepieńczej Grecyi. Odszczepiliście się od waszego patryarchy carogrodzkiego, jakkolwiek ten pokorny *rajas* padyszacha opłacający seraj, by dostać i zachować swoją godność, ani marzy nawet, siedząc na przedmieściu, o jakimkolwiek panowaniu doczesnem; a kupiliście sobie prawo posiadania własnego patryarchy w Moskwie. Wkrótce samowładztwu carskiemu groźnym i ciężkim się wydał i ten domowy i podręczny patryarcha. jakkolwiek go można było w każdej chwili postrzydz w mnichy lub w żołdacy ogolić, patryarchat przeto rzucony w kąt, a natomiast stanął synod petersburski, na wzór konsystorzów protestanckich, nieznanych w *czystych podaniach prawowiernego wschodniego kościoła*: a adjutant cesarski przewodzi synodem i chwali się, że *równie jest dobrze panem w swoim departamencie jak wszelki inny minister*. Że dusza przewodzi nad ciałem, to rzecz prosta, ale że ciało uad duszą przewodzi, to rzecz haniebna i poniżająca. Że ksiądz zarządza swoją własnością niema niedogodności, chyba w stracie czasu; ale że świecki rządzi parafią, to rzecz niesłychana. Wyrzucacie papieżowi jako rzecz *głęboko nie ewangeliczną, nie chrześcijańską*, że administruje swoje *beneficium*, to jest stany papieżkie, a znajdujecie rzeczą bardzo ewangeliczną, że huzar w palonych botach brzękając ostrogami

burmistrzuje w synodzie ciągnąc wielebnych ojców za brody, w którą stronę mu się tylko podoba. Dobrze mówisz panie, *przywłaszczać sobie co Boskie, jest to samo co się go zaprzeć*: zrozumiał to lud moskiewski i dlatego nie chce kościoła carskiego, ale się trzyma *starej iciary*. *Staroi&iercy* rosną w liczbę, nienawiść i zuchwalstwo: wszystkie dowody teologiczne by najostrejsze ś. p. jenerała Benkendorfa nie mogły ich napędzić do owczarni. Starowiercy te i rozmaite *roskoły* nie lepiej się obchodzą z metropolitami jak karbonary z papieżem; owszem ci tylko strzelają do okien, tamci (jak w Kazaniu) pluja na twarz choć metropolita kazański nie panujący. Straszni to rewolucyoniści mój panie. Chłopy koronne, a to połowa Rosyi, pokazują także zachciewania komunistyczne; już dali próbki, jak się myślą *radykałnie* wziąć do dzieła, a jednego fraka żywcem nie puścić. *Posilenice* wasi, cierpiący dwa piekła, chłopą i żołdata moskiewskiego zarazem, dziwnie się także już parę razy bawić chcieli, grzebiąc żywcem oficera, a pojąc ich gorącą smołą. Podobno, że rząd zamierza zostać jedynym księgarzem, wydawcą, dziennikarzem, jak już jest jedynym bakałarzem: podobno że jest myśl, by był jedynym właścicielem, aby był tylko jeden Egipt i jeden Farao, podobno, że miliony brodaczków mają być na posilenie obrócone, ku podbiciu Europy, tem prędzej Rosya zostanie komunistyczną. We Francyi, w Niemczech, gwarzą o komunizmie, w Rosyi wprowadzają go w życie. Ale jeżeli znowu jaki Pugaczew potrafi przemówić do tych kroci niewolników rozpaczonych, jeżeli zamiast na Kazań, pójdzie na Moskwę i Petersburg: w cóż się wtenczas obróci *ja* rosyjskie i wszystkie marzenia dumne panowania powszechnego, posunięte aż do szaleństwa ! —

Dyplomata nasz mówi kończąc: *o ukazaniu się cesarza prawosławnego w Rzymie, który wrócił do Rzymu (1846) po wielu wiekach nieobecności*. (L'apparition de l'empereur Orthodoxe revenu a Rome apres plusieurs siecles d' absence). Prawda, że nieobecność była długa! Pierwszy cesarz prawdziwie prawowierny, Konstantyn wyniósł się aż nad Bosfor i nową sobie stolicę zbudował, Rzym majestatowi papieżkiemu zostawiając, bo pojął, że tam obok papieża dla majestatu cesarskiego już miejsca nie ma. Ale dla Boga! jakież to pra-

wne salto mortale historyczne i logiczne? Proszę nas oświecić, jak Holsztein-Gottorpowie wywodzą pochodzenie swoje od Konstantego Wielkiego, a przynajmniej od Kantakuzenów i Paleologów, którzy zresztą mają bliższych i pewniejszych następców. Może ostatni cesarz byzancki uciekł do Moskwy, i tam dynastją swoją pod przybranem nazwiskiem tajemnie kontynuował; może pan Ustriałów albo jaki dziejopis urzędowy tejsze siły przytacza dokumenta niezbite na dowód. Co dzisiejszy cesarz rosyjski ma za prawo nie już do Rzymu, ale do Carogrodu? Jak to pan taki gorący zwolennik prawowitości, tak nieprzychylny wszelkim rewolucyom, jak pan możesz to wmawiać swemu panującemu obrońcy wszystkich nabytych tradycyjnych praw? Jak możesz rozczulać serce jego nad losem Słowian poddanych od czterech wieków sułtana, poddanych cesarza austriackiego wiernego swego sprzymierzeńca? jak możesz twierdzić, iż Rossya nie zawiedzie ich nadziei w stanowczej chwili? Byłobyż prawdą, jak niektórzy zuchwale głoszą, że Rossya odzywa się z zasadami wtenczas tylko, gdy one jej są wygodne, a że jedyną prawdziwą zasadą jej rządu wyczerpniętą z testamentu Piotra W. jest ta że: *Bossya może i powinna dojść do panowania nad światem*. Ale wróćmy do odwiedzin cesarskich w Rzymie. „Może tam pamiętają jeszcze (mówisz pan) wzruszenie ogólne, które wywołał ukazaniem się swoim w kościele św. Piotra... i drzenie elektryczne, które przebiegło tłumy, kiedy go ujrzały modlącego się przy grobach apostołów świętych.” Nie, zaręczam pana, że nikt tego nie pamięta, z powodu bardzo prostego, że to *wrażenie ogólne, to drzenie elektryczne* jedynie się odbiło w bogatej dworskiej wyobraźni pańskiej. Wiemy bardzo, że rząd i ludność, bez obelgi, ale z najzimniejszą grzecznością przyjęły cesarza: *ne rispetto ne dispetto*, takie było hasło powszechnie przyjęte, a wyższe towarzystwo zamykało się u siebie i nie przyjmowało ambasadorskich zaprosin. Patrzano na cesarza z pewną ciekawością, jak na coś dziwnego i nie na swoim miejscu, przypominano utrapienie i prześladowanie katolików w Polsce, i cieszone się serdecznie, że z ust ś. p. Grzegorza XVI. po raz pierwszy może całkowitą prawdę w tej mierze usłyszał: tak ona trudno dochodzi uszu panujących, tem bardziej samowładnie. Zapamiętałem nawet wierszyki,

które lud powtarzał ') Prawdą jest jednak, że cesarz był u grobu św. apostołów, i że wyszedłszy na kopułę wyrył te słowa: *tu cesarz modlił się za matkę (matiuszkę) swoją EoSyq.* Być może, że Mikołaj stojąc na tej górze z marmuru miał taką pokusę, może mówił w myśli do papieża: *te ivszystkie królestwa dam tobie, jeżeli upadając poklonisz się mnie.* Ale wiemy też, jak w takim razie nauczył Pan Jezus odpowiadać: *Panu Bogu Twemu służyć i Jemu jednemu klaniać się będziesz.* By nas przekonać i pozyskać, nie dość jest modlić się przy grobie św. Apostołów, ale trzeba upaść na kolana przed Piotrem, żyjącym w swoich następach.

') Firenze la giuliva
Quando venne, l' applaudiva
Ma Napoli che sa l' arte;
L' applaudisce quando parte;
Roma poi, che pensa bene
Ne se parte ne se viene.

Florenoya rozkoszna
Poklaskiwała mu za jego przybyciem,
Neapol co się zna na rzeczy,
Poklaskiwał mu przy jego odjeździe;
A Rzym, co myśli zdrowo
Ni w przyjeździe ni w odjeździe.

I V .

RADY DLA MŁODYCH KAZNODZIEI I SPOWIEDNIKÓW.

DO

SZANOWNEGO WYDAWCY TYGODNIKA KOŚCIELNEGO.

Młody jeden Duchowny z Archidiecezyi Mohylewskiej, choć mi osobiście nie znany, chciał zasięgnąć u mnie rady co do sposobu korzystnego sprawowania obowiązków kapłańskich, przesyłam Ci odpis mojej odpowiedzi ¹⁾, z upoważnieniem umieszczenia go w Twojem światłem czasopiśmie, jeżeli to uznasz za stosowne i jakkolwiek użyteczne.

Rzym 8-go września 1860 r.

I.

MILY W PANU BRACIE!



Adas rad moieb, a najprzód co do sposobu opowiadania słowa Bożego. Właściwie nie powinienbym Ci ich dawać; bom się systematycznie i podług prawideł do kazalnicy nie sposobił. Ilem się w szkołach nauczył Retoryki, z książki Ks. Chrzanowskiego Pijara, tyle też o niej wiem,

¹⁾ List ten był pisany przy łożu gasnącej suchotnicy, rzucony był ua pocztę na niepewne czy dojdzie, nie mógł zatem być traktatem Teologii pastoralnej.

może i szczęściem dla mnie. — Nie miałem też przygotowania praktycznego, jak się to dzieje po dobrze urządzonych seminaryach, gdzie każą uczniom mówić z kolei w refektarzu lub kaplicy wewnętrznej, wobec spółuczniów i nauczycieli. Musiałem od razu wstąpić na kazalnicę i mówić do trudnego i wybrednego słuchacza. Wprawdzie miałem już pewną wprawę do mówienia, na rozmaitych zebraniach radzących; co mi było niewątpliwie wielką pomocą. I przeto nikomubym nie radził kusić Pana Boga, i bez ścisłej potrzeby wystąpić od razu publicznie, bez uprzedniej wprawy do mówienia wobec mniej licznych i znajomych słuchaczy; — zdarzyło się bowiem nie jednemu, to w ciągu kazania, już na samym jego początku, osiąść jak to mówią na koszu i zaniemieć.

Ta uprzednia wprawa potrzebna jest, choćby tylko ze względu na warunki zewnętrzne kaznodziejstwa, to jest: dla dowiedzenia się od innych, czy nie mówimy za cicho, lub za głośno, za pospiesznie, lub nazbyt powolnie, wyraźnie lub niewyraźnie. Dla dowiedzenia się czy nie ma czego rażącego w ruchach, czy one odpowiadają słowom, czy ich za wiele, czy za mało. Nie ma wątpliwości, że lepiej w tej mierze grzeszyć niedostatkiem niż zbytkiem. Wszakże rzecz to do wysokiego stopnia względna, zależna od charakteru i temperamentu rozmaitych krajowców. Włoch szczególnie południowy, gestykuluje dużo, rzuca się, chodzi tam i sam po szerokiej kazalnicy, i przysiadzie i podskoczy. Słyszałem znowu Anglika, który przez całe kazanie, trzymał prawicę pod przymkniętą sutaną na piersiach i dopiero przy domówieniu tyle się rozruszał, że kilka razy dłoń naprzód w kształcie wiosła wysunął. Powtarzam jednak, że to rzecz względna, stosownie do usposobienia słuchaczy i samegoż kaznodziei, a mianowicie stosownie do stopnia jego podniesienia, nie retorycznego i udanego, ale rzeczywistego i wewnętrznego. Byle ruchy odpowiadały słowom, nie spóźniając się i goniąc niezgrabnie za niemi, byle odpowiadały rosnącemu wzruszeniu i mówcy i samychże słuchających; razić ich pewno nie będą; — przymus, gwałt zadawany sobie w tej mierze mógłby najprzód

¹⁾ Nie tak chłodno mawiają polityczni mówcy Angielscy, bo zwykle nie mawiają na czczo, a Xeres, Porto, albo Marsala dodają im ognia południowego.

ostudzić samegoż kaznodzieję, a następnie słuchających '). **Prawda**, prawda przede wszystkim! Modnisie światowi za najwyższy tryumf sztucznego ułożenia uważają naśladowanie **prawdy**: niechże w kazaniu, bez takiego podrzeźniania naturalności, w miarę ważności treści i przejęcia się nią mówcy i słuchaczy, podnosi się głos, ożywiają ruchy; a wszystko będzie doskonałe, bo będzie prawdziwe.

Co do naszego temperamentu narodowego, choć na północy mieszkamy, bliżsiśmy daleko usposobieniem ludów Romańskich niż Anglo-Saxońskich. Wszakże i pomiędzy Polakami samymi znaczny odcień zachodzi, pomiędzy Wielkopolaninem np. i Ukraińcem.

II.

Co zaś lepiej, czy czytać kazanie, czy mówić je z pamięci, czy improwizować? Niema wątpliwości, że dobra improwizacya najskuteczniej działa na słuchających. Leży wyraźna tajemnica w sile myśli i słowa, które się na razie, że tak rzekę rodzą i niespodzianie wpadają w serca. Ale bardzo mało ludzi posiada dar improwizowania, nawet prozą; a tembardziej nie łatwo kto na dłuższą improwizacyą zdobyć się zdoła. A więc młodzi kaznodzieje, a nawet starsi, mówiąc po raz pierwszy o jakim przedmiocie, powinni kazanie spisać; z tą różnicą że młodzi i mniej wprawni, winni je całkiem wypracować, i dobrze się go na pamięć nauczyć, a wprawniejsi mogą poprzestać na ułożeniu sobie suchego szkieletu kazania, który później w ciało i barwy, mówiąc obleką. Wtenczas się łączą korzyście kazania przygotowanego, z korzyściami prawdziwej improwizacyi. Gdyby nie było innej korzy-

')

Słowny i świątobliwy kaznodzieja Sycylijski O. Lanuza S. J. podczas gdy kazał w Palermo z niezmiernym skutkiem, doniesiony został do prowincyała, że zbyt się rzuca i dokazuje na ambonie. Napomniany, a posłuszny kaznodzieja, myślał wciąż o tem, aby się poważnie na kazalnicy trzymać. Tymczasem kościół coraz się bardziej wypróżniał. Spotyka po drodze smutnego znajomego kapłan i pyta, co mu się stało, że tak zimno teraz kazał. A on na to: „co chcesz, posłuszeństwo związało mi ręce i nogi, każde teraz.” Uwiadomiony o tem prowincyał *rozwiązał* kaznodzieję, i znowu się kościół napełnił.

soi z pisania okroili uporządkowania w całość przedmiotu, i uniknienia niezbędnego nieładu, i powtarzać się, u mówiących bez uprzedniego przygotowania; jużby dlatego samego, i głównie pisać wypadało: bo z kądinąd nie taję, że styl zbyt wypracowany, może bawić ciekawość, ale zamiast pomagać do poruszenia, przeszkadza nieraz i oziębła słuchaczów. Jest wszakże i inna korzyść w spisywaniu kazań. Jeżeli zauważymy, że tacy kaznodzieje jak Bourdaloue, Skarga, Bossuet, rzadko bardzo mają dwa, a tem bardziej więcej kazań o jednym przedmiocie, a jednak przez całe życie swoje kazywali; widoczna więc, że kazania ich nie od razu takimi z pod pióra im wyszły, jakie nam pozostawili, ale że je powtarzając, mniej więcej poprawiali, dopełniali, doskonalili. Wielki to powód, aby pisać co się ma powiedzieć, i mieć cierpliwość po kazaniu dodać, co na razie dał Bóg lepszego, czy lepiej powiedzieć; — wiem że tak czyni sławny O. Lacordaire, choć posiada wielką łatwość improwizowania. Nadto pamiętajmy, że z wiekiem tępieje świeżość umysłu, siła twórcza maleje, w miarę jak zmysł krytyczny dojrzewa. A i w latach pełności siły i życia, nieraz wielkie utrudzenie, niedomaganie, choćby tylko mocny ból głowy; niemożność mienia zawsze pod ręką Pisma św. konkordancyi, kornentarzów i t. p. nic pozwala kaznodziei przygotować łatwo i starannie swego przedmiotu. Wszystko zatem doradza, aby miał przynajmniej przygotowany zasób materyałów kazalniczych, tak aby w najniekorzystniejszych warunkach narażnych, mógł przynajmniej coś znośnego powiedzieć. W¹ zakonie Jezusowym, gdzie wszystko jest przewidziane i opisane, kaznodzieje muszą każdą naukę starannie wypracować i dokładnie się na pamięć nauczyć; dopiero wprawnym pozwalają, by sobie radzili, jak im najlepiej się udaje ¹⁾. Sądzę że tak być musi i po innych zakonach, gdzie jest pewien dozór z góry. Spisanie zatem kazania, przynajmniej przygotowanie przedmiotu, nie przeszkadza

¹⁾ Jeden z moich znajomych, pytał ś. p. Ojca Ryłły, Misyonarza na Wschodzie, sławnego kaznodziei włoskiego, jakie przygotowanie czynił do tak częstych kazań. Odpowiedział mu: „kiedy mam mówić pół godziny, wypalę jedną lulkę tytoniu, chodząc i myśląc, kiedy godzinę, dwie, kiedy dłużej, trzy.” Nie każdemu by jednak takie przygotowanie starczyło.

bynajmniej improwizacyi (u kogo jest zdolność po ternu), ale ja tylko, że tak powiem, kanalizuje; nie pozwala, by się za koryto logiczne przedmiotu zbyt rozlewała. —• Czytane kazanie, mniej robi wrażenia na słuchających, i giest jednej tylko ręki zwykle monotony, często słowom nie odpowiedni. Ktoby jednak od razu nieśmiało się odważyć mówić z pamięci, niech ma przed sobą rękopis, i tylko w razie potrzeby do niego zagląda, a stopniami wprawi się do obycia się bez niego całkowicie.

HI.

Przechodzę teraz do rozmaitych rodzajów kaznodziejstwa i liczę ich aż pięć: 1. nauki katechetyczne. 2. homiletyczne." 3. właściwe kazania. 4. konferencje i 5. nauki rekolekcyjne.- O każdym z tych rodzajów, choć pokrótce, na ile mnie stać, chcę powiedzieć.

1. Nauki katechetyczne są najważniejsze, bo dla wszystkich potrzebne; a znajomość pewnej liczby prawd wiary, niezbędna jest do osiągnięcia zbawienia. Tą drogą prawda się przedziera do dusz dzieci i prostaczków mianowicie, choć i u najoświecieńszych, trudno zastąpić potem brak uprzedniej nauki katechistycznej, jak to u nas się widzieć, i czuć bardzo daje. Wielu naszych pisarzy ma się za religijnych, uważa za obelgę i niechęć osobistą, kiedy kto wytknie najłagodniej grube ich usterki, i wyraźne błędy dogmatyczne, w które co chwila .popadają; dlaczego? bo katechizmu za młodu nie umieli, a w^ dojrzalszym wieku, już to lenistwo, już miłość własną^prze^zkadzają do zaradzenia temu niedostatkowi.

Dtopgki wiara powszechnie panowała w społeczeństwie, można się było przy niej utrzymać, na podstawie pierwszego zasobu wyniesionego z domu rodzicielskiego, który się pomnażał następnie w szkołach i na uniwersytetach. Ale dziś gdy często ojciec nic nie wie, i nie wierzy, a matka choć wierzy, nie wiele wie sama; kiedy szkoły albo nie katolickie, albo katolickie tylko z imienia; kiedy w nich jest wykładana, raz, dwa w tydzień religia (za naszych czasów *nauką moralności* zwana) jak wszelki inny przedmiot, tylko obojętniej i czysto pamięciowo; kiedy niedowiarstwo obwiewa dziecko prawie od kolebki, i wchodzi w duszę drogą wychowania, pism, książ-

zek, rozmów: obowiązkiem jest najważniejszym kapłanów tem bardziej proboszczów, wyklądać młodzieży katechizm jak najstaranniej i w sposób najbardziej zajmujący. Najżywiej do tego obowiązku poczuło się duchowieństwo francuskie, bo też Francya pierwsza przeszła przez całkowite i urzędowe niedowiarstwo. Są tam kapłani słynni wyłącznie jako katecheci, jak gdzieindziej jako kaznodzieje w ogólności. Są tam katechizmy początkowe dla dzieci, przygotowujące ich przez lat kilka do pierwszej komunii. Są potem katechizmy *icytrwałości* dla podrastającej młodzieży, na które zwykle panny uczęszczają, aż do za mąż pójścia, a po latach kilku wracają znowu na początkowe już z dziatekami swojemi. Kapłani parafialni starają się te katechizmy uczynić zajmującemi, przytaczając powieści z Pisma Św., z żywotów Świętych, budujące nawrócenia i wypadki społeczne; przeplatają nauki muzyką i śpiewem; nakazują wypracowania, analizy i t. p. Są konkursy, nagrody, popisy publiczne katechizmowe ¹⁾. Wprawdzie chłopcy zajęci naukami, pracą zarobkową, lub służbą publiczną, nie tak licznie jak dziewczęta uczęszczają na katechizmy po odbytej pierwszej komunii św.; ale i dla nich są osobne konferencye, nabożeństwa wieczorne i t. p. Słowem, katechetyka stanowi we Francyi osobną i bardzo ważną gałąź kaznodziejstwa. Przełożeni głównego seminarium w Paryżu nie posyłają kleryków nawet czteroletnich na kazalnicę katedralną, jak się to u nas niestety! (może z potrzeby, a może czasem z lenistwa starszego duchowieństwa) dzieje, ale posyłają ich do parafii św. Sulpiciusza, do wykładania katechizmu. To też we Francyi, pomimo tylu czynników niereligijnych, wiara się pomnaża, i gdzie niewiasta jest wierząca, tam i obyczaj w domu surowy, i prawdziwie chrześcijański. We Francyi każdy jest świadomo i konsekwentnie czem jest, wierzącym lub niewierzącym; nie spotkać tam tak powszechnej u nas, jakiejś uczuciowej, tradycyjnej, wodnistej religijności, przy której, i pomimo której, pogląd na rzeczy, rozmowy, i postępowanie nieraz niechrześcijańskie; a głównie z braku dokładnej znajomości pierwszych zasad wiary.

¹⁾ W Rzymie kto pierwszą nagrodę otrzyma z katechizmu, dostaje nazwę *Imperatora*, jako taki daje posłuchania pobożnym ciekawym, otrzymuje od nich pochwały i upominki.

Niektórzy kapłani sądzą, że mogą korzystniej użyć czasu inaczej, na chwałę Bożą, i korzyść dusz, nie zajmując się katechizmami; może to być absolutnie, ale bardzo rzadko. Z kazań uczonych i świetnych korzyść bardzo niepewna; z katechizmów, niewątpliwa. Tu miejsce powiedzieć ze Zbawicielem, i tamto czynić i tego nie zaniedbywać, bo się te dwa rodzaje pracy apostolskiej bardzo dobrze pogodzić mogą. Kapłan nie potrzebuje przygotowywać się długo, albo całkiem do katechizmu, więc może nań każdą godzinkę czasu wolnego obrócić.

Pamiętajmy zawsze, że Chrystus Pan zajmował się dziećmi ze szczególną miłością. Owszem uczenie ich, było zapowiedzianym znakiem Jego Messyańskiego posłannictwa, jak to sam zatwierdził mówiąc: *Duch Pański nademną opowiadać ewangelią ubogim posłał mię* (Js. 4. Łuk. IY. 18) i posłom. Janowym, pytającym, czy On jest onym *oczekiwanym*, odpowiedział: *Idźcie, prawi, odnieście Janoici, coście słyszeli i widzieli, ubogim eioangelia jest opowiadana* (Łuk. VII. 22). O! jeżeli w krajach, w których już duch religijny ostygł, tyle jeszcze można wskórać staranną dusz uprawą, a mianowicie młodzieży; czegożbyśmy nie dokazali u nas, przy niewątpliwem uczuciu religijnem! A mamy już pod ręką dobre katechizmy i mniejsze, i większe, i przetłumaczony katechizm wytrwałości Ks. Gaume. Wiem wprawdzie, że w waszej archidiecezyi duchowieństwo jest powszechnie tak mało liczne, że przy najlepszej woli proboszcz niewiele może czasu znaleźć na katechizmy. To też radzę tak postępować jak w Rzymie w Niedzielę i święta po parafiach czynią proboszczowie. Przed nieszporem zbierają dzieci, dzielą je podług płci i wieku na rozmaite oddziały, każdemu z nich przewodniczy i powtarza jeden, lub jedna z dojrzałych i zdolniejszych; a proboszcz przechadzając się pośrodku, słucha, poprawia, wyrzywa dzieci. A że do waszych parafii należy zwykle więcej wsi i dworów, tak że nawet w Niedziele letnie, całej dziatwy do kościoła zebrać nie można, trzeba do pomocy w każdej miejscowości uprosić jaką pobożną niewiastę, które zwykle takiej posługi nie odmawiają. Z takich to dziesięcioletnich katechizmów wiejskich powstał *Dar Boży*, zdaniem uaszem najprzystępniejszy z katechizmów dla dzieci i ludu; a tak zupełny przy swojej treściwości, że i osoby dojrzałe

i oświecześnie, z korzyścią go wartować mogą. Księża proboszczowie, odwiedzając chorych, objeżdżając z kolędą, niech przesłuchają dzieci w każdej miejscowości, dla przekonania się, jak są uczeni, i ile się nauczyli. Niech nie przypuszczają dzieci do 1-szej spowiedzi, a mianowicie do 1-szej komunii św. ¹⁾ aż się nie przekonają, że umieją rzeczy potrzebne; a następnie przed daniem ślubu, niech słuchają nowożeńców, (jak się po wielu krajach z wielką korzyścią dzieje), czy nie zapomnieli tego, czego się byli za młodu nauczyli. Nie można by dosyć mówić o ważności katechizmów, ale czas już przejść do napomknięcia o innych rodzajach kaznodziejstwa.

2. Po katechistycznych, najważniejsze są nauki homiletyczne. t. j. wykład Pisma Św., a mianowicie ewangelii i lekcji, które kościół św. na każdą Niedzielę i święto w roku przepisuje. W pierwszych wiekach kościoła, Homilia była prostym komentarzem na Pismo Św., bez oglądania się na całość, i ciąg nauki. W średn. ch. wiekach św. Tomasz z Akwinu, w swojej *Catena aurea* ²⁾ wyjątki z Ojców kościoła ułożył w porządną całość. Odkąd jednak w naszych wiekach *nowożytnych*, ze zwrotem do wzorów pogańskich, nazwyczajono się do kazań ułożonych podług wszelkich prawideł retorycznych (tak iż tylko jedna prawda lub tajemnica całą naukę zajmuje): homileci powinni się starać, o ile tylko przedmiot pozwala, ująć swój wykład ewangelii w pewną porządną całość; szczególnie kiedy mówią do wykwińniejszych słuchaczy. Najlepiej poczną sobie, jeżeli w pierwszej części, objaśnią treściwie wszystkie punkta ewangelii, które objaśnienia potrzebują; a w drugiej wyciągną naukę praktyczną, z jednego ważniejszego punktu tejże ewangelii. Albo też jeżeli w 1-szej części dadzą wykład dosłowny, aby w drugiej odkryli znaczenie duchowe i moralne.

¹⁾ U nas zwykle jeden akt stanowią pierwsza spowiedź i komunja, nie tak w krajach, gdzie duchowieństwo jest liczniejsze. Tam do spowiedzi przypuszczają dzieci, jak skoro dojdą do dostatecznego rozbudzenia. Wczesne spowiedzią powstrzymują działości od wielu złego, i wcześniej im kształcą sumienie, tak że zwykle niewinniejszymi, i z większym przejęciem się, a następnie korzyścią, przystępują do pierwszej komunii świętej.

²⁾ Świeżo przedrukowana u Pana *Seguin*, w Awignionie — łatwiej się w nią zaopatrzyć kapłanom nawet wiejskim, niż w wielki komentarz *Korneliusza a Lapide*, na całe Pismo św.

Ze znajomych mi homiletów, najważniejszy jest niewątpliwie Ojciec Ventura, ze zakonu Teatynów. Homilie jego pod tytułem *szkoła cudów* (*Scuola dei miracoli*) i *parabole mcangieliczne*, wydane w języku włoskim, mniej są nam ogólnie przystępne. Wydał wprawdzie i w języku francuzkim *Les femmes de l'Evangile* (już bodaj na, polskie przetłomaczone) jak i inne wydać zamierza; jeżeli mu życie i zdrowie dozwoli wszystko wykonać, co ma jeszcze do wykonania. Wszakże kaznodzieje nasi, a mianowicie wiejscy, powinni bardzo z nich roztropnie korzystać, bo są rozwlekłe, teologiczne i przeciążone tekstami z Ojców; trzeba olbrzymiej pamięci Ojca Ventury, aby mózgi taki różaniec cytat, nietylko w języku własnym, ale i łacińskim bez pomyłki i zająknięcia się przytoczyć. Homilie X. Forstera, naonczas kanonika, a dziś Księcia Biskupa Wrocławskiego (wydane już i po polsku w Poznaniu) nie są właściwie Homiliami, jedno *kazaniami* z przytoczeniem tekstów z lekcji w brewiarzu zamieszczonych; wszakże są piękne, pobożne i uczące. Nasz Białobrzezski, nawet w podciętym wydaniu wileńskim, jeszcze bardzo użyteczny, i co do treści i co do języka.

3. Ważną, arcyważną rzeczą w kaznodziejstwie, jest wrócić do Pisma św. i Ojców kościoła, inaczej wierni nigdy ewangelii nie zrozumieją, i zamiast *Słowa Bożego*, posłyszają tylko *słowo ludzkie*. Do czego dziś powszechnie zeszyły kazania? O dogmat ani pytaj. Więc jaka będzie moralność nie tryskająca z dogmatu? Pewno że nie nadprzyrodzona ale ludzka, a natenczas jaki skutek w duszach sprawi? Sam słyszałem w jednym kościele katedralnym, całe kazanie wypisane z Cicerona *de Officiis*. Resztę kazania zapycha Retoryka niby poetyczna, o błękitach nieba, gwiazdach, kwiatach, wietrzykach i strumykach i t. p. Wiem, że kwiatki podobają się ogólnie słuchaczom, mianowicie młodzieży i niewiastom, bo bawią, a do niczego nie obowiązują; ale kapłan nie powinien profanować kazalnicy, lepiej mu było zostać aktorem. Ważną jest bardzo rzeczą, umieć korzystać z prac poprzedników. Nikt się nie rodzi natchnionym, każdy musi się kształcić i przyswajać sobie zasoby w ciągu wieków w kościele Bożym nagromadzone. Wszakże aby umieć korzystać, trzeba już mieć pewne wykształcenie, i trafić do dobrych źródeł. Mnie się zdaje, że tyle tylko można od innych

wziąć korzystnie, na ileby korzystający mógł sam się zdobyć przy dłuższej pracy i namyśle. Niekiedy naśladowca, przewyższy pisarza z którego korzystał; tak np. udało się Masillonowi (podług mnie przecenionemu), który opracowywał materiały mozolnie ale niesmaczno, przez jednego ze swoich poprzedników zebrane (Ojca Lejeune). Gdyby up. kto u nas, unikając złego smaku i nieładu Birkowskiego, ułożył w porządną i trzeźwą całość, bogactwa jego erudycji i samogóż języka: zyskałby niezawodnie imię znakomitego kaznodziei.

Otóż nasi kaznodzieje, ci mianowicie, którzy więcej o dogmatykę dbają, nieszczęśliwie często korzystają z prac poprzedników swoich XVI i XVII wieku; którzy głównie szermowali z protestantami, o pojedyncze zaprzeczone prawdy naszej świętej wiary. Sam Skarga połowę przynajmniej kazań swoich na to poświęca. Wtenczas to było do rzeczy, bo było pełno protestantów u nas, i wrzała walka o wiarę. Dziś ich bardzo mało, i albo już popadli w ogólne niedowiarstwo, a jeżeli jeszcze nie, do kościołów naszych nie uczęszczają. Jedyna dziś rzeczywiście ważna kwestya polemiczna, który jest prawdziwy kościół Chrystusów? Wiem wprawdzie, że u was, i o tem zaczętnie mówić nie wolno, ale możecie zawsze z pewną ostrożnością, wykladać zatwierdnie, jakie są cechy prawdziwego kościoła, a już siłą rzeczy się znajdzie, czego dowieść chcecie i co jest prawdą.

Inni zuowu wypisują z kaznodziejów przeszłego wieku, inwektywy na niedowiarków i bezbożników. Wprawdzie jest u nas jeszcze niedowiarstwo, jest go więcej niż się niejednemu zdaje, ale nie jest już ono tego rodzaju, jakie było dawniej. W końcu zeszłego wieku, i na początku obecnego, niedowiarstwo było pewne siebie i zadowolnione ze siebie. Z uśmiechem szyderskim i pogardliwym mówiło o przesądach, i starzyźnie średniowiecznej, nie wątpiąc bynajmniej, że z chrześcijaństwem się skończyło; i że tylko trzeba cierpliwości, aż i niewiasty i ciemny lud się oświeci. To też niedowiarstwo ówczesne, pewne swego tryumfu, nie znało niepokoju, wątpliwości, nie gniewało się na wierzących, bo łatwo wspaniałomyślny, kto pewien zwycięstwa. Dziś się ma rzecz odmiennie, bo wiara wraca, i to wraca przez najwyższą warstwę społeczeństwa, przez którą było wtenczas nie-

dowiarstwo przyszło. To też choć dziś jest wiele głów przewróconych fałszywym wychowaniem, złemi książkami, a szczególnie choć jest wiele niewiadomości w rzeczach wiary; jest niepokój, jest walka, jest szukanie prawdy, ale zadowolenia w nicestwie swego zwątpienia i szyderstwa (przynajmniej w wyższych umysłach) nie ma. W inny dziś przeto sposób i do niewierzących mówić trzeba, a najlepiej w sposób zatwierdny i uczący. Dla tego rodzaju umysłów, użytecznyby był rodzaj nauk konferencyjnych, o których zaraz nieco powiemy.

Za wzorowych kaznodziei uważam naszego Skargę, Scgnieri(ego) u Włochów, Forstera a z dawnych Taulera u Niemców, Bourdaloue u Francuzów i O. Ravignana świeżo zmarłego, jeżeli pisma jego już drukiem ogłoszone zostały. Najwyższym wprowadzie mówią jest Bossuet, w panegirykach i mowach pogrzebowych, ale Bourdaloue ogólnie praktyczniejszy, i sam Bossuet o nim powiedział „to nasz mistrz.” Wiem, że u nas, gdzie Massillion ogólnie się podoba nawet w swoim *Petit Careme* cukrowanym podług potrzeb dworu Ludwika XV, Bourdaloue wyda się ogólnie za ścisły, za suchy. Wiem, że za systematyczny w rozkładzie przedmiotu '), ale pomimo to zawsze ściśle teologiczny, uczący, zawsze godny i jednostajny.

4. Konferencje, o których tylko co wspomnieliśmy, jest to rodzaj nauk filozoficzno - religijnych i polemicznych; ale odpowiednio do dzisiejszych usposobień, dla ludzi, którzy nie tej lub owej prawdzie (jak dawniejsi protestanci) przeczą, ale ogólnie o wszystkim wątpią, albo raczej nie wiedzą* w co jeszcze wierzą, i dla czego nie wierzą. Ten rodzaj kazań powstał właściwie i rozwinął się w Paryżu, po ochłonięciu Francuzów z szaleńca encyklopedyczno - rewolucyjnego. Pierwszym tego rodzaju mówcą był X. Frayssinous biskup Hermopolitański. Odznaczył się poza Paryżem uczony ksiądz*

U O. Bourdaloue, koniecznie być muszą trzy części kazania, a każda część ma znowu prawie zawsze trzy podziały. Znajomy mój jeden duchowny francuzki, porównał tę formę kaznodziejską, do peruki z czasów Ludwika XIV, która się dzieliła na trzy główne piętra, a każde z nich znowu na trzy pięterka mniejsze.

dziś kardynał Wiseman (w 12' Stu naukach o zgodności umiejętności z religią), ale nad wszystkich zasłynął O. Lacordaire zakonu kaznodziejskiego. Trzeba bowiem wielkiego daru, świetnej, porywającej, trzymającej wciąż na uwadze uwagi talentu, aby zająć ludzi, którzy zwykle tylko z ciekawości do kościoła zagląдают. Zastępował wymownego Dominikana przez czas niejaki O. Ravignan S. J., choć to nie był jego rodzaj, a zastąpił go ostatecznie młodszy jego towarzysz O. Feliks muiej świetny od O. Lacordaire, ale zasadniejszy. Dotychczas w jednym Paryżu właściwie udał się ten rodzaj kaznodziejstwa, bo tylko takie wielkie miasto, może dostarczyć dostatecznej liczby odpowiednich słuchaczy; u nas nie wiem, czyby się ich dosyć w samej Warszawie znalazło.

5. Nareszcie są *nauki rekoUekcyjne*, które w pewnej całości i powiązaniu przedstawiają prawdy *wieczne* zdolne podnieść grzesznika z upadku, i przypominają tajemnice z życia Pana Jezusa, jako drogę do nowego żywota. Nauki rekoUekcyjne, podług metody św. Ignacego, dobrze przedstawiono, i sumiennie rozmyślane, są nieporównanej korzyści, szczególnie kiedy się mówi do osób, całkiem oderwanych od rozpraszających zajęć zwykłych, i skupionych w smotności. Oby co rychlej upadł u nas wszędzie zgubny przesąd, że na rekolekcje tylko Księży za karę konsystorz posyła. Oby przestano je odbywać dla czezej formy, jako kilka dni do przeziwania, i do przespania. Oby rekolekcje sumienne podwoiły gorliwość w całej naszym duchowieństwie, jak się to stało i dzieje w W. Księstwie Poznańskim, i w dyeoezyi Podlaskiej w Królestwie. Oby i wierni przynajmniej w ważnych wypadkach życia, jak np. przy wyborze stanu, gotując się do dobrej śmierci, przez staranną spowiedź z całego życia itp. korzystali z tego nieocenionego skarbu.

Radziłbym bardzo podczas odpustów i nabożeństw 40-godzinnych po kilka dni w waszej archidyecezyi trwających, jeżeli jeden kaznodzieja nie podola, niechby dwóch albo kilku rozebrało pomiędzy siebie nauki rekolekcyjne przeplatane katechizmami; a wtenczas lud odejdzie, i nawrócony i nauczony. Nauki bowiem rozszyte, nie trzymające się jedna drugiej, choćby najlepsze, nie wielkie, i zwykle tylko chwilowy, i przemijający skutek sprawują.

Mowy pogrzebowe tak są u nas zagęszczone, tak zwykłe i powszechne, iżby o nich mówić można, jako o osobnym rodzaju zwykłego kaznodziejstwa; gdyby wolno było nadużycia preskrypcją przyznać. W reszcie świata katolickiego częściej mowami pochwalnymi w kościele tych duchownych lub wiernych, którzy wielkie zasługi w kościele lub narodzie położyli, i doszli do wyższego stopnia doskonałości chrześcijańskiej. U nas rodzina każdego zmarłego obywatela uważałaby się za schائبą, gdyby katafalk nie był okadzony mową pochwalną jak kadzidłem. Do wydatku pogrzebu tak liczą honorarium za mowę pogrzebową, jak za воск i świece. Biedny Ksiądz miejscowy, pod parciem nieraz kollatora, lub jego rodziny i potężnych parafian, nie śmie odmówić tej posługi, i ma tak pod ręką formularz do mowy pogrzebowej, jak do innych świąt w roku. A że tych doskonałych chrześciau zawsze, tem bardziej za naszych czasów mało jeszcze; więc te najemne pochwały, śmiech, a niekiedy i oburzenie wzbudzają w słuchających. Bossuet za czasów Ludwika XIV, wiele, bo ośm czy dziewięć mów pogrzebowych w całym życiu powiedział. O Lacordaire, ile wiem, dwie czy trzy; a iluż to naszych kaznodziei, nie wychodząc ze swojej diecezji lub prowincji zakonnej, powiedziało ich już po kilkadziesiąt.

Wiem, że nadużycia gwałtownie znosić nie można; wiem, że do zwyczaju każdego kraju, ile można bez grzechu stosować się potrzeba.

Otóż ponieważ u nas pod świeżym wrażeniem dusze skłonniejsze do przyjęcia słowa prawdy, a na pogrzeb sąsiada liczniej się zjeżdżają, niż na największe święto; radziłbym, korzystając z położenia, zwyczajów i okoliczności, postępować jak Skarga, mało mówić o zwykłych zmarłych, a wiele o śmierci i gotowaniu się do niej przez dobre życie. Tak choroba mów pogrzebowych . może się dla wielu w lekarstwo obrócić. Byłoby do życzenia, aby duchowieństwo parafialne, zostawiło sąd biskupowi, czy wypada z kazalnicy wychwalać życie danego zmarłego, biskup wyższy położeniem, daleki od nacisku miejscowego, mógłby bezstronniej osądzić, i zasłonić biednego kapłana od przymusu chwaleń zmarłych, w których nic do pochwalenia nie ma.

IV.

Po tem wszystkim, cośmy dotychczas powiedzieli o warunkach i przymiotach zewnętrznych, jak i o różnych rodzajach kaznodziejstwa; dodamy na koniec cokolwiek o duchu wewnętrznym i tajemnicy dobrego i płodnego opowiadania słowa.

Otóż kaznodzieje powinni przedewszystkiem pamiętać, że nie opowiadają słowa *swego*, ale słowo *Boże*, że nie opowiadają siebie, ale Chrystusa Pana. I przeto nie powinni zajmować się sobą, ale duszami, do których mówią, podług ich potrzeb, stopnia wykształcenia i usposobień. Wciąż się brzydzić jako grzeszną zalotnością i yjdzajem świętokradztwa, popisywaniem¹⁾ się wszelką świecką retoryką i ludzkim mędrkowaniem, co apostoł nazywa *pochlebnemi słówkami ludzkiej mądrości* (1. Corinth. 11. 4.). Wiemci dobrze, wiem z osobistego doświadczenia, że Bóg nieraz posługuje się najniegodniejszymi narzędziami dla dobra dusz, które chce nawrócić albo uświęcić; ale wiem także, że prawdziwy zwykle jest pewnik, że *nikt tego innym nie da, czego sam nie posiada*. Aby w innych obudzić wiarę, trzeba ją mieć i żywą, aby zapalić w sercach bliźnich miłość Pana Boga, trzeba nią płonąć; aby przekonać, trzeba być przekonanym. Czują dobrze słuchający, czy to, co kaznodzieja im poleca, jest w nimże samym prawdą i życiem, a tem więcej skutku wyrze kaznodzieja, jeżeli słuchający będą przekonani, że on więcej czyni, niż od nich wymaga. A zatem życie niepokalane, i pełność Ducha Bożego, stanowią przedewszystkiem apostolskiego kaznodzieję. Więc co do treści każmy mądrość Bożą, podług nauki Ducha św. (Corint. 11 Z. 13.) a co do sposobu mówmy przedewszystkiem w okazaniu *ducha* i *mocy* (Coriuth. 114), a zresztą z godnością, z prostotą, ale bez prostactwa. ¹⁾ Z namaszczeniem i wdziękiem, odpowiednim rzeczy pamiętajmy, że te dwa przymioty, *wdźwięk* i *sila*, dawały szczególną cechę i stanowiły wybitne piętno kaznodziejstwa Chrystuso-

¹⁾ Lud lubi kiedy mu każą w przystępnym i zrozumiałym języku, ale nie lubi kiedy kaznodzieje podrażniają niejako jego język, niewolniczo go naśladować.

8
wego. Czytamy bowiem w ewangelii, *iż się wszyscy dziwowali nad nauką jego*, albowiem nie była jako piśmienników i faryzeuszów, *ale w mocy* (t. j. pełna mocy) *była mowa jego* (Łuk. IV. 32.) I znowu, *że się wszyscy dziwowali słowom łaski* t. j. pełnym wdzięku płynącym z ust jego (Łuk. IV. 22).

Oto niewątpliwe warunki dobrego kaznodziejstwa. Ponieważ wszelka piękność rzeczywista i duchowna, z *icewnątr* płynie, jak skoro kapłan będzie człowiekiem modlitwy i miłośnikiem dusz krwią Chrystusową odkupionych; słowo jego znajdzie odpowiednią formę, i godne wyrażenie i ruchy stosowne; będzie dobrze kazał, a co więcej będzie grzeszników nawracał, a sprawiedliwych do coraz wyższej doskonałości pociągał.

Tyle niech starczy o kaznodziejstwie. Mamy teraz przejść do trudniejszej umiejętności, spowiadania, kierowania, wychowywania słowem, Bogu dusz.

V.

Przystępuję ze drżeniem do tej drugiej części mojego zadania, nieporównanie trudniejszej od pierwszej. Kierowanie duszami jest to umiejętność nad umiejętnościami *ars artium*. Jest to kaznodziejstwo nie już publiczne, (z którego każdy bierze co mu potrzebne), a nadto będące pod nadzorem władzy, ale nauczycielstwo każdej duszy pojedynczo wziętej, powagą z góry, i pod okiem Boga samego, sprawowane; a przeto każdy błąd, każda pomyłka kapłana, *sędziego, lekarza, mistrza*, może stanowić o losie wiecznym duszy, i dziecka duchownego, i samego ojca.

Chwała Bogu za dar pokory, jaki Ci daje: mógłbym nawet dziwić się, żeś do mnie się zgłosił. Masz więcej nauki odemnie, wszystko, czegoś się nauczył, świeżo Ci jeszcze w pamięci; ja w tem niższy od Ciebie, mam za sobą tylko kilkanaście lat więcej doświadczenia kapłańskiego. Ale nie mogę zaprzeczyć, że jak do leczenia ciał teoria sama nie wystarcza, tak nie wystarcza tembardziej do leczenia dusz i praktyka bodaj czy nie ważniejszą stanowi część tej umiejętności. To Cię zapewne pobudziło do zgłoszenia się do mnie, to mnie ośmiela do odpowiedzenia Tobie, o ile, w jedaym liście, w przedmiocie Jak niezmiernym odpowiedzieć można.

Obym choć ważniejszych punktów trafnie dotknął, i podał pewne prawidła, jako wytyczne w tej łatwo błędnej drodze!

Mówmyż naprzód o *spoiviedzi* samej, a potem powiemy o dyrekcyi. Co do pierwszej części, z góry Cię ostrzegam, powiem pełno rzeczy całkiem Ci niepotrzebnych, bo aż nadto dobrze znanych. Ale ponieważ wywołałeś ten drugi list, pozwól, że go umieszczę w jakim piśmie kościelnem; w nadziei, że może te uwagi zdadzą się któremu z młodszych naszych spółbraci. —

Pamiętam, jaką szkodę poniosła dusza moja w pierwszej młodości, w skutek pośpiechu i niestaranności spowiedników. Spowiadałem się dzieckiem w szkołach, spowiadałem młodzieńcem w uniwersytecie; nigdy mnie spowiednik 0 nic nie zapytał, nigdy słowa upomnienia i nauki nie dał, I pomimo różnej ważności i liczby grzechów, zawsze naznaczył trzy Zdrowaś Marya za pokutę, i dawał rozgrzeszenie. Był to zwykle zakonnik zaproszony do tej posługi, który tylko myślał, jakby coby prędzej dojść do końca, z taką rzeszą penitentów. I jaki był tego skutek dla mnie w szczególności? Oto, że choć mnie Bóg, (jak później zrozumiałem) wyraźnie do siebie pociągał, pobudzał wewnętrznie, i jam się brał do dłuższej gorętszej modlitwy; pozbawiony nauki, rady, kierunku, znowum odpadał w dawną letniość. Gdybym był spotkał prawdziwie ojca duchownego, byłbym już wtenczas zapewne, zrozumiał powołanie Boże, do służby Jego; uniknął wiele złego, miał mniej do naprawiania, zapomnienia, uczenia się i nabywania.

Otóż w skutek drogo opłaconego osobistego doświadczenia, uważam za pierwszą i niebezpieczną wadę w spowiedniku *pospiech*, (bo już przypuszczam dostateczne wykształcenie naukowe, i nawet pewną gorliwość o dobro dusz krwią Chrystusa Pana odkupionych). Niektórzy się *spieszą* ze źle zrozumianej gorliwości, aby jak największej liczbie dusz usłużyć, nie myśląc, że i im wszystkim, i sobie samym niezmiernie szkodzą. Wiemci dobrze, że przy tak małolicznem duchowieństwie, a natłoku spowiadających się, już to spowiedzią Wielkanocną, już na odpustach, niepodobna tyle czasu i starania poświęcać, ileby mógł kapłan mający tylko kilka pobożnych dusz do prowadzenia; ale jednak trzeba tyle dać czasu i zachodu, aby grzesznik odszedł usprawiedliwiony

rzeczywiście, a nie oszukany. Lepiej jednego penitenta dobrze wypowiadać, niż dziesięciu źle. Za tych, których nie zdążymy wypowiadać, nie odpowiemy przed Bogiem; odpowiemy za każdego, którego źle wypowiadamy. A i im samym najgorszą usługę oddajemy. Boć gdyby nie zdążyli tą razą dobrze się wypowiadać, mieliby tylko niedogodność szukania nowej sposobności ; ale wiedzieliby, że są w grzechu że są chorzy, szukaliby lekarza i lekarstwa, tymczasem źle, wypowiadani odchodzą z przekonaniem, że są zdrowi na duszy, przyjmują Ciało Pańskie, na grzechy niespowiadane lub nieżałowane, i z których już nigdy może spowiadać się nie będą; a wtenczas bez szczególnego ostrzeżenia Bożego, bez dobrej spowiedzi z całego życia, w ciągu życia czy pod jego koniec, są na drodze potępienia.

Jakże pogodzić tę potrzebę wypowiadania wielu, z obowiązkiem wypowiadania dobrze? Oto przez *pytania* kładzione trafnie i ostrożnie penitentom. Naprzód spowiednik, ze sposobu spowiadania się, może odgadnąć stopień oświaty i nauki katechizmu ¹⁾• Jeżeli widzi, że ma z nieukiem do czynienia, niech, nie tracąc czasu, nie pozwalając by opowiadał w sposób długiej powieści swoje grzechy, pyta z kolei o przekroczenie przykazań Bożych, kościelnych, dopełnienie lub niedopełnienie obowiązków stanu i t. p., o liczbę każdego grzechu, lub czas trwania w jakim nałogu, niech się potem zapewni, czy zna prawdy niezbędne do zbawienia, i akty cnót teologicznych, a jeżeli nie, lub niedokładnie; niech pierwsze wyłoży (polecając nauczyć się lepiej do następnej spowiedzi) drugie każe za sobą powtórzyć, a zapewniwszy się o szczerości żalu, niech rozgrzeszy, nie odsyłając aż się nauczyc; bo albo odeszle do drugiego, który podobnie nie zechce sobie zadać pracy, albo co prędzej odeszle do kogo,

¹⁾ Spowiadając w Krakowie, spotykałem wieśniaków i wieśniaczki tak dokładnie spowiadających się, jak we Francji, z określeniem rodzaju grzechu, przytoczeniem okoliczności, zwiększających lub zmniejszających ważność winy, liczbę każdego grzechu i t. p. spytałem się ich, z jakiej byli parafii i następnie wiedziałem bez pytania z kąd przychodzili; pochodziło to ztąd, że X. proboszcz zadawał sobie pracę osobiście, i starannie katechizm wykladał.

który o uic nie pytając rozgrzeszy. Błogosławiony Leonard de porto Maurizio, Reformator, sławny Missyonarz włoski zeszłego wieku, powiada (i daje ku temu schemat), że w ten sposób podejmuje się wysłuchać spowiedzi z całego życia w dwadzieścia minut; istotnie można to uczynić z grubego, to jest wydobyć grzechy śmiertelne, kiedy niezachodzi zawikłanie kwestyi restytucyi i t. p.—Nieuków więc pytać trzeba—trzeba pytać dzieci, wszakże z wielką ostrożnością, mianowicie panny, aby czasem dowiadując się o złem popełnianem, nie nauczyć jeszcze nieznanego. Niestety! niewinność zupełna rzadsza jest, niż się powszechnie pobożnym i troskliwym matkom zdaje. Choćby zgorszenie nie przyszło od ludzi, od towarzyszek, od sług; szatan, i zepsuta przyroda, uczą nieraz dziwnie wcześnie tajemnic nieprawości. Ale że znowu niewinność zupełna spotyka się daleko częściej, niż się ludziom zepsutym zdaje, zdaleka tylko i stopniowo, z wielką przyzwoitością wyrażać można. Wtenczas dusza niewinna nie zrozumie nawet o co chodzi, odpowiedzi jej rychło to pokażą. Gdyby jednak była niepewność i niebezpieczeństwo możebnego zgorszenia, lepiej zaniechać, choćby też grzech materialny pozostał w duszy.

Ważny jest zapewne rachunek sumienia, a u spowiadających się raz do roku trudny, i prawie niepodobny; ale tę ważność powszechnie u nas, niewiasty szczególnie przesadzają, że szkodą innych warunków niezbędnych do dobrej spowiedzi. Tak się nim trudzą*, że bezsenną i gorączkową noc jedną, albo i kilka poprzedzających spowiedź przepędzą. Nie dziw przeto, że częściej spowiedzi się lękają, sądząc, iżby często przez podobne tortury przechodzić trzeba; a co gorsza, tak są strudzone i wyczerpnięte na duchu, że już nie mogą zdobyć się na żal prawdziwy, i działania łaski w duszy zrozumieć nie umieją. —

A przecież rachunek sumienia dla odbywających go codzień, dla spowiadających się częściej jest bardzo łatwy; jest to poprostu zesumowanie przewinień, które się już zapamiętało, w celu oskarżenia w następnej spowiedzi. Dla spowiadających się rzadko, dla nieuków, spowiednik może być wielką pomocą, może być wszystkim; ale czego spowiednik dać nie może fchoć może być pomocą i pobudką), to

żału prawdziwego; bez którego najdokładniejsze wyznanie grzechów na nic się nie zda.

Otóż to drugi punkt zdaniem mojem bardzo ważny, na który wierni u nas, a może i spowiednicy nie dość baczności dają. Wierni biorąc dosłownie wyrażenie, że trzeba opłakiwać grzechy, silą się na łzy fizyczne. Niewiastom nietrudno to przychodzi, a i mężczyznom, jeżeli szczególniej zaglądną często do butelki, za łada wzruszeniem, łzy z oczu gradem lecą. Dobre są łzy, kiedy pochodzą z ducha skruszonego, ale nie są konieczne. Dusza skruszona płakać może niewidomie; zwykle żal bardzo głęboki niemy jest, suche ma żrenice. Otóż powszechnie wierni zajęci ucieraniem łez, myślą, że mają żal bardzo żywy, a tymczasem te łzy są często czysto ludzkie, i z pobudek przyrodzonych pochodzące; a które przeto nie usprawiedliwiają człowieka. Kto żałuje dla tego, że grzech przyprawił go o utratę zdrowia, majątku, dobrej sławy i t. p., jeszcze nie ma żalu prawdziwego; bo tylko żal nadprzyrodzony, ze względu na Boga (najwyższe dobro) obrażonego, usprawiedliwia człowieka, a im więcej miłości w tym żalu, tym lepszy. Otóż spowiednicy powinni uczyć wiernych, i pilnować przy spowiedzi, i pomagać im, by się za łaską Bożą zdobyli na żal prawdziwy, nadprzyrodzony. Odprawianie od kofessyonału kogo, dla tego, że niewiadać w nim znaków prawdziwego żalu, bez zadania sobie uprzednio pracy do obudzenia go w nim, jest bardzo niebezpieczne, a złajanie głośnie, trzaśnięcie drzwiczkami ¹⁾, ciężko jest grzeszne ze strony spowiednika; bo tak odprawieni często nie prędko wrócą, niekiedy ledwo w godzinę śmierci zdobędą się na nową spowiedź, niektórzy nigdy; otóż krew, t. j. potępienie takich dusz obryzga spowiednika niecierpliwego i gbura.

W duchowieństwie francuzkiem wkradł się był zwyczaj

¹⁾ Mówię o trzaskaniu drzwiczkami, choć nie wszędzie u nas kofessyonały do spowiadania niewiast, opatrzone drzwiczkami i kratą metalową tak gęstą, by ani spowiednik penitentki, ani ona spowiednika twarzy rozróżnić nie mogła. Starajcie się mieć takie kofessyonały, bo ani nam zbyt bezpiecznymi być nie wolno, ani wystawiać na niebezpieczeństwo osoby słabe na duchu. W Rzymie, i kobiet chronicznie chorych niewolno w domu, i w łóżku nawet leżących spowiadać, bez deski opatrzonej taką kratką nieprzejrzystą.

(zaraza Jansenizmu) odkładania rozgrzeszenia każdemu, który się od kilku miesięcy nie spowiadał; choćby też przedstawiał wszystkie warunki dobrego usposobienia. Co się czyni z konieczności z nałogowymi a niepoprawnymi grzesznikami, to niejako za stałe prawo postępowania byli przyjęli z niezmierną dusz szkodą. Bo często robotnicy, służący, odsyłani tak długo bez rozgrzeszenia, w końcu całkiem spowiadać się przestali. Wszakże wpływ teologii św. Alfonsa Liguorego, *(którego się trzymać z bezpiecznem sumieniem można, jak zapewnił Grzegorz XVI.)* upowszechnionej przez dzieło kardynała Remeńskiego wydane w języku francuskim (i na polski w Warszawie przetłumaczone), tudzież O. Goury S. J. Scavini(ego) i innych rygorystów francuski już prawie wyniszczyły. Dałby Bóg, abyśmy mogli od spowiadających się otrzymać to wszystko, czego św. Alfons wymaga. Tak dziś mało wiary, i szlachetności dla Boga w powszechności wierzących, że powinniśmy naśladować całą wyrozumiałość i łagodność Chrystusową, bylebyśmy byli pewni, że trzymamy się zasad kościoła rzymskiego. O! starajmy się, każdego, którego Bóg nam przysłał, dla Boga pozyskać. Nieraz udaje się najbardziej nieusposobionych cierpliwością, serdeczną nauką, najlepiej usposobić. A jeżeli na razie kogo rozgrzeszyć nie możemy, odprawmy go z taką uprzejmością, aby nie miał trudności wrócić po raz drugi.

Jakkolwiek przed naznaczeniem pokuty i rozgrzeszeniem, dobrze jest nauczyć grzesznika i podać mu środki już do walczenia swoich namiętności, już do nabywania cnót, wszakże ponieważ toby nas przerzuciło do drugiej części naszego zadania, (bo nauka należy już do dyrekcyi dusz, i bez nauki spowiedź może być dobra i ważna) powiemy wprzód nieco o pokucie sakramentalnej.

Wiemy dobrze, że pokuta sakramentalna, nieporównanie więcej jest zadośćczynna, od pokut, które sami sobie nałożyć możemy; a jednak powinniśmy się stosować do ducha kościoła, który po przejściu pierwszych wieków gorliwości, dbając o to głównie, by dusze od potępienia zachować, nie nakłada pokut, któreby całą karę doczesną za grzechy należną zmazały, i owszem ułatwia środki wypłacenia się Bogu odpustami. Nie można przeto chwalić metody nakładania ciężkich i długich pokut przy spowiedzi, które powszechnie

nie otrzymują zamierzonego skutku, i obciążają tylko sumienia pokutników, którzy ich nie dopełniają. Naznaczyć młodej osobie pokutę na rok cały, choćby niezbyt ciężką, jest to samo co wystawić ją na niedopełnienie jej przynajmniej w znacznej części, i odstręczyć od spowiedzi. — Czyby nie lepiej było, przepisać pokutę aż do następnej spowiedzi, co by właśnie penitenta pobudzało do jej przyspieszenia? Obarczyć kogo długami pacierzami i modlitwami z książki, jest to samo, co wystawić go na odmawianie ich z niechętnem ziewaniem; tymczasem zobowiązanie do poświęcenia choć kilku minut tylko co wieczór na rachunek sumienia, i nie przeciąży, i niezmiernie większą korzyść przyniesie od długich pacierzy. Niestety! i tu już się nieraz odbija osobistość spowiednika. Spowiednik zwykle nakłada to, co sam czyni i za lepsze uważa. Ma więc pewną receptę ogólną, jak owi lekarze empirycy, którzy wszystkich chorych i wszelkie choroby jednym lekarstwem jeżeli nie leczą, to kuszą się przynajmniej leczyć.

Słyszałem jedną penitentkę mówiącą: „mój ojciec bardzo dobry, ale chciałby aby wszyscy, jak on sam, chlebem i wodą żyli, i jeszcze dyscyplinę brali.”

Otóż nabożeństwo dość jeszcze powszechnie pokładają, na długich pacierzach i modlitwach ustnych, (gdy tymczasem daleko jest ważniejsza, choć krótsza modlitwa myślna, jak poniżej powiemy); i na ostrościach cielesnych. Bynajmniej ja ich nie potępiam ani odrzucam, owszem powiadam fakt niewątpliwy, iż nikt się nie uświęcił, kto w pewnej mierze i ciała nie umartwiał. Jako środek poskromienia namiętności jeszcze nieumiartwionych są one niezbędne; ale i tu jeszcze baczyć trzeba na czasy, osoby, i chwile stosowne. Niewątpliwą jest rzeczą, że nowe zakony, coraz mniej ostrości obowiązkowych wprowadzają; reformujące się zakony muszą cierpieć pewne zwolnienia co do trapienia ciała. Dla czego? bo zdrowia powszechnie podupadły. W klassach wyższych mnóstwo najszczerzej pobożnych osób, nie może dopełnić przepisanych postów kościoła, i musi żyć dyspensami; jakże tu nakładać jeszcze dodatkowe umartwienia, bez wielkiej roztropności i miary. Zresztą, ostroście szczególnie dla początkujących są niebezpieczne dla duszy samej, bo żywią ukrytą miłość własną (tę myśl, że są czemś lepszym od in-

nych), a całą podstawą życia duchownego jest właśnie wojna nieubłagana przeciwko miłości własnej, aż do jej umorzenia, a przynajmniej przetrącenia i zbezładnienia. Ważniejsze są zatem umartwienia ducha, próżności, ciekawości, światowości i t. p. — Pozwól, że w tym przedmiocie przytoczę znakomitą powagę, sławnego mistyka i kaznodziei zakonu św. Dominika, Jana Taulera; w kazaniu na pierwszą Niedzielę po Trzech Królach ¹⁾, mówiąc o *doskonale nawróconych* (w których duszy Bóg się narodził), pyta się „czy nie powinien on się ćwiczyć w uczynkach pokuty, i czy nie staje się winnym niedbalstwa zaniedbując ich? Wszystkie te uczynki jako: czuwanie, posty, łzy, modły... sypianie na twardym... są nam przepisane, albowiem ciało i zmysły w ciągłym są buncie przeciwko duchowi i że ciało nad nim przemaga. Trwa przeto między nimi walka i bójka nieustanna. Ciało tu na ziemi jest bardzo pyszne ze swojej siły, bo jest że tak rzekę, u siebie w dumie, albowiem ziemia jest jego ojczyzna, i świat mu posiłkuje. Wszystko tu się sprzysięga na jego korzyść, przyjaciele, jedzenie, picie, wygodki życia,—wszystko to jest przeciwko duchowi, który na tym padole w wielkiej się nędzy znajduje. Ale ma on w niebie swoją rodzinę, swój ród, i swoich przyjaciół; dla znalezienia ich dość mu zwrócić ku niebu swoje myśli, i osadzić tam swoją ojczyznę. Otóż dla wsparcia go w jego nędzy, dla osłabienia ciała i przeszkodzenia by nie przemogło, w tej walce nad duchem, nakłada mu się wędzidło pokuty, aby się duch mógł mu odejmować i trzymać go w jassyrze pod swoim panowaniem."

„Ale jest (powiada) węzeł i ciężar tysięcy *raz* *mocniejszy od uwięzienia i utrudzenia ciała, a jest nim miłość*, i ten też właśnie najtrudniej znosić. — Miłość to główny prze-
<l-

¹⁾ *Sermons de Jean Tauler, le Docteur Illumine, traduit de l'Allemand par Mr. Charles Sainte — Foi. Tome I. Paris 1855. Poussielyue — Eussand, 23. Iiue Saint-Sulpice.* Tem chętniej przytaczam Taulera, którego na razie mam pod ręką, że jego instytucje wyszły w Krakowie w przekładzie polskim, i życzę Ci je bardzo sobie nabyć, a lepiejby czytać w oryginale niemieckim, bo przekład polski, zdaje się uczyniony jest z łacińskiego, wiernego, ale rozwlekłego tłumaczenia. W rozprawach Bossueta z Fenelonem o *Ktoietyzm*, Tauler często przytaczany jako powaga niezaprzeczona.

miot skarg i wyrzutów Boga względem uas. Miłość jest podobna do wędki rybaka. Aby się ryba na nią złapała, trzeba aby się jej chwyciła, ale jak skoro to uczyni, rybak pewny że ją dostanie, choćby też od brzegu uciekła. Tak się ma rzecz z miłością, kto raz na ten żer złapany, zatrzymany jest węzłem najmocniejszym, ale ten ciężar mu lekkim. Mocą miłości więcej otrzymujemy, i czynimy skorsze postępy, niż wszelkiem trudzeniem się i ostrościami pokuty. Przy miłości znosimy i wytrzymujemy cierpliwie wszystkie próby, jakie Bóg nam zsyła i przebaczymy szczerze wszelkie złe, które nam czynią. Nic nas bardziej do Boga nie zbliża, i tyle do Niego nie przywiązuje, ile słodki węzeł miłości. Kto raz znalazł drogę miłości, już innej nie szuka, kto raz tę wędkę połknął, tak dobrze schwycony, iż nogi, ręce, usta, oczy, serce i wszystko co w nim jest do Boga należy. Jeżeli chcesz zatem zwyciężyć twoje ciało i rokoszom jego zapobiedz, nie masz ku temu lepszego środka od miłości, bo jest napisano: „miłość mocna jak śmierć, i twarda jak piekło.”

„Śmierć oddziela duszę od ciała, ale miłość odrywa ją od wszystkiego. Dusza (zraniona miłością) nie może znieść, co nie jest Bogiem, albo co od Boga nie pochodzi (dodam, lub co do Boga nie prowadzi). Najętemu taką walką, i któremu główną zbroją miłość, obojętne co czyni lub nie czyni, obojętne mu nawet, czy co czyni lub nie. Uczynki jego miłosierne korzystniejsze są jemu samemu i drugim; przyjemniejsze Bogu, od praktyk tych wszystkich, którzy chociaż wolni grzechu śmiertelnego, są jednak w niższym stopniu miłości. Spoczynek jego korzystniejszy od czynności drugiego. Chwyćże się tego lepu, i daj się na tę wędkę złapać, im będziesz mniejszym, tem wolniejszym zostaniesz. Daj uam Boże być schwyconymi i wyzwolonymi w ten sposób. Amen.”

Tak mówi Tauler żyjący w wiekach średnich jeszcze, kiedy ostroście cielesne były daleko powszechniejsze i zdrowiu lepsze. Ostatnie słowa znakomitego mistyka, przypominają mi systemat nowożytny spowiedników, wyrodzony pod wpływem utylitarnych wyobrażeń wieku, który nabożeństwo o tyle ceni albo znosi, o ile prowadzi do uczynków miłosiernych, mianowicie cielesnych, powszechnie zatem spowiednicy zapędzają nawracające się, lub gorącej się do Boga biorące dusze, do dobrych uczynków na zewnątrz. A przecież przede-

wszystkiém zabezpieczyć trzeba duszę własną. Karcenie duszy jak ciała wymaga czasu, spokoju, ostrożności, następnie pierwszym dobrym uczynkiem jest dopełnienie doskonale obowiązków własnego stanu w domu; po ich dopełnieniu dopiero, reszty czasu i sił można użyć na zewnątrz, a że świat nie ceni czego nie widzi, czego się nie dotyka, nie dla tego to, my to mamy zaniedbywać. Uczynki zaś dobre poza domem radzę polecać ile być może ukryte i prawdziwie umartwiające. Bo dzisiejszy sposób zbierania się na liczne i głośne posiedzenia, rozprawiania, pisanie i drukowanie protokołów, sprawozdań i afiszów, wyprawianie balików, koncertów, granie teatrzyków amatorskich dla ubogich, karmi tylko i rozwija miłość własną, tem niebezpieczniejszą, że pokrytą pozorami miłosierdzia i służby Bożej. Jest to sposób może korzystny w dzisiejszem społeczeństwie, ale przynajmniej początkujących nie trzeba wystawiać na taką pokusę.

VI.

Otośmy już doszli do obowiązku dania nauki penitentowi przy spowiedzi.

Tu znowu spotykamy dwie ostateczności, albo co powszechniejsza, że spowiednik nic nie powie, albo, że mówi za wiele, a nie dorzeczy. Zaraz się tłómaczę. Nauka przy konfesyjonałach nie jest kazaniem — nie wypada osoby, która już długo czekała, nim się dostała do konfesyjonału, która długo klęczała spowiadając się, nie wypada wytrzymywać na kolanach i kazać słuchać kazania. Jeżeli się nie zniecierpliwi, to przynajmniej ostygnie w duchu, i nie zdobędzie się na dobry akt skruchy. Nadto niektórzy spowiednicy mówią penitentom ustępy kazania lub przygotowanego na dzień obecny, lub na następujące święto, albo też co sobie z dawniejszych kazań przypominają; a co wszystko często nie ma najmniejszej styczności z potrzebami duszy spowiadającej się. O to właśnie chodzi, by, poznawszy stan jakiej duszy, jej zasoby i stopień szlachetności dla Boga, bacząc na jej położenie, wiek, siły i t. p. dać krótką i treściwą naukę, uczącą i budującą razem. A przede wszystkim proszę Cię! szukaj gruntu miłości własnej w twoich penitentach, odsłaniaj go im, pokazuj w czem się objawia, ucz środków i sposobów do zwalczania

, tej zarazy trującej wszelkie dobre—ścigaj tego potwora, który nie uczy się jak inne złe nałogi grzechami, ale karmi się głównie, tą trocią dobrego na jakie zdobyć się możemy. Wpajaj natomiast pokorę i czystość zamierzenia w czynieniu wszystkiego dla Boga, nie dla oka ludzkiego, i zadowolenia własnego. Wierzaj mi, że ten grunt miłości własnej, jest powszechniejszy niż Ci się zdaje, w osobach na zewnątrz pobożnych, zacnych, i miłosiernych nawet. Ztąd pochodzi, że tyle kobiet dzisiaj, co się często spowiada i komunikuje, i długo w kościele siedzi, i wiele się krząta koło tak zwanych dobrych uczynków: nie jest jeszcze nawróconych do Boga, pełne są samych siebie, pełne świata, próżne, ciekawe, gadatliwe, zazdrosne, obmownice i t. p. i przeto zamiast budować, zamiast pociągać innych do nabożeństwa, dają aż nadto powód mężczyznom szczególnie, do podawania w śmieszność nabożeństwa. Wiemci ja dobrze, że nie odrazu Kraków zbudowany—wiem, że są niesprawiedliwi ci, którzy wymagają zaraz doskonałości od każdego, co się weźmie trochę więcej do nabożeństwa; ale wiem także, że takie dewotki przez długie lata praktyki nabożnej, kroku naprzód nie czynią — i nie uczynią, bo są przekonane, że są doskonałe, bo pełne siebie, a więc ślepe. Kto ich oświeci, kiedy spowiednicy ich sami ślepi, zadowoleni są, że mają dzieci duchowne, które tak często chodzą do kościoła, przystępują do sakramentów, i są chwalone (i spowiednik ich za nie) dla swoich dobrych uczynków. Pozwól, że znowu przytoczę powagę Taulera. W kazaniu na IV Niedzielę po Trzech Królach daje znaki *prawdziwego i fałszywego* nawrócenia, a choć wiele w tem kazaniu mówi do zakonników, których nie szczególnie, wskazówki jego stosują się do wszystkich.

k „Chrześcijanin (mówi) prawdziwie nawrócony uznaje pokornie swoje nicestwo; całem jego pragnieniem nie być od nikogo cenionym, nie rozkazywać nikomu... pragnie we wszystkim tego, co jest najmierniejsze, pyta chętnie o radę, i tłórnaczy wszystko na dobre. Co mu rozkazują, albo radzą, albo po prostu, czego po nim żądają, czyni to ze skromnością i bojaźnią Bożą. Ci przeciwnie, którzy nie są prawdziwie nawróceni, wysokie mają wyobrażenie o sobie i o wszystkim co czynią. Uważają za niegodne siebie, podlegać komu bądź, albo by kto im miał co do rozkazania. Chętnie dają nauki in-

uym, z wielką obfitością słów lubią rozprawiać o wielkich rzeczach, przechwalają się pysznie ze swoich czynności, a to wszystko pod pokrywką i pozorem pokory, z obawy, aby za pyszałków nie uchodzić. Jeżeli kto ich nie uszanuje, gniewają się i bronią się, ile mogą. Są zarozumiali, butni, ducha twardego i upartego; wszyscy tacy, choćby też tyarę papieżką na głowie nosili, są w ręku szatana. Szczerze nawróceni, miłośnicy są i chętni dla bliźniego, chwalą jego czynności z miłością prawdziwie braterską; cieszą się z jego dobra, wspierają go chętnie kiedy mogą, a w utrapieniach jego mają dlań szczere współczucie. Fałszywie nawróceni przeciwnie są nienawistni, zazdrośni korzyści, albo pobożności drugih, i mściwi. Serce ich dumą nadęte nie może znieść przeciwieństwa, i ulżywa sobie słowy pogardliwymi i lżąciami. Ludzie pobożni cierpliwi są w obec niesprawiedliwości i śróć utrapień, które Bóg na nich zesyła, znoszą wszystko, ze sercem spokojnem, mając zawsze na ustach słowa łagodne i dobrotliwe, i godząc się chętnie z tymi, którzy im krzywdę jaką wyrządzili. Fałszywi chrześcijanie przeciwnie, skłonni są do gniewu, zazdrośni szczęścia drugih, obmowcy, sieją niezgodę pomiędzy braćmi, i znajdują zawsze jakie *ale*; pełni są wątpliwości, szemrania przeciwko swoim starszym i podwładnym, kiedy ci nie są ich zdania. Dobrzy chrześcijanie są zawsze dobrowolni i miłośni, gotowi dać i wspierać innym, o ile tylko mogą; pełni pogardy do rzeczy ziemskich i znikomych, a z wdzięczności ku Bogu, weseli i zadowolnieni w przeciwnościach, upokorzeniu, niedostatku. Mają zawsze obecnego Boga, który ich strzeże i broni, i pozbywają się wszystkich trosk doczesnych i nieużytecznych, aby się mogli oddać całkiem Bogu i rzeczom wiecznym. Serce fałszywych chrześcijan, wciąż jest trawione pragnieniem dóbr doczesnych i szukają wszędzie gdzie mogą, swoich wygod, dogodności, albo pochwał ludzkich, albo jakiej korzyści tego rodzaju. Jeżeli drudzy ich nie uczczą, albo nie mają dobrego mniemania o nich, stają się jakoby opętani i czynią potajemnie i jawnie, wszelkie złe, jakie mogą. Spodziewają się wyciągnąć jaką korzyść z pozorów pobożności jakie udają, i często się posuwają aż do obłudy, kłamstw widocznych; dla dostania albo zachowania tej czci, której tak są chciwi. Serca prawe starają się zapełnić cały czas swój zajęciami użytecznymi na chwałę

Bożą, albo korzyść bliźniego, pociechami duchowymi i dobrymi uczynkami, szukając wszystko dobrze sprawić, co czynią, oddając się dobremu z całego serca, i chowając niezachwianą ufność w Bogu. Obłudnicy są zawsze małoduszni i leniwi do dobrego, twardzi i gorzcy w swoim postępowaniu, niepewni i tchórzliwi, ciężcy, dzicy, i oporni w sercu swoim.

Dobrzy używają z umiarkowaniem i uczciwością rzeczy potrzebnych przyrodzie, unikając we wszystkim zbyteczności; a jeżeli kiedy im się zdarzy przekroczyć granice ścisłej potrzeby, karcą się sami, nakładając sobie jakie umartwienie. Trzymają na wodzy duszę swoją. przez umiarkowanie w jedzeniu, i strzegą się z niezmierną starannością wszelkiego nadużycia w napoju. Fałszywi chrześcijanie szukają właśnie zadość uczynić swojemu żarłoctwu jedzeniem i piciem; są zarazem nienasyчени dla siebie samych, a niewdzięczni względem Boga. -Jedzą i piją bez miary, i bez zachowania nawet prawideł najprostszej przyzwoitości; niekiedy nabawiają się ciężkiej choroby, ho szukają bez wstydu rozkoszy wszędzie, gdzie ją tylko znaleźć mogą. Niekiedy po sutej biesiadzie, posłyszysz ich mówiących bez wyboru, śmiejących się, płaczących, błaznujących, chciwych opowiadania lub słuchania nowinek. Inni gwałtowniejszego charakteru, skłonni do kłótni i gniewu, wrzeszczą bez powściągliwości, jakoby osły jakie. Drudzy znowu przeciążeni jadłem, czują się leniwymi, śpiącymi i zaledwoby zdołali odmówić *Ojciec nasz*. Takie są skutki zwykłe zbytku w picu i jadle. To też wszyscy święci poprzestawali na koniecznem nie tylko w jedzeniu, ale jeszcze we wszystkim innem, aby uniknąć tych grzechów, już dla siebie samych, już dla innych.

Ludzie prawdziwie nawróceni tak są skromni i czyści w obecności Boga i jego Aniołów, iż woleliby umrzeć, niż puścić do serca, choćby jeden obraz zdoluy ją skalać, strzegą go z ostrożnościami nieskończonemi, i czuwają ze starannością ustawiczną nad swojemi zmysłami, i nad wszystkimi członkami swojemi... i przeto zadają gwałt ciału... ćwiczą się w praktykach nabożnych i w wielkiej ufności w Bogu, w którym leży cała ich pociecha. Obłudnicy przeciwnie..."

Długiem wprowadzić uczynił przytoczenie, ale sądzę, że będziesz mu rad. Jakże ważna spowiednikowi widzieć przez takiego mistrza, tak dokładnie wyliczone pozna-ki doskona-

lego, prawdziwego nawrócenia, obok fałszywego i udanego. Wiemy dobrze, że nie wszystko do wszystkich, a w każdym razie nie od razu stosować można, ale od razu trzeba każdemu wykazać prawdziwą drogę wiodącą do celu, każdego od razu sprowadzić z manowców.

Jajcem pod koniec przeszłego listu powiedział, aby być dobrym kaznodzieją, trzeba być przede wszystkim człowiekiem wiary, i kochać dusze krwią Chrystusową odkupione, tem bardziej to powiem o spowiedniku. Bo chociaż jak mówi św. Paweł, i przez ewangelią się rodzi dusze, daleko jednak bliższe, ściślejsze jest ojcostwo spowiedników, i przeto ich a nie kaznodziejów nazywają *ojcami diichoivnymi*. Wiara sprawi, że kapłan nie będzie twardym dla biednych, nadskakującym i miękkim dla możnych, bo będzie tylko widział przed sobą dusze, męką Boga człowieka zbawione, i poświęci się podług ich potrzeb i chęci korzystania. Wiara da mu uczucie godności, że nie będzie się zastawiał charakterem kapłańskim, w stosunkach zewnętrznych życia, dla pokrycia własnych ułomności,— ale kapłanem się uczuje przy ołtarzu, na kazalnicy, w konfessyonalu. Zresztą wiara, przy dostatecznej nauce, dobrem i przykładnem życiem, wystarczy, aby kapłan był dobrym spowiednikiem, ale by był dobrym doradcą, kierownikiem, lekarzem, nauczycielem dusz, tem bardziej pobożniejszych; potrzeba, aby kapłan nadto był człowiekiem modlitwy. Potrzeba, by nietylko przykładnie brewiarz swój i mszę świętą odprawił, co już bardzo wiele, ale by nadto nie obcą mu była modlitwa myślna, czyli rozmyślanie. Winien być ascetą i teoretycznym i praktycznym, a że nie każdemu, owszem nie wielu Bóg daje modliiwę kontemplacyjną, czyli bogomyślną, a jednak spotykają się tego rodzaju dusze, częściej między pobożnymi niewiastami i prostaczkami; winien spowiednik znać przynajmniej zasady mistyki, która w kościele św. bogatym doświadczeniem 18. wieków od Dyonizego Areopagity, aż do dni naszych, wyrosła w umiejętność ścisłą, opisującą wszystkie i najwyższe objawy życia duszy w Bogu, i z Bogiem. O! ileż dusz, którym Bóg dał ten rodzaj modlitwy, nie rozwinęło się, ile ich się zwichnęło i zbłąkało! ile ich okropnie ucierpiało, (jak święta Teresa o sobie świadczy); a to dla nieuctwa, i co gorzej zarożumiałego nieuctwa spowiedników.

Na zakończenie zwrócę Twoją uwagę, że niektórzy spowiednicy przerzucili się w drugą ostateczność, przypuszczającą bez wyboru i uprzedniego przysposobienia wszystkich swoich penitentów do częstej komunii. Zabójczy, niesprawiedliwy jest sposób dawniejszy oddalania od Pana Jezusa, który dla nas został sakramentalnie na ziemi, który jest lekarstwem i pokarmem dusz naszych, i którego *rozkoszą jest przestawiać ze synami ludzkiemi*; ale przypuszczanie do tego stołu osób szczerze nie nawróconych, nie umartwionych, nie pobożnych, nie szukających Boga, ale siebie, przyjemności lub nieraz zadowolenia próżności, wielce też niebezpieczne, ba grzeszne. Bo nieraz takie dusze, jak skoro Bóg cofnie pociechy czule, opuszczają całkiem komunią częstszą, i ledwo że na Wielkanoc zebrać się do niej mogą z wielkiem niebezpieczeństwem duszy własnej, i zgorszeniem innych. Wiem o tem, że to pokarm i dla silnych i dla słabych, ale dla słabych, którzy się poczuwają do swojej słabości, i starają się przemagać i postępować w dobrem. Gdzie tej pracy całkiem nie ma, gdzie nie ma szczerzego głodu duszy, za tą strawą niebieską, nie wypada ani zachęcać, ani pozwalać częstej komunii. A więc i w tym przedmiocie, wyjąwszy pewnych wypadków nadzwyczajnych, ostrożnie i stopniowo postępować trzeba.

VII.

Kapłan jako ofiarnik, jako współpracownik Chrystusa, jako pośrednik między ludem a Bogiem, jako przewodnik nareszcie dusz; winien być człowiekiem modlitwy, kapłan ten bez modlitwy, to kadzielnica bez żaru i kadzidła, to pochwa bez oręża, to żołnierz bez kul i prochu; to grób pobielany.

Ponieważ przez modlitwę człowiek wchodzi w stosunek żywotny z Bogiem, im lepsza będzie modlitwa, tem więcej będzie Boga w duszy.

A zatem stopień rozwinięcia w modlitwie, jest niemylną miarą stopnia postępu duszy w miłości Bożej, i doskonałości chrześcijańskiej. A jak prawdziwe jest przysłowie: kto z kim przestaje, takim się staje, i ono drugie, powiedz mi, z kim przestajesz, a ja Ci powiem, kim albo jakim jesteś: tak można najbezpieczniej powiedzieć; powiedz mi, ile i jak się modlisz, a ja Ci powiem, jak stoisz z Bogiem.

O! jakże ważna dla kapłana, nie tylko umieć odróżniać trąd od trądu grzecliwego, ale jeszcze znać szczeble onej mistycznej drabiny Jakubowej, po której dusza wstępuje do nieba: ważna dla niego samego, ważna dla dusz, którym jest przewodnikiem w tych *wstępowaniach* z tego padółu płaczu do górnego Syonu. Mówmyż zatem o modlitwie i jej rodzajach i stopniach; a mówmy treściwie, bo o rzeczy nie obcej Ci, jak nią jest wielu świeckim.

Wiesz o tem, że różne są orzeczenia modlitwy. Mnie się najlepiej podoba Augustynowe: że jest *podniesieniem myśli do Boga*; bo najogólniejsze i obejmujące wszelki rodzaj modlitwy.

Modlitwa dzieli się głównie na *ustną* i *myślną*. Nie, by ustna mogła być bez myśli, boby było gadanie papuzie, albo myślna mogła być całkiem bez słowa" przynajmniej wewnętrznego; bo jak dobrze mówi de Bonald, „człowiek mówi myśl swoją i myśli swoje słowo" (*l'homme parle sa pensee, et pense sa parole*); ale podział ten uczyniony podług tego, co przemaga w jednym albo drugim rodzaju modlitwy. W modlitwie *ustnej* (pacierzach mówionych z pamięci, albo modlitwach czytanych z książki) przedewszystkiem baczyć trzeba, aby je odmawiać (jak my prosimy w modlitwie wstępnej do odmawiania godzin kapłańskich) *godnie* t. j. poważnie (*digue*), potem *bacznie* (*attente*) to jest z rozmysłem i rozważą, a następnie *pobożnie* (*devote*) z podniesieniem serca i ducha. Tym sposobem zakonnica nawet nie umiejąca po łacinie, odmawia dobrze godzinki swoje, i daje chwałę Bogu, jeżeli odmawia poważnie, wyraźnie, z pobożnem zamierzeniem dania chwały Bogu.

Modlitwa *myślna* (a chcemy na teraz mówić o zwykłej) czyli *rozmyślanie*, na tem polega, aby, stanąwszy w duchu pokory i skruchy przed Bogiem, i wezwawszy na pomoc Ducha Św., bez którego modlić się jak się należy nieyżemy (ani nawet podług św. Pawła wymówić jak się należy Imienia Jezus) aby mówię, używając władz przyrodzonych pamięci, rozumu i woli, zastanawiać się nad jaką tajemnicą, prawdą, przykazaniem świętej naszej wiary; rozważać stan duszy i jej potrzeby, wyciągać naukę stosowną i potrzebną do naszej poprawy — upokarzać się, czynić postanowienia, dziękować

Bogu, i prosić znowu o siłę i wierność w wykonywaniu postanowień.

Łatwo pojąć, że taki rodzaj modlitwy (a której każdy dobrej woli i przy zdrowych zmysłach będący jest zdolny) wyższy jest i korzystniejszy do postępu duszy, od pacierzy i modlitw czytanych, które łatwo mechanicznie odmawiać, a w każdym razie bez zagłębienia się w siebie.

Otóż ważna starać się, aby i modlitwa ustna była i prowadziła nas do myślniej. Ważna szczególnie nam kapłanom, którzy z obowiązku i pod grzechem, modlimy się codziennie w Imieniu całego kościoła, modlitwą jego urzędową i uroczystą. Czy słyszałeś kiedy, jak Benedyktyni i inni mnisi dawniejsi (ma się rozumieć obserwanci) odmawiają godziny kościelne w chórze — jak powolnie, z jakimi przestankami? Dlaczego? oto, aby mieli czas rozmyślać nad tem, co mówią lub śpiewają. To też w starych tych zakonach, albo nie ma całkiem czasu, albo tylko pół godziny przepisanego na modlitwę myślną, — bo Oni wielką część dnia i część nocy *rozmyślają* Pismo św. to jest Słowo Boże. Otóż czynmy dobrowolnie ile możności to samo, i toż radźmy duszom nam powierzonym. Radźmy im, kiedy dobrowolnie modlitwy ustne czytają, aby czytały psalmy Dawidowe, albo modlitwy kościelne, albo przez Świętych ułożone: słowem, które z Ducha św. poszły. Nic bowiem rzadszego od dobrej modlitwy, a nowożytnie ogólnie nieznośne, bez głębokości, pełne wykrzykników^ckliwej czułościowości i znowu zieloności i strumyków. W każdym prawie żywocie Świętych szczególnie *bogomyślnych*. spotkałem jedną lub więcej modlitw, lub z góry im objawionych, lub w uajwyższym podniesieniu ducha przez nich ułożonych. To też co w nich mocy, namaszczenia, wdzięku! żal mi, że tak mało ich sobie wypisał. Ktoby ułożył książkę do nabożeństwa, z modlitw w Piśmie św. w liturgii kościelnej i żywotach Świętych zawartych, dopieroby się duszom zasłużył! Otóż można i potrzeba wszystkim najnieumiejętniejszym wyłożyć, że nie oto chodzić im winno, by wiele pacierzy odmówili, wiele na książce przeczytali, ale *by się nigdy nie spieszyli*, i na każdym wyrażeniu, każdej myśli, zastanowili i trwali w tem pobożnym usposobieniu, aż dopóki się ono nie wyczerpie, i by wtenczas dopiero szli dalej. W taki sarn sposób radzę odbywać czytanie duchowne (bez ciekawości i pośpie-

chuj, w taki sposób odmawiać Różaniec rozpamiętując tajemnice, w taki sposób obchodzić stacye krzyżowe; w taki sposób czynić rachunek sumienia, rozważając przykazania Boże, kościelne, grzechy główne, i t. p., a każda dusza by najprostsza, by najbardziej roztrzępanej i żywej wyobraźni, ani się postrzeże, jak się włoży do *rozmyślenia*. Wtenczas można powiedzieć, że jest pewna swego zbawieni;¹. Tłumaczę się zaraz: Kto rozmyśla i liczy się ze sumieniem, niepodobna, by żył i trwał w grzechu. Jedno z dwojga rychło nastąpi; albo się nawróci, albo porzuci rozmyślanie. Tymczasem można długie pacierze odmawiać i pościć i dawać jałmużnę, a jednak trwać w złym nałogu. Metodę *rozmyślenia* zwykłego wielu wyłożyło, między innymi szczegółowo wyłożył święty Ignacy, i ci wszyscy, którzy go opracowywali.

Nie trzeba tylko wszystkich przymuszać, albo się samemu przymuszać, by wszystkich przepisów i rad podanych dosłownie, i niewolniczo się trzymać. Każdy rychło pomiarkuje, jaką mu drogą łatwiej do zamierzonego celu dojść, tej niech się trzyma. Mamy podług tej metody ułożoną książkę p. t. *Rok Chrystusowy* t. j. trzy punkta do *Rozmyślenia* na każdy dzień z Ewangelii wyjęte.

Św. Franciszek Salezy w swojej Filotei wyborne rzeczy mówi o rozmyślaniu i podaje nawet do niego przedmioty. Ogólnie mój przyjacielu, jako książkę podręczną, każdej duszy biorącej się do nabożeństwa, dawaj Filoteę, (ostrzegając tylko panny, by nie czytały co dla zamężnych wyłącznie napisane). Jako drugie dzieło z kolei, które także mamy w naszym języku, a które św. Franciszek Salezy, całe życie swoje nosił w kieszeni, polecani Ci *walkę duchowną* Ojca Scupoli Teatyua. Cały systemat pracy nad własnem udoskonaleniem sprowadza ona do tych czterech punktów: *nicufanie sobie*, *ufanie Bogu*, *ćwiczenie* (t. j. praca nad sobą) i *modlitwa*. *O naśladowaniu Chrystusa Pana* nie mówię, bo już jest w ręku wszystkich, dla wszystkich też i zawsze, jak rozmyślanie męki Pańskiej stosowne i użyteczne. Z teologów ascetycznych radzę Ci jeszcze książkę O. de St. Jure: *V Homme Spirituel*; a gdybyś; dostać go nie mógł, sprowadź z Poznania *Rodrigueza* o *Doskonałości chrześcijańskiej*, skróconego dla osób świeckich.

Na tem się ograniczę co do *Ascetyki*. Dodam tylko, że zwyczaj *Rozmyślenia* daje wielką znajomość własnego sumie-

nia, czyni spowiedzie łatwemi i zapewnia ich dobroć; usposabia do korzystnego i pobożnego słuchania (lub odmawiania) mszy Św., i przystępowania do Stołu Pańskiego, daje pewien spokój, ład, ciąg w postępowaniu; daje siłę śród przeciwności i prześladowania; nareszcie największą pociechę śród cierpień i chorób. To też odbije się w kapłanie i na kazalnicy i w konfesyjale, kiedy sam rozmyśla i jest ogólnie człowiekiem modlitwy; a pobożni wierni na chwilę w tem się nie pomyślą. Ksiądz nie rozmyślający, mówi ogólniki na chybił trafił — a słowo jego nie ma namaszczenia, płodności i siły nawracającej.

Przechodzę teraz do ostatniej i najtrudniejszej części mojego zadania, do mówienia o modlitwie *nadzwyczajnej*, kontemplacyjnej, albo *bogomyślniej*, za przypuszczeniem, że może Ci Bóg przysłać duszę tego rodzaju modlitwą od Boga obdarzoną. Niektórzy nazywają ten rodzaj modlitwy *rozmyślaniem biernem*; korzystam z tego orzeczenia, aby łatwiej pokazać różnicę, od rozmyślania zwykłego. To ostatnie jest właściwie *czynne*, bo jakkolwiek rozmyślamy z pomocą łaski nadprzyrodzonej, jednak posługujemy się naszymi władzami przyrodzonymi, jako to pamięcią, wyobraźnią, uczuciem, rozumem i wolą. I przeto ten rodzaj modlitwy jest wszystkim przystępny, i wystarcza do uświęcenia się każdemu. Wielu Świętych nie było prowadzonych drogą kontemplacji, albo modlitwy biernej. To też ona nie jest niezbędną do doskonałości, ale gdzie jest albo ją przypuszcza, albo niezmiernie ułatwia, rozumie się przy wierności osoby obdarzonej. Nikt żadnem staraniem, wiernością, nie zdoła przejść z rozmyślania czynnego do biernego. Dusze niezmiernie oczyszczone, uspokojone, skupione w rozmyślaniu czynnem, mogą mieć tylko pozory i podobieństwo zewnętrzne do modlitwy kontemplacyjnej; ale w rzeczy niezmierna różnica. Jednym Bóg daje ten dar wraz od dzieciństwa prawie, drugim w ciągu życia, innym pod sam jego koniec. Wierność w modlitwie zwykłej, może skłonić serce Boże do powiedzenia „pójdź wyżej,” ale sama do kontemplacji podnieść się nie zdoła.

W tym bowiem rodzaju modlitwy, jak samo nazwanie *biernej* wyraża, człowiek jest rzeczywiście biernym. Bo choć dla niekuszenia Boga, powinien sobie przygotować przedmiot do rozmyślania (jakkolwiek niepewny czy zawsze za nim pój-

dzie), nieraz, gdy stanie przed Bogiem w upokorzeniu ducha, Bóg mu sam przedmiot ten wyznacza. Będzie to także czy jaka tajemnica naszej świętej wiary, czy prawda jaka, czy przymiot Boski, który oświeca umysł, zajmuje miłośnię wolę, skupia wszystkie władze duszy i zmysły same; i tak dusza zajęta trwa bez trudu, owszem z wielką pociechą, jak dziecko u piersi matki, aż je matka od niej nie odsądzi. Nie jestci człowiek i wtenczas całkiem biernym, bo on widzi, rozumie, lub czuje się w tem, co mu Bóg pokazuje, czego uczy, jak pochwycony pięknnością obrazu, dźwięku: ale bierny jest co do przedmiotu widzenia, czucia, którego sobie nie obrał. Nieraz, kiedy człowiek najmniej o tem myśli, kiedy najmniej ku temu sposobny, wśród zajęć zewnętrznych, rozmowy i t. p. Bóg jakoby promieniem słonecznym wpada do duszy, oświeca ją, pociąga i skupia w sobie. Pojmujesz, że człowiek takich stanów stworzyć sobie nie może — choć może się oszukać i wmówić w siebie (jak się zdarza fałszywym bogomyślnym), że jest w takim stanie. Bóg działa w jednych więcej na umysł, w drugich na wolę samą. Różne też są stopnie i objawy tej modlitwy, które mistycy zowią *skupieniem*, *uspokojeniem*, *snem duchownym*, *zjednoczeniem*, którego znowu wiele jest stopni; *rozweseleniem*, kiedy dusza nie może ukryć i wytrzymać niejako obfitości pociech, zdradza się pobożnym szaleństwem, jękiem, śpiewem, płasaniem; ale zawsze w granicach przyzwoitości, ile razy klar taki od Boga pochodzi, *zachwytem* już to ducha samego przy odejściu całkowitem od zmysłów, już połączonym z *porwaniem* ciała nawet w powietrze i t. p.

Najważniejsze jednak objawy życia kontemplacyjnego są *icidzenia*, *objawienia* i *słyszenia* słów, nauk, prorocत्व i t. p. Tak pierwsze jak drugie mogą być znowu potrójnego rodzaju, 1. widzenie zewnętrzne oczyma ciała. 2. widzenie w wyobraźni imaginacyjne. 3. widzenia intelektualne czyli czysto duchowne, w najgłębszem wnętrzu ducha. Podobnie słowo 1. może brzmieć fizycznie i uderzyć zmysł słuchu. 2. brzmieć wewnątrz nas, ale w sposób słowa. 3. w samymże duchu i w sposób duchowy. Dwa pierwsze rodzaje widzeń i objawień, są mniej bezpieczne, złudzeniom własnym i wpływom złego ducha podległe, — najbezpieczniejsze są tak widzenia, jak słowa czysto duchowne, w głębi i jądrze samem ducha objawiające się, gdzie tylko Bóg sam ma przystęp, — a mianowicie one

słowa zwane przez mistyków *jestotnemi*, które w tej chwili sprawiają w duszy, co wyrażają: jak np. kiedy Bóg duszy powie, — *odtąd mnie jednemu służyć będziesz, bądź moją, bądź pokorną* i t. p.

Pojmujesz mój przyjacielu, jak w całej tej rzeczy łatwe złudzenia i pomyłki i jakiej baczności spowiednikowi trzeba! Bo naprzód Bóg podoba sobie najczęściej obdarzać takimi darami nieuków a mianowicie kobiety; lód przeto, iż, jak mówi święty Piotr z Alkantary, niewiasta jest zwykle pokorniejsza, łatwiej się dająca powodować, a Bóg przede wszystkim szuka gruntu pokory, i na nim buduje. Jak skoro niewiasta czysta jest w zmysłach i wolna od próżności światowej, nie stawia już oporu Bogu; nie tak mężczyzna. 2. bo nieuczni i niewiasty nie mają tyle środków, co uczeni zgłębiania Boga drogą nauki i rozmyślenia, a słuszna, by Bóg wspierał dobrą wolę, gdziekolwiek ją spotka. 3. bo mężczyzna z natury swojej jest czynny, zdobywający, a niewiasta bardziej bierna, przyjmująca, kochająca, a jak tenże święty Piotr z Alkantary mówi, „w tern życiu mało mogę Boga poznać umysłem, ale mogę Go wiele ukochać.” To są przywileje niewiast — ale że u nich wyobraźnia i uczucie żywsze, łatwe bardzo złudzenie, jeżeli spowiednik nie jest oświecony i bardzo baczny.

I

Pomyłki mogą się zdarzyć nawet najlepszym i najpokorniejszym duszom. Boć wszelkie *objawienie* Boże przejmując człowiek zwykle w stanie oderwania od zmysłów, kiedy dusza pojmując w sposób czystego ducha. A ten duch nie jest całkiem nagi nawet u najprostszych. Jest już w nim pewien zasób wrażeń i pojęć. Otóż objawienie wszelkie przybywa duchowi już tak zaważanemu. Jakże łatwo zatem pomieszać to *nowe*, co od Boga przyszło, z tem *dawniejszem*, cośmy już w jakikolwiek sposób posiadali. Dalej, co duch w stanie podniesienia i oderwania od zmysłów przyjął, z tego zdaje sobie sprawę, wróciwszy do stanu zwykłego i myśląc w sposób ludzki: jakież tu szczególnie niebezpieczeństwo, by własnego zrozumienia nie pomieszać z widzianem lub słyszaniem? Cóż nareszcie, gdy to przyjdzie wyśłowić, zdając sprawę komu innemu szczególnie po jakimś czasie!

•

Wielka trudność i wielkie niebezpieczeństwo dla spowiednika; a jednak nie wolno mu . jak niektórym grzesznie

czynią, opuszczać ich i odprawiać, mówiąc, że to wszystko mrzonki i przywidzenia. Nie wolno powiadam, bo jedua taka dusza miłsza Bogu od tysiąca letnich, i przeto kapłanom dobrej woli, daje szczególną pomoc i światło i wyższy dar modlitwy, by mogli korzystnie ukochane takie dusze jego pielęgnować. Przy wszystkich trudnościach i niebezpieczeństwach, szczęśliwy kapłan, któremu Bóg dusze takie przysyła, dowód to miłosiernych Jego zamiarów nad nim samym. — Są trudności, ale są też i pomoce. —• A naprzód ile drogą nauki dowiedzieć się można: Oprócz doktorów prywatnych, kościół kanonizując świętych, wszystkie podobne zjawiska rozbiera z całą surowością prawną; wszystkie są one znane i opisane. Gdybyś mógł mieć d/ieło Benedykta XIV. *De canonisatione sanctorum*, znajdziesz tam wszystko, co Ci potrzebnem być może. Na przypadek, gdybyś nie miał okrom wspomnianego Taulera, przypominam Ci, że wyszła w Krakowie w polskim przekładzie mistyka św. Jana od Krzyża, z całą ścisłością teologiczną napisana: a wielki ten święty, okrom własnego miał jeszcze całe doświadczenie św. Teresy na swoje zawołanie, jako jej spowiednik i współpracownik. Polecani Ci także *Direttorio Mistico* O. Scaramelli S. J. (słyszałem, że już wyszło po francuzku) dzieło, które wikaryat Rzymski poleca spowiednikom zakonnic. Nareszcie z wielką korzyścią odczytasz mistykę Gcirresa *chrześcijańską, przyrodzoną i szatańską*. Nie tyle Ci zachwalam część teoretyczną, bo pomimo całej uczouości, sain dusz praktycznie nie prowadził; ale bardzo polecam przykłady z żywotów świętych, jak z fałszywych mistyków i Illuminatów, którzy się dali złemu wyprowadzić w pole, polecam nareszcie to, co mówi o mistyce naturalnej, o somnambulizmie, magnetyzmie i t. p. co tak ważną gra dziś rolę, a grozi, że i ważniejszą odegrać może. Pań Charles de Sainte-Foi, wydał ją w przekładzie Francuzkim i u tegoż księgarza, co kazania Tauler.i, zapisać go sobie możesz. — Tym czasem pozwól, że Ci dam kilka znaków *dobrego ducha* i działania Bożego w duszach uprzywilejowanych.

1. Aby *widzenia, objawienia* nie zawierały nic wyraźnie i wprost przeciwnego prawdom objawionym i przez kościół postanowionym. Wszakże w razie wątpliwości nie dosyć poprzestać na pierwszym lepszym kompendium teologii, trzeba

poszukać w źródłach. Benedykt XIV. kładzie sobie pytanie, czy może być przedmiotem prawdziwego objawienia, prawda jaka wiary, jeszcze za dogmat przez kościół nie ogłoszona? i przyznaje, że może. Dziś nas fakt świeży tego uczy, wszyscy widzący widzieli zawsze Niepokalane Poczęcie N. Panny, owszem widzieli zawsze zajmujące miejsce naczelne w planie Bożym względnie do rodzaju ludzkiego; a jednak prawda ta jeszcze nie była wtenczas za dogmat ogłoszona. Podobnie przyznaje wielki ten doktor, że może być objawiony jaki fakt albo szczegół, którego nie ma w ewangelii, ale który się nie sprzeciwia opowiadaniu ewangelicznemu. Pełne icli objawienia św. Brygitty, a jednak przeglądane i pochwalane przez kościół. To też, kiedy czytamy w świeżo wydanem życiu czynnem Chrystusa Pana podług objawień Anny Katarzyny Emmerich, że Chrystus Pan po wskrzeszeniu Łazarza, odwiedzał Cypr, Trzech Królów w ich ojczyźnie, i Egipt, choć ewangelia mówi tylko, że się skrył na puszczą: nie przeto możemy potępić jako fałszywe takie objawienie; bo z opowiadaniem ewangelicznym doskonale pogodzić się może.

•2. Znak bardzo ważny i pewny: jeżeli osoba odbierająca łaski szczególne w modlitwie, jest szczerze i głęboko pokorna; jeżeli nie pragnęła, i nie czuła, i nie czuje się godną wszelkiej nadzwyczajności; jeżeli nie tylko przed nikim obcym z tem się nie popisuje, ale jeżeli jej samemu spowiednikowi trudno (przynajmniej z początku) o tem mówić; i gdyby bezpiecznie i wolno było. radaby o tem wiecznie milczeć.

3. Jeżeli szanuje wszystkie przepisy świętej naszej wiary, powagę kościoła, i wszystkie praktyki pochwalone przez kościół święty, (choć nikt do wszystkich nie obowiązany). I przeto na pewno są podejrzane pobożnisie dziwaczne nabożeństwa, które w niczem spowiednika się nie poradzą, jedno wszystko podług swego widzimisię czynią; poszczą w Poniedziałki i Wtorki, a nie w Piątki i Soboty, odmawiają jakieś modlitwy pakątne, albo te, które same sobie ułożą, i w których w wszystkim ich ja główną gra rolę.

4. Jeżeli postępuje w cnotach chrześcijańskich; jeżeli daleka od światowości i tylko z obowiązku ma niezbędne z nim stosunki; jeżeli nie chowa do nikogo urazy, nawet do tych co ją poniżają, pomawiają, posądzając o obłudę itp.

Nareszcie czas jest wielkim kamieniem probierczym. Otóż osoba, któraby przedstawiała wszystkie wskazane warunki, choćby przypadkiem była w błędzie, byłaby w nim w dobrej wierze, i żadnegoby szwanku na duszy nie poniosła. Bo jak próżni i pyszni mogą najprawdziwsze łaski Boże obrócić sobie w truciznę, tak dusze pokorne, choćby nawet podległy jakiemu złudzeniu z prostoty i niedoświadczenia; żadnej ztąd nie poniosą szkody, jak skoro wiernie trzymają się nauki kościoła, i wszystko poddają posłuszeństwu.

Wszakże, jak spowiadający się winni być posłuszni, tak spowiednicy winni być roztropni i nie nadużywający władzy swojej; pod karą wielkiej odpowiedzialności przed Bogiem. W każdym człowieku głęboko wewnątrz jeszcze nie umartwionym, żyje chęć do przewodzenia i rozkazywania: despotyzm się podoba, władza upaja. Nie powinniśmy naszej woli szukać i dogadzać w prowadzeniu dusz, ale sumiennie, pokornie, z pomocą modlitwy, nauki, niekiedy i rady dojrzałych, szukać woli Bożej nad każdą duszą, i tej sumieniem dopełniać. Niestety! w nas kapłanach łatwo się wyradza pewna pycha faryzejska. Nie chcieli oni głównie przyjąć nauki Chrystusowej dla tego, że był synem cieśli, a u nich i z nimi się nie uczył. Otóż i nam się zdaje, że my wszystko wiemy, i że czego Bóg nam nie daje, nie daje też, i prawie nie powinien dawać prostakom lub niewiastom. Tymczasem nieraz się sprawdza modlitwa Chrystusowa: „Wyznawani Ci Ojcze, żeś objawił te rzeczy małuczkim, a zakrył je przed mądrymi i roztropnymi” tj. pysznymi i zarozumiałymi.

Jeżelim co nie jasno lub niedostatecznie wyraził w przedmiocie, o którym tomy całe pisać można i rzeczywiście popisano, chciej mi położyć zapytania dokładne i szczegółowe; a ja postaram się odpowiedzieć, podług mojego przemożenia.

L I S T

DO

KSIĘDZA ALEKSEGO PRUSINOWSKIEGO

WYBAWCY TYGODNIKA KATOLICKIEGO.

ZACNY MÓJ KSIĘŻE ALEKSY !

E iawiasz mi uprzejmie, że od dawna nic do *Tygodnika* nie przysłałem; a mianowicie żądasz, abym co napisał o stanowisku kapłana w sprawach krajowo-politycznych.

Com miał, posłałem do *Przeglądu*, bom się dawniej do tego zobowiązałem. Zobaczysz to w wychodzących teraz numerach. Do pisania wiele, nie mam dosyć płodnego umysłu; a nadto gniecie mnie stan kościoła i położenie Stolicy Apostolskiej; i mętne stanowisko naszej *intelligencji* krajowej obok cierpienia powszechnego; i trwające wciąż odurzenie dziennikarstwem francuzkieim, i wypadkami włoskiemi braci moich wygnańców. Wyziewy kłamstwa, obłudy, fałszywych zasad, sofizmatów tak okółowaciły mnóstwo głów polskich, (równie jak w całym świecie), iż najmocniej jestem przekonany, że słowo, pismo już bardzo mało kogo upamięta. Jeden Bóg może świat uleczyć, dopuszczając, aby zakosztował ostatecznych następstw wszystkich zasad, które dziś popłacają; a te leki tak muszą być bolesne, iż człowiek wolałby nie żyć, aby nie patrzeć na to. Co mówię, co piszę, to jedynie dla

sumienia, aby później odczarowani, którym się uda wypłynąć z krwawobłotnej topieli, nie wyrzucali nam: „dla czegożście nas nie ostrzegali?” W tym celu jak dawniej ogłosiłem dwa kazania o władzy doczesnej papieża, i o dzisiejszym rucbu włoskim; tak obecnie wydałem w *Przeglądzie* domówienie kazania mego w dzień Nowego Roku i posłałem kazanie o *niepożytości kościoła*; aby skłonić Polaków do trzymania się opoki Piotrowej.

Co cło drugiego, t. j. co do stanowiska kapłanów polskich w sprawie narodowej; chętnie przyznam Ks. Brzezińskiemu, że mogłem w liście moim otwartym z roku 1849-go w tym przedmiocie, być pod wpływem owoczesnych wypadków politycznych i nieszczególnej roli, jaką niejeden Ksiądz, albo wywloką z klasztoru odegrał. Nigdy jednak nie byłem za usunięciem się systematycznym duchownych od posług krajowych, mianowicie w położeniu tak anormalnem jak nasze; ale zawsze pod dwoma warunkami: 1) aby wszyscy mogli widzieć i wiedzieć, że my Księża czynimy to z poświęcenia dla dobra pospolitego, nie z ochoty; 2) abyśmy nie służyli za narzędzie dla *królików* politycznych, tych właśnie, o których piszesz, że płaszcz na dwóch ramionach noszą. Ci z szanownych kolegów w kapłaństwie, którzy mi wyrzucają zbytnią oględność, nie mieszkają jak ja *in partibus infidelium*, i nie wiedzą może tyle, ile ja, co się za kulisami dzieje. Żyjecie w części Polski najlepiej już po katolicku wyrobionej; a jednak publicyści z polskim sercem, ale z niemiecką niekatolicką głową, rej jeszcze u was wodzą. Choć Bóg i ludzie i Prusacy wiedzą, że gdyby nie Księża, toby zapewne i połowy wyborów polskich w prowincyi nie było, czyż jednak z największą dostatecznością nie raczyli przed ostatnimi wyborami ogłosić, iż przez wzgląd na dobre sprawowanie się duchowieństwa, wypada, aby i kilku Księży do izby przypościć? A cóż dopiero o Galicyi mówić, gdzie zacny zkądinąd, a tak popularny poseł ultra Józefińskie zasady przeciw kościołowi popiera, i ze stanu (staat) prawdziwego bożka robi? Może się ja mylę, a może się mylą raczej ci, którzy liczą za wiele na pewną popularność, jaka dziś Księży otacza. Niech pamiętają, że w *intelligencyi* i rabbini patryotyczni są równie popularni, jako powolne i wygodne środki do działania na massy, które jeszcze nie są *dosyć oświecone*. Otóż

wcale mi się nie uśmiecha, aby *nieobrzezani* na duchu posługiwali się po prostu Księdzem, którego by rzucili chętnie w kąt jak ścierkę, skoro się bez niej obejść potrafią.

Boć nie łudźmy się (jakem dotknął w mowie pogrzebowej po ś. p. biskupie Dekercie) nie łudźmy się, iż jeżeli w massach jest tradycyjne szczere pragnienie widzenia Księdza w każdej radzie, to na klasy oświećsze od trzech już lub czterech pokoleń przeciwny zupełnie wiatr wieje. Krzywdą podziałów ojczyzny rzuceni w objęcia rewolucyi francuzkiej; przez wychowanie głowy mamy albo z francuzka, albo z niemiecka, albo z angielska przykrojone. Ale, że znajdujemy społeczeństwo we francuzach, i na tych sympatyach nadzieje nasze opieramy; jesteśmy więc przedewszystkiem Francuzami! A we Francyi *V etat est laique, la loi est athee*, a Ksiądz do kościoła i zakrystyi ściśle ograniczony. Idąc za Francuzami, zakochaliśmy się w Piemoncie, i wszystkie jego grabieże, przekupstwa, okrucieństwa, świętokradztwa, rozpusty i bezbożność, albo milczeniem pokrywamy, albo tłumaczymy, albo nawet usprawiedliwiamy. Jakże, obok niezaprzeczenie rozpowszechnionych sympatyj dla Piemontu ciemniącego Stolicę Apostolską, prześladowającego kościół i duchowieństwo, jak wierzyć szczerości dobrych usposobień dla duchowieństwa własnego? jak wierzyć w serdeczność zapraszania kapłanów do narad i czynności obywatelskich?

Dopóki Polacy nie ogłoszą się za papieżem i nie potępią Drewiczowskich i Suworowowskich rozbojów piemonckich, przeciwko innym *narodowościom* włoskim, nie będę wierzył w czułość polityków naszych dla duchowieństwa krajowego. Nie powiadam, że Księża nasi powinni dlatego od wszystkiego się usuwać, ale powinni znać stan rzeczy i podług tego postępować. Tylko przez wdanie się Boże możemy utrzymać się na tradycyjnym stanowisku katolickim; cała atmosfera zachodu dziś panująca, grozi zamknięciem i nas także wyłącznie w kościele i zakrystyi.

Jako jeden z dowodów niekatolickich, ale zachodnio-rewolucyjnych usposobień naszych polityków, przytoczę usposobienie powszechne dosyć względem dziennika *Le Monde*, dziedzica dawniejszego *Unwers*. Jeden to dziennik, który od początku *ex professo* sprawy polskiej broni, i nigdy za to grosza nie bierze; gdy dzienniki najliberalniejsze trzeba dobrze

zapłacić, aby ci za Polską powiedziały. Tymczasem *Le Monde* nie jest popularny. Dlaczego? nie powiedzą ci wprost dlatego, że jest katolicki; więc się czepiają tego, że po latach 1848 i 1849 Pan Latour, jeden z nadzwyczajnych redaktorów Uniwersa pisywał za Austrią przeciwko Węgrom. A choć tenże sam Pan Latour i artykułami w dzienniku i świeżo w izbie dowiódł, że jest przyjacielem Polski, to nie przeszkadza, by zań nie wymyślali na *Le Monde*. Pomijam niesprawiedliwość krzyczącą i niewdzięczność względem Pana de Montalembert, którą już *Przegląd* wyświecił.

Powiedzą mi, że to wszystko mniejszość w narodzie. Wiemci o tem dobrze; ale to jest mniejszość ruchawa, krzykliwa, pisząca, drukująca; która schlebiając panującym namiętnościom i nadziejom, znajduje dość pokupu u rzeszy. Dobry Boże! a czyż ja nie wiem, znając Włochy, że tam wszystko niezmierną mniejszość robi, a jednak się jej udaje.

Walczyć zatem trzeba; robić co można, obowiązek; ale dopóki rewolucya we Włoszech należnej sobie chłosty z rąk samychże Włochów nie otrzyma; będzie zawsze pokusą wielu Polakom, i głowy chore u nas się nie wyleczą.

Dalej, dlatego nie śmiem przesądzać przyszłego położenia społecznego duchowieństwa, iż widzę zupełne przeobrażenie wszystkich dawnych stosunków albo już dokonane, albo mające się dokonać w nadchodzącym kataklizmie. Dawniej duchowni wpływali przeważnie na stosunki społeczne jako *wielcy właściciele ziemscy*, jako kapłani *religii jedynie prawdziwej*, a przez długie wieki, albo *jedynie uczeni*, albo *oświeceńsi*. Owoż wszędzie już prawie, a u nas najdoskonalej duchowieństwo z mienia obdarte, a za jedynie oświeconych mieć się nie możemy. Mówię po ludzku, nie o ile kościoł przechowuje zawsze prawdziwe zasady społeczne, bo Boże: ale to właśnie dla wielu jest w kwestyi. Więc jest zarówno w kwestyi przedstawianie przez duchowieństwo jedynie prawdziwej religii, na mocy czego biskupi nasi siedzieli wyłącznie w senacie, a Anglia choć protestancka, na mocy danych podań katolickich, tak upornie broniła się przed przypuszczeniem niechrześcijan do izby niższej. Boć dopóki narody znały się i czuły chrześcijańskimi nietylko o ile jednostki, ale o ile społeczeństwo; dopóki wierzyły, że Bóg nietylko jest Panem jednostek, ale i narodów; nikomu nie przyszło na myśl, aby

TL

kto nie opiera się na ewangelii, i nie pojmuje jej jak się należy, mógł być prawodawcą w kraju katolickim, rządzić i sądzić w nim. Tolerancja cywilna dawno znana, i gościnność dla różnowierców dawno w użyciu, ale od tego daleko do bratania się na podstawie indyferentyzmu religijnego, do zejścia całkiem ze stanowiska chrześcijańskiego w życiu publicznem, a osadzenia się na stanowisku czysto ludzkim rozumu przyrodzonego.

Dziś wszakże popularne jest *równouprawnienie* bez względu na wyznania; i przemogło ono już w Austrii pomimo konkordatu, pomimo ostatków tradycji państwa katolickiego. Gdyby tylko chodziło o różnowierców chrześcijan, dla nas Księża i prawowiernych polskich nie byłoby to rzeczą straszną; tak mało mamy protestantów, tak nieoświeconych, i chętnych do katolicyzmu odszczepieńców. Ale równouprawnienie rozciąga się i do żydów; nietylko w krajach zachodnich, ale w sąsiedzkiej nam Austrii siedzą już oni wolni w izbach prawodawczych. Owoż katolicy przez ośmnaście wieków dając gościnność, możność zarobkowania, bezpieczeństwo dla osób i majątków żydom; w prostym swoim rozumie nigdyby pojąć nie zdołali, jak może lud rozsypany wszędzie od 2000 blisko lat, a nie wsiąkający nigdzie, czekający na Messyasza doczesnego i na ojczyznę ziemską: jak mówię lud taki może zostać szczerze i prawdziwie obywatelem jakiegokolwiek kraju, w którym mieszka? Chyba powiedzieć, że można być obywatelem dwóch ojczyzn doczesnych i mieć w sercu podwójny patriotyzm. Jeżeli mi kto powie, że wiele żydów już nie wierzy w Messyasza i nie wzdycha za Palestyną, i że do usposobienia tak wszystkich, najskuteczniejsze jest równouprawnienie; powstaje drugie pytanie, o ile korzystnem jest dla kraju mieć mnóstwo niedowiarków niechrzczonych: choć z tego, co się dzieje na zachodzie widoczna, że żyd, nawet niedowiarek, niechętny jest chrześcijaństwu, jest przyrodzonym członkiem wszelkiej opozycji. stronnikiem rewolucji.

A u nas żydzi nie stanowią jak gdzieindziej jedną setną, ale przynajmniej jedną dziesiątą ludności; przemysł, handel, kapitały wyłącznie prawie w ich ręku. Nadto mieszkają prawie wszyscy po miastach, a w systemacie parlamentaryzmu nowożytnego, miasta mają stanowczą przewagę i właściwie rządzą. W Belgii tak oświeconej, przemysłnej, nawykłej od

wieków do rządów municypalnych, niezmierna mniejszość *wolnych-mulargy* scentralizowanych po miastach rządzi całym krajem. Kwestya żydowska cięższa u nas od kwestyi włościańskiej i wszystkich innych.

A jaki na to ratunek? na wszystkie uwagi jedni odpowiadają *równouprawnieniem, postępem, duchem czasu, wyobrażeniami nowożytnemi*: inni, że żydzi przynoszą wielką siłę i pomoc ruchowi narodowemu. Zgadza się, że tę siłę mają i w części przynoszą: ale czy tej pomocy za drogo nie zapłacimy? Czy oni pracują dla nas, czy z nami dla siebie? Ponieważ to *równouprawnienie* przeprowadzają rządy obce, czy, dostąpiwszy go żydzi, nie obrócą się przeciwko żywiołowi narodowemu, jak to uczynili w Poznańskim? ¹⁾ Więcej, czy Polska z czasem nie zostanie żydowską? Bo nie wiem, czy nasi zwolennicy bezwzględne równouprawnienia pomyśleli, że w moc niego, w mnóstwie miast u nas, mogliby żydzi po radach miejskich zasiadający zażądać, aby krzyż (jeżeli jest) z rady miejskiej wynieść i świątkować raczej w Sobotę, niż w Niedzielę przez wzgląd na dogodność większości mieszkańców. Czy pomyśleli, że w izbie poselskiej mogliby powiedzieć, nie jesteśmy tu ani chrześcijanami, ani żydami, tylko Polakami, więc radźmy bez względu na symbola religijne, i przyjmujemy tylko to, na co nasz rozum przyrodzony, wszystkim spólny zgodzić się może?

A w takim stanie rzeczy, czy jest położenie społeczne, i jakie dla kapłana? Dopóki dziś spólny ucisk zmusza do wyrozumiałości zobopólnej, obawy nasze mogą się wydawać urojonemi, ale pokazałyby się one zanadto sprawdzone w razie spólnego tryumfu. I Belgia wyswobodziła się przez koalicję garstki wolnomularzy z masą katolicką narodu, tymczasem wolnomularze zapanowali i panują.

O! gdyby nie było u nas niemądrego wstrętu do kojarzenia się rodzinnie z nawróconymi życiami, jużby ta trudność w wielkiej części była załatwioną, jużbyśmy mieli liczną, silną,

¹⁾ Rzeczywiście w Galicyi, po przeprowadzonym już najzupełniejszym równouprawnieniu, po polsku, z małym wyjątkiem, się nie uczą, wydają i czytają Dzienniki w swoim żydowsko-niemieckim narzeczu (przyp. z r. 1870). Równouprawnienie zatem przysporzyło Galicyi 600000 Niemców.

obrotną klasę średnią; a nie mielibyśmy natomiast w Warszawie licznych *franhistów*; udanych tylko i powierzchownych chrześcijan. W dzisiejszem położeniu, jedyna nadzieja w Bogu, że nas wyratuje, dając łaskę szczerego nawrócenia się do kościoła znacznej przynajmniej części naszych żydów.

Pojmujesz teraz kochany Księżu, że waham się mówić o przyszłości społecznej i politycznem położeniu duchowieństwa w Polsce. Sądzę, że gdy grożący przewrót społeczny obali wszelkie sztuczne budowania ludzkie, kościół choć zraniony w osobach i mieniu, utrzyma się jeden, dla tego, że Boski. Sądzę, że wtenczas powołanie duchowieństwa będzie ogromne, i wpływ wielki, może większy, niż kiedykolwiek, ale nie sądzą, by był oparty na tych samych podstawach, wywierał się w ten sam sposób, co dawniej, nawet w czasach panowania katolicyzmu; bo w dziejach nic całkowicie i w tych samych warunkach nie wraca.

Z tych wszystkich względów, my kapłani, czyniąc co każdy może w swoim położeniu dla dobra pospolitego, pracujemy przedewszystkiem, nad prostowaniem skrzywionych pojęć i wyobrażeń społecznych. Nie mogąc całkiem złego usunąć, starajmy się je zmniejszyć, i bądźmy gotowi w duchu miłości opatrywać Samarytanina poranionego i obdartego przez najstraszniejszych zbójców, jakimi są fałszywe zasady.

Jeżeli sądzisz, że te moje uwagi mogą się zdać na co, umieść je w twojem piśmie.

Bóg z nami! frater chai-issime.

Paryż dnia 31. Marca 1862. roku.

VI.

LIST OTWARTY

DO

BRACI KSIĘŻY GRZESZNIE SPISKUJĄCYCH I DO BRACI

SZLACHTY

NIEMĄDRZE UMIARKOWANYCH.

Umieszczamy tu drugi nasz List otwarty, który w czasie swoim tak silną wywołał był wrzawę. Mamy wiele powodów do tego przedruku. Pierwszym jest, że w całości ogłoszony był tylko w *Tygodniku Katolickim*, bardzo mało w Galicyi, tem mniej w Królestwie i Litwie rozpowszechnionym; większość zatem niezmierna rodaków sądziła o nim podług wydania tendencyjnie obciętego po dziennikach rządowych rosyjskich, nie domyślając się nawet, że ono było sfałszowane. Ogłaszamy go dalej powtórnie, aby dziś każdy chłodno osądził, czyśmy się pomylili? Wśród burzy, która na nas spadła, wiele razy, wyznajem, toż samo zadawaliśmy sobie pytanie. Słyszeliśmy zarzuty umiarkowańszych, że List ten, choć co do treści sprawiedliwy, przyszedł za późno, a więc niewczas. Zarzut ten nas nie dotyka, bo wiadomo, że powstanie z r. 1863 miało wybuchnąć dopiero na wiosnę, jedno branką zostało przyspieszone: a tego Bóg nie raczył nam odsłonić. Raczej wahałem się nieraz w sumieniu, czym nie zanadto posądził najbardziej nawet wtajemniczonych motorów ostatniego powstania! Ab, jak ów wielki wieszcz narodowy, którego także przed piętnastoma laty oskarżano, że lud polski spotwarzył, kiedy przed rzezią ostrzegał, i ja także, widzi Bóg, wolałbym być uchodzić za oszczercę, byleby naród w całości czystym pozostał! Tymczasem, i nad miarę ziściły się moje przewidywania i przy

mnie smutny tryumf pozostał, żem prawdę powiedział!... Zarzucano mi nadto, że ton mego listu był gwałtowny. Nie przeczę temu. Jak kiedy kto ratuje tonącego, nie patrzy czy go za ramię czy za głowę chwyta, czy go to bardzo czy nie bardzo zabol, tak i ja, widząc, że naród mój, a w nim duchowieństwo już, już zatonać ma, sięgnąłem ręką pośpiesznie; aby ratować. Uderzyłem za mocno, głos mój odezwał się za późno. To wszystko prawda, lecz czy moja w tem wina? Bacząc zaś na to, co księża nasi wśród emigracyi, stowarzyszeni i niestowarzyszeni pisują i drukują, nawet o Soborze i do Soboru, dziś w sześć lat po skończonem nieszczęsnem powstaniu, nie mogą wątpić, że gdyby rewolucya była się u nas utrzymała i zapanowała, i to co zdawało się przesadzonem w moim liście, byłoby się niestety sprawdziło! — Powiedzą może, że ci księża takich pojęć z kraju nie wynieśli, że ich głowy dopiero na Zachodzie ten zawrót opanował. Trudno mi w to uwierzyć i nikt pewno nie uwierzy, kto dotarł z bliska i oczu nie odwraca od rzeczywistości, dla tego, że przykra. Przytoczę jeden przykład. Pewien obywatel z Ukrainy, mój dawny znajomy, wynosił się podczas powstania za granicę. W Warszawie nie mądry jakiś przyjaciel wsunął mu paszporcik powstańczy. Znaleźli na nim ten świstek czynownicy, i za to zesłany został do jakiejś wioszczyny na Syberyi. Posłyszał, że w sąsiedzkiej mieścinie czy wioseczce jest kilkunastu naszych zasłańców: dla rozerwania się, pojechał ich odwiedzić. Zastał sejmikujących i dowodzących, że powstanie było na czasie, pożyteczne i że ostatecznie celu dopięło: „Księża (mówili oni) zdyskredytowani, szlachta zrujnowana, reszty Moskale dokonają.” A gdy mój znajomy oburzył się i chciał protestować, kazali mu milczeć dodając, że „i w Syberyi znajdzie się dla niego stryczek i gałąź!”

Jest więcej podobnych a nawet boleśniejszych faktów. Przykro je odślaniać i rzucać jakby oskarżenie na tych, których ręka mściwa wroga nad miarę dosięgła. Ale jeżeli nieszczęście ma prawo do spólcucia i szacunku, nie mają doń prawa zasady przewrotne. A za to, że między nami jedni je głośno wyznawali i szerzyli, drudzy po cichu na nie przyzwalał, za to właśnie dziś cierpiemy. Pokuta cięższa niż kiedykolwiek naród ją wytrzymał. Jęcząc pod chłostą rozwścieklonej Moskwy, godziwa i potrzebna rzecz wspomnieć na winy nasze, i to właśnie przypomnienie jest trzecim najważniejszym powodem niniejszego przedruku. Być może, że znajdą się tacy, co mnie znowu jak przed siedmioma laty gradem kamieni obsypią, ale większość, ufam, lepiej zrozumie te słowa. Złym byłoby znakiem dla narodu, symptomem niewyleczonej już choroby, nie chcieć szukać i zrozumieć jej przyczyny.

I.

-Mfilno nam ostrzedz niektórych braci naszych niewątpli-
"oK w * e w s z e l k % miarę godziwą, przekraczających. Kąkol siany
od lat kilkudziesięciu podstępą ręką na niwie kościoła pol-
skiego, wszedł nareszcie bujnie i groźno. Od lat kilkudziesięciu rząd przeszkadzał stosunkom Biskupów ze źródłem ich władzy, z ogniskiem życia kościelnego, trzymał Stolicę apostołską w alternatywie pozostawienia w osieroceniu przedłużonem dyecezyów, albo przyjmowania Biskupów skołatanych wiekiem i często miernych; przeszkadzał Biskupom porozumiewać się na soborach, z kapłanami na synodach, co więcej, nie cierpiał zebrań dekanalnych i ćwiczeń duchownych; osłabiał karność zakonników, i stosunki przełożonych krajowych z głównymi; wpływał na seminaria, zubożył duchowieństwo umysłowo i duchowo : wszystko to wywołało smutny stan obecny. Nie ma co ukrywać, wszystkim świadomo, że część duchownych w Królestwie Polskiem w szale źle zrozumianego patryotyzmu, dla *spólności działania* jak mówią, dla skupienia wszystkich sił narodowych, poddaje się kierunkowi *komitetu centralnego* skrajnego (zowiącego się narodowym) i przysięgą do posłuszeństwa mu się obowiązują. Wiem, że to czynią *salvis juribus Ecclesiae tuarując sobie jedynie nic nie czynić, nic nie propagować, coby się sprzeciwiało wolności, prawom i swobodom świętej wiary Rzymsko-Katolickiej*; wiem o tem i dziękuję Bogu, bo mi to dowodzi, że nie ma u nas przynajmniej schizmy religijnej, jedno obłąd umysłów, kościelnie dość nieoświeconych, a patryotycznie pod uciskiem aż do szalu rewolucyjnego rozdrażnionych. Wiem o tem i boleję, ale że złe jest zawsze wielkie a większe daleko grozi,

pozwólcie bracia moi błędzący (powszechnie młodzi wiekiem) pozwólcie spół-kapłanowi waszemu osiwiąłemu już na wygnaniu, wskazać sobie grube przeciwieństwa w jakieście już popadli, i w jakie siłą rzeczy uwikłać się musicie.

Warujecie prawa kościoła, a zaczynacie od ich podeptania, przysięgacie, łamiąc przysięgę!

Jeżeli świeccy o tem nie pamiętają. Wam bracia z grubego przynajmniej niewiedzieć nie wolno, że najwyższa władza kościelna, zacząwszy od Benedykta XIV., aż do Grzegorza XVI. uroczystymi Bullami, wyklęła Wolno - mularstwo, węglarstwo, i wszelkie stowarzyszenia tajne, najmocniej zakazując ich wiernym, tem bardziej kapłanom. Opisujecie się przy prawach Kościoła, a czynicie krok tak ważny, bez wiedzy waszych prawowitych pasterzy, owszem stanowicie, iż *tak* (to jest rewolucyjnie) *uchwalonej i pr zyjętej organizacji, ma być posłuszny każdy kapłan, jakiegokolwiek stopnia i godności w hierarchii kościelnej*, a więc i Biskupi Wasi? I na to przysięgacie? Czyście zapomnieli, że przyjmując święcenia kapłańskie, przysięgliście na wierność Ojcu Waszemu duchownemu Biskupowi, a pośrednio przez niego Biskupowi Biskupów, pasterzowi pasterzy, Namiestnikowi Chrystusowemu na ziemi? I wy bracia, z powołania sól ziemi, światło świata, wy przyrodzeni nauczyciele świeckich, *jakiegokolwiek stopnia i godności*, oddajecie się pod ślepe posłuszeństwo, komu? Oddajecie się świeckim, powszechnie młodym, w liczbie których są pewno i niekatolicy i niechrześcijanie, a zawsze związanym prawdopodobnie piekielnymi przysięgami pod grozą śmierci z wyższymi władzami Mazzinim, naczelną lożą i Ventą, których ostatecznym celem zagłada Kościoła i chrześcijaństwa. I wy kapłani to czynicie? Dla wydobycia się z pod obcej wprawdzie, despotycznej i niekatolickiej władzy, dla wywalczenia wolności sobie i ojczyźnie zaczynacie od *za-przedania dusz waszych* władzy, pokątnej, bezimiennój, samowrętnej, przed nikim nie odpowiedzialnej? Czy może być nad to większy nierozum, bardziej upokarzająca niewola?

Ach Bracia, ludzie ci są nieznani, ale znane ich czyny dawniejsze, i stałe zasady. Czy nie dosyć jeszcze popisywali się oni swoją bezbożnością słowem i drukiem, byście wy kapłani na nich poznać się nie mogli? Czy nie dosyć zmarnowali ludzi i majątków krajowych? Czy nie zmarnowali po

dwakroć poświęcenia ludu Wielkopolskiego, i majątków obywatelskich? Czy nie wywołali rzezi galicyjskiej? po której dotąd ta część dawnej Polski do siebie przyjść nie może? Czy w r. 1848 nie poświęcili młodzieży, zasobów narodowych i samegoż dobrego imienia polskiego, dla czynienia nędznych burd i dywersyi na korzyść rewolucyi europejskiej? Czy świeżo w imię patryotyzmu nie popchnęli zbłąkanej młodzieży, do nieznanych dotąd w dziejach naszych, a nigdy użytecznych morderstw politycznych? Czyż nie gotowi i obecnie poświęcić narodu? Jest to jedną z wad praktycznych sprzysiężeń tajnych, iż jak skoro są zagrożone odkryciem, popychają kraj choćby najbardziej nie wczas do wybuchu, i dziś to chcą uczynić? Ma więc być powstanie w obec tak wielkiej siły zbrojnej, na jakąż pomoc uorganizowaną liczycie? Czy na jakie mocarstwo? Śmiało zapytam, *gdzie są Bogi wasze, w których pokładaliście nadzieję?* To może kraj ma zasobów wojennych i broni podostatkiem? wiem dobrze że nie. Dla czegoż chcecie powstawać? oto, bo myślicie więcej o własnem bezpieczeństwie, niż o przyszłości kraju; potem dla tego, że rewolucya europejska tak chce i każe. Czytałem przypadkiem okólnik tłómaczący, iż aby Garibaldi mógł odbić Wenecyą, potrzeba, aby cała Austria i Polska były w powstaniu. Dla tego powstaniecie, choć sami wasi sprzymierzeńcy socjaliści moskiewscy ostrzegają was, że nie czas, bo wiedzą, że ich rodacy przerażeni odezwami obalającemi własność, rodzinę, wszelką religią, garną się do rządu. Powstaniecie więc na korzyść Włoch i rządu rossyjskiego, który się dziś jeszcze czuje na sile do zgniecenia was; a wy kapłani dla pociechy jego zaczynacie schizmę, choćby zrazu modląc się po polsku, czy po łacinie, co to szkodzi? rząd był zawsze gotów na to przystać. Liczycie na powstanie i pomoc Rossyan: mylicie się. — A choćby tak było, cokolwiek myśli kilku ludzi, massy nie byłyby sprawiedliwsze dla nas od rządu, jak parlament frankfurtski nie był sprawiedliwszym od rządów niemieckich.

Ale przypuszczam, że będzie jakiekolwiek powstanie, a wy bracia kapłani opuszczając gwasze parafie pójdziecie do obozu. Pocieszać się tem będziecie, że przynajmniej umierającym w boju, towarzyszyć zdołacie w wielkiem przejściu do wieczności; ale kto wam to zaręczy? Ponieważ naczelnicy

wasi powiadają,, że kapłani poświęcać winni najświętsze obowiązki swoje dla ojczyzny, kto wie, czy zamiast rozgrzeszania umierających, nie każą wam robić ładunków; boć to użyteczniejsze ojczyźnie? Powiecie, że przesadzam, bynajmniej. Wiem, że tyle uwielbiany u nas Garibaldi, otoczony apostatami od kaptura i sutanny, obowiązuje przysięgą swoich kapelanów, by pozwalali umierać rannym bez spowiedzi ¹⁾. Wiem, że u nas od razu szaleństwa swego nie odkryją; ale stopniowo zrównać się wypadnie z mistrzami. Powiecie, że na coś podobnego nigdy nie przystaniecie. Wierzę, ale postawieni między bagnetami rosyjskimi a kulą własną, czy się wszyscy zdobędziecie na wyznanie wiary waszej, choćby w ostatniej chwili.

To was czeka w najpożądanym dla was wypadku udania się powstania. A jeżeli się nawet nie zacznie, bo oto już więzienia i duchownymi się zapełniają, albo zaczęte zduszone zostanie? Rząd uzbrojony świeżemi prawami, przed sąd świecki albo wojenny was pociągnie. Może się zasłonicie przywilejami stanu waszego, powołacie się na Biskupa? a przecież samiście się tej opieki wyrzekli oddając się pod posłuszeństwo władzy świeckiej. Będziecie więc sądzeni i zasłani do więzień, do kopalni, do pułków, gdzie jak w piekle charakter wasz kapłański będzie powodem do większych dla was obelg i poniżeń, i nie będziecie mieli nawet pociechy w sumieniu. Nie będziecie mogli sobie nawet powiedzieć, jak wielu dawnych i obecnych zasłańców sybirskich, żeście się niewinnie tam dostali, a przynajmniej samych tylko siebie narazili. Nie bracia mili! wam szczęk broni przypomni co chwila, że dzwony kościoła waszego parafialnego milczą, że dzieci tam bez chrztu, a starcy bez rozgrzeszenia umierają. Zerwiecie się, zechcecie biedź ku Polsce, ku parafii, a tu pięść żołdacka przypomni wam, gdzie i z kim jesteście. I zdarzy się wam jak owym kapłanom żydowskim, o których mówią księgi machabejskie, że pobici byli na wojnie, bo nie mądrze sobie poczęli, w nieswoją rzecz się wdając.

*) Świeżo uciekł z Neapolu do Rzymu *kapucyn*, który to wyznał. Niedługo potem wszedł do celi jego człowiek świecki, ranił go ciężko sztyletem jako wiarołomcę i uciekł.

Bracia moi! bądźcie szczeremi i zgodnemi sami z sobą i z waszemi zasadami. Już po kościołach odzywacie się po sekciarsku, zamiast mówienia prawdy wszystkim, pobudzacie do nienawiści biedniejszych przeciwko zamożniejszym. Nie jest to już słowo Boże, jedno ludzkie albo szatańskie. Jeżeli chcecie być nie już kapłanami polskimi, ale kapłanami Polski ubóstwionej, do czego świeccy zapaleńcy dążą, zamiast białej komży Boga miłosierdzia i pokoju, wdziecie czerwoną bluzę, wynieście przenajświętszy Sakrament z kościoła, jako przesąd średniowieczny. Zanieście do świątyni, ubranej w barwy narodowe i rewolucyjne, ozdobionej popiersiami wielkich patriotów, zanieście obraz wystawiający powstańca z kosą stojącego na trupach bratnich i wrożych, podającego dłoń lewą kacapowi z zakrwawioną siekierą na karkach panów i czynowników, prawą Włochowi ze sztyletem w ręku i trucizną w zrabowanym kielichu kościelnym, z Macbiawelem i odezwaniami *prorolca idei* (Mazziniego) pod pachą. Na miejsce Matki Boskiej Częstochowskiej postawcie jakąkolwiek niewiastę z okiem bezwstydnem a bluźnierstwem u ustach, wyobrażającą republikę socyala, i zanóćcie potem z *Dymem pożarów* lub hymn marsylski: bo taka jest *idea*, taki niezbydny koniec (przy podobnych sprzymierzeńcach) komitetu Centralnego. Uczynicie tak Bracia, będzie to okropne, będzie bezbożne, ale przynajmniej szczerze; albo też zaraz rzućcie się do stóp Ojców waszych Biskupów i proście o uwolnienie od klątw, w któreście popadli, choćbyście się też mieli wystawić na sztylet komitetu Centralnego.

O mój Boże, mój Boże! żal i wstyd serce mi ściska, że takie rzeczy do braci mówić muszę. Do tego doprowadziła część' duchowieństwa macosza opieka schizmatyczna! Na to zszedł tak pięknie ruch zaczęty, za któryśmy się Bogu nieustannie modlili, i przed ludźmi ile się tylko dało, ręczyli! Pójdziem na pośmiewisko u ludzi, na pogwizd szatanów, że w przed - dobie zmiłowania Pańskiego cierpliwości nam brakło i dobrowolnie wrogowi dajemy, czego siłą i podstępem przez trzy pokolenia osiągnąć nie mógł.

Błagam was na kolanach bracia zbłąkani! błagam z sercem rozdartem, z powieką nabrzmiałą od bezsenności, upamiętajcie się i wróćcie bardzo prędko, na pociechę Boga

obrażonego, zapłakanych aniołów jego, na pociechę Kościoła i Ojczyzny.

II.

Jak skorom się zdobył na odwagę powiedzenia tylu rzeczy przykrych stronnictwu *ruchu* i braciom moim kapłanom, którzy mu się pociągnąć dali, czy prosta sprawiedliwość nie zobowiązuje mnie do powiedzenia także słowa prawdy stronnictwu *umiarkowania*? I owszem. Bóg, który śledzi nerki i biodra, wie, czy z wesołością serca i z buty ludzkiej wypowiadam jednym i drugim głośno, o czym ostrzegałem ustnie i listownie bliższych moich, o czym ostrzegłem wszystkich z kazalnicy.

Czy część umiarkowana narodu nie ma winy w tem, co się dzieje, nie ma winy w szczególności w zapomnieniu się części duchowieństwa? Niestety! nie mogę sumiennie odpowiedzieć *nie*.

Sięgając wyżej, przypomnę on grzech powszechny naszego obywatelstwa, iż jak skoro upadły senatorskie i bogate beneficya kościelne, rodziny zamożniejsze (z wyjątkiem kilku, które na palcach policzyć można) nie dostarczały już ochotników do stanu duchownego; skarżąc się potem obłudnie, na cztery wiatry, że duchowieństwo polskie nie dosyć światłe, nie dosyć gorliwe i przyzwoite, tłómacząc tem nawet swoje opuszczenie się w nabożeństwie; a tymczasem nie zważa jak wychowanie pierwsze umysłowe i obyczajowe niezbędnie potrzebne do ukształcenia duchownego.

„
Czy przynajmniej na wzór szlachty francuskiej, sami niezdolni już poświęcenia się osobistego na służbę Bożą,łożyliście, chętnie ua lepsze wychowanie biedniejszych lewitów? Wiedzą gorliwsi Biskupi, którzy starają się podnieść stopę oświaty po seminariach, i pomnożyć liczbę seminarzystów, wiedzą oni i my wiemy, jak podobne zachody szły z kamienia. I dziwić się potem, że księża tak opuszczeni w biedzie i trudzie dobiwszy się jakokolwiek kapłaństwa, zachowali urazę do obywatelstwa, nie zawsze jeszcze przykładowego, dziwić się, że nadstawili ucha podszeptom ludzi rewolucyi? Znając ludzką przyrodę, dziwiłby się trzeba, gdyby inaczej było.

Tem bardziej nie mogło być inaczej, że większość tak wychowanych kapłanów widzi się odepchniętą przez obywatelstwo i lekceważoną w stosunkach towarzyskich, zdolniejsi znowu i lepiej ułożeni, bywali rozbawiani, rozpieszczani szczególnie przez pobożną pleć niewieścią, a od mężczyzn popychani do demonstracyi, nawet przeciw woli Biskupów; i dziwić się potem, że niektórzy z księży dalej zaszli, niżby obywatelstwo chciało i nie zważając na Biskupów, konspirują? Ha! bracia, wszelki fałsz zwaca się prędzej później na nas samych. Skarżycie się głośno i słusznie, że świętojurcy galicyjscy bawią się w patryotyzm ruski i lud do socyalnej rewolucyi popychają, nauczcież się ztąd nareszcie nie używać księdza i kościoła za narzędzie polityczne.

Kiedy nastąpiły pierwsze samorodne bezbronne objawy ducha narodowego w Warszawie; nietylko swoi, ale obcy i najzimniejsi ludzie przyjęli je z podziwem i twierdzili, iż byleby naród wytrwał czas niejaki na tej drodze, zwycięztwo jego niechybne. A gdy się zaczęły sztuczne prowokujące demonstracje, nauczeni doświadczeniem jak się skończyły oklaski dla Piusa IX. dzięki ukrytym spiskowcom wśród dobrowiernej, ale owczej zawsze rzeszy, wskazywaliśmy podobne *włoszczyzny* w ruchu polskim i wzywaliśmy ludzi umiarkowanych do oporu, a przynajmniej do oddzielania się wyraźnie. Co nam odpowiadano? Ze zarody złego są, zapewne: ale tak słabe, iż nikną w zdrowej masie narodu, że trzeba cierpliwości, że nie wypada odkrywać niejedności niebezpiecznej w obec rządu, gorszącej w obec Europy.

Tymczasem przeciwnie się stało. Nieznacząca rzeczywistość zrazu, ale uorganizowana mniejszość, korzystając ze wspólnej firmy, korzystając z rosnącego rozdrażnienia uciskiem rządowym i swobodniejsza w wyborze środków, przeciągnęła do siebie ową chwiejącą się rzeszę, szukającą chorągwi, pod którąby stanąć. — Chęć jedności, którą się zasłaniają, dobra wprawdzie, ale jedność dobra i cenna wtenczas, gdy prawdziwa, to jest kiedy ją osiągnąć można bez poświęcenia prawdy i sprawiedliwości, inaczej jedność jest tylko pozorna i czasowa, Chrystus Pan, który przedewszystkiem przyniósł pokój na ziemię, powiedział także, że nie przyniósł pokoju, jedno miecz, to jest, iż pokój jak jedność prawdziwą wywalczyć zwykle potrzeba. I w obec rządu jedność wten-

—
czas coś znaczy, kiedy prawdziwa, sztuczna nie pomoże. A co do Europy, nie może ona nam w stanie gwałtownym będącym wymawiać niejedności, gdy we własnym jej łonie, wre wszędzie walka między stronnictwem przewrotu społecznego a częścią zachowawczą, czyli ostatecznie pomiędzy bezbożnością uorganizowaną w tajne towarzystwa, a widzialną hierarchią Kościoła katolickiego.

Wiem dobrze Bracia, że z daleka łatwiej spokojnie patrzeć i sądzić, przyznając trudności położenia, które choć nie usprawiedliwiają tłumacząc wahanie się do czasu, ale gdy złe rosło, wypadało koniecznie części umiarkowanej narodu, dopóki jeszcze hasło było wspólne *walka moralna*, uroczyście się przy niem opisać, i z góry uprzedzić i opierać się przeciwko następnemu hasłu *powstania* zbrojnego.

Tak się stać było powinno, a nie stało się dla czego?

Dla tego, iż nie jeden może nie zdając sobie z tego sprawy, chcąc się zachować dla rzeczy publicznej, lękał się narazić lub utracić swoją popularność. Od dzieciństwa uczą nas matki modlić się o miłość ludzką, to też tak o nią dbamy, iż dla niej poświęcamy często i samą bojaźń Bożą. Popularność tę przechodnią dają lub odbierają języki, a bardziej jeszcze gazety; a tu w Polsce nie ma ani jednego dziennika politycznego, szczerze zachowawczego, szczerze umiarkowanego, bo ani jednego katolickiego. I w tem dziwo nie małe, bo wszystkie głównie czytane i podtrzymywane groszem ludzi zamożniejszych i umiarkowanych. Niemaszże w tem znowu niedarowanego sprzeciwieństwa? Naród rozpalony jak kruszec w stanie płynnym gotów przyjąć, wlać się we wszelką formę, którą mu podstawią. Naród umiera bezbronnym pod kopytami końskimi, nócąc hymny patryotyczno - religijne, dziewczeczki przechadzają się spokojnie przed nabitemi i wymierzonymi działami; a jednego dziennika katolickiego w całej Polsce nie ma, owszem wszystkie wydawnictwa antykatolickie, a mimo to wszystkie czytane bez oburzenia. Tego sprzeciwieństwa i choroby popularności u niektórych nie tłumaczy, bośmy przecie wiele już zyskali na odwadze moralnej, muszą być jeszcze głębsze powody. Zkądże tedy ta sprzeczność? trzeba bolesną prawdę powiedzieć, a raczej przypomnieć. Od podziału kraju naszego, rozżaleni grzechem rewolucyjnym monarchów, rzuciliśmy się w objęcia bezbożnej

rewolucyi ludowej francuzkiej, która ze swej strony dobrodusznemu królowi ścięła była głowę. Odtąd wszelka opozycja u nas popłatna, wszelka rewolucya (zachowująca dawne u Polaków zuaczenie, zmiany w stosunkach państw) pełna dla nas uroku. Polak umiarkowany, zachowawczy w domu, rewolucyjny za granicą i w polityce. Dla siebie marzy majorat angielski, za granicą brata się z Prudhonem. Arystokratki nasze z rodu nawyknień i przekonań, popisywały się czerwoną bluzą, szczęśliwe i pyszne, gdy dostały wizerunek Garibaldeggo. Czy podobna, aby kłamstwo takie trwało długo bez szkody? Czy podobna, by zasady podziwiane u obcych nie przyjęły się w domu? Nie, niepodobna. Jest logika nieubłagana, jest Nemezis społeczna. Wyobrażenia zachodnio rewolucyjne, przewiane bezbożnością, musiały wpaść całą siłą do Polski, w której nie znajdowały oporu, albo słaby i pokątny tylko.

Wszakże Mazzinizm nagi, nawet w wojennej bluzie Garibaldeggo, nie przystawał całkiem do smaku naszym umiarkowanym. Szukali oni możebnego środka pomiędzy katolicyzmem i rewolucją.

Rozkochali się w ouym bękarcim niby konserwatyzmie, w onej gimnastyce pomiędzy prawdą i fałszem, w onem umiarkowaniu rzeczniczem i dziennikarskiem, bo bez zasad i przekonania, w onem nieprzystawianiu na nadużycia dawnego porządku, i na ostateczności wyobrażeń nowożytnych, w onym despotyzmie obłudnym, a upstrzonym pozorami liberalizmu i demokracji, którego to konserwatyzmu w ostatnich czasach Piemont dał nam wzór wydatny. Umiarkowani nasi (liczący obok siły moralnej chętnie na obce działa gwintowane), całtem sercem do niego przyłgnęli.

W Pemoncie nastąpiło obłudne małżeństwo (connubio) odwiecznej ambicyi militarnej monarchii piemonckiej, rozszerzania się we Włoszech, z karbonarsko-wolnomularską ideą Mazziniego jedności absolutnej Włoch, nigdy przedtem nie zcentralizowanych historycznie, jeograficznie i duchowo, tylko po sąsiedzku, i bratersko obok siebie żyjących. Polacy w te pędy znaleźli wzór pogodzenia wszystkich stronnictw i wywalczenia całości kraju, porównali jedność swoją historycznie stopniowo wykształconą, a gwałtownie rozdartą, z podbojem piemonckim, przekupstwem i sztyletem podpieranym. Sympa-

tye wszystkiego co nie katolickie dla Piemontu, sympatyę Rosyi i Prus, nie ostrzegły was, że tu sprawa rewolucyi gwałtu i jedności plemiennej, jakaby była u nas całość słowiańska a nie narodowa. — Że stronnictwo gwałtowne tak utrzymywało, że dziennikarstwo niekatolickie (mniej więcej u nas jak gdzieindziej zależne od towarzystw tajnych) tak głosiło, że rzesza niecierpliwa ciężkiego jarzma temu wierzyła, to rzecz prosta; ale że wy bracia hołdownicy praw historycznych, zwolennicy walki moralnej i legalnej natoście przystali, to i błąd i grzech ciężki. Bóg sam w miłosierdziu swoim wielkiem, wam zachowawcom a nie mogącym się oprzeć na rządzie obcym, podawał jedyny najszcześniejszy środek stanięcia przy najwyższym, najczystszy, jedynym dziś wyobrazicielu prawdziwego konserwatyzmu praw historycznych, przy papieżu, od chwili szczególnie, gdy rozbój piemoncki doszedł do granic jego bezbronnego państewka: a wyście tej chwili opatrnej nie pojęli i nie pochwycili. Kiedyście pisali on piękny adres, a raczej skargę i protestacyą do cesarza, należało spółcześnie napisać drugą do Ojca Św., który ma od Boga w składzie źródło wszelkiej władzy, którego przodkowie jedyni protestowali przeciwko rozszarpaniu waszej ojczyzny, który choć od was widocznie opuszczony, dwa razy on jeden odezwał się do was, ze słowem otuchy i pociechy. O ileżby więcej uczynił, gdyby widział naród cały szczerze katolicki do niego w nieszczęściu jego i słabości przemocnej z ufnością garnący się miłośnie. O! Bracia! chcieliście bronić podań prawa zgwałconego, walczyć bronią moralną, bronią ducha, więc odwieczną bronią kościoła, a poświęciliście naturalnego waszego naczelnika i opiekuna dla zdobywcy, który w ciemnościach waszych szukał i znalazł sprzymierzeńców.

Gdybyście to byli w czas uczynili, oddzielilibyście się byli stanowczo i zaszczytnie od stronnictwa skrajnego jeszcze słabego. Bylibyście stanęli silnie w obec rządów zaborczych, przyciągnęlibyście najskuteczniej lud do siebie, który tysiącami na jednego szlacheica walczył w szeregach papieżkich, i dziś bieży o żebranym chlebie wypłakać się u stóp Ojca św.¹⁾

¹⁾ Zapewniano mnie, iż jedna cleputacya wiejska przybyła do Warszawy dla zawarcia *pactóiu conuentów*, z komitetem cen-

podczas gdy z waszych ledwo kilka osób (i to zwykle kobiety) trwają przy krzyżu papieżkim. Gdybyście byli to wczas uczynili, massa chwiejąca się po miastach, przy was byłaby została. Z wami by trzymała hierarchia kościelna, niebaczni młodzi Księża nie byliby się poddali komitetowi centralnemu, i ten komitet nie wzywałby was dzisiaj do współpracy t. j. do poddania się.

Ostrzegano was o tem na czas, błagano, (wprawdzie byli to Księża i rzadki świecki) nie posłuchaliście, dziś musicie znosić bolesne następstwa. W domu musieliście i musicie do reszty oddzielić się od stronnictwa gwałtownego, jakkolwiek późno i niekorzystnie, albo zostaniecie pochłoniętemi, jak we Włoszech sekciarski Mazzinizm pochłonie organizacją wojskowo administracyjną podbójczego Piemontu. Jesteście osłabieni, bo nie macie podstawy, bo nie macie zasady. Trudno długo utrzymać się na pochyłości stromej, na której stoicie, skacząc w prawo i w lewo z góry i na dół. Na zewnątrz, skoro przyklaskiwaliście rozbojom piemonckim we Włoszech, musicie cierpieć podobne u siebie, ubarwione także frazeologią liberalną i postępową; bo u Boga dwóch wag i dwóch miar nie ma: „nie czyń drugiemu co tobie nie miło.” — Przyklaskiwaliście jedności włoskiej siłą przeprowadzanej, żartowaliście z małych narodowości podpieranych przez szlachtę i Księży, wytrzymajcież parcie wielkiej jedności Rossyjsko-Słowiańskiej czy pod formą państwa czy pod formą rzeeczypospolitej, w którejbyście koniecznie rozpłynęli się. A nie zastawiajcie się tem, że Włosi mają jeden język piśmienny (piśmienny tylko); bo już więcej niż dwie trzecie piśmiennych Polaków umie po rossyjsku, a reszta chętnie czy niechętnie rychłoby się nauczyła.

Panowie Bracia! jeżeli to piszę, to powtarzam nie dla lichego tryumfu miłości własnej, żem jeden z tych, których tuman nie oślepił, wichur nie uniósł. Winienem to nie moim zdolnościom, których wielu z was więcej ma, jedno żem w prostocie serca, chciał być katolikiem z papieżem, z biskupami, nie z politykami i dziennikarstwem. Piszę dla tego,

tralnym, między innemi pytaniami i to położyła: „jak też panowie z Ojcem św. ?”

iż jakkolwiek rzadko Bóg pozwala w rzeczach zewnętrznych tymże samym ludziom naprawiać błędy przez nich popełnione, widzę jednak tak ojcowską rękę Opatrzności względem nas, chcącą naszego upamiętania się nie zaguby, iż nie wątpię, że w tej chwili jeszcze, bylebyście się szczerze uderzyli w piersi, z większym trudem zapewne, ale wielebyście jeszcze odzyskać i naprawić zdołali. Dałby Bóg, abyście nie pogardzili prawdą dla podłości pośrednika, przez którego do was ona przychodzi! Wtenczas podwójnie mi miłe będą wszystkie choćby przykre następstwa tego ostrzeżenia danego i miłym Braciom moim kapłanom i zacnemu obywatelstwu.

Pisałem w Rzymie
w oktavie Trzech Króli r. p. 1863.

VII
PRAWODAWSTWO KOŚCIELNE

w rzeczy
tajnych towarzystw.

fowarzystwa tajne nowożytne wylęły się najprawdopodobniej z ostatków Templaryuszów przedłużających byt swój w kształcie towarzystwa tajnego. Na teraz nie zamierzamy sobie zbijać nagromadzonych potwarzy przeciw sprawiedliwości wyroku papieżkiego znoszącego ten zakon. To pewna, że skryci ich potomkowie zachowują gniew nieubłagany przeciw Kościołowi i Stolicy Apostolskiej. Szczątki Templaryuszów schroniły się i zorganizowały w Szkocyi: to też obrządek szkocki najstarszy jest w *wolnomularstwie*.

Na początku XVIII, wieku owo *wolnomularstwo* zaczęło się rozszerzać we Francyi, dodamy, że już pod koniec stulecia, król francuzki uwięziony był w Tempie, dawnej rezydencyi Templaryuszów.

We Włoszech *wolnomularstwo* rozszerzyło się w kształcie i pod nazwą *węglarstwa* ¹⁾, które Pius VII nazywa odrostkiem *ivolnomularstiva* (w każdym razie jestono jego naśladowaniem.)

Z początku *icęglarze* bronili Burbonów włoskich przeciw Napoleonowi I. Po roku 1815 byli sprawcami wszystkich ruchów rewolucyjnych we Włoszech; w łonie *węglarstwa* wy-

¹⁾ Societates... quocunque nomine pro regionibus aut idiomatum yarietate appellatas, quartim societatum fortasse propago, vel certe imitatio haec carbonariorum societas existimanda est...

lęła się myśl jedności Włoch i obalenia władzy doczesnej Papieża.

W roku 1833—4, Józef Mazzini założył *Noive Włochy i -Nową Europę*, jakoby gałąź *wolnomularstwa i węglarstwa*.

Zresztą trudno wyliczyć wszystkie nazwy i kształty towarzystw tajnych, tego strasznego polipa w łonie społeczeństwa chrześcijańskiego.

Nie jest naszym zamiarem pisać obecnie dzieje tych towarzystw. Pora z wielu miar niestosowna nam się widzi,¹⁾. My chcemy po prostu przytoczyć zdanie Kościoła i wyroki kościelne, a to aby odpowiedzieć: i tym którzy się dopytują: *gdzie one są*, i tym którzy twierdzą, że klątwy imienne przeciw wolnomularstwu i węglarzom *bynajmniej nie grożą i innym stowarzyszeniom i zgoła nie tyczą się innych tajnych towarzystw*. Zawsze jest dobrze wiedzieć czego chce Kościół matka nasza, i co wiernym nakazuje. Wspomniemy, że jeśliby kto miał jaką wątpliwość co do tekstów lub co do wykładu, może zawsze udać się do Rzymu z kąd niezawodnie odpowiedź otrzyma. Katolikom w żadnym razie „nie godzi się w wątpliwości co do rzeczy tej wagi pozostawać.

Powiedzieliśmy że na lądzie stałym, mianowicie we Francji *wolnomularstwo* zaczęło się rozszerzać na początku XVIII, wieku. Otóż Klemens XII. zaraz r. 1738 występuje z bullą *In eminenti* ²⁾ i potępia je. Ojciec św. zaczyna od tego, że jemu jest złecone wzbranianie przystępu *błędom i zepsuciu* (errorum vitiorumque), strzeżenie całości religii, i oddalanie niebezpieczeństw grożących. A że się dowiedział iż wszędzie się rozszerzają towarzystwa *wolnych-mularzy*, do których się wpisują podług statutów ludzie różnych wyznań „poprzestający na pozorach pewnej uczciwości przyrodzonej... „ludzie, którzy współ potajemnie działają — a przysięgą i groźbą kar zobowiązani są do pokrywania (wszystkiego) niezłomnem milczeniem “³⁾. „A w umysłach wiernych, mówi dalej,

¹⁾ Wyborne dziełko w tym przedmiocie w języku francuzkim, wydał świeżo Mgr de Segur.

²⁾ IV Kalen. Maii 1738. Bulla 229. Bullarium Romanum Tom. XIV pag. 236 Romae apud Mainardi 1744.

³⁾ Quadam honestatis uaturalis specie contenti... quique simul elain operantur... et in jure juraudo.... et poenarum exa-geratione inyiolabili silentio obtegere adstringuntur.

„do tego stopnia obudzili podejrzenie, iż wpisywać się <łq „podobnych towarzystw jest toż samo, co być podejrzanym „o nieprawość i przewrotność.”... Papież dodaje jeszcze, że gdyby tam wszystko było dobre, stowarzyszeni tak daleceby *światła* nie nienawidzili ¹⁾). Następnie Ojciec św. wykląda powody potępienia:

„My przeto... czuwając 1-mo aby tego rodzaju ludzie „jako złodzieje łanu nie pustoszyli, '2-do i jako liszki win- „nicy zniszczyć się nie kusili, 3-io aby serc prostych niepo- „odwracali, 4-to w niewinnych strzałami pokrywomo nie go- „dzili, 5-to dla zawalenia przeszerokiej drogi do pełnienia „bezkarne nieprawości, jakaby ztąd otworzoną być mogła, „6-to i z innych słusznych i sprawiedliwych powodów nam „wiadomych... też towarzystwa ²⁾)... wolnych mularzy albo franc „maçons, albo *jakiemkolwiek innem imieniem nazywane*... peł- „nością władzy apostolskiej stanowimy, iż zasługują na *po- „tępienie i zakazanie*, jako niniejszem potępiamy je i zaka- „pujemy. Przeto wszystkim i każdemu z osobna wiernym „Chrystusowym jakiegokolwiek stanu, czy to świeckim czy „duchownym, tak księżom jak zakonnikom nakazujemy: aby „nikt pod jakimkolwiek pozorem (*sub quovis praetextu*) „nie śmiał wstępować do wzmiankowanych towarzystw, roz- „szerzać je, pielęgnować, w swoim mieszkaniu przyjmować, „i ukrywać, do nich się wpisywać, przyłączać, być na nich „albo ułatwiać zwołanie ich, gdziekolwiek bądź, czemkolwiek „tymże usłużyć albo inaczej całą pomoc albo opiekę (*favo- „rem*) otwarcie albo pokrywomo, wprost albo z ubocza, dać, „ani też innych przyciągać; radzić aby się wpisywali, bywali „na zebraniach (*intersint*), niemi się opiekowali, albo je „wspierali, ale całkiem *i najzupełniej unikać ich winni* (ab

¹⁾ Jam vero fidelium mentibus eousque suspicionem inges-
serunt, ut iisdem aggregationibus nomen dare apud prudentes et
probos idem omnino sit ac pravitatis et perversiois notam in-
currere... nisi enim male agerent, tanto nequaquam odio lucem
haberent.

²⁾ Eisdem societates... de liberi-muratori seu francs-maçons,
aut alio quocumque nomine appellatae... apostolicae potestatis
plenitudine damnandas et prohibendas esse statuimus, prout prae-
senti damnamus et prjhibemus.

„iis prorsus se abstinere debent)... *pod karą* ¹⁾ *klătioy*, w którą „czynem samym wpadną... a od której nikt inaczej, jedno od „nas samych (to jest od Rzymskiego Papieża) *zdola otrzymać „laskę rozgrzeszenia*. Chcemy aby Biskupi (locorum ordinarii)... „wszędzie przeciw wykraczającym występowali, jakiegokol- „wiekby byli stanu, i badali ich, jako gwałtownie o herezyą „podejrzanych i odpowiednimi karami ścigali... Datum IV. „Kalen. Maii 1738 A. Card. Prodatur Visa de Curia All- „tonellus L. B. Eugenius."

Taka jest bulla Klemensa XII. W lat 13 potem Benedykt XIV ogłosił konstytucję *Providas* ²⁾, w której powiada: gdy niektórzy twierdzić śmieli, iż klątwa „*latae sententiae*" zawyrokowana przez Klemensa XII. na wolnych-mularzy już nie dotyka ich, przeto iż on (Benedykt XIV) jej nie potwierdził; w tym celu ogłasza bullę swoją dla pokazania zupełnej zgodności z myślą i wolą swego poprzednika. Już dosyć pokazał, iż chce, aby cenzura przez Klemensa nałożona miała moc zupełną: 1-mo przez rozgrzeszenia dane od tejże cenzury, 2-do przez udzielenie władzy penitencyaryuszom do rozgrzeszania od tejże cenzury, 3-io przez nakazanie czujności Trybunałom... Teraz zaś „*tęż* ³⁾ poprzednika naszego konstytucją „dosłownie powyżej umieszczoną, niniejszem w formie szczególnej potwierdzić postanowiliśmy.... i *tęż*... jak „gdyby uaszem motu proprio, władzą, i imieniem po raz pierwszy były wydane: potwierdzamy, umacniamy i uznawiamy, i chcemy, i stanowimy, aby miały stałą moc i skuteczność."

¹⁾ Sub poena excommunicationis ipso facto incurrendae, a qua nemo nisi per nos...absolutionis beneficium valeat obtinere.

²⁾ S^{rai} Dⁿⁱ N^{ri} Benedicti XIV. Bullarium Tom III. pag 373. Romae 1753. Typ. S. C. de propaganda fide.

³⁾ Eandem praedecessoris nostri constitutionem, praesentibus de verbo ad verbum insertam ut supra in forma specifica confirmare decrevimus prout eam...perinde ac si nostris motu proprio, auctoritate, ac nomine primum edita fuisset: confirmamus, roboramus, et innovamus ac perpetuam vim et efficaciam habere volumus et decernimus.

Benedykt XIV powtarza powody potępienia towarzystw tajnych już przez Klemensa XII wyliczone, niektóre wszakże wyraźniej od swego poprzednika. Datum Ilomae 15 Juuii 1751.

Wielka rewolucya francuzka pokazała, że jedni tylko papieże czuwali, przewidywali, ostrzegali: niestety i później oni jedni obowiązku swego nie zaniedbywali. Pius VII wydał 18-go września r. p. 1821 a 22-go papieztwa swego bullę „Ecclesiam a Jesu Christo,” w której potępia towarzystwa tajne tak zwanych węglarzy albo karbonarów ¹⁾.

Zaczyna Ojciec św. od przypomnienia: „iż Kościół św. zawsze, „ale tem bardziej w tych czasach tak jest napastowanym, iż dają się poznawać ostatnie czasy, o których posiedziano jest, iż przyjdą ²⁾ naśmiewcy, według pożądań „swoich chodzący w bezbożnościach... Bo nikomu nie tajno... „że główną ich troską, aby oszukawszy za pomocą filozofii „i czczego zwodnictwa, wiernych, samże Kościół osłabili i „podwrócili. Co aby łatwiej przewiedli wielu z nich związało „się w tajne towarzystwa, spodziewając się łatwiej tem, wielką liczbę przeciągnąć do spółki sprzymierzenia swego i „zbrodni!

„Już dawniej Stolica Apostolska.... rady ich odsłoniła: „ale niestety... źli ludzie nigdy raz powziętego zamiaru nie „odstąpili, zkaąd wypłynęły nareszcie klęski, któreśmy my „sami widzieli. Owszem śmieli jeszcze nowe tajne towarzystwa pozawiezywać.

„Wspomnieć.... wypada towarzystwo świeżo zrodzone „i szeroko po Włoszech i innych krajach rozprzestrzenione, „które chociaż na wiele sekt jest podzielone, i podług ich „rozmaitości różne i osobne nazwy niekiedy przybiera, wszakże „zdań i zbrodni współnictwem i sojuszem pewnym zawartym jedno jest, i węglarskiem powszechnie zwykło się nabywać. Udają ³⁾ oni wprawdzie szczególną obserwancyą

¹⁾ Bulla MXIII. Daranatio Societatis secretae nuncupatae Carbonariorum. Bullarii Rom. Continuatio a Clemente XIII. ad Gregor. XVI. Tomus XV. Continuatio Pontificatus Pii VII an 19—24. Romae 1853.

²⁾ Venient illusores secundum desideria sua ambulantes in impietatibus...

³⁾ Simulant illi singularem observantiam et mirificum quodam studium in catholicam religionem et in J. C. personam et

„i dziwną jakąś gorliwość o katolicką religią i Chrystusa „Pana... osobę i naukę, którego nawet Rządcą i Wielkim Mistrzem swego towarzystwa, niekiedy śmieją bezbożnie nazywać. Ale te mary niczem są innem jedno pociskami użytymi „przez chytrych ludzi dla zranienia bezpieczniejsz mniej bacznym ludzi, którzy przychodzą w odzieży owczej a wewnątrz są wilkami drapieżnymi... *Przysięga*, którą się zobowiązują nie odkryć nigdy i w żadnym razie... niewtajemniczonym cokolwiekby się tego towarzystwa tyczyło, ani znosić „się z tymi, którzy pozostają w stopniach niższych w czemkolwiek co do wyższych stopni należy: *potajemne* te i niesprawne zbory i *przyjmowanie* (cooptatio) ludzi jakiegokolwiek wyznania... do swojej sekty... dostatecznie dowodzą, iż „nie można przywiązywać najmniejszej wiary do wspomnianych ich twierdzeń. Księgi przez nich wydane... ich katechizmy i statuta, i inne autentyczne... dokumenta, równie „jak świadectwa tych, którzy to towarzystwo opuściwszy... „wyraźnie twierdzą: iż węglarze do tego głównie zdążają aby „wielką dać każdemu wolność układania sobie religii, którąby „wyznawał podług właszego umysłu, i ze swoich mniemań

doctrinam quem etiam societatis suae rectorem et magnum magistrum nefarie aliquando audent appellare. Verum sermones hi... nihil aliud sunt quam jacula ad tutius vulnerandos minus cautos a callidis hominibus adhibita qui veniunt in vestimentis ovium, intrinsecus autem sunt lupi rapaces....

Jus jurandum quo... pollicentur se nullo unquam tempore, nullo casu vel patefacturos non adscriptis quidpiam, quod eam societatem respiciat vel communicaturos cum iis qui in gradibus inferioribus versantur aliquid quod ad gradus pertineat superiores... clandestina illa et illegitima conventicula... et cooptatio hominum cujuscunque religionis... in suam sectam... satis persuadent nullam memoratis eorum dictis fidem haberi oportere.

Libri ab ipsis typis colliti... eorum catechismi et statuta, aliaque autentica... documenta, nec non eorum testimonia qui cum eam societatem deseruissent... aperte declarant: Carbonarios id proecipue spectare ut magnam licentiam cuique dent religionem quam colat proprio ingenio, et ex suis opinionibus sibi fingendi, indifferentia inducta in religionem ut J. Ch. Passionem per nefarias quasdam suas caeremonias profanent et polluant, ut ecclesiae sacramenta... et mysteria contemnant... atque Sedem lianc Apostolicam evertant...

„wprowadzając taką obojętność religijną... aby Chrystusa Pana „mękę niegodziwemi pewnymi swemi obrządkami profanował' „i kalali; aby sakramentami kościelnymi... i tajemnicami gardzili, i Stolicę tę Apostolską obalili...”

Papież dalej o tej sekcie mówi:

„...Jakkolwiek bezpiecznie się przechwała że od wyznawców swoich wymaga, aby w miłosierdziu i wszelkim rodzaju „cnót się ćwiczyli... 1-mo rozkoszom lubieżnym najbezwstydniej ono sprzyja, 2-do uczy, iż wolno tych zabijać, którzyby nie dotrzymali przysięgi danej na milczenie, o której powyżej była wzmianka... Ztąd powstały one zbrodnie świeżo „od węglarzy we Włoszech dokonane...” *)

„Przypomina potem Ojciec św. dwie poprzedzające bulle „Klemensa XII i Benedykta XIV; a ponieważ, mówi, węglarze utrzymują, że nie mogą być objęci owymi dwoma konstytucjami i że one ich nie dotyczą, przeto... pełnością władzy apostolskiej wzmiankowane towarzystwo węglarzy, albo „jakiemkolwiek innem imieniem nazywane, i jego zbory... postanowiliśmy potępić i zabronić... jakoż obecną naszą konstytucją mającą mieć moc na zawsze potępiamy i zakapujemy” ²⁾).

Następnie Ojciec św. rozkazuje w moc świętego posłuszeństwa wszystkim wiernym jakiegokolwiek stanu i powołania: aby pod *żadnym pozorem* do tego lub jakiegokolwiek bądź podobnego tajnego towarzystwa nie wchodzili, do domów ich nie przyjmowali, i żadnej pomocy i opieki nie dawali i t. d. ³⁾ a to pod karą klątwy, w którą rzeczą samą

się wpada, a od której nikt okrom rzymskiego *papieża rozgrzeszyć nie może*.

Nakazuje następnie Ojciec św. pod tą karą klątwy, aby wierni donosili biskupom wszystkich, o których wiedzą, że się wpisali do tego towarzystwa, albo się dopuścili zbrodni wspomnionych. Potępia nareszcie wszystkie księgi wydane przez węglarzy, albo w ich obronie, i pod karą klątwy samemu papieżowi zachowanej, zakazuje czytać albo zachowywać takie książki i poleca je oddawać biskupom. *)

Leon XII. bullą ²⁾ „*Quo graviora*” ogłoszoną roku 1825 potępia towarzystwo wolnych mularzy i wszelkie inne towarzystwa tajne. Zaczyna od oświadczenia: iż im bardziej Kościół Rzymski od wrogów jest napastowany, tem bardziej powinni zaradzać ci, którym to od Boga polecono, aby szkody jakiej nie poniósł. Przeto poprzednicy jego starali się aby sekty, grożące kościołowi ostateczną zagładą były potępione i wykorzenione.

Przytacza dosłownie konstytucje powyżej przez nas streszczone Klemensa XII. i Benedykta XIV. i wyraża żal, że rządy nie korzystały z ostrzeżeń Stolicy Apostolskiej. To też w skutek lekkiego traktowania tak ważnej sprawy ze starych onych sekt massońskich, które nigdy całkiem nie wygasły, wyrosło wiele innych gorszych i zuchwalszych jeszcze. Wszystkie je w sobie niejako zawarła sekta węglarzy, jakoby naczelna we Włoszech i wielu innych krajach, i na wiele gałęzi rozdzielona różniących się nazwą tylko, zajadłą religii katolickiej wydała wojnę. I przeto przez Piusa VII. bullą

¹⁾ Quamvis confidenter jactet se a suis sectatoribus exigere ut charitatem et omne virtutum genus excolant... libidinis voluptatibus impudentissime ea favet, docet licere eos interficere qui datam de secreto quod superius minoratum est fidem non servaverint... Ex quibus ea exstiterunt in Italia facinora nuper a carbonariis commissa.-

²⁾ Apostolicac potestatis plenitudine praedictam societatem Carbonariorum aut alio quocunque nomine appellatam, ejus coetus... damnanda et prohibenda esse statuimus prout praesenti nostra perpetuo valitura Constitutione damnamus et prohibemus.

³⁾ Sed omnino ab eadem... prorsus abstinere se debeant, sub poena excommunicationis... ipso facto... incurrenda, a qua nemo nisi per... Romanum Pontificem absolutionis beneficium valeat obtinere...

¹⁾ Praecipimus praeterea omnibus sub eadem excommunicationis poena... ut teneantur denunciare Episcopis vel ceteris ad quos spectat, eos omnes, quos noverint huic societati nomen dedisse vel aliquo ex iis criminibus quae commemorata sunt se inquinasse...

...Damnamus et praescribimus omnes Carbolibros et Catechismos quibus describuntur quae in eorum conventibus geri solent; eorum statuta... ac libros ad eorum defensionem exaratos... et quibuscumque fidelibus... sub eadem poena excommunicationis reservatae... prohibemus memoratos libros legere vel retinere ac mandamus ut eos... ordinariis... tradant...

²⁾ Bulla CIII 13 Martii 1825. 2° Anno. Bullar. Rom. continuatio Tom XVI pag. 345. Romae 1854.

„Ecclesiam a Jesu Christo” którą dosłownie przytacza, jest potępioną.

On sam (papież) niczego nie zaniedbywał, aby sekty te jak najdokładniej zbadał. „Czyniąc, mówi, te poszukiwania, „łatwośmy zrozumieli że wzrosła zuchwałość tych sekt z powodu przybycia nowych. W rzędzie których wspomnieć „szczególnie trzeba onę *uniwersytecką* zwaną, a mającą siedlisko swoje... po wielu wszechnicach, gdzie niektórzy nauczyciele starający się nie tak uczyć jak psuć młodzież, wtajemniczają onę w najprawdziwsze tajemnice nieprawości, „i do wszelkiej zbrodni zaprawiają! ’)

„Ztąd ciągle próby nowych zamieszek, i obawy tych, „którzy przez sekty na śmierć są skazani. Ztąd także „pochodzą najdotkliwsze klęski wszędzie prawie Kościół trapiące.... Napastowane są dogmata i przykazania, godność „jego (kościół) osłabiona, a pokój on i swoboda którychby „z prawa używać powinien, nie tylko są zakłócone, ale i obalone. Księgi, które o religii i rzeczy publicznej wydać nie „wahali się ci co się do tych sekt powpisywali... kodeksa „i ustawy (ich)... wyraźnie objawiają wszystko cośmy wspomnieli.... A to także ²⁾ za pewne i dowiedzione mieć trzeba „że sekty te *jakkolwiek* imieniem różne związane są z solą „niepoczciwym węzłem najprzewrotniejszych zamiarów.

„Przeto ³⁾ uważamy za obowiązek naszego urzędu na

’) Ex quibus ea praesertim memoranda est quae *universitaria* dicitur quod sedem et domicilium in pluribustudiorum universitatibus habeat in quibus juvenes a nonnullis magistris, qui eos non docere sed pervertere student, ejusdem mysteria quae iniquitatis mysteria yerissime appellari debent initiantur et ad omne scelus informantur.

²⁾ Atque hoc yeluti certum exploratumque babendum est, has seetas licet nomine diyersas nefario tamen impurissimorum consiliorum yinculo esse inter se conjunctas.

³⁾ Muneris nostri censemus, iterum clandestinas has sectas condemnare *atque ita quidem ut nulla ex iis jactare possit se apostolica sententia nostra non comprehendi...* itaque... societates occultas omnes tam quae nunc sunt, *tam quae fortasse deinceps erumpent et quae ea sibi... proponent quae superius commemoramus* quocunque tandem nomine appellentur has perpetuo prohibemus sub iisdem poenis quae continentur in praedecessorum nostrorum litteris.

„nowo potępić tajne te sekty, i to tak, aby żadna z nich nie „mogła się przechwalać jakoby apostolskim wyrokiem naszym „objętą nie była..

„Przeto... Towarzystwa tajne wszystkie, tak te które „są obecnie, *jak one które później powstać mogą*, i które „to sobie... zamierzają cośmy wyżej wspomnieli to jest obalenie kościoła i społeczeństwa chrześcijańskiego, jakimkolwiekby się imieniem nazwały, my na zawsze zakazujemy, „pod temiż karami, które są zawarte w listach naszych poprzedników."

Następnie zakazuje Ojciec święty wszystkim wiernym, wchodzenie do tych towarzystw, ukrywanie ich, bronienie itp., a nakazuje donosić o nich biskupom. A dalej mówi: „przedewszystkiem zaś przysięgę onę wyraźnie bezbożną i zbrodniczą jaką się obowiązują wchodzący do tych sekt, że ni „komu nie objawią tego co się tych towarzystw tyczy, i że „śmiercią ukarzą wszystkich towarzyszy którzyby to przełożonym, czy duchownym, czy świeckim objawili, zupełnie potępiamy, i za całkiem nieważną ogłaszamy." ’)

I daje powód takiego potępienia:

1-mo Przeto że takowej przysiędze nie towarzyszy *sprawiedliwość*, albowiem tak przysięgający czynią Boga poręczycielem zbrodni.

2-do Iż Boga wzywają ci co się Boga zapierają, i przeto przysięga oddana jest na poniewierkę.

Odzywa się potem Ojciec święty do pasterzy słowami Pisma świętego wzywając, aby czuwali nad sobą i powierzoną sobie trzodą, nad którą postawił ich biskupami Duch S-ty, przypomina, że trzodę napadną wilki żarłoczne... „Nie ścierp- „myż, woła, jako psy nieme, aby trzody nasze zostały rozszarpane. Chrześcijanami *) albo pozostać dalej, albo i być

’) Praecipue vero jusjurandum illud impium plane, ac sceleratum, quo se obstringunt; qui in has sectas cooptantur, nemini patefacturos quae ad illas sectas pertinent et morte mulctaturos »eos omnes sodales qui ea superioribus sive ecclesiasticis sive laicis patefaciunt, omnino damnamus et plane irritum declaramus.

²⁾ Christiani ultra aut durare aut esse non possumus, si ad hoc ventum est ut perditorum minas aut insidias pertimescamus.

„już nie możemy, jeżeli do tego przyszło, byśmy się bali „grózb, albo zasadzek ludzi zgubionych”

Odzywa się nareszcie czule i wymownie do wiernych mówiąc: „Do was tuż wszystkich o najmilszy synowie, wyznawcy katolickiej wiary z osobnem słowem i napomnieniem „naszem się obracamy: unikajcie całkiem ludzi dla których „światło ciemnością, a ciemność światłością. Jaka bowiem „rzeczywista korzyść przyjść wam może z połączenia się „z ludźmi, którzy nie oglądają się na Boga, ani żadną wyższą władzę, a przez zasadzki na pokątnych schadzках „wojnę im wydać usiłują, i którzy chociaż na placach publicznych, i wszędzie wołają że są najgorliwsi o pospolite „dobro Kościoła i społeczności: wszakże wszystkimi swojemi „postępkami już dowiedli, że chcą wszystko zamieszać i obalić. Są oni zaiste do tych ludzi podobni, którym święty Jan „(2. Efez 10) ani gospody dać każe, ani pozdrowienia, i których pierworodnymi szatana, starsi nasi witać się nie wachali. Unikajcie zatem ich pochlebstw i miodowych słówek, „którymi radzić wam będą, abyście się wpisali do tych sekt „do których oni już należą. Miejcie za pewno, iż nikt nie „może mieć udziału w tych sektach bez dopuszczenia się „najcięższego występku, i przeto słowa ich od uszu waszych „odmiatajcie: bo dla otrzymania waszego przystania, abyście „przyłączyli się do pierwszych stopni w ich towarzystwach, „najmocniej zapewniają, że się w tych stopniach niczego nie „przyjmuje, coby się religii lub rozumowi sprzeciwiało, owszem „że się niczego tam nie uczy, nic nie czyni, coby nie było „świętem, prawem, nieskalanem; albowiem sama ta niepoczywista przysięga o której się już wspomniało, a którą przy „niższych już onych inicjacyach składać trzeba, sama przez „się wystarcza, abyście zrozumieli, że się nie godzi do lżejszych onych stopni wpisywać, i w nich pozostawać. Dalej „jakkolwiek niezwykli polecać cięższych i niepoczciwych rzeczy tym, którzy wyższych stopni nie dostąpili, widoczna jednak, że najzgubniejsza siła i zuchwałość tych towarzystw „wyrasta ze zgodności i liczby tych, którzy się do nich wpisali. Przeto ci także, którzy niższych onych stopni nie przekroczyli, muszą być uważani za uczestników onych zbrodni. „I do nich się stosuje ono Apostoła (Rom I.): „którzy takie

„rzeczy czynią godni są śmierci, i nie tylko ci co czynią, „ale także którzy zgadzają się z czyniącymi!

„Nareszcie tych którzy, gdy już byli oświeceni i skosztowali „daru niebieskiego i uczestnikami uczynieni Ducha Świętego, „w końcu jednak najnędniej upadli i sekt onych słuchają... „najmiłośniej ku nam nawołujemy... i napominamy ich, aby „do Chrystusa *icrócili*. Jakkolwiek bowiem najcięższą się popalali zbrodnią, nie powinni jednak rozpaczać o miłosierdziu Boga, i Jezusa Chrystusa Syna Jego."

Aby łatwiejszą do powrotu ustać drogę, Ojciec święty zawiesza cenzury i "obowiązek doniesienia członków do roku od dnia ogłoszenia bulli, tak iż przez każdego zwykłego spowiednika mogą być rozgrzeszeni; po upłynieniu którego cenzury i wszystko inne postanowione tą i poprzednimi bullami odżywa napowrót, to jest obowiązuje na nowo.

Bullą tą Leon XII. właściwie przedmiot ten wyczerpnął, bo nic tylko powtórzył i zatwierdził bulle trzech poprzedników potępiające towarzystwa tajne, ale i sam je potępił, nie tylko istniejące, ale i powstać kiedykolwiek mogące pod jakąkolwiek nazwą i pozorem. To też następnym papieżem, nie pozostawało co innego do czynienia w tej mierze, okrom ponawiania i zatwierdzania tego, co ich poprzednicy już postanowili. Uczynili to i dwaj ostatni papieże: przytaczamy ich słowa, za nim przystąpimy do uczynienia naszych uwag i wyciągnięcia następstw z całości prawodawstwa kościelnego w obec towarzystw tajnych.

Grzegorz XVI, którego tajne towarzystwa o mało Państwa Kościelnego nie pozbawiły, w encyklice swojej *Mirari **), wyliczywszy wszystkie napaści na Kościół i zamieszania, które opóźniły samo ogłoszenie jego listu okólnego, powiada: „Który to wprawdzie tak wielki nawał klęsk przedewszystkiem wywieść należy ze sprzysiężenia się towarzystw, „w które, cokolwiek w herezyach i w jakichkolwiek bądź najgorszych sektach jest świętokradzkiego, zbrodniczego i blu-

*) Bullarii Rom. Continiatio. Opera et studio Rajnaldi Segret., Tom XIX Continens Pontif. Gregorii XVI anno 1 ad 4 pas 126. Romae 1857.

„źnierczego, wszystko to jakoby w kłoaę jaką wraz z zebraniem wszelkich brudów wpłynęło. ¹⁾)

Pius IX w liście swoim okólnym *Qui pluribus* ²⁾ z roku 1846 wyliczywszy niebezpieczeństwa Kościoła dodaje: „Dobrze wam znane wielebnni bracia, inne potwory błędów i chy- „troście ze pomocą których syny tego wieku starają się poddeptać religią katolicką i Boską powagę Kościoła i prawa „jej najzjadliwiej pogwałcić... Tu należą... tajne one sekty, „które się z ciemności wynurzyły na zagubę i spustoszenie „rzeczy tak świętej jak i publicznej, od rzymskich papieży „poprzedników naszych ponawianemi klątwami w listach ich „apostolskich potępione (tu potępienia przytacza) które my „pełnością apostolskiej naszej władzy zatwierdzamy i najpil- „niej zachowywać polecamy. ³⁾).

Takie jest prawodawstwo kościelne względnie do taj- nych towarzystw.

Papieże potępiając towarzystwa tajne, opisują i okre- ślają ich cel, mianowicie: skupianie ludzi w jedno, bez wzglę- du na wyznania religijne, wprowadzanie siłą rzeczy oboję- tności religijnej i naturalizmu, używanie tak uorganizowanej siły na burzenie Kościoła katolickiego i społeczeństwa Chrze-

¹⁾ Quae quidem tanta calamitatum congeries ex illarum imprimis conspiratione societatum est repetenda, in quas quid- quid in haeresibus, et in sceleratissimis quibuscunque sectis sa- crilegum, flagitiosum ac blasphemum est, quasi in sentinam quamdam cum omnium sordiditn concretionem confluit.

²⁾ Pii IX Epistola Encyclica ad omnes Patriarchas, Prima- tes, Archiepiscopos et Episcopos 9 Novembr. 1846 (Pii IX. P. M. Acta, pars 1^a pag. 4. Ex Typogr. bonarum artium).

³⁾ Jam vero probe noscitis Yenerabiles Fratres aiaa erro- rum monstra et fraudes quibus hujus saeculi filii catholicam re- ligionem et divinam ecclesiae auctoritatein ejusque leges acerrime oppugnare et tum sacrae, tum ciyilis potestatis jura concul- care... Hue spectant... clandestinae illae sectae e tenebris ad rei tum sacrae tum publicae exitium et vastitatem emersae, atque a Romanis Pontificibus praedecessoribus nostris iterato anathema- te damnatae suis apostolieis litteris (Clemens XII Const. *In Emi- nenti*: Benedictus XIV. Const. *Providas*: Pius VII Const. *Eccle- siam a J. C.*: Leo XII Const. *Quo graviora*) quas nos aposto- licae nostrae potestatis plenitudine confirmamus et diligentissime servari mandamus...

ściańskiego i t. d. Ztąd wypada, że o towarzystwach, które takiego celu nie mają, nie można twierdzić wprost że są po- tępione; i jakkolwiek Klemens XII. powiada: „że gdyby źle „nie czynili, światła, to jest jawności by się nie bali" a Be- nedykt XIV. dodaje: „rzeczy pocziwe lubią być na widoku, „a zbrodnie jedno się tają;" ¹⁾ nie wszystkie towarzystwa tajne są potępione, a gdy są' fpotępione towarzystwa tajne, nie dla tego dosięga ich potępienie, że tajne.

Papieże wymieniają jakiego rodzaju przysięgi wymagane bywają w towarzystwach tajnych zasługujących na potępienie. W przysięgach rzeczonych wskazują cechy następujące: nie- odsłanianie przed nikim z obcych niewtajemniczonych, ani przed sprzysiężonemi niższych stopni, ani przed żadną wła- dzą nawet duchowną, tego co się w towarzystwie, a to pod karą śmierci, dzieje, którą członkowie gotowi przyjąć i zadać za zdradzenie tajemnicy i t. d. Przysięga tedy, ile ze słów papiezkich da się wnosić, stanowi rzecz główną w towarzy- stwach jakie Kościół potępia; ztąd następstwo: że gdzie nie ma podobnej przysięgi, można myśleć że nie ma i towarzy- stwa potępionego. To następstwo wynika z prawidła sądowego: *Odia sunt restringenda*: i z wykładu, że prawo albo ustawa zabraniająca ma być tłumaczona według najściślejzego brzmie- nia słów bez żadnego rozszerzania ich znaczenia.

Możnaby więc wnosić, że towarzystwa tajne z dobrym celem nie podpadałyby zakazowi według ścisłości przepisów.

Ale z przeciwnej strony należy zwrócić uwagę: że w to- warzystwie tajnem nie można sprawdzać ostatecznych dążno- ści. (Bulle ostrzegają że naczelnicy towarzystw tajnych dają na początek piękne słowa, i przedstawiają piękne zamiary). Jest więc zwykle wątpliwość, czy towarzystwo takie dobre lub złe w zasadzie lub środkach, i czy czasem nie ulega po- tępieniu.

Owóż pamiętajmy na prawidło moralne: że w wątpliwości nie wolno działać, i że kto w wątpliwości spełnia jaki uczy- nek, bierze na siebie odpowiedzialność z tej strony, która się w wątpliwości przypuszcza. Ztąd dalsze następstwo: że wszel-

¹⁾ Honesta semper publica gaudent, scelerata secreta sunt. (Caecilia Metel. apud Minucii fil);.

kie towarzystwo tajne, dla tego samego że tajne, i że nie można być pewnym najwyraźniej jego ostatnich zamiarów, przedstawia one wątpliwość, a w skutek tej wątpliwości ową konieczną moralną odpowiedzialność za możebne złe zamiary przez bulle kościelne potępione. Następnie wypada: że samo należenie do towarzystwa tajnego, dla tego tylko że ono tajne, moralnie przez bullę jest zakazane

Tem bardziej że dzisiaj tajne towarzystwa łączą się ze sobą i bratają: a najgorsze z nich potępione chcą pośrednio przynajmniej opanować inne, a będąc silniejsze i potężniejsze i lepiej uorganizowane łatwo tego dostępują. Więc jest moralne prawdopodobieństwo a nawet pewność, że zdała czy zbliżka każde towarzystwo tajne znajduje się w tem kole którego środki albo ogniska są niezawodnie potępione. Owoż jak widzieliśmy Leon XII wyraźnie mówi: „że i ci są winni, którzy „w niższych stopniach postawieni, o żadnem złem nie wiedzą, i nic złego nie czynią; albowiem ślepem posłuszeństwem swoim i liczbą dają siłę naczelnikom, którzy mają „albo mieć mogą złe zamiary, i potępieniu podpadają.” Tak dalece że wszystkich Ojciec święty zaklina, *by do Chrystusa wrócili*.

Nic tedy nie pomaga, że wielu należących do towarzystw tajnych w dobrych zamiarach do nich wstąpiło. Trzeba rozróżnić osoby od rzeczy. Osoby mogą mieć dobre zamiary, te zamiary niech Bóg sądzi, rzecz jest niezawodnie niebezpieczna i potępiona. Obowiązkiem naszym rozpatrywać uczynki i owoce, i podług owoców dawać wyrok o drzewie złeli czy dobre? A jeżeli rzecz zła, żaden dobry zamiar jej nie zmieni.

*) Niektórzy z duchownych za złe nam oględność naszą wzięli. Dziś możemy powiedzieć, żeśmy pamiętali o *Organizacji Obywatelskiej*, czyli tak zwanych *Małych* naonczas jeszcze całkiem nierozwiązanej, a do której wchodzący, w celach czysto narodowo-politycznych, prostem słowem honoru do tajemnicy się obowiązywali. Wielka to niewygoda zapewne, że nie wolno katolikom walczyć równą bronią z niewierzącymi związanymi przysięgą, i silną organizacją towarzystw tajnych; ale i złych środków używać nam nie wolno, jakich oni używają, możemy za to liczyć na pomoc Boga Wszechmogącego, który siłom szatańskim, do czasu tylko dokazywać pozwala.

Całą tę kwestyę niezmiernie ważną, podaliśmy bez zastosowań a w tej myśli, żeby się przyłożyć do objaśnienia sumień. Dziś ogromna większość u nas chce być w zgodzie z Kościołem, niechże pozna co Kościół trzyma i czego chce. Powtarzamy, że w razie niepewności lub wątpliwości łatwo się po regułę odwołać do Ptzymu.

VIII.

LISTY Z PODRÓŻY

DO

BRACI I PRZYJACIÓŁ.

LISTY ZE WSCHODU.

LIST I.

Carogród 27. Lipca 1862 r.

Moi Najmilsii!

f p otychczas ograniczyłem się na pisywaniu do was krótkich kartek, tyjących się bieżących spraw domowych. Znalazłem w moim *Guide du voyageur* tak dokładne opisanie wszystkich miejscowości, iż nie chciałem powtarzać tego, co już tyle razy było powiedziano; pamiętałem bowiem słowa ś. p. O. Lacordaire: *par la grace de Dieu, fai toujours eu horreur du lieu commun*. Wszakże bacząc na was i na tyle dusz dobrych, pocziwie modlących się o pomyślną dla mnie przeprawę, które łaskawie zajmują się tem co się mnie tyczy, poczułem się do obowiązku skreślenia przynajmniej moich wrażeń osobistych i poglądu na te kraje, *lotem ptaka* jak mówią Francuzi.

Od lat trzydziestu wytarłem wszystkie gościńce lądowe i morskie środkowej Europy. Z początku podróże więcej mnie zajmowały, a mniej trudiły; z postępem lat ciekawość ostygła, a utrudzenie żywiej się czuć dawało; ale w zachodniej Europie środki podróżowania tak ułatwione, że trud zawsze znośny.

Obecnie, gdy mi już piąty krzyżyk dobiega, a wypadło puścić się na Wschód, wyznaję że cała strona niższa mojej istoty poczuła wstręt bardzo mocny, ale że wola Boża była widoczna, więc się wolą własną, nagą i chłodną uczepilem Woli Bożej; i powiedziałem sobie *maszerować*, wobec ludzi rezonem i miną nadrabiając. Jedyna pociecha osobista a duchowa świeciła mi u krańca mojej podróży, nadzieja odwiedzenia Ziemi i miejsc świętych, do czego od lat dwudziestu wzdychałem, bez napotkania ku temu pogody.

Ruszyłem w drogę 6 lipca zrana z Rzymu, a po południu siadłem na statek w Civita-Vecchia. Jeden z biskupów wschodnich, wracających do domu po obchodzie kanonizacyjnym musiał w porcie wysiąść na ląd, spostrzegł bowiem że rzeczy jego na okręcie nie było, i niewątpliwie odpłynęły przed kilku godzinami do Marsylii. Pierwsze dwa dni spędziłem głównie w towarzystwie Ks. Bielaka z zakonu OO. Reformatów, jadącego na spowiednika polskiego do Jerozolimy. Nie wysiadaliśmy na ląd w Neapolu ni w Messynie dla zmówienia Mszy świętej, już to dla *zbytnej wolności*, jakiej kościół i duchowieństwo używa w tym kraju *wolnym*., już dlatego że statek powoli płynął i w porcie późno stawał; czekaliśmy zatem z nabożeństwem aż znajdziemy się pod opieką rządów protestanckich lub muzułmańskich. Ks. Bielak popłynął do Malty, a jam się przesiadł w porcie Messyńskim do statku który wprost z Marsylii przybywał. Więcej się już znalazło Greków i Wschodnich w strojach różnych, i różnemi języki mówiących; znać było żeśmy się od zachodniej czyli łacińskiej Europy oddalali. Długośmy widzieli Etnę; nareszcie po kilku godzinach wypłynęliśmy na pełne morze i trzydzieści przeszło godzin tak płynęli, mając wiatr wciąż przeciwny. Pierwszy ląd jaki się widzi znowu, jest punktem najpołudniowszym Europy, przylądek Matapan, dawniejszy Tenar. Rozmarzeni klassycy strasznie bywają zawiedzeni, gdy ujrzą po raz pierwszy oną tyle marzoną Helladę, podobnie jak wyspę Cerigo,

dawniej Cyterę wyspę Wenery. Skąły, i skały tylko nagie, bez mieszkania i bez drzewa. Wiele poeci greccy nakłamlali o swojej ojczyźnie, jak dzisiaj Francuzi; ale to także pewna że zdziczenie duchowe Greków pociągnęło następnie za sobą i zdziczenie samejże ziemi.

Pokazywano mi na szczycie przylądka św. Anioła, pustelnika, który za jedyną rozrywkę ma przyglądanie się przepływającym okrętom; wszakże wzrok mój nie pozwolił mi go dobrze dojrzeć. Odtąd już widać było okrom lądu mnóstwo wysp i wysepek. Piątego dnia żeglugi zbliżyliśmy się ku zachodowi słońca do portu ateńskiego; widziałem zdaleka Oll sławny akropol ateński; ale wysiadać po co nie było na kilka godzin i to po nocy.

Niežnośne jest pokolenie *facchinów* włoskich, ale obok greckich są oni jeszcze bardzo ucywilizowani. Jakkolwiek *garsoni* okrętowi nie spuszcza schodów, i tłukli bez ceremonii wdrapujących się po kociemu czajkarzy pirejskich, nic to nie pomogło; rychło było ich pełno na statku następczących się i krzyczących bez litości. Płynęliśmy następnie wśród Cykladów, i siódmego dnia zrana wplynęliśmy do Dardarielów. Tam po raz pierwszy widziałem kaik z wioślarzami tureckimi. Wsiadła na statek Turczynka w błękitnej sukni i mantylce, a jak wszystkie z białym welonem i żółtymi papuciami. Turczynki ogólnie wyglądają jak nasze zakonnice, tylko że niezgrabniejsze. Biedna ta kobieta płynęła do Stambułu, aby odwiedzić syna swego, który się bił przeciwko Czarnogórcom ranny do stolicy został przewieziony. Gdy już dobrze podpłynęła a zażądano od niej zapłaty pokazało się że nie miała pieniędzy. Rzecz poszła aż do kapitana. Oświadczyliśmy gotowość złożenia się, jeżeliby nie mógł inaczej biednej matki dowieść do miejsca. Kapitan zacny człowiek wziął to zdaje się na siebie. Dotknęliśmy się Galipoli, wplynęli na Marmora, przepływając z kolei koło Wysp Książęcych, i znowu po zachodzie już słońca stanęli przed sławnym *rogiem złotym* Carogrodu, tak nazwanym czy od kształtu cypla tego, czy od piękności miejsca jedyne go może na świecie. Wysiść już nie było podobna, więc przypatrywałem się długo z wieczora staremu serajowi. Dziwnie pięknie wyglądają te białe pałace i kioski przeplatane zielenią drzew i ogrodów, piętrzące się coraz wyżej ku górze: owo co stanowi właściwie wdzięk Caro-

grodu i miast wschodnich. Piękne to przy srebrnym świetle księżyca. W oddaleniu złocisto przyświecał pałac sułtański nowożytny, rześisto oświecony, zwany Dolma-Bageze. Dziwna to choroba ostatnich Sułtanów i bogatszych baszów, murowania sobie pałaców, jak gdyby chcieli dowodzić, że już przestali być koczującymi i że na zawsze pozostaną w Europie!

Nazajutrz rano przypatrywałem się przy wschodzącem słońcu wysmukłym minaretom i przysiadłym kopułom meczetów wynurzającym się z dymów mgły rannej. Wszystko to wspanialej wyglądało na tle morskiem.

Piękny golf neapolitański, ale tu wszystko na większe rozmiary. Dziwić się, że dopiero Konstanty ocenił położenie Byzancyum. Wiele niezmiernie Bóg uczynił dla tego kraju; człowiek mało dodał, wiele zaniedbał i popsuł. Sprawdziłem to wysiadając na ląd z resztą pospolitych podróżnych; bo urzędnik poczty francuskiej i kurier królowej angielskiej pomimo protestacji czarnego urzędnika kwarantanny, z wieczora z depeszami na ląd się przenieśli. Owoż dźwigając się pod górę ku Perze, której domy europejskie tak pięknie się przedstawiają, musiałem przechodzić wązkie, śmierdzące, brudne uliczki części miasta zamieszkanej przez Turków i Czerkiesów. Niewiele lepiej było i w Galacie, choć już tam zmiatają; ale zmiatanie owo tak się ma do rzymskiego, jak rzymskie do paryzkiego. Uważałem jednak że psów nie ma tyle jak zwykle słyszałem i czytałem, i nie są tak zuchwałe bo nawet kiedy nie śpią z drogi ustępują. Ale to się zdaje także jednym z nabytków i korzyści wojny wschodniej, bo Francuzi tysiące i tysiące psów wystrzelali i w Bosforze pochowali.

Dostałem się nareszcie do domu arcybiskupiego, i od Rzymu pierwszą Mszę św. zmówiłem w kościele patriarchalnego wikaryatu łacińskiego. Znalazłem tam Ks. Yaringham z okolic Lille, który dawniej był w zakładzie naukowym Braci Józefitów w Tirlemont w Belgii, gdzie znał kilkunastu młodych naszych rodaków tam się uczących i jeździł nawet z nimi do Polski na wakacje; i młodego Ks. Fattori Toskańczyka z zakładu missyjnego Brignole-Sales w Genui. Tak ze strony duchownych należących do kurii arcybiskupiej, jak ze strony inszych kapłanów świeckich i zakonnych doznałem najuprzejmszego przyjęcia.

Odwiedziłem naprzód O. Piramowicza złożonego gorączką w klasztorze Panny Maryi Carogrodzkiej ¹⁾ 00. Reformatów. Przed wyjazdem moim na dni kilka widziałem go już konwalescentem, i wybierającego się na kolonię polską w Adampolu.

Następnie odwiedziłem pokorny domek i kościółek patriarchyatu bułgarskiego. Byłem na Mszy śpiewanej która wraz z officium trzy godzin trwała. Ucho moje, podobnie jak Ks. Laurysiewiczza nie może się pogodzić z tym śpiewem starogreckim, opartym na ciągłej dysharmonii. Co za różnica od naszego śpiewu unickiego! A jednak dla zbawienia tylu dusz trzeba sobie dać słuch kaleczyć, jak w wielki post ich czosnkiem i cebulą podniebienie i wnętrzności palić. Biedny ludek bułgarski, ograniczał nabożeństwo swoje do zapalania drobnych świeczek, zakupowanych w kruchcie cerkwi, przed obrazami Świętych, do żegnania się przed nimi i całowania ich. Poznałem po nabożeństwie p. Zankof jednego z promotorów unii i redaktora pisma *Bulgaria*, a nadewszystko Ks. Piotra Arabadziskiego, administratora patriarchyatu (po zniknięciu Sokolskiego) co do spraw cywilnych i stosunków z Portą. Dawny to uczeń propagandy rzymskiej i proboszcz dyecezyi filipopolskiej dla Bułgarów łacińskich. Przywiozłem dla tego kapłana od Ojca św. pierścień doktorski ze stósownem brewe i krzyż archimandrycki, co mu stopień prałacki daje. Wyżsi duchowni miejscowi znaleźli słusznem moje zdanie, aby przez wzgląd na lud bułgarski doręczyć te insygnia z pewną uroczystością na zebraniu komitetu. Jak skoro zatem wrócił Ks. arcybiskup i prymas Ormian katolickich, Mons. Hassun, zwołano zebranie komitetu w jego domu patriarchalnym, zapraszając też *csorladżych* czyli starszyznę świecką bułgarską. Przyglądali się oni ze zdziwieniem i zadowoleniem trzydziestu ornatom, które panie nasze za pośrednictwem Ojca św. przysłały Bułgarom i dwudziestu kielichom które też panie od cesarza Francuzów otrzymały. Po zagajeniu posiedzenia przez Ks. arcybiskupa Hassuna, przemówiłem stosownie do

¹⁾ Jest tarcza obraz naszej Matki Boskiej Częstochowskiej, wzięty z dawnego pałacu poselstwa polskiego, który ogromną przestrzeń zajmował, i dotąd części miasta która na tem miejscu powstała imię swoje przekazała. Tak w Paryżu była *la petite Pologne*, tak w Rzymie jest jeszcze *Via dei Polacchi*. Wielka przeszłość nasza upornie wszędzie przechowuje swoje ślady.

Ks. Arabadziskiego, doręczając mu insygnia papieżkie, kładąc przycisk na to, że Bułgarzy tylko przez zjednoczenie z Kościołem Rzymskim, zachowując swoje obrządki i zwyczaje, przyswoją sobie oświatę zachodnią, za pomocą szkół, które Ojciec św. myśli im otworzyć (czego oni niezmiernie pragną). Uważałem, iż podczas gdy Ks. Hassun komentował moją przemowę, starszyzna bułgarska potakiwała schylaniem głowy ¹⁾.

Była potem akademія uczniów świeckich i seminarystów ormiańskich, witających w różnych językach wschodnich i zachodnich, z muzyką i śpiewem, powrót swego pasterza z pielgrzymki rzymskiej. Ileż to czasu trzeba będzie zanim Bułgarzy staną na tym samym stopniu oświaty, na jakim stoją obecnie Ormianie! Wszakże lat temu dwadzieścia i oni stali nie wiele wyżej, choć już mieli za granicą swoich Mechitarystów i mają pełno ludzi zamożnych.

Na końcu było właściwe posiedzenie komitetu na którym oprócz Ks. arcybiskupa prezydenta, Ks. kanonika Testa sekretarza, Ks. Azarian kasyera, byli jeszcze Ks. Arabadziski, Ks. Faverial misyjonarz św. Wincentego a Paulo, ja, i generał Breański.

Przywiozłem jeszcze podobne insygnia od Ojca św. dla Ks. Malczyńskiego jako naczelnika duchownego Bułgarów. Ale że dniem przed mojem przybyciem wyjechał był do Adrianopola, doręczyć mu ich nie mogłem: zawiadomiony tylko został o zaszczyście jaki go spotkał.

Odwiedziłem jeszcze KKs. Lazarystów, i przełożonego ich Ks. Bore znajomego mego z Paryża kiedyśmy jeszcze obaj we frakach chodzili. Byłem i w klasztorze ich u św. Benedykta i w kolegium w Bebeku nad Bosforem na rozdaniu nagród. Dawniej kolegium bebeckie liczyło do 180 uczniów, dziś zeszło na 40, z powodu Braci Nauki Chrześcijańskiej którzy w mieście samem szkoły otworzyli. Byłem i u nich na rozdaniu nagród; posiedzenie nielitościwie cztery godzin trwało.

Wracam do wycieczek po Stambule, który raczej zewnątrz i z daleka, niż wewnątrz i z bliska oglądać chciałem. Upał nie pozwala mi zbyt wiele chodzić, a w sutannie na konia windować mi się jakoś nie chce. Jednego piątku popły-

¹⁾ Sądzę że zdanie sprawy z tego zebrania w dziennikach, korzystnie wpłynie na umysły Bułgarów.

nęliśmy kaikiem do słodkich wód europejskich, przyglądając się miastu z innej strony, i ludności muzułmańskiej, która tam chętnie jeździ się przewietrzyć. Innego dnia chcieliśmy pomimo wiatru mocnego płynąć kaikiem do Kadykioj (dawnej Chalcedonii); ale żem chciał zaraz obejrzyć Skutari z kolosalnym smętarzem tureckim wśród lasu cyprysowego, wsiedliśmy na statek parowy. I dobrześmy sobie poradzili; bo tegoż dnia przewrócił się kaik w samym porcie kadykiojskim i trzy osoby utonęły. W Kadykioj, (*miejsce sądu*, zdaje się od soboru tam święconego) chciałem głównie odwiedzić nowy kościół katolicki, z kopułą i wieżami i krzyżem na kopule, zbudowany staraniem Ks. arcybiskupa Brunoni, w miejscu gdzie dawniej Turcy nie cierpieli nawet Chrześcian między sobą. Dziś mieszkańcy Pera wykupują grunta coraz bardziej na *villegiaturę* dla siebie, a krzyż świeci w świętej dla Turków Anatolii, tuż obok Skutari. Odwiedziłem też w Kadykioj Monsignora Calomati, wikarego generalnego patriarchytu łacińskiego od którego wszelkiej uprzejmości doświadczam.

Przymusiłem się nareszcie odwiedzić wnętrze miasta Stambułu a przede wszystkim starożytności chrześcijańskie. Oglądałem dawny Hippodrom, obelisk Teodozyusza, kolumnę wężową (która miała służyć za podstawę trójnogów i Apollina w Delfach), słup *spalony* i dwa inne Marcyana i Teodozyusza. Dalej grób Ireny, wodociąg Walensa i cysternę o tysiącu i jednym słupów choć ich w rzeczy tylko ze trzystu. Obeszliśmy wkoło dawny kościół Sofii, aleśmy nie mieli na razie firmanu do wejścia wewnątrz. Przed meczetem, obdartus jakiś z pokreconemi kołtunowato włosy, chodził z wyrazem pomieszania na twarzy: u Turków podstrzeleńcy tacy miani za świętych.

Dowód starego fanatyzmu objawił się w młodym dziecięciem chłopaku, który z wyrazem przerażenia i zgrozy religijnej krzyknął mi w oczy: *giaur*. Uszanowałem to jego uczucie; wołę fanatyków w dobrej wierze po fałszywych zakonach, od tych modnych Turków, którzy w dniu postów swoich, chodzą do traktyerni europejskich na Pera jeść *alla franca*.

Mieliśmy wejść na wieżę *Seraskieratu* (ministerstwa wojny), najwyższą w Stambule, aby się przypatrzeć miastu z góry, ale już było za późno. Innego dnia wydobyłem się na dawną

wieżę genueńską na Galata, z której choć mniej dokładny, ale jeszcze piękny widok. Wracalem przez część miasta *Kassem-pacha*, w której się przed samym moim przyjazdem 3000 domów spaliło. Wiadomo iż kiedy Turcy niezadowolnieni z rządu, podpalają miasto. Świeże pożary w Petersburgu dostarczą naszemu Duchyńskiemu nowego dowodu, że Moskale są Turkami. Niektórzy jednak podejrzewają policję o podpalenie, bo rząd dziś rozszerza i prostuje ulice, a woli nie płacić właścicielom za zburzone domy! *Helata refero*.

Dopełniwszy moich zleceń w Carogrodzie, postanowiłem wybrać się do Adryanopolu. Wahałem się czy mam zabrać z sobą insygnia papieżkie dla Ks. Malczyńskiego; ale że świeżo złodzieje obdarli na tej drodze popa unickiego Rafała, a ministra protestanckiego pod Filipopoli zabili, wołałem nie brać, lękając się szczególnie aby drzewa Krzyża św. na profanację nie wystawiać.

P. S. 5-go sierpnia Adryanopol.

Jestem tu od dni pięciu. Jutro rano wyjeżdżam do Filipopoli. Za powrotem, da Bóg opiszę wycieczkę moją pośród Bułgarów.

Wasz w Panu.

L I S T II.

Adryanopol 16. Sierpnia 1862 r.

NAJMILSI MOI!

Obiecałem wam w zeszłym liście zdać sprawę z wycieczki mojej do Bułgarii; uiszczałem się dziś z tej obietnicy po powrocie z Filipopoli, zatrzymując się tutaj dla wypoczynku. D. 28 lipca siadłem w Stambule na mały parowiec turecki, pływający do Rodosto i napowrót. Ciasnyć on i brudny, ale jakże mi się teraz wygodnym wydaje po *tdlikach* (telegach) tureckich. Turcy roztasowywali się na pokładzie na swoich piernatach i dywanach; ja z kupcem jednym chrześcijańskim z Rodosto siedzieliśmy na niskich stołeczkach drewnianych. A że mój sąsiad siedział na przejściu, murzynka jakaś brzydka kopnęła nogą jego stołek: rzadki dowód dawnej pogardy

Turków dla chrześcian. Fanatyzm ogólnie mocniej się w niewiastach przechowuje. Była to niby żona jednego Imana, synek jej też chodził po pokładzie z wielkiem zadowoleniem ze swoich czarnych nóżek, równie świecących się choć trochę bladziej, od lakierowanych jego trzewiczków. Płynął z nami agent konsularny heleński przeznaczony do Adrianopola. Myślałem sobie że zapewne jedziemy działać w zupełnie przeciwnym kierunku. Bardzo się lękał rabusiów po drodze i namawiał nas by wziąć mnóstwo *eapliech* (konnych pachołków policyjnych); ale my wiedząc że nigdy nie bronią podróżnych, a często są w zмовie ze złodziejami, nie chcieliśmy próżnego wydatku podejmować. Pomimo naszych uwag, przybył on później do Adrianopola w eskorcie pięciu takich obdartusów, darmojaclów.

Missyę w Rodosto dla CO Europejczyków obsługuje dwóch Franciszkanów konwentualnych; bodaj od czasów Rakoczego emigranta siedmiogrodzkiego, który tu z towarzyszami swimi osiadł, i dom z kościołem wewnętrznym wybudował. Niedawno potomek tego Rakoczego przyjeżdżał do Rodosto, by zebrać pamiątki i nazwiska kilkudziesięciu Węgrów tam pogrzebanych; ale fanatyzm Greków i Ormian schizmatyków nawet kamieni grobowych nie oszczędził. Zajechałem do tych Ojców mając list polecny od ich przełożonego z Carogrodu, i gościnnie zostałem przyjęty. Nazajutrz rano z wielką pociechą ducha Mszą św. odprawiłem.

Nie sędzę aby spragniony podróżnik stepów afrykańskich, z większym weselem witał oazę zieloną i zdroj wody od tego, jakiego doświadcza kapłan kiedy w kraju niekatolickim spotka kościół i Najświętszy Sakrament. Pamiętam że przed laty kilkunastu czekałem przez dni pare na ś. p. ojca mojego w protestanckim Altenburgu saskim: zdawało mi się doprawdy jakoby Boga na świecie nie było. Tu ile razy nocuję w domu zakonnym, zapominam gdzie jestem, zdaje mi się że w Europie, we Włoszech, dopiero śpiew muezzina albo widok turbanu wytrzeźwia mię z mego złudzenia.

Co do dalszej podróży miałem do wyboru, czy być upieczonym na koniu, pod słońcem sierpniowym, w czarnym moim stroju, czy też zostać zbitym i uznojonym w *talice* tureckiej: wybrałem ostatnie złe, które przynajmniej głowę moją od postrzału słonecznego zabezpieczało. Kiedym ujrzał telegę

z niską budą, konia zaprzęzonego w duhę i hołoble i szorki moskiewskie, powiedziałem sobie: „ma Duchński słuszność, że Moskale są Turkami, co do języka tylko zesłowiańszczonerni.” I Bułgarzy (wyjawszy górali mianowicie na północ Sofii) mają typ mocno poturczony, czy to w skutek pomieszania się z pierwszymi podbojcami z nad Wołgi, czy z drugimi. Za to mój talikadzi dziwnie na Turka nie wyglądał, wysoki, smukły, biały, rumiany, z dużym błękitnym okiem: ale kto wypowie pochodzenie Turków, którzy do ostatnich czasów, byli nie tylko panami mienia Chrześcian, ale nadto ich żon i córek! Wewindowałem się nareszcie do onej budy tatarskiej, i rad nie rad, pomimo protestacyi sztywnych moich europejskich gołeni musiałem usiąść po turecku, inaczej za każdym podskokiem telegi głową o obręcze budy uderzałem. W poprzek niewygodniej jeszcze, ale jako człowiek nazwyczajony już do takiego położenia, siedział mój Yani, Grek nawrócony, którego wziął dla znajomości języka tureckiego. Dziwna rzecz, że tu wszystkie ludności mówią po turecku, choć rząd ani administracyjnie, ani szkołami, ani służbą wojskową do tego Chrześcian nie wkładał; gdy tymczasem Austria n. p. nie mogła przewieść by jej dziesięć narodowości po niemiecku się nauczyło. Co więcej Polacy w Prusiech, pomimo szkółek przymusowych i administracyi niemieckiej i służby wojskowej, bardzo rychło po niemiecku zapominają. Nadto słyszałem tutaj Bułgarów śpiewających pieśni tureckie z zadowoleniem kaprała galicyjskiego odpowiadającego *jo*. Dowód to mocnego wynarodowienia, kiedy naród podbity śpiewa pieśń narodu podbójczego, a jeszcze chrześciański muzułmański.

Jechaliśmy dzień cały t. j. osiem godzin drogą okropną (która w zimie musi być niepodobną do przebycia dla głębokich jam i wybojów), krajem pustym a urodzajnym; tylko było szukające skąpej wody i skąpszego jeszcze cienia wskazywało że po bokach muszą być *czyfliki* (folwarki): naumyślnie może zdała od drogi zbudowane dla uchronienia się od rabusiostwa przechodzącego żołdactwa.

Na nocleg bardzo wcześnie zajechaliśmy do muzułmańskiej wioseczki Karakarli do niepoczesnego lchanu, i wraz mnie uderzyło klekotanie bocianów, inne zaś ptastwo obsiadło gęsto minaret i kopułę meczetu. Ludność była zajęta

młóceniem, powiem raczej wygniataniem pszenicy, bo człowiek stojąc na małych saneczkach opatrzonych u dołu ostrymi kamykami jako skałkami u strzelb dawnych, jeździ po tokowisku usłanem snopami. Czyszcza zaś ziarno jak na kampanii rzymskiej, jako za czasów biblijnych wiejąc niem pod wiatr. Posłyszałem też po raz pierwszy i wiejską muzykę turecką, obchodzącą tokowiska i zbierającą para (szelągi). Dwóclli cyganów (których tu pełno już niby chrzczonych, już niechrzczonych) siedząc na piętach wygrywało one płaczliwe i monotonne nuty ludowe, których nasłuchiwałem się w Stambule, ale ułożonych uczenie przez Donizettego, (brata sławnego kompozytora), kapelmajstra wojskowego Sultana. Mieli też ze sobą starego Turka bijącego, choć nie w takt, ale ze znaczącą miną w tołombas i musztrującego wzrokiem małego chłopaka pomocnika. Cyganie wodzili go ze sobą zapewne dla powagi i jakoby rodzaj rekomendacji wobec Turków, jak to młodzi pisarze we Francji starają się aby jaki znajomy literat przedmowę do ich książki napisał.

Podczas gdy leżąc na rozesłanej na ziemi rogożce robił te postrzeżenia, ścigały się inne telegi o mniej rześkich szkapach, lub które później od nas ruszyły z miejsca. Zebrało się ich dziesięć i dwie bryczki (z rzeczy i z nazwy) zakryte, wiozące harem jakiegoś dostojnika. Zanotowałem sobie te bryczki, by się o podobną w Adrianopolu postarać. Jak każdy Europejczyk, musiałem być lekarzem. Iinan towarzysz mój ze statku parowego, przewrócił się z telegą i potłukł. Pytał mnie o radę; kazałem mu przykładąć kompresy prysznicowskie przez noc i wyleczyłem; za com i u niego i u reszty Turków zyskał sympatią.

Nazajutrz ruszyliśmy karawaną, choć późno. Uważałem że Turcy nie radzi puszczać się w drogę przed wejściem słońca, a przed zejściem jego na nocleg koniecznie zajeżdżają, wyjawszy tych którzy latem konno po nocach podróżują. Spodziewałem się, że jak się dostaniemy do wielkiego gościńca prowadzącego ze Stambułu do Adrianopola, nie będę tyle kołatany w mojej teledze. Marne złudzenie! Droga ona podobna do naszych prowadzących ode wsi do wsi. Szeroka bardzo, bo każdy jedzie czy średnim szlakiem, więcej utartym, czy też na prawo albo na lewo, jak mu się podoba. Mosty tu tylko kamienne lepsze, przynajmniej były, bo dziś

zwykle latem woźnice wolą przejeżdżać płytkie rzeczki pod mostem, albo obok niego. Nocowaliśmy dnia następnego w *Hafsa*, dość sporej mieścinie, którą *Guide* mój wskazuje mniej więcej za punkt, gdzie żywioł bułgarski nad greckim przemagać zaczyna. Istotnie stanęliśmy w khanie u Bułgara zgreczonego. Parobczak jego także pomimo swojej *fustanelli* (spódniczki albańskiej) wyglądał na najrodowitszego Maćka mazowieckiego, a jednak zapytany odemnie czyby był Bułgarem czy Greczynem, odpowiedział z dumą, że jest Rzymianinem, jak się Grecy bizanccy nazywali. Biedni ci Bułgarzy, nie dość że im Turcy całą warstwę wyższą społeczeństwa w pień wycięli, ale i odtąd cokolwiek się przez handel wzbogaciło, greczyło się z próżności, a zarazem zarażało się pychą grecką, równie nie do uleczenia jak niczem dziś nieusprawiedliwioną. Może obecne jakiegokolwiek przebudzenie się narodowe Bułgarów, i mocna nienawiść ku Grekom, powściągnie już te zaprzaństwa rodowe.

Nietylko nasz Duchński, ale już i cudzoziemcy wpadli na tę uwagę, że jeżeli są potomkowie dawnych Greków to chyba na wyspach; na lądzie stałym bowiem jest to mieszanina Albańczyków i Słowian zgreczonych. Nazajutrz rano po dwóch do trzech godzin drogi, po wyminięciu ogromnej karawany ładownych wielbłądów rozwinęło się przedemną panorama Adrianopola, na wzgórzu przy zbiegu trzech rzek, Maricy (dawnego Hebru) Tondzi i Ardyi zbudowanego przez cesarza Hadryana (117—136 po Chrystusie). Rychło Adrianopol zakwitł, jako stolica prowincji a potem został drugą stolicą cesarstwa wschodniego. Pod tem miastem Konstanty zmógł Licyniusz (323), a Walens zniesiony został od Gotów (378). Tu r. 813 król bułgarski Krem zwyciężył, a r. 1360 Turcy na ruinach królestwa bułgarskiego osiedlili się w Europie, i mieli tu swoją stolicę aż do wzięcia Carogrodu; a kilku Sułtanów i później jeszcze mieszkało. To też Bayezyd II, Murad IV a szczególnie Selim II, ozdobili tę drugą stolicę swego państwa wspaniałymi meczetami, które obecnie wydają mi się przedstawiały. Przypomnę jeszcze że w r. 1829 Dybicz z 13000 niedobitków zmusił Turków do podpisania traktatu pokoju w Adrianopolu.

Niepewny czy Ks. Malczyński ma dla mnie przygotowane mieszkanie, a czując potrzebę wypoczęcia, kazałem się

zawieść do greckiej wsi Karagacz, gdzie są *mllegiatury* letnie wszystkich zamożniejszych kupców tutejszych europejskich, gdzie też i O. Franciszkanin na lato osiada, mając tam drugi kościółek i domek, i tylko w niedzielę z drugą Mszą do miasta dla mniejszości swoich owieczek dojeżdża ¹⁾). Miałem list do tego zakonnika od jego przełożonego z Garogrodu, i rzeczywiście mogłem odetchnąć chwilę pod gościnnym jego dachem. Wszakże Ks. Malczyński najmujący od tegoż zakonnika mały domek obok kościoła w mieście dla siebie i nawróconego młodego księdza greckiego, miał jeszcze i dla mnie pokój, i przyjechał rychło mnie zabrać.

Jak Stambuł tak Adryanopol, choć jedno z piękniejszych miast tureckich, lepiej daleko wygląda z daleka niż z bliska. Trudno nam Europejczykom pogodzić się z ulicami ciasnymi, krętymi, brudnymi i niegodziwie brukowanymi. Są i duże domy, ale nie monumentalne, z drzewa i gliny budowane. Jakkolwiek Grecy i Bułgarzy zamieszkują osobne części miasta, wszakże Turcy w Adryanopolu znacznie przemagają; zaś powszechnie używany zielony kolor proroka do turbanów męzkich i sukien a płaszczków niewiast, wskazuje, że duch muzułmański tu jeszcze żyje.

Nie myślałem jednak tą razą oglądać miasta, zwiedziłem przedmieście bułgarskie Kieszane i nowy kościółek unicki co mnie więcej obchodziło. Poznałem Ks. Rafała, który dyakonem jeszcze, był z księdzem Sokolskim w Rzymie, dwóch innych księży ze sąsiedniej parafii unickiej, i kilku *czorbadżych*. Odwiedziłem pana Chamopoisseau konsula francuzkiego do którego miałem list polecny. Młody to, zdolny i osobiście najlepiej usposobiony dla unii urzędnik. Bułgarię zna doskonale, gdyż całą, urzędując jeszcze w Filipopolu, konno objechał. Jest przy nim drogmanem pan Podhajski emigrant z r. 1848, który mi chętnie usługi swoje ofiarował.

Ponieważ nie doczekałem się jeszcze listów zniskąd, a następnie nie mogłem wziąć żadnego nawet przedwstępnego postanowienia co do celu mojej podróży, wypocząwszy przez dni kilka, i poznawszy znakomitsze osoby z Kolonii, postanowiłem odbyć wycieczkę do Filipopolu, rzeczywistej dziś stolicy całej Bułgarii. Nająłem sobie bryczkę, tak że już

¹⁾ Kolonia europejska w Adryanopolu nie przenosi 300 osób.

przynajmniej mogłem choć niewygodnie ale po europejsku siedzieć, prosto się trzymać; a ponieważ zdarzyło się było kilkanaście świeżych przypadków rabunku na tych drogach, niekoniecznie było mi wesoło jechać samemu. Mielśmy wprawdzie razem się trzymać z panem Michałem Suchyńskim aptekarzem wojskowym, który zdążył za pułkiem ułanów i artylerią idącą z Adryanopola do Filipopolu; ale wojsko tylko cztery godzin na dzień uchodzi. Znalazłem się więc sam, wszakże nie długo, bo rychło spotkaliśmy sześciu rzeźników stambulskich konno, z długimi rusznicami na plecach i z pistoletami za pasem, jadących do Filipopolu. Postanowiliśmy razem się trzymać i nocowaliśmy w wiosce tureckiej Hormanli. Że część pułku, która na dwa dni przed nami ruszyła, pozajmowała wszystkie khany, noc przepędziliśmy we wspaniałym kiedyś, ale spalonym przez Moskali (1829) khanie rządowym. Można by ten khan niezbyt wielkim kosztem naprawić, ale Turcy fataliści nigdy tego nie uczynią, raczej nowy budynek wystawią; walące się przecież państwo swoje jak mogą acz niekonsekwentnie podpierają.

Nazajutrz rano po dwóch godzinach jazdy spotkaliśmy świeżo założony posterunek z kilku *zaptiech* przeciwko rabusiom: wszakże nie tają oni, że się boją opryszków, a nie ich opryszki, jako liczniejsi, i lepiej uzbrojeni. Dojechaliśmy następnie do miejsca samotnego, gdzie przed miesiącem zabito pana Mariam misyjonarza amerykańskiego; już tylko koście bielity się z dwóch koni zastrzelonych przez bandytów uciekającemu woźnicy. Przybyliśmy nareszcie do Uzundziowy dużej wsi bułgarskiej, gdzie się odbywa jarmark największy i najważniejszy w całej Turcyi europejskiej. Odtąd kraj zawsze monotony, ale coraz więcej zamieszkały a już wciąż przez Bułgarów. Przejechaliśmy wieś Sinicze i zanocowaliśmy w Jeni-Mahala (nowem siole). Trzyście godzin drogi odbyliśmy dnia tego, a dzień był gorący; takem się uczuł zmęczony, że ledwom się położył na rogowce rozestanej w dziedzińcu khanu, wraz zasnąłem. Monotonią tej trzydniowej podróży nieco ożywiała odnoga gór Rodope i Maryca, u stóp których i nad którą leży Filipopolu, Filibeh po Turecku, Plordi po Bułgarsku. Bliżej trzy góry jakoby przednia straż wybiegły naprzód, i przysiadły. Otóż o te trzy góry oparło się i wdrapało się na nie miasto, zwane przeto od Łacinników Trimontium. Fili-

popoli liczy 45000 ludności, jest handlowe i podnosi się obecnie. Mieszkają tu Turcy, Żydzi, Grecy, Ormianie, Bułgarzy schyzmatycy, i łańscy katolicy; bo tu się zbiegają i przecinają drogi idące ze Stambułu do Belgradu, od Dunaju do Saloniki, od Morza Czarnego do Adryatyckiego. Wszystkie też tu znaczniejsze narody mają swoich konsulów albo vice-konsulów, choć to nie od dawna i tylko dzięki staraniom Ks. biskupa Canova, do którego zajechałem. Postarał się on po wojnie wschodniej by Francya i Austria były tu reprezentowane, a Anglicy i inni już sami o tem pomyśleli.

Otóż Ks. Canova jest arcybiskupem in partibus i wikarym apostolskim Bułgarów łańskich, których jest 2000 w mieście, 8000 po wsiach okolicznych. Bułgarzy obrządku wschodniego zwą ich pogardliwie pawlikianami czy to od biskupa Pawła którego wraz z Formozym jeszcze Mikołaj I papież przysyłał do Bułgarów, czy może od jakiego późniejszego Pawła który za naczelnika ich uchodził. Ludność ta była dawniej obsługiwana duchownie to przez księży świeckich wychowanych w propagandzie, to przez rozmaite zakony. Ostatnimi byli Ligoryanie których odjeżdżających błotem i kamieniami ścigano. Wszakże przewodnicy tego niezasłużonego prześladowania poginęli nędzną śmiercią i to ułatwiło nieco położenie OO. Kapucynom kiedy lat temu 21 misję tę objęli.

O. Canova przybył na jej czele jako prefekt Apostolski. Poważnej to postawy kapłan, Piemontczyk rodem, wysokiego wzrostu, czarnego oka, czarnej i obfitej brody która już siwieć zaczyna! Liczy lat 58. Był we Włoszech kaznodzieją i wierzę że znakomitym, sądząc po tem jak płynnie, jak pięknym głosem każe po bułgarsku. Lat temu dwa ciężko chorował i odtąd nieco złamany i smutny, szczególnie że nie mógł przeprowadzić ulubionej swojej myśli osadzenia u siebie Braci *de la Dodrine Chretienne* dla chłopców, i siostr miłosiernych do uczenia dziewcząt, a widzi że Bułgarzy schyzmatycy szkołę swoją coraz bardziej rozwijają, i już na kolegium zakrawają *) Otóż Ks. biskup choć często smutny i nie mówiący,

*) Pan Grujew naczelnik tej szkoły, który się uczył w Rosyi, dosyć już książek elementarnych przetłumaczył na język bułgarski. Drukują Bułgarzy w Carogrodzie, w Belgradzie, w Buka-

dla mnie pokazał się uprzejmym i rozmownym, nawet łaskawość jego szła co dzień crescendo. Opowiadał mi jak tu przybył słowa po Bułgarsku nie umiejąc i nie znając nikogo któryby mu dopomógł. Stara jedna baba raczyła mu posługiwać a nadto znalazł pisany słownik włosko czy łańsko bułgarski ułożony przez dawniejszych misjonarzy, tylko pełen myłek. Pomimo to, mówił, poważylem się po sześciu miesiącach wejść na kazalnicę; wiem że musiał niesłychane dziwolgi prawić, ale przecie było coraz mniej źle. Już to *paiolichanie* mówią mniej dobrze od innych Bułgarów; rodzaj to Szlżzaków bułgarskich. Pełno przyjęli wyrazów tureckich; nie czuli wpływu języka cerkiewnego, a słuchali nauk powszechnie z ust cudzoziemców. Jak ich język, tak oni sami, moralnie upadli byli nisko, uważani za rodzaj parjasów. Jedną mieli zaletę że do wiary swojej mocno byli przywiązani; bo gdy pewien arcybiskup grecki korzystając ze swego wpływu w mieście, chciał biednych pawlikianów gwałtem na schyzmę przeprowadzić, niewiasty wiejskie uczyniły demonstracją turecką przed Baszą, głośno chórem się skarżąc, i domagając się by mogły przynajmniej obić Metropolitę prześladowcę; tak wygrały sprawę swoją i wiarę zachowały. Ks. Biskup Canova częstemi kazaniami i katechizmami tyle dokazał, że dziś wierni jego są najmoralniejszą częścią ludności i nie słyszano od dawna by który Bułgar katolik w więzieniu siedział; wprowadzie i ten trud sobie zadaje, być ich sędzią i rozjemcą. Wydał swój katechizm w Propagandzie w Rzymie, szkoda tylko że głoskami łańskimi i naśladować ich brzmienie na wzór języka włoskiego, boby już oddawna byli i Schyzmatycy z niego tak korzystali, jak przychodzą do kościoła kazań i katechizmów słuchać. Obecnie staraniem Ks. Arcybiskupa Brunoni wyszedł w Carogrodzie katechizm dla Unitów bułgarskich i greckich.

Katolicy bułgarscy posiadają z dawien dawna mnóstwo śpiewów kościelnych w języku ludowym; śpiewają też do sytości i przy mszy i przy błogosławieństwie Najświętszym Sakra-

reszcie, Peszcie i Wiedniu. Chwalą się że posiadają kilkaset książek w swoim języku, ja ich dopiero kilkanaście spotkałem. Towarzystwo Biblijne wydało już nowy testament po bułgarsku, a obecnie starym się zajmuje.

mentem. I niewątpliwie więcej oni nabożeństwa wyciągają niż ich bracia wschodni ze słuchania samej liturgii słowiańskiej. Chórom niewiast przywodzą *kalogere* rodzaj zakonnic tercjarek, nakształt *monache di casa* włoskich; a mężczyznom wyuczeni młodzieńce z niesłychanym trudem przez Ks. Martorelli, który z nich orkiestrę ułożył. Mniszeczki te odróżniają się czarną suknią i białymi chustkami na głowie od innych niewiast, które się także bardzo skromnie noszą i dotychczas nic z mód nowożytnych nie przyjęły. Ks. Biskup próbował, czy nie zdoła niektórych z tych kalogerek włożyć do życia wspólnego i wykształcić z nich nauczycielki dla dziewcząt; ale się to nie udaje: mało kleju w żywiole słowiańskim, syпки on jest z przyrody swojej, zwykle go siła tylko w kupie trzyma.

Przyznam się, że kiedy Ks. Canova wprowadził mnie do swojej obszernej katedry, świeżo wymurowanej, słuchałem z wielkim rozrzewnieniem tych śpiewów. Dziękowałem Bogu i za tę wysepkę duchową chwalców Jego wśród tego stepu zjałowionego wiekowem odszczepieństwem. Może też w wiedzy Bożej jest to szkołka do wszczepienia życia katolickiego w miliony ludzi.

Trzech ma w mieście przy sobie pomocników Ks. biskup; najmłodszy z nich wiele obiecuje na przyszłość. Kilku innych 00. Kapucynów obsługuje parafie. Księża świeckich uczniów propagandy miał trzech niedawno, dziś mu jeden tylko Ks. Jakowski został: gdy Ks. Piotra Arabadzkiego powołano na administratora wikaryatu unicko-bułgarskiego w Carogrodzie a brat jego świeżo umarł. Nowych teraz uczniów wysyła do propagandy rzymskiej.

Gdym się zabierał do odjazdu, Ks. biskup chciał mi sprawić majówkę, i zawiózł na swój *Czyflik* czyli folwareczek o godzinę od miasta położony, bliżej gór jeszcze. Ma na nim kilkanaście tysięcy drzewek morwowych, więc pokazując mi je mówił: „to moi główni dobrodzieje, którzy mi pomogli i dom mieszkalny w mieście zbudować i katedrę, dopomagają także do budowy kościołów po wsiach, z których jeden za tydzień poświęcę, i już coś złożyli na przyszłą szkołę.” Dodam jeszcze ten szczegół lokalny, że 00. Kapucyni noszą tu na wierzchu rodzaj długiego *paltotu*, i czapkę z daszkiem, a to dlatego, że konsulowie podobne noszą; i przeto wrażają

w ludność miejscową wielkie uszanowanie. Bardzo logicznie Ks. biskup ma swoją czapkę ozdobioną szerokim ślnącym się galonem.

Z rozrzewnieniem pożegnałem tego wielbego dostojnika którego tu wszyscy bez różnicy wyznań wysoko poważają, i szczerze wynurzyłem życzenie, abym go jeszcze mógł kiedy zobaczyć.

Wyjeżdżając z miasta spotkałem baszę z całym sztabem czekającego na przybywających z Adryanopola ułanów. Widziałem ich maszerujących; przypomniały mi się czasy z r. 1830—31 i spotkałem mojego rodaka aptekarza zdążającego za pułkiem. Tą samą drogą wracałem, nic więc nowego nie postrzegłem; podziwiałem tylko pracowitość niewiast bułgarskich, które w razie potrzeby we wszystkim mężów zastępują, i wołami a nawet bawołami komenderują.

Wróciłem szczęśliwie do Adryanopola pod opieką świętych Aniołów, bo ludzkiej spółki i opieki nie miałem i wypoczywam tu znów czekając na listy z Carogrodu, szczęśliwy że na dziedzińcu mam nowo wymurowany trzy razy zaobszerny na ludność tutejszą, więc na wyrost obmyślany kościół, a w nim ołtarz, a na ołtarzu Najświętszy Sakrament. Bóg z wami, polecajcie mnie wiernie do końca Panu.

P. S. D. 15-go t. m. był tu obchód z powodu imienin cesarza Francuzów, choć konsula w mieście nie było; a 18-go obchód urodzin cesarza austriackiego, któremu przewodził konsul w wielkim stroju.

LIST III.

Carogród 31 sierpnia 1862.

M pi NAJMILSI!

Zdając wam sprawę w ostatnim liście moim o wycieczce do Filipopoli, zapomniałem dodać, że poznałem p. pułkownika Przewłockiego, znanego tam Clementi Bej. Rodem on jest z Lubelskiego, opuścił kraj roku 1848, służył wojskowo na Węgrzech, potem w kozakach sułtańskich, nareszcie w dywizji polskiej. Po wojnie wschodniej osiadł pomiędzy Bułga-

rami, nauczył się doskonale ich języka i stał się jakoby jednym z nich. Zajmował się rolnictwem i handlem; ale ten ostatni rzadko Polakom się powodzi! Obecnie pełni jeszcze obowiązki drogoman przy agencji konsularnej francuskiej. Przybył mnie także odwiedzić p. kapitan Dobrowolski osiadły w Kizanłyku w wysokich Bałkanach. Wiele szczegółów dowiedziałem się od tych dwóch uprzejmych rodaków o Bułgarii i ruchu bułgarskim, z których w swoim czasie i miejscu korzystać nie zaniecham. Podobną usługę oddał mi i p. Podhajski, drogoman także przy wicekonsulu francuskim w Adrianopolu.

Zapomniałem również powiedzieć, że Ks. Malczyński, (a dziś monsignor, bo go Ojciec św. mianował wikarym kościoła bułgarskiego in spiritualibus), już nie tylko odprawia służbę Bożą po sławiańsku według zwyczaju bułgarskiego, ale nadto każe w ich języku. Trudniej przychodzi północnemu jego żołądkowi nazwyczać się do postów u Bułgarów, którzy proprio motu zabronili sobie nawet ryby, choć przez dziwną niekonsekwencją jedzą i pozwalają jeść ikrę rybią (kawiar) i ostrygi. Trafiłem właśnie na dwutygodniowy post przed świętem Wniebowzięcia i widziałem, że same jarzyny, które wystarczyły księdzu greckiemu z Azji Mniejszej, nie dawały dostatecznego posiłku naszemu rodakowi, tak że wyraźnie miał rozstrojone nerwy. Ciężej mu jeszcze było przebyć przedtem 50dniowy post wielki; także i na oczy cierpiał, a czuć od niego było zapach czosnku i cybuli jakoby od żydowina. Co robić! Dopóki Bułgarzy nie dojdą do stopnia oświaty ludu ruskiego i moskiewskiego, który ryby w poście jada, trzeba będzie kapłanom poświęcającym się misji bułgarskiej, dla miłości dusz tego ludu pościć ich obyczajem z nadwężeniem własnego zdrowia.

Mówiąc o Polakach w Bułgarii, dodam że niektórzy trudnią się małym handlem: n. p. wykopują korzenie drzew dla ebenistów francuskich. Inni którzy opuszczają służbę w kozakach lub dragonach sułtańskich zajmują się czem mogą. Tak jeden, który był przy koniach u jakiegoś beja, przypro-wadził nam świeżo przybyłego poczwięgo Mazura z pod Płocka, a mówił o szewcu w Adrianopolu, o szewcu prawdziwym bo pijaku. Najwięcej nas zajął i zbudował Bułgar, dawny także kozak sułtański, który kolegę swego Polaka pole-

cał gorąco Księdzu Malczyńskiemu. Zostawił trzewiki po-tureoku przed progiem a mówił wyprężony tak jak moskal trzymając *ruki po szwam*. Nic nie mówię o biednej młodzieży płochy wywabionej z kraju, która zawiedziona od bogów ziem-skich na których liczyła, przejeżdża się z Francji i Włoch do Turcji i na powrót. Nie mówię też o kilku z ostatnich zasłańców którzy szczęśliwie uciekli z transportu syberyjskiego i dostali się do Stambułu.

Jedenaście dni spędziłem za drugim nawrotem w Adry-anopolu, zaczęłam po dniach pięćdziesięciu od mego wyjazdu z Rzymu, doczekałem się nareszcie listów i mogłem się nieco zorientować, co do moich dalszych kroków i przedsięwzięć. Tylko ten co był daleko od swoich, wśród krajów i ludzi obcych, wie, jakie to prawdziwe zmartwienie nie mieć od nich wiadomości i jaka pociecha doczekać się ich nareszcie; podobnie dla misjonarza prawdziwe święto, kiedy spotka w obczy-znie towarzysza, z którym się może nie tylko rozmówić swoim językiem, ale jeszcze rozumieć się w duchu. Gospodarzowi mojemu tem miłsze było moje towarzystwo, iż młodszy ode-mnie, świeżo Polskę opuściwszy, żywiej jeszcze czuł osamo-tnienie swoje w kraju, w którym nie liczni Europejczycy wyłącznie handlem i zarobkiem są zajęci. Rekreacje wie-czorne spędzaliśmy zwykle leżąc na rozesłanej rogoży na dziedzińcu, gwarząc o tem co nas wspólnie zajmowało, a choć dziedziniec konsula rosyjskiego dotyczył naszego i w święta powiewała jego chorągiew, nieraz śpiewaliśmy sobie; *Hoże coś Polskę*. Trzeba było nareszcie wracać do Carogrodu, ale że świeżo były się znowu zdarzyły dwa napady zbójckie na drodze którą miałem przebyć, furmani lękali się najmować; wszakże *sacra auri faines* i strach przewycięża; puściliśmy się tedy we trzy powózki. Konie mojej bryczki miały jeszcze zawieszone na karkach dzwonki, jakoby dla nawoływania rabusiów; a może też ten znak *animuszu* korzystnie działał. Bandyci musieli wnioskować żeśmy albo goli i rozboju się nie boimy, albo dobrze uzbrojeni i gotowi jak zwykle Euro-pejczycy, drogo życie swoje sprzedać: pierwsze było praw-dziwe. W ożnice pokazywali nam miejsce, na któreni przed kilku dniami 23 rabusiów obdarło karawanę całą i zaptim (niby żandarmom) konie i broń zabrało. Mówią iż chcieli odbić pięciu pojmanych kolegów, zabójców amerykańskiego

missyonarza; ale że się o dzień spóźnili, w inszy sposób popracowali i zarobili. Zapewniają także, że banda ta składała się z Bułgarów, co byłoby nowością, bo w Bałkanach Bułgarzy od wieków rozbijali, ale na płaszczyznę i tak blisko stolicy dotychczas się nie ważyli; może się też w ten sposób, chcą zaprawiać do wojskowości.

W ciągu tej podróży miałem trzeci dowód niewygasłego, tylko tlejącego fanatyzmu muzułmańskiego. Stanęliśmy na chwilę przed khanem; towarzysze moi Jmany arabskiego pochodzenia zasiedli w sieniach, ja stojąc tamże kazałem sobie podać wody z winem. Jeden z tych Jmanów wskazywał mi izbę wewnętrzną, jak gdyby mnie do niej zapraszał. Ukłoniłem mu się grzecznie, a tu słyszę że mnie gniewnie *giaurem* czyli psem powitał. Dowiedziałem się później że to go obraziło, iż w jego obecności kazałem sobie nalać zakazanego przez Proroka wina. Biedny człowiek! niechby się raczej oburzał że współwyznawcy jego potajemnie upijają się winem a publicznie wódką, dlatego że ona nie jest imiennie wzbrowiona w Koranie. Niewątpliwie fanatyzm muzułmański w samejże Europie jeszcze wybuchnie. Jeżeli prawda, jak mnie zapewniają, że żołnierze ranni w Czarnogórze, po tutejszych szpitalach leżący, bez uszu i bez nosów popowracali, jeżeli prawda że barbarzyńscy *bracia* nasi przed podpaleniem stołecznej swojej wioski, nie tylko zdrowych jeńców ale i rannych pozabijali, nie byłoby się czemu dziwić, gdyby Turcy Chrześcijanom znowu gdzie strasznym odpłacili odwetem. Licha obecna polityka, która wszystkie namiętności drażni, kwestyje podnosi i znowu je opuszcza, koniecznie do tego prowadzi.

Przybyliśmy nareszcie do Rodosto które się przed kilku dniami silnie było paliło. Wyznaję żem serdecznie podziękował Bogu za opiekę w tej podróży i to przed tymże samym Ołtarzem, przed którym ją przed miesiącem polecałem. Miasteczko było pełne ludności napływowej, świątecznie wystrojonej, muzyki po kawiarniach grały. Był to odpust Ormian schyzmatyków, zwany *Tolcaicor* na który się byli z okolic i aż ze Stambułu zjechali. Pokazują niby to jeden z gwoździ, którymi tablica napisowa, miała być do krzyża Zbawiciela przybita; choć żadnego na to nie mają autentyku. Wszakże

z okazji tej relikwii i pielgrzymki do niej, wymurowali piękny i obszerny kościół, marmurem wewnątrz wykładany.

Statek nasz nazajutrz był też głównie Ormianami załadowany, ale byli i Grecy i Turcy i Bułgarzy. U mężczyzn czarna sutanella i fez powszechnie dawny strój zastępują. U niewiast, jeszcze widać czasem wschodnie czółko albo koronę i jaskrawe kaftany złotem bramowane; ale pod niemi czy bez nich, europejska krynolina niemiłosiernie się rozszerza. Porównywałem też typy narodowe i wyznaję że dość trudno dostrzedz wydatnej różnicy, wyjąwszy chyba Arabów i Tatarów. I rzecz prosta, tylu się Greków, Ormian, Słowian poturczyło, tyle miast chrześcijańskich zostało łupem swawoli tureckiej. Wyznania tu tylko religijne różnią; gdyby nie to, wszystkie owe ludności, zlałyby się bez trudności w jedną narodowość.

Wszakże przekonałem się kosztem własnym, że nie tylko typy są jednakowe, ale i żdzierstwo jednakowe. Za małe kurczątka i dwie szklaneczki wina, kazano mi na statku zapłacić 20 piastrów, czyli cztery franki bez mała: czy podobna potem zazdrościć i wysoko ucywilizowanej Anglii!

Na pociechę po tak bolesnej prozie, chciałem się przynajmniej poezją i piękną przyrodą darmo nakarmić. Na godzinę przed zawinięciem do portu, wstąpiłem na pomost górny z kąd kapitan daje rozkazy i korzystając z wcześniejszej godziny, niż kiedyś po raz pierwszy dopływał, chciałem się lepiej temu cudownemu krajobrazowi przypatrzeć! Utwory Boże to mają do siebie, że i często widywane nigdy się nie przykrzą, gdy tymczasem sameż arcydzieła ludzkie powszednieją. Choć nie jestem entuzystą, wyznaję, żem z nowem i żywszem zajęciem przypatrywał się wielkiemu miastu. Wszakże gdy pomyślił, że na tyłu kopułach, na tym lesie minaretów, nigdzie, nigdzie krzyż nieświeci, smutno mi się, bardzo smutno zrobiło; piękność sama miejsca i miasta już mi piękną nie była.

Wraz po powrocie pilno mi było odwiedzić pana pułkownika Jordana, któremu w roku 1857 w Paryżu ślub dawałem, (i to w ambasadzie tureckiej dla obejścia trudności i zwłok małżeństwa cywilnego), a któremu w czasie mojej nieobecności do dawnych dwóch dziarskich chłopczyków, Opatrzność dodała jeszcze od razu chłopczyka i dziewczynkę.

Nazajutrz korzystając z dobrej sposobności i kosztem tylko 10 franków, mogłem w towarzystwie posiadającym firman sułtański, zwiedzić stary jego seraj albo pałac i dawniejszą Bazylikę świętej Zofii. A ponieważ chodzi o arcydzieło sztuki chrześcijańskiej i nie każdy z moich łaskawych czytelników spotkał lub ma pod ręką jego opis, nie wzgardzi moim. Wszakże przedtem trzeba było oglądać co mnie mniej obchodziło; chcę mówić o pałacu sułtańskim, zbiorze lekkich przezroczystych kiosków, o dachach chińskich z rozmaitych epok, nakształt namiotów z kamienia, drzewa i szkła.

Wspomnę zatem tylko o tronie w kształcie baldachimu z blachy złocistej gęsto drogiemi kamieniami wysadzonej, gdzie dawnymi czasy padyszachowie udzielali posłuchania hołdownikom i posłom chrześcijańskim *psom nagim i głodnym* którym raczyli dawać do pocałowania przez kratę, kraj szaty swojej. Dziś trudno nam i pojąć, jak mogli chrześcijanie poddawać się takiemu poniżeniu. Ale strach i chciwość źli doradcy. Alboż Holendrzy nie deptali w Japonii wizerunku Zbawiciela, byle tylko tam kupczyć mogli? Widziałem kuchnie janczarskie z kominami wystającymi z mnóstwem kopulek rzędem obok siebie stojących. Widziałem plac, na którym ci pretoryanie Islamu na znak swego niezadowolenia, kociołki swoje przewracali. Widziałem *kamień* na którym głowy ścinano, i deskę po której do *Bosforu* trupy świętych lub zaduszonych spuszczano. Wszystko to się razem trzyma i wszystko się zmieniło bo też i sułtani rezydencją tę swoją opuścili, jako nieodpowiednią już nowemu ich położeniu; i budują sobie pałace coraz bardziej na sposób europejski, osadzając tu wysłużone swoje lub wybrukowane nałożnice. Podobnie carowie wynieśli się z Moskwy, jak skoro starą Moskwę z europejską przykroć postanowili; jest bowiem stosunek nie dowolny, ale konieczny, pomiędzy życiem duchowym panujących i ludów, a wyrazem jego zewnętrznym, w kształcie stroju, mieszkania i t. p. Dziwi mnie tylko, że Turcy mieli ten szczęśliwy pomysł zabalsamowania niejako byłej Turcyi, urządzając muzea dawnych strojów głównie janczarów znikłych niepowrotnie, równie jak wszystkich dostojników, urzędników dworu, paziów, eunuchów, aż do tragarzy, którzy wszyscy już także albo znikli, albo stopniowo zniknęli. Pokazywano nam jeszcze arsenał historyczny w da-

wnym kościele św. Ireny; ale że się tego więcej widziało, patrzyłem tylko z zajęciem na krzyż mozaikowy, który się jakoś szczęśliwie nad absydem zachował a wszyscyśmy napierali, aby już nas' wprost do św. Zofii *kawas* nasz prowadził.

Roku 325 a 20 swego panowania, Konstantyn postawił pierwszą bazylikę Sofijską, nie na cześć jakiej świętej tego imienia, ale na cześć Bożej Mądrości Twej dy.a «9i» (po turecku Aya Sophia). Powiększył ją był syn jego Konstancyusz, a w r. 404 za Arkadyusza spłonęła ona w części podczas zamieszania wywołanego wygnaniem św. Jana Złotoustego. Odbudowana r. 415 przez Teodozyusza II, spłonęła znowu w 532 r. a piątym panowania Justyniana, podczas wielkiego powstania sprawionego spółzawodnictwami cyrkowemi. Justynianowi zawdzięczamy ginach obecny, który chciał, aby był najwspanialszym jaki widziano od stworzenia świata. To też kazał zbierać po całym cesarstwie, co tylko było i pozostało drogich marmurów i rzeźby. Tak dostał z Efezu zapewne ze świątyni Dianny ośm kolumn zielonkowatych; z Rzymu ośm innych, które Aurelian zabrał był ze świątyni Słońca w He-liopolis (Baalbeku); świątynie ateńskie, w Delo, Czyzku, Ozyrysa i Izidy w Egipcie, musiały się także opłacić. Dwóch budowniczych greckich Antemiusz z Tralles i Izydor z Miletu kierowali pracami. Jakkolwiek łatwowierność i pochlebstwo rozgłosiło, że cesarz otrzymał wprost z nieba i plan budowy i pieniądź potrzebny, to pewna, że cesarz sam założył pierwsze podwaliny i wiele razy na dzień przychodził doglądać 10,000 robotników, nagradzając najgorliwszych i najpracowitszych. Obszerna płaszczyzna zalana massa betonu dwudziestu stóp grubości, która schnąc nabyła twardości żelaza, służyła za podstawę tej budowie. Mury stawiano z cegły, ale pilastry z wielkich kamieni wapiennych, powiązanych hakami żelaznymi równie jak płyty marmurowe, któremi wszystkie ściany wewnętrzne zostały wyłożone. Do budowy kopuły, kazał cesarz przyrzadzić na wyspie Rodus cegłę ze ziemi tak lekkiej, iż dwanaście ich ledwie tyle co zwykła jedna ważyło. Miały na sobie napis następujący: Bóg to postawił, Bóg tem opiekować się będzie. Układano te cegły warstwami regularnemi, co dwanaście warstw wkładano relikwie przy modlitwie kapłanów. Kościół dokończony odpowiednio był ozdobiony wewnątrz. Okroin marmurów najdroż-

szych kapitele i tablaty były złożone, kopuły boczne malowane enkaustyką; kopuła główna świeciła mozaiką na dnie złotem; podobnie wszystkie obrazy miały złote tło. Naczynia drogich, krzyżów, kandelabrow, było do zbytku, a wszystko ze szczerzego złota, równie jak 24 wielkich ewangelii, z których każda ważyła dwa kwintaly. Ołtarz dyktarce uczyniony był z mieszaniny złota i srebra, żelaza i platyny pereł i dyamentów razem stopionych. Ołtarz tak odlany nasadzony potem został kamieniami najdroższymi. Stół opierał się na czterech słupach szczerze złotych, nad nim wznosiło się Cyboryum (do Najświętszego Sakramentu) wśród czterech łuków srebrnych dźwigających kopułę złotą, a na niej bryła złota 118 funtów i krzyż złoty ważący funtów 80. Prezbiterium, ambona, tron patriarchy, siedzenia siedmiu kapłanów były odpowiedniej wytworności i bogactwa.

Pojmujemy, że świątynia taka wymagała niezmiernego wydatku; mury wznosiły się zaledwie o dwa łokcie nad poziom, a już wyszło 454 kwintalów złota. To też cesarz nie tylko wkładał w tę budowę dochody z prowincji cesarstwa i haracze barbarzyńców, ale w końcu uciekał się do środków grzesznych dla dostania pieniędzy. Budowanie skończyło się roku 548 w lat 16 od zaczęcia. Cesarz odbył poświęcenie kościoła z największym przepychem. Po tryumfalnym pochodzie po Hipodromie i przehojnym obdarzeniu ludu wstąpił do świątyni i zawołał: „Chwała Bogu, który mnie znalazł godnym dokonania tego dzieła; zwyciężyłem Cię Salomonie!” (Salomon nie myślał czy kogo zwyciężył, ni o chwale własnej, jedno o Bożej, że świątyni jaką mu dźwignął). Ofiary, biesiady publiczne, jałmużny, trwały przez dni czternaście.

Wszakże bania Zofijska, za śmiało budowana, zapadła się r. 559 w skutek trzęsienia ziemi. Izydor młody, wybrany do odbudowania, zmniejszył jej obwód a podparł pilastry mocnymi i murami dodanymi zewnątrz. Roku 987 za cesarzów Bazylego II. i Konstantyna IX. nowa naprawa była potrzebna a w r. 1371 trzęsienie ziemi krzyż obaliło, jakoby zapowiedź zbliżających się Turków, już osiadłych w Europie. R. 1453 po zdobyciu cesarskiego grodu przez niewiernych, mnóstwo kapłanów, mnichów, niewiast i ludzi wszystkich stanów natłoczyło się do Sofijskiego kościoła, zdobywca wjechał aż przed wielki ołtarz i zeskakując z konia zawołał: *Nie ma*

Boga jeno Bóg i Mahomet jego prorok. Był to znak rzezi i rabunku. Chrześcijanie pokazują sobie ciemną plamę na murze, mówiąc, że Mahomet wstępując po trupach pobitych chrześcijan, rękę w krwi ich umaczaną położył na marmurze, zapewne na znak wzięcia w posiadanie i poświęcenia na służbę swego proroka. Inna legenda, którą Grecy z upodobaniem do ostatnich czasów powtarzali, opiewała, że w czasie najścia bisurmanów, kapłan pewien, mszę św. sprawiając uciekł z kielichem od ołtarza i zniknął przez drzwi ukryte w jeduej z galeryi, a drzwi te natychmiast znalazły się zamurowanemi; ale gdy Bazylika Sofijska przywróconą zostanie nabożeństwu chrześcijańskiemu, drzwi się te otworzą i kapłan wróci do ołtarza dokonać przerwanej ofiary. Nieszczęściem dla legendy pan Fossati, budowniczy ostatniego sułtana, mając sobie poruczone naprawy potrzebne, otworzył owe drzwi i znalazł tylko ciasną kapliczkę i schody gruzami zawalone. Ale legenda ta symbolizuje nadzieje wiernych dusz, iż gdy się dokonają czasy gniewu Bożego nad Grekami za ich upor odszczepieńczy, prawdziwa i miła Bogu służba katolicka zacznie się znowu święcić w tym przybytku. Tymczasem wracamy do podboju.

Mahomet zdobywca obróciwszy kościół na meczet albo *Dżami* podparł go zewnątrz od strony południowo-wschodniej i dobudował minaret, Selim dodał drugi, a Murat III. wyniósł dwa insze jeszcze od strony północno-wschodniej i umieścił na szczycie kopuły ogromny półksiężyc z bronzu, którego pozłota sama kosztowała 50,000 dukatów. Tenże sułtan zarządził restauracye wewnętrzne i sprowadził z wyspy Marmara dwie ogromne urny, które miały pochodzić z Pergamu, jajkowate, służące dziś do ablucyi, a każda z nich mieści do 1250 kwart' wody. Nareszcie wzmiankowany pan Fossati Tessyóczyk rodem, pomiędzy latami 1847 — 49 przeprowadził naprawę zupełną gmachu i za pomocą żelaza a podmurowali zręcznie ukrytych, wzmocnił arkady, które wraz z całą budową zagrożone były upadkiem. Dnia 13-go lipca sułtan Abdul-Medżid, uroczystym obrzędem, oddał znowu gmach Sofijski muzułmańskiemu nabożeństwu. W stanie obecnym niepodobna prawie odgadnąć kształtu zewnętrznego pierwotnej budowy. Ogromne podpory Murada III, mnóstwo zabudowań późniejszych, łaźni, *medresse* (szkół) grobów i domów piywa-

tnych, zakrywa całkiem plan dawniejszy. Pomiędzy czterema minaretami wysokimi ale prostymi i nieco ciężkimi, wznosi się wielka kopuła na murach o pokładach białych i różowych z kolei, ozdobiona u podstawy swojej wieńcem jasnych okien, mając po bokach od wschodu i zachodu dwie półkopy. Od strony wschodniej widać drzwi czworoboczne pięknego stylu, ozdobione sześciu kolumnami z marmuru i porfiru, a których poziom niżej dziś od ulicy. Od strony południowej są *tiurbe* (kapliczki grobowe), fontanna do obmyć i główne wejście do wielkiego przedsionku. Na frontonie zachodniej Bazyliki, rozróżnić można, choć niewyraźnie, słupy jońskie należące dawniej do *Atrium*, albo dziedzińca poprzedzającego świątynię. Aby nie obrażać muzułman chrześcijanie nawet mający firman, nie wchodził temi drzwiami, ale inną uliczką od północy, mniej wystawioną na wejrzenie wierzących. Zdjęcie obuwia przed wejściem wewnątrz jest niezbędne.

Wchodzi się bramą brązową ozdobioną meandrami, liśćmi winnymi i napisami z głosek srebrnych wprawionych (inkrystowanych) do wielkiego perystylu (*Esonarthex*) prowadzącego do samego meczetu dziewięciu drzwiami; ten perystyl w kierunku z południa na północ, długości 60 metrów na 10 szerokości, świeci jeszcze mozaikami dawnymi. Od strony zachodu widać tam pośrodku wspaniałe drzwi brązowe, największe z pięciu, które się dawniej otwierały na *Esonarthex* a z tamtąd na *Atrium*-, dziś są one zamknięte. Od strony wschodu dziewięć drzwí prowadzi do świątyni: środkowe wiodą wprost do nawaty głównej. Wielu twierdzi, że widok ogólny wspanialszy jest i więcej przejmujący od widoku wnętrza św. Piotra. Nie śmiem zaprzeczyć, ile że za wiele wrażeń, uczuć głębszych od wprost artystycznych, zajmowało moją duszę. To pewna, że widok wnętrza poważny jest, przejmujący. Kościół zbudowany w niepełny czworobok ma 81 metrów długości na 60 szerokości; w środku tego czworoboku dźwiga się kopuła, u której 35 metrów oznacza szerokość nawaty. Kopuła opiera się na czterech wielkich łukach; na dwóch łukach pionowych do osi nawaty, opierają się dwa sklepienia, półkoliste, które dają całości nawaty kształt owoidalny. Każda z tych dwóch półkul, przenikniona jest znowu dwoma mniejszymi półkulami opartymi na słupach. Ten ciąg i jakoby rodzenie się jedna z drugiej kopuł,

których podpory są niewydatne, daje całej budowie widok lekkości trudnej do wyobrażenia. Wysokość kopuły dochodzi 67 metrów nad powierzchnią posadzki; przedziurawiona jest 44 oknami krągło-iukowemi. Łuki wielkiej kopuły opierają się na czterech ogromnych pilastrach, sterczących jednym węglem ku środkowi kościoła. Pomiędzy temi pilastrami pomieszczone są po prawicy i po lewicy owe sławne kolumny efezkie, a z tyłu po bokach znajdują się inne mniejsze; kapitele nie należą do żadnego stylu. Nad bocznemi nawatami i od zachodu nad przedsionkiem rozciąga się ogromna trybuna, albo galerye dla niewiast *Gyneceum*. Sklepienie tej części świątyni opiera się na 67 słupach; okna tej galeryi są większe. Nareszcie cztery odcinki kopuły, panujące nad czterema rogami wielkiej nawaty, opierają się (każdy z nich) na dwóch słupach porfirowych. Sklepienie absydu przebito trzema oknami na cześć Trójcy przenajświętszej na rozkaz Anielski (jak mówi podanie) dany budowniczym.

•*

Wspomnieliśmy już, że mozaiki na tle złotem zdołały sklepienia kościoła. Te, które przystrajały boczne części, a szczególnie galeryę są dobrze zachowane i dają wyobrażenie bogactwa dawnej Bazyliki. Natomiast one co zdołały wielką nawatę kopuły, przeto iż przedstawiały przedmioty biblijne, zostały grubym pokładem wapna pokryte, albowiem wyznanie mahometańskie zabrania przedstawiania postaci ludzkich. Uchowały się tylko skrzydła czterech Cherubinów, umieszczonych w czterech obwisłościach kopuły, ale twarze ich zakryte rodzajem gwiazdy złocistej. Pan Fossati podczas restauracyi odbytych, odkrył mozaiki zatynkowane i zdjął ich rysunek wydany później w Berlinie, zanim je znów do lepszych czasów nie kazał zamalować. W głębi absydu przebija się przez tynk, olbrzymia postać z wyciągniętymi ramiionami, zdaje się i powiada, że Zbawiciela.

Ma się rozumieć, że Justynian budujący świątą Zofiją, nie oryentował się podług Mekki, to też *Mihrab*, który kierunek Mekki wskazuje, nie znajduje się wV środku świątyni. Więc dywany i rogoże pokrywające marmurową posadzkę ułożone są ukosem, jak gdyby na przekorę liniom architektonicznym i przeto przykre sprawiają wrażenie. W tych dniach odnoszono processjonalnie do meczetu Ejuba (Joba towarzysza Mahometa), kobierce zdjęte z grobu proroka, na miejsce

których sułtan nowe posyła, a one dawne w skarbcu sułtańskim, jako relikwie zachowuje.

Na wielkim pilastrze po prawicy jMihrabu wisi stary kobierzec proroka wielce czczony od muzułmanów, jako jeden ze czterech, na których Mahomet klękał do modlitwy. *Meñber* (ambona) przyczepiony jest do jednego z pilastrów *absydu* po prawej stronie, spiczasta wieżyczka, która się nad nim unosi, uderza delikatnością swych wycinań. Co piątek *Katyb* wchodzi tam dla czytania Koranu, z gołym mieczem w dłoni, albowiem świątynia sofijska mieczem zdobytą została. Na przeciwko jest łoża sułtana, opatrzone kratą z drzewa złoczonego. Inne estrady albo *Mastaba*, służą czytelnikom koranu. Ogromne tarcze zielone ze złocistymi głoskami zdań koranu wiszą po murach. U szczytu kopuły wypisany sławny wiersz: *Bóg światłem nieba i ziemi*. Napisy te są dziełem znakomitego kaligrafa Biczakizadek Mustafa Czelebi za czasów Murada IV. Niektóre głoski mają 9 metrów wysokości. Na długich sznurach utwierdzonych u sklepień wiszą świeczniki brązowe, jaja strusie, kutasy jedwabne i stanowią obecne ozdobienie meczetu. Chcąc dobrze widzieć ze wszech stron wewnątrz Bazyliki, trzeba koniecznie wejść na galerie boczne, a wchodzi się od strony północnej wielkiego przed-sionka.

Głównymi ciekawościami, jakie muzułmanie w św. Zofii pokazują są: 1 bryła wyłobionego marmuru czerwonego uchodząca u Turków za żłób Jezusa (Sidi Issa), która miała być przeniesiona z Betlehemu, wraz z innym naczyniem którym Marya Panna kąpała niby święte dzieciątko; 2 *slup po-czący się* po lewicy, wchodząc od strony północnej, pokryty on jest cały brązem, ale przez mały otwór można się dotknąć marmuru zawsze wilgotnego; 3 *okno zimne* obok *Mihrabu* także od strony północnej, z kąd stale wieje wiatr świeży; 4 *kamień błyszczący* od strony południowej, który błyszczy, gdy weń uderzają promienie słoneczne, jest to płyt marmuru przezroczystego umieszczony w galerii wyższej. A więc dla Turków dziwną rzeczą że słońce świeci, że od północy wiatr chłodny wieje i marmur wilgotny.

Otóż korzystając z pracy pp. Texier, Batissier, Joannę i Isambert, daję wam opis prawie dokładny i szczegółowy św. Zofii, i dla tego że jakem powiedział jest to arcydzieło

budownictwa i że Turcy znowu wszystkie swoje meczety a raczej *Dżami* na wzór *Aya-Sofia* pobudowali, tylko mniej bogate co do materiału użytego.

List ten już i tak długi, więc dziś nie wspomnę wycieczki mojej do Adampola, Czyfliku, albo kolonii polskiej i innych szczegółów, które do następnego listu zachowuję.

Bóg z wami.

LIST IV.

Carogród — Bejrut — 6—26 Września.

Mo i NAJMILSI !

Po odwiedzeniu meczetu cło czego trzeba pozwolenia lub pieniędzy danych do ręki Mollahom, postanowiłem odwiedzić *teliie* czyli klasztor Derwiszów kręcących się, albo walczących. Ci nietylko nie robią trudności w przypuszczaniu chrześcijan na swoje przedstawienia dawane dwa razy na tydzień, ale owszem zdaje się, że są radzi z ich obecności. Klasztor ich, lekka budowa z drzewa malowanego, czysta i jasna. W głębi dziedzińca jest sala okrągła z kolumnami i galeryami u góry. Zdziwił mnie też porządek jakoby stolic europejskich; odźwierny, zabierając trzewiki dał kontramarkę z numerem; zapewne bakczysz t. j. łapowe, jest pobudką do tego niezwykłego tu porządku; wszakże od mego towarzysza kapucyna znać jako od *kolegi*, łapowego przyjąć nie chcieli.

Kiedym wszedł do sali już muzyka grała t. j. flet i bęben znaczyły rytm powolny i poważny, niekiedy podtrzymywany i śpiewem, zapewne wersetów z koranu. Dwudziestu kilku derwiszów boso, lecz w białych, długich, fałdzystych szatach, z szaremi kołpakami na głowie, z rękoma w krzyż na ramionach opartymi, chodziło w koło jakoby w procesyi, pomiędzy nimi uderzył mnie chłopak dziesięcioletni, jak dowiedziałem się syn przełożonego, który siedział w głębi i przed którym przechodząc schylali głowę derwisze, i to kłaniając się sobie, po dwóch nawzajem, jak to czynią po

niektórych zgromadzeniach zakonnicy i zakonnice przystępując do Stołu Pańskiego.

Muzyka zaczęła grać pospieszniej i śpiew energiczniejszy jej wtórował, a wtenczas zaczął się ów walc religijny, po gładkiej zresztą i woskowanej podłodze. Kręcą się w koło z rozkrzyżowanymi rękoma. Najwprawniej walcujący Europejczyk nie określił dokładnie koła, więcej powiem, równie dokładnie, jak to oni wszyscy czynią. Kręcili się w dwa koła współcześnie; jedno węższe pośrodku, ze czterech czy sześciu walcujących złożone a drugie większe z kilkunastu; otóż pomiędzy jednym a drugim kołem tych wiatraków żyjących, przechodził się derwisz pełniący obowiązki mistrza ceremonii i jakoby przeora konwentualnego a żaden go i ostrzem palców nie potrafił. Dwa, czy trzy razy przełożony dawał znak spoczynienia, wtenczas przysiadali na ziemi, a towarzysze nie należący do reprezentacji, zarzucali mocno spoconym płaszczem na ramiona. Taniec zakończył się modlitwą.

Muszę przyznać, że derwisze odbywają swoje dziwne nabożeństwa z przejściem i powagą, tak że nikomu śmiać się nie chce. Wychodzą oni z tego pewnika, że wszelkie stworzenie winno wirować około Twórcy, jako około osi swojej i swego ogniska. Myśl piękna i głęboka: i gdyby nie kręcili się na pokaz i do zawrotu głowy, nie byłoby bardzo co do powiedzenia.

Mówią, że w czasie Bajramu i innych świąt, kręcą się do upadłego i że niektórzy padają, pieniąc się w konwulsjach; dnia tego nic podobnego się nie zdarzyło, i malec ów doskonale placu dotrzymał.

Jest jeszcze drugi rodzaj derwiszów mniej mających miru u swoich, derwiszów wyjących, którzy w Skutari dają swoje przedstawienia. Ci pobudzają się kiwając się w takt naprzód i w tył, wołając Allah ! Allah! coraz przeraźliwiej, aż wpadną w rodzaj orgazmu, odurzenia, wściekłości. Wycie to i pantomina działają magnetycznie na obecnych, tak że nie jeden z Turków z widza przechodzi na aktora i z derwiszami w takt kiwać się i wyć zaczyna. Znajac moje nerwy i zapewniony od innych, że nie można bezkarnie być obecnym tak długiemu i przeraźliwemu wrzaskowi, nie chciałem się wystawić na podobne utrudzenie. Derwisze wyjący dodają jeszcze rozmaitego rodzaju kuglarstwa, albo diabelstwa. Tak

up. tańczą z ostremi sztyletami w rękę, któremi się kaleczą: tak przełożony przebija na wskroś policzki młodego adepta, który się ani skrzywi; tak staje na kilkoletnich dziatkach, które matki ścielą rade pod jego stopy, ho z nóg jego ma spływać błogosławieństwo i siła lecząca wszelkiego rodzaju choroby i t. d. Że się jednak te leki powszechnie nie udają, słyszałem iż rząd nie rad że derwisze wystawiają się na pośmiewisko wobec obcych i bodaj że starszyna już dziś wielu tych nadzwyczajności nie używa.

Przed opuszczeniem Carogrodu, chciałem koniecznie odwiedzić *Czyflik* czyli folwark, albo kolonię polską, położoną w Azji Mniejszej, ze trzy godziny od Bosforu. Wziąłem zatem wierzchowca w Skutari i miałem sposobność do przekonania się raz jeden jeszcze o zachwalonej wytrwałości koni tureckich. Ogier mój zrywał się zawsze w cwał pod górę. Ja pamiętając że ma cztery godzin drogi przed sobą i cztery jeszcze na powrót, z litości go wstrzymywałem; tymczasem po dwóch i trzech godzinach jazdy choć musiał czuć przecie że nie pióro dźwiga na sobie, w najlepsze zaczął swawolić i dokazywać: wyraźnie w biegu się rozochocił. Zaledwie przybyliśmy o zmierzchu do Czyfliku; Turek zapłacony ruszył do domu, bez dania nawet koniowi wytchnienia.

Zdziwił się niepomału Ojciec Piramowicz i ucieszył, widząc, że mu dotrzymał obietnicy. Poznałem też jego pomocnika O. Dudziaka Galicyanina rodem, który właśnie wyjeżdżał nazajutrz do Carogrodu, dla ogłoszenia zaczynających się stale kazań polskich we dnie niedzielne i świąteczne.

Mszę św. odprawiłem w ubogiej drewnianej kapliczce, którą jeszcze ś. p. O. Filip Bośniak postawił. Po kawie poszliśmy w towarzystwie kapitana Bartymskiego *kodži paszy*, albo wójta osady, odwiedzić rodziny, zaopatrzeni w medaliki dla dziatwy.

Dawni osadnicy brali żony jakie dostać mogli: Greczynki, Ormianki, Francuzki i Niemki; późniejsi już mają Polki i nowych się spodziewają jeszcze. Zabawiło mnie gdym spotkał typ Mazurki, jak gdyby w balonie tu przeniesionej, która przybyła do męża swego jeńca z pod Sebastopola i później osadnika. Jest już osadników ze 31) (na Czyflikach sąsiednich zwanych niemieckim i francuzkim, własności KKs. Lazarystów, pełno także Polaków). Powietrze tu zdrowe, woda

wyborna, ale grunt lichy, wszystko trzeba karczowaniem zdobywać; pastwisko chude i jeszcze go mało. Przy szczupłej lub żadnej zapomodze, wiarusy nasze dają dowód wielkiej pracowitości i wytrwałości. Sprawdzają także uwagę Mickiewicza, że wieśniak słowiański we wszystkim sobie poradzi; bo nietylko domy sobie popostawiali, sprzęty robocze, gospodarskie posprawiali, ale jeden ex-szawc młyn wodny zbudował, wodę z daleka kanałem wykopanym sprowadził i kanał szluzą opatrzył.

Kilkanaście rodzin odwiedziłem i poznałem też jedną Greczynkę, która się po polsku nauczyła. Sąsiadkę najbliższą miała Polkę rodowitą a ta znowu ani rusz żadnym innym językiem. Odwiedzając się nawzajem wielce chciały się nagaść, (jak to się *czasem*, mówią złośliwi, niewiastom zdarza), a gdy się nie udawało, siadały i płakały z rozpacz; w końcu Greczynka biegłęjsza od Polki, choć już nie młoda, nauczyła się szpakować po polsku, od ciężkiej potrzeby. Odtąd sąsiedztwo miłe i zwierzeń pewno było i jest bez liku. Po obiedzie odwiedziliśmy Ks. Richau, gospodarza części Czyfliku, którą KKs. Łazaryści wprost na siebie trzymają. Dowiedziałem się że równie dobrze na nim wychodzą, jak my na naszej winnicy pod Rzymem, t. j. że dokładają ze swego, ale jak my pocieszają się powiększeniem wartości ziemi i chowają nadzieję na przyszłość. Nazajutrz stary Augustowiak, właściciel konika po połowie z drugim (i przeto ze zdziwieniem mojem zrazu, mówił jak zakonnik: nasz Ogierek) odprowadził mnie do Bosforu. Z góry widziałem lejkę Bosforu wpływającego do Morza Czarnego, a raczej przyjmującego jego wody. Posłałem z daleka pozdrowienie w duchu znajomym moim w Odesie, na Podolu i Ukrainie. Nazajutrz przepравиłem się w kaiku do Terapii, dla przedstawienia się Ambassadorowi francuzkiemu. Doświadczyłem tu na sobie usposobienia Greków względem nas Łacinników. Chciałem nająć na godzinę izbę w hotelu; Grek gospodarz odpowiedział mi, że nie ma ani jednej wolnej. To być jeszcze mogło, ale dziwna by nie znalazł jednego kątku w całym domu na kilka chwil tylko.

Gdym wracał do Carogrodu, przyszło mi na myśl ofiarować się Ks. Dudziakowi z powiedzeniem pierwszego kazania i podarować mu krzyż błogosławiony przez Ojca św. który mu też na szczęśliwą pracę zostawiłem. Przypomniałem

sobie, że lat 20 temu, w pierwszej połowie września, podobnie zacząłem kazania dla Polaków w Paryżu. Jakkolwiek dwa dni tylko zostały do zapowiedzenia nabożeństwa, przyszło ze 20. Nazajutrz, w dzień narodzenia M. B. było już więcej słuchaczy a mianowicie prostych żołnierzy i ich żon, co się już i o spowiedź dopytywali, jest więc nadzieja że będzie do kogo mówić. Choćby też *intelligencya* nie przychodziła, proste dusze będą się cieszyły że mają przecież Księdza, jak to pocziwie wyraziła, pocziwa ona Mazurka na Czyfliku: „już się też nasze ciłopiska były rozpuściły jak dziadowskie bice i całkiem to w psy poszło proszę Dobrodzieja; my baby, choć Mszy św. nie było to przynajmniej paciorek zmówiły, a chłopu to bywało trzeba poszturchać by się przeżegnał...” A szczęście że Boże robotnikom i daj Ducha Twojego zbiegom twoim!

Ostatnie miłe wrażenie jakie wyniosłem z Carogrodu, było wywołane odwiedzeniem małego klasztoru Siostrzyczek grecko-katolickich założonych przez Ks. Jana Marangon. Jest ich pięć, czy sześć dopiero; wychowane same przez Siostry Miłosierne, uczą dziś inne dziewczątka. Przypomniały mi się nasze Siostry, choć stambulskie jeszcze biedniejsze, bo i kapliczki w domu nie mają, jedno chodzą na Mszę św. do kościoła: nieraz im dawałem Komunię św. i domyśliłem się z wyrazu twarzy, że muszą być oblubieniczki Chrystusowe.

Dnia 13 pod wieczór wsiadłem na parowiec francuzki *Chelif* wraz z O. Franciszkiem Sobalskim Bernardynem warszawskim, przeznaczonym jeszcze na wezwanie byłego jenerała Zakonu na spowiednika polskiego do Jeruzalem. Długie oczekiwanie na paszport i podróż nakazana przez Odesę, spóźniły go do tyła, że już znajdzie to miejsce zajęte: ale od przybytku głowa nie boli. Że raz pierwszy puścił się w tak daleką podróż i pierwszy raz pływa po morzach głębokich, może mu było i na rękę towarzystwo moje, starego włóczęgi po morzach i lądach. Gdybym był większym zwolennikiem wspomnień klassycznych, tobym mówił o Helesponcie i o Symoisie Horoerowskim i o bliskich grobach Achillesa i Ajaxa i o starym Illionie *in conspectu Tencdos*, ale to innym zostawiam, albo do podróżników odsyłam. W Smyrnie, jednej z domniemanych Ojczyzn Homera, gdzieśmy 15-go zrana stanęli, szukałem i nie znalazłem pamiątek po św. Polikarpie,

któreby mnie były szczerze zajęły. Nie zastałem nawet w mieście obecnego następcy św. Polikarpa a znajomego mi Księdza Spaccapietra Arcybiskupa Smyrneńskiego. Rad przynajmniej, że mogłem zmówić Mszę św. w oktawie Narodzenia N. Panny. Odszukałem przy kościele św. Polikarpa u 00-Kapucynów poważny pomnik po ś. p. Jenerale Pacu; uklękawszy z Ks. Sobalskim, zmówiliśmy *De profundis* za duszę zmarłego walecznika. Nie skopiowałem długiego napisu w polskim i łacińskim języku, przypuszczam bowiem iż musi być wydrukowanym przy życiorysie zmarłego w zbiorze Straszewicza.

Gdyby droga żelazna była już skończona do samego Efezu, byłbym starał się odwiedzić te zwaliska drogie sercu chrześcijańskiemu, ale na teraz nie było sposobu. Obejrzałem się więc z nudów po mieście, które choć czystsze od Stambułu, nie zasługuje bynajmniej na szumne nazwy *Smyrny wdzięcznej, wieńca Jonii, Perły Wschodu, Żrenicy Anatolii*, a pod względem handlowym wiele straciło, bo karawany z głębi kraju, zamiast się tu wszystkie zbiegać, zdążają dziś do różnych miast nad morzami Czarnem i Śródziemnem, kędy parowce europejskie zawijają.

W porcie przesiedliśmy się na potężny okręt pocztowy 0 dwu kominach *La Neva*, do tejże samej kompanii francuskiej należący. Przybył nam trzeci duchowny O. Roch Kapucyn włoski, wysłany przez swego Jenerała do zbierania wiadomości i dokumentów po klasztorach kapucyńskich dla spisania potem *Dziejów Missyi* tegoż zakonu. Młody, zdalny, czytany, i rozmowny kapłan. Jak nie podziwiać spokoju i ufności w przyszłość, nie tylko głowy kościoła, ale i członków jego, które wśród burzy obecnej i większej jeszcze grożącej, tak się wszystkim zajmują, jak gdyby największe panowało bezpieczeństwo.

Gdyśmy już dobrze wyspę Samos za nami zostawili, pokazywano nam w głębi wysepkę Patmos, na której św. Jan miał sobie objawione losy kościoła, niebezpieczeństwa na jakie miał być wystawiony, i ostateczne jego zwycięstwo i spoczynek w chwale. To widzenie, a raczej wiedzenie przyszłości ostatecznej wielką jest pociechą dla ludzi wierzących. Zresztą przepływaliśmy i koło Miletu, gdzie Wielki Paweł zegnał się z wiernymi wiedząc z Ducha Bożego, że go raz

1 więzy czekają w Jerozolimie, gromiąc ich że go wstrzymują, i oświadczając że gotów i umrzeć dla miłości Pana swego Jezusa.

Wracając do okrętu i podróżników, zapomniałem powiedzieć że już od Stambułu, płynął z nami nowy Pasza Marasz, Turek nowożytny, mówiący czysto po francuzku i mniej fezem całkiem po europejsku ubrany. Poprzednik jego, Bośniak rodem, pokazał się prawdziwym starowiercą. Chrześcianie ormiańscy posiłkowali małą wioseczkę turecką napadniętą od drugiej silniejszej, i otóż pan Basza nie znalazł nic mędrszego do zrobienia, jak rozwinąć sztandar proroka, zebrać hufiec hałastry zbrojnej i wyciąć 700 Chrześcian. W skutek skarg zaniesionych przez Ormian, być może i przez dyplomacyą, gorliwy Bośniak odwołany, a posłany cywilizowany nasz Mohamed Pasza. Ma on przy sobie młodego, ledwo że porastającego na brodzie Beja, syna Paszy Alepu, który się musiał w Niemczech uczyć, bo słyszałem, jak raz zaklął potz-tausend i t. d., a może się też i tam narodził, bo więcej z twarzy na Niemca blondyna, niż na Turka wygląda. Słyszę jednak że najdokładniej przez nos i tremolo trele tureckie nuci. Obaj potem najszczęśliwsi, kiedy pantofle zrzucą, nogi pod siebie podegną i paląc z długich lulek w arcaby grają. Darmo! natura ciągnie wilka do lasu a co sztuczne długo nie trwa. Obaj także i ów kaszlący niedorostek, wiozą ze sobą swój harem, ogrodzony na pomoście pierwszych miejsc ławkami. Rodzaj ów niewiast doskonale zakwefiony (nie na żart gazą jak w Stambule), śpi, albo leży prawie ciągle. Trzy z nich białe ubrane może panie pierwszej klasy, noszą trzewiki europejskie, inne w workach kolorowych, równie jak niewolnice i sługi chodzą w żółtych papuciach. Pan Basza nie raczył się ani razu zbliżyć do swojego dwunożnego bydelka, ni słowa przemówić; uczynił to parę razy Beik bawiący się kręceniem jakichś sznurków jedwabnych: dowiedziałem się później, że wiozł ze sobą matkę swoją. Jaka szkoda że niema na statku rodzin chrześcijańskich, ujrzałyby te nieszczęśliwe istoty, czego może nie znają i nie wiedzą, jakie stanowisko zajmuje niewiasta w społeczeństwie europejskiem; możeby zapłakały nad swoim położeniem i zatęskniły za Zakonem Chrystusowym, który nie pomiata kobietą.

10-go pod wieczór stanęliśmy na godzin kilka w porcie Rodyjskim. Z morza już widzieliśmy dość rozległe fortyfikacje kawalerów św. Jana z trzema wieżami. Wyszliśmy aby się im bliżej przypatrzeć, mianowicie ulicy, na której mieszkali kawalerowie, w domach opatrzonych herbami właściwych przeorstw; bo kościół i pałac W-go Mistrza wysadziła r. 1857 wraz ze sobą miejscowa prochownia. Fulko z Wilaretu, Wki Mistrz zakonu św. Jana Jerozolimskiego, zdobył wyspę wyrwaną sobie przez Greków, Łacinników, Arabów i Turków na przemian. Od r. 1209 osiadł tam z towarzyszami swymi i przez dwa wieki był tarczą Chrześcijaństwa z tej strony. Odpierali sułtanów Egiptu, Syrii i pierwszych tureckich, zdobywając owszem na nich Srynę, Aleksandryę, Patras. Roku 1444 gdy nasz Władysław zginął pod Warną, Egipcjanie oblegali Rodos przez dni 42, odparci jednak zostali przez W-go Mistrza Jana Lastyka. Bohaterski Piotr d' Aubusson odegnał Mahometa II po trzecio miesięcznym oblężeniu i szturmie powszechnym. Nareszcie Soliman II zdobywca Belgradu z flotą 300 żagli i 100,000 żołnierza, postanowił osobiście wziąć tę warownię Chrześcijaństwa, W. Mistrz de l' Ile Adam opuszczony od Europy beretyczącej się już, ledwo że mógł stawić naprzeciw 4500 żołnierza i 600 rycerzy; wytrzymał jednak półroczne oblężenie a przy napadzie ogólnym 24 września 15,600 niewiernych ubił. Zdradzony i opuszczony od ludności greckiej, otrzymawszy wreszcie najzaszczytniejszą kapitulację, wyprowadził się ze wszystkimi pozostałymi i całym sprzętem ruchomym, kościelnym i wojennym, do Państwa Papieżkiego, z kąd Karol V przeniósł ich r. 1530 na wyspę Maltę. Sławnego kolosu z jego bajecznymi rozmiarami aniśmy śladu nie widzieli. Jeżeli stał na miejscu które wskazują, to chyba nie okręta ale małe łódeczki pomiędzy jego stopami przepływały. Co pewniejsza, to że zdobywca turecki Kalif Moawiah I r. 672 po Chrystusie, sprzedał bronz z potłuczonego posągu żydowi z Emezy, który nim obładował 900 wielbłądów. Był więc posąg kolosalny, ale nie w rozmiarach, jakie wyobraźnia ludów i próżność bizancka świata były wmówiły; zaś wiemy, że już 224 lat przed Chrystusem, t. j. w lat 56 po postawieniu, obalony został trzęsieniem ziemi.

Bacząc jak małemi siłami rycerze zakonni dokazywali wielkich rzeczy przeciw niewiernym, widzimy, że gdyby Europa szczerze ich była popierała, daleko mniejszym kosztem i daleko skuteczniej barbarzyństwo mahometańskie zostałoby było odpartem.

Oddalając się 18-go wieczorem od Rodu, płynęliśmy ciągiem przez godzin 36 (przy najpiękniejszej pogodzie) już na pełnem Morzu Śródziemném podpasując jakoby cięciwą głęboki golf Adalii. 18-go zrana ujrzelśmy w głębi wysokie szczyty Tauru Cylicyjskiego i stanęliśmy przed nowożytną mieściną *Mersina* po Turecku *Mersa*. Cztery do sześciu godzin konnej jazdy liczą ztąd do Tarsu, ojczyzny Szawła później św. Pawła, ale słońce okropnie piekło i pewności nie mieliśmy czy się uda nazajutrz na czas wrócić; trzeba się więc było ograniczyć na przesłaniu zdaleka westchnienia i pokłonu wielkiemu Apostołowi. Wieczorem dopiero dowiedzieliśmy się że w tej lichej dziurze, z której ludność zamożniejsza na lato dla złego powietrza ucieka, jest kaplica katolicka, choć O. Kapucyn obsługujący ją, na lato do Bejrutu się wynosi. Wybraliśmy się zatem 19-go zrana wszyscy trzej i zastawszy już uprzedzonego zakrystyana Maronitę, odmówiliśmy Msze obchodząc dzień św. Januarego i towarzyszków jego. Na smętarzu pierwszy grobowiec pierwszego pasterza tej misyjki O. dra Francoyilla, który po trzyletniej pracy, przed kilku laty z tyfusu tu umarł. Ks. Sobalskiego zajmowały długie karawany wielbłądów jucznych towarami które nasz parowiec zabierał. Gdyśmy nareszcie i poczty z Tarsu się doczekali, odpłynęliśmy o 10-tej zrana ku Aleksandrecie, pierwszemu portowi syryjskiemu, radzi z wiadomości, że tam jest kaplica katolicka i że dnia jutrzejszego Mszy św. nie stracimy. Aleksandreta należy do Paszaliu alepiańskiego, gdzie jak wspomnieliśmy rządzi ojciec naszego Beja. To też dopływając do przystani, ujrzelśmy góry oświecone, i urzędnik miejscowy Kadi czy Mudir przybył na okręt z uszanowaniem i dostojnych gości pomimo ciemnej już nocy i przeciwko prawu, na ląd przewiózł.

20 *Września*. Dziś dzień św. Eustachego Męczennika. Odpust w naszym klasztorze Mentorelskim, gdzie mu się Chrystus Pan na polowaniu ukazał i do wiary swojej świętej pociągnął. Żyjąc wciąż duchem wśród braci moich, miło mi

było połączyć się razem z nimi w modlitwie u Ołtarza. Missyonarzem tutejszym jest Karmelita francuzki należący do prefektury w Tripoli i chce dziś z nami tam odpłynąć. Biedny, żółty jak воск, choć zapewnia że na febrę nie chorował i chininą się nie karmił. Dziwna z razu, jak tu na wybrzeżach morskich, wysokimi górami otoczonych, niezdrowe latem powietrze; nie dziwna jednak gdy się podróżny przypatrzy moczarom, które tworzą potoki z gór spadające, bez odpływu ułatwionego ku morzu i stosom nawozu gnijącego na ulicach. A szkoda, bo to jeszcze najlepsza przystań w tych stronach i przy pomocy sztuki ludzkiej, łatwoby tu dobry port urządzić; tymczasem przez brak wszelkiego dozoru, okręta podpływają za blisko ku brzegom wyrzucając swój *lest* (t. j. piasek którym napełniają dół swój próżny) i z czasem zamulą i tę przystań naturalną.

Nie przyszło mi na myśl przytoczyć tego faktu, na dowód że człowiek dary Boże marnować umie, naszemu pilotowi Grekowi, wyrażającemu swój podziw, że na wybrzeżach Syrii, które Chrystus Pan nawiedzał za swego żywota ziemskiego, ani jednego pocziwego portu nie spotkać. Przytoczyłem mu jednak Tyr i Sydon, tak sławne dawniej pod względem żeglarskim, a które dziś w skutek grzechu ludzi, stały się morską pustynią, jak żyzna ongi Palestyna pustynią ziemską. Wspomniałem o Syrii z powodu Aleksandretty, albowiem o dwie godzin ztąd leży wąwóz w górach zwany bramą albo wrotami Syrii (*Pylae Syriae*). Jedyne to istotne wejście przybywającym z północy. Tędy się dostał Aleksander wielki, który i imię swoje Aleksandrecie zostawił. Tędy się przebiły zastępy pierwszych Krzyżowców. Odtąd spotykają się już wciąż pamiątki krzyżowych pochodów. Nazajutrz przepłynęliśmy przed Seleucyą, dawnym portem Antyochii i stanęliśmy w Latakiah, dawnej Laodycei, założonej przez Seleuka Nikanora. Siódmy to symboliczny kościół Azyi Mniejszej, z tych które św. Jan w swoim objawieniu wylicza. Drobne pozostały szczątki dawnej wielkości tego miasta a żyzność znana jego okolic, ogranicza się dziś na sadzeniu sławnego tytuniu. Witaliśmy z brzegu wydatne ruiny krzyżackiego zamku Tortosa i zawinęliśmy do Tripoli już w granicach dawnej Fenicyi.

Tripolis, *trzy miasta*, było istotnie w starożytności *comptoirem* trzech miast sąsiedzkich fenickich, Tyru, Sydonu

i Aradu. Za czasów wojen krzyżowych, Rajmund Hrabia Tuluzy zbudował tu zamek na górze Pielgrzymów, który przetrwał po części do tych czas. Szczątki dawnych fortyfikacji krzyżackich, siedm wież pozostałych, ulice i domy miasta, ukazują ślady dawnej zamożności. Mahometanie zdobyli to miasto ostatecznie w r. 1289 i wycięli tu 7000 Chrześcian.

W Tripoli wsiadł z nami na statek Ferik-pasza, czyli Jenerał porucznik, dywizyjny, Omer, dowodzący w całej Syrii. Uderzyła mnie jego grzeczność i postawa zupełnie europejska; a że przytem mówił nie źle po francuzku, wziąłem go za jednego z Turków nowszego pokolenia, wychowanych w Paryżu. Tymczasem na samem odjeździe, dwóch młodych ludzi z jego towarzystwa przyszło się z nami przywitać i zarazem pożegnać po polsku. Byli to Panowie Brzozowski emigrant z r. 1848 i młody Dobrowolski, obaj Inżynierowie w służbie tureckiej, zajęci obecnie urządzaniem telegrafów. Mieliśmy tylko czas dowiedzieć się od nich że Jenerał (pasza) był w Polsce i mówi po polsku. Rychło potem, sam się zbliżył do nas (do mnie i Ks. Sobalskiego) i nie źle po polsku, zacinając tylko z moskiewska, rozповідаł, że jest rodem z Dagestanu, że musiał służyć w wojsku rossyjskiem lat 22, że przez lat 9 stał po garnizonach w miasteczkach polskich, od Żytomierza do Kalisza, że zrazu Polacy stronili od niego, ale dowiedziawszy się, że i on nowy i przymuszony poddany cesarski, tak go gościnnie podejmowali, że mu te lata jak tygodnie upłynęły. To też mówił, kocham Polaków, i tu z nimi jak z przyjaciółmi najwięcej przestaję. Nie wiem już dlaczego, bo nie wypadało się dopytywać, musiał uciekać z Rossyi, wiem tylko że gruba nadgroda, czy nie 2000 dukatów, nałożona była na jego głowę, co mu posłużyło o tyle że znalazł korzystne umieszczenie w wojsku tureckiem, w którem służył od r. 1842. W wojnie wschodniej ostatniej już jako Jenerał bił się przeciwko Rossyanom. Nie mogliśmy długo mówić, bo morze dotychczas prozaicznie spokojne, przypomniało sobie, że to przesilenie jesienne, tak że biedny Jenerał cierpiał od początku, a i ja ucierpiałem raz pierwszy od lat kilkunastu, i to na godzinę przed zawinięciem do portu Bejruckiego; musiałem się znać popyszczyć wewnątrz, że wśród tylu chorujących sam był zdrów doskonale.

Przystań Bejrucka niewygodna i niebezpieczna dla skał podwodnych. Okręt nasz zdaleka stanął na kotwicy. Łódki przewożąc nas do brzegu, hojdały się potężnie. Do brzegu samego przybić nie można, jedno *hamale* wzięły każdego z nas na plecy i na ląd przeniosły; mnie dwóch dźwigało, i wdzięczny im byłem że mi tylko nogi skąpali w morzu.

Parowce francuzkie aż trzy dni stoją w tutejszym porcie, handel tu dość znaczny, żywioł europejski dość wydatny, miasto dość schludne, miłsze wrażenie sprawia od Pery i Smyrny. Miejsca w klasztorze u 00. Franciszkanów nie było, musiałem stanąć w Hotelu u p. Konstantego Baa, Greka z wysp, wysłużonego kuryera gabinetu rosyjskiego. Opowiadał nam jak okręt rosyjski *Konstanty* już w porcie utracił obie kotwice i jak pomimo strzałów alarmowych, nie można było za żaden pieniądz, znaleźć pilota, któryby się ważył dostać do okrętu. Że on wtenczas, uwiązawszy sobie butelkę araku u szyi, ryzykował się i cztery dni i cztery noce pływał z okrętem po morzu, aż się ono uspokoiło i można było zawinąć do portu. Od nas się dowiedział że drugi parowiec rosyjski *Alexander* utknął na mieliźnie koło Galipoli: nie szczęści się jakoś żegluga naszym panom.

Nazajutrz rano odwiedziłem 00. Kapucynów i Franciszkanów, a po obiedzie odszukaliśmy Doktora Dobrowolskiego, emigranta z r. 1830, osiadłego tu od lat 27 i powszechnie szanowanego. Następnego dnia poszliśmy razem do 00. Jezuitów, donieść że lada chwila przybędzie czterech młodych Bułgarów, których żądali na wychowanie. Zdarzyło się że zastaliśmy już tyli chłopczyków, tylko co przybyłych statkiem austriackim wraz z młodymi Ormianami. Ks. Gagaryn był w górach, ale drugi ojciec Dalmata rodem mógł się z małcami rozmówić. 00. Jezuici noszą się tu po wschodniemu. Uderzyła mnie szczególniej wspaniała broda Ojca de Damas. Chcieli nam pokazywać swoją drukarnię arabską, aleśmy się spieszyli odwiedzić Omera Paszę, w skutek jego formalnych zaprosin. Tymczasem pokazało się że wyjechał do swojej rodziny o 10 ;nil ztąd. Po obiedzie wyjechaliśmy omnibusem na nową drogę wiodącą do Damaszku przypatrzeć się trochę okolicy i pierwszemu pasmu Libanu. Pomimo długiej suszy (bo od sześciu miesięcy pierwszy deszczyk upadł dnia tego) roślinność dość bujna. Kolosalne kaktusy tworzą tu powsze-

chnie płoty żywe, młode palmy widać po polach, i laski sosnowe. W Hotelu moim mieszka Pan Borzęcki rodem z Krakowskiego, dyrektor Telegrafu. Wysiadywał się dawniej po kozach austriackich, a po wojnie węgierskiej i wschodniej zamieszkał w Stambule. Przegawędziliśmy z nim parę godzin wieczora. Opowiadał mi, jak w biedzie korzystał z talentu nabytego w więzieniu; nauczył się był bowiem wyrabiać z chleba, co chciał, a tym wyrobom dawał słoje i twardość marmuru; tak iż zmarłemu Sułtanowi i kilku znaczniejszym Baszom ofiarował toaletki kompletne i tabakierki ozdobione nawet płaskorzeźbami mikroskopicznymi. Dobrze był za takie wyroby nagradzany, ale się lękał utracić w końcu wzrok całkiem i wziął się do Inżynierii. — Dziś zatem '25-go mamy odpłynąć do Jaffy gdzie powinniśmy zawinąć zrana; na noc jutrzejszą ściagniemy zapewne do Ramii a pojutrze zrana staniemy da Bóg w Jeruzalem. Ztamtąd otrzymacie list następny; obecny rzucę do skrzyneczki pocztowej na okręcie przed opuszczeniem go. Bóg z Wami.

P. S. Postrzegłem się, że bardzo mało wspomniałem o samem mieście i o jego przeszłości. Bejrut jest miastem fenickiem. Za panowania Demetriusza Nikatora zburzone zostało przez przywłaszczyciela Tryfena na lat 140 przed Chrystusem. Za czasów rzymskich zdobył je Agryppa osadził tam 5 i 8 Legion, ozdobił kilku pomnikami, ztąd nazwane *Colonia Julia, Augusta, Felix Berytus*, obdarzone przywilejami municipium rzymskiego. W tej epoce słynęło szkołami na całą Syryę. R.1110 Baldwin zdobył je po upornej i bohaterskiej walce obu wojsk, a r. 1187 Saladyn odzyskał na powrót dla Islamizmu. Odtąd właściwie Emirowie Druzów panowali w Bejrucie, a jeden z nich Fakred-Djn do fortyfikacji pokrzyżackich dodał jeszcze nowe. Nie przeszkodziły one jednak Ibrahimowi Paszy zdobyć miasta, a r. 1840 ucierpiały wielce od bombardowania Anglików. Pamiątek starożytnych nie wiele pozostało. Ludności tu 45000, tylko w jednej trzeciej muzułmańskiej. Gdy droga kołowa do Damaszku zostanie dokończona pomyślność Bejrutu znacznie się podniesie. Największą ozdobą miasta są wille po przedmieściach na wesołych wzgórzach pobudowane, z widokiem na Liban i na morze zarazem.

Zamykam list odpływając do Jaffy d. 26 zrana.

LIST V.

Na Morzu Śródziemnem 16-go października 1862 r.

Moi NAJMILSI !

Pozostaje mi zdać wam sprawę z ostatniej mojej wycieczki, z wycieczki do Ziemi Świętej. Dziwnie ten wyraz *wycieczka* brzmi obok Ziemi Świętej, do której się zwykle długo i spokojnie pielgrzymuje. Pokazuje się jednak żem człowiekiem mojego wieku, bo wszystko i najświętsze muszę pospiesznie odprawiać. Oddałem już był list mój ostatni na pocztę, w porcie Jopeńskim, kiedym otrzymał listy z Rzymu, które nagliły mnie do powrotu. Zostawało mi zatem kilkanaście dni do następnego statku, którem postanowił obrócić na zwiedzenie Grobu Pańskiego i miejsc świętych w Jeruzalem i Judei, odkładając Samaryę i Galileę do innej sposobności, jeżeli się nadarzy; wszakże, przy mojem ruchliwem życiu, jeżeli ono ma potrwać jeszcze, nie jest to niepodobnem. Zresztą jak Bóg zechce ! Na pociechę w mojem ciasnem położeniu, dorobiłem sobie teorię, że obecnie, gdy kościół jest prześladowany, stosownie uczcić miejsca pokornego urodzenia i bolesnej męki Zbawiciela, a gdy się doczeka pokoju i swobodnie po świecie apostołować zacznie, stosownie będzie odwiedzić Tabor i Tyberyadzkie morze. Zobaczymy! Tymczasem zostaje mi na pociechę teoria, nadzieja, a z rzeczywistości on *rydz* lepszy od niczego.

Jaffa albo Joppe stolica ongi naszego praszczura Jafeta, jedno z najstarszych niewątpliwie miast na świecie, później jedyny port żydowski, dziś tytularne biskupstwo zacnego ks. Łętowskiego, tylu zburzeniom podległa, że teraz jest nowożytnem i nie znaczącem miasteczkiem. Z morza jednak skała ta zewsząd zabudowana i okolona zielouemi ogrodami owocowemi, zdaleka przyjemnie uderza. Wyniesiony z łódki na ląd na barkach chudego a żyłastego i silnego Araba, biegłem pospiesznie do kościoła OO. Franciszkanów, tuż nad brzegiem położonego, i tam ucałowałem tę ziemię stopami, potem i krwią Zbawiciela, tylu proroków i sprawiedliwych obu zakonów uświęconą. Po Mszy św. zwiedziłem miejsce, w którym według podania św. Piotr miał ono widzenie prze-

ścieradła zstępującego z nieba ze zwierzętami czystymi i nieczystemu. Zresztą Jaffa nie przedstawia pamiątek; to też po obiedzie w towarzystwie kilku innych pielgrzymów, ruszyliśmy w drogę. Jakiśmy wspomnieli, ogrodnictwo przy dobrze urządzonym systemacie irygacji, kwitnie około Jaffy: pomarańcze i cytryny dochodzą niezwyklej rozmiarów. Po drodze wioseczka Beit Dedjan położona na lewo, przypomina Beth Dagon, dom Dagona, często wspominany w wojnach Żydów z Filistynami. Przyległa dolina Saron słynna ze swojej obfitości, byłaby nią jeszcze, gdyby rąk do uprawy nie brakowało. Nie zjeżdżaliśmy na bok do dawnej Liddy, później Diospolis dziś znowu Ludd, i po 3—4 godzin jazdy od Jeruzalem, z zachodzącym słońcem stanęliśmy na nocleg w klasztorze 00. Franciszkanów w Ramleh, co znaczy w arabskim języku piasek, którego tu rzeczywiście podostatkiem. Miasteczko to zdaje się być istotnie założonem od Arabów, to też niepewnych pamiątek i podań nie przytaczam.

Klasztor — gospoda, obszerny jest i dobrze rozłożony. Każdemu doń i o każdej godzinie w dzień i w nocy zajeżdżać wolno. Wieczerałem z rodziną angielską protestancką, z którą już od Bejrutu razem bywaliśmy na statku. Pani była uszczęśliwiona że pierwszy raz w życiu spała w klasztorze katolickim. Powiedziałem jej, że to tylko hospitium, gospoda, ale że trzymana przez zakonników; nie zmniejszyło to jej radości. *Nitimur in vetita!*

Nazajutrz rano, po Mszy św. (której Anglicy nie czekając wcześniej w drogę ruszyli) puściliśmy się ku Jeruzalem. Po trzech godzinach drogi, widać po lewej stronie na wzgórzu *Castellum Emaus* Krzyżaków; niesłusznie i niezgrabnie brany za Emaus pod Jeruzalem. Uczony Robinson twierdzi, że to wzgórze jest dawne *Modein* albo *Modin* mieszkanie i grzebowisko Machabejczyków ¹⁾. Rychło potem, już u stóp gór Judei, przejeżdża się koło *Studni Joba*, i zwalisk starego klasztoru. Po sześciu godzinach podróży, od Ramleh, spotyka się wioskę *Abugosch* tak nazwaną od naczeluika wsi, sławnego rabusia przed laty dwudziestu. Prawdziwa nazwa tej wsi jest *Kaziet el' Enab*, wieś winogron, których tu rzeczywiście podostatkiem i wybornych. Niektórzy sądzą, że to

¹⁾ U ks. XIII, 25. 29. XVI, 45.

dawniejsze *Kiryat Jearim*, albo *Kiryat Baala*, gdzie arka stała przez lat 20. Przy wejściu do wsi, widać dawny kościół gotycki św. Jeremiasza, obrócony dziś na stajnię, ale dobrze zachowany. Dolina ta uprawna i żyzna, pokryta figownikami i oliwnikami. Jadąc dalej, widać przed sobą na ostrem wzniesieniu *Kosluol* Castellum Wesp; zryta, ze zwaliskami kościoła zbudowanego w 4-tym wieku, na cześć św. Kleofasa. Droga tu dzika, i jakkolwiek świeżo naprawiona i miejscami rozszerzona, przypomina drogi boczne w Apeninach i naszą Mentorelską. Dalej widać na lewo *Kolonieh*, *Colonia* dawna Adriana, z obszeruemi bezimiennymi zwaliskami wkoło. Po godzinie jeszcze przykryj drogi, ujrzałem białe mury na najwyższym szczycie gór Jerozolimskich. Nie mogłem się rozmówić z Arabami, ale wiedział, że góra Oliwna panuje nad miastem, i serce mi to mówiło. Zacząłem się więc modlić, a w końcu zsiadłem z konia i uczciłem miasto święte. Przykre wrażenie sprawia dojeżdżając widok nowej budowy rosyjskiej na dawnym placu musztry: pomimo kopulek wygląda ten klasztor biały i kolosalny na ogromne koszary i na cytadelę panującą nad miastem. Do 2000 przesuwa się rocznie pielgrzymów rosyjskich, i myśmy spotkali karawanę wracającą. Jeden z pocziwych kacapów przywitał nas francuzkiem *bonziur*, ale gdy mój kolega O. Sobalski odpowiedział mu: *zdrastwuj batiuszka*, o mało że nie spadł z osła swego z wielkiej radości.

Weszliśmy nareszcie do Jeruzalem i stanęliśmy w *Casa nuova*, gospodzie zbudowanej przez OO. Ziemi świętej, dla pielgrzymów. Zastaliśmy tam karawanę francuzką i wypadło mieścić się jak było można. Dość jeszcze było wcześnie i przeto niektórzy pobiegli do Świętego Grobu. Jam z kilku innemi pozostał, bom był szczerze strudzony, a niestety! tak cięży nad duchem nieszczęsne to ciało, że przy strudzeniu i nabożeństwo ustaje.

Udałem się nazajutrz rano do kościoła Grobu Świętego. Przypadało święto Siedmiu Boleści Matki Najświętszej. Mszę świętą miałem przy ołtarzu ukrzyżowania. To też słowa prozy *Stała Matka boleściwa*, żywsze tu koniecznie sprawiły wrażenie. Uczciłem choć pospiesznie inne miejsca święte, bo strażnicy Turcy mieli zamykać kościół. Po obiedzie O. Jukundyn spowiednik polski przyszedł nas zabrać, i zwiedziliśmy po raz

pierwszy *drogę bolesną*. Na miejscu biczowania stoi miły kościółek pod opieką 00. Franciszkanów, gdzie później ze Mszą św. wrócił. Przeszliśmy później przez dolinę Jozafat i suche łożysko potoku Cedron, zwiedziliśmy stare oliwniki starannie ogrodzone przez 00. Franciszkanów i pomodliliśmy się w grocie Getsemani, którą przecież pozostawiono mniej więcej jak była i nie zamaskowano marmurami; i tani po powrocie od Jordanu sprawiłem przenajświętszą Ofiarę. W końcu opłaciwszy Muzułmanów, zwiedziliśmy Meczet zbudowany na miejscu Wniebowstąpienia, i ucałowaliśmy ślad stopy Zbawiciela wyciśniętej w kamieniu. Mówię stopy, bo tylko jedną wyraźnie widać, drugą pokazują Muzułmanie w meczecie Omara, kędy ją przenieśli, czcząc Jezusa więcej jeszcze od wielu dzisiejszych Chrześcian. A jakkolwiek późniejsze długie i krwawe walki osłabiły w umysłach Turków cześć dla naszego Zbawiciela, jaką Koran sam poleca, cześć i nabożeństwo ku Najświętszej Maryi Pannie (Sidi Miriam) którą niepokalaną wyznają bynajmniej nie osłabła. Tak nasz miły Zbawiciel, który za życia zasłonił Matkę Swoją od wszelkiej zniewagi, siebie samego nie oszczędzając, zapewnił jeszcze cześć Jej pośmiertną i nieustającą, w sercach samychże niewiernych i wrogów swoich.

Co rok 00. Franciszkanie w rocznicę Wniebowstąpienia Pańskiego, urządzają ołtarz ruchomy w tym meczecie na miejscu z kąd Zbawiciel wznosił się ku niebu. O. Jukundyn opowiadał z radością, że tego roku śpiewał Ewangelią przy Mszy św. Kto wie, czyby Grecy naszych tak wpuszczali, gdyby to miejsce święte mieli w swoim posiadaniu? Zaprawdę boleśnie widzieć Turków trzymających straż w kościele Grobu Pańskiego, ale jak skoro nie jesteśmy wyłącznemi panami miejsc świętych (choć krwią Chrześcian zachodnich na niewiernych zdobytych), lepiej jeszcze, że Turcy jako bezstronniejsi, są pośrednikami i rozjemcami.

Gdyśmy wyszli z meczetu, Arab pokazując nam górę przyległą, powtarzał *Viri Galilei*, snadź się nauczył od Europejczyków podania, że aż tam pobiegli Apostołowie za unoszącym się w powietrze Zbawicielem i tam od Anioła upomnieni zostali aby wrócili do Jeruzalem. Inny Arab biorąc nas za Rosyjan na innem miejscu przemówił do nas już nie po łacinie, ale po moskiewsku: *edrastwuj charasso*.

Wracaliśmy pospiesznie do miasta, z obawy aby tymczasem bram nie pozamkano. Chciałem też spróbować czy mi się nie uda zamknąć w Grobie Pańskim, aby można rano w ciągu dwóch godzin zostawionych Łacinnikom, sprawić tam przenajświętszą Ofiarę. Jakoż nie było nikogo z obcych kapłanów i pozostałem.

Część 00. Ziemi Świętej mieszkających w klasztorze swoim Św. Zbawiciela, stoi tu z kolei że tak powiem załogą przy Grobie Pańskim. Prawdziwie zamykają się w grobie, bo mają mieszkanie ciemne, wilgotne, ciasne, w części nawet pod stajniami jakiegoś Turka; i tylko jednym ciasnym otworem, dostają nieco świeżego powietrza. Z obowiązku bawią tu tylko po trzy miesiące z rzędu, niektórzy wszakże dobrowolnie ciągle pozostają. Widziałem jednego który tu przed laty kilkunastu przybył słabowitym, a dziś dobrze się miewa: tak Bóg opiekuje się swojemi.

Ojcowie ofiarowali mi małą wieczerzę, gdy mnie się nie spodziewali, a sami wszystko z głównego klasztoru dostają. Udałem się potem do Grobu Świętego, gdzie się namodliwszy samotnie ile Bóg dał, słuchając rad zakonników, aby pod dziurawą kopułą się nie przeziębić, udałem się do celi na spoczynek. Wszakże nie był on długi, gdyż o północy zaczęli Grecy bić w swoje deski, niby to dzwonić, i śpiewać jutrznią. Potem Ormianie i Kopty. Śpiewacy wschodni mniej tu źle śpiewają. Czy to dzięki ciągłej praktyce i lepszym dawnym podaniom śpiewnym, czy przykładowi Eacinników, czy może piewców rosyjskich, którzy już tam niekiedy służbo w języku słowiańskim sprawiają. I nasi też nie pozostali w tyle. A gdy organ zagrział uroczyście, raz jeszcze przekonałem się że to narzędzie muzyczne wynalezione do kościoła i do służby Pańskiej. Najliczniejsze głosy nikną obok grzmotu dobrego organu. Noc ta przypomniła mi one, któreśmy z Ks. Piotrem w początkach naszego nawrócenia spędzili w Trapie, budzeni o północy poważnym śpiewem Zakonników. Blisko mojej celi był chórek wychodzący na kościół; mogłem przeto wygodnie się modlić jak gdybym był w kościele samym. O godzinie 4 zrana udałem się znowu do Grobu Św. Wysłuchałem jednej Mszy na przygotowanie, a po mojej, trzeciej towarzyszyłem na podziękowanie. Niektórzy i nie wątpię w dobrej wierze, rozpisują wrażenia jakich doznali w tem

świętem miejscu, co do mnie jedno powiem, iż dziękuję Bogu że mi dozwolił tego szczęścia; i że nie modliłem się tara samolubnie, jedno jako wysłaniec wszystkich mi drogich, z którymi jakąkolwiek związką ducha jestem połączony, a także za kościół, za kraj, za wszystkich dobrodziejów Zgromadzenia naszego i za wszystkich pokrewnych moich.

Dnia tego a trzeciego od mego przyjazdu karawana francuzka udawała się ku Morzu Martwemu i Jordanowi, ze strażą kilkunastu jeźdźców rządowych. Sposobność była dobra i postanowiłem z niej korzystać. Pokazało się, że znalazł Ks. Biskupa Meaupoint naczelnika karawany, proboszczem w Angers, i zdaje się że raz nawet w jego kościele kazał. Przyjęty zatem zostałem uprzejmie do karawany, wraz z dwoma Kapucynami z Bejrutu.

Rzadko się bardzo zdarza w podróży aby oczekiwanie nasze nie było zawiedzione; wyobraźnia nasza wszystko sobie piękniejszem przedstawia. Otóż taka niespodzianka zdarzyła mi się na noclegu w klasztorze Św. Saby (Mar-Saba), o trzy godzin od Jeruzalem. Jechaliśmy wciąż prawie suchem łożyskiem potoku Cedron, wśród skał dzikich, bez najmniejszego śladu roślinności. I klasztor leży na urwisku skał takich, otoczony wysokimi murami, strzegącymi mnichów tyle niemal co sute *balcczisz*e, od napadów beduińskich. Dwie wysokie wieże sterczą na przodzie jakby baszty warowne. Stukającym spuszczają mnichy odzwierne kosz, do którego się list wkłada, i potem dopiero za wiedzą opata, bramy klasztoru otwierają. Niespodzianka moja w tem była, że na wschodzie spotkałem klasztor czystości angielskiej, a przeto, jakkolwiek wszyscy mnisi Grecy dyzunici (od dzieciństwa tam przywożeni z Grecyi), najmniejszego wstrętu w nich przeciw nam nie widzieliśmy, jedno prostotę i uprzejmość dawnych Cenobitów. Zawdzięczają to może świętemu swemu założycielowi, gorącemu obrońcy prawdy katolickiej, przeciwko różnowierstwu Monofizytów, który klasztor ten założył roku 483, a umarł tam 532 r. Grób jego jako i kościół wonieje czystością. Cele i korytarze powykowane w skale. Pokazują palmę którą Święty zasadził, równie jak źródło które modliwą swoją z wnętrzości skał wyprowadził. Po wybornym noclegu, ruszyliśmy nazajutrz w drogę. Uniosłem miłe wrażenie, prosząc

Boga, aby wszystkich odszczepieńców a szczególnie tak dobrze usposobionych, co rychlej do jedności doprowadził.

Jechaliśmy drogą wciąż równie skalistą i dziką. Rychło ujrzelśmy siniejące Morze Martwe, którem zresztą z góry Oliwnej już widział. Góry Moabskie czerniły się wciąż przed nami. Zjeżdżaliśmy przez pięć godzin ciągiem na dół. Im bliżej jeziora tem grunt więcej dziki i podarty, pełno pagórków fantastycznych, nakształt piramid świętych. W końcu po sześciu godzinach jazdy, stanęliśmy nad Morzem Martwym, które jak wiadomo leży 800 metrów niżej od powierzchni Morza Śródziemnego. Długość jego 64 kilometrów a szerokość od 8—12. Zamiast co w innych morzach część solna liczy się 4—5 na 100, w morzu martwym jest jak 26 na 100; to też ryby tu żyć nie mogą i rzucone z Jordanu w minutę zdychają. Dla takiego przesycenia wody częściami solnemi, żywicznemi etc. utonąć w Morzu Martwym niepodobna. Nasi kąpiący się Francuzi leżeli na grzbiecie trzymając parasol w rękę a sądzę iżby można i książkę czytać. Nie prawda wszakże by ptaki owiane powietrzem Morza Martwego zdychały. Osada okrętu amerykańskiego wysłana tu dla poszukiwań naukowych niewiele na zdrowiu cierpiała. Missya ta uczyniła następne wyznanie: „Niedowiarkowie za przybyciem, po dwudziestu dwóch dniach najściślejszych poszukiwań, jedno-myślnie wyznaliśmy prawdziwość opisu biblijnego o zniszczeniu miast tej płaszczyny." (*Narrative* etc. London 1850, str. 379—380).

Niektórzy z nas chcieli dotrzeć do ujścia Jordanu do morza szerokiego tam na 163 metrów. Ale dowódzca baszibuzuków, który bawił nas na płaszczynie wzorem małej wojny beduińskiej, niezadowolniony z przedsiębiorcy karawany, oświadczył, że tam zwykle koczują Beduini, i że nie jest dość silny aby iść ich wyzywać. Trzeba nam zatem było z niczem zdążać na nocleg do źródła Elizeusza, o 2—3 godzin ztamtąd położonego. Słońce tymczasem piekło w całej sile, 50 stopni Farenhejta, a najmniejszego ruchu w powietrzu. Konia miałem silnego ale tępego i trzęsącego nieznośnie, siodło arabskie; wyznając żem nieco cierpiał i trud ten przynajmniej mógł Panu ofiarować. Tymczasem naprzeciwko nas podniósł się mocny tuman kurzawy. Naczelnik naszych baszibuzuków wysłał na zwiady, a karawanie kazał się ścisnąć i iść w po-

rzędu. *Mukry* (masztalerze) wołali z przerażeniem: *Arabi! Arabi!* Konie strzygły uszami, i mój leniwiec klusował jak się należy. Posłyszeliśmy strzały.... dopiero gdy tuman opadł, dowiedzieliśmy się że to oddział baszibuzuków stojący w Jerycho, przybył na rozkaz Baszy z Jeruzalem wzmocnić naszą asystencją. A że pan Maciej gospodarz karawany, dla podniesienia ducha zniechęconych baszibuzuków, gdy mogło być niebezpieczeństwo, obiecał był barana i pilaw na wieczerzę; zaczęły się znowu wyścigi pomiędzy jeźdźcami obu oddziałów i wywijanie długimi dzidami i strzelanie z długich rusznic w pełnym biegu konia. Tak przybyliśmy do Jerycho (*Ribha* albo *Erihha won*) t. j. do wieży napół rozwalonej i lichej wioszczyny, złożonej z chałup przykrytych gałęziami i namiotami ze sierści wielbłądziej. Już tu jednak zielono, pełno róż dzikich i ciernia który miał być użyty do korony Zbawiciela. Go do mnie, wśród onych cierni, biedna moja sutanna podróżna w czterech miejscach została rozdarta. Stanęliśmy nareszcie nad źródłem Elizeusza, po arabsku *Ain es Sultan*, źródło sułtana, i rozbiliśmy nasze namioty. Wykopaliska zdają się wskazywać że tu leżało dawne Jerycho Chananejskie, zwane także miastem palm. Wiadomo że Elizeusz na prośbę mieszkańców Jerycho poprawił gorzkość tej wody rzucając szczyptę soli (IV Król. II, 19—22). Istotnie woda słodka jest, chłodna i miękka, to też każdy z nas pił do sytości, i mył się albo kąpał. Wprost nad nami sterczała góra *kwarantanny*, (po arabsku: *Dżebel kerautul*), dzika, naga, pełna jaskiń, na której jak wiadomo Zbawiciel pościł wracając od Chrztu, i był kuszony od szatana. Niektórzy zwawsi puścili się do pierwszej jaskini dość obszernej, w której jeszcze widać na ścianach ślady fresków. Jam pozostał z wielu innemi, bom się sumiennie nie czułem na siłach, i obowie miałem w takim stanie, iżbym był chyba bosonoż wracał.

Jakem wspomniałem spaliśmy pod namiotami, mieliśmy jednak małe łóżeczka żelazne składane, owoc komfortu nowożytnego. W nocy przebudzony zostałem wyciem szakalów, i zaśmiałem się sądząc że nasze baszibuzuki bawią się tem naśladownictwem, tymczasem dowiedziałem się zrana że to były szakale prawdziwe, kryjące się wraz z dzikami i opryszkami arabskimi w gęstym zarośniętym otaczającym źródło.

Nazajutrz rano puściliśmy się ku Jordanowi, o dwie godziny od naszego koozowiska położonemu. Rozbiliśmy namiot przy zwykłym *brodzie pielgrzymów*, szerokim tu tylko na 24 do 30 metrów. Trudno twierdzić absolutnie, że to te same miejsce kędy Izrael przechodził, i gdzie Chrystus Pan był ochrzczony, tak bowiem często Jordan zmieniał łóżysko, wszakże w każdym razie musiało być prawie to samo; podanie bowiem i żydowskie i chrześcijańskie na chwilę nieprzerwane, miejsce to wiernie pobożności pielgrzymów wskazywało. W rozbitym namiocie trzy było msze święte, pierwsza jednego z kapłanów karawany francuskiej, druga moja, a trzecia kapucyna Włocha misjonarza na Libanie.

O małośmy nie mieli tragicznego przypadku. Młody jeden Francuz, podróżujący z ojcem swoim zaufany w biegłości swojej pływackiej, pomimo ostrzeżeń rzucił się w blizki a szybki prąd rzeki, tem niebezpieczniejszy, że pełno tam drzewa naniesionego z gór. Istotnie nie zdołał oprzeć się prądowi który go unosił, gdy dwóch silnych baszybuzuków, a mianowicie jeden murzyn rozrosły, wydobyli go z topieli; murzyna obdarzył za to 10 frankami rodzic młodzieńca. Po śniadaniu, wróciliśmy znowu na nasze stanowisko przy źródle Elizeusza, a nazajutrz rano wypoczęci nieco z dnia poprzedniego, rozpoczęliśmy utrudzający sześciogodzinny pochód zwrotny ku Jeruzalem. Parę godzin jechaliśmy jałową i krzemienistą płaszczyzną, porośłą tylko wzmiankowaną *Spinea Christi*, *Nabka*, po arabsku *Dum*, krzewiem balsamowym *Zakkum*. Potem jechaliśmy wśród skał stromych i dzikich, przypominających i tłómaczących częste tu dawniej rozboje. Przy małym źródelku *Apostolów*, przy któremieśmy popasali, podanie kładzie wypadek dobrego Samarytanina (Łuk, X. 30, 37.)

W parę godzin dalej spotyka się *Górę krwi* (Mons Adonim, Joz. XVI), tak nazwaną z powodu rozbojów częstych tu po wszystkie czasy. W pół godziny potem, o 4^{1/2}, godzin od Jerycho, przybywa się do Betanii, lichej dziś wioseczki o dwudziestu dymach, otoczonej oliwnikami i figownikami. Arabi zowią Betanią *El Azirieh*, co wyraźnie przypomina Łazarza i jego wskrzeszenie (Jan XI, 1, 40). Jak dzisiejsza Betania zajmuje niewątpliwie miejsce dawniejszego pałacu Łazarza a późniejszego kościoła i klasztoru, na jego zwaliskach zbudowanego, tak i cała ważność miejsca tego polega

na wspomnieniach Zbawiciela, przyjaciela jego Łazarza i sióstr Łazarzowych Marty i Magdaleny. Na staję przede wsią pokazują on kamień, na którym spoczął Zbawiciel, gdy mu siostry stroskane zabiegły drogę żaląc się, że za późno przyszedł, a w środku wsi grób Łazarza, którzy krzyżowcy byli na kaplicę przerobili. Dziwnie kochając tę rodzinę tak kochającą i tak kochaną od Zbawiciela, radbym był tam dłużej pozostał, pomodlił się, pomarzył, ale obok wielu dogodności ta niedogodność pielgrzymowania w licznej towarzystwie: iż każdy jest niewolnikiem innych. Za Betanią pokazują miejsce gdzie leżało Bethphage (dom figownika) wspomniane w Ewangelii (Mar. XI. 1. Łuk. XIX) ale dziś już i śladów zwalisk samych nie pozostało. Ojcowie Ziemi Świętej co rok tam śpiewają w niedzielę Palmową Ewangelią dnia tego. Nie można dosyć uczcić i ocenić zasługi synów świętego Franciszka, który przez długie wieki hardego fanatyzmu muzułmańskiego, strzegli wiernie pamiątek Zbawiciela wystawieni na zdzierstwa, pośmiewiska, więzienia, bicia i śmierć samą; a i dziś jeszcze gościnność świadczą w całej Palestynie a nawet w Syrii i Egipcie.

Wychodząc z Betanii ku Bethphage, widać wraz szczyt góry Sion, potem Moriah i mury meczetu Haram ech Szerif. Przeszliśmy pomiędzy wioseczką Zeitun i grobami proroków, spuściliśmy się ścieżką obchodzącą z ukosa górę Sion ku dolinie Getsemani, i przebywszy most na Cedronie, wjechaliśmy bramą św. Stefana do Jeruzalem, w karawanie złożonej ze 60 jeźdźców przynajmniej. Po tej wyprawie gdy i stan zdrowia nie doradzał podróży do Samaryi i Galilei z karawaną francuską; zostawało mi jeszcze 4 — 5 dni tylko. Z tych użyłem jednego na zwiedzenie Sionu, kościoła świętego Marka, św. Jakóba i Wieczernika obróconego dziś na stajnię, a że to był piątek, poszliśmy przypatrzeć się żydom płaczącym w tym miejscu, gdzie pozostało kilka potężnych kamieni, murów dawnej świątyni, podług archeologów jeszcze z czasów Herodowych. O! godne zaiste łez naszych łzy te uporu i ślepoty! Drugiego dnia[^] poszedłem zwiedzić powtórnie na *Via Dolorosa* i w kościele, wszystkie miejsca, przypominające tajemnicę Odkupienia naszego i bolesnej Męki.

Ostatnich dni użyłem na zwiedzenie Betlehem. Ponieważ odległe jest tylko o dwie godzin drogi od Jeruzalem,

udałem się tura pod wieczór w towarzystwie kilku zakouników. Najwygodniejsza to może droga w całej Palestynie i okolica pięknie uprawna. Po drodze zwiedziliśmy grób Racheli, choć świeżym pomnikiem ozdobiony, ale niewątpliwiej autentyczności co do miejsca. W Betlehem udaliśmy się wprost do kościoła Narodzenia Pańskiego. Zaczęty przez Helenę, skończony przez Konstantyna (327—333), kościół ten o pięciu nawach z kolumnami, największy i najpiękniejszy w całej Ziemi Świętej. Niestety Grecy korzystając z dobrej dla siebie chwili, bodaj w czasie wojny sułtana z Mechmetem Ali, odgradzili murem presbyteryum od reszty kościoła, i tak całą jego harmonią przetrącili. Nazajutrz rano miałem mszę łątą w grocie Narodzenia, całkiem marmurami pokrytej. Miejsce samo Narodzenia oznaczone napisem: *Hic de Virgine Maria Jesus Christus natus est*, 1717. Wszakże kaplica z ołtarzem głównym należy już do Greków, mszą łątą więc miałem właściwie przy ołtarzu, gdzie stał żłobek, dziś będący w Rzymie w kościele św. Maryi Większej, przy którym pierwszą świętą ofiarę lat temu dwadzieścia sprawilem. Obok, a raczej naprzeciwko jest ołtarz oznaczający miejsce, na którym klęczeli mędrce ze Wschodu, przed dzieciątkiem Jezus. Ranku następnego użyliśmy na zwiedzenie *Groty mlecsnej*, w której Najświętsza Panna nieraz dzieciątko Jezus karmiła, (szczęściem pozostawionej także mniej więcej w dawniejszym stanie) i grotę pasterzów. Potem okrążywszy Jeruzalem, udaliśmy się na obiad do saminaryum patryarszego w Beit-Dżellach zaproszeni uprzejmie przez profesorów tegoż zakładu. Miło było widzieć ze 20 młodych kleryków arabskich wychowywanych zupełnie metodą porządných seminaryów europejskich. Nazajutrz zmówilem w oktawę mojego świętego patrona Hieronima mszę świętą przy ołtarzu, pod którym zwłoki jego przez tyle wieków spoczywały, i uczciłem ołtarze opustoszone także świętych Niewiniątek, świętych Pauli i Eutochium jej córki. Wracaliśmy przez wioseczkę *świętego Jana na pustyni*; kościół i klasztor łaciński zbudowany jest na tradycyjnem miejscu domu Zacharyasza. Kościół odnowił i ozdobił Ludwik XIV. W kaplicy pod chórem czyta się na tablicy marmurowej: *Hic Praecursor Domini natus est*. Za wioską zwiedziliśmy źródło zwane po arabsku *Ain Rerim* (jak i wieś samą nazywają). Chrześcijanie mienią to źródło, źródłem

Maryi Panny. O półtora kilometra od klasztoru, leży dawniejszy dom wiejski Zacharyasza, gdzie św. Elżbieta spotkała Najświętszą Pannę nawiedzającą siebie, i gdzie Matka Zbawiciela zawiodła *Magnificat*. Kaplica z czasów jak twierdzą św. Heleny, zniszczona kiedyś a dziś naprawiona, oznacza to miejsce tak drogie sercu chrześcijańskiemu. Drogoman konsulatu francuzkiego, zamożny Arab, katolik, miał szczęśliwą myśl, że zakupił grunt przyległy i zbudował dom, który najmuje zakonnikom Najświętszej Panny Siońskiej, aby tak zachować tę pamiątkę od najazdu różnowierców. O 1 ¹/₄ godziny ztąd leży jaskinia św. Jana ze źródłem, gdzie głównie miał przemieszkować, mnie wszakże czas nie pozwolił dotrzeć do tego miejsca.

Wróciwszy do Jeruzalem, udałem się do konsula francuzkiego p. Edmonda de Barrere z pożegnaniem. Uprzejmy dla wszystkich, szczególnie się nim dla mnie pokazał, znał bowiem kilku naszych rodaków wspólnie z nami zażyłych, i szczerze jest życzliwym sprawie naszej. Wyraziłem był przed nim życzenie widzenia dwóch meczetów zbudowanych na dawnej świątyni Salomonowej; a chociaż żądał był świeżo firmanu dla wprowadzenia karawany francuzkiej, obiecał, że postara się nowy otrzymać. Jakoż miał go już nazajutrz rano i ofiarował się mnie sam zaprowadzić. Wziąłem pozwolenie przyprowadzenia ze sobą kilku Kapucynów moich towarzyszy, wszakże gdym ich aż sześciu przywiódł, zafrasował się trochę lękając się, by tylu księży razem Turków nie przestraszyło. Przypomniiał przy tej sposobności, że aż do ostatniej wojny wschodniej, nie mógł chrześcijanin pod karą śmierci wejść do tej ich świątyni. Udaliśmy się jednak w parady z *kawasami* na czele, i szczęściem niezapokoiliśroy fanatyzmu Mahometanów. Gdybym chciał opisywać w szczególach dwa te meczety *El-Aksa* czyli *dalszy* dawny kościół zbudowany przez Justyniana na cześć Maryi Panny, i *JEI-Kouplet es Sakrah* czyli *kopulę skały*, (głównie meczetem Omara zwany) zdarzyłoby mi się to samo, co przy opisywaniu Sofijskiej świątyni w Carogrodzie, że zacząć było łatwo ale .skończyć trudno. Tymczasem powiem tylko, że oglądał z zajęciem i pociechą tę skałę, która podług najnowszych archeologów, nie jest czem innem, jedno szczytem góry Mori&h, rachowanej nie tkniętą przez Salomona przy niwelowa-

niu podłogi świątyni. Skała ta pochyła i z cysterną u dołu dla żniwiarzy, jest samemże tokowiskiem Areuna Jezubejczyka, na którym Dawid sprawił ofiarę przebłagalną. Podług wszystkiego, skała ta była ołtarzem holokaustów, a btwór pod spodem (dający odgłos gdy się sztuka o podłogę pokrywającą go z góry), przeznaczony był do przyjmowania krwi ofiar spływającej aż do Cedronu. Na zachód ołtarza holokaustów było *święte świętych*. Na tem miejscu Adryan postawił był posąg Jowisza. Następca Omara kalif Abi-el-Melib Ibu Meronan zbudował nad niem kopułę 687—690 po Chrystusie. Krzyżacy obróciwszy meczet na kościół, skałę el-Sakrah pokryli białym marmurem i tu wielki ołtarz i chór zbudowali. To zwali *świątynią pańską* (Templum Domini) i ztąd Templaryusze, stróże i obrońcy tej świątyni. Skała ta służy zatem do odgadnięcia dokładnie rozporządzenia świątyni Salomonowej.

Na tem się ograniczam. Wracając p. de Barrere pokazał nam jeszcze kościół św. Anny (budowy Justyniana), który rząd francuzki przed kilką laty od sułtana w podarunku otrzymał, i zakupiwszy miejsca przyległe, a murem w koło otoczywszy zabiera się do restauracyi. Wszystko razem ma kosztować pół miliona franków.

Podziękowawszy panu konsulowi, wróciłem do domu i dosiadłem konia, który na miejscu od dwóch godzin czekał. W Jaffie, jak na wstępie tak przy odjeździe, przy mszy św. prosiłem Pana, aby mi przeczytał łaski przywiązane do wszystkich miejsc świętych, tych mianowicie, których nie z braku dobrej woli, ale dla niemożności nie uczciłem. A na pamiątkę pobytu Przenajświętszej Rodziny w Egipcie, korzystałem z dwudniowego spoczynku statku naszego w porcie Aleksandryjskim, aby odwiedzić w starym Kairze kaplicę (dziś w ręku Koptów będącą) na miejscu, gdzie Święta Rodzina lata swego wygnania spędzić miała. Misyonarz miejscowy wyprowadził mnie na wysoki pagórek, z którego przypatrzyłem się piramidom i szeroko rozlanemu Nilowi. Wracając do nowego Kairu udałem się do cytadeli, zkąd widać ogromne to i prawdziwie wschodnie miasto. Obejrzałem też meczet Mehmet-Alego (gdzie go pochowano), na wzór stambulskich zbudowany, ale zawsze bogaty i piękny. Gdybym był lepiej z miejscowością obznajmiony, miałbym być czas dojechać do Mata-

rieh dla widzenia Sykomoru, pod którym święta rodzina miała w podróży odpoczywać. Wdzięczny jednak byłem kolei, że przenosząc w siedm godzin z Aleksandryi do Kairu i napowrót, pozwoliła mi w ciągu dwóch dni uczynić tę wycieczkę. Aleksandrya jest miastem nowożytnem, źle jeszcze z europejska zabudowanem, i nie ma o niem nic do powiedzenia.

Z Aleksandryi do Malty płynęliśmy cztery dni i trzy noce, pierwszy raz byłem tak długo na pełnem morzu, znikąd lądu nie widząc. W Malcie zmówiłem mszę św. w katedralnym kościele św. Jana. Obejrzałem tę piękną i poważną świątynię, groby wielkich Mistrzów, później pałac ich i zbrojownię, wszystko starannie przez wielkorządców utrzymywane. Widziałem z bliska lud ten wierzący j niewiasty skromne jak zakonnice; wyraźne błogosławieństwo wielkiego Apostoła, którego groty niestety nie miałem czasu zwiedzić.

W ośmnaście godzin stanąłem z Malty w Messynie. A jakkolwiek miałem postanowienie nie wysiadać na ląd *włoski*, wszakże aby uczcić św. patrona Polski, Jana Kantego, zmówiłem mszę świętą w starej i poważnej katedrze messyńskiej. Jutro da Bóg, stanę w Ciyita Yecchia i Rzymie. Po między towarzyszami podróży miałem jednego urzędnika rzymskiego z Pezaro, który był z zakonnikami wracającemi przed miesiącem z Nazaretu do Jeruzalem, i miał głowę rozciętą beduińską szablą, i młodego zakonnika turyńskiego, misyonarza od lat ośmiu w wysokim Egipcie. Nosi się po arabsku i wraca do Europy dla wyleczenia chorej wątroby.

Chwała Najwyższemu!

Dokończyłem listu w zatoce Neapolitańskijsj 21 paźdz. 1862 r.

IB.

LISTY ZA-ATLANTYCKIE.

LIST I.

podróż z rzymu do quebec.

Od 7 maja do 28 czerwca 1865 roku.

Jakem pisywał do was ze Wschodu do wielb razem, w niepodobieństwie pisywania do każdego z osobna, tak i obecnie w podobny sposób odzywam się z za Atlantyku, aby uspokoić łaskawą troskliwość waszą o mnie, i podziękować jakkolwiek za modlitwy.

Jak wam powszechnie wiadomo, lat już temu ośm, na natarczywe prośby i powiem błagania j. ks. Charbonnel na onczas biskupa Toronto w Kanadzie (a od lat kilku po rezygnacyi dyecezyi kapucyna we Francyi) lat temu ośm powiadam, posłaliśmy tam młodego księdza i kleryka. Odtąd kleryk się wyświęcił na kapłana, trzech innych przybyło, szósty ma przybyć w jesieni; mają nadto trzech braciszków, jest ich zatem ośmiu, rychło będzie więcej. Przez pierwsze lata, trzech ich obsługiwało trzy spore parafie; tylko co dni piętnaście zjeżdżali się na konferencyę duchowną i dla wyspowiadania się wzajem. Od roku dwóch zostało na dwóch parafiach, ale przy trzeciej jest okrom trzech braciszków trzech kapłanów razem, a czwarty jakem wspomniał spodziewany; mogą już tedy prowadzić porządne życie ^wspólne. Nadto

biskup ich (w Hamilton) mgr. Farrell Irlandczyk z pochodzenia, nagradzając ich długoletnie trudy, wcielił do zgromadzenia naszego w Kanadzie dwie parafie z domostwami i gruntami jakie do nich należały; lepiej są tedy od nas materyalnie zaopatrzeni, choć żyją w śród kolonistów dorabiających się chleba. Z tych powodów na kapitule naszej, rok temu odbytej, missya nasza kanadyjska, uznana została za drugi dom zgromadzenia (po rzymskim), a na mnie z rozporządzenia reguły ciąży obowiązek zwiedzenia go i przypatrzenia się czy wszystko jest w porządku. Tem bardziej, iż dziś gdy już otworzyli szkołę, i zapewne na miejscu znajdą powołania do zgromadzenia, powinni mieć nowo przybywających na miejscu wychować, by nie potrzebowali z tak wielkim kosztem posyłać ich aż do Rzymu. Opłaci się im tedy sowicie że dziś łożą na kosztą mojej podróży. Oto jest główny jej powód.

Nadto, gdy przed wyjazdem byłem u Ojca świętego po błogosławieństwo na podróż, spytałem: „a gdybym po drodze znalazł pieniądze na seminaryum polskie w Rzymie, czy mogę wziąć?” — O bierz, bierz i oburącz” odpowiedział Ojciec święty, a zatem i o tym celu dodatkowym pamiętać będę.

Nadewszystko zaś prosiłem Pana Boga mojego, abym mógł w ciągu tej podróży być prawdziwym missyonarzem i jak najwięcej dla dobra dusz uczynić.

Wyłynąłem z Civita-Vecchia 7 maja przy najpiękniejszej pogodzie. Opisywać żeglugi po morzu Śródziemnem nie myślę. Bo choć ono z jednej strony piękne, a z drugiej można się na niem doskonale rozbić, (morza bowiem wazkie międzyziemne niebezpieczniejsze wśród burzy dla bliskości brzegów ze wszech stron), wszakże ponieważ tyle razy je przepływałem, i nie na długo traci się z oczu ląd stały, (a wyobraźnia widzi w tem pewne bezpieczeństwo), przeto śmiesznem mi się wydaje opisywać tę przeprawę, jak śmiesznem byłoby opisywać jak to kaczki pływają po stawie. Zresztą po Bogu najwięcej zajmuje mnie człowiek; przyroda przychodzi dopiero na ostatniem miejscu. Otóż wspomnę znajomość zabraną po drodze z wm księdzem San wizytatorem, (prowincyałem) missyonarzy św. Wincentego a Paulo. Poważny ten starzec, przez lat kilkanaście missyonarz w Meksyku, wielce do sprawy naszej przywiązany, poprzyjaźniony jeszcze

w Rzymie z pobożnym jednym missyonarzem polskim, zaprosił mnie do siebie, w razie gdybym wracał przez Hiszpanię; owszem, ofiarował mi dać listy do wszystkich biskupów hiszpańskich i do wszystkich domów sióstr swoich, tak abym wszędzie był jak w domu. Podziękowałem mu tymczasem za tę jego dobrą wolę, a Bóg jeden wie czy będę mógł z niej korzystać.

Z Marsylii dobiegłem do Hyeres za Tulonem dla pozdrowienia niektórych łaskawych znajomych, bawiących tam dla zdrowia. Poznałem też ks. Byszewskiego, który na początku ostatniego ruchu przejechał się do Syberyi i wrócił, a z upadkiem powstania musiał ujść z duszą za granicę. Niepodobna mi tu nie wspomnieć j. ks. biskupa z Frejus do którego Hyeres należy, umieścił bowiem w swej dyecezyi, okrom ks. Byszewskiego, czterech innych kapłanów wychodźców i dwóch kleryków w swem seminaryum. Chwała jemu, chwała duchowieństwu francuzkiemu, które tak mało mając, tak serdecznie przecież opatruje biedę polską. W Paryżu chciałem dni kilka tylko zabawić, alem nie pamiętał, że na miesiąc Maryi schodzi się co wieczór mniej więcej sto dusz polskich. Mało to zapewne, bacząc na wielką liczbę naszych rodaków bawiących w Paryżu, ale dosyć pamiętając, jak daleko mieszkają, i że wielu z nich cały dzień musi pracować. Zawezwał mnie zatem ks. Jełowicki do pracy, a tem chętniej się jej podjąłem, że lat temu trzy spiesząc na kanonizacyę do Rzymu, po czternastej nauce przerwałem był kaznodziejstwo moje majowe, a teraz z piętnastą dalej je miałem prowadzić. Wykładałem zatem przez pięć wieczorów *Magnificat*, a szóstego w niedzielę miałem kazanie, na które do dwustu osób się schodzi. Nazajutrz (22 maja) przypadało roczne nabożeństwo w Montmorency za pogrzebanych tam, ogólnie za pomarłych na wygnaniu Polaków. Dwadzieścia dwa lat temu miałem tam pierwsze kazanie po francuzku przy otwarciu tej pobożnej majówki emigracyjnej, ostatni raz przemówiłem w 1850 r. po polsku. Obecnie przyjąłem zaproszenie do śpiewania mszy świętej, wszedł bowiem w ostatnich latach zwyczaj zapraszania księży francuzkich z kazaniem. Tego roku zaproszony był ks. Adolf Perraud oratoryanin francuzki, dyrektor tak zasłużonego względem polskiej niedoli *Oeuvre du Catholicisme en Pologne*. Dotkniętego obłożną chorobą, zastąpił młodszy brat jego z tegoż zgromadzenia,

ks. Karol Perroud, i jakkolwiek mało miał czasu do przygotowania się, gorąco i serdecznie przemówił, nie szczędził wszakże i nie miłych może nie jednemu prawd, powstawał na żywioł rewolucyjny, któryśmy do sprawy naszej domięszali, wyrzucał niedostateczną w wielu wiarę, brak zgody i jedności. „Jeżeliście niezgodni, rzekł, jesteście niczem, jeżeliście bez Boga, tem bardziej jeszcze niczem.” Dobrze że obcy, a niewątpliwie życzliwy kapłan, francuz nareszcie, prawdy takie wypowiedział; gdybyśmy my je byli po raz tysięczny powtórzyli, nie jeden mianowicie z młodej emigracji posądziłby nas może o duch stronnicy. Mówię młodej emigracji, bo uważałem podczas kazania, że siwe głowy wychodźców z 1831 r. rzadko już bardzo świeciły wśród młodych twarzy nowego pokolenia emigrantów, za to nagrobków na cmentarzu przybyło dużo od lat kilkunastu.

Z Montmorency (zostawiwszy tłumoczek w Paryżu) udałem się prosto z torbą podróżną do Rormonde w Holandyi, gdzie mieszkają rodziny trzech naszych misyjników w Kanadzie i z kąd się ich więcej możemy spodziewać. Jadąc do kraju protestanckiego, przebrałem się w Brukselli po świecku, i udało mi się przebranie, choć nie bardzo pochlebnie dla mojej fizjonomii, bo mnie brano to za ministra protestanckiego, to za kupca. Wszakże, gdym się dowiedział na noclegu w Maestricht, że w Limburgu holenderskim jako przeważnie katolickim duchowni noszą swoje suknie, wróciłem zaraz do mojej kochanej sutany.

Na statku parowym spotkałem trzech 00. Redemptorystów, wezwanych dla odbycia misji w pewnej parafii. Chwaliłem ludność limburgską, przyznawali mi słusność, ale dodając, że jest nieco śpiąca, bo tu nie ma /walki; podnosili gorliwość i ofiarność katolików właściwej Holandyi, postawionych naprzeciw protestantów także wierzących. Jeden z Ojców mówił mi o pewnej okolicy (pustej jeszcze podczas tak zwanej reformacji), do której się wyniosło dużo dawnej szlachty katolickiej, dla zachowania swojej wiary w czasie prześladowania. Zeszli oni na prostych chłopów kolonistów, ale na pamiątkę zachowali po domach swoje herby, które umieli dla Boga wraz z majątkiem poświęcić. Dziś ci chłopci znowu są milionowymi panami. Jeden z nich pokazywał temu ojcu pałacyk, który był sobie świeżo postawił i umeblował,

przyznał, że wydał 40,000 guldenów, ale jakoby tłumacząc ten swój zbytek, dodał: „wszakże dałem tyleż na postawienie kościoła, boć co najmniej dać można Bogu, to tyle ile się wyda na siebie.” Starałem się czem innem zająć, bo mi się smutne i gorzkie myśli cisnęły do serca, porównyując szlachtę Holendrów z naszeim obywatelstwem.

Tymczasem przybyliśmy do Roermonde. Udałem się do seminaryum, łaskawie zaproszony przez prezydenta, jak tam regensów albo rektorów nazywają. Pokazywał mi ten obszerny gmach, dawniejszy klasztor kartuzów, gdzie Ludolf Chartusianus mieszkał. „Nadmorskie (rzekłem) nie mają takich gmachów seminaryjskich.” — „I owszem rzekł, mają lepsze, rozleglejsze i wspanialsze, z dobrowolnych składek wybudowane” Uważałem, że porządek nauk i ćwiczeń duchownych, zaprowadzony tu jak u nas w lepszych seminaryach na zachodzie, a uczą się bardzo zasadnie. Nazajutrz w niedzielę, obecny byłem przy mszy pontyfikalnej j. ks. Biskupa, dziekana wiekiem wszystkich biskupów holenderskich. Muzyka amatorska nie zła, śpiew gregoryański przez uczniów doskonale wykonany, a obrządki odbywane z powagą zwykłą ludziom północnym. Po mszy świętej, złożyłem moje uszanowanie j. ks. Biskupowi, a zaproszony wróciłem doń wraz ze wszystkimi profesorami, na pogadankę. Na tem samym miejscu był wikarym, potem proboszczem, dziekanem, nareszcie biskupem, obchodził już jubileusz półwiekowy swego kapłaństwa, przystępny, pracowity, miłosierny, kochany jest i wielbiony powszechnie przez księży swoich i wiernych. Korzystając z dobrych jego usposobień, a wiedząc że w ciągu lata ma być sobór biskupów holenderskich, prosiłem go, aby raczył przedstawić im myśl złożenia się na stypendyum stałe dla wychowania jednego, biednego kleryka Polaka w seminarium polskiem, które Ojciec święty zakłada w Rzymie, ale do którego kapitały polskie w skutek położenia kraju skąpo przychodzą; i że przeto postanowiliśmy prosić u katolików rozmaitych narodów, o podobną jałmużnę na korzyść tak biednego dziś i prześladowanego Kościoła polskiego. Pomyślał chwilę wielbny starzec, i obiecał, że projekt ten przedstawi, i sądzi, że nie będzie trudności w jego przeprowadzeniu. Podziękowałem i pożegnałem go. Zostawała najtrudniejsza praca pożegnania trzech rodzin naszych misjonarzy w Kanadzie,

bo wszędzie umie częstowano, a niepodobna było całkiem się wymówić. Dziękowałem Bogu że wyszedł obronną ręką z tego niebezpieczeństwa.

Nazajutrz ruszyłem napowrót ku Brukselli, jedno już nie na Maestricht, ale przebrałem się ku drodze żelaznej wiodącej ku Akwizgranu (Aix la Chapelle). Rad pozdrowilem znajomego mi od lat trzydziestu jmc ks. biskupa luksemburskiego, mgra Laurent, wypędzonego ze swej dyecezyi przez wolno-mularzy, i tu w mieście swoim rodzinnem osiadłego. Stałem u krewnego jego ks. proboszcza Schon, poznanego w Rzymie. Pokazywał mi miasto i ratusz noszący jeszcze ślady hołdu, jaki król pruski przed kilku dniami od prowincyj reńskich odbierał. Jedno to miasto reńskie, które się przychylnem królowi pokazało, dzięki kochanemu powszechnie burmistrzowi, katolikowi wyznaniem. Miasto jest staro-niemieckie, okolice piękne; nie mogłem widzieć bogatego skarbcza i relikwii, z powodu odprawianego nabożeństwa, a krzesło Karola Wgo, już od dawna znałem. Z Akwizgranu przybyłem do Brukselli, gdzie się pare dni zatrzymał. Jaka zmiana od lat dwudziestu! Nie żył już generał Skrzynecki u którego mieszkałem, a żona i córki w Galicyi; nie żył już Tyszkiewicz, Lelewel i tylu innych, którzy się na moje kazania schodzili. Jednego z dawnych znajomych zastałem, szanownego generała Kruszewskiego, z liczniejszą obecnie rodziną, który już po raz trzeci wrócić musiał do Belgii. Złożyłem też moje uszanowanie znanemu w Rzymie jmc ks. biskupowi tebańskiemu i nuncyuszowi papieżkiemu w Belgii, ks. Ledóchowskiemu, który mnie ze wszelką uprzejmością przyjął, rozpytując się o Rzym i swoich znajomych w wiecznem mieście; ale wskutek swego położenia urzędowego, nie uważał za stosowne by sam proponował biskupom belgijskim założenie stypendium dla semiaryum polskiego. A że ks. kardynał Mechliński obecnie jest w Rzymie, naszą rzeczą dotrzeć do niego, ile że • ks. Jełowicki mówił już o tem z biskupem w Bruges, którego znalazł przychylnym.

Do Paryża wróciłem na trzy dni ostatnie miesiąca maja, 1 mówiłem o boleściach śmierci i chwale w niebie tej świętej Matki. Wielką mi też dobry Bóg sprawił pociechę w tem mieście, pozwalając powitać i uczcić córki wileńskie świętego Franciszka Salezego, nie rozproszone, jedno przesadzone na

czas na grunt obcy. Piękny to przykład wiary i ufności w Boga, że czterdzieści przeszło osób, w liczbie których nowicyuszki i staruszki siedmdziesięcioletnie, z ks. Lubowidz-
kim, (który stał się dobrowolnym wygnańcem dla niepozba-
wienia spowiedzi nieurniejących po francuzku), przeniosło się
na ziemię obcą. Wiadomo już, jak gościnnie zostały przyjęte
przez siostry paryzkie. Rozmaite klasztory Wizytek francuz-
kich chciały je rozebrać pomiędzy siebie, ale że w tem zgro-
madzeniu każdy klasztor stanowi osobną rodzinę, słuszna że
nasze siostry chcą zachować swój byt odrębny. Za pomocą
loteryi urządzonej przez siostry francuzkie, zebrała się już
część funduszu na wypłacenie domu zakupionego pod bardzo
korzystnymi warunkami ceny i wypłaty u zacnego jednego
kapłana; dopomóż Boże i dalej! Opis wypędzenia tych oblu-
bienie pańskich, skreślony zdolnem piórem „jednej z nich,
znany jest powszechnie duszom pobożnym, i obudzi dla tych
ofiar tak słodko i trzeźwo się skarżących, spółczucie i uwiel-
bienie. Zaproszony, powiedziałem dwie nauki, wysłuchałem
ze trzydzieści tych pobożnych dusz. Miło bardzo mówić,
kiedy jest pewność, że wszystko będzie zrozumiane, wszystko
wzięte do serca, wszystko wprowadzone w życie. Praktyczna
wiedza, że Duch święty pomimo trudności zewnętrznych tyle
dusz wiernych i miłych sobie wychowuje na ziemi naszej,
daje mi otuchę, że nie opuści narodu naszego i wiary świętej
nam nie odbierze. W Paryżu zresztą odwiedziłem tylko bliż-
szych znajomych francuzów i rodaków. O krajowcach nie
wspominam, bo bym mógł im oddać złą usługę w obec rządu.
Wspomnę tylko p. Michała Kleczkowskiego, który przed laty
dwudziestu, zmuszony opuścić kraj i majątek, utrzymywał
się w Paryżu z dawania lekcyj języków, a nauczwszy się
języka chińskiego, został drogmanem poselstwa francuzkiego
w Pekinie, potem sekretarzem, a czas niejaki zastępował mi-
nistra. Ożeniony dziś z bardzo przyzwoitą amerykanką, oj-
ciec dwojga dzieci, widać że lat wiele gorączkowo praco-
wał, a pochodzenie jego i stan obecny kraju naszego, utru-
dnia mu dalszy zawód. Gdyby nie był Polakiem, znalazłby
wszelkie uznanie u swoich; co do mnie, podnoszę wszystko
i wszystkich, co tylko nam zaszczyt przynosi, tem bardziej
w tych czasach tak jałowych i niefortunnych dla sławy imie-
nia polskiego.

Nareszcie 4 czerwca potrafiłem się wydostać z Paryża. W Boulogne na statku angielskim przy wieczery spotkałem jakieś figury urzędowe rosyjskie, z których niektóre mówiły między sobą po polsku. Jeden z tych panów gniewał się, że naczelny *Steicard*, choć wciąż pływający pomiędzy Boulogne a Londynem ani słowa po francuzku nie rozumiał, nie wiedział nawet co znaczy *jambon*. Nasi Polacy są często jak samiż francuzi przekonani, że cały świat winien mówić a przynajmniej rozumieć po francuzku, i że z tym jednym językiem zagranicznym mogą wygodnie podróżować po całym świecie.

Nazajutrz rano znalazłem się na tejże samej Tamizie, po której płynąłem temu lat dwadzieścia jeden, pełnej krzyżujących się okrętów żaglowych i parowców, jak ulice londyńskie i paryzkie pełne są omnibusów. Znalazłem tę samą mgłę, też kurzawę węgielną czerniącą wszystko, tylko miasto już znacznie większe. Wsiadłem uwolniony grzecznie od otwierania tłumoczków, w mieszkaniu Ks. Jążdżewskiego, kaznodziei polskiego w Londynie, który uprzejmie przybył na moje spotkanie i przez cały czas zajmował się mną, z serdecznością więcej niż braterską, śmiałym powiedzieć synowską; Bóg mu zapłać. Ze Mszą zaprowadził mnie do kościoła włoskiego obsługiwanego przez Misjonarzy wielebnego śp. księdza Palotta, których wszystkich prawie znałem w Rzymie; pokazywał mi kaplicę polską, rodzaj piwnicy ciemnej i wilgotnej. Bardzo to poetyczne, bo przypomina katakumby, ale cóż kiedy niezdrowe i nielicznym ochotnikom do nabożeństwa daje powód słuszny do nie przychodzenia. Skarżył mi się ksiądz Jążdżewski na trudność swego położenia. Znałem ją oddawna, bo nasi kochani rodacy, z małym wyjątkiem, przejmują nie dobre, ale złe w każdym kraju. I tak w Anglii zamiast naśladować wzorową gorliwość katolików angielskich, a jeżeli nie statek to przynajmniej wiarę Irlandczyków, przejmują tylko chłód ducha od protestantów. Kiedym tu zastępował O. Brzezińskiego przez dwa miesiące, konserwatyści bardzo grzecznie przychodzili na kazania, odwiedzali mnie w domu, zapraszali do siebie, sprawili stypę pożegnalną z toastami angielskimi i wierszem pochwalnym Olizarowskiego, ale że to było lato a nie Wielkanoc, nikt się do spowiedzi nie zjawił, a po zakładach mniej licznych we Francji, którym po misyjarsku zwiedził, utargowałem zawsze kilkuna-

stu, albo kilku przynajmniej. A i to pokolenie wymarło lub się rozproszyło po świecie; został tylko niezmordowany Szulczewski, i rodzina szanownego majora Giełguda. To też kiedy kochany ksiądz Chwaliszewski puszczał się na tę missyę, zapowiedziałem mu, że to pójdzie dopóki będzie miał pieniądze i słabe jego zdrowie w tym dymiąco-wilgotnym klimacie nie zacznie szwankować, jak się w rzeczy stało. Zrobił co mógł, pochrzczył niektóre dzieci niechrzczone i poumieszczał ile mógł po zakładach polskich w Paryżu. Ksiądz Jażdżewski posuwał tę pracę dalej, i tak we Francyi z pomocą założonego już *Oeuvre du Catholicisme en Pologne*, jak w Anglii i Irlandyi, płacąc często z własnej kieszeni, umieścił znowu na wychowanie ośmdziesięcioro dzieci. Stukał o pomoc do bogatszych katolików angielskich, ale mu słusznie odpowiedzieli, że na nich cięży utrzymanie całego duchowieństwa świeckiego i zakonnego, szkół, budowanie kościołów w kraju i t. p. „Dlaczego mówili mu, nie udasz się do waszych pań, które można po wszystkich towarzystwach i balach paryzkich tak strojne spotkać? znać zatem, że kraj wasz nie jest tak powszechnie zniszczony jak powiadasz słusznie a boleśne wyrzuty! Powie mi który patryota broniący i złe swoje, że to wyjątki? Odpowiem, że wyjątki za nadto liczne, obecnie podwójnie grzeszne i gorszące, i jeżeli terazniejsza bieda zmusi tę klasę do niepopisywania się po stolicach europejskich ze swoją płocnością a często zepsuciem, i do wrócenia na wieś, to będzie jeszcze coś zyskanego. Szczęściem że majątek osobisty księdza Jażdżewskiego starczył na wiele, ale i on długo tak podołać nie może, i cofnąć się musi.

Trafiłem w Londynie na konsekracyę znajomego mi z Rzymu księdza Maning na arcybiskupa westminsterskiego. Konsekracya arcybiskupa anglikańskiego nie zwraca uwagi niczyjej; katolickiego, to wypadek polityczny: czują powszechnie Anglicy, że tam jest siła i przyszłość. Pogrzeb kardynała Wiseman dał miarę ile już katolicyzm wszedł w pojęcie Anglikanów, i jak ten wielki naród, obok wad, które winien głównie protestantom, umie cenić swoich wielkich ludzi, pomimo uprzedzeń i namietności religijnych i politycznych. W czasie prowadzenia zwłok z całą pompą katolicką przez ulice Londynu, bieg powozów się zatrzymał, sklepy się zamykały, cała ludność skupiona i poważna, była na ulicy. Podo-

bnym wypadkiem, jedno weselnym, była konsekracja księdza Mauing, na którą zjechało się czternastu biskupów angielskich, i zeszło ze dwieście księży zakonników i zakonnice. Prokatedra tymczasowa Morfields-Chapel nie mogła pomieścić dyplomacyi i arystokracji angielskiej, katolickiej i protestanckiej. Obrząd ten jest bardzo poważny, muzyka wcale nieźle wykonywała kawałki Palestriny, zbudowanie było powszechne. Dzienniki protestanckie, z wyjątkiem żydowskiego *Daily Telegraph*, przyjęły ogólnie z przychylnością nominację księdza Maning. Pomiędzy katolikami było rozdwojenie, tak że Ojciec Święty znając Anglików, rzekł: „chyba im arcybiskupa Francuza poszlę.” Sądzę jednak, że nowy arcybiskup uczony, wymowny, pobożny, pozyska sobie rychło serca wszystkich. Jako przejezdny duchowny polski złożyłem nowemu pastarzowi moje powinszowania. Okrom mnie i księdza Jażdżewskiego, był jeszcze na obchodzie ksiądz Podolski, który na jednym z przedmieść londyńskich stworzył nową parafię, którą zawiaduje. Odwiedziliśmy go w jego skromnem presbyterjum, i wspominaliśmy zmarłego księdza Stasiewicza, który w okolicach Londynu podobnie był kościół wybudował, i parafię założył. Szczęściem także, że choć złe jest w większości, ale też bywa rychło zapomniane (wyjąwszy pewnych potwornych zbrodni) a dobre zostaje zawsze w pamięci i błogosławieństwie.

Odwiedziłem jeszcze w Londynie ks. Doyle dawniej proboszcza *Belgian Ghapel*, w której się nabożeństwo dla Polaków odbywało, a dziś, dziekana przy wybudowanej przez siebie katedrze *S. Georges fields* na Southwark. Złamany starzec i nie wiem czy pożyje dość jak pragnie, aby choć jedną wieżę dokończył. Przy tymże kościele mieszka ksiądz biskup Grant, uczeń kolegium angielskiego, w czasach gdy nas uczących się zapraszał niekiedy śp. Wiseman, jeszcze rektor, na obiady. Na całej drodze mojej z Rzymu, aż do naszej missyi w Kanadzie, w jednym tylko miejscu nie miałem nikogo znajomego, to w Liwerpool, gdzie postanowiłem wsiąść na statek, i gdzie wziąwszy miejsce w Londynie, posłał naprzód ciężką moją skrzynię z książkami. Ksiądz biskup dał mi list do dawnego nauczyciela swojego księdza kanonika Fischer, prezydenta kolegium katolickiego św. Edwarda, bez którego nie byłbym sobie poradził w odszukaniu i wydostaniu mojej skrzyni. Zapytywał mnie ksiądz biskup czy będzie tego roku

kanonizacya w Rzymie? Odpowiedziałem, że odłożona na rok przyszły. — „Dlaczego?” — By nie były za częste tego rodzaju obchody, bo niektóre sprawy jeszcze nie zakończone, a wiem także że nasz św. Jozafat podziela losy swego narodu i nie ma pieniędzy. Sięgnął do szufladki i wyjął pięć funtów. Oświadczyłem, że nie mam upoważnienia do zbierania na ten cel. — „To nic nie szkodzi, weź zawsze, potrzebujemy przyczyny Świętych.” — Biskup sam wstępuje w ślady św. Franciszka Salezego i bardzo się coś na świętego zabiera.

Ostatni epizod, jaki mam jeszcze do opowiedzenia z przejazdu przez Anglią to pobyt mój na wsi w szlacheckim domu katolickim pana Bodenham de la Barre. Potomek podbójców Normandzkich Anglii, a następnie rycerzy krzyżowych, należący do jednej z tych nielicznych rodzin, które zachowały wiarę katolicką przez cały czas prześladowania, ożeniony z Polką, panną Ireną Morawską z Poznańskiego, przyjacielem jest sprawy polskiej i znajomy mój z podwójnego pobytu w Rzymie w ostatnich latach dziesięciu. Przedostatniej zimy opowiadał mi, że na początku ostatniego ruchu polskiego, namówili wraz z żoną pana adwokata Hennesey, młodego i zdolnego członka parlamentu, ale jeszcze bez położenia politycznego, aby sobie stworzył specjalność z kwestyi polskiej, i w tym celu dostarczyli mu wszelkich dokumentów i objaśnień. Potem gdy się pan de la Barre przekonał, że Anglia i Francya nic dla Polski nie zrobią, naumyślnie pojechał do Księstwa i Krakowa, aby naszych ostrzedz; ale woleli raczej wierzyć panu Hennesey. Otóż przystępując do rzeczy, mówię nareszcie, że państwo Bodenham dowiedziawszy się o moim przejeździe przez Anglią do Ameryki, zaprosili mnie uprzejmym listem, w swoim i rodziców swoich imieniu, abym do nich na wieś zboczył, a pan Bodenham przybywszy do Londynu na konsekracyą księdza biskupa Maning, zabrał mnie z sobą. Dojeżdżając do Hereford pytałem mego gospodarza, jak mogli się utrzymać przy katolicyzmie? płacąc i płacąc mówił, odstępując każdemu który szukał przyczepki części majątku, byle się tylko odczepił. Jak widzisz w koło, aż po góry kraju Galles wszystko to było nasze, a teraz zostaliśmy przy okrawku dawnego mienia... „A czy potomkowie waszych prześladowców i zdiurców nie wstydzą się was, gdy spotykają?” — „Już te majątki w innych ręku rzekł, wszystkie te rodziny

wygaśły." — Tak wszędzie i zawsze prawda, że maleparta idą do czarta, i że majątek źle nabyty nie doczeka się dziedzica w trzecim pokoleniu. Tymczasem wysiedliśmy z kolei żelaznej; pani Bodenham czekała na nas z powozem i rychło stanęliśmy przed sporym czerwonym dworem. Pani Bodenham matka, siostra kardynała Weld, która długie lata spędzała w Rzymie przy bracie wraz z mężem, zdawszy gospodarstwo na synowę, żyje dziś sobie jak zakonnica, a kapłana po starodawnemu w rękę całuje. Pan Bodenham nie dawno błogosławieństwem papieżkiem z niebezpiecznej choroby (obok siedmdziesięciu kilku lat) wyleczony, wesoły starzec, ułożenia bardziej francuzkiego, uprzejmie mię pozdrowił, wyrażając nadzieję, że nie prędko dom ich opuszczę. Jest w domu kaplica, z czasów jeszcze prześladowania tak zbudowana, że z zewnątrz nic jej nie zdradza, a wewnątrz łatwo ją zamaskować. W kaplicy jest Najświętszy Sakrament i ksiądz kapelan domowy. Służba żeńska jest pod dozorem dojrzałej klucznicy; podobnego naczelnika ma służba męska. Oddzielone od siebie izby sypialne mężczyzn i niewiast. Do sypialnej żadnej z niewiast, nikt z mężczyzn nie wchodzi, nawet sam pan. Służący, któryby się o to pokusił, i służąca, któraby to ścierpiała, byłiby niemiłosiernie zaraz oddaleni z domu. Wszystko idzie podług dzwonka. Porządek dzienny jest następujący: o godzinie ósmej, gdy już służba miała czas izby wspólne uprzątnąć, dzwonią na pacierz ranny i mszę świętą; każdy przerywa robotę, dziewczęta zarzucają białą zasłonę na głowę i schodzą się. Po mszy śniadanie, po krótkiej rozmowie każdy swobodnie się wynosi i robi co chce w domu, czy w ogrodzie, czy po za domem. O dwunastej, pierwszej, przekąska albo podwieczorek (lunch) i potem znowu każdy wolny. Nie ma tego nieznośnego siedzenia na kupie jak u nas na wsi i ciążenia sobie nawzajem przez dzień cały, z pretensją nieraz by listy odbierane głośno czytać. Tu kto nie chce mówić, czyta sobie dzienniki. Dłużej się zwykle razem zostaje po obiedzie i przy herbacie, po odbytych po środku pacierzu wieczornym wspólnym w kaplicy. Takie życie na wsi pojmuję.

W przerwach pomiędzy rozmaitemi posiłkami zwiedzaliśmy różne zakłady w blizkiej okolicy: klasztor Benedyktynów i kościół służący za katedrę biskupa kraju Galles (Neu-

port and Maneyig) księdza Brown mieszkającego w Ballingame w małym domeczku na gruncie państwa Bodenham. Siwo-włosy pasterz nie trzyma powozu, w czasie słoty z parasolem i w makintoszu maszeruje gdzie potrzeba. W temże miejscu jest zakład sióstr miłosierdzia fundacyi państwa Bodenham młodych, przemyślają już o sprowadzeniu biednych Kollety-nek. W okolicy jest klasztor *Nofre-dame du refuge* (dla ko-biet zbłąkanych i dzieci), z funduszu p. Philips, którego córka jest w tym klasztorze. Tak, że jak mi mówiła pani Boden-ham - Morawska, dodając kaplicę w Hereford i kościółek w Old-Long-Worth, jednego dnia mogłabym w siedmiu miej-scach uczcić Najświętszy Sakrament, a kiedym tu przybyła temu lat siedmuaście, na całą okolicę w naszym tylko domu gościł Pan Jezus. Po zaprowadzeniu hierarchii katolickiej, biskup nasz miał tylko czternastu księży, dziś ma ich sześć-dziesięciu. Patrząc na to wszystko myślałem sobie, że ci An-glicy, Holendrzy, niby to materyaliści, egoiści, jednak Panu Bogu w czynie służą; a nasze niby wielkie uczucia, poświę-cenia, wyobrażenia i t. d. najczęściej nieplodne do dobrego, ciężkie na nas sprowadzają klęski. Obyśmy już przestali być rozumni samym tylko szaleń, a kształcili w nas wiarę, roz-sądek i silną a prawą wolę.

Pożeguałem moje zacne gospodarstwo i przybyłem do Liverpool. Czasu już nie było, jak zamierzałem sobie, doje-chać do Dublina i prosić ustnie księdza arcybiskupa Cullen o założenie stypendyum polskiego z pomocą dwudziestu kilku swoich kolegów i kapłanów irlandzkich. Smutno by mi zre-sztą było widzieć dziś Irlandyą. Widziałem ją, temu lat dwa-dzieścia jeden, liczącą jeszcze ośm milionów ludności, jeszcze pełną nadziei. Widziałem O'Connella wychodzącego z wię-zienia, i potem w gościnnym jego domu w Derynan - Abbey. Dziś głód i przesiedlenie się sprawiły, że już i sześciu mi-lionów dusz w Irlandyi nie ma a politycznie gasną. Przynaj-mniej nie dopuścili się samobójstwa!

15 Czerwca po południu siadłem na śrubowiec, nomi-nalnej siły dwustu koni a ładujący 1400 beczek, zwany *Damasculus* kompanii Montrealskiej. Kompania ta straciła w ciągu lat kilku ośm swoich okrętów, i tenże sam statek *Damaszek*, gdy się w nim śruba (*helice*) zepsuła, roku zeszłego, obecny nasz kapitan dzięki pomyślnemu wiatrowi po pięciodniowej

żegludze za pomocą żagli odprowadził szczęśliwie do Liverpool. Rozbicia te zwykle dzieją się na brzegach północno-atlantycznych, obfitujących w podwodne skały, w zimie lub na wiosnę, z powodu burz, mgły gęstej lub pływających lodów; to też zimą nikt prawie statków tej kompanii nie używa. Ale latem żegluga względnie bezpieczna, cena przejazdu znacznie niższa, a płynąc z Anglii unika się komor celnych Stanów Zjednoczonych; dla tego zdecydował się na kompanię montrealską. Nad salą jadalną ujrzałem wymalowaną Polkę w rogatywce klęczącą i modlącą się. Pytałem coby to mogło znaczyć? Odpowiedziano mi, że dekorator okrętu wziął zapewne koncept z powieści pod tytułem *Elżbieta*, opisującej przygody młodej Polki, wygnanki na Syberyi wraz ze swoim ojcem. Ta Polka przedstawia wiernie obecny stan Polski, obyśmy się tylko wszyscy modlili! Co do mnie takem sobie godziny rozłożył, abym na poły przynajmniej jak na rekolekcyach żył, wyjąwszy trochę rozmowy po stole. Obejrzałem się po towarzyszach podróży i spostrzegłem, że sam jeden kapłan na okręcie, w razie zatem przygody, mogłem być użyteczny, wiernym obecnym, ale sam musiałbym uczynić jeden akt więcej zdania się na miłosierdzie Boże. Zachowałem obojczyk księży, (który już bynajmniej Anglikanów nie razi), aby każdy katolik wiedział na statku, że jest ksiądz, i aby uniknąć znajomości niepotrzebnych. Do księdza bowiem zbliży się tylko albo katolik, albo protestant nie mający przynajmniej odrazy do katolików. Jakoż, jakkolwiek niczyjej znajomości nie szukałem, zbliżył się najprzód do mnie towarzysz mój kabiny, pan Chatterton, stary pułkownik angielski zajmujący jakiś urząd w Kanadzie, nie mający nic sztywności wyspiarskiej, wesoły i rozmowny. Musi mieć coś do czynienia z kompanią, która ma w ciągu lata przeprowadzić nowy diót telegraficzny podmorski od Lienwil w Irlandyi do Newfoundland przed Kanadą, bo pokazywał próbki pierwszego drutu oprawnego w kauczuk, sznurki konopne, smolne, mocno za pomocą maszyny skręcone. Drugi ten drut ma być rzucony pod przewodnictwem krewnego mojego pułkownika, i jest już złożony na potwornym parowcu *Leviathan* albo *Great-Eastern*. Wiózł ten mój pułkownik swą synowicę, pannę trzydziestoletnią, należącą do szkoły pietystów anglikańskich, ze szkoły doktora Pusey. Panna ta chę-

tnie ze mną rozmawiała, ona trochę po francuzku, ja trochę po angielska, tak że w końcu pułkownik mój przestraszył się, że ją nawrócę na katoliczkę, a bardzo się tego lęka; ta obawa wszakże nie przeszkadza uprzejmym stosunkom ze mną. Jam tyle się nie spodziewał, bo Puseiści trudniej się od innych protestantów nawracają dla tego, iż wmawiają w siebie, że już są katolikami, gałęzią żywą wielkiego drzewa Kościoła powszechnego. Wiele byłoby gdybym oswoił obecnych na statku protestantów z księdzem katolickim i wymusił u nich dla siebie szacunek. Zbliżył się też do mnie pierwszy, młody adwokat, pisarz angielski pan Skinner, potomek Jakobitów, jako takich świętych lub pozbawionych szlachestwa, płynący z żoną swoją i jej siostrą do Stanów Zjednoczonych i Meksyku. Był on w Danii podczas ostatniej wojny, zwiedził Szwecję i wydał dziełko o wojnie duńskiej. Był już raz w Ameryce północnej, przed czterema laty, a teraz wracał, bo otrzymał komis opisania stanu obecnego Kanady i Stanów Zjednoczonych. Oboje z żoną mówią po francuzku wcale nie źle, nie mają odrazy do katolicyzmu, ale zdaje się, że kwestią religijną żywo się nie zajmują. Są jeszcze na statku Amerykanie północni i południowi, unikający rozmowy i tak uprzejmie na siebie patrzący, jak nasi na *braci* swoich *Słowian nadwołżańskich*. Wszyscy prawie są albo kapitanami okrętowymi, albo żołnierzami z ostatniej wojny. Jest nadto dwóch panów z żonami i dziećmi, którzy zapewne otrzymali jaką posadę albo zajęcie. Wszystkiego na pierwszym i drugim miejscu dwadzieścia osób siadających do jednego stołu z tą różnicą, że druga klasa płaci 80 franków mniej i ma gorsze kabiny na tyle okrętu nad śrubą. Na trzecim miejscu przeszło dwieście osób Anglików, Irlandczyków, protestantów z północy i kilku katolików, nareszcie kilku Niemców. Na takim zapoznaniu się zszedł mi wieczór pierwszy. Nazajutrz (19 z rana) wpłynęliśmy w rzekę Mowille, gdzie ostatnia stacya telegraficzna angielska i czekaliśmy do wieczora na pocztę z Londondery i ostatnie telegramy. Nie wysiadałem na ląd, bo w wiosce przyległej rybacy presbiterianie szkoccy i pusty kościół anglikański, katolickiego nie było.

Pluskały się i latały koło statku morskie ptaki białe, zwane po angielsku *Cicalls*, po francuzku (jeżeli się nie mylę) *mouettes*, które też nam towarzyszą często w podróży, rade

się pożywić ostatkami z kuchni okrętowej, wyrzucanemi do morza. A jest czem, bo nas 320 osób z ekwipażem, a cztery razy na dzień jeść dają. Wszakże po dwóch dniach żeglugi, już się więcej nie pokazały. Słońce pięknie zaszło gdzieś w kierunku Groenlandyi. Kładąc się spać widziałem jeszcze brzegi północne Irlandyi i szkockie w oddaleniu, nazajutrz (17), przebudziłem się już na pełnym oceanie, widzieliśmy tylko inny okręt i trzode *marsuinów* (rodzaj morskiej nierogacizny) dających nurka i pływających liżo ku Anglii. Czas był prześliczny, rzadki tu wiatr zachodni pędził nasz okręt przy rozpiętych żaglach; 18go w niedzielę, przebudziliśmy się ze mgłą, ale przy pogodzie. Mgławo i mnie było w duszy, że w niedzielę bez mszy być trzeba. Gdym to pisał, Stevard (służący okrętowy), położył na stole kilka biblii, i na miejscu talerzy książki protestanckie do modlitwy: *Songs of praise and prayer, compiled especially for the use of sailors*. Na głos dzwonka zeszli się pobożni anglikańscy do sali, a jam musiał zrejterować do kabiny jako inowierca. Słyszałem jak zaśpiewali psalm (100) potem czytano modlitwy a zapewne i ustęp z biblii, i zakończono znowu krótkim psalmem. Celebrował w braku ministra kapitan okrętowy, jakkolwiek sam metodysta. Choć to nabożeństwo kuse i po ukazie, smutno jednak pomyśleć, że kompanie podobne w krajach katolickich nie myślą ogólnie o tem, aby na okrętach służba Boża była święcona. Może i dla tego, że we wszystkich przedsiębiorstwach przemysłowych na lądzie stałym, wpływ przeważny powszechnie w ręku żydów. W Anglii jakkolwiek tak kupieckiej, w niedzielę mniej pociągów niż w dniu powszednie jeździ po drogach żelaznych, a w godziny poświęcone na nabożeństwo z rana i po obiedzie nie ruszają z miejsca, bo Anglia jakkolwiek protestancka, stoi jeszcze na podstawie chrześcijańskiej, gdy na lądzie stałym, od rewolucyi francuskiej, rządy jako takie, nie przyznają się do żadnego wyznania. *La loi est athee*, jak powiedział stary gallikanin legista Dupin, a jeżeli się nie mylę, Guizot dodał: *l'etat est laique*. Podczas gdym te uwagi czynił, przybiegł pocziwy Irlandczyk, (jest ich kilku na statku, jak wspomniałem, a są nie mówiący po angielsku, tylko po staro-gallicku,) przybiegł pytając, czy nie będzie mszy świętej? Musiałem z żalem odpowiedzieć, że nie, choć kapitan nie byłby miał nic przeciwko temu, ale

nie jadąc do niewiernych nie zaopatrzyłem się w podróżną kaplicę, i nie byłoby zresztą komu przytrzymać kielicha. Przy obiedzie, Anglicy przypomnieli sobie, że to pięćdziesięcioletnia rocznica bitwy pod Waterloo, i pili zdrowie armii swojej; jam się ogłosił neutralnym pomiędzy Francją a Anglią. Poszliśmy spać bez słońca, księżyca; gwiazd na niebie ani śladu, jak gdyby ich nie było, a Anglicy nazywali to jeszcze piękną pogodą. Wstaliśmy nazajutrz (19j także bez słońca, wiatr mieliśmy już z boku, ale morze wciąż dobre. Dziwnie mi się wydaje w drugiej połowie czerwca żyć we mgle i czuć chłód: darmo, nie wszędzie Włochy.

Przez trzy dni następne, mieliśmy czas zmienuy, trochę deszczu, trochę mgły, z rzadka pewien grymas słońca. Poznałem się tymczasem lepiej z towarzyszami podróży. Amerykanie południowi, w liczbie których był jeden z trzystu bohaterskich obrońców forteczki Sumter próbowali mówić z północnymi o polityce, ale nie było sposobu. Dla pierwszych Jefferson Dayis wielki człowiek, dla drugich urwisz godzien szubienicy. Mieli zatem dosyć rozsądku, aby zaniechawszy rozmowy politycznej, poprzestać na przyzwotytm na zewnątrz stosunku. Niestety! żadna z dwóch stron wojujących, nie ma sprawy zupełnie czystej. Południowi mieli *legalnie* słuszość, bo konstytucya federalna w chwili przystąpienia Stanów do Unii nie wzbraniała posiadania niewolników i północni dopiero wtenczas tę kwestyę podnieśli, gdy obrachowali, że praca wolnych ludzi dla nich korzystniejsza, i gdy już byli południowym wszystkich swoich niewolników sprzedali: ale po chrześcijańsku i humanitarnie, nie mieli słuszości, nie mieli dość rozumu politycznego, aby uchwalić przynajmniej stopniowe wyzwolenie swoich murzynów, i pozyskać tak uznanie dla siebie, a może i czynną pomoc ze strony Anglii i Francyi, uprawę zaś bawełny, (jeżeli nie podobna bez pracy przymusowej murzynów), zastąpić uprawą innych płodów ziemskich. To pewna, że północnym nie chodziło o czarnych, którymi doskonale gardzą, ze zazdrości ku ziemskiej arystokracji południowców nałożyli na towary przychodzące z Europy 25 od sta, aby ich zmusić do kupowania własnych wyrobów, i tak wyssać z nich

*) Wyspa broniąca wejścia do portu Charlestown.

wszelki pieniądź wzięty od Europejczyków za bawełnę; czy jednak konstytucya federalna upoważniała stany do *secessyi* i do walki zbrojnej? Aby tę kwestyą rozsądzić, trzeba być prawnikiem amerykańskim i człowiekiem całkiem bezstronnym. Co dla mnie, jasnem jest to, że jak demokracja wojująca w Szwajcaryi kierowana przez towarzystwa tajne scentralizowała federacyę swoją, tak amerykańska to samo u siebie przeprowadziła. Odtąd mamy nowe państwo na wzór europejskich z liczną armią stałą, z żandarmeryą, z ogromnym długiem publicznym, z prawami wyjątkowemi, a państwo młode, chciwe wzrostu, drugie państwo podbójcze obok Rosyi, z którą też serdecznie sympatyzują. Jeden był sposób zagojenia rany, za pomocą szerokiej i szczerej amnestyi, jak radził szlachetny jenerał południowy Lee, a Lincoln zamierzał, ale nowy prezydent, wziął się do sprawy *a la Mouravieff*, i pomny dawnego swego rzemiosła, obcina całej intebgencji południowej poły, i prawdziwą im sprawia kurtę. Później zaczął prezydent walkę ze stronnictwem radykalnem i centralistyczuem, walkę chlubną dla niego, ale bezskuteczną. Teraz dopiero stworzyli sobie północni, czego lękali się ze strony południowców, jak ich publicyści i mówcy przed wojną głosili, stworzyli w nich Polskę swoją i Irlandyę. Trudno sobie przypuścić, aby kilka milionów ludności, która przez lat cztery walczyła z taką wyższością odwagi i umiejętności wojennej, przeciwko druzgocącej massie (w wielkiej części najemnych) sił, kapitałów i rynsztunku, dała się ciemieżyć niepowściągliwym zwycięzcom. Będzie i tam zapewne jak w Polsce bywało, niby pokój, dopóki nowe pokolenie zdolne do walki nie wyrośnie. Chyba że się skończy na exterminacyi południowców jak Indyan, albo na przesiedleniu się ich do Meksyku, Kanady i t. d. Rozpisałem się nad tą kwestyą, ale na morzu dnie- długie, trudno się modlić nieustannie, więc się o tem i o owem myśli, a co się wymyśliło, o tem się chętnie rozprawia. Zresztą może się te uwagi komu zdadzą, bo my Polacy jak ogólnie, tak i na walkę amerykańską patrzymy przez okulary tak zwanych dzienników liberalnych lub demokratycznych.

Przechodząc do innych towarzyszków mojej podróży, pocziwy pułkownik wyzwał mnie na dysputę religijną, która nie trwała nad pół godziny, bo mi się głowa rozpałała od

wielkiego wysilenia, chcąc mówić językiem, który tak lichy jeszcze posiadam. Zresztą, nie chodziło mu (jak ogólnie dziś pobożniejszym protestantom) o dowiedzenie że ja w błędzie. Jeżeli co nam zarzucają, to jedynie dla pokazania, że i przeciwko katolikom coś powiedzieć można. Czasy gdy nas lżyli, dawno przeszły, w głębi duszy dziś nam zazdroszczą; chodzi im jedynie o wmówienie w siebie, (a i w nas gdyby mogli,) że i oni się bezpiecznie zbawić mogą. To też mój pułkownik skończył dysputę aktem nadziei, że się w końcu wszyscy porozumiemy, że będzie jeden pasterz i jedna owczarnia. Wierzy nawet w bliski koniec świata i panowanie Chrystusa Pana na ziemi. Młody adwokat doskonale rozumie, że oni są tylko kościołem narodowym, lokalnym, że nawet dla siebie nie mają organu do potępienia błędników, jak np. biskupa racjonalisty Coleaso, i do utrzymania jedności wiary. Jakoż, na pięciu anglikanów na statku najbliżej mi znajomych, pułkownik jest kalwiunistą dawnego autoramentu, siostrzenica jego, puseistką albo rubrycystką, adwokat zaś z żoną swoją i jej siostrą, należą do tak zwanej *broad Cliurch*, coś pośredniego i najmniej wydatnego.

Tymczasem pod wieczór wiatr północny zaczął gwizdać w liny okrętowe, i morze jęło się kotłować jak na burzę. Ale burza w lecie, na silnym parowcu i na pełnem morzu, to rzecz niestraszna. W nocy fale zamiatały pokład, co mi nie przeszkodziło spać doskonale. Nie opisuję zatem burzy, zostawiając ten przedmiot nowotnym żeglarzom, którym się zdaje że widzieli burzę, dla tego że się okręt nieco mocniej kołysał, a oni prozaicznie chorowali, albo takim, którzy z polamaniami masztami, byli w blizkiem niebezpieczeństwie rozbicia się. Nazajutrz rano, widnokrąg był nieco oczyszczony, widzieliśmy jak blisko nas przepływał wieloryb, i podrzeźniając naszej parze, puścił w górę nozdrzami kolumnę wody. W odległości czterech md morskich, płynął trzymasztowy parowiec tejże kompanii, z Kanady do Anglii. Pozdrowili się trzy razy spuszczac i znowu podnosząc flagę na tyle okrętu. Rozbitek burzy, zmordowany ptaszek, siadł na krawędzi okrętu; złapał go majtek i wsadził do więzienia, bo do klatki. I to był wypadek dla ziewających pasażerów, a gratka nie lada dla dzieci się zdarzająca. Powiedziałem, że burza nie straszna; to samo mówił nasz kapitan dodając: „byłem wi-

dział przed sobą; źle kiedy nie wiadomo, gdzie się jest, jak się kierować, a na to się zanoszą, za krótko trwał i deszcz i wiatr, będziemy mieli mgłę (*fog*).” I tak rzeczywiście się stało. To też noc całą płynęliśmy ledwo używając połowę pary, i świszcząc co kilka minut żałobnie przez jej wypuszczanie, aby ostrzegać okręty płynące naprzeciwko lub obok, i nie potrafić się z obawą zgubić jednego z dwojga, albo i obu. Groziło drugie niebezpieczeństwo uderzenia się o pływające lody, *Isefields*, odrywające się od lodów z pod bieguny północnego. Jeden kapitan statku żaglowego będący obecnie na naszym parowcu, przepływał przed miesiącem pośrodku dwóch brył potwornych, przewyższających znacznie jego maszty, a które widział o czterdzieści mil morskich przedtem. Inny kapitan parowca Stanów południowych, ubiegającego 14 mil na godzinę, (gdy nasz 11 ubiedz tylko może), który 14 razy wybiegał się przed czatującymi i strzelającymi nań parowcami północnymi, (więc nie tchórz i doświadczony marynarz) nie chciał pójść do kabiny, „boby nie spał, mówił, dopóki jest niebezpieczeństwo.” A więc ono było. Dodać do tego, że w tej części oceanu, z niewiadomej przyczyny, (bo wiele ich różnych dają, na przykład: trąby morskie, wulkany podziemne, bardzo różna głębokość morska it.d.) że mówię sama busola figluje, tak że jeden z okrętów sądząc, że jest na pełnym morzu, podczas podobnej mgły gęstej przy spokojnym zresztą morzu, rozbił się o *Cap JRais*, ku któremu właśnie nasz zdążał. Księżycy nie było, gwiazd nigdy w tej porze nie widziałem—słowem, trudność niezmierna oryentowania się dla kapitana. Podziwiałem dobroć Bożą, że oprócz doświadczonych żeglarzy, nikt zresztą niebezpieczeństwa nie czuł, a tyle było matek z dziećmi; choć z drugiej strony, pewna, że tacy zwykle tracą głowę gdy niebezpieczeństwo się ziści. Mój pan adwokat, który miał własny *jachcik*, i opływał porty południowe Anglii i północnej Francji, a był już raz w Ameryce, znał naturę tych stron oceanu, powiedział mi: „co do mnie, umówiliśmy się z żoną przed wyprawą, iż gdyby podobało się Bogu dopuścić nieszczęście, okrętu nie opuścimy i nie wsiądziemy na łódkę, chyba żeby brzeg był blisko. Widzi ksiądz, mamy tu sześć łodzi, każda z nich w najpiękniejszą pogodę pomieści z trudnością czterdzieści do pięćdziesiąt osób, a na morze wzburzone ledwo

kilkanaście, a nas 250 osób, nie licząc 70 ekwipażu i służby. W razie rozbicia, wsadzają do łodzi najprzód kobiety z pierwszej i drugiej klasy, (zapewne z dziećmi i mężami,) potem kobiety z trzeciej klasy, potem mężczyzn luźnych z pierwszej i drugiej klasy, a nareszcie pasażerów męskich z trzeciej klasy. Do każdej łodzi dają jednego oficera, dwóch majtków, baryłkę wody i nieco żywności. Wiosłami długo robić na oceanie wzburzonym trudno, można nadto umrzeć z zimna i głodu. Nie chcę się na to wystawić, bym jadł moją żonę, albo kto mnie. Zostaniemy zatem na statku, bo możemy się doczekać ratunku niedoświadczwszy głodu do końca, a jeżeli potrzeba umrzeć, to umrzemy." Ten projekt na zimno i spokojnie obmyślany, bardzo mi się podobał, postanowiłem sobie trzymać go się także w razie danym, dopełniwszy obowiązku kapłana względem pięciu katolików Irlandczyków na statku, i względem tych z protestantów, którzyby się chcieli *in extremis* nawrócić. Prosiłem Boga, aby mi dał taką przytomność umysłu i krew zimną, jaką pokazał tego lata ksiądz Strutyński, misjonarz św. Wincentego a Paulo przez lat ośm w Brazylii, który niezmiernie dopomógł do uratowania wszystkich podróżnych rozbitego parowca francuzkiego na brzegach Brazylijskich. Wielu bowiem traci głowę, skacząc do morza przewraca łódź już pełną, cisnąc się do niej gwałtem i t. d. Jakkolwiek mocno ufałem i ufam, że mnie dobry Jezus bez pomocy sakramentów do siebie nie przywoła, mógł mnie jednak ocalić pomimo przygody. Urządziłem się zatem odpowiednio, biorąc krucyfiks i wszystkie papiery ważniejsze do kieszeni, rozebrałem się po połowie tylko, bym w pół minuty mógł być gotowym, i położyłem się spać. Kilka godzin pierwszych spałem twardo, potem już słyszałem świst wypuszczanej pary i częste bieganie majtków po pokładzie. O trzeciej i kwadrans statek zaczął iść pośpieszniej, wybiegłem zobaczyć czy ląd blisko wskazuje kierunek okrętowi, czy wschodzące słońce mgły rozpędziło. Wschodziło słońce, ale tak dziwnie, że pomimo powagi położenia zaśmiać się musiałem. Wyglądało tak, jak gdy kto rozespany przeciera sobie oczy i ze snu się wybić nie może, albo jak dziecko dobrze rozpłakane, kiedy mu się na śmiech zbiera. Mgła była tak gęsta, że dym z naszego komina niezdolny wzbić* się w górę, tworzył ciemną belkę, opartą z jednej strony o tenże

komini, z drugiej o widnokrąg morski, a para grubemi kroplami wciąż kapłała na pokład. Otóż słońce pasując się z tą mgłą, naprzód oświeciło w górze mały obłoczek, potem pozwoli wydobyć się jak z pieluch, poświeciło trochę i znowu zaszło jak za firankę, oświecając część powierzchni morza, która nam czas niejaki przyświecała. Przy tem świetle widzieliśmy trzy-masztowy parowiec naszej kompanii *North Ameñcain*; potem weszliśmy we mgłę na godzin znowu trzydzieści. Biedny kapitan nie mając już słońca ani na lekarstwo, by sprawdzać busolę i oryentować się za pomocą kompasu, ratował się jedynie *sondą*. Postanowił już nie przybijać do północnego cypla *Nowej Ziemi* (*Terre neuve, Ney-foundland*) gdzie miał oddać depesze telegraficzne, jedno po nad pokładami piaskowemi (*Banltsj*, które rzeka św. Wawrzyńca wiekami naniosiła. Widziałem na karcie kapitana cały ten obszerny kraj podwodny, najdokładniej narysowany. Ileż to razy trzeba było spuścić sondę, aby kartę taką narysować, ponieważ woda blisko lądu (którego unikał) głębszą jest niż nad temi piaskami. Spuszczał często sondę dla przekonania się, że płynie nad temi pokładami. Sonda ta, to bryła żelaza stofuntowa, namazana u dołu masą bardzo lepką, która spada pionowo po linie (aż się fale zakotłują) wyciągnięta pokazuje jakie jest dno morza. Pokazywała zwykle żwir (*gravier*) tych nasp rzecznych, i muszle morskie rozbite ciężarem żelaza w drobne kawałeczki, co kapitana uspokajało. Aby czasem zaczepienie się o co liny nie oszukało w obliczeniu głębokości morza, do tej ciężkiej sondy przymocowana jest druga maszynka ze śrubą i klapą na wierzchu, do zmierzenia głębokości podług ciężenia wody, tak że kłapa wierzchnia naciskana z góry, obraca szrubę raz, dwa lub trzy razy; dziwna jak posunięte są wynalazki, ale też stosunkowo rośnie zuchwalstwo człowieka w wyzywaniu na rękę najgroźniejszych żywiołów. Uważałem jeszcze, że spuszczano rodzaj lejka i potem za pomocą termometru obliczano stopnie zimna zaczerpniętej z głębi wody. Pytałem się dla czego to czynią? odpowiedziano mi: „dla przekouania się, czy nie jesteśmy blisko pływających brył lodu, bo w takim razie woda zimniejsza niż zwykle. —” „A cóż znaleźliście? pytałem dalej.” „Jeszcze jest trochę różnicy, odpowiedział podoficer (*low officer*) za pierwszą razą, a po obiedzie rzekł, już nie ma

żadnej. Dowiedziałem się, że wtedy dopiero wypłynęliśmy ze strefy pływających lodów, ciągnącej się od cypla północnego Nowej-ziemi ku Anglii, na przestrzeni długiej czterysta mil morskich, a pięćdziesiąt głębokiej. W tej też okolicy prąd (*courant stream*) ciepły, pędzący od zatoki meksykańskiej, spotykając się z prądem zimnym św. Wawrzyńca, tworzą te mgły stałe w tej części oceanu, a płynąc dalej ku Irlandyi i Anglii, obdarzają je stałą prawie ciepło-wilgotną parą, która tworzy znowu te piękne łąki i pastwiska w zielonym Erynie (Irlandyi) i w Anglii. Ale mniejsza o to; co nas obchodzi, to żeśmy się wydobyli z okolicy pływających lodów. To też nasz kapitan, który od dwóch dni nie przychodził już do stołu i ledwo co spoczął chwilę, znów wracał na pokład nie rad gdy go zagadywano, tego dnia (23) przyszedł na obiad i był swobodniejszym. Słusznie mi mówił mój młody adwokat: „po Bogu najwięcej możemy liczyć na naszego kapitana. Jest to jeden z tych szanownych ludzi, którzy u nas pracą i statkiem z dołu wydostają się na wierzch. Zaczął on służyć prostym majtkiem, szedł stopniami w górę, uczył się teorii, zdawał egzamina i dziś jest kapitanem (właściwie *master of ship*, bo nazwa kapitana legalnie należy się tylko dowódcom okrętów wojennych, kupieckim dawana jest jedno z grzeczności.) Otóż ten człowiek, który jak ksiądz uważał nie pije, który ma żonę i dzieci, wszystko robi, aby honor swój i kompanii swojej, życie nasze i swoje zachował. A że ta kompania straciła już ośm parowców i to w tych okolicach, to nam daje porękę, że kapitan nasz i cała służba okrętowa nie zgrzeszy ani niedbalstwem, ani zuchwałością.” I tak rzeczywiście było. Dodatk jeszcze, że kapitan nasz, a za jego przykładem i dozorem cała służba okrętowa tak grzeczna, jak trudno zwykle spotkać na statkach francuzkich. Stół obfity, wyborny. Cała żywność hermetycznie w naczyniach blaszanych zamknięta i w lodowni chowana, nic ze swej i świeżości nie traci. Mają jej zawsze na piętnaście dni więcej, to też choć jeden z ich statków (z powodu zepsucia się maszyny) pływał trzydzieści cztery dni po morzu, zawsze podróżni mieli całkowitą i świeżą żywność. Statki francuzkie gorzej karmią, tę jedną mają korzyść, że dają wino do stołu, a na angielskich i piwo płacić trzeba. Z tem wszystkiern, radzę moim braciom i przyjaciółom, aby bez ścisłej

konieczności, tą najpółnocniejszą linią się nie puszczali, jedno wsiadali w Hayre, na statki francuskie płynące do Nowego Yorku. Bo jakkolwiek druga kompania angielsko-amerykańska *Cunard*, zawijająca naprzemian do Nowego Yorku lub Bostonu, dotychczas nie miała przypadku, jednak, ponieważ dla oddania depesz musi dotknąć *Cap Uais*, wjeżdża w linię mgieł i lodów, przypadek bardzo możebny.

Wracam do naszego kłopotu, do mgły naszej. Całą noc z 23go na 24ty gwizdał znowu statek idąc powolnie, ale już było tylko jedno niebezpieczeństwo, stuknięcia się o drugi statek, bo wśród tej gęstej mgły, i trzech latarni zawieszonych na okręcie zdaleka nie widać. Nazajutrz w dzień św. Jana słońce weszło pogodnie, ale powietrze było zmienne i dżdżyste. Dopiero o piątej z południa, silny wiatr północny oczyścił w pięć minut widnokrąg ze mgieł, zsuwając je w głąb jak kupy śniegu lub błota na ulicach. Słońce weszło, niebo zTabłękitniało, i było jak w piękny dzień styczniowy przy chłodnym wietrze północnym na morzu Śródziemnem. Wtenczas ujrzeliśmy kilka okrętów żaglowych przybywających w te strony dla połowu stokfisa. Ujrzeliśmy za pomocą szkieł powiększających na najdalszym widnokręgu trzy bryły pływające lodu, prawdziwe trzy kryształowe pałace. Ale nade wszystko ujrzeliśmy ląd, stronę zachodnią Nev-Foundland. Kapitan zorientował się i widział z zadowoleniem, że po ciemku zrobił manewr jaki chciał. W nocy mieliśmy średnią jeszcze mgłę, ale już nie tak gęstą.

Nazajutrz rano przy pogodzie, po odbytem jak zeszłej niedzieli nabożeństwie anglikańskim i podwieczorku, ujrzeliśmy przepływającą zdała okręt. Kapitan chwycił za lunetę, popatrzył, powiedział 156, otworzył książkę drukowaną, (w której zapisane są wszystkie okręta angielsko-amerykańskiej i to czytał: „Okręt żaglowy NN. kapitan Wilson pływający drzewo kolonialne z Nowego - Yorku do Liverpool.” Pokazywał potem w książce chorągiewki, z których każda znaczy jakąś liczbę. Windują te chorągiewki jednę nad drugą, kapitan drugiego okrętu wyczytuje liczbę, a w książce pod liczbą znajduje się rodowód okrętu. Chorągiewki te służą też do wyrażenia różnych frazesów położonych pod odpowiednimi liczbami np. „jestem w niebezpieczeństwie, palę się, wodu mnie

zalewa, czy możesz mi dopomóc?" I wyczytuje odpowiedź „mogę, nie mogę, spieszę i t. p."

Po obiedzie zwrócił okręt dziobem wprost ku *Cap-Ray* na końcu południowo-zachodnim Nowej-ziemi ') jak *Cap-Bais* jest na jej krańcu północnym, chciał bowiem doręczyć do stacyi telegraficznej depesze i wysłać z Europy kosztem *associates presse* (skojarzonego dziennikarstwa w Nowym-Yorku), które nazajutrz rano miały figurować po gazetach z wymienieniem że przywiezione przez statek *Damascus*. Depesze te umieszczone są z małą przytwierdzoną chorągiewką, w cylindrze blaszauym, który albo rzucają ze statku w łódkę, jeżeli jaka wypłynie, albo też w morze. W każdym razie sekretarz okrętu i rybak który odniesie tę blaszankę do stacyi telegraficznej, dostają po funcie czyli po złotych polskich czterdzieści nagrody. Wyjechała przeciw nam łódeczka ze trzema wiosłarzami i chłopczykami z małej zatoki zwanej *port aux Basques* i wzięła depesze. Ludzie byli silni, cery śniadej. Byłaby to kolonia *Basków* francuzkich? Nie mam pod ręką środków do odpowiedzenia na to pytanie. Wioska ta mogąca pomieścić ze 600 dusz ludności rybackiej mieszanego pochodzenia anglo - francuzkiego ma też dwa kościoły, zapewne katolicki i anglikański, albo presbyteryjański. Co do zieloności, mech tylko było widać, śnieg leżał na górach. Po sprawieniu tego komisu, zostawiwszy na lewo wyspę świętego Pawła, (o którą się był rozbił jeden ze statków tej kompanii, z uratowaniem jednak wszystkich dusz), nie mając już przed sobą żadnego niebezpieczeństwa, wpłynęliśmy prosto w lejek albo szyję rozdzielającą i łączącą Ocean z zatoką św. Wawrzyńca. Rano byliśmy już w zatoce, na morzu spo-

') Nev-Foundland odkryli w XVI. wieku Anglicy, w XVII posiadli Francuzi będąc panami Kanady. W połowie XVIII dostali znów Anglicy wraz z podbitą na Francuzach Kanadą. Wyspa ta daleko większa od Irlandyi, liczy 200,000 ludności francuzkiej i angielskiej, głównie rybackiej. Kraj zimny, pusty, sławny tylko z psów *de terre neue*, ratujących instynktowo człowieka topiącego się albo udającego że się topi, których rasa już bodaj niknie, tyle ich wywieziono do Europy. Nawiedzana jest latem przez liczne statki angielskie, francuzkie, holenderskie łowiące stokfisz. Żywność tej licznej populacji przechodniej, sprowadzają aż z przeciwległej południowej Nowej Szkocyi. Widzieliśmy taki statek ładowny w dzień św. Jana.

kojnem jak jezioro, zostawiając na prawo długą, nieurodzajną, pustą, jedno rybną w rzekach wyspę, zwaną *Anticosti Island*. Wiatru nie było, niebo już jasno błękitne, ciepło dało się czuć. Wyjechaliśmy ostatecznie z kraju mgieł i lodów. Okręt tak czyszczono, że majtkowie maszty oskrobywali, aby wpłynąć do Quebecu strojnie i okazale. Swobodną naszą monotonię przerwał na chwilę o godzinie drugiej z południa wieloryb, wychylając za tyłem 'okrętu potężną głowę z morza i puszczając nozdrzami wodotrysk w powietrze. W trzy godziny później drugi, pokazał nam tłusty swój kolosalny grzbiet. Płynęliśmy blisko lewej strony golfu już przy brzegach Kanady. U stóp gór lesistych na pierwszym planie leżały wioseczki i rozsypane, schludne murowane domki. Widzieliśmy i kościołki, bo to koloniści francuzcy, katolicy. Ucieszyłem się wielce, że choć zdaleka mogłem uczcić więźnia miłości ku nam, Pana naszego Jezusa w Najświętszym Sakramencie i że on tu ma tylu swoich chwalców. Młody jeden żeglarz amerykański płynący wraz z nami, powiedział, że obchodził piechotę (zapewne w skutek rozbicia się) ten brzeg, że ludność tu bardzo pocziwa, pracowita: ma z czego żyć, ale biedna (jak i ich proboszczowie) z powodu wielkiej trudności spieniężenia płodów. Nazajutrz 27go zerwał się wichur tak mocny, że gdyby nas spotkał na pełnym oceanie, toby nam był sprawił burzę prawdziwie godną opisywania.

Zatoka św. Wawrzyńca szeroka na sto mil morskich, a rzeka sama przy wejściu do zatoki na mil czterdzieści. Dopłynęliśmy do tego punktu o południu; wsiadł pilot, znający dokładnie koryto rzeki, która ma swoje wyspy, skały, mielizny i zaczął kierować okrętem, ale kapitan nasz choć już wolny od wszelkiej odpowiedzialności, nie tracił z oka statku: „Nie spocznę aż w Montreal, mówił, gdy już na miejscu staniemy.” Pilot przywiózł nam dzienniki z Quebecu, z których dowiedzieliśmy się, że w niedzielę zeszłą (26go) gdyśmy chuchali sobie w dłonie, w Quebecu był upał okropny, że w dolnym mieście powstał pożar, który strawił ze trzysta domów, kilka statków w porcie, kosztował życie kilku ludzi i sprawił szkodę na milion funtów szterlingów. Nowin z Europy świeższych, od tych jakieśmy wieźli, ma się rozumieć znaleźć nie mogliśmy, jedno z Ameryki o dalszej zemście zwycięzców, uwięzieniu jenerała południowego Beau-

regard puszczonego na wolność w skutek kapitulacyi, o szczęśliwym dostaniu się jenerała Breekenridga z dwoma towarzyszami do Kuby na łódce, po trzydniowej żegludze o głodzie i ciągłej bezsenności i t. p.

Tymczasem widać, że się zbliżamy do portu. Spotykamy coraz częściej statki płynące w jedną i drugą stronę. Zrana 28go widzieliśmy wspaniały wodospad Moutmorency na dwieście pięćdziesiąt stóp wysoki, na sześćdziesiąt szeroki, jeden z najwspanialszych na świecie, po Niagarze, i po upłynięciu ośmiu mil jeszcze, stoimy przed Quebekiem wspaniale położonym na górze, między rzekami św. Wawrzyńca i św. Karola. Parowce przyplływające z Europy wystrzałem z dwóch dział jakie posiadają, dają znać o swoim przybyciu. Urzędnik celny Kanadyjczyk francuzki, i jak uważałem patriota, nie rewidował moich rzeczy. Kazałem się zawieźć do uniwersytetu katolickiego, zaproszony w Rzymie przez księdza rektora tego zakładu, i zmówiłem z niesłychaną pociechą ducha mszę świętą na podziękowanie Bogu za szczęśliwą przeprawę, i prosząc o błogosławieństwo Jego na dalszą podróż i na dalszą pracę i trudy.

O tem doniosę wam w następnych listach, a tymczasem zegniam was wołając z głębi duszy, Bóg z nami w Panu.

P. S. Odwiedziłem moich Anglików. W książce podróży znalazłem mojego pułkownika zapisanego *Reverend Doctor*, pytałem w domu jak to rozumieć? Księża tutejsi odpowiedzieli mi, że jest zapewne nadkapelanem wojskowym i ma stopień i płacę pułkownika, bo i jeden z naszych, kapelan dla tutejszych żołnierzy katolickich, ma stopień majora. Teraz pojmuję teologię naszego pułkownika - ministra, i jego pobożność (pod wpływem' już zapewne siostrzenicy), bo na starego wiarusa było za wiele i teologii i nabożeństwa.

LIST II.

z qttebec do st. agatha of wilmoth.

Mając opisywać wam w tym liście podróż moję po Kanadzie, a raczej przez Kanadę, stosowna rzecz jest, bym choć w krótkich słowach przypomniał jej początek europejsko-chrześcijański, jej położenie i rozciągłość.

Kanada najprawdopodobniej tak nazwana od wyrazu Indian tutejszych, oznaczającego *chałupę, strzechę*, rozciąga się wzdłuż północnych granic Stanów-Zjednoczonych, od brzegów Atlantyku, aż do wód jeziora Wyższego i Misissipi, na tysiąc kilkaset mil wzdłuż, szerokości zaś ma tylko od dwóchset do trzystu mil.

Jakób Cartier z St-Malo, pierwszy odkrył rzekę świętego Wawrzyńca, jedną z największych na świecie, a pierwszą może co do piękności, czystości przezroczej wód swoich i co do żeglugi: spławną jest bowiem na siedmset mil, a z jeziorami przez które przepływa, na dwa tysiące. Otóż wspomniany Jakób Cartier założył nad tą rzeką r. 1641 pierwszą osadę francuską w zatoce św. Krzyża. Druga silniejsza osada powstała roku 1608, na miejscu gdzie dziś Quebec leży; później jeszcze pan de la Salle, gubernator Kanady, na małym statku o sześćdziesięciu beczkach ładunku przedarł się przez cały system jezior i dostał się na Misissipi, którą to rzeką upłynąwszy dwa tysiące mil, wylądował tam, gdzie później stanął Nowy-Orlean. On to powziął olbrzymi zamiar, aby Francya zakładając kolonie w tem ogromnem półkolu, między zatoką św. Wawrzyńca a Meksykańską zdusiła osady angielskie. Francya założyła wprawdzie Luizyanę, drugą Kanadę południową, ale r. 1759, Anglicy pod jenerałem Wolf, zniweczyli te olbrzymie zamiary, zdobyli Quebec, całą Kanadę, i zmusili Francją do odstąpienia sobie całej tak zwanej, nowej Francyi. Ludność francuska w tej epoce, nie przenosiła 70,000 dusz ¹⁾.

Jakkolwiek rząd angielski był czysto wojskowy, twardy i niepojętny, i choć rewolucya francuska nie powiększyła liczby kolonistów, (bo Anglia emigrantów nie wpuszczała), jednak, ludność trzeźwa, pracowita, mając sobie przez kapitulacyą zapewnioną religię, język i prawa dawne, rosła pośpiesznie, w ciągu stulecia doszła miliona, albo i przeszło. Od

¹⁾ W samejże Kanadzie, bo w tak zwanej Arkadyi (dziś Nowej Szkocyi) było tyleż i więcej ludności katolickiej po francuzku mówiącej, już to czysto europejskiej już przemieszanej z nawróconymi Indianami. Ludność tę ciemiężąc i rozpędzając Anglicy, zmusili do wyniesienia się głównie do Stanów Zjednoczonych, mała jej tylko część na miejscu pozostała.

chwili podboju angielskiego wydatnie się odznaczyła Kanada *Wyższa* albo zachodnia, od Kanady *Niższej* albo wschodniej. Koloniści francuzcy opuścili rzadkie domostwa w pustej jeszcze krainie jezior a zamknęli się koło silnych swoich osad, około Montreal i Quebecu; miejsce ich zajęli koloniści amerykańscy, szkoccy, irlandzcy, tak katolicy jak oranżyści, niemcy, i obecnie ludność Kanady zachodniej przewyższa ludność francuzką, dochodzi bowiem 1,400,000, gdy francuzka ledwo że przenosi 1,100,000; obie Kanady razem liczą 2,500,000 dusz.

Kraj piękny, górzysty szczególnie między Quebekiem a morzem, pełen lasów, rzek, wodospadów, jezior; powietrze tylko zmienne, choć zdrowe, a zimą ostre.

P^oJ^{uu}j§ iż dla francuza byłoby rzeczą niezmiernie zajmującą zwiedzać Kanadę, bo to Francya jaką była przed wielką rewolucją. Rewolucya tu nie znalazła najmniejszej sympatii. Lud kanadyjski żył pod opieką swoich proboszczów, ażeby nie udawać się do obcych protestanckich urzędników, wszystkie swoje zatargi zostawiał rozsądzeniu księży. Ze dwudziestu kapłanów zbiegłych tu z Francyi przed gilotyną, nie przyniosło pewno wieści pociągających do dawnej matki ojczyzny, szalejącej bezbożnie. Owszem, Kanadyjczycy zbliżyli się nieco do Anglików. Bo gdy pod koniec rządów Napoleona I Amerykanie widząc zajętą Anglię w Europie, pokusili się zdobyć Kanadę, sami ochotnicy miejscowi, z małą pomocą wojsk stałych, przepędzili *Jankesów*; nietylę zapewne z miłości do Anglików jak z odrazy do Amerykanów; urjuo sobienie trwa i dziś jeszcze, mianowicie w massie szcze^o-katolickiej pochodzenia francuzkiego, bo liberały francuzkie, Anglicy nie należący do Kościoła panującego i t. d. sprzyjają myśli połączenia się ze Stanami Zjednoczonymi.

Roku 1837 w skutek tarcia się dwóch narodowości, stronniczości rządu dla swoich, dawania wszystkich urzędów anglikom i t. p. wybuchło powstanie Kanadyjczyków francuzkich. Naturalnie że zostało stłumione, paręset osób przyplaciło gardłem to pokuszenie się, a w r. 1840 obie Kanady przeszły pod jeden rząd centralny. Wszakże rząd angielski wiedząc o stałej chęci Amerykanów aneksowania sobie pośrednich posiadłości angielskich, łagodnie postępuje z Kanadyjczykami; wielu ze skompromitowanych w ostatniem powstaniu, zajmuje dziś wysokie urzęda, mają oni swój prowincjonalny

parlament, ministerium finansów, radby rząd nawet widział skonfederowane wszystkie swoje posiadłości amerykańskie dla-
snadniejszej obrony od Stanów Zjednoczonych. Choć różność
interesów rozmaitych prowincyj dotychczas temu zawadza,
wszakże i obecnie, okrom gubernatora z ręki królowej i gar-
nizonów angielskich, doskonały tu samorząd; wie bowiem
rząd, że tak rozciąglej linii granicznej, której najlepsze punkta
strategiczne posiadają Amerykanie, nie potrafi przeciwko
najeźdźcom ich massom obronić, jeżeli Kanadyjczycy licznych
milicij nie dostarczą. Musztrują tymczasem ze 25,000 ochot-
ników i uzbrajają niektóre punkta; górny Quebec mianowicie
i cytadela najeżona działami. Wracam teraz do punktu,
na którym stanąłem w ostatnim moim liście.

Dzień św. Piotra spędziłem cały prawie na nabożeństwie
rannem i wieczornem w katedrze, zaproszony po środku na
obiad przez wikarego generalnego, w nieobecności biskupa.
W piątek zrana zmówiłem mszę świętą w szpitalu obsługi-
wanym przez tutejsze siostry Szare; ale że ich gniazdo i dom
główny w Montreal, tam stosowniej o nich wspomnieć wypa-
dnie. Miasto prędko obejrzałem, bo nierozległe, nic wielce
zajmującego nie ma; przez resztę dnia pisałem listy. Najwię-
cej mnie obchodził klasztor Urszulinek, założony w r. 1639
przez wielebną matkę Maryą od Wcielenia, której żywot
obszerny napisany przez jej syna, uczonego i świątobliwego
Benedyktyna, czytałem w Rzymie lat temu ośm, i dziwnem
zrządzeniem opatrznem dałem do czytania ojcu Eugeniuszowi,
który rychło potem powołany został na przełożonego missyi
naszej w Kanadzie. Doświadczyłem, iż ile razy odwiedzam
zwłoki dusz świętych, których życie i pisma czytałem, odwie-
dzam je, jakoby osobę jaką dobrze mi znamą. Z wielką
tedy pociechą ducha zmówiłem w kościele przez tę świętą
duszę zbudowanym mszę świętą, (na której kominunikowały
wszystkie zakonnice i znaczna część panienek pensyonarek),
ile że ją uważam za opiekunkę missyi naszej przed Bogiem.
Okrom niej leży w tym kościele pogrzebana Magdalena de
Chauvigny wdowa de la Peltrie, współzałożycielka klasztoru, bo
cały a znaczny swój majątek obróciła na korzyść tego zakładu,
na wychowywanie dzikich Indyanek, i całe życie swoje czyn-
nie zużyła jakoby zakonnica i missyonarka, w nieustannej
pracy, wśród największych niewygód. W tymże kościele pogrze-

bany leży generał Montcalm, poległy śmiercią walecznych, broniąc niepodległości Kanady, przeciwko generałowi angielskiemu Wolf, który też tryumf swój śmiercią przypłacił ¹⁾. Tak w tym kościółku objęta jest niejako historia Quebecu i niepodległej Kanady; dodając jeszcze do tego prace 00. Jezuitów i wspomnienie o zacnym panu Champlain, założycielu Quebecu i pierwszym jego gubernatorze. Zdaje się, że nie wspomniałem o wspaniałym gmachu nowego uniwersytetu katolickiego, który mi ksiądz rektor, wraz z biblioteką i gabinetami uprzejmie pokazał. Z dachu uniwersyteckiego wspaniały i obszerny widok, równie jak z cytadeli. Największą ozdobą i bogactwem Quebecu, że dzięki wspaniałej rzece choć tak daleko leży od brzegów oceanu, jest jednak portem morskim, bo największe okręta dopływają do miasta bez trudności. Niestety rzeka zamarza przez sześć miesięcy zimowych, a Kanada innego portu nie ma. Jest projekt zbudowania drogi żelaznej od niezamarzającego portu Halifax w Nowej Szkocji do Kanady. Quebec tem się jeszcze szczyci, że jest najstarszym miastem w północnej Ameryce, liczy zaś około 50,000 ludności.

Że nam zobopólnie pilno było zobaczyć się z moimi braćmi, co rychlej w sobotę pod wieczór wypłynąłem wspaniałym statkiem rzeczny do Montreal, długo się przypatrując pięknym i zabudowanym brzegom rzeki św. Wawrzyńca. Nazajutrz rano przybyłem do Montreal i zajechałem wprost do biskupstwa, uprzejmie przez wikarego generalnego i kanoników współ mieszkających przyjęty. Ksiądz biskup bawi jeszcze w Rzymie za sprawami swojej dyecezyi, on to mnie łaskawie do swojego domu zaprosił. Dzień ten niedzielny, a zarazem święto Nawiedzenia N. Panny, zeszedł na nabożeństwie. Wieczorem miało być zebranie gałęzi bractwa paryskiego *de Notre- Dame des Victoires*; zaproszony z nauką, podjąłem się mówić już to dla uczczenia ukochanej matki, już jako jeden z pierwszych członków tegoż bractwa, ho w pierwszej jego setce zapisany przez założyciela ś. p. księ-

¹⁾ W czasie wojny wschodniej i braterstwa Francji z Anglią, Kanadyjczycy postawili w kościele nowy pomnik z napisem przygotowanym przed wieki przez Akademię francuską, ale który był zaginął przez rozbicie się okrętu.

dza Des Genettes. Jak tam poszło nie wiem, nie musiało być jednak bardzo źle, bo ta nauka wywołała zaprosiny do ważniejszego daleko kasnodziejstwa, jak rychło powiemy.

Nazajutrz rano odwiedziłem na wsi Mgra Yinot proboszcza, który lat temu trzy był w Rzymie wraz z księdzem biskupem, innymi biskupami i duchownymi kanadyjskimi, na kanonizacyi męczenników japońskich, i był wraz z nimi u nas na święconem wielkanocnem u św. Kłaudyusza. Naturalnie że mnie uprzejmie przyjął. Miałem też do oddania list z Rzymu do jednej Sercanki, mieszkającej w tamtejszym ich klasztorze. Odwiedziłem też nowicyat OO. Jezuitów. Zanim przystąpię do opisanja pierwszych moich pośpiesznych odwiedzin zakładów duchownych tego miasta, muszę nadmienić, że Montreal właściwie powinno się nazywać *Ville Marie*. Rychło po sprowadzeniu się Urszuliuek do Quebecu, zawiązało się w Paryżu i Francyi pod przewodnictwem księdza Olier (założyciela seminaryum księży św. Sulpicyusza) stowarzyszenie ludzi pobożnych i zamożnych, celem założenia w Kanadzie osady na cześć Maryi Panny, jedynie na chwałę Bożą i dla nawracania Indyan, bez żadnej korzyści materyalnej dla stowarzyszonych. Otrzymawszy wyspę dziś od Montreal nazwaną, stowarzyszeni zrobili z niej uroczystą donacyę Królowej niebios. Dodać jeszcze trzeba, że ksiądz Olier i p. de La Dauverriere pobożny, beżżenny, urzędnik w Lafleche, otrzymali spólczesne objawienie iż jest upodobaniem Boga i Najświętszej Panny, aby ta kolonia chrześcijańska założona była na cześć Przenajświętszej Rodziny; tak, iż ks. Olier i jego kapłani mieli przedstawiać osobę Pana Jezusa, p. de La Dauverriere zaś, miał założyć Siostry na cześć św. Józefa, co rzeczywiście wykonał i rychło potem poszedł do Pana po nagrodę. Objawienie musiało być bardzo wyraźne, bo ks. Olier spotkawszy raz pierwszy w życiu współnika swego w dziele Bożem, wraz go powitał, i przystąpili razem do pracy. Trzecie zgromadzenie miało być założone na cześć Najświętszej Panny. Młoda panna stanu miejskiego, Małgorzata Bourgeois, rodem z Troyes w Champanii, widzeniami Matki Boskiej do wyłącznej służby Bogu pociągnięta, a opatrnie do klasztorów nie przyjmowana, w drugim widzeniu ujrzała poważną osobę, której się jej trzymać kazano. Właśnie pobożny szlachcic, pan de Maisonneuve, z Champanii rodem, mianowany przez stowa-

rzyszonych gubernatorem nowej kolonii *Ville Marie*, przybył do Troyes szukając jednej lub dwóch panien, któreby odważyły się puścić z nim do Kanady, dla założenia tam szkoły dla kilkorga dzieci kolonistów, i dla dzikich Indyan. Jak skoro pan de Maisonneuve wszedł do klasztoru gdzie miał własną siostrę pragnącą też udać się do Kanady, zaledwo go: zobaczyła panna Bourgeois, zawołała w pierwszym popędzie „oto ten pan którego widziałam, a z którym mam jechać!” Rzeczywiście puściła się z uim wraz ze stu kilkudziesięciu kolonistami, dobranymi, pobożnymi, dawnymi żołnierzami! zdolnymi nietylko lasy karczować i rolę uprawiać, ale i odpiierać napastujących wciąż Huronów, Irokezów i innych Indyan ¹⁾. Siostra Bourgeois, wytrzymawszy mężnie niesłychane niebezpieczeństwa, trudności, klęski i przeszkody, założyła zgromadzenie (nieklauzurne) Sióstr uczących, obecnie po całej Kanadzie i dalej rozszerzone. Otóż przez następne trzy dni mojego pobytu w Montreal, byłem ze mszą św. u Sióstr św. Józefa, drugiego u Sióstr de Notre-Dame, gdzie zaproszony do zebranych Sióstr powiedział naukę. Trzeciego, u tak zwanych *Soeurs grises*, założonych sto lat temu na cześć Ojca Przedwiecznego, przez świętobliwą wdowę panią de Youville, dla służenia chorym w szpitalu, wychowywania podrzutków itd. Zgromadzenie to także znacznie się rozszerzyło. W ciągu dnia odwiedziłem inne jeszcze nowe zgromadzenie, wychowywaniu dziewcząt poświęcone.

¹⁾ Kiedy w 1641 r. założoną została nowa kolonia *Ville Marie*, po latach czterdziestu poprzedniej kolonizacji, wszystkiego było w Kanadzie 200 kolonistów Francuzów, licząc w to dzieci. A zatem kolonizacja zaczęła się na seryo wtedy dopiero, kiedy stowarzyszenie ks. Olier posłało od razu stu kilkudziesięciu ludzi zdolnych do pług i do oręża. Gdy ich dzicy zanadto naciskali, siedmnastu ludzi odważnych postanowiło się poświęcić dla zachowania kolonii, i pójść ich wojować wstępny bojem. Po przyjęciu Sakramentów świętych i związaniu się ślubem nie poddania się i walczenia do ostatka, przez dni ośm bili się naprzód przeciwko 300 a potem 800 Irokezom. Zginęli wszyscy wraz ze swoim naczelnikiem p. Danlou, ale Indianie tak zostali przerażeni klęską jaką im siedmnastu Francuzów zadało, że na długi czas dali pokój kolonii, aż się stopniowo wzmocniła. Cóż podobnego znaleźć w dziejach Greków i Rzymian? Patrz *Vie de la soeur Bourgeois* (przez księdza Faillon Sulpicianina).

Poznałem także księży św. Sulpicyusza, i byłem na rozdaniu nagród w ich gimnazyum. Drugie trzymają 00. Jezuiti. Ksiądz biskup otworzył trzecie dla młodzieży poświęcającej się przemysłowi. Zgromadzenie Sulpicyanów zajmuje tu wydatne położenie docześnie i duchownie. Ponieważ pierwotne stowarzyszenie na nich przekazało własność kolonii i długi które było zaciągnęło, są oni dotychczas największymi właścicielami. Za sprzedawane grunta fundują szkoły i kościoły; w ostatnich czasach do 5,000,000 na te cele wydali. Mądrze czynią, przewidując możebną konfiskatę dóbr duchownych, (bo to w duchu wieku, mianowicie też gdyby Amerykanie kraj ten posiadli) ale czynią pocziwie i po Bożemu, boć mogliby pieniądze po bankach zagranicznych umieszczać i tak je zachować. Duchowni obsługują wszystkie kościoły, wyjąwszy kościół biskupiego i kościoły innych zgromadzeń zakonnych, choć wszyscy mieszkają w seminaryum. Dostarczają też kapelanów trzem przez nas wspomnianym klasztorom żeńskim, od chwili ich założenia. Kościół ich główny, a właściwie jedyny parafialny (bo inne są tylko filialne) zwany przez Anglików *the french cathedral*, jest najwspanialszym gmachem w mieście. Zbudowany w stylu gotyckim, choć z powodu wież swoich przypomina nieco kościół św. Sulpicyusza w Paryżu. Długi jest na dwieście pięćdziesiąt pięć i pół stóp, szeroki na sto trzydzieści cztery i pół, wysokość wież dochodzi dwóchset dwudziestu pięciu stóp. Widok z nich na rzekę, miasto, okolice, obszerny i piękny. Główne okno kościoła wysokie jest na sześćdziesiąt cztery stopy, a na trzydzieści dwie szerokie. Kościół ten zdolny jest pomieścić do 9,000 wiernych, choć wewnątrz ciężki, akustycznie źle zbudowany, tak że kazać w nim prawie niepodobna.

Znalazłem najbardziej uprzejme przyjęcie u tych zacnych kapłanów, a niespodzianie i z wielką pociechą, w liczbie ich znalazł się ksiądz Desmazes, uczeń mój z *College Stanislas* w Paryżu, który zachował dla mnie całą żywość i świeżość młodocianych wrażeń, choć to już lat trzydzieści upłynęło.

Gdym się wybierał do wyjazdu, a księża kanonicy uprzejmie zapraszali abym jeszcze wrócił do Montreal, odpowiedziałem: „że mi nie wolno podróżować dla mojej przyjemności tylko; więc jeżeli mnie chcą mieć, niech mi dadzą co

do roboty (a myślałem o zakonnicach, które przebąkiwały 0 rekolekcyack podczas wakacyi)." — „O jeżeli tylko o to chodzi odpowiedzieli, to ci damy tyle, że w końcu będziesz wołał o zmiłowanie." Ksiądz wikary jeneralny dodał: „A ja na początek zapraszam do dania w sierpniu ćwiczeń duchownych stu naszym proboszczom, a potem wikarym z całej dyecezyi." Strapiłem się na razie, bom tak wysoko nie marzył, wszakże rozmyśliwszy się, żem prosił Boga by mi dał popracować w tej podróży, że słyszeli moją francuzczyznę, a jednak się jej nie przelękli, przyjąłem, zostawiając wszelką wolność rządzący dyecezyi, gdyby się inaczej rozmyślił. Obiecałem stawić się przed 10 sierpnia, zostawało mi zatém miesiąc czasu na pierwszy pobyt i pracę wśród moich braci.

Mając tedy tu wrócić, objechałem tylko górę Montreal, (która zabrała świętą, piękną nazwę *Ville Mariej*, z kądem pięknego widoku na miasto. Coraz to gęściej jest zabudowana ładami domkami, i ma mieć bulwar w około, jeżeli tylko zamierzone fortyfikacje wojenne nie zaszkodzą. Zwiedziłem też przy kolegium księży Sulpicianów za miastem, dwie wieżyczki pozostałe z czasów pierwszego założenia kolonii, a brońiące naówczas od napadu Indyan, w których dwóch pierwszych nawróconych i świętobliwie żyjących, starca i jego wnuczkę pochowano. Zresztą dodam, że Montreal liczy 80,000 ludności, pięknie leży między dwoma rzekami, u stóp góry a ma sławne parapety z ciosowego kamienia po nad rzeką św. Wawrzyńca i kolosalny most nowy *Yictoria*, pod którym statki przepływają nie zginając masztów. Może co jeszcze dodam o tem mieście w przyszłym liście, choć zdaje mi się, wszystkiemu w krótkości dotknął.

Zostawała mi jeszcze jedna stacya po drodze, w Hamilton, u księdza biskupa Farrell, pasterza dyecezalnego naszych Misyonarzy, który był w Rzymie na ostatniej kanonizacyi, i u nas mieszkał. Irlandczyk pochodzeniem, w Montreal wychowany, młody i czynny jak potrzeba do nowo-założonej dyecezyi, pobożny i uprzejmy, słowem Misyonarz i apostolski biskup. By nie płynąć marudnie pod wodę wśród *rapids* tysiąca wysp na rzece świętego Wawrzyńca, odłożyłem czarującą tę zresztą żeglugę na odwrotną podróż, a puściłem się drogą żelazną do Kingston nad jeziorem Ontario.

W miarę jak oddalałem się od rzeki, nikły z oczu białe murowane domki ; w głębi kraju spotykałem nowych kolonistów angielskiego pochodzenia, u których domy i budynki folwarczne i płoty, wszystko z drzewa, dylów i desek. Całe pola świeżo wykarczowane, na których sterczą pniaki drzew ściętych zimą na wysokość do jakiej śnieg dochodzi, świadczą że tu drzewo nic nie kosztuje, wyjąwszy zachodu około ścięcia i przewiezienia go: to też ogromne kłody gniją na miejscu. Ze zaś oczyszczenie pól z pniaków sterczących i korzeni zawieleby kosztowało pracy, wynaleziono maszynę do wrywania ich od razu, jak dentysta ząb wrywa, jedno siłę ręki ludzkiej zastępują tu łańcuchy i korba, którą bydła obracają. Widziałem całe pola już tak oczyszczone, tu i owdzie jamy jeszcze nie zasypane i korzenie obok leżące; niektórzy robią sobie z tych korzeni parkany. Nie zastępują one płotów kaktusowych Palestyny i Egiptu, ale zawsze mocniejsze są od parkanów z krokwi lub desek.

Przybyłem do Kingston i szczęśliwie zdążyłem jeszcze na statek odpływający do Toronto i Hamilton. Jezioro Ontario wspaniałe jest i wodę ma bardzo przezroczystą. Toronto obszerne i dobrze zabudowane miasto, ma do 60,000 ludności; Hamilton liczy dopiero 20,000; lat temu dwadzieścia stał tam jeszcze las odwieczny. Przybyłem o południu do Hamilton i mogłem jeszcze mszę świętą zmówić w nowym kościele, który służy za katedrę tymczasową. Ksiądz biskup był na egzaminie w szkole swojej elementarnej, uprzejmie mnie przyjął i dał mi władzę wikarego jeneralnego w swojej diecezyi, oświadczając mi ile jest zadowolniony z naszych kapłanów. Pod wieczór przybył O. Eugeniusz, przełożony naszych Misyonarzy, i nazajutrz rano, w sobotę 8 lipca, postanowiliśmy wyruszyć do domu. Niespodzianie, towarzyszyłem o północy księdzu biskupowi, udzielającemu ostatnich sakramentów sędziwemu swemu wikaremu jeneralnemu, księdzu Gordon, który jeszcze przy obiedzie razem z nami u stołu siedział, choć się już czuł nie dobrze. Szanowny ten kapłan, Irlandczyk rodem, był przez całe życie Misyonarzem w tym kraju jeszcze dzikim i nieuprawnym. Z tłumoczkami na plecach przedzierał się do rzadko rozsianych rodzin katolickich na ogromnej przestrzeni, przez świeżo wykarczowane pola, albo przez lasy, znacząc sobie siekierą drzewa, aby mógł

trufle napowrót. Doczekał big tej pociechy, że główwie z jego dawnej parafii powstała nowa dyecezya, na której też korzyść przekazał własne swoje i po bracie odziedziczone zasoby. Rok temu, pozwolił sobie wakacyi tu na ziemi jeszcze. Z drugim kapłanem współrodakiem puścił się do Rzymu, aby uczcił grób świętych Apostołów i ucałował stopy Ojca świętego, a wracając odwiedził swoją ojczyznę, którą dzieckiem był opuścił. Świeżo jeszcze chciał udać się powtórnie do Irlandyi, mówiąc że się nią dosyć nie nacieszył; jedno że nie znalazł towarzysza podróży. Nad ranem był lepiej, (jeszcze tym razem się wydobył), wyjechaliśmy zatem otrzymawszy obietnicę księdza biskupa, że nas rychło odwiedzi.

Przybyliśmy około dziesiątej zrana drogą żelazną do Preston, jednej z dziesięciu stacyj, które obsługują nasi księża, okrom trzech rezydencyj, w których mieszkają tak, że nie raz sześć do siedmiu mil polskich dojeżdżać muszą do chorzych. W Preston czekał na nas z wozem pocztomistrz ze świętej Agaty i drugi gospodarz. Zaproszony do obejrzenia szkoły i kaplicy miejscowej, zwróciłem tam kroki, gdy oto znagła, wychodzi processjonalnie szkoła z chorągiewkami i śpiewem, dziewczynki w bieli, jedne mi sypią kwiaty pod nogi, drugie bukiety, a tyle ich, iżbym czterema rękami wszystkich nie objął. Przyznam się szczerze, że pierwsze moje wrażenie było zdziwienia. Znużonemu długą podróżą, niewyspanemu ostatniej nocy, wydało się to jakimś sennem złudzeniem. Od kilku lat takem nawykł do odmiennego całkiem obchodzenia się ze strony moich kochanych rodaków, iż mi się to w końcu wdało stanem normalnym; a tu dzieci irlandzkie, niemieckie, które mię nigdy nie widziały obrzucają kwiatami. Obiecałem dziatkom, że im przywiozę wracając obrazki i kwiaty i milczący siadłem na furę wiozącą nas do miasteczka Berlin, jednej ze trzech naszych rezydencyj. Szczęściem żeśmy przybyli znacznie wcześniej niż się nas spodziewano. Zbiegło się jednak dość ludności do kościoła. ¹⁾ Dowiedziałem się, że w liczbie było wielu ciekawych protestantów, którzy widząc jakiś ruch pomiędzy katolikami, py-

¹⁾ Tutejsza kolonia polska wyniosła się była do Stanów Zjednoczonych, jak później powiemy.

tali o przyczynę, a dowiedziawszy się, że naczelnik ich duchownych przybywa z Rzymu, powiedzieli sobie, że to papież, mędrsi nawet zrozumieli, że dla tego zapewne katolicy szukają do nabycia wielkiego obszaru ziemi, aby tam swego papieża osadzić. Dosyć, że poporzucali swoje zajęcia, aby gwałtem tego papieża zobaczyć, i szczęściem znaleźli, że wygląda na bardzo przyzwoitego *gentlemana*. Obiecałem katolikom, że za piętnaście dni będę u nich z nabożeństwem, i po małej przekąsce zabierałem się do wyjazdu. A tu podnosi się ogromny tuman, dwudziestu jeźdźców, z chorągwią na czele, z szarfami przez plecy, z bukietami przy kapeluszach pędzi ku nam; była to eskorta honorowa ze świętej Agaty. Wtedy już seryo wyrzuciłem O. Eugeniuszowi nieposłuszeństwo. Pamiętając bowiem, że przed rokiem odezwał się był w Rzymie: „niechno ojciec przybędzie, zobaczy, jakie przyjęcie znajdzie;” napisałem z Quebec: „proszę tylko, aby nie było żadnej wystawy, i wydatku na moje przyjęcie, pamiętajcie że będziecie musieli u waszych parafian prosić o pieniądze na opłacenie kosztów mojej podróży.” Na to mi O. Eugeniusz odpowiedział: „Proszę wybaczyć, że dosłownie polecenia wykonać nie mogliśmy. Nic nas przyjęcie ojca nie kosztuje, bo ludność sama wszystko robi i ochotnie przy każdym święcie św. Hieronima tyle z nich spowiadało się na intencją ojca i komunikowało, świeżo jeszcze dla uproszenia pomyślnej żeglugi, że okrom potrzeby serca naszego, zgorszylibyśmy tę ludność, gdybyśmy się obojętnymi okazali. Tyle lat wyczekiwaliśmy Ojca, a oni z nami, proszę wierzyć, że protestanci sami, widząc jak katolicy biskupów swoich i kapłanów szanują, są ztąd zbudowani, a ministrowie ich wzdychają, że oni są za nic uważani, i że lada szewc im burmistrzuje.” Nastąpił zatem kompromis, otrzymałem obietnicę stanowczą, że po miasteczkach gdzie ludność mieszana, żadnych demonstracji nie będzie, a zgodziłem się przejść przez różgi w dwóch rezydencyach wiejskich, świętej Agaty i świętego Bonifacego. Jechałem tedy w takiej komitywie przez miasteczko powiatowe Waterloo: ludność prawie cała protestancka była w oknach i na ulicy, mężczyźni ogólnie odkrywali głowy, pocieszałem się tem przynajmniej, że zaszczyty nie wygodne, bom się potężnie napił kurzu, a konie

powozowe nienawykłe do powiewających chorągwi jeźdźców , kilka razy o mało nas nie uniosły.

Trzeba wiedzieć, że tu wsi takich jak u nas nie ma. Tutejsi koloniści, (jak wszędzie w Polsce osiedli) mają domostwa swoje przy drodze, lub swojej własności, zajmującej od kilkudziesięciu do kilkuset morgów. Wsią lub miasteczkiem nazywa się kościół, kilka domów zajezdnych i domostw kolonistów bliżej kościoła dotykających. Taką wsią jest św. Agata z kościołem swoim na wzniesionym gruncie stojącym. W miarę jakieśmy się do niego zbliżali, rodziny katolickie wychodziły z domostw swoich, w świątecznych szatach klękając przy drodze z prośbą o błogosławieństwo, matki podawały przez ręce niemowląt kwiaty. Tymczasem zbliżały się ku nam w procesyi dziewczynki szkolne w bieli i mnóstwo ludu, wśród odgłosu dzwonów i strzałów moździerzowych. Wysiadłem z powozu przy małym domku mieszczącym w sobie zaród przyszłego kolegium. Przed dalszym domem przez naszych księży założonym stało dwadzieścia sierot z sześciu miejscowemi siostrzyczkami. Wśród tego pochodu wciąż mi się nasuwały na myśl słowa Zbawiciela o wdzięcznym Samarytaninie: „żaden nie wrócił się, aby dał chwałę Bogu, jedno ten cudzoziemiec.” Młodzi nasi bracia pracują od lat ośmiu dopiero dla kolonistów, którzy niedawno jeszcze przedzierali się przez pniaki i lasy, dźwigając na barkach własnych wór zboża o dzień drogi do młyna lub na targ, a oto mają własne domostwa i grunta i mogą już szkoły i zakłady miłosierne zakładać.

Cisnęły mi się łzy do oczu ale bez goryczy ¹⁾. Odpędzałem jak mogłem łzy natrętne, wszakże gdy mi się ksiądz Głowalski, któregom od lat ośmiu nie widział, rzucił na szyję,

*) Nie chcę jednak pokazać się niewdzięcznym względem polskich dobrodziejów którzyby ten list czytali. Że ich mamy, najlepszy dowód, żeśmy dotychczas przy życiu i służyć mogli lat trzydzieści biednym naszym rodakom, którzy tradycyjnie i w doczesnych potrzebach, (owszem głównie w doczesnych) do księży udają się o pomoc. Mamy dobrodziejów, a im mniej licznych, tem nam droższych, których wdzięczna, modlitwa nasza i po za grobem ścigać będzie.

rozpłakałem się na dobre, i wiem już tylko żem był w kościele, słyszałem śpiewane *Te Deum* i dostałem błogosławieństwo Najświętszym Sakramentem. Nazajutrz rano cboć z ciężką głową odśpiewałem jeszcze sumę, ale po niej poczułem całe zmęczenie dwumiesięcznej podróży, i kilka dni jeszcze byłem w usposobieniu gorączkowem, choć dzięki Bogu na chorobę się nie zebrało, bo też i czasu do chorowania nie było.

Nacieszywszy się z braćmi moimi przez dwa dni, zabrałem się do ćwiczeń duchownych, naprzód z jednym, któryby potem był na usługi chorych, podczas gdy inni odbywać je będą. Podług obietnicy udałem się na następną dzielę do św. Bonifacego. Okolica ta albo powiat zowie się *Klein-Deutschland* po angielsku *Little Germany*, osiadły jest cały Niemcami katolickimi, którzy po r. 1830 z Badeńskiego i z Alzacyi przybyli, przynieśli ze sobą z Europy ducha filistyńskiego opozycyi przeciwko Kościołowi i duchowieństwu, i kilku księży wygryźli; ksiądz Głowalski uchodził ich nareszcie, choć od pracy i zmartwienia zdrowie sobie podszargał. Poculi w końcu, że po wyrzeczeniu się ojczyzny, narodowość samą i język przechowują oparte o kościół i szkołę¹⁾. Oby i rodacy moi pozbawieni dziś całkiem życia politycznego prawdę tę zrozumieli! Jeden był gospodarz (*farmer*), który nie brał udziału w burdach przeciwko duchownym swoim, to też dziś po upamiętaniu się innych, szczególnie jest od nich szanowanym. Ten przyjechał po mnie poczwórną bryką w sobotę, głowy końskie ozdobiwszy wstążkami; przyjęcie było takie jak w świętej Agacie, tylko na większą stopę, bo tu katolicy mieszkają liczniej i nie pomieszani z protestantami. To też sześćdziesięciu jeźdźców wyjechało na spotkanie, aż trzy łuki tryumfalne przygotowali, więcej było strzałów morderczowych i oracya. Nazajutrz po mszy śpiewanej, przy której jak u świętej Agaty do dwóchset osób czekało z kommuuią do południami dostało obrazki przywiezione z Rzymu), powiedziałem krótkie kazanie po niemiecku i udzieliłem bło-

¹⁾ Po miastach tak zwani oświeceni Niemcy, wpisują, się do łóż wolno mularskich, i żyją w praktycznej apostazyi od Kościoła jak w Europie.

gosławieństwa papieżkiego w moc otrzymanego upoważnienia. Po nieszpórach pojechaliśmy z O. Głowalskim odwiedzić poczciwego farmera, który po mnie przyjechał. Nie ma 011 nad sto morgów gruntu, a czternaścioro dzieci; wszystko to żyje, chłopcy do szkół chodzą, córki w krynolinach, po opalonych tylko twarzach i dłoniach widać, że pracują w polu. Dom mieszkalny równie porządnym albo i porządniejszym jak u nas u mniej zamożnych obywateli, stodoła duża z ciosanego drzewa, na podmurowaniu, a pod nią obora ').

Jeden z syndyków szkolnych dziękował mi za zaszczyt jakim uczynił całej okolicy odwiedzając ich kościół i dom jednego przynajmniej z mieszkańców. Trzeba było i to dla miłości Boga przyjąć. Zasiadliśmy do wieczerzy, przy której częstował mnie winem porzeczkowym własnej fabrykacji, ale przedtem i potem, zmówił pobożnie dość długie błogosławieństwo stołu i podziękowanie, kończąc odmówieniem Pozdrowienia anielskiego. Odjechałem zbudowany i szczęśliwy, że mogłem małym zachodem sprawić przyjemność tak zacnej rodzinie.

W ciągu tygodnia przybył uprzejmie do św. Agaty ks. biskup z Hamilton, na rozdanie nagród w zaczętej od roku naszym małym kolegium. Pięciu języków się uczą: greckiego, łacińskiego, niemieckiego, angielskiego i francuskiego; matematyki, historii, geografii fizycznej i astronomicznej, bistoryi naturalnej, nareszcie muzyki i gimnastyki. Aż za wiele na początek! Co do muzyki, chóralnej mianowicie, wiadomo że Niemcy w niej celują: to też śpiew kościelny bardzo porządny. Księża nasi znowu przenieśli z Rzymu oclędostwo kościołów i wystawę w obrzędzie zewnętrznym. Niemcy choć z natury nie hojni a przytem na dorobku, na szkołę jednak nigdy nie skąpią. Dadzą jeszcze i na utrzymanie kościoła,

*) Z powodu licznych rodzin katolickich, czytałem artykuł jednego z dzienników w Nowym Yorku wychodzących, dzwoniący na gwałt, że ludność irlandzka i niemiecka ich zabija, bo więcej niż trzy razy liczniej się rozpladza od miejscowej dawno-amerykańskiej (*nativs*). Dziennikarz wymyśla na bigoterią Kwaków i Purytanów, o to poprostu zepsucie że nie chcą mieć nad dwoje dzieci najwięcej. Błogosławieni żyjący podług zakonu pańskiego, bo oni w końcu ziemię posiadą, nietylko w Ameryce, ale i w Europie, gdzie ten szatański przemysł jest rozszerzany.

boć to jedyna poezja jaką spotykają wśród pracowitego i twardego swego życia. Mniej są szczerzy dla księdza, choć za najmniejszą usługę duchowną (wyjawszy ma się rozumieć spowiedzi) najbiedniejszy człowiek nigdy mniej nie da od dolara, (9 zł. pol.) jałmużna na mszę. zwykła tu pół dolara, w Stanach Zjednoczonych dolar. Wprawdzie i życie tu stosunkowo drogie. Irlandczyk znowu wszystko daje księdzu, nie troszcząc się o resztę. W Stanach Zjednoczonych, gdzie liczni są Irlandczycy, księża ostrożnie zachęcają do jałmużny na jakiś cel szczególny, bo wyrobnik Irlandzki, oddaje wszystko co przez tydzień zarobił, nie myśląc na razie o czym następny przeżyje. Nieraz w zapale rzuci księdzu na ambonę dolary swoje zawinięte w papier albo chustę, wołając: „Ojcze, oto masz!” Nieraz księża muszą ich wyszukiwać, i oddawać przynajmniej większą część albo połowę. Wracając do księdza Biskupa, bardzo zadowolony kierunkiem ściśle katolickim w wychowywaniu naszych uczniów, i postępem jaki w ciągu jednego roku uczynili w naukach, odjechał po oświadczeniu, że chce odbyć rekolekcje z duchowieństwem w Montreal; mam go zatem zabrać po drodze. Awanturuję się coraz bardziej, ale co robić; cofnąć się trudno.

Na trzecią niedzielę pojechałem ze mszą świętą śpiewaną do Berlina. Już tam podług *pactów conventów* przyjęcia na ulicy nie było, zastałem tylko szkołę i kościół przybrany w zieleń i kwiaty. Przed mszą świętą spowiadałem parę godzin, a przy mszy miałem znowu mnóstwo osób do komunii świętej. Po mszy św. udzieliłem błogosławieństwa papieżkiego. Podczas mszy św. O. Eugeniusz miał wyborną naukę *0 znaczeniu zakonów w Kościele katolickim*, na której okrom świeckich, byli i ministrowie protestantcy. Słyszałem już kazania trzech naszych Misjonarzy, każdy z nich mógłby mówić z korzyścią i zaszczytem w każdym wielkim mieście. Lepiej jednak że zaczęli od wsi i miasteczek, nie wystawiając się na rozstrajającą atmosferę ruchliwo-kupiecką wielkich miast amerykańskich. Dzięki Bogu, młode nasze zgromadzenie opowiada już słowo Boże w sześciu językach: po polsku, po bułgarsku, (O. Tomasz Brzeska potężnym został kaznodzieją bułgarskim) po francuzku, po włosku, po niemiecku i po angielsku.

Niektórzy nasi ultra-patryoci, mają nam za złe, że nie samymi tylko Polakami się zajmujemy, (Polakami za granicą, którzy albo całkiem księdza nie szukają, albo jakiego sławnego Francuza), niepomni: 1-o) Że kościół katolicki zgromadzeń wyłącznie narodowych *de jure* przynajmniej nie uznaje. 2-do Że dopóki cudzoziemcy nie zaczęli wchodzić do zgromadzenia, nie wchodzili Polacy; bo nasi jak w słowach przechwalają nieraz co swojskie, tak w gruncie nie wierzą by coś dobrego wyjść z łona naszego mogło. *A Nazareth potest aliquid boni esse?* 3-o Nie uważają że to po raz pierwszy cudzoziemcy wchodzą do zgromadzenia założonego przez Polaków. Rzeczywiście, dziwna rzecz, dopóki Polska była silną, ani jedno zgromadzenie nie powstało w Polsce, wszystkie nam przychodziły z zagranicy, i dość powszechnie po niejakiem czasie słabły na duchu. Dopiero w chylącej się do upadku Polsce, kapelan króla Jana założył zgromadzenie księży Maryanów.

Za biskupa Brzostowskiego powstały w Wilnie panny Maryawitki, i bracia Szpitalni. Wszystkie te zgromadzenia jednak nie wyszły po za obręb kraju, wyjąwszy jednego domu Maryanów czyli Paulinów w Hiszpanii albo Portugalii, który tam jednak się nie rozszerza, i nie daje znaku życia. W ostatnich czasach boleści narodu powstało kilka zgromadzeń samorodnych polskich: Felicjanki, Siostry Niepokalanego Poczęcia, służebniczki Maryi Panny, rodzaj siostrzyczek ubogich na Litwie (rozpędzonych obecnie jak Felicjanki). Jest to dowodem niewątpliwie gorętszego życia religijnego w Polsce mianowicie w niewiastach, ale zawsze pewna, że nasze zgromadzenie jest pierwszym mężkiem założonem przez Polaków, do którego cudzoziemcy wchodzą ¹⁾. Dalej nie pamiętają nasi ultra-patryoci, że wszyscy księża obcy, którzy weszli i wejdą kiedykolwiek do naszego zgromadzenia, rozsze-

¹⁾ Duch ten apostolski dowodzący gorętszego życia, dotychczas bardzo mało w stosunku do innych narodów był u nas rozwinięty. Ledwo niektóre zakony dały pewną liczbę Misjonarzy. A jak bylibyśmy zostali chrześcianami, gdyby się byli nie znaleźli Włosi, Francuzi, Niemcy, którzy nas od Łady i Kupały do Jezusa i Maryi doprowadzili?

rzać będą znajomość i miłość do narodu polskiego, przez uszanowanie dla pierwszych swoich ojców duchownych.

Nareszcie ile razy się coś poświęci dla Boga, Bóg daje znaleźć nawet to, czego się nie spodziewało. I tak, na prośby świętobliwego biskupa płaczącego prawie, posłaliśmy kilku szlżaków i cudzoziemców, którzyby nigdy czysto po polsku nie mówili i z którychby się nasi oświeceni rodacy naśmiewali tylko, posłaliśmy mowę do Kanady, głównie dla ludności irlandzkiej i niemieckiej; tymczasem biedny ludek polski z Poznańskiego, Prus Zachodnich i Górnego Szlżaka, wygnany głodem z kraju ¹⁾, i pracujący jako najemnicy i rzemieślnicy, jak skoro się dowiedział, że są księża mogący wypowiadać po polsku, zaraz się pościągał do tegoż miasteczka Berlin, o którym piszę i wkrótce stworzyła się parafijka polska, (ile że biedni Czesi do niej się przyłączyli.) Ksiądz Breitkopf miewał dla nich regularnie nauki w języku polskim, a oni mieli pociechę śpiewania kościelnych pieśui polskich. Z drugiej strony, *Krzywda polska* zawędrowała do stanu Michigan, dyecezyi Detroit. Opatrzne zrządzeniem wpadła im w ręce jedna zlicznych książek pobożnych, wydanych przez naszego Ojca Aleksandra Jełowickiego, pisali więc do niego z osady „swojej *Paryż* (koło Forestville) do prawdziwego Paryża, prosząc o księdza. Otrzymawszy pod wiosnę list ten w Rzymie, poleciłem Ojcu Franciszkowi, aby odbywszy ze swoimi spowiedź wielkanocną dojechał tymczasem do tych biedaków, zanim się dla nich kapłana znaleźć uda ²⁾; by o nich i o swojej wyprawie obszerny raport wystosował, który się ze mną w drodze rozminął. Nie wiem czy został ogłoszonym, więc tu tylko w treści powiem, iż ich jest tam przeszło sto rodzin, częścią w mieście Detroit, częścią w lasach około Forestville, (licząc i owe które w Berlinie zarobiwszy nieco grosza

¹⁾ Od 1848 r., radziliśmy obywatelom w Galicyi, na Rusi i Litwie, aby sprowadzali lud nasz pocziwy z dzielnicy pruskiej na parobków, komorników i t. d. Niektórzy to uczynili, inni woleli sprowadzać Niemców, lub ziemię nieuprawną, albo lichu uprawną trzymać. A tacy panowie występowali często jako najgorętsi a przynajmniej najkrzykliwsi patryoci.

²⁾ Tego lata (1868) mogliśmy im posłać dwóch kapłanów, księdza Wieczorka i Wołowskiego.

grunta tam sobie zakupiły) inne są spodziewane. Wielka tam jeszcze dziczyna, nawet konno wszędzie przejechać nie można, siedmnaście grobli usypali na bagnach, Ojciec Franciszek piechotą musiał iść od rana do wieczora, a kiedy przyszło iść do chorego, i jeżeli po nocy, to jeszcze gorzej. Biedny ludek wór mąki zakupiony w Forestwill na barkach cały dzień do domu dźwiga. Przyjęli oni kapłana jako Anioła Bżego; tak za nim wzdychali, że w sennych widzeniach widzieli jego postać, twarz, widzieli go jadącego ku nim, a poznali go takim, jakim go w duchu widzieli. O! w takim położeniu i mędrki nasze prawdziwieby zmądrzały. Spodziewam się, że nie jeden taki wróci z Syberyi dobrym chrześcianinem; nie napróżno posłał Bóg połowę inteligencji naszej ua te dalekie rekolekcyje. Pracował tam od rana do wieczora, a że część ich była daleko na zarobku, obiecał do nich wrócić w jesieni, gdy wszyscy będą w domu. Teraz biedacy o kapłanie tylko mówią, o nim marzą, śni się im o nim, i są przekonani, że między nimi osiadzie. Pełno naszych biedaków rozsianych po stanach Wisconsin, Missouri i t. d. Gdybyśmy mieli pomoc materyalną z kraju i ochotników do takiej świętej pracy (zamiast niepłodnego albo i grzesznego politykowania), tobyśmy mogli z kolei odszukiwać rozproszone owce Izraela, opatrywać ich w pasterzy, zachować im wiarę i język, i może kiedy przywrócić krajowi ten lud pocziwy, pracowity, a już postępowo rolniczy. Oto jak Zgromadzenie nasze zacząwszy pracować dla nierodaków w Ameryce, i stworzywszy sobie przytułek wśród dawniejszych, przemysłniejszych, zamożniejszych osadników, może już dziś służyć części biednych rozproszonych polskich, a mogłoby z kolei służyć wszystkim, gdyby pomoc z kraju otrzymywało ').

Na zakończenie tego przedmiotu, przytaczamy ostatni list pisany przez tych pocziwców:

„Paryż d. 16 Lipca 1865 r.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! W Imię Jezusa Chrystusa, ja Antoni Słowik i cała parafia, dajemy do

’) I tu znów muszę oddać sprawiedliwość, że się dla missyi naszej w Bulgaryi objawiło było żywe i czynne zajęcie w Królestwie, a w Poznańskim trwa dotychczas jeszcze, ale jak to wszystko słabe w porównaniu do tego, co katolicy innych krajów czynią, dla religii i u siebie i w obczyźnie!

wiadomości księdzu proboszczowi, iż my już teraz trzecie pismo odebrali od ks. Franciszka i jesteśmy *srodze* ucieszeni z tych trzech pism. A jednak mamy ufność wielką w Jezusie Chrystusie, iż On nas nie opuści, i mamy też ufność w księdzu Franciszku Brejtkopf, jako dobrym pasterzu, który duszę swoją kładzie za owce swoje, iż Pan Jezus zesłże ducha swego do serca jego, iżby miał opiekę nad owcami opuszczonemi, które zostały bez pasterza. A teraz też dajemy wiadomość księdzu Franciszkowi Breitkopf, iż my już teraz trzecie pismo odebrali od niego, jedno ze świętej Agaty, drugie z Detroitu, a trzecie znowu ze świętej Agaty, a nad każdym pismem my się *srodze* cieszyli, iż Pan Jezus szczęśliwie ks. Franciszka Brejtkopf nazad na swoje miejsce zaprowadził. A jak my tego pierwszego pisma dostali ze świętej Agaty, to my zaraz napowrót tam pisali, a co jeno ks. Brejtkopf od nas odjechał, to my natychmiast pisali księdzu Aleksandrowi Jełowickiemu do Francyi, i do Rzymu, o przybyciu i podróży ks. Franciszka Brejtkopf, który nas opuszczonych odwiedził. A teraz jak my to trzecie pismo odebrali 13 lipca, tedy my się wszyscy *srodze* uradowali z tego i że takiego gościa dostali i książek, i teraz będziemy się spodziewać i wyglądać codziennie skoro do nas nasz pasterz ks. Franciszek Brejtkopf powróci, i prosimy Pana Boga, abyśmy się zaś mogli wzajemnie ucieszyć, i daj to Boże, aby się to stało. A teraz też daję do wiadomości, ja Antoni Słowik, i że się tam *srodze* mają do roboty, która się tyczy kościoła świętego, przychodzą i robią kto co może, i *Ichyrują* ten land, co do kościoła i księdza należy. Co do kościoła to już zklyrowany, ale z kościołem nie chcemy nic zacząć, ażby się sam ksiądz do nas powrócił. Teraz też, ja Antoni Słowik, Franciszek Polk i Jan Szesala, pozdrawiamy raz jeszcze księdza proboszcza serdeczną miłością, i żeby go Pan Jezus utrzymywał w dobrym zdrowiu i szczęściu, aż zaś do zobaczenia. U nas żadnej odmianki nie masz, jednośmy sam wszyscy w dobrym zdrowiu aż do dnia dzisiejszego, teraz też nam Pan Jezus użyczył dosyć deszczu, i *urody* sam są piękne na polach. I teraz już nie mamy co więcej do pisania, jeno teraz polecamy w najświętszą opiekę księdza Franciszka Breitkopf, aby go nam Pan Bóg przy dobrym zdrowiu utrzymywał, aż do zobaczenia. Amen-

(podpisano) *Antoni Słoicik.*

Po ukończeniu drugich ćwiczeń duchownych z moimi braćmi 3 sierpnia wyjechałem do Hamilton dla zabrania ks. Biskupa. Zajęty drukiem swego listu pasterskiego, ogłaszającego jubileusz w dyecezyi na wrzesień, nie mógł się jeszcze ruszyć, obiecał jedno, że podąży jak najrychlej. Siadłem zatem 4go sam jedeu na statek wśród mnóstwa protestantów tutejszych kandyjskich i Amerykanów wyraźnie wędrujących tym szlakiem, o tej porze roku, jak ptaki podrózne w porach swoich ¹⁾. Żem jezioro Ontario znał już aż do Kingston nie miałem się czemu przypatrywać; przypatrywałem się towarzystwu mianowicie amerykańskiemu, wyraźnie należącemu do klas zamożniejszych. Jeżeli nam Anglicy nie przypadają do smaku: to tem bardziej Amerykanie. Anglik zimny, ale dobrze wychowany (*gentlemen*) i wie z kim ma do czynienia, jest prawdziwie i stale uprzejmy. Amerykanin to żyd angielski, jak trafnie Chińczycy się wyrażają. Gorączka zysku jedynym bodźcem Amerykanina. Nie wyśpi się spokojnie, połyka pośpiesznie co złapie na stole, a spółcześnie gazetę przebiega oczyma, myśli tylko jak zarobić, jak zarwać kogo. Zła wiara ich w handlu tak jest znaną w Europie, że dobre domy nie wysyłają towaru, aż nie otrzymają wekslu na jaki pewny bank europejski. Czytałem świeżo, że Amerykanin jakiś będąc w Kanadzie, już był telegrafował do żony swojej, aby mu przysłała dużo towarów bawełnianych, w tem wielki dom zajezdny, czy też budowa, w której się znajdował zapada się, i naturalnie że wszystkie szyby idą w kawały. Amerykanin choć potłuczony i poraniony, wydobywa się z pod zwalisk, pełźnie aż do bióra telegraficznego i posyła drugi telegram do żony: „nie wysyłaj już bawełnicy, jedno szkła co tylko możesz.” A potem pada bez przytomności. Czy to *vero* czy tylko *ben trovato*, doskonale maluje ducha amerykańskiego. Amerykanie będący na statku ogólnie odbywali przejażdżkę wakacyjną, wiele było młodych małżeństw, niewiasty przyzwoicie ubrane, jedno ciekawe niemiłosiernie i ciśną się wszędzie, gdzie tylko była nadzieja zobaczenia czego-

¹⁾ Zapomniałem powiedzieć, że w Kanadzie ptaków jak na lekarstwo, i to dopiero odkąd lasy wykarczowane. Słowików także naszych i skowronków nie słysząc.

kolwiekby. Mężczyźni bez żony żadnój rozwalają się w obec kobiet z nogami zadartymi do góry, a jeżeli się im zrobi jaką grzeczność po europejsku, np. u stołu, zdziwieni wyraźnie bywają, bo całkiem do tego nie nawykli. Ogólnie nawykli do życia na ulicy, w wagonach, na parostatkach; tak są wszędzie, jak gdyby byli u siebie w domu. Ogólnie mówiąc, demokracja kupiecka nie daje dobrego ułożenia, i nie jest bynajmniej pociągającą. Przejdźmy do czegoś bardziej zajmującego.

Wraz za Kingston zaczyna się archipelag tysiąca wysp na rzece św. Wawrzyńca, a (ma być ich nawet 1300) różnej wielkości, od dziewięciu mil obwodu, aż do kęp prostych, na którychby ledwo rybacka chałupka się zmieściła. W skutek tych wysp rzeka się rozgałęzia na tysiączne kanały i kanałiki, wysokość i głębokość wód niezmiernie różna, ztąd równoważąc się, jest w ciągłym wrzeniu. Niekiedy widać małe tylko wiry niebezpieczne dla pływaka i małych łódek, ale są prawdziwe katarakty na które wyraźnie trzeba pod górę wypływać tak, iż jeżeli statek parowy wielkości fregaty zmyli kierunek, pochwycony wirem rzucany bywa na miehznę, jak świeżo się zdarzyło; dla statków zaś pod wodę płynących zrobiony jest kanał boczny, wzdłuż tych *rapids*, których jest kilkanaście; przez dwa trzy najsilniejszych, nawet z wodą, nie oddawna całkiem przepływają parowce, dzięki wskazówkom Indyan, którzy w czółnach swoich przeskakują przez te katarakty, ztąd nazwy staro-francuzkie: *saut Ste Marie*, *saut St. Louis*, *le Long saut* i t. d.

Mało można spotkać na świecie rzeczy nowych i prawdziwie zajmujących; nie przeczę, że dzień zeszedł mi pospiesznie na przypatrywaniu się tym czarującym dziwom przyrody.

Wieczorem stanąłem w Montreal, w moim dawnym pokoju w biskupstwie, a nazajutrz rano (6go sierpnia) miałem kazanie podczas mszy śpiewanej o *Przemienieniu Pańskim*. Wieczorem polecono mi otworzyć nowennę do Wniebowzięcia Matki Najświętszej, mową do bractwa Maryi Panny.

Nazajutrz zrana byłem ze mszą świętą w klasztorze *du bon Pasteur*, któregom nie był odwiedził za pierwszego mojego pobytu w Montreal. Jak wiadomo, zacne te zakonnice zajmują się podniesieniem moralnie zbłąkanych dziewcząt,

a dla utrzymania się mają też pensjonat całkiem oddzielony od pokutnic. Uczennice były na wakacjach, podczas mszy śpiewały pokutnice, i bardzo przyzwoicie. Do nich też miałem pierwszą przemowę zachęcającą do wytrwania, a dla pokazania niezgłębionego miłosierdzia, przytoczyłem własny przykład. Ponieważ te biedne dziewczęta w młodości były ogólnie pobożnie wychowane, już upamiętane, trwają w dobru, i najchętniej zostają w tym zakładzie, zarabiając pracą na własne utrzymanie. Z najlepiej wypróbowanych a objawiających powołanie, wyrodziła się nowa kategoria zakonnice zwanych *des Madeleines*, ubranych nie w bieli jak zakonnice pierwszej kategorii, ale brunatno. Przełożone ich są wszakże brane z pierwszej kategorii, choć noszą ich habit brunatny; obecnie na czele ich stoją dwie młode piękne Amerykanki z najlepszych rodzin miasta Filadelfii, które się dobrowolnie ofiarowały do noszenia tej liberyi pokutnej. Cudne naśladownictwo miłego naszego Zbawiciela! Ale dziwniejsza jeszcze siła łaski Chrystusowej, która pokutnikom wraca dziewictwo ducha, skromność, wstydlivość, zaprawione głęboką pokorą.. Są między nimi twarze, mogące służyć za doskonały model do malowania świętych. Do tych zakonnice miałem osobną przemowę, opowiadając i komentując żywot ich opiekunki św. Magdaleny. Następnie matka przełożona całego zakładu, pokazała mi cały klasztor zbudowany, (jak wiele innych w tem mieście) nakładem pewnego obywatela imieniem, jeżeli się nie mylę, Barthelet.

Udałem się potem do semiuaryum księży Sulpicianów, dla rozmówienia się o porządek ćwiczeń duchownych, a że miałem jeszcze trzy dni wolnych, pojechałem odwiedzić księdza Laroque, biskupa miasta i dyecezyi *de St-Hyacinthe* znanego mi także z Rzymu, a odległego tylko o parę godzin drogą żelazną. Nowa to także dyecezya, ksiądz biskup nie zdobył się jeszcze na katedrę. Po chwili odpoczynku, zaprowadził mnie ksiądz biskup do blisko leżącego klasztoru *de la Presentation*; zgromadzenie to założone zostało w południowej Francyi, podczas terroryzmu, po zniesieniu wszystkich klasztorów, przez prostą mieszczańkę Mile Riviers, zmarłą niezbyt dawno, i uznaną już za wielebną. Obecnie ilczba tych sióstr dochodzi do dwóch tysięcy. Spółcześnie prawie zaczęło się było w północnej Francyi zgromadzenie

Sercanek, liczące obecnie mniej więcej trzy tysiące zakonnic w stu domach: założycielka W. M. Bara przed paru miesiącami dopiero zesła z tego świata. Zakonnice prezentki jak w dym zaraz z prośbą o naukę, ile że siostry z missyj parafialnych zebrane były w domu głównym na roczne rekolekcje. Odpowiedziałem, że po mszy świętej miewam zwykle trochę więcej dowcipu; obiecałem się więc nazajutrz ze mszą, a po mszy powiedziałem naukę, jak mają wychować panienki, aby mogły się oprzeć rosnącemu duchowi próżności, i *comfortu*. Po śniadaniu ksiądz biskup zaprowadził mnie do sióstr szpitalnych (kolonij montrealskich matki d'Youville), gdzie znowu musiałem mówić jak mają służyć opuszczonym członkom Chrystusa Pana (biednym, sierotom, chorym), dorabiając się chwały niebieskiej. Nareszcie ksiądz biskup wiedząc, że nazajutrz mam odjechać do Montreal, zaprowadził mnie jeszcze do świeżo założonego przez siebie klasztoru kontemplacyjnego, zakonnic poświęconych czci krwi Pana Jezusa, i Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Panny; to też noszą białe habity, a ponsowe szkaplerze. Opowiedział mnie w zaufaniu dziwne rzeczy o przełożonej, która go zmusiła do tej fundacji, ale trudno o tem się rozpisywać. Że już południe nadchodziło, obiecałem się ze mszą świętą nazajutrz zrana, i z niezbędną nauką, zamawiając sobie komunię sióstr na intencją moich rekolekcij kapłańskich.

Po obiedzie oglądałem spokojnie gmach seminaryjski, kiedy ksiądz biskup zajechał po mnie, oświadczając że Ojciec Jezuita, mający przybyć z Montreal dla dania ćwiczeń duchownych siostrom Prezentkom nie przybył, i prosząc aby je rozpocząć. Pomyślałem sobie, „zabawnie odpoczywam przed pracą,” ale przyjął propozycją. powiedziałem naukę wstępną, a wieczorem rozwinąłem przedmiot do rozmyślania ranego. W nocy niespokojnie spałem; zrana byłem bardzo mdły i tępy; ale po mszy u pocziwych zakonnic przyszedłem do siebie. Biedna przełożona do stołu pańskiego przystąpić nie mogła dla całonocnych wymiotów krwawych, wszakże chodziła, uśmiechała się, jak gdyby nic nie czuła; znakiem wydatnym tej duszy jest niezmierne pragnienie cierpienia. Tym siostrom powiedziałem naukę o korzyściach, ale też o trudnościach i niebezpieczeństwach życia kontemplacyjnego, i jak w pośród nich sobie mają radzić. Dałem potem punkta

do rozmyślania zakonnicom zamkniętym na rekolekcyach. Tymczasem nadeszła odpowiedź telegraficzna, że Ojciec kaznodzieja przybywa; pożegnałem więc księdza biskupa i zabierałem się do wyjazdu. Aż tu szanowny pasterz niespodzianie się wysuwa z propozycją, czybym nie mógł dać rekolekcji jego duchowieństwu, zaczynając je 30 sierpnia? Odpowiedziałem, że jeżeli poczuję się na siłach jeszcze w ciągu ostatnich dni w Montreal, doniosę mu że przybędę. Takeśmy się rozstali. W Montreal zamówiłem sobie modlitwy po wszystkich klasztorach, a byłem ze mszą dnia 10 u sióstr Szarych, albo Szpitalnych, powiedziałem im drugą naukę, aż się pocziwe siostry popłakały; obiecałem wrócić, obiecałem obrazki wszystkim w darze, byle się tylko potężnie modliły.

Listy wasze do mnie musiały pójść do św. Agaty: trudno by dziś wieczorem wróciły tu i były mi oddane, a jutro przed 7-rną zrana musi ten mój być na poczie, aby popłynął do was pierwszym statkiem pocztowym. Zamykam zatem mój list i tak dosyć długi i pełny; następny otrzymacie, najwcześniej za miesiąc, po zakończonej wielkiej wyprawie rekolekcyjno-kaznodziejkiej.

LIST III.

drugi pobyt w montreal.

Sierpień i wrzesień 1865 roku.

Ostatni list mój zamknąłem przed samem zaczęciem nauk rekolekcyjnych dla kks. proboszczów. Przeszedłem na wstępie czyścić nie lada. Byłem już osłabiony i upał potężnie dogrzewał; przyłączyło się do tego rozdrażnienie nerwów i bezsenność. Dwunasta dobiegała, a jeszcze zasnąć nie mogłem, a o czwartej już trzeba było wstać. Trapiła mnie myśl zawodu względem władzy dyecezalnej i zacnych proboszczów, i pewna niesława jaka ztąd mogła spaść na Zgromadzenie. Jedno co mnie pocieszało to, że mógł szczerze mówić do Boga: „Panie! Ty wiesz, iżbym ja naturalnie wolał próżnować niż pracować, i że tylko z gorliwości o dobro dusz

podjąłem się tego trudu.” W końcu dzięki Bogu usnąłem, i przebudziłem się mdły wprawdzie, ale bez gorączki.

Stropiłem się nieco widząc tyle siwych głów przećl sobą, ale wiedząc z doświadczenia, że wobec ludzi porządných najlepszą zręcznością jest szczerłość, przedstawiłem, jakim zbiegłem okoliczności ja kapłan nie znający dyecezyi mam do nich mówić o ich obowiązkach pasterskich. Dodałem, że to samo położenie moje czyni mnie bezstronnym i niepodejrzanym, a korzyść główna jaką im mogę przynieść, to doświadczenie moje nabyte przez dwudziestoletni pobyt w Rzymie, dziesięcioletni w Paryżu, kilkakrotne podróże odbyte po Niemczech, Anglii, nie mówiąc już o mojej rodzinnej Polsce. A że mówiłem ze szczerem uszanowaniem jakim byłem przejęty wewnątrz dla tak wielbnych słuchaczy, poczułem, że ujął podejrzliwych zresztą względem cudzoziemców Kanadyjczyków, choć szczęściem sympatyzujących ze sprawą polską. Kaznodziejstwo szło coraz raźniej i goręcej, coraz więcej widywałem pochylonych głów; zaczęli tłumnie przychodzić do mnie do spowiedzi; wielu wstrzymało to tylko (jak mi mówiono), że widzieli zbyt drzwi moje obłożone, i zanedo długo czekać było trzeba. Wszakże i tak na stu, ze czterdziestu \i mnie się spowiadało, i z dziwnie budującym przejęciem się i starannością. Rekolekcyje odbywały się u kks. Sulpicianów, w wielkim semiuaryum za miastem. Zaczęły się 10-go sierpnia, kommunia jeneralna odbyła się 15-go w dzień Wniebowzięcia Matki Boskiej. Piękny to był widok, stu dojrzałych kapłanów przystępujących do Stołu Pańskiego. Dla mnie był ten widok podwójnie poruszający. Trzydzieści lat okrągłych przedtem, w dzień ten, w kościele św. Sulpicyusza w Paryżu przyjąłem komunię świętą, po której dał mi Bóg niczem niezasłużoną łaskę powołania do szczytnego stanu kapłańskiego. W siedm czy ośm lat potem, gdy byłem kaznodzieją polskim w Paryżu, czy dla otrzymania jakiej łaski, czy dla podziękowania za otrzymaną, obiecałem Najświętszej Pannie postarać się, aby w które z Jej świąt dwieście osób przystąpiło do Stołu Pańskiego. Ale, że rychło potem przenieść się musiałem do Rzymu, nigdy obietnicy mojej dopełnić nie mogłem. Teraz, gdy widział pośród swego kaznodziejstwa stu kapłanów przystępujących do Komunii, powiedziałem: „Matko Święta, teraz kwita z nami. bo Ci daję dziś więcej,

niż dwieście wiernych świeckich." Pod koniec rekolekcji, prosili kks. proboszczowie kks. Sulpicianów, abym podczas rekreacji wieczornej mówił do nich o stanie Kościoła w Polsce, mówiłem zatem przez dwa ostatnie wieczory, słuchany z wielkim zajęciem. Po czym ks. proboszcz Gagnau, dziekan wiekiem, staruszek bielutki jak gołąb, odczytał adres następujący:

„Wielebny kaznodziejo! W imieniu wszystkich moich współbraci tu obecnych, otrzymałem polecenie wyrażenia ci, ileśmy byli zobowiązani, żeś chciał odpowiedzieć naszym życzeniom, i mówić do nas o klęskach narodu, do którego należysz. Wiedzieliśmy już o nich nieco, ale nie wiedzieliśmy wszystkiego. Teraz, gdyby ktokolwiek wpośród nas chciał jeszcze wątpić o prawdziwości opowiadania które tylko co posłyszał, powiedzielibyśmy do niego: patrz na oblicze wielebnego i uczonego kaznodziei, a postrzeżesz na niem bliźnę, dowód męczarni jego narodu. Racz wielebny kaznodziejo przyjąć ten mały dar, który ci jest ofiarowany przez wszystkich moich współbraci, na dowód współczucia i dla cierpień twoich osobistych, i dla cierpień twojego narodu."

To mówiąc, doręczył mi pugilares ze stoma dolarami w papierach kanadyjskich. A przed rozjechaniem się do domu, tenże ks. dziekan, dziękował ks. administratorowi dyecezyi, potem kks. Sulpicianom jako gospodarzom domu, a w końcu obracając się do mnie dodał: „Racz także ks. kaznodziejo przyjąć nasze dzięki za szczytne i uczone nauki, jakichś nam udzielał, w ciągu tych drogocennych dni. Nie wahamy się powiedzieć, że twoje ukazanie się na brzegach kanadyjskich było opatrzne dla nas, albowiem w miarę jak słowa spadały z ust twoich do serc naszych, czuliśmy, że one kielkują w nas; co jest wskazówką pewną, że Bóg w miłosierdziu swoim da im wzrost. Niech sprawi niebo, aby gdziekolwiek zwrócisz kroki swoje, mogli ludzie powiedzieć jak tutaj: *trans-eundo omnia bene fecit*, przechodząc wszystko dobrze uczynił ¹⁾." W krótkich słowach podziękowałem za tyle uprzejmości i dobroci, aby zaś uczcić wszystkich moich wielebnych słuchaczy w osobie sędziwego mówcy, ucałowałem mu dłoń,

¹⁾ Nie przytaczamy dla krótkości tekstu francuzkiego, który zostanie złożonym w archiwum naszego Zgromadzenia.

co sędzę tem więcej mi zjednało wszystkich. Otrzymałem liczne zaprosiny od kks. proboszczów odjeżdżających aby ich odwiedzić na wsi, ale jak zobaczymy, ledwo kilku wezwaniom mogłem odpowiedzieć.

Miałem więc cztery dni wypoczynku przed zaczęciem drugich rekolekcji dla kks. wikarych 21-go wieczorem, alem już był z góry zaproszony z kazaniem w tymczasowej katedrze biskupiej na dzień 20-ty sierpnia, w którym obchodzono święto Wniebowzięcia Matki Boskiej. Nadto jeden z księży Sulpicianów prosił, aby przemówić w wielkim kościele parafialnym do 800 panien należących do jednego z kilku katechizmów *de perseverance*, egzystujących w tem mieście. Naza jutrz zrana mówiłem po mszy świętej do dwóchset zakonnic zgromadzenia Matki Boskiej zajmujących się wychowaniem, a zebranych podczas wakacyi, z rozmaitych miejsc do domu głównego. W tej nauce wytknąłem niektóre powody dla których wychowanie po klasztorach nie przynosi zawsze tyle korzyści, ileby się spodziewać można i należało.

Tymczasem zaczynając rekolekcye dla kks. wikarych postrzegłem się, że bynajmniej nie wypocząłem, i jakkolwiek mówiłem do czterdziestu tylko słuchaczy, i w mniejszej kaplicy w biskupstwie, znowu mi szło z początku oporem.

Obiecałem był ks. biskupowi ze St. Hyacinthe donieść w połowie tych drugich rekolekcji, czy się będę czuł na siłach kazać do jego księży? Zapytanie przyszło już drugiego dnia, kiedym się czuł bardzo mdłym; po namyśle odpowiedziałem z żalem, że lękam się kusić Boga, lękam się zawieść księdza biskupa i szanowne jego duchowieństwo, i że o ile znam siebie, niezdolnym dalszego sztucznego wytężenia sił, bez uprzedniego wypoczynku, a tylko dzień mi jeden pozostawał potrzebny do odbycia podróży. Jak skoro dałem odpowiedź odmowną, zaraz poczułem się rześwieższym, jak gdyby wielki ciężar spadł mi z barek; widać więc, że jak można czuć boleść z góry w skutek jej przewidzenia, tak i trud, który nas czeka. W każdym razie opatrznie się tak stało, bo gdybym się czuł rześwym, nie śmiałbym być odmówić, i mógłbym się przesilić, bo i tak czułem już czasem chorobliwe bicie serca; i pod koniec znowu, jak mówią Francuzi, jednym już tylko skrzydłem leciałem. Kks. wikarysze prosili także, aby im mówić o Polsce, a w końcu po mowie dziękczynnej

ofiarowali koszyk pięknie haftowany przez indyanki osiadłe i czterdzieści dolarów w nim. Biedacy zrobili wysilenie, ho nie są bogaci. Prosili też bym się dał na ich koszt fotografować. Ponieważ moja facyata i tak już tyle razy była reprodukowana, i że to jest dla mnie szczerem umartwieniem, nie odmówiłem. Musiał fotograf wyjść nieźle na swoim, bo mi przyniósł przed wyjazdem w darze pięć dolarów na missye amerykański-e Zgromadzenia.

Z powodu tych missyj, przypominam, że ksiądz biskup z Detroit żąda od nas misyjnarzy dla Polaków osiadłych w jego dycezyi. Podczas rekolekcyj dla proboszczów ksiądz biskup z Alton (w Illinois południowym) o to samo mnie prosił, mówiąc, że miał parę księży świeckich Polaków i Czechów, ale że się im w końcu znudziło, i poszli sobie dalej w świat. Niestety! Słowianie jego musieli już popsuć się po miastach. Nie tań, że Czesi całkiem o religią nie dbają, a Polacy nie tędy, i nic na utrzymanie księdza, szkoły i kościoła dawać nie chcą, więc jeżeli księża polscy nie będą umieli po niemiecku lub po angielsku, utrzymać się nie potrafią. Gdybym nie dostał misyjnarzy waszych, mówił, będę im radził i nasuwał, aby się przyłączyli do Anglików lub Niemców, bo inaczej dzieci ich całkiem dziko wyrosną i na nic pójdą. Odpowiedziałem, że na razie nie mam misyjnarzy do dania, i że przy obecnem zniszczeniu Polski nie mogę nawet spodziewać się pomocy do ich wychowania. Wszakże ściśnięte miałem serce, ile że wiem, iż po innych stanach, w Ohio, Missuri i t. d. są rozproszeni Polacy w podobnym stanie opuszczenia się i opuszczenia. Myślałem, modliłem się i postanowiłem powiedzieć parę *sermons de charite*, w nadziei zebrania dosyć aby jeden z naszych księży miał o czem objechać te Stany po których mieszkają Polacy, i wypowiadał ich, i dzieci do pierwszej komunii przygotował. Radziłem się mego przyjaciela ks. Desmazuers Sulpicyanina, czy takie kazania są w zwyczaju w tym kraju, i by się zapewnił, czy przełożony ich i proboszczowie chętnie na to przystaną. Odpowiedział, że nieszczęściem dla mnie aż nadto są częste, że obecnie bogaci mieszkańcy są na wsi, że do tego trzy lata już było nieurodzaju i o grosz trudno. Że wszakże tyle jest sympatyj dla Polski, iż spróbować warto szczególnie, gdybym chciał nadto kwestować po domach. Co do tego ostatniego,

jakkolwiek mi przekładał, że w całej Ameryce północnej i w górnej Kanadzie księża z jałmużny tylko żyją, że w Montreal samem nowo założone zgromadzenia po domach kwestują, że lud pobożny zakonnikom dawać lubi, i nieraz sam ich szuka: pomimo tych wszystkich zachęt, zgodzić się na kwestę po domach nie mogłem, bo to jest zawsze wywieraniem pewnego przymusu moralnego i wymuszaniem nieraz niechętnego datku. A choć czytałem zdania Świętych, że dobrze jest dla niejednej duszy, aby dała choćby na razie niechętnie, wszakże może w skutek nieuniorzonej jeszcze do reszty miłości własnej, operacyi tej wobec obcych podjąć się nie śmiałem. Zresztą miejscowi księża nie taili, że taka kwesta po domach wymagałaby wiele miesięcy czasu, których ja do rozporządzenia nie miałem. Przyjąłem zatem z wdzięcznością tylko ofiarowane mi dwa kazania z kwestą w kościele, na dzień 3-go września w wielkim kościele parafialnym, a na 17-go w największym po nim kościele św. Jakóba; w niedzielę bowiem pośrednią, 10-go września, obchodzono święto patronalne miasta imienia Maryi. Ksiądz administrator nietylko także najchętniej się przychylił do mego żądania, ale sam od siebie zapowiedział kwestę na 2-go września w małej tymczasowej katedrze biskupiej, w której już byłem cztery razy kazał.

Trzech dni wolnych, które mi pozostawały po rekolekcyach księży wikaryuszów, użyłem na powiedzenie jednego ranka nauki do sióstr w *Hôpital General* „o miłości Pana Jezusa w cierpiących członkach Jego” drugiego, do sióstr św. Józefa w *Hotel General* o naśladowaniu ich św. Opiekuna, a trzeciego do sióstr *de la Providence*, nie pamiętam już o czym. Siostry te założone przez ks. biskupa z Montreal na wzór Sióstr miłosierdzia, obsługują dom wysłużonych kapłanów, zakłady dla chorych, starców, sierot, głuchoniemych, nareszcie ochronkę: a wszystko to utrzymuje się z jałmużny, choć nie wątpię, że głównym dobrodziejem musi być sam ks. biskup. Ułożyłem był sobie w godzinach poobiednich dwóch dni ostatnich brulion mojego kazania, albo nauki *o zasługach i cierpieniach Narodu Polskiego*. Wszakże czytając głośno przekonałem się, iżby trwało półtóry godziny, rzecz niepraktyczna, ile że trzeba było mówić pośrodku mszy, w porze gorącej roku, w kościele ogromnym, źle akustycznie

zbudowanym, a pełnym ludu; musiałem obliczyć naukę moją na trzy kwadranse czasu. W kościele było przynajmniej 5000 osób, i uważałem, że się nikt nie nudził, bo wszyscy nieruchomi słuchali. Kwestowali panowie z bractwa św. Wincenciego a Paulo. Kwesta jakkolwiek jak mi zewsząd zaręczano nadzwyczaj obfita, przyniosła tylko sto czterdzieści dolarów, a w kościołku biskupim dwadzieścia cztery: więc niedostateczna na cel przezemnie zamierzony, ale wszystko dobre co Bóg daje przez dobrych ludzi. Większa korzyść, że odtąd w Montreal więcej się za Polskę modlić będą. Dziennik *TUnion Nationale* dał analizę stenograficzną mojej mowy, ale niedokładną, bo sam stenograf przyznaje, że nie w korzystnym miejscu siedział i nie wszystko słyszał. Dałem zatem mój rękopism do dziennika katolickiego *la Minerve*; a jakkolwiek mój rodowici Francuzi księży zaręczali najuroczyściej, że tak mówię po frauczku, iż ledwo można poznać, że cudzoziemiec, i sam czułem szczególną pomoc Bożą i w tej mierze przez cały mój pobyt w Montreal, przecież prosiłem jednego z nich, aby raczył przejrzeć i poprawić mój styl przed oddaniem do druku. Natomiast, dał on inne wyrażenie moim myślom i niektóre daty i fakta powykrzywił. Więc z temiż błędami wyszła mowa moja w dziennikach cpiebeckich, a w Montreal osobno, w formie broszury, i teraz muszę piórem grubsze przynajmniej błędy poprawiać.

Zostawało mi tedy kilkanaście dni wolnego czasu, aż do następnego kazania zapowiedzianego na dzień 17 września; postanowiłem go użyć na wytchnienie i poznanie nieco kraju. Z przyjacielem moim księdzem Desmazes ruszyliśmy w drogę 4-go zrana, i częścią koleją żelazną, częścią statkiem parowym po rzece Ottawa (u Indyan Ottawuais) dostaliśmy się wieczorem do miasta tegoż imienia (zwanego dotychczas Bytown) a przeznaczonego na stolicę przyszłej konfederacji Akadyjskiej, a przynajmniej połączonych obu Kanad. Dotychczas miasteczko to liczy 10,000 ludności, w połowie (nawet większej) jak sama dyecezya francuzkiej, w połowie angielsko-kanadyjskiej. Odbychał się jubileusz w mieście, i chwilę mogliśmy tylko widzieć księdza biskupa Guigues (pierwszego w tej nowej dyecezyi) pochodzącego ze zgromadzenia marsylskich Oblatów Maryi Panny, tak zasłużonych w missyach wśród koczujących Indyan około zatoki Hudson.

Chwilkę mówię, mogliśmy tylko widzieć księdza biskupa tego wieczora, i nazajutrz tylko przy stole, bo zarówno z inszymi misjonarzami swego zgromadzenia pracował nieustannie w konfesyjonale. Ksiądz biskup zdobył się na piękną katedrę, która nieźle wyglądała naprzeciwko wspaniałego gmachu, budującego się dla parlamentu przyszłej konfederacji. Nazajutrz rano oglądaliśmy spadek Ottawy, zwany *la Chaudiere*. Woda spada po szerokim pokładzie skał podwodnych, ale jej nie dosyć, i dlatego widok nie jest tak wspaniały jakby mógł być, wprawdzie w tej porze roku wody najmniej w rzece. W każdym razie wspanialszy to widok od spadku wąskiego jeszcze Renu pod Szafuzą. Wielki tu handel drzewem, tratwy przybywają nieustannie od północy i płyną aż do Quebecu. Tysiące młodych silnych Kanadyjczyków zwanych *Voyageurs* idzie pracować w lasach; towarzyszy im zwykle misjonarz ze zgromadzenia Oblatów. Udaliśmy się potem oglądać gmach parlamentu zbudowany na wzgórzu w formie wielkiego klasztoru z trzema wieżami, w stylu *Benaissance*; dwie ogromne oficyny w podobnym stylu i z wieżami, a przeznaczone na bióra rozciągają się jak dwa ogromne skrzydła. Że ranek był parny i mglisty, trzy te gmachy ze swoimi wieżami wydawały się uroczym i olbrzymim. Wnętrze jeszcze nie wykończono ale *confortable* i okazałe, sufity tylko płaskie z pięknego drzewa, ciężko i nisko wiszą. Gmach ten kosztować będzie przynajmniej pięćdziesiąt milionów franków, na prowincję i za drogi i za wielki; a nuż Stany Zjednoczone pochłoną Kanadę, tedy będzie całkiem nieużyteczny. Na wzgórzu pobocznym ma stanąć jeszcze pałac dla gubernatora. Miasto to, od strony wody może być dobrze umocnione; dla tego zapewne zostało przez rząd wybrane raczej niż Montreal, otwarty, za bliski Stanów Zjednoczonych, i nazbyt jeszcze francuzki, choć zresztą daleko więcej centralny od Ottawy. Po obiedzie odwiedziliśmy zakład Sióstr szarych (kolonia *Hôpital general* w Montreal) i widzieliśmy dwudziesto-pięcioletniego księdza umierającego spokojnie. Potem byłem w kolegium, seminaryum, którego przełożony ksiądz M. D. Dawson, Szkot rodem, a patryota, ofiarował mi swój poemacik *Lines of the massacre of Osmiana*, wydany w Glasgowie r. 1844; i drugi p. t. *On the latest news from Bussia* (Ottawa, august, 1865), w którym wskazuje karę nieba nad

Moskwą za pastwienie się nad Polską, w pożarach, zarazie na ludzi i bydło i t. d. Tyle pociechy przynajmniej że wszędzie poczciwi ludzie tę biedną naszą Polskę kochają.

Wycieczka ta moja rekreacyjna, nie będzie jednak da Bóg bez korzyści dla dusz pięćdziesięciu rodzin polskich, osiadłych około miasteczka *Renfrov*, siedmdziesiąt mil angielskich powyżej Ottawy. Dzieci już pouczyły się po angielsku, niektórzy ze starszych mówią nieco po niemiecku (zdaje się że pochodzą z Prus zachodnich) ale niektórzy tylko po polsku mówią. Poczciwy sześćdziesięcio - pięcio letni ksiądz irlandzki, mieszkający przy księdzu biskupie, który się nie mógł żadną miarą po francuzku nauczyć, uczy się dzień i noc po polsku, aby mógł tych pocziwców spowiadać. Chwalił się przedemną, że już umie trzydzieści ośm pytań po polsku zadać! Nie chciałem brać go na egzamin jak też on swoją polszczyznę wymawia; to prawda że pocziwy ludek niewybredny i musi go jakokolwiek rozumieć (i jam tu już jednego Irlandczyka wypowiadał). Bardzo mi księża ten nasz ludek chwalili, i opowiadali, że w Ottawie mieli przewodnika protestanta. Widząc że on przechodząc przed kościołem czapki nie zdjął, zrzucili mu ją z głowy, jeszcze kark siłą nachylili. A gdy im dano zrozumieć że przewodnik nie katolik, odpowiedział jeden po niemiecku: „już tam na to nie ma ratunku, u nas tak się dzieje że przed kościołem, ktoby on tam nie był, musi się pokłonić.” Nie wiem czy ci pocziwce wyszli zdrowo z katastrofy, gdy pociąg wpadł przez most podniesiony w rzekę Richelieu, czyli Chambly (pokazywano mi to miejsce, gdym jeździł do St-Hyacinthe). Księża Sulpicyanie bardzo mi chwalili pobożność pokaleczonych Polaków, którzy leżeli po szpitalach w Montreal; a niektórzy z nich otrzymawszy wynagrodzenie od towarzystwa kompanii żelaznej wrócili do kraju '). Poczciwemu księdzu Irlandzkiemu zapi-

Jeden Galicyanin, który stracił rękę i nogę otrzymał tysiąc dolarów i wrócił do kraju z małym dzieckiem odszukanem przez księdza Villeneuve u doktora Kanadyjskiego, który już je był sobie pocziwie przysposobił. Opowiadał mi ten kapłan, iż gdy mu przyprowadził to dzieciątko które już był jako umarłe opłakał, tak przeraźliwie ryknął, że dziecko przestraszone zaczęło płakać i uciekać.

sałem z Europy Nowy Testament po polsku, o który bardzo prosił.

Ucieszony że ta wycieczka moja nie była bez korzyści, wracałem ku Montreal. Wszędzie po drodze czuć było swąd palących się lasów, paliły się one z powodu bardzo suchego i gorącego lata przez kilka dni, i wielkie szkody przyniosły. W starej Kanadzie tak już są wytrzebione, że drzewo zaczyna być drogiem i z daleka musi być sprowadzanem. Zatrzymaliśmy się po drodze w *Lac des deux Montagnes*, własności księży Sulpicianów. Od dwustu lat obsługują oni tam założoną przez siebie osadę dla Indyan, po połowie Irokezów, po połowie Algonkinów. Jeden z księży doskonale posiada oba języki i pieśni pobożne dla nich układa. Słyszałem ich śpiew w kościele, i muszę powiedzieć, że melodye francuskie zwykle skoczne, *contredanse* przypominające, w ustach Indyan poważniejszy i pobożniejszy ton przybierają. Odwiedzałem ich potem po domach. Przed dwoma dniami dwudziestu kilku mężczyzn wybrało się na polowanie i rybołówstwo, widzieliśmy ich nawet ze statku pod namiotami zupełnie takimi jakie żniwiarze neapolitańscy rozciągają. Trudno tym synom leśnym usiedzieć na miejscu i rolę uprawiać, choć już dawdy strój swój zarzucili. Pokazywał mi ksiądz Desmazes naczelnika wsi, którego przed laty jeszcze widział w stroju dawnym, a który już dzisiaj chodzi w surducie, ogolony i z zapuszczonymi włosami na całej głowie. Kobiety robią różne drobiazgi z perełek, a ponieważ mężowie nic im zwykle wracając do domu nie przynoszą, jadą do Stanów Zjednoczonych sprzedawać swoje robótki i wpadają w ręce spekulantów amerykańskich, którzy ich osobami handlują.

Wpadłem do Montreal na chwilę tylko dla wysłania listów do Europy, i wyjechałem na wieś do osiadłego tu rodaka p. Kierzkowskiego ¹⁾. Ojca to jego, żołnierza z czasów Kościuszkowskich, oficera z legionów, St-Domingo, księstwa Warszawskiego, nareszcie majora w roku 1830, ojca to

¹⁾ Oprócz pana Kierzkowskiego widziałem tu tylko dwóch Polaków. Jeden młody emigrant przybywał ze Szkocyi i jechał do górnej Kanady, mając tam sobie obiecanie miejsce; drugi przybył z Francyi po 1850 r. (p. Żmijewski) jest woźnym przy Trybunale.

jego mówię, pogrzebiono tak uroczyście, wobec 60,000 zebranego ludu w Poznaniu, przed trzema laty, na początku demonstracyj, a i myśmy też mszę żałobną w Paryżu odśpiewali. Pan Kierzkowski syn, przybył do Paryża z ojcem, w piętnastym roku życia swego, odbył jeden z kilku pierwszych, wraz z Edwardem Jełowickim szkołę centralną, i otrzymał posadę inżyniera przy kanale Beaukarnais w Kanadzie. Ożenił się z panną de Bartsch, właścicielką feudum St-Charles, i wszedł w powinowactwo z najznakomitszymi tu rodzinami, bo druga siostra (nieboszczki już) żony p. Kierzkowskiego jest za panem Drummand, byłym ministrem kanadyjskim, a dziś sędzią najwyższej instancyi, trzecia za p. Monk, sędzią trybunału apelacyjnego, czwarta nareszcie była za ziomkiem naszym, panem Rottermundem od wielu lat już zmarłym. Wdowa po panu Rottermundzie, bawiąca w Paryżu, i należąca nawet do Stowarzyszenia Polskich Pań św. Wincentego a Paulo, dała mi listy polecające do dwóch swoich sióstr mieszkających w Montreal, i w ich to domu poznałem p. Kierzkowskiego. Używa tu najlepszego imienia, zacnego i dobrze wychowanego człowieka, nawet u duchowieństwa, (choć należy do stronnictwa liberalnego, albo opozycyjnego) był też posłem na sejmie.

Wybrałem się w drogę z proboszczem p. Kierzkowskiego, przenocowaliśmy u księdza proboszcza w Beloeil nad rzeką Richelieu, a nazajutrz w towarzystwie młodego proboszcza z St-Hilaire, mieszkającego wprost naprzeciwko na drugiej stronie rzeki, puściliśmy się ku najwyższej górze w Kanadzie (bo tysiąc kilkaset stóp wysokiej) zwanej *montagne de Beloeil*, albo *de St-Hilaire*. Nie bardzo mi się chciało, należącemu już do ciężkiej piechoty drapać się pod górę; ale widziałem że dwaj proboszcze pragnęli pokazać mi piękny widok krajowy, i że to była *partie arrangee*, więcem się poddał z dobrą miną. Pokazało się za powrotem, że ja stary wyjadacz górski, nawykły drapać się po Apeninach do naszej Mentorelli, dwa razy wyżej położonej, tylkom się dobrze wypocił i lepszego nabył apetytu, a mój młody ksiądz z St-Hilaire zaraz się położył; proboszcz zaś ze St-Charles nazajutrz jeszcze czuł się nie swoim. Bo ja sobie jak górale i bydłęta górskie, powoli i zygzakiem windowałem się pod górę, a moi młodzi niedoświadczeni towarzysze (pomimo moich ostrzeżeń) na przełaj prosto i podwójnym krokiem maszerowali.

Miejsce istotnie piękne. Na wysokości dwóch trzecich góry jest jezioro znacznej głębokości, dostarczające wody wielu młynom okolicznym. Nie zdaje się by topniejące śniegi wokoło mogły dostarczać tyle wody, musi to jezioro być zaopatrywane źródłami podziemnymi; podług podań Indian, mówiących o kurzącej się górze, prawdopodobnie jest to wypalony krater wulkaniczny, a może sięga dnem aż do łożyska sąsiedniej rzeki. Na samym wierzchołku góry, z której piękny i obszerny widok na jezioro z jednej, na rzekę i okolice z drugiej strony, na samym wierzchołku stoi kapliczka i leżą obok kawały ogromnego krzyża blachą pokrytego, a postawionego za staraniem i zachętą ks. biskupa Forbin Janson (byłego biskupa w Nancy we Francji) który tu przed laty dwudziestu, całą Kanadę przez rok po apostolsku był obszedł. Wichry zużyły w końcu łańcuchy żelazne podtrzymujące kolosalny krzyż, a duchowieństwu nie pilno stawiać nowego, aż się uda zgromadzenie jakie na tej górze osadzić. Bo jako diabeł przy każdym świętem miejscu karczemkę wraz swoją stawia, tak i tu pusta młodzież nie dla nabożeństwa, ale dla grzesznej często zabawy, zaczęła się była sędzić.

Pod wieczór wsiedliśmy na statek parowy, na którym spotkaliśmy podług umowy pana Kierzkowskiego, wracającego za nami z Montreal, i przybyliśmy do jego domu. Na dziedzińcu, na maszcie powiewała chorągiew polska, w izbie wisiał herb narodowy wyszywany, (ofiarowany panu Kierzkowskiemu przez jego wyborców na posła), a na nim zawieszono pistolety polskie i inna broń. W niedzielę, 10 września, miałem kazanie w kościele parafialnym z tekstu ewangelii dnia tego: „nie można dwom panom służyć, Bogu i mamonie.” Kanadyjczycy, jak Polacy rzadko zbierają pieniądze, jedno jak mrówki co przez sześć miesięcy letnich zbiorą, to przez sześć miesięcy zimowych najstaranniej zjedzą. Dawniej wieśniak kanadyjski żył w wielkiej prostocie, nosił grube sukno z wełny własnych owiec, niewiasty same wyrabiały płótno. Dobrze Francuzi mówią: *é est le bon marche qui ruine*,” taniość sukien i perkalów angielskich sprawiła, że lud dziś wszystko w sklepach kupuje. To też nie widziałem właściwie ludu w kościele, wieśniacy w porządnym surduta, wieśniaczki w krynolinach z okrągłymi kapelusikami na głowie, przyjeżdżają w kabrioletach do kościoła, mieszkają w porzą-

dnych domach. Przejęli zatem *comfort* od Anglików, ale przemysłu, energii angielskiej nie mają. W rolnictwie trzymają się upornie rutyny. Szkoły elementarne żeńskie i męskie w każdej prawie parafii, liczne kolegia trzymane przez księży (jest ich sześć w małej dyecezyi Montreal), łatwość przystępu do nich, wszystko to sprawia, że coraz więcej młodzieży poduczonyj rolę opuszcza. Młodzież męska i żeńska hurtem *) wynosi się do Stanów Zjednoczonych. Po miastach pełno belletrystów bez chleba, adwokatów bez klientów, lekarzy bez pacjentów, wszystko to przygotowuje klasę rewolucjonistów bo kto się ma za zdolnego a głodny, znajduje że utwór społeczeństwa nie dobry, pragnie zmiany i pracuje nad sprowadzeniem przewrotu społecznego. Jak gdzieindziej, tak i tu księża (chcąc jak najwięcej mieć uzdolnionych Kanadyjczyków, by Anglicy wszystkich urzędów i stanowisk nie zajęli) pomimo najlepszych zamiarów ułatwiając zbyt nauki wyższe, wychowują w końcu nieprzyjaciół społeczeństwa i Kościoła. Już dziś głodne pismaki, po dziennikach przeciwko księżom, dobrodziejom swoim gryzmołą.

Wracam do mojego gospodarza. Prosił mnie o odśpiewanie mszy żałobnej za zmarłych jego rodziny; przy tej sposobności zamieścił nad grobem rodzinnym wobec dwóch swoich synów, tablicę z następującym napisem polskim:

„Kierkowski syn odległej, nieszczęsnej krainy,
„Tu grób obrał dla siebie i swojej rodziny.”

Nazajutrz pojechaliśmy o dwie godzin drogi do pani de St. Ours, i pierwszy raz dopiero w Kanadzie byłem obecnym przy poświęceniu dzwonu do nowego kościoła w parafii St. Roch, zbudowanego głównie nakładem dziedziczki. Widziałem przy tej sposobności zebranie obywatelstwa okolicznego. Szlachta kanadyjska oddawna była nieliczna, bo znaczna jej

*) Duchowieństwo stara się temu zapobiegać, zakupując grunta nieuprawne jeszflze i kolonizując na nich młodzież robotczą a biedną i w ten sposób nowe już całe powiaty powstały. Ale te wysiłki nie są dość scentralizowane, nie są w stanie zapobiedz wszystkim potrzebom rzeczywistym czy przywidzianym gwałtownie rozradzającej się ludności, i ztąd emigracja do Stanów Zjednoczonych. Liczbę wychodźców podają na 150 do 300 tysięcy ludności płci obojej.

część po odpadnięciu tej kolonii do Anglii wyniosła się była do Francji. Obecnie coraz więcej się przerzedza, bo miękko chowana uczyć się nie chce. Synowie rolników, kupców zostają adwokatami, posłami, ministrami; a szlachta poluje, próżnuje i traci majątki. Ogólnie Kanadyjczycy dobrzy są, gościnni, uprzejmi, zachowali grzeczność francuską, a więcej mają prostoty i serdeczności. Tak uprzejmie znalazłem przyjęcie u duchowieństwa i świeckich wszelkich stanów, że najlepiej jestem usposobiony dla tutejszych mieszkańców, wszakże nie mogę nie widzieć, że od lat stu nie mieli ani do cierpienia, ani do walczenia, i przeto widać u nich pewną miękkość i ospałość. Religijni są u siebie, w Montreal katolik nie przejdzie obok księdza aby go nie pozdrowił, uczęszczają do kościołów i do Sakramentów, a przecież, niech Kanadyjczyk osiądzie w Stanach Zjednoczonych, opuszcza się w praktyce religijnej, a choć tam nie ma do płacenia dziesięciny, nie chce przykładać się do utrzymania kościoła, szkoły i kapłana. Zwracałem uwagę kapłanów na potrzebę zabezpieczenia ludu przez katechizmy dogmatyczno - polemiczne zastosowane do stopnia rozwinięcia różnych klas społeczeństwa, przeciwko wpływowi protestantów, z którymi są w coraz częstszym stosunku. Jak dziś rzeczy stoją, gdyby broń Boże, Amerykanie posiadli Kanadę, toby ich prędko duchowo i majątkowo zniszczyli.

Pożegnałem mojego uprzejmego rodaka, i wracając do Montreal odwiedziłem jeszcze dwa probostwa. Jedno w Vercheres, gdzie mi pokazywano miejsce, na którym w początkach kolonii, córka ówczesnego właściciela, w małym ostrogu z ostrokoła, obroniła się ze służbą przeciwko napadowi Indyan; nie wiem czyby dzisiejsze Kanadyjki miały już tyle animuszu. Ostatnią stacyę miałem w Yarennes u monsignora des Autels proboszcza tego miejsca, znanego mi jeszcze z Rzymu. Wróciwszy do Montreal, wyczytałem w dziennikach podrukowane rozmaite pocziwe głupstwa. I tak jeden dziennik aby zachęcić mieszkańców do pójścia na moje kazanie następne, powiedział że będzie kwesta na *odbudowanie Polski*. By jakkolwiek pokryć ten non-sens, mówiłem w czasie kazania o seminarium polskim, które Ojciec św. zakłada w Rzymie, dla zachowania wiary w naszej Ojczyźnie. W domówieniu, wytłumaczyłem co to jest Syberya. Składka na missye

nasze przyniosła czterdzieści sześć dolarów. Dla seminaryum jeżeli kto uczyni, to chyba księża Sulpicyanie, którzy tymczasem ofiarowali uczniów naszego Zgromadzenia wychowywać w swoim seminaryum darmo. Niech im Bóg płaci ich dobre serce!

Nie skończyła się na tem praca dnia tego. Z drugim kazaniem zaproszony byłem do sióstr Opatrzności, obchodzących główne święto swoje, *siedmiu boleści Matki Najświętszej*, trudno było odmówić i przez wzgląd na Maryą Pannę, i na biskupstwo ugaszczające mnie od dwóch miesięcy, a opiekującą się szczególnie tem zgromadzeniem. Pośrodku nareszcie mówiłem w zebraniu młodzieży zwanem *Union catholique*. Tam wytłumaczyłem różnicę Moskwy Rossyą przezwanej od Rusi; i niesprzęgłość rasową i duchową między Polską a Moskwą. Rozpromieniłaby się dusza Duchńskiego, gdyby mnie słyszał! Ale niech się i tak ucieszy; bo gdy sekretarz, młody i zdatny adwokat, nie mógł dojść do ładu ze zdaniem sprawy z przedmiotu tak sobie nowego, podyktowałem mu w treści co mówiłem, a Oll to znów pięknie zredagował. Tak i Kandyjczycy wiedzą że Polakom a Moskwie:

„I ród nie jeden jak nie jedna wiara i t. d.”

Postanowiłem nareszcie wynosić się z Montreal, bo już mi był i czas, i przyszłoby może jak zapowiadano, prosić o litość i wypraszać się od zbyt częstych wezwań z kazaniem. Aż tu mi w seminaryum przypomniano obietnicę przemówienia o Polsce, a ks. Desmazes drugie przyrzeczenie, powiedzenia kilkuset jego *Perseverantkom* nauki z wielkiego katechizmu, co tylko w niedzielę następną skutecznić się mogło. Zostałem więc tydzień jeszcze, pożegnałem tymczasem znajomych duchownych i świeckich w mieście, podziękowałem panom z towarzystwa św. Wincentego a Paulo, którzy po dwóch moich kazaniach raczyli kwestować, a że jeden z tych panów jest zięciem sławnego tu pana Barthelet (który od lat dziesięciu tylko po 100,000 rocznie wydaje na budowanie kościołów, szkół i klasztorów dla rozmaitych zgromadzeń) przeto i tego pana poznałem. Ten pocziwiec w skromnym domku mieszka, i jednym konikiem sobie jeździ. Drugi jego krewny także dawnego etatu człowiek, wybudował wspaniałą zakład dla sióstr uczących Zgromadzenia miejscowego Jezusa

i Maryi. Miałem jeszcze naukę w *Mont-Ste Marie*, jednym z trzech pensjonatów trzymanyh przez Zgromadzenie sióstr *de la Congregation de Notre Dame*. Jest ich siedm w mieście i pod miastem, liczących zwykle od stu do dwóchset uczennic, a jakkolwiek część tych uczennic przybywa z górnej Kanady ze Stanów Zjednoczonych, zawsze to zawiele na miasto liczące sto tysięcy ludności: to też się tworzy proletaryat belletrystek żeńskich, bez posagu. We czwartek, 21-go września, miałem żadaną naukę do młodzieży seminaryjskiej, o zasługach apostołskich Kościoła polskiego przez nawrócenie Pomorzan, Litwy i przeprowadzenie Unii na Rusi. Z wielkiem zajęciem słuchało tych stu Lewitów, nietylko z Kanady ale i ze Stanów Zjednoczonych pochodzących, o przedmiocie całkiem nowym i nieznanym, żalowali tylko, jak mię dyrektor i profesorowie zapewniali, że się tak prędko skończyło, i radziły *bis* zawołać. Ale w nocy dostałem jakoby choleryny, a nawet z kurczami wewnątrz, jedno bez ostygania rąk; dowiedziałem się, że to lichy panowało w mieście w skutek gwałtownych zmian powietrza. Więc już na niedzielę odmówiłem drugiego kazania, ograniczyłem się na przemówieniu do *Verseverantek* przy rozdaniu im stosownych obrazków, (pocziwe dziewczęta złożyły mi czterdzieści szylingów na drogę) i podziękowaniu ks. administratorowi wobec zgromadzonych kanoników i mansyonarzy, za uprzejmość jakiej doznałem ze strony jego i całego duchowieństwa. Mogę podziękować Bogu, że pobyt mój nie zaszkodził dobrej sławie Zgromadzenia naszego i narodu polskiego; i owszem ufam", że odtąd każdy Polak, a mianowicie każdy kapłan serdeczniej jeszcze w Montreal i Kanadzie przyjęty będzie.

Nazajutrz rano wyjechałem drogą żelazną do Kingston, i zanocowałem w kolegium. W Ameryce za złe miałyby władza duchowna księdzu, gdyby zajeżdżał do hotelu; każdy choć nieznan, czy w seminaryum, czy w biskupstwie znajdzie gościnne przyjęcie, a przecież już w górnej Kanadzie z samych tylko składek utrzymują się księża i biskupi. Ksiądz Stafford dyrektor kolegium (ks. biskup odbywał wizytę dycezyi) i proboszcz naprzeciwległej wyspy, chciał mi pokazać skamieniałe ogromne ślimaki morskie i inne wymoczki, które powynajdywał wewnątrz kamieni. Wnosi ztąd, że cała dzisiejsza Kanada była dawniej łożyskiem morza, z którego dziś

tylko ogromne jeziora i rzeki pozostały. Rozminąłem się z ks. biskupem z Hamilton, który współcześnie był do Montreal pojechał. Udałem się przeto prosto do św. Agaty, gdzie zastałem wszystkich naszych księży zdrowych, choć pomęczonych całomiesięczną jubileuszową pracą. Dwóch pojechało jeszcze o dziewięćdziesiąt mil ztamtąd pomagać koledze który im często pomagał, a tak przywiązany do naszego Zgromadzenia, jakoby do niego należał. Znalazłem przybyłego z Rzymu ks. Ellenę i młodego teologa Irlandczyka, pierwszego nowicyusza w Kanadzie. Dawny to uczeń O. Eugeniusza i coś na małego Mezofantego zakrawa, bo okrom języków starożytnych, które dokładnie posiada, płynnie mówi po francuzku i niemiecku, poduczył się już po włosku i po polsku. Naszej mowy chce się dokładnie nauczyć, aby wraz z O. Eugeniuszem mogli być pomocnymi przechodnim Polakom.

Poczcwi nasi koloniści z Forestville pisali, że już dom dla ks. proboszcza wybudowali, i oczekują niecierpliwie na obiecane odwiedziny swojego dobrodzieja. Kolegium nasze zyskało nową klasę uczniów, i dwóch profesorów, trzeci zdolny hellenista przybędzie po roku z Rzymu. Na wielkanoc przeniesie się do własnego domu w mieście Berlin; zgłaszają się już studenci ze Stanów Zjednoczonych i protestanci miejscowi, a że 00. Jezuici zamknęli swoje kolegium w mieście Gwelf dla braku uczniów, i nasze jedyne jest w dyecezyi, przeto może prędko się rozwinąć pod zdolnym i sprężystym przewodnictwem O. Ludwika. Wszystko tu łatwiej idzie, byle tylko chcieć pracować. Niepłonną mam nadzieję, że się nasze Zgromadzenie prędko tu rozrośnie. Za zapowiedź tego uważam dziwny wypadek, jaki się zdarzył O. Franciszkowi płynącemu do Ameryki z bratem Janem (już zmarłym), a który mi tu przypomniał w rozmowie. Pisał mi o tem w swoim czasie, alem nie zwracał na to uwagi, i bardzo niedokładnie zapamiętałem. Polecilem mu zatem, aby mi spisał na nowo, i oto jego notatka:

„Ostatniego sierpnia, czy 1-go września 1860 r. wsiedliśmy w Liverpool na statek, który nas 12-go września w Quebec na ląd wysadził. W pierwszych dniach żeglugi nic uderzającego nie zaszło, dnie były zwykle pochmurne a noce ciemne. Między 8-ym a 9-ym zdarzył się wypadek, który tak głęboko wyrył się w mojej pamięci, iż dotychczas świeżo

przedemną stoi. Około ósmej z wieczora przechadzaliśmy się po pokładzie, a oto widnokrąg zaczął się rozjaśniać, tak iż w krótkim czasie cały pokład oświecony został. Promienie stawały się coraz żywsze, a z tego ich rozwinięcia powstała śliczna różnobarwna zasłona, która się coraz bardziej po większej części widnokręgu rozciągnęła. Na pokładzie było oprócz mnie kilka osób, które ten widok podziwiałały. Powoli rozdzieliła się ta zasłona na dwie połowy, a pośrodku zaczęły występować różne słupy, które coraz wybitniejszą postać przybierały, jaśniejąc blaskiem nadzwyczajnym. Rychło potem jęły się pokazywać rozmaite postacie, które widocznie kształt aniołów przybierały, wzrastając od chwili do chwili. To wszystko trwało przynajmniej przez ćwierć godziny. Wtedy wystąpiła wyraźnie postać niewiasty w gwiazdzistej koronie, stojąca na księżycu, depcąca okrutnego smoka. Na ten widok wszystko co tylko było na okręcie wystąpiło na pokład. Po kilku chwilach środek tego widziadła zajaśniał nowym blaskiem; a wszystko to było na tak wielkie rozmiary, tak wydatnie, iż wydawało się być jakoby się rękoma dosięgnąć dało. Nareszcie wystąpiła z głębi postać coraz wyraźniejsza przybierająca kształty. Ta postać trzymała chorągiew w ręku, i stała po boku pierwszej. To widowisko trwało przynajmniej dobrą godzinę. Poznałem natychmiast, że pierwsza osoba przedstawiała Niepokalane Poczęcie Najświętszej Panny, druga Zmartwychwstanie Pana naszego Jezusa Chrystusa. Ale co dziwniejsza to, że wszyscy na pokładzie to samo głośno wyznawali, chociaż do rozmaitych wyznań należeli. Staliśmy obok poważnej jakiejś pani katoliczki, która wraz z córką i guwernantką upadły na kolana wołając: *wielki, cudowny Bóg w dziełach swoich*, i modliły się w cichości. I kapitan w końcu się odezwał: że nic jeszcze podobnego nie widział, chociaż się już w życiu swoim napatrzył dosyć najpiękniejszych i najdziwniejszych zórz północnych. Dodam jeszcze, iż Pan Jezus i Najświętsza Panna otoczeni byli rozmaitemi postaciami anielskimi, i że na pokładzie tak było jasno, iż ja sam wygodnie czytać mogłem. Powiedziałem sobie: oto godło nasze; walczymy pod chorągwią zmartwychwstałego Zbawiciela i pod opieką niepokalanie poczętej Matki Jego; serce moje tak przepełnione było weselem, że zawołał do

brata: „przybędziemy szczęśliwie na miejsce naszego przeznaczenia! co się też stało.”

Stało się zaś, dodam, choć okręt przepłynął szczęśliwie wśród dwóch murów lodu, które były u dołu połączone, tylko pośrodku działanie fal morskich wyłobiło wyłom, nad którym mógł się statek przesunąć. Przypomnę jeszcze czytelnikowi, że biskupi Stanów Zjednoczonych obrali sobie uroczyscie za Opiekunkę niepokalaną pocztą Matkę Zbawiciela, a kapłan Zmartwychwstaniec, który miał to widzenie, pierwszy zaczął dawać missye Polakom przerzuconym do Ameryki.

Dodam już tylko, że dnia 30-go września obchodziłem z braćmi w duchowo-rodzinem kółku moje imieniny; pocciwy ludek okoliczny choć dzień był roboczy zebrał się w liczbie stu osób przeszło, które się spowiadały i komunikowały na moje intencją. Bóg im zapłać, jak i tym wszystkim, którzy w Europie taką mi miłość i miłosierdzie wyświadczyli i świadczą. Czekam tylko na powrót O. Eugeniusza z missyi, aby wyjechać do Stanów Zjednoczonych. Mam do nich wjechać przez miejsce najbardziej zajmujące, to jest, po zawieszonym moście (*suspension bridge*) nad spadami Niagary.

Zacznę zatem da Bóg list następny od opisanie wielkiego szumu wody, aby mówić dalej o turkocie machin, i wielkiej wrzawie ludzi po miastach amerykańskich.

L I S T I V .

STANY-ZJEDNOCZONE.

New-York, 18-30 października 1865 r.

Moi najdrożsi!

Ludzie światowi trudno pojmą i uwierzą do jakiego stopnia siły i rzewności dochodzą uczucia synowstwa, ojcostwa i braterstwa, w członkach rodzin duchowych i nadprzy-

rodzonych, jacyemi są zgromadzenia. Doświadczyłem tego i przy powitaniu braci moich w Kanadzie i przy ich pożegnaniu. Wprawdzie, uczucia smutku i boleści z jednej strony, wesela i pociechy z drugiej, w osobach żyjących wciąż z pamięcią niestałości wszystkiego co czasowe—wprawdzie, uczucia uduchowione nie dochodzą nigdy gwałtowności uczuć czysto przyrodzonych i namiętnych, ale są głębsze i stalsze, bo już mają w sobie coś wiecznego, niezmiennego. Popłakaliśmy się serdecznie, żegnając się, choć księża nawykli do widoku łez po rodzinach, przy konających, nie są łatwo skłonni do płaczu.

„To już bodaj do zobaczenia się w wieczności, Ojcze!.., powiedział jeden z braci: jak Bóg rozporządzi synu" odpowiedziałem. Czytałem świeżo pod fotografią modlącego się Piusa IX, te piękne słowa Pawłowe „nie mamy tu trwałego mieszkania jeno przyszłego się spodziewamy... A i wiersz Mickiewicza: „Jeszcze na świecie, choć już nie dla świata" najlepiej się stosuje do zakonników Missyonarzy. Na świecie my, choć nie dla świata; a jeżeli dla świata, to by go leczyć i zbawiać, nie by się nim zabawiać. „Bóg mój i wszystko moje" Augustynowskie to nasze godło. Dalej w świat!

Odprowadzał mnie O. Eugeniusz, choć zmęczony i jakoby zbity całomiesięcznem kaznodziejstwem jubileuszowem. Małośmy mówili z sobą, jak zwykle w takich okolicznościach, i mówili tylko o rzeczach obojętnych. Wstąpiliśmy na nocleg do j.m. księdza biskupa w Hamilton, aby się z nim pożegnać. Oświadczył mi, że i on wyjeżdża nazajutrz do Stanów Zjednoczonych na konsekracją nowego biskupa w Albany, sufragana arcybiskupa Nowego Yorku. Uśmiechnęła mi się myśl spotkania zebranych kilkunastu biskupów Stanów Zjednoczonych, jakem spotkał kilkunastu angielskich przy konsekracji księdza Maning w Londynie. Warto było zatrzymać się dzień po drodze, ile że i wypadło, bo funkcya miała się odbyć w niedzielę. Mając tedy tak dostojnego towarzysza podróży, nie potrzebowałem dłużej trudzić O. Eugeniusza. Wyprzedziliśmy tylko księdza biskupa o jeden pociąg, aby obejrzeć katarakty Niagary. Chodziło mnie też o towarzystwo lepszego odemnie Anglika na komorze celnej, tyle bowiem słyszałem o brutalstwie celników amerykańskich, a miałem ze sobą dosyć jeszcze świętości, którebym nierad widział wystawione

na urągowisko protestantów. Ale dzięki Bogu, wszystko się najpomyślniej odbyło, i mogliśmy pomimo bardzo chłodnego wiatru, oddać się przyjemności oglądania najsławniejszego wodospadu w świecie, zanim się dokładnie dowiemy o innym, bodaj jeszcze wspanialszym, odkrytym w południowej Ameryce.

Nie podobna nie wspomnieć naprzód o sławnym wiszącym moście (*the great suspension bridge*) na rzece Niagarze, stanowiącym tu granicę pomiędzy Kanadą a Stanami Zjednoczonymi. Długość jego całkowita od jednych do drugich wież, na których się opiera, wynosi 800 stóp, a wysokość po nad wodą liczy stóp 258. Pierwszy lekki most zbudowany przez p. Karola Elett, (który pierwszy huragan zniósł jak pajęczynę) niczym był w porównaniu do tej zasadnej budowy; kosztował 500,000 dolarów. Trwa on już lat 10; służy wyłącznie pociągom dróg żelaznych; 38 stóp poniżej, jest drugi most dla piechotników i powozów. Rzeką Niagara łączy jezioro Erie i dalsze za nim będące, z jeziorem Ontario. Wody których Niagara jest kanałem, upustem i jakoby lejkiem zajmują powierzchnią 150,000 kwadratowych mil angielskich; wody tak ogromne i niewyczerpane jakoby, iż nie znać zmiany, choć od wieków i wieków tracą co godzina dziewięćdziesiąt milionów beczek *) spadających z tych dziwnych skalnych urwisk. Najlepiej widać to dziwo przyrody ze strony amerykańskiej, z wyspy i wieży w wodzie już postawionej. Główna kaskada ma kształt nieforemnego półksiężyca. Naprzeciwko Table Rock długość jej jest trzech ćwierci mili angielskiej. Opisać piękność tego widoku niepodobna. Łoskot podobny do szumu morza rozhukanego. Wszystkie kaskady które widziałem, w Apeninach, Alpach, Pireneach, Kanadzie, karłami są tylko w obec Niagary. Niagara to Himalaja, to Chimborasso wodospadów. Innych podrzędnych, pobocznych kaskad ni widoków, (*rapids*) opisywać nie będę. Znajdzie je każdy ciekawy w opisach specjalnych Ameryki, mnie ledwo zajmuje już tylko co najszczytniejszego na tej ziemi.

Przy szumie katarakty pryskającej nieustanną wilgocią, pożegnałem się z O. Eugeniuszem i puściłem się do Rochester, gdzie stanąłem w kilka godzin. Zająłem na nocleg

*) Jak obliczyli Anglicy i Amerykanie, których powtarzam.

do 00. Redemptorystów, założonych w drugiej połowie zeszłego wieku, przez św. Alfonsa Liguori w Neapolitańskim. Bardzo ci 00. są gościnni, a żem miał otwarty list polecający od Ojca ich jenerała z Rzymu księdza Moiron, fryburczyka ze Szwajcaryi, byli do podziwu dla mnie uprzejmi. Kilkanaście już domów liczą w Stanach Zjednoczonych, a wszyscy ich missyonarze w Ameryce, jak ci którzy są w Europie, w Niemczech, Hollandyi, Belgii i Francyi, wyrosli właściwie z jednego człowieka, z jedyne go cudzoziemca, który jaszcz e za życia świętego założyciela wszedł był do zgromadzenia. Tym człowiekiem był ojciec Hoffbauer, właściwie Dworzaczek, wieśniak morawski, zmuszony wyrobniczo pracować na swoje życie, który z niesłychaną trudnością nauczył się po łacinie i słuchał kursów publicznych teologii w Wiedniu. Trzy razy chodził pielgrzymem pieszo do Rzymu i zwykle w upały letnie. Za trzecim razem wchodząc raniuteczko do Rzymu rzekł do swego towarzysza: wstąpimy do pierwszego kościoła, w którym zadzwonią na mszę. Wchodząc przez bramę Maggiore, posłyszeli maleńki dzwoneczek małego kościółka św. Juliana, przy którym obecnie mieszka matka Makryna. Wchodzą do kościółka, i widzą zgromadzenie księży odbywających z wielkiem skupieniem rozmyślanie ranne. Idą do furty i pytają braciszka: jakie to zgromadzenie? Ten odpowiada: „Najświętszego Zbawiciela” i dodaje „i wy do nas przystać powinniście.” Hoffbauer wziął te słowa za znak powołania opatrzne go; po mszy świętej prosił przełożone go o przyjęcie, został wysłuchany i posłany na prowincję do nowicyatu. Wyświęcony na kapłana, odzywał się z tem często, że on zgromadzenie za Alpami rozkrzewi. Śmiali się z niego towarzysze, ile że wtenczas Józef II, cesarz-zakrystyan (jak go Fryderyk II nazywał), tępił w najlepsze zakony w państwie swoim. Gdy jednak odniesiono te oświadczenia księdza Hoflbauera św. Alfonsowi już zgrzybiałemu, ten po namyśle powiedział: „nie śmieście się, jest w tem palec Boży.”

Nuncyatura papieżka w Polsce starała się o dwóch księży niemieckich do Kurlandyi. Hoffbauer puścił się ochoczo ze swoim towarzyszem do Warszawy. Nuncyusz poznawszy ich cnotę i gorliwość, a widząc licznych Niemców w Warszawie i ogólnie lud miejski bardzo zaniedbany, zatrzymał ich

na miejscu i osadził przy ustąpionym przez władzę dyece-
zalną kościele św. Beuona. Zaczęli zatem pracować dla Niem-
ców, ale rychło się podliczyli po polsku, przybyli im towa-
rzysze, niektórzy Francuzi wygnańcy, weszli Polacy, miano-
wicie znakomity kaznodzieja ksiądz Podgórski i pracowali
lat dwadzieścia w Warszawie, a pracowali tak, że codzien-
nie były dwa kazania niemieckie, a cztery polskie, spowiadali zaś
od brzasku rannego do późna w nocy. To tłumaczy zkad
tyle pobożności przechowało się w ludzie warszawskim. Ale
że wtenczas w klasie oświeceniowej panowało wolne mularstwo,
rozpusta i rozwody, te Benony (jak ich od kościoła zwano)
zawadzali niedowiarkom, i już za czasów pruskich starali się
oni ich wykurzyć z Warszawy. Wszakże wtenczas zamach się
nie udał. Ale jak skoro weszli Francuzi do stolicy, postarali
się u marszałka Davoust'a o rozkaz rozpędzenia ich i wywie-
zienia za granicę. Wyprawiono ich przeto jako złoczyńców,
a bez winy i bez sądu. Probował O. Hoffbauer osiedlić się
ze swoimi w rozmaitych miejscach południowych Niemiec i
Szwajcaryi, ale bracia mularze tamtejsi ostrzeżeni od braci
polskich, nigdzie im przysiąść spokojnie nie dali. (Ksiądz
Podgórski przysiadł cichaczem w Królestwie na probostwie
i chłopców wychowywał, ale i ztamtąd go wypędzono.) Na-
reszcie udało się świętemu mężowi zamieszkać w Wiedniu,
w charakterze kapelana zakonnic. Ale gorliwość jego obej-
mowała wszystkie potrzeby kościoła. Dom jego i stół był
przytułkiem biednych studentów, których ubezpieczał prze-
ciwko rozczynowi Józefińskiej nauki nawet po seminariach.
Z tych to *pauprów* wyszło nowe pokolenie lepszych księży,
a następnie biskupów. Był też O. Hoffbauer spowiednikiem
i doradcą duchowuym wszystkich pobożniejszych i znakomit-
szych katolików świeckich, jako to: Zacharyasza Wenera,
Schleglów etc. Nareszcie na osobiste wstawienie się Piusa VII,
cesarz Franciszek pozwolił Redemptorystom legalnie osiąść
w Austrii i dał im kościół, o ile pamiętam Marya Stiegen
zwany. Gdy się o tem dowiedział świętobliwy starzec, zawołał:
a więc koili a mój blizki, pierwszy raz w życiu bowiem coś
pomyślnego mi się zdarzyło." Zszedł istotnie nie długo z tego
świata, pełen lat, krzyżów, pracy i zasługi. Miany za życia
za świętego i po śmierci był wzywany przez wiernych w ro-
zmaitych potrzebach duszy i ciała, i często z pomyślnym i

widocznie cudownym skutkiem. Toczy się obecnie proces jego beatyfikacji i nie wątpię o pomyślnym jego skutku. Jakkolwiek ksiądz Prusinowski ogłosił dłuższy życiorys O. Hoffbauera, nie od rzeczy mi się wydało odświeżyć pokrótce pamięć tak zasłużonego w Polsce męża. Ile, że jak za życia kochał Polaków (umarł z zaziębienia się na pogrzebie księżnej Jabłonowskiej) tak nie wątpię, że i w niebie za nas się modli i wyprosi nam tę łaskę, że w lepszych dla kościoła naszego czasach, synowie jego wrócą znowu pracować na naszej ziemi.

Powtarzam, że wszyscy Redemptoryści, wyjąwszy neapolitańskich, są potomkami duchowymi O. Hoffbauera. Neapolitańczycy zaś nie tylko się nie rozmnożyli liczebnie po śmierci świętego założyciela, ale uważani przez ograniczonych królów neapolitańskich za zgromadzenie *narodowe*, wyjęci niejako z pod nadzoru Rzymu i w duchu osłabli. Ojciec św. mianował naprzód wikarego jeneralnego dla Redemptorystów neapolitańskich, a lat temu kilkanaście, chciał aby obrali sobie generała mieszkającego w Rzymie. Rewolucja włoska rozwiązała odciętą od całości prowincję neapolitańską, tak że obecnie gałąź O. Hoffbauera wyrosła na korzeniach św. Alfonsa, zastąpiła uschły i podcięty pień neapolitański. Nie jeden wyrok sprawiedliwości bożej wykonywa ślepa i namiętna rewolucja.

Wracam do Rochester. Miasto to 60,000 ludności liczące, w połowie przynajmniej Niemców, Irlandczyków i Kanadyjczyków, jak wiele innych miast tutejszych, wyrosło od lat kilkunastu z małej zrazu mieściny. Rochester ma swoje kaskadę i swoje *kaskadelle* na wzór Tywolskich pod Rzymem. A gdyby i tu sztuka chciała dopomóc przyrodzie, jak w dawnym Tyburze, nie wiem czyby tutejsze wodospady ustąpiły przed rzymskimi; ale w każdym razie największym nieszczęściem dla wód Rochesterskich jest bliskość olbrzymiej Niagary.

Bardziej zajmującą rzecz od kaskady widziałem w Rochester. Kaskada spada z góry na dół, a chałupka sióstr św. Wincentego a Paulo wyrosła o cztery pięter wyżej w górę, a rozszerzyła się w dziesięć nasób i więcej; a wszystko wiarą siostry Przełożonej opartej na radzie jednego z ojców Redemptorystów i opiece św. Józefa.

Podczas wojny gmach ten mieścił stale 800 rannych, obsługiwanych przez czternaście siostr tylko. Ma i miasto swój szpital protestancki, ale żołnierze za nic w świecie do niego wchodzić nie chcieli, wołając: „wieźcie was do sióstr, my wiemy jak się one nami w Washington i gdzie indziej opiekowały.” Mnóstwo się też po szpitalach ponawracało, wielu z nich bez chrztu do onczas żyło. Obecność też kapelanów katolickich choć nie licznych po obozach dała poznać zbliżka księdza katolickiego, wymogła dla nich szacunek protestantów, i rozwiała mnóstwo uprzedzeń z niewiadomości pochodzących. Wszakże Murawiew tutejszy, generał Butler, w liście ogłoszonym po dziennikach, powiedział do rządu: „dajcie nam kapelanów katolickich ile chcecie, ale na innych szkoda grosza.” Stanowisko legalne i czysto kościelne hierarchii katolickiej w czasie wojny domowej, zjednało jej uszanowanie u wszystkich ludzi poważniejszych, znudzonych do cikliwości perorami namiętami i stronnictwami politycznymi swoich ministrów. Pomimo to, w części a właśnie dla tego, fanatycy i sekciarze gotują prześladowanie Kościołowi katolickiemu i w Missouri zaczęli już sadzać księży do kozy, ale jak mi ks. biskup z Portland powiedział: „tem lepiej, my staniemy się lepszymi, a wszyscy protestanci nie-namiętni i sprawiedliwi zbliżą się i w końcu wejdą do Kościoła.” Inni znowu miejscowi duchowni twierdzą, że prześladowanie całkiem niepodobne, chyba próba legalnych ścieśnień, albo rozpaczny wyskok, gdy już protestanci ujrzą niewątpliwy tryumf Kościoła katolickiego. Są i tacy, którzy ufają, że Opatrzność nie dozwoli ciężkiej próby na ten nowy i słaby jeszcze Kościół. Czas to pokaże. Tymczasem uroczyste ceremonie kościelne, przyciągające zawsze mnóstwo protestantów, pomnażają coraz bardziej uszanowanie dla Kościoła katolickiego.

Jedną z ceremonij taki skutek sprawiających była konsekracja ks. Conroy na biskupa w Albany. Wspomnieć wszakże przedtem muszę, że z Rochester do Albany jedzie się przez trzy miasta i miasteczka z wielkimi imionami starego świata to jest: przez Syrakuzę, Utykę i Rzym. Dwie te szczególnie ostatnie miasteczka z drewnianymi swojemi daszkami przypominają naszych żydków mniej więcej dobrze wychowanych, a przybierających nazwy Tarnowskich lub Zamoy-

skich, dla *piszności*. Przystępuję teraz do opisu konsekracji. Zjechało się dwóch arcybiskupów ks. tnr. Closkey z Nowego-Yorku konsekrator, i sędziwy świątobliwy ks. Purcell, z Cincinnati uproszony na mówcę. Nadto trzynastu biskupów, trzech z Kanady Wyższej, dziesięciu ze Stanów Zjednoczonych, w liczbie których ks. cle Goesbriant, Francuz, Breton rodem, a ks. Domenec Hiszpan, z Texas. Jakkolwiek dla ulewnego deszczu procesyi być nie mogło, wszakże widok piętnastu biskupów w mitrach, dwustu księży w kapach, ornatach i komżach, wyborny śpiew, oświetlenie, nareszcie stosowne kazanie, wszystko to musiało działać na protestantów, w większości może obecnych w obszernej katedrze. To pewna, że do życzenia byłoby, aby wszyscy katolicy tak przyzwoicie i poważnie zachowywali się w kościołach swoich, jak protestanci zachowują się w naszych.

Z kazania nie pochwyciłem wszystkiego, w każdym razie za długieby było, za dogmatyczno - polemiczne dla polskiego czytelnika, ale wspomnę trafne słowa przytoczone z dziełka jakiegoś pisarza niekatolika, w którym dowodzi, że Bóg musiał założyć Kościół swój podług tego samego planu, podług jakiego świat stworzył. „Otóż pyta, jaki jest ten plan, jaka zasada, jaka idea główna? Czy nie jest ciężącą atrakcją dążenie wszystkich części składowych do wspólnego środka? Gdyby wszystkie atomy składające wszechświat nie słuchały tego prawa, gdyby się odłączyły od reszty, słowem, gdyby *zostały protestantami*, mielibyśmy byli świat z pyłu i kurzawy.”

Po ceremonii był objad dla wszystkich prałatów i kapłanów zebranych w jednej ogromnej sali. Po raz pierwszy obecny byłem formalnemu obiadowi anglo-amerykańskiemu, z mowami, toastami, stukaniem, a raczej bębnieniem palcami o stół i klaskaniem. Siedziałem obok kilku kanoników i kapłanów przybyłych z Montreal, co mi przypomniało przyjemny pobyt w tem mieście. Po obiedzie, już o zmroku, zaczęły się wystawne nieszpory z muzyką i śpiewem i trwały aż do dziewiętej. Wyznam, że jakkolwiek dyrektor śpiewu ks. Noethen, proboszcz niemiecki, (u którego mieszkalem) używa najczęściej kompozycji Hunda, Hejdena i Mozarta, wszakże liczne *sola* niestosowne są w kościele, i w końcu nużą pomimo najczystszych głosów i najlepszego wykonania. Ale to choroba

powszechna, w samejże Europie, i Rzymie nawet; o reformę w muzyce kościelnej wiele się głosów już upomina, ale zapewne w spokojniejszych dopiero czasach da się ona przeprowadzić.

Konsekracja w Albany odbyła się 15-go października. Nazajutrz rano puściłem się w drogę ku Nowemu-Yorkowi statkiem parowym po *Hudsons river* tym niby Renie amerykańskim. Prawda, że łożysko rzeki głęboko i pięknie oprawne, prawda, że wzgórza skaliste łaskami, domkami i miasteczkami pokryte, piękne przedstawiają krajobrazy, ale jednej głównej rzeczy brak tutejszemu Renowi, co i całym Stanom Zjednoczonym: przeszłości, dziejów, podań i wspomnień. Tępiąc Indyan tradycyjn ich nawet nie zachowali.

Wysiadłem w pół drogi w Poughkeepsie miasteczku, dla odwiedzenia jednej rodziny, którą poznałem w Montreal, i u p. Kierzkowskiego na wsi. Pan jest właścicielem wielkich kopalni rudy żelaznej. Oglądałem ogromny jego zakład i byłem obecny przelewaniu w bryły oczyszczonej już rudy. Nie spodziewałem się wszakże znaleźć w tem miasteczku coś tak potwornie zajmującego jak rzeczywiście znalazłem. Pewien bogaty a bezdietny anabaptysta, p. Wasar, wybudował dom na wzór Tuilleries, jedno że z cegły czerwonej, a o pięciu piętrach. Mury same kosztowały go 400,000 dolarów, a jeszcze przedsiębiorca zbankrutował ze szczeniem z powodu drożyzny robotnika w czasie wojny. Pan Wasar nasz filantrop nie chciał mieć najmniejszego względu na tę zmianę i nieprzewidziane okoliczności, i nie miał litości nad ojcem rodziny, bez winy własnej sprowadzonym do torby. Pan Wasar nie pomyślał że w mieście nie ma szpitala, nie ma zakładu dla sierot, natomiast założył formalny uniwersytet żeński, gdzie panny biorą stopnie. Jest laboratorium chemiczne, jest już bogaty nawet gabinet mineralogiczny. Siłą rzeczy musi stanąć obserwatorium astronomiczne. W sali obrazów i rysunków pan Wasar kazał sobie wymalować, *en pied*, w zielonym paletocie, wskazując palcem na swoje Tuilleries, z wyrazem doskonałego zadowolenia ze samego siebie, który to wyraz widzieliśmy i na oryginale, podczas gdy nas oprowadzał po swoim arcydziele, kterem się unieśmiertelnił. Wybudował on nadto kościół *Wasars Church*, jaka szkoda, że nie może jeszcze wasarskiego raju sobie założyć! Wróćmy

do zakładu. Trzy pokoiki sypialne z salonikiem obok do uczenia się, stanowią częściowe koszary tych panien zostawionych bez dozoru po za audytoryum. Kaplicy też nie ma, ho tu są wszelkie możebne wyznania; jest jedna ogromna sala, gdzie profesorowie dają czasami niby religijne *lectures*, zapewne w duchu anabaptystowskim. Zresztą panny jeżdżą po religią (każda po swoją) omnibusem *Wasars College* do miasta. Sądziłem, że przynajmniej ten dziwny zakład dobroczynny jest dla biednych panienek, które darmo mogą się kształcić na uczeńsze jeszcze guwernantki niż w Prusiech, tymczasem bynajmniej, każda z tych panien za samo utrzymanie płaci 350 dolarów rocznie. Nadto za muzykę 50, za obce języki 50, za kouną jazdę, *bilard*, gimnastykę, i *athle-tical exercises* 60. Więc to wyniesie 500 dolarów rocznie. Myśli teraz o zaprowadzeniu kursu fizyologii i tańców (bo dotychczas nie przyszło mu to było do myśli); wypadnie zapewne dodać znowu 50 dolarów, bo nie wiem czy taniec policzy się do atletycznych ćwiczeń i bilardu. Wielką miałem ochotę spytać się, czy panny biją się na pałasze, czy strzelają do celu. Już i bez tego Amerykanki karca niewiernych zalotników rewolwerem, więc to dopełnienie byłoby niezbędnem do takiego wychowania.

Ponieważ jest już 375 panien (to jest tyle ile ten gmach pomieścić *może*) ze wszystkich Stanów amerykańskich, a nawet wysp Sandwich, a każda płaci 500 dolarów, to stanowi dochód blisko 200,000 dolarów brutto. Dochód czysty przeznaczył fundator na polepszanie wciąż zakładu, muzeów, gabinetów etc. Zapomniałem dodać, bo to jakoby zbytczne, że czystość i elegancya w domu wielka, że jest własna fabryka gazu do oświetlania, że pokoje i korytarze ogrzane wodą, i gorąco jak w cieplarni, że machina parowa pierze i magluje bieliznę, że się buduje gmach osobny do ćwiczeń gimnastycznych i atletycznych, który zapewne także będzie służył za ujeżdżalnię szczególnież też podczas zimy, i zapewne także będzie ogrzany i t. d. Pytałem gospodyni i przewodniczki mojej, katolickiej Kanadyjki, która wiele po Europie podróżowała, do jakiej kategorii rodzin mogą należeć te *young ladies*, które widzieliśmy właśnie wracające z prelekcij? Odpowiedziała, że zdaniem jej do kategorii bogatych *farmerów* i zbogaconych nagle kupców. Istotnie panny te dość

•

atletycznie wyglądające, nie miały całkiem ułożenia. Widać tedy że ci rodzice, którzy mogą łożyć na wychowanie, bo zwykle ograniczają się do jednego, najwięcej do dwojga dzieci, chcą się unieśmiertelnić wychowując sobie dziwolągi w Wsarsars College. Bo Amerykanie jak Rosyianie chcą się gwałtem czems od innych odróżnić, i mieć coś, czego inni nie mają; i być tak jak inni nie są.

Zadowolniony szczerze byłem, żem się zatrzymał w *Po-Jciepsiu* i że po wodospadzie uiagarskim, jeszcze coś nowego znalazł. Ale odkładając część śmieszną na stronę, gotuje się rzecz bardzo seryo, jeżeli takie wychowanie kobiet się upowszechni, i nie ulegnie pod ciężarem śmieszności, a sądzę, że nie; bo Ameryka to nie Francya. Oto, że kobiety tak wychowane domagać się będą urzędów, profesur, ubiegać się zaczną o krzesła poselskie; a na mityngach potrafią i perorować, i rewolwerem, i pięścią, a nawet *atletycznie* władać. Słowem wszystkie marzenia o emancypacyi i zrównaniu niewiasty w prawach może wejść w praktykę, i Amerykanie zamiast dzielić się na stronnictwa republikanów i demokratów, mogą się podzielić na stronnictwa mężczyzn i niewiast. Daleka odemnie myśl i chęć trzymania niewiasty w niewiadomości, ale kobieta najwyżej wykształcona powinna zawsze zostać kobietą, inaczej będzie koniecznie dziwolągiem albo potworem.

Nazajutrz wyjechałem, zaproszony z powrotem i stanąłem 17 wieczorem już o zmroku w Babilonie amerykańskim. Zawsze mam serce ściśnięte ile razy wjeżdżam do miast wielkich, tych stolic prawdziwych wielkiego zbytku i wielkiej nędzy, wielkiej pychy i wielkiej rozpusty. Odetchnąłem prawdziwie, kiedym wpadł za furtę kochanych 00. Redemptorystów.

Pilno mi już tutaj dodać, że nie znalazłem powszechnie Amerykanów tak grubiańskimi, jak mi powiadano. Zdarzy się zapewne od czasu do czasu egzemplarz wierny Jankesa, który zapytany raz, i drugi i trzeci słowa nie odpowie; ale to wyjątki, ogólnie mniej uprzejmie jak w Europie, jednak odpowiadają i czasem nawet bliżniemu małą usługę darmo wyświadczać. Powiadają mi że podróże Amerykanów po Europie, przykład Europejczyków przybywających do Ameryki, grzeczniejszymi nieco tutejszych republikanów czyni — być to może; to pewna, że młodzież wychowana przez Braci szkolnych i Siostry europejskie, staje się coraz bardziej uprzejmą, a

z tego powodu wielu rodziców protestanckich oddaje dzieci swoje do zakładów katolickich. Pewna kompania kapitalistów ofiarowała się 00. Jezuitom w Fordham pod New-York wybudować-wspaniałe kollegium i oddawać doń dzieci swoje, byle 00. religii katolickiej w niem nie uczyli. Naturalnie, że propozycyi nie przyjęli, ale pytali dla czego do nich choć innowierców się udają? Odpowiedzieli, „bo młodzi ludzie wychodzący od was są *yentlemeni*, a nasi *but ruffians* (grubianie, parobki).” Inni znowu powierzali swoje dzieci katolikom mówiąc: „wolemy by byli katolikami, niż by żadnej religii nie mieli.” Takich rodziców wstrzymuje wzgląd ludzki, lenistwo i t. p., że sami nie przechodzą na naszą wiarę, ale radzi są że dzieci ich to czynią, a nie raz w końcu za dziećmi i sami też podążają. Ogólnie protestantyzm jak wszędzie tak i tu bardzo nisko upadł. Do tego przyszło, że protestanci księżom naszym proponowali, aby na wspólną z nimi pracowali, obiecując im wielkie korzyści materyalne. Czytałem w tych dniach kilka artykułów protestanckich przyznających fakt wzrostu i postępu katolicyzmu w Stanach Zjednoczonych, choć nie wszystkie przyczyny są zarówno prawdziwe: nie chcą bowiem ostatecznie wyznać głównej, to że katolicyzm jeden jest prawdą, jest Boskim. Dają zaś następne powody: 1-o podpalanie kościołów katolickich przez fanatyków. Otóż tyle wskórali, mówią, że katolicy na miejsce jednego spalonego stawiają dziesięć i sto nowych, 2-o piękność służby Bożej, muzyki i śpiewu, choć przyznają, że i presbyterianie pozaprowadzali organy do kościołów, a jednak dla tego prozelytów nie czynią, pomimo że dzwony ich nadto piękne aryjki wygrywają, tak zwane, *carillons*. 3-o Ponieważ księża katolicy opowiadają tylko Chrystusa i Chrystusa ukrzyżowanego, a ministrowie wiernych swoich tylko polityką karmią. Owóż nikt do kościoła nie chodzi, by słuchać powtórzenia artykułów, które już po dziennikach czytał. Ten powód jest prawdziwy, ale jest tylko następstwem prawdziwości katolicyzmu. To pewna, że Kościół katolicki zajął tu już poważne i znaczące stanowisko; dodam, iż w nim leży tajemnica przyszłości Stanów Zjednoczonych, bo on jest jedyną siłą moralną zorganizowaną, wobec organizacji towarzystw tajnych.

Będąc w stolicy handlowej Stanów Zjednoczonych, a niemogąc całego kraju widzieć, postanowiłem użyć połowy pozostającego mi czasu, aby zwiedzić stolicę polityczną Washington, i metropolię katolicyzmu Baltimore. Zapewniwszy zatem sobie miejsce na statku do Brazylii, puściłem się przez Filadelfią do Baltimore, ile że dowiedziałem się, iż w niedzielę 22 t. m. miał być błogosławiony kamień węgielny nowego kościoła, czwartego już niemiecko-katolickiego dla OO. Redemptorystów w Baltimore.

Baltimore jest stolicą Marylandu, kolonii katolickiej, założonej roku 1634 przez Leonarda Calvert, brata lorda Baltimore; miasto pięknie położone na wzgórzu nad rzeką Patapseo, liczy 200,000 ludności w połowie katolickiej, to też tu się oddycha powietrzem nieporównanie bardziej chrześcijańskim niż w Nowym-Yorku. Z pomników publicznych oglądałem kolosalny posąg Washingtona, ale coś kiedy to powtórzenie kolumny Trajana w Rzymie. Katedra katolicka zajmuje najpiękniejszy plac w mieście, ale stylu dziwnie mieszanego. Fronton grecki, kopuła bizantyńsko-saraceńska, a do tego dwie wieże ukształt minaretów mahometańskich. Trudno w Ameryce znaleźć coś oryginalnego w architekturze, a gdy się widziało św. Piotra w Rzymie, św. Zofię w Carogrodzie i Tum koloński, to już trudno coś spotkać, coby zajęło i uderzyło. Bardziej mnie zajął ks. arcybiskup Spalding, metropolita Stanów Zjednoczonych, pierwszy Amerykanin wychowany w propagandzie w Rzymie, mąż uczony, pobożny i czynny. Lat temu pięćdziesiąt, była tu jedyna siedziba biskupia na całe Stany Zjednoczone, dziś jest ich przeszło czterdzieści, i 4,000,000 wiernych. JM. ks. Spalding, godnie zajmuje miejsce metropolity tego wielkiego kraju. A jak każdy człowiek prawdziwie wyższy, przystępny jest i pełen prostoty. Pytał mnie się łaskawie, czybyśmy nie mogli w jego diecezyi domu naszego założyć? A gdym mu odpowiedział, że na teraz nie widzę podobieństwa, i że zresztą on najbogatszy w zakłady ze wszystkich biskupów w Stanach Zjednoczonych, rzekł: „Niemcy są nieźli co do kościołów i szkół, ale młodziem angielskiego języka, wiele jeszcze potrzebuje.” Rzeczywiście Niemcy są ogólnie najlepiej zaopatrzeni, bo chętnie łożą i mają podostatkiem zdolnych nauczycieli. Gdy nastąpi zbliżenie się i Niemcy zaczną się żenić z Irlandkami i na-

i nawzajem, z tych dwóch ludności pomieszanych, powstanie nowa rasa amerykańska, bo dawna coraz bardziej niknie. Ó! jak Niemiec cokolwiek myślący, powinien nie cierpieć Lutra! Gdyby nie ta nieszczęsna reformacja i wojna trzydziestoletnia, to Niemcy mieliby dziś najpiękniejsze kolonie w świecie, a obecnie kolonizują oni dla innych.

Już mi to Niemiec jeden wracający z Ameryki powiadał, że Niemcy tu pozbywają się swego mazgajstwa, rozlałości (*Scilendrian*). Widać i powietrze tutejsze suche, lekkie, wpływa na organizm, bo niemczyki tu porodzeni są smuklejsi, zwinniejsi, dowcipniejsi. Konie tu żwawsze od angielskich, mają coś arabskiego.

W niedzielę tedy, miałem śpiewaną mszę w kościele św. Krzyża, z wystawieniem Najśw. Sakramentu, na czterdziestogodzinnem nabożeństwie. Zbudowany byłem skupieniem ludu i mnóstwem komunikujących. Po obiedzie zaś byłem na zapowiedzianej processyi. Wszystkie bractwa męzkie szły w processyi z chorągwiami; burmistrz pozwolił na muzykę religijną (*sacred*) na ulicy, choć to było w niedzielę. Dziennik podaje liczbę członków na 3500, księża mi mówili o 10,000, licząc może tych, co nie szli w rzędzie. Ludność cała miejska stała rzędem po dwóch stronach ulic przez które szła processya. Trzydziestu księży jechało w powozach, a zeszło z półtóry godziny, zaniemeśmy przybyli na miejsce. Błogosławił kamień węgielny wikary jeneralny, (bo ks. arcybiskup społecznie błogosławił drugi dla OO. Jezuitów za miastem) a potem miał przemowę w języku angielskim. Jeden z OO. Redemptorystów miał kazanie w języku niemieckim, w końcu podziękował obecnym katolikom nie Niemcom, po angielsku, i zanucił niemieckie *Te Deum*, „Herr, wir loben dich.” 10,000 ludzi śpiewających zgodnie na tę poważną i pobożną nutę, zakończyło godnie uroczystość, po której była wieczerza dla duchowieństwa.

Miałem jeszcze dzień jeden wolny, i użyłem go na zobaczenie Washingtonu o 40 mil angielskich od Baltimore oddległego. Pola już tu staranniej uprawne, co ogólnie uderza, w miarę jak się zbliżałem do Nowego-Yorku; ludność już częstsza, choć w porównaniu do Europy, zawsze rzadka. W Maryland czuć już powiew wiatrów południowych, czuć przejście z północy do południa. Powiat Columbia w którym

leży Washington, (mówi mój bardzo protestancki i liberalny Appleton) jest *sui generis*, ani stanem, ani terytoryum, użyty *pro bono publico*, na siedzibę Związkowego Rządu. Na ten cel ustąpiony został przez Maryland Stanom Zjednoczonym. Zajmuje powierzchnię sześćdziesięciu mil kwadratowych. Powiatem Columbii, rządzi bezpośrednio kongres Stanów Zjednoczonych, a mieszkańcy jego nie mają reprezentacji ani głosu w rządzie federalnym. Otóż to zupełnie położenie Stanu Kościelnego, kraju *sui generis*, *pro bono publico* całego Kościoła, urządzonego przez chrześcijaństwo, kraju nie mającego parlamentu, rządzonego przez kongres moralny stały, kolegium kardynałów, ale posiadającego nieoceniony przywilej i wszelkie materyalne korzyści, przeto iż jest stolicą i siedzibą głowy Kościoła. A przecież, na takie urządzenie bardzo naturalne w rzeczypospolitej amerykańskiej, bije w Europie całe stronnictwo rewolucyjne, a wiele gazet niby religijnych nawet, wtóruje jemu.

Washington leży nad rzeką Potomak, która rozdzielała przez lat cztery dwa bratobójcze obozy, to też patrzyłem na nurty jej z większym niż zwykle zajęciem, bo ta rzeka ma już przeszłość, jakkolwiek smutną. Zdaleka uderzyła mnie kopuła kapitolu z białego marmuru, jak gmach cały. Kapitol zbudowany na podniesieniu, ma być środkiem miasta nakreślonego na wyrast, dziś do 70,000 ludności liczącego. Z tarasów kapitolu piękny i rozległy widok na okolicę. Miejsce wybrał i pierwszy kamień węgielny tego gmachu położył sam Washington, 18 września 1793 roku. Spalili go w 1814 roku Anglicy, wraz z biblioteką kongresu, mieszkaniem prezydenta, i innemi publicznymi gmachami. W r. 1818 został zupełnie naprawiony, a 4 lipca 1851, prezydent Filmore położył pierwszy kamień dwóch nowych skrzydeł, które budowę tę w dwójnasób rozszerzyły. Ma ona 751 stóp długości, a zajmuje trzy i pół akrów. Przyległe grunta pięknie uprawne, ozdobione wodotryskami i posągami, zajmują dwadzieścia pięć do trzydziestu akrów. Izba posłów i Senat, umieszczone są po bokach centralnego gmachu. Wielka rotunda pod kopułą, ozdobiona jest ośmiu wielkimi obrazami z historyi amerykańskiej, przez krajowych artystów malowanemi. Wewnątrz i zewnątrz są inne dzieła pędzla i dłuta, mianowicie zewnątrz olbrzymi posąg marmurowy Washingtona przez Grenough, a wewnątrz pię-

kne popiersie naszego Kościuszki. Jakkolwiek kopuła jest naśladowaniem rotundy rzymskiej św. Piotra, św. Pawła w Londynie, św. Genowefy w Paryżu, zawsze pięknie i poważnie wraz z całym gmachem wygląda. Mieszkanie prezydenta, albo *biały dom*, jak go lud nazywa, (*the white House*) ładny ale nie okazały pałac, z kamienia białego malowanego, ozdobiony jest zewnątrz brązowym konnym posągami generała Jackson, przez p. Clark. Inne gmachy publiczne i ministerstwa, *the Treasury Department*, *the General Post Office*, *the Patent Office*, (Spraw Wewnętrznych) i t. d. z kolumnadami swymi greckimi. albo są podług jednego planu budowane, albo bardzo do siebie podobne. Z tem wszystkiem Washington raz wykończony, w rodzaju swoim może się stać pięknym i okazałym miastem.

Dodam tu, iż jeden poczciwy proboszcz, ofiarował zgromadzeniu rozległy grunt przez siebie zakupiony, byleby tu osiąść chciało, ale trudniej o dobrych misjonarzy, niż o grunta. Dodam jeszcze, iż słyszałem, że koło Filadelfii jest także kolonijka polska, to jest dosyć robotników po tamtejszych kopalniach węgla, wszakże nie mogłem zatrzymać się w celu ich odszukania, dla braku czasu i pieniędzy; wskażę ją wszakże misjonarzom naszym, i gdy Bóg da fundusz dostateczny do zwiedzenia całego rozproszenia polskiego po Ameryce, wtenczas będziemy mogli może zająć się i dwoma koloniami polskimi w Teksas, (już się to udało skutecznie od jesieni 1868 r.) które zrazu Franciszkanie polscy obsługiwali, a dziś nam ofiarują ¹⁾). Czytałem też w dziennikach, że pan Smoliński zakupił spory grunt dla pięćdziesięciu rodzin polskich, na pograniczu Luisiany i Teksas; tak już trzy kolonie polskie byłyby koło siebie, (bacząc zawsze na odległości amerykańskie).

Wypada mi na zakończenie tego listu, powiedzieć coś o Nowym-Yorku. Miasto to założone było już 1612 r. przez Holendrów. Poznałem p. Zborowskiego, potomka jednego

¹⁾ Umarł niedawno w Syrakuzie zacny O. Rozsadowski, po raz drugi misjonarz w Stanach-Zjednoczonych, a po środku mistrz nowicyuszów w wielkim klasztorze w Assyżu. Był on jednym z tych zacnych kapłanów polskich, którzy naprawiali złe mniemanie wywołane zgorszeniami niektórych duchownych włoścążów.

z osadników tej epoki. Jakkolwiek protestant, wiele zawsze świadczył naszym wygnańcom; niestety, najczęściej źle się nasi spisywali. Wiem to z boku, bo sam p. Zborowski zanadto *gentleman*, by się skarżył. Owszem, po uprzejmości jaką mi okazał widzę, że ostatecznie zrażonym do Polaków nie jest, i świadczy znowu przybyłym z ostatniego powstania. Wracam do Nowego Yorku. W^Tyborne położone pomiędzy Hudson a Est River, z portem wygodnie przystępnym a tak obszernym, iżby w nim wszystkie floty świata łatwo się mogły pomieścić; to miasto położeniem samem tłumaczy swą pomyślność handlową. Wszakże dopiero od lat pięćdziesięciu a raczej trzydziestu tak nagle się rozrosło, że liczy już przeszło milion ludności, której prawie jedna trzecia jest katolików religijnie, a językowo, przeszło jedna trzecia Niemców. Zauważałem raz w omnibusie, że okrom mnie byli sami Niemcy i dwóch żydów. Jest tu ze dwadzieścia świątyń dla protestanckich Niemców, kilkanaście synagog, pięć czy sześć kościołów dla katolików niemieckich. Drugie tyle kościołów by potrzeba, a księży i trzy i cztery razy więcej. Dziesięciu księży Redemptorystów pracuje tu od rana do wieczora bez wytchnienia, a zaręczają że na dwudziestu umierających, dziewiętnastu jest takich, którzy do kościoła nie chodzili dla odległości, tłoku i braku ławek. W szkole elementarnej księży Redemptorystów jest 1800 dzieci!

Co do Polaków naszych, nie wiem ilu ich tu być może; wiem że już dosyć z ostatniego powstania przybyło, sądząc że będzie zawsze do tysiąca. Powiedział mi braciszek domowy Górno-Szlązak rodem, iż raz gdy przejeżdżający kapłan polski zapowiedział kazanie, zebrało się ich stu pięćdziesięciu. Żyjąc z dnia na dzień w oczekiwaniu, nie zdobyli się na własną kaplicę, choćby byli znaleźli ku temu pomoc, doświadczając w rozmaitych epokach żywej sympatii ze strony Amerykanów. Gorzej jeszcze rzecz stoi z Czechami, których tu ma być do ośmiu tysięcy, emigrantów niepolitycznych, jedno dla chleba przybyłych, a którzy jednak nie pomyśleli o założeniu religijnej osobnej parafii czeskiej. Ks. Urban Redemptorysta, Morawianin rodem, zdolny też wypowiadać Polaków w razie potrzeby, powiedział mi, że częściej jeszcze doń zabłąka się Polak niż Czech. O! biedne to plemię słowiańskie, jak mało w niem kleju i ducha organizacyi. Oderwani

od rodzinnej ziemi, wyradzają się, a religijnie zaniedbują, jak Kanadyjczycy. Ale czas o mieście samem coś powiedzieć.

Obejrzałem co mi mieszkańcy sami jako najciekawsze zachwalali. Najprzód *Central park*, wielki ogród publiczny, zajmujący 843 akrów, rozciągający się na dwie i pół mile wzdłuż, a na pół mili w szerz. Miliony kosztował grunt, miliony kosztowały ozdoby, sztuczne jeziora, mosty, chodniki, domki. Galeria rzeźby, zakład ptaków i zwierząt żywych i wypchanych, wszystko jeszcze w dzieciństwie. Widziałem tu wystawne powozy bogaczy i pałace ich w piątej Avenue. Widziałem *Union Square* z posągiem konnym Washingtona, przypominającym do żywego posąg Marka Aureliusza w Rzymie. Zwiedziłem *Trinity Church*, najpiękniejszą świątynię zdaniem wszystkich należącą do episkopalnych Anglikanów. Schodziłem wielką ulicę handlową Brodway, obejrzałem miasto we wszystkich kierunkach, wszedłem na wysoką wieżę kościoła Najświętszego Zbawiciela, przy którym mieszkam, przyglądałem się temu niezmierzonemu okiem lasowi domów, ulicom długim, szerokim, prostym, przecinającym się regularnie pod kątem prostym, wystającym nad domy wieżom kościołów i kominom fabryk, i przysłuchiwałem się głuchemu szmerowi miasta, jakoby brzęczeniu pszczoł w potwornej wielkości ulu. Przyglądałem się portowi, który dokładniej jeszcze z okrętu mego zobaczę, ale już wtenczas list mój będzie na pocztę, może w drodze ku Europie. Ponieważ sam nie najprostszą drogą wracam, i zaledwie za dwa miesiące możecie otrzymać odemnie następującą wiadomość, przeto chcę sam list mój oddać na pocztę, i przeto go zamykam, siebie i Was miłosierdziu Bożemu polecając.

P S. Muszę jeszcze dodać, że trudno opisać serdeczną gościnność, z jaką tu przez wszystkich członków Zgromadzenia byłem podejmowany. Bóg im zapłać! Widok takiej cnoty obok nieustannej i natężonej pracy, buduje, rozrzewnia, trzyma w pokorze. O! daj nam Boże co najrychlej, jak najwięcej takich kapłanów!

LIST V. ')

żegluga z nowego yorku do RIO-janejro.

Jakkolwiek miałem pewne pojęcie o odległościach amerykańskich nie sądziłem jednak, by podróż statkiem parowym ze stolicy Stanów Zjednoczonych do stolicy Brazylii, miała trwać całych dób 27! a następnie by kosztowała tyle; bo 250 dolarów i to złotem, więc papierami 300! Wahałem się długo, ale ks. Medejros mianowany świeżo biskupem półtoramilionowej dyecezyi Olinda Recife, albo Pernambuco (najpobożniejszej z całej Brazylii) tak mocno nastawał, obiecując obfitą kwesę na seminaryum polskie, że w końcu poświęcił moją odrazę. Ponieważ prałat ten nie mógł przybyć z Rzymu, aż za kilka miesięcy, podług jego rady wybrałem się naprzód do stolicy cesarstwa. Wsiadłem ostatnich dni października na statek, dawny bryg wojenny, świeżo przerobiony i pomalowany. Nowa była kompania, i drugi dopiero okręt jej odpływał. To też wszystko zdradzało pośpiech amerykański; kilka godzin czekaliśmy w porcie na zapasy żywności, kapitan wyglądał na studenta, szczęściem że już był porucznikiem w marynarce wojennej i że był współwłaścicielem statku, w części interesowanym aby dbał o jego całość; wszakże do Brazylii pierwszy raz miał płynąć. Porucznikiem jego był stary majtek, a załoga okrętowa składała się ze zbieraniny, bo był i Irlandczyk pobożny jedno pijak, i Niemiec i murzyn. Wszystko to lichy wyglądało obok wielkich, licznie obsłużonych okrętów transatlantyckich: ale darmo, cofnąć się nie było podobnem. Perspektywa też stracenia dwudziestu kilku mszy, a nawet w dzień Wszystkich Świętych, i Zaduszny nie dodawała wesołości: ale i to Bogu się ofiarowało.

‘) $\frac{2}{3}$ obecnego listu, zaginęło na poczcie. Zastępujemy tę lukę krótką, notatką, na jaką pamięć po trzech latach zdobyć się może. Pamiętam że osładzałem sobie długą przeprawę, spisywaniem wiadomości o dziejach, jeografii i statystyce Brazylii — powtórzyć tego dla braku dzieł podręcznych nie mogę.

Wyjechałem ubrany jak na zimę i przez dwa dni pierwszych winszowałem tego sobie. Ale rychło poczułem wiatr ciepły; wpłynęliśmy w prąd meksykański i stopniowo rozbiegać się było potrzeba. Koło Bermudów angielskich, już zupełnie letniem powietrzem się oddychało.

Poznałem się bliżej z kapitanem, mówiącym wcale nie źle po francuzku. Dowiedziałem się od niego że się uczył na ministra, ale że go dogmat kalwiński predestynacji bezwzględnej zraził, wołał zatem zostać marynarzem. Przyszedł do mnie z rana dnia trzeciego, donosząc, że w nocy nagle skończył biedny, młody Hiszpan suchotnik, pytając czybym nie chciał pobłogosławić zwłok przed spuszczeniem ich do obszernego grobu w nurtach oceanu. Miałem ze sobą rytuał, zaopatrzyłem się we wodę święconą, wdziałem sutanę, kapitan kazał zatrzymać okręt, stał z odkrytą głową wraz z całą służbą podczas gdy odmawiał modlitwy z rytuału: a potem biedny nieboszczyk, w kołdry uwiązany i do deski przywiązany, spuszczonego został w fale, które się wnet nad nim zamknęły.

Nie długo potem, majtek czyszczący coś około maszyny, pochwycony został za rękaw i w jednej chwili ramię jego było zdruzgotane. Zaproszony zostałem z innymi kilku do zebrania kolekty na inwalidę na resztę życia, a ta przyniosła sto kilkadziesiąt dolarów; oddano go do szpitala angielskiego na wyspie świętego Tomasza, dokąd szóstego dnia żeglugi, na kilka godzin zawinęliśmy, dla zaopatrzenia się w świeżą wodę i t. d.

Naga ta skała do Danii należąca o tyle ma wartości, że posiada niezły mały port, i przeto mnóstwo okrętów doń zawija, i jeżeli mnie pamięć nie myli, czternaście linii statków ma tu swoje bióra. Dostaje tu kupców przyjeżdżających robić majątki, a wszyscy do łoża masonskiej wpisani. Ludność głównie murzyńska i mieszana, obyczaje najgorsze. Nie dziw że nie dawno zaraza przeczyściła to gniazdo zepsucia. Nowi mieszkańcy przybyli ze sąsiednich republik hiszpańskich. Jest tu kościółek katolicki, szczęściem świeżo poświęcony. Redemptorystom, gdzieś mógł mszę świętą odprawić, i kilka godzin w świętem towarzystwie spędzić.

Odtąd przez dni piętnaście aż do Pernambuco w Brazylii byliśmy wciąż na pełnem morzu. Widzieliśmy zrazu Au-

tylle, potem niekiedy brzegi brazylijskie, mogliśmy rozróżnić po barwie wody Amazonki największej rzeki na świecie, przepłynęliśmy pod równikiem, aleśmy nie byli chrzczeni przez majtków: za mało ich na statkach parowych by mieli czas do podobnych, choć zyskowych dla nich igraszek.

Towarzysz mój kabiny, były pułkownik w służbie Stanów Zjednoczonych, nie był zajmującym i coś na żydka wyglądał. Wiózł ze sobą egzemplarz działa, niby kolosalnego rewolwera; wszakże jak dowiedziałem się później w stobcy, rząd brazylijski nie kupił u niego tego rodzaju maszyny piekielnej, znajdując iż potrzebuje zbyt licznej obsługi. Było i dwóch oficerów ze Stanów-Południowych, chcących osiąść w Brazylii. Ale głównie mnie bawiły ryby latające. Nie wielkie, srebrzysto-białe, mogą za pomocą skrzydeł swoich podlatywać dopóki im one nie oschną; niekiedy padają na okręt, a w pewnych porach i okolicznościach bardzo są liczne. Dzięki modlitwie, książkom, pisaniu, trzy tygodnie na morzu jakoś mi przeszły, stanęliśmy nareszcie przed Pernambuco, portem brazylijskim najbliższym Europy.

Dnia 19 listopada z powodu niedzieli nie wysiedliśmy na ląd, słyszeliśmy tylko wieczorem wystrzały i widzieliśmy ognie sztuczne. Dowiedziałem się nazajutrz, że obchodzono święto *da Nossa Senhora do pilar*. Mszę św. nazajutrz (20go) zmówiłem w kościele Franciszkanów (Reformy portugalskiej). Uderzyła mnie czystość, powiem wykwintowość kościoła; widziałem to samo we wszystkich innych: dowód, że protestanci przesadzają niesłuchanie niedostatki moralne i umysłowe duchowieństwa brazylijskiego. Dopóki bowiem kapłan dba o ozdobę domu Bożego, dowodzi, że nie jest w rozbracie z Bogiem. Młody zakonnik, O. *Joachim do Espirito Santo*, mówił płynnie po francuzku, on mi zatem towarzyszył do śniadania i oprowadzał potem po mieście, jemu też powierzyłem list do O. Opata Benedyktynów w Olindzie. Jest on jednym z redaktorów dziennika religijno - politycznego *Esperanza*, resztę redakcji składają trzej profesorowie uniwersytetu z wydziału prawniczego i jeden lekarz: drugi dowód, że i w świeckich światłych Brazylijczykach przywiązanie do religii katolickiej nie wygasło. W ostatnim numerze, znalazłem wyjątek z dzieła Mgra Eyzaguirre z (Chili) powstającego na exuberancję i nadużycia w różnych procesjach i nabożeń-

stwach w Rio-Janejro. Znalazłem drugi artykuł o potrzebie dobrego duchowieństwa i wyrażoną nadzieję, że w dyecezyi Pernambuco, nowy, światły i gorliwy biskup, ks. dc Medeiros zajmie się kształceniem nowego kleru. Ponieważ dziennik *Esperanza* wciąż najprzychylniej o sprawie polskiej mówi, podziękowałem im z mojej strony i usłyszałem oświadczenie gotowości dopomożenia mi, do osiągnięcia celu mojej podróży. Podziękowałem, zamawiając ich dobrą wolę na czas podróży mojej zwrotnej do Pernambuco, prosząc aby tymczasem opinię publiczną przygotowali do zrozumienia ważności seminarium polskiego w Rzymie, dla prześladowanego Kościoła polskiego. Czytałem jeszcze opis tryumfalnych owacyj po prowincjach i w stolicy dla cesarza i jego zięcia wracających po czteromiesięcznym pobycie na polu walki z Paragwajczykami. Zdaje się jednak że wojna potrwa, ho przyszedł rozkaz by dwa bataliony gotowe do wymarszu, siadły natychmiast na statki i udały się na plac boju. Uważałem obchodząc miasto, że rośnie pełno domów nowych, porządne mosty wiszące na rzece, nowe place otworzone. Stara Olinda zato tak pusta, że za czterdzieści funtów angielskich można nająć duży dom na rok cały. Wyczytałem jeszcze w dziennikach w Pernambuco, że lord Palmerston umarł 18 października. Śmierć tego ministra przez lat 60, który uosabiał instynkta John Bula, i umiał nim obracać jak chciał; śmierć tego naczelnika wolnomularstwa angielskiego, może europejskiego, a w każdym razie łoż, które Anglicy po całym świecie, wśród Turków, Persów, Egipcyan pozakładali; śmierć takiego człowieka mówię, musi wyrzucić wpływ na politykę angielską, a może i europejską. Wewnątrz lord Russell pochylił się niewątpliwie ku partyi radykalnej, albo reformistowskiej.

Śród tych myśli wypłynęliśmy wieczorem (20go) z portu. Na pokładzie spotkałem leżące dzieło z następującym tytułem: „*Book of Massonic Jurisprudence by Albert G. Muckey M. D. New-York 1865.*” Przypisane panu Levis Esq. naczelnikowi wolnomularstwa w Stanach Zjednoczonych. Jest to kodyfikacja zarazem zakonów i historia prawodawstwa wolnomularskiego występującego otwarcie, jako społeczeństwo osobne, organiczne, uniwersalne, za pomocą którego Stany Zjednoczone wykonywać będą program paua Sevard rozszerzenia republiki na kontynencie amerykańskim (ostrzeżenie

nie tylko dla Meksyku i Brazylii) ¹⁾ a nawet i w Europie. Amerykanie coraz otwarciej mówią, że ich powołaniem jest prowadzić dalej postęp świata i spełnić to, czego ani Rzym dawny, ani Rzym papieżki wykonać nie zdołał. Przeglądałem na statku świeże dzieło amerykańskie które ten program rozwija: „*Thoughts on the future Civil policy of America; by John William Draper Nev-YorJc 1865 by Harper and Brothers*. Mówi on, że Ameryka rozparta między Atlantykiem a oceanem Spokojnym, ma jedyne położenie do działania zarazem na Europę i Azyę. Jest on *Klimaterysta*, to jest że każdy klimat czyni daną ludność taką a nie inną ²⁾. Widzi kilka zon różnych w obecnych już Stanach Zjednoczonych, a przeto kilka ludności fatalnie różnolitych. Spodziewa się jednak, że łatwa lokomocja za pomocą dróg żelaznych z północy na południe i *vice versa*, wpływ różnych klimatów potrafi uchylić! Ale przedewszystkiem obok koncentracji władzy, niezbędnej w wielkich krajach, radzi jeszcze by rząd wziął monopol inteligencji przez szkoły i dawał urzęda tylko uczonym, jak w Chinach. Temu systematowi uczonego mandarynizmu przypisuje on, że Chiny tak rozległe, przy takiej różności klimatów, są jednak jednolite. A więc znowu zbija sam siebie i pokazuje, że nie sam klimat wyłącznie i fatalnie czyni naród takim a nie innym: bo że przeważnie wpływa na organizm, charakter, umysłowość narodów, tego nikt nie przeczył i nie przeczy.

Wszystkie te objawy pokazują, że Ameryka będzie *enfant terrible* dla świata, a dla Europy w szczególności, że chce podbijać, a następnie wolność poświęcić wewnątrz dla siły na zewnątrz i dla bogactwa.

Żegluga nasza ku Bahia nic szczególnego nie przedstawiała. Brzegi brazylijskie są dosyć niskie i skałami podwodnymi najeżone. Płynęliśmy zatem stale daleko od brzegów. Długą miałem rozmowę religijną z naszym kapitanem; nie

¹⁾ Dziennik Brazylijski w Santo-Polo, świeżo powiedział: „gdyby się karzeł chciał bronić przeciwko olbrzymowi!, można przewidzieć na czym się skończy.”

Nie odpowiada, dla całego ludu w tym samym zawsze klimacie mieszkające, w różnych okresach były sde, czynne, albo opieszale.

wątpię, że ten człowiek może wrócić do Kościoła katolickiego w którym był ochrzczony.

Zrana 22-go stanęliśmy w obszernej spokojnej zatoce Bahia, (długa wyspa zasłania od fal pełnego morza). Miasto górne ze ślicznymi wieżami, kopułami, i świeżymi domkami rezydentów cudzoziemskich pięknie wygląda. Miałem list do O. Opata jeneralnego Benedyktynów brazylijskich. Nie było go w mieście, ale ksiądz prokurator, a mianowicie Ojciec przeor, z którym mogłem rozmówić się po łacinie i po francuzku, uprzejmie go zastępowali. Zmówiłem mszę świętą w kaplicy bocznej, cały bowiem kościół odnawiają. Kolosalny wielki ołtarz z białego marmuru, z Włoch został sprowadzony. Po śniadaniu chciałem zobaczyć katedrę, ale tu wczesnie zamykają kościoły, zaraz po odmówionych mszach; nie znalazłem przeto nikogo któryby mnie otworzył. Przy obiedzie poraż pierwszy jadłem maniokę zamiast chleba (choć były i małe bułeczki), a na deser banany, które już na wyspie św. Tomasza spotkałem. Tu kosztowałem po raz pierwszy *mango*, rodzaj niby śliwki-brzoskwini, bardzo słodkiej i z aromatycznym zapachem. Ananasy, kiedy nie są pierwszego gatunku, dają tu gotowane jak inne jarzyny do mięsa.

Po obiedzie i *siescie* (drzymce poobiednej) O. przeor, (który był zrana dość zajęty, bo jest na czele szkoły przygotowawczej), podjął się przedstawić mnie księdzu arcybiskupowi Manoel, prymasowi Brazylii; kazał sprowadzić powóz z woźnicą -i lokajem w liberyi i tak puściliśmy się w dość odległą część miasta, właśnie przez cudzoziemców zamieszkałą. Ks. Arcybiskup, poważny starzec, mówi po łacinie i po włosku, był bowiem w Rzymie za czasów Grzegorza XVI, będąc jeszcze kanonikiem w Rio-Janejro, ale że mówi też płynnie po francuzku, więc w tym języku rozmawialiśmy przynajmniej przez godzinę. Oświadczyłem Ks. Prymasowi, że dziś jestem tylko przejazdem w Bahia, i przychodzę złożyć winne uszanowanie, ale, że wrócę, i wyłożyłem mu cel mej podróży. Zrazu przyjął mnie zimno, stanowczo nawet zimno, choć grzecznie. Ale po półgodzinnej rozmowie udo-bruchał się, rozgrzał nawet, i oświadczył po kilka razy, że za moim powrotem będzie starał się mi dopomóc ile tylko będzie w jego mocy. O. Przeor odwiózł mnie *in pompis* aż do portu ponawiając zaproszenie, abym za powrotem do ich

klasztoru a nie gdzieindziej zajechał, choć już wie dobrze że o pieniądze będę stukał.

Śpieszyłem się na statek niepotrzebnie. Wiedziałem już, że mamy zabrać 400—500 żołnierzy brazylijskich i dlategośmy się dłużej w porcie zatrzymali. Powiedziano mi, że odpłyniemy nazajutrz 23-go, o godzinie 5-ej zrana: trzeba było zatem spać na statku. Tymczasem odpływamy dopiero o 5-ej po południu. Udałem się więc zrana na ląd, tylko dla zmówienia Mszy świętej w najbliższym porcie kościele, *Nossa Senhora da Cencecaori* i wróciłem na statek. Takem się bowiem okrutnie wypocił dniem przedtem, drapiąc się do górnego miasta i chodząc po słońcu, że nie miał ochoty dzień po dniu tej samej operacyi odbywać; ile że mam wrócić i będę mógł spokojniej resztę miasta i osób odwiedzić! Są tu jeszcze Karmelici, Franciszkanie i Kapucyni. Negrów pełno. Jedni wolni i cywilizowani, *gentlemen*; inni dźwigają ciężary z dolnego do górnego miasta, nosząc osoby w portantynach, wioślą na łodziach i t. p. Dnia 22-go pod wieczór przybył na statek sztab mającego odpłynąć batalionu. Pan kwatermistrz wioził ze sobą ładną papużkę i klatkę pełną małych małpek, zwanych *marmusitos*, które bawią się kobiety i dzieci jak salonowemi pieskami. Przybył nareszcie i batalion ochotników, 450 żołnierzy, z małym wyjątkiem wszyscy czarni, młode chłopaki ledwo co przemusztrowane, i 40 przeszło oficerów, w liczbie których kilku czarnych. Mieli też ze sobą kapelaua, młodego przyzwoitego księdza mięszanej krwi. Nie pojmowałem zrazu jak się ta cała czereda na statku pomieści, a jednak się pomieściła. W porcie zaraz mieliśmy przykry przypadek. Na odjeźdźnym strzela się z działa; kanonier okrętowy oddalił żołnierzy od działa, a potem trzymając lont zapalony patrzył w górę wyczekując na skinienie kapitana; otrzymawszy rozkaz dał ognia, nie uważając że w tej chwili młody żołnierz czarny położył był rękę na otworze działa. Nabój choć bez kuli, tak mu pokaleczył palce, że je chirurg odciać musiał.

Czas był stale pogodny. Ryby latające już nie bawiły, tak zpowszedniały. Alg bawiły mnie młode *maruiny*, pływające w zawody ze statkiem parowym, wszakże długo walczyć nie mogły. Rozmawiałem na statku z młodym adwokatem który doktoryzował się w Paryżu a przytem był dobrym kato-

likiem; jeździł był naumyślnie do Sorreze dla poznania Ojca Lacordaire, podziwiał wielce O. Yenturę: obecnie był kapitanem. Poznałem też **J.** Joaquinio Ignazio, radcę stanu, byłego ministra marynarki, którego mam w Rio-Janeiro odwiedzić. Kapitan nasz przepływał w nocy z wielką ostrożnością koło *Abrolhos* (co po portugalsku znaczy: *otwieraj oczy*) wązkim kanałem wśród skał podwodnych. 26-go zrana ujrzeliśmy górzyste wyspy *Las Ancoras* potem *Cap frio* (zimny), i zbliżaliśmy się do portu; wtem mgła tak gęsta powstała, że kapitan był mocno zafrasowany: „Wesoła rzecz, mówił, wiem że mam przed sobą tyle wysp i wysepek, a nie widzę wiele dalej nad koniec mojego okrętu.” Przypomniały mi się mgły około *Terre-Neuve*. Szczęściem, że były minister i drugi oficer marynarki brazylijskiej znający miejscowość, dawali wskazówki sternikowi. Szczęściem też jeden okręt żaglowy wypływał z portu, a drugi płynął ku niemu nieco przed nami. Nareszcie rozjaśniło się dosyć aby można się rozpoznać.

Sterczały w półkole przed naszymi oczami góry ostre, podarte a na skrzydle ich tak zwana głowa cukru, *o pan d' assucaro*, wszakże w turbanie z obłoku. Zatoka Rio-Janeiro mająca do 100 mil obwodu, kształtu trójgraniastego, wyłożona w granitowych skałach, jest jednym z największych, najbezpieczniejszych portów na świecie, a zdaje się że ze wszystkich najpiękniejsza; i golf neapolitański i *róg złoty* carogrodzki muszą przed nią ustąpić. Ze statku podziwiałem różne wzgórza *morro śniętej Teresy*, *San JBento di Castello*, zabudowane klasztorami i kościołami, bo zakonnicy pierwsi tu jak wszędzie prawie się zabudowywali. Na teraz poprzestanę na tem; właściwie powinienem był tylko zawołać z Mickiewiczem: *To Czatyrdah!.... Aa!*

Trzeba wrócić do prozy życia; bo oto policja i celnicy wchodzą na statek. Podpisano mi pasport, nie rewidowano rzeczy, więc puściłem się do San Bento, gdzie miałem mieszkać. Wszakże miejsca tam nie było, więc przeniosłem się do Kapucynów, gdzie przyjęty z prawdziwie braterską gościnnością; położenie cudne na górze nad morzem.

P. S. Od 26-go listopada wieczorami po dziś dzień miałem czas rozpatrzeć się nieco, czy jest nadzieja wyzyskania coś dla seminarium polskiego. Niestety! kraj zajęty i wycień-

czony wojną; 300 milionów franków musiał rząd zaciągnąć pożyczki, nadto składki ciągłe, na inwalidów, na szpitale » i t. d. Krucha zatem po ludzku nadzieja, ale u Boga niema nic niepodobnego. To pewna, że tu jest żywe spólcucie dla Polaków.

C S P ^ " ^

LIST VI.

k i o j a n e j b o .

Od 26-go listopada do 24-go grudnia 1865 r.

Moi najdrożsi! Wahałem się zrazu czy mam dalej pisywać do was nie mając czasu ni dość wolnej myśli, aby oglądać na urząd miasto i zdawać wam sprawę z moich postrzeżeń. Wspomniałem w zeszłym liście, że przybył tu w niepomyślną porę, bo okrom wojny i ciągłych składek, na ochotników, rannych i t. d. ogromne bankructwa zeszłego roku, i upadek handlu, dają dotkliwie czuć brak pieniędzy, a więc nie usposabiają do ich wydawania. Radziłem się tu dziś znających kraj co mam czynić? Odpowiedzieli mi: „gdybyś się nas był radził czy masz teraz przyjechać, odpowiedzielibyśmy ci byli sumiennie, nie, zaczekaj; ale ponieważ już tu jesteś, trzeba próbować szczęścia; tyle w tym kraju sympatyj dla Polski, że choć mniej i z większym nakładem czasu i zachodów, coś jednak da się zrobić, ale koniecznie trzeba otrzymać od administratora dyecezyi okólnik polecny do duchowieństwa i wiernych.” Postanowiłem zatem zatrzymać się dłużej, bo tu dla większego upału, i większych odległości niż w Rzymie, powolniej jeszcze robią się interesa; właściwie tu życie czynne trwa pięć godzin na dzień, to jest od dziesiątej zrana do trzeciej z południa; przez resztę czasu każdy odpoczywa i chłodzi się jak może. Muszę tedy chodzić i chodzić wiele za moją sprawą; co zobaczę ciekawego po drodze i przy sposobności, z tego wam zdam sprawę, a na zobaczenie reszty obrócę kilka dni przed wyjazdem ztąd. Zaczynam zatem spisywać dziennik mego tu pobytu od chwili przybycia.

26-go listopada w niedzielę, pod wieczór, uwolniony od rewizyi celowej opuściłem statek; z wielkiej radości wsiałem w łódkę nie umówiwszy się o cenę. i kazałem wieźć się do klasztoru Benedyktynów *Morro di San Bento*, zbudowanego na wzgórzu nad morzem. Zapłaciłem mój pośpiech, bo musiałem dać dziewięć franków (zamiast piętnastu o które się upominali) bo czarny policyant powiedział mi, że taryfy przepisanej niema, i że każdy sam się o cenę układa: większy tedy porządek w tak okrzyczanej *Civita- Yecchia!* W klasztorze zawód: Ojciec Opat oświadczył, że trzymał dla mnie celę przez kilka miesięcy, ale że obecnie wszystkie co do jednej zajęte, i radził się udać do O. Kapucynów. Uprosiłem sobie tę łaskę, że mi pozwolono przenocować w celi jednego Ojca bawiącego na wsi, abym po ciemku z tłomokami na niepewne nie tułał się po mieście: i bardzo szczęśliwie się stało, bo rychło deszcz obfity lunął. Przy wieczorzy oświadczył mi O. Prokurator, że gmach jakkolwiek na pozór wielki, zajęty jest w znacznej części na klasy dla pięciuset uczniów uczęszczających do ich szkoły. Dowiedziałem się od niego, że jak wszystkie zakony w Brazylii, tak i oni nowicyatu mieć nie mogą, i zostawieni są tylko do wymarcia. Dla czegoż, spytałem, odnawiacie takim kosztem kościół wasz w Bahia? — „Aby zostawić jeden ślad więcej odrzekł, że Benedyktyni nie byli nieużytecznymi.” Odpowiedź dowodząca, że istotnie godni żyć, i że rząd żywych grzebie; a sekret tej kassaty jak wszędzie, aby zabrać dobra i gmachy w najlepszych punktach miasta zabudowane. U dołu klasztoru leży arsenał marynarki; rozwalić tylko mur klasztorny, a klasztor zaokrągli budynki arsenału. Spałem niegodziwie tej nocy, upał większy na lądzie niż na morzu, w zamkniętej izbie (nie mówiąc już o komarach) dawał się czuć nawykłemu spać przez miesiąc przy otwartem okienku na morze.

Nazajutrz rano zmówiłem Mszę św. w obszernym i poważnym kościele Benedyktyńskim, i wybierałem się do Kapucynów; powiedziałem sobie, że stosowna aby św. Franciszek nie św. Benedykt opiekował się kwestarzem; przypomniałem, że mam list polecny od prokuratora Misyonarzy kapucyńskich w Rzymie, do wszystkich ich domów w Brazylii; odszukałem go i puściłem się w drogę.

00. Kapucyni przybyli tu z rodaczką swoją księżniczką neapolitańską a cesarzową brazylijską: * mieszkają na przeciwległej górze, zwanej *Moro do Castello*, gdzie się byli 00. Jezuici dawniej zabudowali. W gmachach ich mieszczą się obecnie: szpital wojskowy, szkoła medycyny, obserwatorium, telegraf i forteczka *Castello*. Od św. Benedykta do Kapucynów szedłem dawną handlową ulicą prostą *Direita*, przy której leży komora celna, bank i bursa, aż do pałacu cesarskiego *Largo dopaço*. Pałac ten, jeden z kilku cesarskich, bardzo prosty, dawny klasztor, równie jak kaplica cesarska, (dawny kościół karmelitanek) służąca też za katedrę. Ztamtąd wdrapałem się pod górę, aż do najstarszego tu kościoła św. Sebastyaana, który 00. Kapucyni całkiem na nowo przebudowali, zachowując tylko dawne murowane okrągłe słupy. O. Kajetan komisarz, Sycylijczyk, bystry, żywy, szczery, przeczytawszy list dawnego swego przełożonego, rzekł: „mam już czterech gości w domu, ale ponieważ jesteś cudzoziemiec w ambarasie, chodź.” Prosiłem tylko o gościnę na dni piętnaście, mówiłem o wynagrodzeniu: odpowiedział szorstko a pocziwie: „o tem potem, a wiesz że św. Franciszek pomiędzy nie bierze, a chleb powszedni swoim przysyła, to będzie i dla ciebie.” Podziękowałem Panu Bogu za gospodę, a tembardziej kiedym się dowiedział, że co tylko jest pobożniejszego w Rio Janeiro, to wszystko uczęszcza do tego kościoła. Jest ich tu czterech tylko, a że spowiadają jeszcze zakonnice w kilku klasztorach, więc można powiedzieć, że prawie nieustannie spowiadają. Wszyscy równie pocziwi i serd czni, a język włoski okrutnie już kaleczą, mieszając wciąż słowa portugalskie; co i mnie grozi w miarę jak językiem krajowym mówić zacząć.

Przedstawiłem się administratorowi dyecezyi, otrzymałem pozwolenie spowiadania we wszystkich językach mi znanych, alem o celu mojej podróży nic nie mówił, przed rozmówieniem się z nuneyuszem do którego miałem list polecający z Rzymu JMX. Internuncyusz Sanguigni mieszka na przedmieściu zwanem *Catete*, o trzy kwadransy drogi od Kapucynów nad morzem. Przechodzi się koło ślicznego wzgórza, na którym stoi kościół *da Nossa Senhora da Gloria* (Matki Boskiej chwalebnej,) a przedtem koło przechadzki publicznej (*passajeo publico*) nie zbyt wielkiej ale miłej. JMX. Internun-

cyusz bardzo mnie uprzejmie przyjął, dwanaście lat już nie był w Rzymie, więc rad o Rzymie słuchał, zaprosił na obiad, i owszem, zaprosił ile razy mi wygodnie będzie u niego obiadować. Ma przy sobie audytora, czyli sekretarza mgnora Ferrini, miłego i zdolnego młodego prałata. Tak był grzeczny, iż w umówiony dzień i godzinę zajechał po mnie, aby mnie osobiście administratorowi dyecezyi przedstawić, i o celu mojej podróży rozpowiedzieć; nie zastaliśmy go niestety w domu, ale rychło potem (29 grudnia) przypadała rocznica urodzin cesarskich; *Te deum* w kaplicy na którym musiał się znajdować. Tara się dowiedział o wizycie nuucyusza i w jakim celu. „O! co za piękna myśl zawołał, nie tylko napiszę okólnik, ale dam na składkę z *Casapia* (oszczędności z powodu wakującej stolicy biskupiej.)” Podziękowałem za tę łaskę Panu Bogu i niepokalanie poczętej Matce, której się nowenna odbywała; ale zanim zastałem księdza administratora, (bo wyjeżdżał na wieś) upłynęło dni dziesięć, trzeba było cierpliwie czekać, bo bez tego listu nic zacząć się nie udało. Spisałem tymczasem koniec mej podróży morskiej, który wam posłałem statkiem angielskim, odchodzącym 9-go grudnia z rana. Poznałem pana Zaccaria Vascoucellos, byłego prezydenta ministrów, wybornego katolika (o którym mi jeszcze mówić przyjdzie), dalej pana Diogo (James) Andrew, anglika osiadłego tu od lat czterdziestu sześciu, który zdawszy na syna sprawy handlowe, zajmuje się jedno dobremi uczynkami: wiele on dopomógł świeżo ks. Vaughan kwestującemu na seminarium missyi londyńskiej, który w Rio Janeiro samem, zebrał: 13 *contos*, to jest, blisko 7,000 skudów, przeszło 60,000 złotych polskich. Zresztą odbywałem spokojnie nowennę Niepokalanego poczęcia w domu, ile że kilka dni deszcz ulewnie padał. Kościół 00. Kapucynów ubrany był na sposób włoski w draperye i galony, ale jeszcze jaskrawiej niż we Włoszech; pierwszy też raz otworzoną została nowa kaplica, zbudowana dla Najświętszego Sakramentu.

Tegoż dnia po obiedzie było rozdanie nagród w kolegium założonem przez księdza kanonika Fonseca-Lima (do którego miałem list polecający od **księdza** biskupa Madeiros, ua którym miał prezydować zaproszony JMX. Internuncyusz. Zabrał on mnie z sobą i posadził po swej prawicy, mając po lewej jenerała naczelnego gwardyi narodowej w całym cesar-

stwie, którego tytułowali marszałkiem. Znosiłem te honory, bo były użyteczne dla mojej sprawy, biorąc wzór ze świętego Wiucentego Ferraryusza, który przybywając gdzie z missyą przyjmował wszystkie zaszczyty, aby lud z większym uszanowaniem słów jego słuchał, lecz sprawiwszy swoje, wynosił się cichaczem raniuteńko z miasta. Poznałem na tem zebraniu senatorów i innych mężów znakomitych położeniem i majątkiem. Wynudziłem się za to uroczyście, bo chłopcy grali na końcu długą komedyjkę portugalską, tak, że posiedzenie trwało do pięciu godzin: szczęściem spotkałem tam pocziwego Irlandczyka profesora, z którym mogłem rozmawiać przechadzając się po wstępnej sali. We dwa dni później, byłem podobnie z reprezentantem Ojca św. na rozdaniu nagród u sióstr św. Wincentego a Paulo, na przedmieściu *Botafogo*, które tu w braku innych zgromadzeń żeńskich poświęcających się wychowaniu wyższemu, trzymają pensyon dla panien z rodzin zamożnych. Nagrody były rozdane za postęp w nauce religii, historii świętej i powszechniej, jeografii, językach: krajowym, francuzkim, angielskim i niemieckim, w muzyce, rysunku i robotach ręcznych. Szczęściem, że tu najlepiej w całym Rio Janeiro uczą katechizmu. W^T całej Brazylii i znajomość i praktyka religii bardzo nisko upadły; a propaganda protestancka nie spi. Obok Sióstr jest liczny pensyon protestancki, do którego niestety dosyć rodzin katolickich, dzieci swoje oddaje. I tu był teatrzyk na końcu, ale pb francuzku i mniej długi, wszystko razem jednak trwało do czterech godzin.

Nazajutrz, w klasztorze panien Franciszkanek zwanym *d'Ajuda*, u stóp góry naszej leżącym, była msza doroczna za duszę matki cesarskiej, na której był dwór obecnym. Tu się lepiej niż w kaplicy cesarskiej przypatrzyłem rodzinie panującej. Cesarz lat 40 obecnie liczący, a panujący już lat 25, jak Saul przenosi głową cały swój lud, bo wysoki jest 6 stóp więcej, tuszy odpowiedniej wzrostowi; blondyn, już siwiejący, oczu błękitnych, jasnej cery, nosi na twarzy wyraz uprzejmości, to też powiadają, że jest najroślejszy i najlepszy z Brazylijczyków, (jak się wyraził jeden amerykańin w dziele o Brazylii.) Uzdolniony, szczególnie w matematyce, mechanice, lubi o wszystkim rozmawiać, i co sobota każdy może mieć do niego przystęp; przykładowy ojciec rodziny,

chętnie dający pomimo szczupłej listy cywilnej, gorącym jest patriotą brazylijskim; żona jego uizka, przysiadła, dobrą ma być i pobożną. Córka starsza, dziedziczka tronu, niska, blondynka, nosi wyraz łagodności na twarzy. Mąż jej, hrabia d'Eu, syn księcia Nemours, młody, przystojny, poważny młodzieniec. Druga córka cesarska, w poważnym stanie obecnie, nie była na nabożeństwie, jedno jej mąż, książę Saxe-Cobourg-Cohary rodzący się z jednej z córek Ludwika-Filipa, młody, przystojny młodzieniec, i twarz i ruchy ma niemieckie. Dwór brazylijski obok papieżkiego skromnie bardzo wygląda; wprawdzie nie była to wielka gala.

U stóp góry naszej, nad samem morzem, leży kościółek św. Łucyi. Tradycya mówi, że gdy Portugalczycy po raz pierwszy brali w posiadanie ten kraj, na miejscu, gdzie ten kościółek stoi, pierwsza tu przenajświętsza ofiara była sprawiona. Otóż obchodzono święto patronki kościoła, po brazylijsku; dzwoniąc bez końca od pierwszych niesporów, strzelając i słuchając muzyki na placu. W kościele ustrojonym suto bywa zwykle jedna i jedyna msza śpiewana z muzyką i małym kazańkiem. Lud odwiedza kościół, ale nie ma zwyczaju spowiadać się i przystępować do stołu Pańskiego. Uroczystości te wyprawiają bractwa *Irmacodades*, którym smutnej sławy Pombal oddał *de facto* w ręce zarząd kościołów, tak że proboszcz od nich zależy.

Nareszcie otrzymałem (13-go) okólnik od JMX. administratora bardzo przychylnie napisany, który przytaczam w tłumaczeniu polskim:

„Felix Marya de Frejtas Albuquerque, monsenhor (prałat) świętego Kościoła katolickiego i kaplicy cesarskiej, wice - rektor i profesor kollegium Jego Cesarskiej Mości, Piotra II; profesor w seminarium św. Józefa, wikaryusz kapitulary Biskupstwa, itd. Ponieważ religia nie może ostać się bez służby Bożej, ani ta bez sług ołtarza, ci ostatni są niezbędnie potrzebni, a następnie ich wychowanie w zasadach i prawidłach, w karności i moralności religii którą wyznają. Całość tego wszystkiego stanowi wychowanie zastosowane do potrzeb sług Tego, któremu mają służyć za pośredników. Wielką przeto przynosi korzyść religii, aby Kościół wychowywał sługi swoje w ten sposób i aby używał względem nich tych środków, jakimi może rozporządzać, aby się oni stali godnymi wysokiego urzędu do którego są powołani. Oto się zawsze przedewszystkiem troskali, to polecali ojcowie święci, święte kanony i rzymscy papieże, którzy jako

organa Kościoła i jego głowa, -umieli zastosowywać wszystkie Środki prowadzące do dobrego wychowania duchowieństwa. Oparty na tych zasadach, nie mogę odmówić mojej pomocy tak osobistej jak urzędowej O. Hieronimowi Kajsiewiczowi, doktorowi Ś. Teologii, aby był upoważniony co do celów, jakie sobie zamierzył w podróży do Brazylii; te cele są sprawiedliwe, są pobożne, i dałby Bóg, aby je osiągnął dla dobra katolicyzmu i społeczności w ogólności. Zbieranie zasobów pieniężnych dla założenia w Rzymie seminaryum katolickiego dla katolików Polaków poświęcających się powołaniu kapłańskiemu, jest celem więcej niż szczytnym, jest celciu Boskim. Polska katolicka prosi braci swoich w Chrystusie, przez O. Hieronima Kajsiewicza, abyśmy jej dopomogli do wychowania jój duchowieństwa; a kapłan najwyższy Pius IX. jest ojcem (author) pierworodnym tego szczytnego pomysłu. Upoważniam O. Hieronima Kajsiewicza, doktora Św. Teologii, do zbierania funduszków potrzebnych dla osiągnięcia tego wiidkiego celu, któremu się poświęca jako wierny syn Kościoła (da Religiaci), celu wytkniętego przez Ojca świętego Piusa IX. a drogiego wszystkim katolikom. Polecam nadto wszystkim wiernym tego biskupstwa Rio de Janeiro, aby wspierali dzieło wzwyż wskazane jak swoje własne i wspomagali je jałmużnami, i wSzystkimi jakie mają siłami, a przez to zasłużyli się równie Bogu, jak społeczności w której żyją. Dau w stolicy Rio de Janeiro 8 grudnia 1865. (Podpisano) Felix Marya de Frejtas Albuquerque."

Mając tedy pozwolenie od władzy duchownej, wypadało jeszcze pokłonić się władzy świeckiej. Wraz nazajutrz (14go z rana) udałem się z listem polecającym do szambelana od służby, prosząc o posłuchanie u cesarstwa, mieszkających obecnie w pałacyku *San Christovaco* za miastem. Było to zrana po dziewiątej, jeszcze byli przy śniadaniu. Po chwili wprowadzono mnie do cesarzowej; pomyślałem sobie źle, może się na cesarzowej i skończy. Myślałem potem jak tu obejść etykietę, wymagającą aby ucałować rękę cesarzowej, a jużem się od tego odzwyczaiał, bo od lat trzydziestu jak noszę sutannę, jedno sędziwej dłoni matki mojej rodzonej dotknęły się kapłańskie moje usta. Za łaską Bożą, i wilk był syty i koza cała: schyliłem się głęboko, a że cesarzowa trzymała złożone dłonie, i ręki nie podniosła, skończyło się na pokłonie. Opowiedziałem w krótkości o celu mojej podróży, przeprosiłem że śmiałem trudzić ją mojemi odwiedzinami, zachęcony powszechną opinią o łaskawości rodziny panującej w Brazylii. Cesarzowa była grzeczna, więcej powiem,

jak osoba wierząca uprzejmą bywa dla kapłana; ale że ograniczała się na pytaniach: czy mieszkam w Rzymie, jak długo, czy wiem kiedy przyjedzie nowy biskup Pernambuco itd., nie wchodząc w głąb przedmiotu; podziękowałem za łaskawe posłuchanie, i po głębokim ukłonie powtórzonym jeszcze w progu komnaty, odszedłem. Dowiedziałem się od pana szambelana, że cesarz jegomość zajęty ekspedycją pilnej depeszy, i że po chwili skończy. Jakoż o dziesiątej nadszedł. Opowiedziałem mu dokładniej niż cesarzowej cel mojej podróży, i pokazałem cyrkularz wikaryusza kapitularnego, który przejrzał; wszakże nie mówił o przedmiocie mi wskazanym. Natomiast odezwał się: „widzę mości księżu, żeś służył w wojsku." Musiałem mu opowiedzieć w jakim korpusie, gdzie, i jak zostałem rannym. Spytał potem czym wiele podróżował? Odpowiedziałem, że znam całą prawie Europę, północną Amerykę i żem był na Wschodzie, posłany przez Ojca św. dla zbadania ruchu bułgarskiego. „A cóż się dzieje z Bułgarami; bo od dawna już nic o nich w dziennikach nie spotykam;" i rozpytywał się szczegółowo o ich język, stan społeczny itd., potem przeszedł do Polski, pytał o stanie duchowieństwa, o stopniu oświaty, rolnictwa, przemysłu, górnictwa w rozmaitych częściach Polski; wiedział o Mickiewiczu i Krasińskim; mówił o naszej dawnej konstytucji, o powodach upadku Polski etc. Parę razy pozwoliłem sobie zaprotestować, że w niektórych rzeczach był pod wpływem pism nam nieprzychylnych; pytał dalej o ostatniem powstaniu, co je wywołało, ubolewał że wybuchło. Trwało to dobrą godzinę, narreszcie przystąpił do rzeczy, i spytał: „powiedzże mi mój księżu jaki właściwie cel twej podróży?" Powtórzyłem o myśli Ojca św. przygotowania kapłanów dla Polski, o niedostatecznych funduszach, o kraju, o nadziei znalezienia pomocy w Brazylii itd. „W niekorzystną porę wybrałeś się mości księżu," i tu wspomniął o ks. Vaughan i pytał czy go znam." „Dowiedziałem się tu o tem dopiero najjaśniejszy panie, gdybym był wprzód wiedział, nie byłbym przyjeżdżał, ale ponieważ tu jestem, za radą ludzi znających miejscowość, chcę spróbować szczęścia i nie obiecując sobie wielkich rzeczy, mam nadzieję choć jakokolwiek wskórać, do czego mi samo moralne poparcie JCMości wiele dopomoże. „*Eh Ucn, j'aurai le plaisir d'y contríbuer*" rzekł; podziękowałem i wyniosłem

się. Do cesarzowej jako neapolitanki mówiłem po włosku, do cesarza po francuzku.

Po odbyciu się tak szczęśliwie za łaską Bożą, z władzą duchowną i świecką, zostawała jeszcze negocyacya z opinią publiczną, to jest z jej guwernerami. Najbardziej rozpowszechnionym dziennikiem tutejszym, rodzajem *Times* brazylijskiego, a liberalno-masońskim, jest *Jornal do Comercio*. Chodziło mi o to, aby redakeya od siebie umieściła kilka wierszy przychylnych przed listem wikarego kapitularnego. Byłem u naczelnego redaktora, młodego i grzecznego człowieka, ale nic wskórać nie mogłem. Powiedział szczerze: „my sympatyzujemy ze sprawą polską, ale tu seminaryum, Rzym i Papież, co my tu mamy do czynienia!” nie było sposobu do rozruszania go. Ograniczyłem się zatem na ogłoszeniu samego dokumentu[^] który wyżej zamieściłem. Otóż przekroczyłem już Rubikon, *alea jacta est*, jużem publicznym kwestarzem. Trzeba było następnie wynaleźć skarbnika miejscowego, osiadłego i znanego człowieka; znalazłem go w osobie bogatego właściciela, doktora prawa, Jose de Carvalho. Każdy krok naprzód wymaga nie małego wysilenia, bo nie raz trzeba przyjść raz drugi i trzeci, aż się osobę znajdzie, a za każdym razem wi-acam jakoby z łaźni. Ponieważ wchodzenie na górę w środku dnia w tej porze grozi niebezpieczeństwem; JMX. Internuncyusz otrzymał u O. komisarza ziemi świętej (Franciszkanów zbierających jałmużny dla braci swoich w Palestynie) że będę mógł godziny upału przesiedzieć w ich klasztorze położonym na dole. Wszakże co tu upały znośniej-szemi czyni, to deszcze nawalne co kilka dni padające, i wiatry wiejące na przemian to od morza, to od gór, i przeto kto nie potrzebuje wychodzić w środku dnia, mniej cierpi wśród upałów tutaj, niż w Rzymie. Noce są tu też znośniej-sze: jedno że tu gorąca pora daleko dłużej trwa niż we Włoszech, a właściwie nigdy całkiem nie ustaje. Śród tych przechadzek obowiązkowych, obejrzałem kościół *da Conceicao e boa morte*, odznaczający się jedynie złoceniami, i drugi *do S. Pedro* ozdobiony nadto małą kopułką. Z obowiązku mego podróżnika, zwiedzę przy sposobności i wieżę, choć wiem z góry, że nic szczególnego nie spotkam; wolę patrzeć na naturalne wieże gór *Corcovado* i *Tijuca* sterczące nad miastem, bo te lepiej się architektowi udały. Widziałem też na

obszernym placu *de Constituciao* posąg konny don Pedra I, trzymającego kartę konstytucyjną w ręku.

18-go grudnia o 11 zrana przybył statek francuzki; dowiadywałem się nazajutrz o listy i w nuneaturze i na poczcie, i nic nie znalazłem. Niepodobna byćście nie pisali, aleście musieli za późno listy wasze oddać na pocztę. *Pazienza!* Ponieważ monsignor Internuncyusz wyjeżdża 21-go tego miesiąca do Petropolis na czas upałów, dniem przedtem muszę mu list mój doręczyć i przeto go zamknąć.

LIST VII.

20 Stycznia 1866 r.

Zacząłem już tedy moją peregrynację żebraczą, choć bacząc na niekorzystne ze wszech miar czasy (bo i obowiązek opłacania obecnie rachunków rocznych, *le mauvais quart d'heure*, psuje humor ludziom), choć bacząc mówię na wszystkie nieprzychylne konstelacje finansowe, poluję jedno na upatrzonego, i łowię ryby na wędkę. Zajmuje to więcej czasu, ile że jak człowiek pochodzi kilka godzin, to już potem na resztę dnia do niczego.

Poznałem przy tej sposobności pewnego adwokata i właściciela ziemskiego, pana Pereira Carvalho, rodem z Maranham prowincyi leżącej powyżej Pernambuco, na tutejszej północy, a po naszymu na południu, bo bliźutko równika. Ponieważ ten pan oświadczył się z gotowością zbierania składki wśród znajomych w ziemi swojej, gdzie jedzie odwiedzić rodzinę, przyjąłem zaproszenie jego na wieś, właściwie na przedmieście w St. Domingo, obok Nicterohy stolicy rządu prowincyi Rio Janeiro. Posiada ten pan całą górę nad morzem, zarosłą lasem jeszcze pierwotnym (*matovergin*), ogromnemi drzewami tamaryntowemi, bananami, manganami itd. Dla miłości Pana Boga i seminaryum wynudziłem się porządnie, siedząc na miejscu siedem godzin przeszło, i rozmawiając z utrudzeniem: bom mówił po francuzku, a odpowiadano mi po portugalsku, a była to wilia Bożego narodzenia! nigdy mi jeszcze tak dziwnie nie zeszła. Zamiast

opłatka jadłem krupy z mandioki, a zaproszonemu nie można się wynieść przed czasem, bo Brazylijczycy obrażają się o to. Lubią bawić się jak u nas dnie całe bez przerwy. Nie łatwo wprowadzają cudzoziemca do domu, ale jeżeli wprowadzą, są dlań gościnni do zbytku.

' Trzy msze świąteczne miałem mieć w kaplicy mojego pocziwego skarbnika, więc już tam zanocowałem, ile że deszcz ulewny nie pozwalał mi się dostać na moją górę. Mam tam zresztą pokój stale dla siebie przygotowany, nawet brewiarz domowy; zaproszony jestem stale na obiad, choć raz dopiero korzystałem z tej uprzejmej gościnności. Pierwszy raz w życiu czułem takie gorąco w dzień Bożego narodzenia. Brazylijczykowi trudno pojąć, że dzieciątko Jezus drżało od zimna. Cały dzień ten, jak mówią, był feralny: naprzód gospodarz przez nieuwagę napił się wody i nie mógł komunikować. Dalej synowiec gospodarza, a mój przewodnik i tłumacz w peregrynacji kwestarskiej, zemdlął podczas drugiej mszy; nic to w sobie, ale że w tej rodzinie wszyscy chorują i umierają na zawroty głowy, pierwszy taki fenomen przykre sprawił w domu wrażenie. Nareszcie po południu wyjechaliśmy na miasto; wracając, woźnica murzyn wielkim pędem wjeżdżał do bramy, tak iż lekki powozik winien się być o jej węgiel w kawałki roztrzaskać. Jakoż na krzyk nasz, mulice mędrsze od woźnicy, bo nie piły *kassias* (podłej wódki z trzciny cukrowej), zatrzymały się na czas, byśmy mogli wyskoczyć z powozu. Nazajutrz ta sama historia: miałem jechać daleko, gospodarz kazał łaskawie zaprządz swój powóz i dał drugiego woźnicę, na którego liczył jak na Zawiszę (rzeczywiście czarnego). Dopiero gdy ni proszony, ni pytaui wjechał pomiędzy mur a ciężki wóz i stuknął się oń potężnie, postrześliśmy że i ten pijany. On protestuje że nie, więc jedziemy dalej, ile że ulica była szeroka; w tem, czy ambicyjnego furmańskiej mości, czy mulic, chciał wyprzedzić omnibus i znowu się wcisnął pomiędzy ów ciężki wielowóz i krawędź narożnego domu. Gdy postrzegł się iż za ciasno, chciał gwałtownie cofnąć powóz w tył, i tyle wskórał, że omnibus przejechał nie uszkodziwszy nas, ale furmanowi pękły lejce, i nuż mulice galopować, szczęściem że po otwartym i pustym placu, tak że znowu mogliśmy wygodnie wyskoczyć z niskiego powozika. Zostawiliśmy wtedy afrykanina, by trzymając za uzdę

jedną mulicę wrócił z powozem do domu, a myśmy dalej pieszo podróż odbywali.

Śród kwesty rozmaicie się zdarzało. Stary jeden kanonik oświadczał się najuroczyściej, że tylko co pożyczył trochę pieniędzy na życie; drugiego urzędnika, któremu już był poznał przedtem, znalazłem w ciężkiej żałobie po tylko co zmarłej piętnastoletniej córce; prosił bym wrócił inną razą. Ale bywają i dnie pomyślniejsze. Pan Militaco, zacny Brazylijczyk, czynny jak gdyby północny Amerykanin, oddający mi pełno usług dobrych, choć wciąż zajęty, zaprowadził mnie do Karmelitek, których jest prokuratorem. Klasztor św. Teresy leży na pięknym wzgórzu panującym nad morzem i nad miastem. Klasztor biały, czysty i kościółek schludny, ale wszystko proste, prawdziwie karmelickie, a przecież zamykają się tu dziedziczki pierwszych rodzin brazylijskich. Jedyny to klasztor córek świętej Teresy w tem państwie, jak wszędzie, tak i tu z łaski Bożej doskonale regułę swoją zachowujący. Przez wzgląd na swego prokuratora siostry przyjęły nas z podniesioną zasłoną od kraty i z odkrytymi twarzami. Pocziwe zakonnice! choć sześć miesięcy temu dały hojnie ks. Vaughan i tylko co wysłały weksel dla nowo zakładającego się klasztoru Karmelitek w Anglii, przeznaczyły na moją kwestę wielkiem i ochotnem sercem 400 milreis to jest 1000 franków do których sam prokurator dodaje swoich 100. Nadto pocziwe siostry obiecały napisać do swoich znajomych w mieście pobudzając ich gorliwość. Chodziło mi szczególnie o list jednej z sióstr, blizkiej krewnej markiza d' Olinda pierwszego ministra, do jego córki, baronowej Ipirassinunga. Pocziwa ta dziewczina chciała naprzód wejść do sióstr miłosiernych; a gdy nie mogła otrzymać* przyzwolenia od krewnych, uciekła za kratę karmelicką. Zagniewany pan minister ogłosił prawo, że te zakonnice odtąd nowicyuszek przyjmować nie mogą. Mówiłem do tej siostry, że winna się uświęcić za wszystkie dziewice, którym drzwi klasztorne z jej powodu zamknięte. Obiecała w moim interesie napisać gorąco do swojej kuzynki, która i tak już (jak wiem z kądinąd) gotowa jest zająć się moją składką: mam być rychło u niej. Poznałem przy tej sposobności kapelana klasztoru ks. Moniz Purtugalczyka; przed laty dwudziestu był on w Rzymie. Zacny jenerał Szymanów-

ski przybył mu w pomoc pożyczką w chwili, gdy z powodu opóźnienia weksłu był w przykrem położeniu. Wspomina z wdzięcznością tę usługę, otrzymaną od Polaka i obiecał jałmużnę na seminaryum polskie w Rzymie.

Otrzymałem list od rektora seminaryum w dyecezyi Stopolu, pocziwego kapucyna francuzkiego O. Eugeniusza de Rumilly, żądającego odemnie upoważnienia na piśmie do przyjmowania jałmużny na seminaryum polskie; posłałem mu je na ręce biskupa, dodając list dziękczynny prywatny. Napisałem też list do Mgra Larangejra, biskupa do Rio Grandę do Soul, znanego mi w Rzymie, a drugi do biskupa Maranhã.

Jeździłem z powinszowaniem Nowego roku do ks. Laurent wizytatora misyjnego św. Wincentego a Paulo w całej Brazylii. Mieszka na przedmieściu Botafogo, obok wspaniałego zakładu dla waryatów, założonego przez cesarza obecnego, a obsługiwanego przez siostry miłosierdzia, wypędzone z Portugalii przez filantropijnych i liberalnych massonów tam rządzących. To pewna, że cesarz nie ma ani jednego pałacu, któryby się dał porównać z tym gmachem; waryaci jego mieszkają lepiej od samego cesarza i dobrodzieja. Ciekawy jest początek tego monumentalnego gmachu. Gdy minister przedstawił jego plan cesarzowi, ten odpowiedział: „bardzo dobrze panie ministrze, ale z kąd weźmiemy fundusz”? — „Najjaśniejszy panie, odrzekł minister, jedni waryaci zbudują dom dla drugich.” — „Tłumacz się jaśniej, pytał dalej cesarz; „po prostu, mówił minister, będziemy sprzedawali drogo tytuły baronów i hrabiów, a fundusz się znajdzie.” Znalazł się istotnie; co dowodzi, że tego drugiego rodzaju waryatów dużo w Brazylii, niby bardzo demokratycznej, i gdzie tytuły szlacheckie nie są dziedziczne. Gmach ten równie wspaniały wewnątrz jak i zewnątrz. Mało waryatów wściekłych, wielu siostry używają do posług domowych; skarżyli się tylko przedemną, że im nie płacą; Chińczyk jeden gniewał się na dobre. Znalazłem tam Niemca rodem z Królewca/gdzie Niemca nie znaleźć! Obok stanął ginach drugi dla sierot, które mają tu być z miasta przeniesione, a zostawać także pod zarządem dobrych sióstr. Dodając kolegium albo peusyonat, o którym wspominaliśmy, obsługują one tu trzy zakłady, nie licząc wielkiego szpitala *da Misericordia* w mieście, o którym później powiem. Statki parowe odpływają co godzina z miasta do

Botafogo i napowrót; co godzina także odchodzą omnibusy. Widok na port bardzo przyjemny w ciągu tej podróży.

Byłem też w *Larangieiras*, w bok Botafogo, gdzie bogaci mają swoje domki letnie; prawdziwe to pomarańczarnie, gdzie i woń i chłód względny panuje. Na nowy rok spadł deszcz tak obfity, że przez kilka dni bardzo się dobrze oddychało i upał nie dokuczał.

Mówiłem dawniej o małej wystawie dworu cesarskiego, domyślając się że to było tylko małe *gala*. Rzeczywiście spotkałem w dzień Trzech Króli rodzinę panującą w powozach wystawnych z liberyą i zaprzęgiem strojnym, ale bardzo mądrze, nie sadzą się na kosztowne zagraniczne rumaki; małe, ręczne koniki krajowe, albo mulice ciągnęły poszóstne powozy. Dnia tego cesarz w koronie ofiaruje podczas Mszy złoto.

Wspomniałem o nadziei, że baronowa Ipirassinunga, córka pierwszego ministra, marquiza d' Olinda, zajmie się moją kwestą. Otrzymałem przychylne wiadomości o jej usposobieniach, i pojechałem do niej właściwie aby podziękować. Tymczasem dniem przedemną *roztropna* panna przyjaciółka, którą chciała wciągnąć do wspólnej pracy, ostudziła ją całkiem, przedstawiając brak pieniędzy, powszechny zły humor i t. d. Ograniczyłem się zatem do proszenia jej, aby przemówiła do ojca swego, który nie łatwo daje, ale którego podpis ważny dla mnie; bo tu i w rzeczach miłosierdzia jedni na drugich się oglądają i *czyn czyną poczytają*. Stary zajrząwszy do mojej książki nie odmówił, ale powiedział, że jeszcze do wielu klasztorów i duchownych nie zapukał. Uwaga była słuszna, boć duchowni mogą więcej od świeckich i zrozumieć seminaryum i zająć się niem; choć ja chciałem społecznie do duchownych i świeckich stukać, obróciłem się głównie naprzód do pierwszych. Ks. ks. Benedyktyni nie odmówili, ale O. Opat oświadczył, że musi czekać na zjecha nie się ojców po feryach świątecznych, aby na kapitule postanowić ile dać mogą. Gasnący Franciszkanie u św. Antoniego oświadczyli, że nic dać nie mogą. Karmelici są pod administracją; wizytator apostolski oświadczył że chce dać, ale że znalazł pełno długów, a żadnego zapasu, więc musi czekać aż jakie dochody wpłyną. Uprosiłem pewną osobę, aby mi przygotowała wstęp do Franciszkanek, nie mających

już niestety ! życia wspólnego. A to obok Karmelitek wszystkie klasztory tutejsze: dwa żeńskie, a cztery męzkie. Zaczęłam rozdawać osobom umiejącym po francuzku mowę moją o prześladowaniu w Polsce, powiedzianą w Montreal, i zdaje się z pewnym skutkiem. Książd przełożony Lazarystów dał mi jałmużnę; zastukałem do Sióstr miłosierdzia trzymających pensyon, przełożona obiecała ochotnie, choć nie wie jeszcze ile będzie mogła dać. Nie wiem czy się zdobędą na podobną jałmużnę biedniejsze ich siostry, obsługujące wielki szpital zwany *Misericordia*. Drugi to zakład monumentalny po domie waryatów, jakiego i po stolicach europejskich nie spotkać. Wszelkich tu narodowości ludzi spotkałem (mianowicie majtków), a nawet Chińczyka i Żyda, jedno na razie nie było, ani Polaka, ani Moskala. Byłem na nieszpiorach śpiewanych w kaplicy, i zaproszony dałem błogosławieństwo najświętszym Sakramentem. Po zakonach, mogę się jeszcze spodziewać jałmużny u dziesięciu proboszczy miejskich i kanoników, tych mianowicie, którzy trzymają kolegia, albo są profesorami, lub mają majątek rodzinny, bo pensye kanoniczne tak są liche, że ledwo z nich wyżyć mogą. Niektórzy mieszkają tak biednie, że wahałem się nawet wejść do nich. Na dwunastu znalazłem ledwo w domu trzech, z których jeden oświadczył, że nie ma nic do dania, drugi, że na miesiąc przyszedł będzie mógł dać cokolwiek; za to Mgr Reis trzymający kolegium, dał 200 milreis t. j. 500 fr. Zostaje mi jeszcze do odwiedzenia kilku kanoników, mogących dać i dziesięciu proboszczy, z których niektórzy są kanonikami.

Spróbowałem współcześnie stukać do kupców niektórych i to do takich, do których miałem piśmienne lub ustne polecenie od ich dobrych znajomych. Tu poszło jak z kamienia. Jedni oświadczyli że dadzą później odpowiedź, drudzy dali coś, ale niechętnie, nie prosząc nawet siedzieć, nie podnosząc się z krzesła. Młody mój towarzysz, Francuz wychowaniem, nie nawykły do podobnego obejścia się, cierpiał podwójnie, bo za siebie i za mnie. Co do mnie, gotów byłem i jestem iść dalej, nie bacząc na to, tem bardziej że natura cierpi i wyborna sposobność do zniszczenia wszelkiego uszanowania dla samego siebie; a potem, kto służy dziś Bogu w rzeczach polskich, winien być przygotowanym do torby i żebry. Nie mogłem jednak wymagać, aby mój Cavalheiro taki nowieyat

wraz ze mną odbywał, i uie mogłem zapomnieć słuszności jego uwagi: „że bardzo mało kto daje ze względu na rzecz samą, ale ogólnie przez wzgląd na osobę, która się wstawia i wprowadza: owóż mnie nikt tu nie zna, a choćby znał któżby się oglądał na takiego młokosa jak ja, więc jeżeli chcesz Ojciec będę dalej chodził z tobą (choć widziałem że mu to coraz trudniej przychodziło, i coraz był nieśmielszym); „ale jestem przekonany, że jeżeli kogo poważniejszego nie znajdziesz, stracisz czas i trud.” Ponieważ zacny ks. Internuncyusz mówił o mnie ze znakomitym jednym kupcem dojeżdżającym do chorej żony w Petropolis (Fontainebleau brazylijskim) i ten oświadczył się z gotowością obwiezienia mnie po swoich znajomych w handlu: przyjaciele moi poradzili mi wyjechać na jaki tydzień do Petropolis, a potem dokończyć kwesty wśród duchowieństwa, i próbować szczęścia wśród kupców z nowym przewodnikiem. Że do tego upał okrutnie dokuczał w mieście, chętnie bardzo zgodziłem się na wycieczkę w góry, aby nawet siły fizyczne odświeżyć.

Bilet do Petropolis kosztuje 8 milreis t. j. 20 fr. za cztery godzin drogi, to bardzo drogo. Naprzód płynąłem statkiem parowym pięć kwadransów przez zatokę Rio Janeiro, a jeszcze jej końca nie widziałem; potem jechałem pół godziny drogą żelazną przez trzęsawice leżące pomiędzy morzem a górami, z których ściekające wody tworzą te moczary. Nareszcie dwie godziny dyliżansem, wciąż pod górę wspinała, zbytkową powiem zwirówką, która miliony kosztowała. Od stóp góry widać było po prawicy i po lewicy domki kolonistów, głównie niemieckich, mniej więcej przestronne i schludne, podług stopnia zamożności właścicieli, wszakże żaden do dostatków przez samą uprawę roli nie doszedł. Kawa, bawełna tu się nie rodzi, zboże się nawet nie udaje. Na stromych skałach, po wycięciu lasu płytki bardzo jest pokład czerwonego piasku, więc nic nie uprawiają okrom kartofli i kapusty, którą sadzą około domu. Góry wykarczowane zasiane, a raczej zasadzone rodzajem łąki sztucznej, zieleń które zowią *hapinas*, dostarczają dobrej strawy dla mulów i koni, na którą w miasteczku, wzdłuż wielkiej drogi odbył zawsze pewny. Wypalają koloniści węgiel z drzewa na sprzedaż; ale rychło ta gałąź przemysłu się wyczerpie, bo drzewa nie stanie. Nadto pod działaniem częstych tu deszczów potoki gór-

sine obrywają ziemię. Naprawiano jeszcze drogę gdyśmy przejeżdżali, a w Petropolis samem przed kilku dniami woda deszczowa, pędząca z gór z kamieniami i drzewem, uniosła i zagrzebała kilka domów, przy czym cztery osoby życie utraciły: ile że współcześnie dwie rzeki górskie wystąpiły z brzegów. Petropolis bowiem (miasteczko) tak powstało, że z dwóch stron tych dwóch rzeczulek, płynących wśród ciasnych wąwozów, skopano górę, i tak się znalazło miejsce na ulice, a tu i ówdzie na mały plac, na pałac cesarski i na małą przechadzkę publiczną. Petropolis jest własnością rodziny cesarskiej, żyje też z niej głównie, z ciała dyplomatycznego i bogatszych mieszkańców stolicy, wynoszących się tu w porze wielkich upałów. Leży zresztą przy wielkiej drodze do prowincyi Minas i głębszych; wszelkie dylizanse ztąd nie idą dalej jak mil trzydzieści; później już trzeba wciąż konno podróżować. W mieście i okolicach jest tu ze cztery tysiące Niemców, po połowie katolików, po połowie protestantów; ci ostatni mają swego ministra i mały zbór. Zarabiają jak mogą, furmanią nawet, i mnie też wioził Niemiec z pod Renu; inni wynoszą się w głąb kraju, albo wracają do Europy. Ale o tem wszystkiem nie myślałem, gdy w miarę jak wjeżdżałem wyżej, zacząłem oddychać świeżem i lżejszem powietrzem; przypomniało mi się podnoszenie się na naszą Mentorellę. U dołu widziałem mgłę zalegającą płaszczyznę, a głębiej jeszcze zatokę. Woda źródłana z gór, chłodna, jakiej w Rio Janeiro za żadne pieniądze nie dostaniesz. Zajechałem narazie przed dom ks. Internuncjusza, który równie jak jego audytor przyjął mnie ze zwykłą sobie uprzejmością, jakiej doznałem już tyle razy w mieście. Przespałem się smaczno, jak już dawno nie spałem, bo choć tu w dzień upał także silny, ale za to ranki wieczory i noce chłodne, a wśród upału nawet powietrze nie tak wycieńczające jak w mieście. Zrana poszliśmy z księdzem audytorem do kościoła (ks. Internuncjusz mawia Mszę w swojej kaplicy domowej); kościółek czysty, ale zbyt skromny bacząc na liczbę mieszkańców na rezydencję letnią cesarską. Ale co dziwniejszego, że proboszczem gminy głównie z Niemców złożonej jest Francuz, który od lat czternastu nie zadał sobie pracy nauczania się po niemiecku. Bylić tu dawniej księża Niemcy, ale ponieważ kazywali po niemiecku, protestanci się nawracali, otóż choć reli-

gia katolicka panująca, ale urzędnicy wolnomularze, więc ministrowie protestantcy potrafili ich zawsze wygryzać. Tak samo stało się w wielu innych koloniach niemieckich, mięszanych wyznań. Chłopczyki służący do Mszy byli niemieckiego pochodzenia, choć obok macierzystego języka po portugalsku mówili. Oświadczyłem się ks. proboszczowi z gotowością spowiadania Niemców przez kilka dni które tu zabić miałem, które to oświadczenie z dobrocią i szczerą chęcią przyjął: nie trzeba było długo czekać.

Czekała panna młoda na ślub, nie umiejąca wcale po portugalsku, i dla tego nie spowiadająca się już od lat wielu, odkąd do tego kraju przybyła; skorzystała zatem chętnie z tej opatrnej dla niej sposobności. Nazajutrz miałem już czterech penitentów, trzeciego dnia jako w dzień świąteczny (św. Sebastjana patrona dyecezyi) z dziesiątek, a nazajutrz w niedzielę z piętnastu. Miałem nazajutrz wyjechać ale zatrzymałem się dla wyspowiadania chorowitej staruszki, która nie wiedziała że jest spowiednik rozumiejący *głos ludzki*. Być może że tu wrócę na wielki tydzień. Otrzymałem bowiem list z St. Polo, zapraszający mię dla ułatwienia kwesty, a że to w górach i bardziej na północ od Rjo Janeiro, więc chętnie tam miesiąc upału znowu przebędę po zrobieniu przed wyjazdem w stolicy co się na teraz zrobić da. Dojeżdża tu wprawdzie dla spowiedzi wielkanocnej Lazarda Limburczyk z Rio Janeiro, ale że nie mówi czysto po niemiecku, skarżą się biedni ludzie że go nie rozumieją. Okrom obowiązku kapłana misyjnego, którego chętnie dopełniam, myślę sobie jeszcze jakby się cieszyła nasza pocziwa wiara zabłąkana tam gdzieś na kończynach świata, gdyby im kapłan mówiący po polsku spadł niespodzianie jak z nieba. Nie przeczę także, że myśl iż koloniści nasi mogą być tak opuszczeni duchownie, czy w Stanach Zjednoczonych (jak są rzeczywiście dotychczas), czy tutaj, ściska mi serce i zapal do wszelkiej kolonizacyi ostudza. A ile między nimi dobrych, prostych dusz, odważnie z biedą walczących, bez żadnej ziemskiej pociechy (okrom życia rodzinnego) i jeszcze pozbawionych pomocy dla duszy.

Po objedzie, o chłodzie, wychodzimy co dzień na przechadzkę, trwającą parę godzin. Jakkolwiek chodzimy w różnych kierunkach, nic szczególnego zapisać nie mogę, chyba

że Portugalczyk pewien najlepiej potrafił skorzystać z tutejszego położenia i górskiej rzeczulki. Zbudował bowiem sobie tamę i używa tej wody do młyna piłującego deski, ma nadto obok fabryki tytoniu i mydła, a na ostatniej z nieb nietylko lepiej od Zabłockiego, ale powiadają że najlepiej wychodzi. Pewnego ranku sprawił mi ks. Internuncyusz majówkę, sprowadził powóz i zawiózł po śniadaniu dla obejrzenia małej kaskady w lesie. O tej *eascadlinia* nie warto mówić po Niagarze, ale warto coś powiedzieć o tutejszych lasach, nie tkniętych jeszcze, *matovirgin*. Drzewa tu insze od naszych europejskich i nazwać ich nie umiem. Kochany ks. Piotr i ks. Jan delektowałiby się pewno przyglądając się im; jam trochę patrzył jak *wilk na niebo*. Postrzegłem tylko, że paproć tu dorasta rozmiarów drzewa. Ogrodnik francuzki, o którym rychło powiem, sprzedał pień każdy tego psotnika rolniczego za 50 fr. p. Pereirze w Paryżu. Trzcina gruba, twarda, używaną bywa do budynków na lekkie belki. Pasożyty tutejsze niektóre ślicznie kwitną, i także w Europie są poszukiwane; każde drzewo obwinięte temi pasożytami aż do samego wierzchołka; niektóre z nich wyglądają jak gdyby miały peruki nagłowie. Inne przerastają drzewo, które *exploatują*, spuszcza ją się znowu ku ziemi, a gdy już silnie się zakorzenia, gną ku ziemi drzewo same. Dla mnie były one symbolem towarzystw tajnych; obwinięte o wielkie drzewo społeczeństwa katolickiego i Kościoła, wysysają z nich żywotne soki, dorosły głowy t. j. Stolicy Apostolskiej, a dążąc do przepaści, z której wyrosły, radeby ją zgąć i złamać gdyby mogły. Takie uwagi nie botaniczne wyniosłem z kontemplacji dziewiczych lasów brazylijskich. Wracaliśmy inną drogą, albowiem ks. Internuncyusz chciał mi pokazać zakład p. Bineau z departamentu Seine et Oise pod Paryżem, ogrodnika osiadłego tu już od lat dwudziestu. Dom i ogród założony na płaskim wzgórzu u stóp góry wyższej i stronnej. Znaleźliśmy w domu panią Bineau tylko, silną, pracowitą chłopkę francuzką, z motyką w ręku, która jednak umiała przyjąć dostojnego gościa z wielką przyzwoitością. Obok niej był jej synek mały, ładny chłopczyk i drugi, który zapłoniony uciekł przed nami. Była to panna Bineau, dziesięcioletnia dziewczeczka, która rychło wróciła w sukieneczce. Tłumaczyła pani Bineau to *travestissenient* tem, że dziewe-

czka sama jedna wśród chłopców, i że strój męzki dogodniejszy do polowania na ryby i żaby. Przybył nareszcie pan Bineau, którego ludzie biorą na fundusz, bo ani dystyngowany, ani dowcipny, ale się on broni jak dzik, tak że raz do cesarza powiedział: „*A ça est ce que vous voidez me blaguer aussi.*” Nazywają go powszechnie baronem, bo podobno dom swój nazwał kiedyś *mon ehdeau*; pokazywał nam tedy swój zakład i jezioro, które wykopał dla osuszenia gruntu z kępą po środku i łódką uwiązaną u brzegu, i altanką, a wszystko mikroskopiczne jak we Francyi. Co ciekawsze, to śliczne kwiaty które poznajdował na górach, dziko rosnące i pochchrzył; jeden tylko pamiętam, że na cześć cesarzowej. Opowiadał że jak przybył do Rio Janeiro, to tylko dwa rodzaje jarzyn dostać można było na targu, a teraz dzięki „mnie” mają prawie wszystko co w Europie. „Kiedym, prawil, skopał tę górę, zasiałem kilkanaście rodzajów pszenicy, lnu i konopi; zboże dało mi w trójnasób więcej niż w Europie, len prześlicznykonopie kolosalne, a kiedym to pokazywał na wystawie, pytali mnie Brazylijczycy, „co znaczy ta słoma (konopie); a przecież mają marynarkę i z Europy liny sprowadzają.” Nie sformułował swojej konkluzji, choć dążył do tego samego co inny *boutiquier* francuzki, który wołał głośno w Rio Janeiro: *que voulez vous faire avec cesBrasiliens, c'est bete eonime des buches!* Bez żartu, pan Bineau zasłużył zamiast szyderstw na nagrodę, szczególnie za warzywa, które rozpowszechnił, bo że Brazylijczycy nie mają jeszcze rozwiniętego gustu estetycznego do kwiatów, (których posiadają do zbytku) to nie pięknie, ale nie grzech. Dosyć że pocciwy p. Bineau, nie znajdując tu dosyć zarobku odbył podróż do Francyi; jedne gatunki flory brazylijskiej sprzedał, drugie wymienił; musiała mu się podróż udać, bo chce ją powtarzać, choć pani Bineau protestuje, a zdaje się że ma głos stanowczy w kapitule domowej. Oto co wam tą razą donieść mogę o stolicy zimowej i letniej brazylijskiej, i zdaje się że nie na wiele więcej już się zdobędę. Widziałem znowu kilka kościołów w Rio Janeiro, ale wszystkie równie mierne; a tu chyba że pójde jutro oglądać menażeryę pewnego amatora, tak wielką jak jezioro p. Bineau. Tym kuryerem nie miałem od was listu, to okrucieństwo! karzę was podług polecenia św. Pawła: zwyciężając złe dobrem. Bóg z wami,

Petropolis, 23 stycznia 1866 r.

P. S. Ponieważ mam jeszcze stronicę czystego papieru i trochę czasu, powiem słów kilka o dyplomacji europejskiej w Brazylii. Nuncyusz papieżki ma tu dużo do czynienia. Obecny otrzymał już od kilku biskupów, że seminarya swoje kongregacyom europejskim powierzyli, i otrzyma z kolei od wszystkich, byle go tylko rychło ztąd gdzieindziej nie przenieśli. Poseł portugalski ma też dużo do czynienia z powodu mnóstwa Portugalczyków tu mieszkających, to też mieszka w mieście; dojeżdża do Petropolis tylko sekretarz, p. Figanieres, do chorej żony swojej Amerykanki, do której miałem list od proboszcza jej domowego z Nowego Yorku. Mają jeszcze dosyć do czynienia posłowie angielski i francuzki, pierwszy tu mieszka ale dojeżdża do miasta, drugi osiadł w Larangeiras na przedmieściu stołecznem. Ale inne poselstwa to istne synekury; to też austriacki, pruski, rossyjski i t. d. mieszkają tu stale; niektórzy z nich, np. poseł francuzki i austriacki, jakoby zapomnieli, bawią tu od lat dwudziestu i więcej. Rossyjskim jest p. Glinka, a sekretarzem p. Smirnow, świeżo przybyły z Petersburga, bo poprzednik jego ciągle miał pragnienie i dostał *delirium tremens* i często nie dyplomatycznie postępował. Zatrzymują się czasem w Rio Janeiro okręty rossyjskie płynące z Europy do Nikolajewska nad Amurem, Petropawłowska i Ochocka. Jeden statek wojenny konsystuje w porcie. Spotkałem na przewozowym parowcu majtkę *żyrego* o czystych rysach słowiańskich z nad Wołgi. Zaręczono innie jednak, że poprzednicy pana Glinki tu nie bawili się w kontemplacją *deli dolce fur niente*, że pod pozorem wypraw scienceyficzných zwiedzili głąb kraju, i że w archiwach petersburskich Brazylii, choć tak odległa, równie jest dobrze opisana, jak inne bliższe Rosyi kraje, które jej uczeni tak często zwiedzają.

Na ostatnie dwa dni świąteczne zjechało się tu tyle osób z Rio, jak jeszcze nie pamiętają. Jeden z przybyłych twierdził, że jego termometr pokazywał 77 stopni (Farenhejta) upału. Jeżeli tak jest, a być może, bo i tu goręcej niż zwykle; to mi się upiekło żem nie był w mieście, ale jak za powrotem będzie mi duszno! Dziś rano dwadzieścia sześć wozów t. j. dyliżansików pełnych powiozło wracających gości do miasta na drogę żelazną.

Nie posyłam wam mowy mojej montrealskiej, przetłumaczonej na język portugalski i wydrukowanej w dwóch pierwszych numerach nowego pisma religijnego, o *Apostolo*. Redakcyja obiecała mi odbić ją w broszurze, aby poruszyła serca i kieski Brazylijczyków nie rozumiejących po francuzku. Nie posyłam jej, by nie nadużywać dobroci ks. Internuncjusza i listu mego zbyt nie zgrubić. Nic pilnego zresztą, jako ciekawość, da Bóg sam ją przywiozę. Otóż i *post scriptum*, moje wypełnione, boć papier już się kończy. Nie piszę do nikogo osobno, nikt mi za złe nie weźmie, bo aby takie liściska wysyłać każdym statkiem, trzeba dosyć czasu i dobrej woli. Donieście mnie czy listy moje z wyspy ś. Tomasza, Pernambuco, i kilka już ztąd, szczęśliwie was doszły. Pozdrawiam wszystkich najserdeczniej w domu i po za domem, w Rzymie i po za Rzymem, blisko i daleko mieszkających. Gdybyście pamiętali o wielkiem mojem osieroceniu, tobyście żadnego kurjera nie opuścili i nie czekali ostatniej chwili do napisania kuso i pospiesznie, ale tak jak ja częściowo, rodzaj kroniki spisywali do wysłania odchodzącym kuryerem. Dziękuję za wiadomość o otworzeniu seminaryum choć na tak szczupłą stopę. Dziękuję Bogu żeście wszyscy zdrowi, tembardziej że nie ma czasu i nie ma o czem chorować.

LIST VIII.

S. Paulo 1i marca 1866 r.

Moi najdrożsi! Krócej zabawiłem w [Rio Janeiro, po powrocie moim z Petropolis, niż sobie zamierzałem. W miarę jak spuszczałem się na płaszczyznę, czułem upał nieznosny: od dni dziesięciu przeszło nie spadła kropla deszczu, jedyna ochłoda wśród miesięcy gorących. Nazajutrz w upał wprawdzie i przez trzy godzin, ale w powozie, odbywałem moję peregrynacyą, i jedną tylko wyprawę pieszą; przecież w nocy sen miałem gorączkowy, a nazajutrz rano czułem się mocno osłabionym, i rzeczywiście do niczego. Po namyśle i naradzie, postanowiłem korzystać z towarzystwa wracającego pewnego kapłana europejskiego w okolice S. Paulo, i w górach spędzić najgorętszy tu miesiąc luty.

Zatem 16go stycznia we dwa miesiące od mojego przybycia do Rio Janejro, wsiadłem na statek północno amerykański *Tijuca* pływający od niedawna pomiędzy stolicą a miastem *Santos*, portem prowincji św. Pawła. Jak widzicie, Amerykanie zabierają już handel nadbrzeżny *le cabotage*, Brazylijczykom. Szanowne ich izby jak pozwoliły Francuzom wprowadzać tu gotowe odzienie, obówie i t. d.; jak zapewniają kompaniom angielskim dróg żelaznych, (które nic nie przynoszą) siedm i pół od sta; tak wystawiają słabą jeszcze marynarkę swoją handlową, i przyszłość marynarki wojennej, na ciężkie spółzawodnictwo z Amerykanami. Kompania brazylijska broni się jak może, jak się bronić zwykli słabi: podstępem. Oba okręty miały wypłynąć z rana. Tymczasem komora celna, snadź zapłacona, tak marudziła żeśmy ledwo o drugiej z południa ruszyli z portu, a parowiec krajowy odpłynął był z rana, sześć godzin przed nami.

Przypatrzyłem się tymczasem statkowi naszemu, sztabowi jego, załodze i podróżnym. Statek nasz, była to łódź kanonierska wojenna, silnie zbudowana, i choć śrubowa nie zbyt kołysząca się. Kapitan *en premier* rodowity Amerykanin, zdaje się z południa, pozostał w Rio, dla doczekania się lada chwila przybyć mającego pocztowego okrętu z *New York* zastępował go kapitan *en second*, starzec znający dobrze brzegi brazylijskie. Urodzony w Rio Janejro z ojca Hiszpana a matki Włoszki, służył w gwardyi królewskiej w Hiszpanii; w Montevideo mieszkał w jednym domu z księdzem Mastai, dziś Piusem IX, wracającym z Chili; wrócił potem do Brazylii i wstąpił do marynarki wojennej w której się dotychczas liczy; przywiózł z Neapolu dzisiejszą cesarzową, odwiedził Ojca Św., a teraz syt lat i chwały, pływa dla kawałka chleba. Załogę okrętową składali Amerykanie, Irlandczycy, Niemcy i Negry; podróżnym usługiwał potomek dawniejszych Akadyjczyków, zangliczony Indyanin z Nowa-Scotia, a do pomocy miał rodowitego Chińczyka, zapewne z osiadłych w Kalifornii; choć i tu są Chińczycy rybołóstwem się bawiący. Chińczycy w Rio - Janejro nie raz się wieszają na wzgórzach św. Teresy w nadziei, że tak rychlej wrócą do Ojczyzny. Gdyby zkądinąd rzecz nie była dowiedziona, patrząc na te dwie twarze miedziane, z ostro wystającymi policzkami, wyraźnie pokrewne, możnaby wnieść od razu, że Indyanie przy-

Szli do Ameryki z Azji i że są tatarsko-mongolskiego pochodzenia. Co do passażerów, było kilku kupców brazylijskich, grubych materyalistów, kilku studentów z których jeden odznaczał się gadulstwem i bezbożnością; dowiedziałem się że jest synem emigranta włoskiego. Dalej było dwóch Niemców, kupców osiadłych w Santos; jeden młody rodem z Bremen, drugi już dojrzały z Hanoweru, choć typu żydkowatego. Zacząłem mówić z nimi po niemiecku, ani sposobu: wolnomularze i mazziniści', życzący republiki dla całego świata, ale też szczególnie dla Niemiec, dla pozbycia się swoich trzydziestu panujących. Jeden tylko Portugalczyk od dawna już tu mieszkający, oczytany, wymowny, śmiało bronił religii, Kościoła, papieża; on tylko jeden, nikt więcej ze świeckich (okrom wszakże starego kapitana) nie powiedział słowa, któreby dowodziło że myśli o Bogu, o duszy i t. d. materya i materya! Wolałem zatem patrzeć na prosięta morskie, na delfiny, *botos*, jak trzodami całemi płynąc na wyścigi ze statkiem naszym, dawały nurka; patrzałem też na góry nadmorskie, podobnej formacji jak około stolicy, zdaje się że to to samo pasmo. Ogólnie ostro, kończasto lub iglasto piramidalnie zarysowane; niekiedy znowu szczyt kończy się w kwadrat regularny, jak gdyby dom ręką ludzką stał tam zbudowany. Resztę czasu zajęła mi modlitwa i rozmowa z kapłanem, towarzyszem podróży.

Pierwszego dnia mieliśmy wiatr chłodny, który strudzone upałem płuca chciwie chwytały; nazajutrz była cisza zupełna, zawsze jednak wilgoć od morza łagodzi upał i brak wiatru. Płynęliśmy bardzo powoli, bo dziś kompanie ile mogą oszczędzają węgiel, tak że ledwo z siódmą a ósmą wieczorem stanęliśmy w porcie Santos, leżącym głęboko śród ziemi nad zatoką morską, do której wązkim i płytkim kanałem przebierać się potrzeba. Statek brazylijski przybył dopiero 0 północy, ale i lepsze miejsce w porcie blisko brzegu zajął, 1 pierwszy towar swój wyładuje. Bylibyśmy nawet musieli spać na statku, gdyby żona owego starszego kupca Niemca, nie odszukała gdzieś i nie rozczuliła pana urzędnika. Stanęliśmy w hotelu utrzymanym przez rodzinę francuską: dzięki Bogu nie mieliśmy moskitów, i mogliśmy, się jakkolwiek przespać.

Nazajutrz po zmówieniu mszy św. i śniadaniu ruszyliśmy w drogę. Droga żelazna niezmiernym kosztem zbudowana aż na szczyt góry, jest obecnie w reparacji, po mocnych deszczach ziemia się obrywa: powiadają, że zawsze tak będzie. Trzeba było zatem po dawnemu, płynąć trzy godzin, od dziesiątej do pierwszej, morzem, kanałem i rzeką, w niewygodnej łodzi, aż do stóp góry; w zarosłych brzegach kryje się rodzaj małych krokodyli, wszakże uciekają one jak skoro posłyszają szelest wiosł. Siadło ośmiu nas do omnibusu lekkiego, ale mocno zbudowanego, do którego zaprzężono sześć mulic: przy pierwszej parze szedł, a w razie potrzeby kłusował mały murzyn. Droga wązka, nierówna, trzęsąca, idzie wciąż wężykiem nad brzegiem przepaści: a parapetów ani poręczy nawet na mostach nigdzie. Do tego spotyka się wciąż ciężkie skrzypiące wozy o kołach pełnych, zaprzężone wołami, i stada całe mułów obładowanych bawełną, kawą i t. d. Biedne te bydłota muszą ustępować przed dyliżansem, ściskają się nad brzegami przepaści, jeden spadł do wąwozu prawie przed oczyma naszymi. Zaręczają wszakże, że dyliżans nie miał nigdy przypadku na tej drodze. Dwie godziny całe jechaliśmy wciąż pod górę: na każdym zakręcie mieliśmy śliczną panoramę morza, zatoki, miasta Santos, kanałów i rzeki. Z gór pędziły strumienie chłodnej wody, którą wszyscy skwapliwie pili. Co raz się lżej oddychało, a blisko szczytu mgła i wiatr chłodny, bo w głębi deszcz padał. Od szczytu góry pięć jeszcze mil przebiegliśmy kłusem aż do S. Bernardo, gdzieśmy obiadowali, i gdzie nam odmieniono konie. I tu są Niemcy, choć dosyć biedni, sprowadzili ich prywatni właściciele i poszukiwali. Ponieważ pora już była spóźniona, a mieliśmy przednią czwórkę, parę koni w przodzie i parę dużych mułów przy dyszlu, po drodze równój i po płaszczyźnie, woźnica nasz pędził wciąż cwałem, tak że o ósmej stanęliśmy w mieście, a przed dziewiątą dostaliśmy się do seminaryum, położonego za miastem; przyjęci z serdeczną gościnnością przez zacnych 00. Kapucynów prowincji Sabadzkiej.

Seminaryum to zawdzięcza Brazylia Ojcu Św., który dał fundusz potrzebny na podróż dwóch pierwszych Ojców, i wyrbrał zapewne dla tego brodatych synów św. Franciszka, że rząd tutejszy jakkolwiek nie cierpi zgromadzeń, potrzebuje

jednak kapucynów do cywilizowania dzikich Indyan, i przeto musi ich tolerować w kraju. Posyłając ich rzekł Ojciec Św.: „bądźcie echem serca mego dla tego kraju.” Szczęśliwie wyrbrał ludzi. O. Rektor ks. Eugeniusz de Rumilly bystry, przenikliwy, wymowny kaznodzieja, nawet w języku portugalskim, posiada przymioty potrzebne i do zaimponowania zarozumiałym Brazylijczykom uważającym się dość powszechnie za pierwszych ludzi na świecie, wyższych nad każdego cudzoziemca, i do odgadnięcia intryg, niepoczciwych podstępów i obłudy, z którą walczyć musi od lat dwunastu; i odwagę do wytrzymania prawdziwego prześladowania języków, dzienników i pocisków kamiennych. Prowincya Ś. Paulo uważa się za najoświećszą w całej Brazylii. W niej to mieszkali bracia Andradas i Yergejro, którzy stanowczą rolę odegrali w oderwaniu się Brazylii od Portugalii, ale też ducha swego niedowiarstwa wszczepili w całą prowincję.

Akademia prawa w tem mieście wychowuje bezbożników, rozpustników, i wichrzycieli. To też kiedy przedostatni biskup z kwesty zbudował gmach seminaryjski i powierzył go kapucynom, trudno wyrazić jakie prześladowanie powstało przeciwko nim, ze strony akademii, miasta, i niestety znacznej części duchowieństwa. Jakkolwiek seminaryum leży za miastem, często niedorosłe i niezarosłe niedowiarki wybijają im okna, a na ulicach przechodzącym urągają się; pomimo to, jest już dzisiaj dziewięciu kapucynów, kilku księży miejscowych profesorów, ze 20tu uczniów teologów, i do 100tu malców w *petit seminaire*, albo właściwem kolegium. Mnóstwo bowiem rodziców, choć niewierzących, powierza im dzieci, aby zachować duchy ich i ciała od wszelkiej zgnilizny. Więc jakkolwiek mają wielu nieprzyjaciół, mają też i stronników, i choć nieliczne rodziny żyją już po chrześcijańsku na wzór europejski. 00. Jezuici zachęcani snadź widokiem tych rezultatów, kuszą się otworzyć kolegium w prowincjonalnem miasteczku.

Tu gdzie już są siostry *de St. Joseph de Chambery*, dla wychowania panienek, można przewidzieć, że w rychło mającym się otworzyć parlamencie powstanie burza przeciwko Jezuitom, a przytem dostanie się i Kapucynom: widzą to ci ostatni, a jednak nie tylko w niczem im nie przeszkadzają,

ale owszem dopomagają, i przejeżdżających serdecznie w seminaryum ugaszczają.

Byłem u ks. Biskupa lękającego się krzyku dziennikarskiego; przyjął mnie jednak bardzo grzecznie, dał wszelkie pozwolenia do spowiadania itd. w swej diecezyi, i pozwolił by O. Rektor pomagał mi w mej kweście, ale sam zostaje w cieniu.

Dzień 2go lutego, święto M. B. Gromnicznej, spędziłem wesoło i pobożnie; 26-ciu uczniów miało przystąpić do pierwszej komunii; większa część podrostków: dowód jak tu religia zaniedbana. Przystrojono pięknie kościółek w kwiecie i zieleń, młode palmy i drzewo paproć, to gotowa ozdoba. Zaproszony, miałem mszę świętą, podczas której śpiewano na chórze. Komunikowali nadto uczniowie seminaryum duchownego i mnóstwo uczniów świeckiego. Wszystko pięknie się odbyło: młody tylko początkujący kaznodzieja trochę się stropił. Rozdałem potem nowo-komunikującym obrazki i medaliki M. Boskiej, a wszystkim rozdano obrazki. Po obiedzie, była ceremonia odnawiania przyrzeczeń chrzestnych; po śpiewie i kazaniu wstępem przystępowali nowo-komunikujący, parami z zapalonemi pochodniami w ręku i klękając przy strojnym w kwiaty postumencie, na którym leżała biblia, wyrzekali się napowrót szatana i pomp i dzieł jego; po drugiej nauczce, klękając w półkole przed ołtarzem i obrazem Matki Boskiej, odnowili wszyscy razem za kapłanem formułę poświęcenia serca i oddania się pod opiekę Matki Boskiej. Późem rozdałem im obrazki ze świadectwem odbytej pierwszej komunii, a w końcu po odśpiewaniu *Tantum ergo* na głosy, udzieliłem błogosławieństwa Najświętszym Sakramentem. Piękny dzień, piękna uroczystość, która niezatarte ślady zostawia w sercach młodzieży! Były już tu przypadki, że ojcowie niepobożni, rozczuleni widokiem nabożeństwa swoich dzieci, prosili o spowiedź. Jaka szkoda że u nas ogólnie jeszcze pierwsza komunie tak niedbale się odbywa; ale da Bóg, że stopniowo wszystko pójdzie lepiej.

Wieczorem dnia tego, pojechaliśmy konno z O. Rektorem i kilku innymi do *fazendy* (folwarku) seminaryjskiej, o półtorej godziny drogi od miasta, położonej pomiędzy górami i wśród lasów których Ojcowie palić niepozwalają. Gospodarstwo tutejsze bowiem na tem polega by lasy palić,

a lasy odwieczne, drzewo drogie, twarde jak żelazo, z trudnością się palące (i przeto tak rzadkie pożary w Brazylii); otóż gospodarstwo tutejsze na tem polega, aby takie lasy wypalić, a natomiast sadzić kukurudzę do karmienia wieprzów; kawę albo co innego przez pierwsze lata, a potem grunt opuścić lub za bezcen przeciąć. Grunt tak wycieńczony porasta znowu lasem, zwanym *capoeira*; a co dziwnego, że wyrasta drzewo całkiem różnego gatunku, od dawniejszego w pierwotnym lesie, mianowicie dające olej rycinowy. Na tej fazendzie, nie mogłem się przypatrzeć jeszcze rolnictwu na dużą stopę z mnóstwem murzynów niewolników. Ojcowie głównie wychowują bydło na pięknych pastwiskach: osuszyli łąki sprowadzając wody do dwóch stawów, które służą do kąpieli i t. d.; nie bardzo jednak wygodnie tu kąpać się dla mnóstwa węży, a choć powszechnie są wodne i nieszkodliwe, bywają i jadowite. Niedawno murzyn ukąszony w szyję w kwadrans umarł, koń we 24 godziny zdechł. W tych dniach wół spotkał się z zębami węża: dotychczas żyje, ale chudy okrutnie. Lepiej sobie poradził kot z wężem, który wkwaterował się do domu. Nie łatwo pęłacz dźwiga się do góry, nie łatwo się obraca. Kot coraz uderzał go pazurem z boku i odskakiwał, a gdy wąż opadł z głową na ziemię, skoczył mu na szyję i przegryzł ją. Kury nawet sobie dają radę z padalcem. Stają rzędem obok niego, ale z tyłu patrząc na obroty głowy, pierwsza dojmie go dziobem i zmyka w tył, następnie druga i trzecia, aż do ostatniej, powtarzają ten manewr, aż węża zadziobią. Tak instynkt daje lekcje szermierki, i najsłabsze, najtchórliwsze nawet stworzeńka uczą jak bronić się od mocniejszych i zjadliwszych. Często koło domu mieszkalnego zabijają tych niemiłych gości. To też pierwszej nocy śniły mi się węże, ile że tylny pokój nie miał nawet w oknie szyb, jedno mocne sztachetki z drzewa, kędy i gruby wąż mógłby się łatwo wkwaterować, tem bardziej że okno niskie. Czytałem w podróży pewnego Amerykanina, że w nocy słyszał jakiś szmer w bocznym pokoju; pokazało się że to był gruby grzechotnik, który zabity przez niego poszedł do słoju w spirytus. Szczęściem nie widziałem żadnego. Wszakże za powrotem, będąc w odwiedzinach u osiadłego tu na przedmieściu Szwajcara, widziałem już zabitego postrzałem zjadliwego *surukuru*, który się był rzucił na mło-

dego chłopaka, ale szczęściem tylko odzienie szczęką zaczepił: wąż bowiem zjadliwy nie kęsa jak wodny, albo jak pies, jedno górną szczęką z boku uderza, podczas gdy dolna zostaje nieruchoma. Ci którzy chodzą wiele po polach, lub polują po lasach, wzuwają bóty z cholewami i są tak zabezpieczeni od ukąszeń wężowych, chyba gdyby wąż niepostrzeżony z drzewa rzucił się na człowieka, jak się wzmiankowanemu Negrowi zdarzyło. Za drugim pobylem na fazendzie, widziałem 'grzechotnika na poły żywego, którego przyniósł dwunastoletni murzynek. (Dałem mu za to medalik). Aby zabić napewne węża, trzeba go uderzyć raz i drugi w kość pacierzową, która u niego bardzo słaba, a potem dopiero głowę przeszyć; przypatrywałem się zębom jadowitym; długie, cienkie i ostre. Grzechotkę stanowi kilkanaście kółek rogatych, połączonych elastycznymi ściągaczami, grzechoczących za poruszeniem; grzechotkę tę oderwaną od ogona, a raczej stanowiącą ogon, zachowałem, i przeznaczam do gabinetu adryanopolskiego. Mnóstwo też tu żab najrozmaiciej skrzeczących, niektóre z nich tak mocno, że zdaje się, iż się słyszy mnóstwo kotlarzy bijących młotem. Od żab i wężów przechodzę do czegoś lepszego i więcej zajmującego.

Nie daleko od seminaryum jest klasztor sióstr Niepokalanego Poczęcia, zwany tu *da Lus* (światła), wielce od ludności tutejszej poważany. Są to tercycarki franciszkańskie, za czasów jeszcze panowania portugalskiego, do życia konwentualnego przez pewnego ojca Franciszka włożone. Były wprawdzie siostry pod tą nazwą w XV. wieku przez błogosławioną Beatrycę z Kastylii założone; ale widać że wygasły, żadnego śladu po sobie okrom nazwy nie pozostawiając. I te siostry nie mając dokładnej reguły, ni dyrekcyi, zaczęły były cierpieć na duchu; ale dzięki rektorowi O. Eugeniuszowi de Rumilly, doszły do ścisłej obserwancyi i są zbudowaniem dla miasta. Jest ich 40, żyją z jałmużny, a niedostatku nie cierpią; najlepszy dowód że są poważane od ludności. Byłem tam ze mszą Św., a dzięki obecności przełożonego, mogłem zwiedzić ich klasztor bardzo czysto utrzymany, i ogród zasadzony kwiatami, warzywem, kawą i herbatą, które to rośliny same sobie przyprowadzają. Noszą błękitne habity i płaszcze, jedno iale szkaplerze. Rozdałem im obrazki Niepokalanego Poczęcia, z *memorare* św. Bernarda

w języku portugalskim pod spodem, i poleciłem ich modlitwom Polskę i Zgromadzenie nasze. Dobrze się interesa duchowne robią z zakonnicami, szczególnie też szczerze zamkniętymi, życie ich tak jednostajne, że np. odwiedziny takie jak moje, księdza przybywającego z tak daleka, zostawiają niezatarte ślady w pamięci: i modlą się wciąż pocziwie siostry podług wskazanej im intencji.

Następnego dnia uczniowie teologii i filozofii, urządzili sobie majówkę w dzień wakacyjny, i poszli piechotą do kościoła Matki Boskiej *da Pelina* (na skale, albo na górze) o godzinę drogi od miasta położonej. W każdej prawie dycezyi portugalskiej i brazylijskiej jest świątynia pod tą nazwą. A że zowią także *Nosa Sehnora da Franca*, słusznie 00. Kapucyni sądzą, że krzyżowcy południowej Francyi, gdy dopomogli Portugalczykom do zwalczania Maurów, zaszczerpili nabożeństwo do Matki Boskiej *du puy*, także *Notre Dame de France* zwanej. Cokolwiek bądź, puściliśmy się tam konno z młodym ojcem, frere Genereux, szlachcicem sabaudzkim, który po odb)tej podróży po Ameryce, wszedł' prosto do nowicyatu kapucynów w Sabaudyi, i przybył tu potem pomagać krewnemu swemu i rodakowi O. rektorowi. Po odbytem nabożeństwie, pojechaliśmy na kawę do zamożnego kolonisty niemieckiego, od lat 9ciu tu osiadłego. Rodem jest z okolicy Trewiru, przybył tu o własnym koszcie, kupił sobie dość spory kawał ziemi za 5,000 franków, i uprawia ją z pomocą tuzina dzieci i żony. Osuszył bagna, a na strumieniu sztucznym młyn wodny zbudował. Zamyśla teraz gorzelnię piwa i wódki dla starszego syna już żonatego postawić. Wypleniał ziele trujące bydło. Gniazda mrówczane ogniem wytępił: osy mu tylko winnicę i owoce psują. Zresztą udaje mu się wszelkie zboże i wszelki owoc europejski. Orał sam na polu kiedyśmy do niego szli, a gdym po niemiecku przemówił, cała rodzina się rozweseliła; nie było sposobu, trzeba było na obiedzie zostać, ile że wraz z żoną po portugalsku się nie nauczyli, i od przybycia do Brazylii już się nie spowiadali; chcą zatem korzystać z dobrej sposobności. Powiadał mi, że pod względem materyalnym dobrze w Brazylii, bo zawsze jest praca i zarobek, a kto trzeźwy i pracowity, może się łatwiej niż w Europie dorobić majątku; ale duchownie bardzo zle. Szkoły brazylijskie liche, a księży nigdy Ewan-

gelii ludowi nie wykładają: wszystko się kończy na mszy w niedzielę. Szczęściem, zaopatrzył się dobrze w książki pobożne w Niemczech; ma katechizmy, historią świętą, książki do nabożeństwa, śpiewniki kościelne, więc w niedzielę czytają i śpiewają razem. Ucieszył ich bardzo O. kapucyn zapewniając, że rychło przybędzie do seminarium ojciec niemiecki, i że już dalej nie będą tak opuszczeni. Sprawili nam obiad suty: rosół z kury, kapustę kwaśną, fasolę i kartofle ze słoniną; do tego ser, masło i owoce na deser, a wszystko zakończone kawą mniej ciekawą i przezroczystą niż w Niemczech. Odjeżdżając spytaliśmy ileśmy winni? Na to odpowiedział gospodarz: „za zapłatę, zechcą ojcowie drugi raz wrócić do nas.” W niedzielę następną stawili się wiernie do spowiedzi w kościele.

Spowiadał się też wiarus polski z ostatniego powstania, zabłąkany aż tutaj, pracujący u ojców w ogrodzie; o którym wam dotychczas nie wspomniałem. Po przybyciu do Francji znalazł się w Marsylii. Tam werbowali do wojska w Montevideo. Dał się namówić i puścił się z kilku innymi towarzyszami biedy emigracyjnej. Znalazł tam biedę cięższą, a do tego bezbożność, szczególnie pomiędzy Włochami, straszną: „nie przestawałem jednak, prawili mi, odmawiać koronki i i tych oto modlitek do Anioła stróża, jedynych jakie mam w polskim języku, za to mi Pan Bóg dopomógł, i jeszcze kilku z tej niewoli wydobył. Przypomniałem sobie że Pan Jezus powiedział: kiedy was prześladowają w jednym mieście, uciekajcie do drugiego; to też kupiłem odzienie świeckie dla siebie i dla trzech moich znajomych; przebraliśmy się na mieście i szczęśliwie uciekli.” Osądźcie sami jego exegezę, to pewna, że pracowity, cichy, trzeźwy i pobożny człowiek; mieszczanin z Ostrowa w Płockiem, uczył się w kraju leśnictwa; radby już na własny rachunek pracować, kawał ziemi dla siebie samego uprawiać.

Poznałem tu już pewną liczbę krajowców; najznakomitszy z nich prezydent Akademii prawa, ksiądz; ale po świecku się noszący, i różne urzęda świeckie, z kolei nawet naczelnika prowincji sprawujący; przypominało mi to czasy Stasziców, Dmochowskich i t. d. w Polsce. Zresztą p. Vincenti posiada rzadki tu przymiot szczerości; mówi co myśli, a nadto zdania swego nie odstępował dla przypodobania się

komukolwiek, choćby też samemu cesarzowi. O. Kapucyni twierdzą, że mają w nim szczerego przyjaciela; umie bowiem ocenić dobro jakie czynią, i ma dosyć szlachetności by to wyznawać, i nie brać udziału w sprzysiężeniu milczenia, jednej jeszcze broni jakiej tu przeciwko tym Ojcom używają. Korzystam z wolnego czasu i znośnych upałów, uczę się na gwałt po portugalsku. Czytając rozumiem wszystko, ale nowe formy gramatyczne, upornie wchodzą do starej głowy; wszakże nie święci garnki lepią, to w końcu się nauczę. Czy po skończonej podróży język ten zda mi się na co? to sekret Boży: dobrze zawsze księdzu posiadać wiele języków, dotyla przynajmniej, by wysłuchać spowiedzi w razie potrzeby można.

Chciałem widzieć processyę, która się odbywa tutaj w środę popielcową po południu; bo jak nabożeństwo schyzmatyczne zależy na dzwonach i pokłonach, tak Brazylijczyków na procesjach i obchodach świętych z fajerwerkami i wystrzałami; niekiedy jeszcze za processą idzie kto z kamieniem na głowie; to *ex voto*, pokuta którą sam sobie nałożył, ale bez spowiedzi. Processyą wyszła z byłego klasztoru Franciszkanów, to też bractwo obnosiło posągi świętego Franciszka, św. Klary, Matki Boskiej, Pana Jezusa, a na końcu niósł kapłan drzewo krzyża św. Mnóstwo było dziewczątek przebranych za aniołków ze skrzydełkami przypiętymi do pleców; mnóstwo ludzi obok wizerunków świętych i przed nimi, gwardya narodowa za kapłanem, ale nikt ani śpiewał, ani się modlił. To nabożeństwo brazylijskie jest starożytne: za czasów panowania portugalskiego, lud zbiegał się z daleka, mieszkał obozem pod szalasami w koło miasta, słuchał kazań, spowiadał się, na processjach, bez względu ludzkiego, biczował się publicznie. Ale to były czasy barbarzyńskie; a dziś postęp w pełni. Dobrze jednak że lud tradycyjnie przywiązany do tych procesyj: z czasem lepsze da Bóg duchowieństwo potrafi im wrócić dawne życie i nabożeństwo.

Tu jako w górach powietrze zmienne, jakem już bodaj wspomniał; nadto ma się ku jesieni, temperatura taka jak w Rzymie w miesiącu październiku. Musiałem się zaziębić i przez tydzień nie domagałem. Przeczytałem w tym przeciągu czasu dwie wyborne książki; lą życie Maryi od Krzyża

rodem z włoskiego Tyrolu, założycielki dwóch nowych klasztorów Franciszkanek, która pełna ducha Bożego i posiadająca dar prorocstwa, była aniołem przewodnikiem katolików niemieckich w XVII wieku. Dzieło to smacznie przyprawione przez ś. p. O. Webera Benedyktyna tyrolskiego, któremu lat temu 22 spotkał był przy łożu Maryi Moerl stygmatyzowanej i zachwyconej. 2-ą dzieło przyjaciela naszego Ludwika Veuillot, który obiecał był nam przysłać do Rzymu „*La vie de N. S. J. C.*” w odpowiedź na bluźnierstwa Renana. Odpowiedział nie polemicznie, ale zatwierdnie, pokazując Chrystusa ewangelicznego, historycznego: ani ksiądz, ani biskup nie powstydziliby się pracy takiej. Żałowaliśmy gdy go siła od dziennikarstwa odsunęła; tymczasem wydaje dzieła coraz poważniejsze, które zostaną w literaturze, a którychby pewno, chodząc w codziennym zaprzęgu dziennikarskim nie był napisał: wie Pan co robi i już tu na ziemi nie raz służy swoje wyżej posuwa, „*ascende superius*” Czytuję też, tak w Rio-Janeiro, jak tutaj, *Le Monde* i wiem z grubego, co się w Polsce dzieje. Dyecezą chełmską schyzma na śmierć dusi. Ojciec święty wypchnął za drzwi zuchwałego urzędowego kłamcę swego dworu. Czyby już zbliżało się odkupienie nasze? Być może, ale i w takim razie trzeba będzie Polsce przejść przez silne jeszcze prześladowanie. Z pociechą widzę że sejm galicyjski spokojnie radzi o potrzebach miejscowych, a nie bawi się w opozycję na korzyść rewolucji Piemontskiej i innych. Może też w końcu i my dojrzejemy, wyobraźnię i uczuciowość wymienimy na rozsądek i rozum polityczny.

Rozważając jak mi powoli moja składka idzie, tak, że dwie dyecezye, Rio-Janeiro i St. Paulo, zabiorą mi przynajmniej pięć miesięcy czasu, napisałem do sześciu biskupów brazylijskich, (do którychem się jeszcze dotychczas nie był zgłosił) prosząc ich pokornie, aby nie czekając przybycia mego, raczyli składkę- zarządzić po swoich dyecezyach. Jednym bliżej morza położonym obiecałem przybyć osobiście podziękować, innych prosiłem by składki do nuncjatury odesłali; do biskupa Matto Grosso nawet nie pisałem, bo prowincja ta wielka, pusta, bez dróg, a w części przez Paragajczyków zajęchana. Każdemu biskupowi posłałem obok krótkiego listu, dłuższy okólnik, który zacytuje O. Eugeniusz de Rumilly, rektor

tutejszego seminarium, napisał, i rozesłał do swoich znajomych w tej dyecezyi :

przezacny panif.!

„Pokój Pana naszego z nami.

Ze wszystkich wielkich spraw, o których następstwa, toczy się dziś walka na świecie, niema bez wątpienia ani jednej, która obudzała w tak wysokim stopniu spólczenia serc chrześcijańskich, i wszystkich umysłów wznioślejszych, jak je obudzą losy nieszczęśliwej Polski. To długie męczeństwo świętego narodu odbija się boleścią swoją we wszystkich członkach wielkiej rodziny chrześcijańskiej. Nie jest to wszakże tylko prostym następstwem ślepej tliwości, ani jedynie boleścią że widzimy gasnącem ono jasne i najstarożytniejsze ognisko słowiańskiej cywilizacji, że widzimy upadającą, przez tyle wieków niepożyta warownię chrześcijaństwa na wschodzie i północy Europy i pryskający w kawały ten miecz potężny, którym synowie Polski godzili w serce Islamizmu, a wielki ich Sobieski je przeszył, a który zdawał się nadto przeznaczonym opatrnie do powściągnięcia na zawsze groźnych najazdów nowych barbarzyńców z północy. Niewątpliwie, co do ludów oświeconych, podziw ich dla przewag tych stróżów opiekuńczych, wdzięczność i instynkt własnego bezpieczeństwa, sprawia to, że cierpienia i zawody jakich doznaje szlachetna ofiara stają się tychże ludów własnymi cierpieniami, a to uczucie obudzą się daleko żywiej, ile razy ją widzą przechodzącą przez nowe wstrząśnienia. Dowodzą tego poruszenia ludowe, głosy wymowne odzywające się w podobnych razach, a wobec których nie zawsze może pozostać nieruchomą samolubna dyplomacja naszych czasów. Tak jest, a co najboleśniej, że nędzna polityka zniewieściałych dworów zeszłego wieku, nie doczekała się jeszcze w dziedzicach sprawiedliwszych, a mniej małodusznych mścicieli swojej zdrady. Wszakże nie tak zła dola doczesna naszych braci Polaków winna najżywiej bożdz nasze serca. Wiemy bez wątpienia, że ich narodowość ostoja się, jak długo dątrwa ich patryotyzm, a ten żyć będzie tak długo jak ich wiara. Ale ta wiara właśnie jest dziś zagrożona, a wojna dzika jaką obecnie wytrzymuje, wyciska słuszne łzy Kościołowi, i pobudza do niesienia pomocy duchowej dla synów Polski rozproszonych po całym świecie. Kiedy Katarzyna postanowiła dodać do swoich zbrodni jeszcze oną pochłonięcia Polski, osłabionej długimi wojnami, wiedzionymi prawie zawsze za wiarę, odezwała się do dzikich kozaków, których popchnęła na swoją ofiarę: „Nakazujemy wam byćście zabili, i wykorzenili wszystkich Polaków.... niech imię ich i pamięć zaginie dla potomności.... Oszczędzajcie jedynie Turków, Greków, Ormian i naszych Ruskich.” Widoczna, że Jezabel nowożytna wydała wojnę wierze Polaków, a całe stulecie zużyto już na wykonanie krwawego jej, świętokradzkiego rozkazu. Turek

i wszelki wróg imienia chrześcijańskiego ma udział w czułości tyrana moskiewskiego, miejsce swoje w prawodawstwie, bo w prowincjach przywłaszczonych, sam tylko Polak katolik nie znajduje miłosierdzia wobec schyzmy greckiej, a tatarskiego barbarzyństwa. On jeden przeznaczony na zagładę na ojczystej ziemi, a dziedzictwo jego, jeżeli nie okupione odstępstwem, podzielone bywa jak szaty Chrystusowe, pomiędzy jego oprawców. Program ten krwawej samodzierżczy, jest dotąd programem rządu rosyjskiego. Prawdą jest, że niepomiarkowana Moskwy ambicja spotyka w patriotyzmie polskim nieprzełamaną zaporę, i że wiara katolicka będąca źródłem dogmatu, praw, i uczucia godności człowieka, podtrzymuje ten patriotyzm. Prawdą jest, że ze szczątków zboliałych, ale żywotnych, narodu męczeńskiego, wiara ta mogłaby jeszcze wzbudzić to bohaterstwo polskie, które w innych czasach obnosiło sztandar narodowy w tryumfie od jednego do drugiego krańca samejże Rosyi (Moskwy). Wszakże, widoczna obawa podobnej możebności nie usprawiedliwia bynajmniej polityki rządu petersburskiego, podobnie jak kradzież nie uniewinnia zabójstwa. Zniszczenie kilkuset klasztorów; śmierć albo zasłanie między lody syberyjskie biskupów, zakonników, kapłanów; złupienie i zbezczeszczenie kościołów; ukazy i czujność policji uczącej ostrzem miecza skrwawionego, ceremonij, a nawet śpiewów pobożnych: wszystko to są plagi i prześladowania jakie ma codzień do znoszenia Polak katolik, którego nie przynęcają łaski prześladowcy wiary jego i ojczyzny. Z tych środków jeden jest który grozi zagładą katolicyzmowi polskiemu w samym zarodzie: pozbawienie prawa, a nawet możności wychowywania kandydatów do kapłaństwa, podług zakonów i ducha Kościoła. Rząd schyzmatycki rozumiał, że przywłaszczyć sobie wychowanie duchowieństwa, jest to pozbawić naród pokarmu dla jego wiary. Pochlebiał sobie nawet, (dotychczas dzięki Bogu napróżno), znaleźć z czasem w uczniach seminaryum katolickiego, które założył w Petersburgu, narzędzia powolne do przeprowadzenia dzieła odstępstwa^ogólnego, które zamierza. Otóż, ta jest nowa klęska, którą nad wszystkie inne, oplakują wierni Polacy, i bracia ich po wszystkich krajach. Dla zaradzenia jej, w rozmiarach możebnych, Ojciec święty, którego bacznej troskliwości nie uchodzi najmniejsza potrzeba^powierzonej inu^jrzez Zbawiciela owczarni, założył w Rzymie seminaryum polskie, celem ukształcenia w niem Ojców duchownych tej stroskanej rodzinie, zagrożonej albo ostatecznem sieroctwem, albo co gorsza, i wpadnięciem pod straż wilków rosyjskich w miejsce^pasterzy. Naród polski pierwszy przybiegł z pomocą pieniężną tak zbawiennemu przedsięwzięciu. Ale serce Piusa i szczodroblliwość polska większą^są obecnie niż ich zasoby, i jeżeli Ojciec święty ma tę pociechę, że nowy zakład już otwarty podług Jego^pobożnego zamierzenia, dolega go głęboko, że nie może rozszerzyć ciasnych jego rozmiarów, i uczynić ich odpowiedniejszymi wielkim^potrzebom którym ma zara-

dzić. Rzeczą jest zatem pobożności wiernych całego świata, przyjść mu w pomoc w tym świętym zachodzie. W tym celu otwartą została składka ogólna. Dochód jej posłuży do utworzenia funduszu wiekuistego ku utrzymaniu biednych uczniów tego seminaryum, tak jednak, iż jedno albo więcej stypendyów na które złoży się jaki naród, imię jego nosić będą. Pewien że Kościół Brazylijski, a mianowicie dyecezya św. Pawła nieomieszka wziąć udziału w tej zacnej sprawie, ośmieliłem się odezwać do Pana, abyś chciał się do niego przyczynić. Żaden tytuł nie upoważnia mnie do uciekania się do jego szczodroblowości; wiem wszakże, że miłość religii, nieodłączna od miłości ojczyzny we wszystkich sercach brazylijskich, obudzając w nim żywe poczucie tego co cierpią bracia nasi polscy pod jarzmem tyrańskim, wystarczy do skłonienia go, byś im swego grosza nie odmówił. Są dzieła, które się same przez się zalecają, i dosyć je wskazać miłosierdziu chrześcijańskiemu, aby wywołały pomoc skuteczną. Seminaryum polskie jest jednym z tych dzieł; a może najpilniejszym; a przez naturę dobrodziejstw jakie ma sprawić, najzbawienniejszem ze wszystkich w chwili obecnej. Nie wątpię, że tak je Pan uważasz, i nie omieszkaś wyciągnąć ku niemu dłoni szczodroblivej. Będąc upoważnionym przez O. Hieronima Kajsiewicza, przełożonego OO. Zmartwychwstania, któremu Ojciec św. sprawę tę porучzył, do przyjmowania darów od wiernych tej dyecezyi, proszę Pana o łaskę zbierania i przesłania mi co otrzymasz od szczodroblivosti swoich krewnych i przyjaciół. Zapisze za to, naród męczeński imię Pańskie na liście swoich dobrodziejów, a będziesz nadto miał Pan tę pociechę, żeś się przyłożył do uczynku dobrego wobec cywilizacji i religii. Zostaję etc.

San Paulo, 12-go lutego 1866 r.

(Podpisano) O. Eugeniusz de Rumilly O. M. C. Rektor Seminaryum Dyecezalnego.

Odezwa ta sprawiła swój skutek. Ofiary przybywają nawet od osób od których mniej spodziewać się można było. Ksiądz rektor, ogłosił już w dzienniku listę kilkunastu osób, które złożyły 2,000 franków przeszło. Uczniowie seminaryum dali 250 franków z własnego popędu.

Trzeciej niedzieli postu odbyła się pierwsza komunja dzieci miejskich, mianowicie pensjonatów w kościele Tercyarzy karmelickich. Przygotował ich ksiądz Terrier mieszkający w seminaryum i wszystkim kierował; ksiądz biskup dawał komunię. Mnóstwo też osób dojrzałych przystąpiło do Stołu Pańskiego, a wszystko to penitenci i penitentki OO. Kapucynów. Kiedy się pomyśli, że lat temu dwanaście gdy

tu przybyli, nikt już prawie w mieście się nie spowiadał; gdy się widzi z jaką chciwością lud zbiega się na nauki tych Ojców, kiedy uważałem jak i przy tej ceremonii kościół był napchany, a wielu płakało z rozrzewnienia; bacząc na to wszystko, można śmiało przypuścić, iż gdyby w każdej diecezyi brazylijskiej był gorliwy biskup, i miał na początek ze trzydziestu księży europejskich do pomocy; za lat kilkanaście, naród tenby się całkiem odmienił i lepszym byłby może od nie jednego z europejskich. W seminaryum odbywają się egzamina, bo wakacje szkolne już za pasem. Byłem na kilku, a mianowicie na prośbę jednego z uczniów, egzaminowałem go z dziejów polskich; odpowiadał doskonale, *eon amore*; dałem mu za to obrazek z herbami polskimi.

Niemcy przychodzą wciąż do spowiedzi: niektórzy nie spowiadali się od lat 20 i 30, to jest od chwili przybycia do Brazylii. Spowiadają się z wielką skruchą, jak gdyby na śmierć. Wyjeżdżam do *St. Amaro*, o trzy godzin drogi ztąd, aby wysłuchać tamtejszych biedaków. Gdybym był tylko narzędziem zmiłowania Bożego dla tych dusz opuszczonych, już podróż moja nie byłaby daremną. Korzystali rzeczywiście nie umiejący jeszcze po portugalsku, albo dla pociechy wyznawania się w ojczystym języku. Dwie panienki na wydaniu przyjechały konno w noc o pięć godzin drogi. Starzec jeden osmdziesięcio-letni, od L,^L czterdziestu w Brazylii osiadły, niezdolny już dosiąść konia, przybył na wozie do miasta. Od lat dwudziestu nie był już u Stołu Pańskiego, i wciąż przemysliwał jakby dostąpić tego szczęścia przed śmiercią: a oto Bóg wysłuchał prośb jego i zarządził. (W kilka dni potem umarł). Proboszcz w *St. Amaro*, porządny kapłan i spełniający swój obowiązek jak rzadko w tym kraju: to też w dnie powszednie nawet ma penitentów. Że zaś parafia jego z jednej strony rozciąga się na sześć godzin drogi, wielką część życia spędził na koniu; a przy słońcu brazylijskiem, które i w tej porze roku dziwnie jeszcze dokucza, nie mały to trud i zasługa. Przekonałem się, że dłuższa podróż konno przy tem słońcu, już mię trzusi. Zaczny ksiądz rektor nabył silnego a lekko noszącego muła dla mnie, i rozdzielił drogę na kilka milowe etapy. Niech mu Bóg płaci za delikatną jego troskę o mnie, i za wszystko co dla mnie czynił. Pole-

cajcie go Panu. Ojciec, któremu ten list powierzam, wyjeżdża dziś jeszcze (11-go marca) do Europy; kończę zatem. Da Bóg do zobaczenia w maju albo w czerwcu.

L I S T I X .

Ilu, 19-go marca 1866 roku.

Najmilsi moi! Dnia 15-go marca pod wieczór ruszyliśmy w drogę z ojcem Eugeniuszem, drugim ojcem Kapucynem, ojcem Germanem i młodym księdzem brazylijskim profesorem w seminaryum, odprowadzani o godzinę drogi przez kilku innych ojców i świeckich. Murzyn konny popędzał mulicę juczną i odwodowego konia. Po godzinie postrzegłem się, że muł kupiony dla mnie trząsł okrutnie i kłusując i stępo, przesiadłem się więc na konia jednego z ojców wracających do miasta. Trzeba było tłumoki podróżne przeładować, co nam zabrało przeszło pół godziny czasu. Słońce zaczynało zachodzić, a droga nierówna, mosty dziurawe, wąziutkie, jak za czasów Rzeczypospolitej polskiej u nas, tak że przez wodę bezpieczniej nieraz było się przebierać: choć znowu dla parady tu i owdzie spotkać można nowy most żelazny. Ze dwie godzin jechaliśmy stępo bo i księżyc nie świecił. Stanęliśmy około dziewiętej, ujechawszy pięć godzin drogi, przed małą chałupką, domem zajezdnym miejscowym, gdzie mieliśmy nocować gdyby nas przyjęto. Tu bowiem do domu zajezdnego broń Boże wprost zajechać, ale nie zsiadając z konia, pozdrowiwszy gospodarza, trzeba prosić o pozwolenie, *da licenza*; gospodarz jeżeli w dobrym humorze, odpowiada można, *pode*: wtedy dopiero zsiada się z konia. Z powodu nieuszanowania tej formy, pan Paweł Sousa, człowiek zamożny w prowincyi a dziś minister, wypędzonym został z karczmy szpicrutą (*chicota*, szykotą) przez gospodarza. O zmroku zwykle zamykają karczmy na rygiel; interpelowany gospodarz, albo nie odpowiada, albo odpowie że niema miejsca, i bez miłosierdzia zostawia podróżnego jego przemysłowi. Ale gospodynie nasze, stare Portugalki, dziewięćdziesięcio-letnia matka z córką swoją pięćdziesięcio-letnią, poznały głos jednego z ojców

naszych, który już do nich zajeżdżał; więc czarna niewolnica o męskich rysach otworzyła drzwi, a druga zapaliła świecę, a potem roznieciła ogień. *Hotel* nasz, była to chałupka, uklecona z cementu i gliny, jak wszystkie tu domy z małym wyjątkiem. Zajęliśmy dwa jedyne pokoiki gościnne w każdym z których były dwa łóżka, i jeszcze murzyn nasz, który dzięki kapeluszuowi swemu z lakierowanej skóry i porządnemu surdutowi wyglądał na waszmościa ¹⁾ otrzymał osobną komórkę. Wydobyliśmy zapasne sardynki, murzynki przyniosły gotowanej fasoli (*fedzian*) ryżu i herbaty, i mieliśmy doskonałą wieczerzę postną. Położyliśmy się już po jedenastej na pościeli nie sławnej, ale przynajmniej mieliśmy czystą bieliznę. Deszcz który lał obficie przez noc całą, pomagał do snu a małe kłusujące muszki zawadzały. O czwartej zrana zawołaliśmy na murzyna, chcieliśmy bowiem z brzaskiem o piątej ruszyć w drogę. Zanim się wybrał, zanim poznajdował i połapał konie było już około szóstej, a że połapał, to dzięki przekonaniu mulów i koni że dostaną obrok, porcyę kukurudzy. Z dniem powylaziła dziatwa dwóch murzynek z wypukłymi brzuskami, w krótkich koszulkach, i już nie hebanowej ale mahoniowej barwy. Nie było i śladu w domu ojca tych dzieci, ale tu się o to nie pytać, szczególnie w domu zajezdnym i przy drodze. Są rzeczy które tu niestety już nie rażą i odbywają się z wielką prostotą.

Napiliśmy się czarnej kawy, a zanim nasz murzyn maruda posiadł konie, było już koło siódmej. Dopóki nasze bydłeta zabawiały się *kawą* swoją to jest obrokiem, stały spokojnie na miejscu, ale po skończonem śniadaniu, mulica juczna która wczoraj wciąż jęczała pod ciężarem, widząc że murzyn bierze się do tłumoków, wielkim pędem ruszyła ku St. Paolo. Trudno było czekać dłużej, murzyn wyłajany pobiegł w pogoń na koniu odwodowym, a myśmy ruszyli naprzód. Złe drogi po deszczu były do tego ślizkie: po ciemku byli-

¹⁾ Nie pamiętam czym już wam doniosł, że tutejsze nazwy *Yosse* i *Yosmese*, odpowiadają wiernie naszym staropolskim *Wasze* i *Waszmość*: potem idzie *Vosa Sehnoria* nareszcie *Eccelencia*, ten ostatni tytuł daje się ogólnie niewiastom, szczególnie na wieczorach proszonych, byle były przyzwoicie umyte, uczesane i białej cery.

byśmy połamali karki, albo konie nogi. Ponieważ zanosilo się znowu na deszcz, pomimo złej drogi kłusowaliśmy żwawo i w cztery godzin ujechaliśmy pięć mil brazylijskich (18 na stopień). Po drodze spotkaliśmy kilkunastu młodych wieśniaków kłusujących jak my, a dwóch z nich niosło na drogach rodzaj woru albo dużej torby. Pytałem coby to było? odpowiedziano mi że to pogrzeb, i że w tej torbie niesiono zwłoki martwej niewiasty do cmentarza parafialnego, odległego o pięć godzin drogi. Brazylijczycy bardzo dbają by byli pochowani w poświęconej ziemi. To też nieraz o ośm i dziesięć godzin przenoszą ich zwłoki. Ale ten orszak bez krzyża i księdza kłusujący z trupem, miał coś dzikiego, indyjskiego i smutne zostawił wrażenie.

O jedenastej zrana słońce dopiekało już potężnie. Staliśmy pod nowym domkiem otoczonym palami do uwiązania koni, znak domu zajezdnego. Zatrzymaliśmy się zatem na obiad. Gospodarz był bardzo uprzejmy. Zapędził żonę i córki dorosłe do kuchni, które nam nawarzyły zieleniny, ryżu, a nawet zdobyły się na omlet, (był to piątek) przy naszym zapasie marynowanej ryby, sera i wina, mieliśmy wyborną ucztę, dzięki mianowicie szczeremu apetytowi. Gospodarz zdobył się na stół, tłumoki nasze i siodła posłużyły za krzesła: i wszystko poszło wyśmienicie. Poczęstowaliśmy gospodarza winem i naszymi zapasami, a on wiernie dzielił się wszystkim ze swą połowicą. Nadjechał tymczasem murzyn kłusując na zbiegłej mulicy, której boki pokrwawił dużymi przedpotopowymi ostrogami. Zabawnie widzieć tu *Waszmościów* w surdutach, cylindrach, z ostrogami takimi przywiązanymi do bosej stopy. Brazylijczycy bowiem mężczyźni i niewiasty noszą odzież i obuwie, mianowicie na wsi, jedynie kiedy wychodzą z domu, dla odróżnienia się od murzynów ale w domu radzi chodzą w samej bieliznie i boso. Może upodobanie to w negliżu tłumaczy klimat.

Będąc już na drugim stoku gór, czuliśmy dokuczliwsze ciepło niż w San-Paolo. Widok ztąd obszerny, obszerniejszy niż na kampanii rzymskiej: puszczając się ztąd na przełaj, możnaby się dostać do *Peru*. Około drugiej po południu zaczął lać deszcz rzęsy, a gdy o piątej jeszcze nie myślił ustać, trzeba było zostać na nocleg. Uprzejmy nasz gospodarz zaradzał jak mógł i znosił co tylko znalazł w domu.

Dostarczył nam jednego łóżka bez pościeli, jednego materaca, dwóch czy trzech poduszek i pary kołder sukiennych: biedne kobiety musiały pewno spać na gołej ziemi! Łóżko przeznaczono dla mnie: z mantelzakiem pod głową i derą na nogach, spałem wybornie. Trzej moi towarzysze położyli materac w poprzek, otoczyli derami, i także spali. Nazajutrz rano mogliśmy wyjechać wcześniej bo wierzchowce nasze pasły się w zagrodzie, a przemyślną mulicę przywiązano do słupa pi'zed daniem obroku. Gospodarz nasz nie chciał podać rachunku, zdał się na łaskę i dobrze na tem wyszedł.

Jechaliśmy. czas niejaki obok *Tieti* który tu już sporą rzeką i piękne lesiste ma brzegi. Uderzyły mnie aloesy, smukłe, wysokie jak topole, a wyrastają do takiej wysokości w ciągu dni piętnastu i równie prędko usychają. Po ujechaniu znowu pięciu mil, stanęliśmy na popas. Tu gospodarz choć zamożniejszy od poprzedniego, najkwaśniej miał minę w świecie. Ale dał nam omlet z kielbaskami wieprzowymi, ugotowaną kurę, ryżu i fasoli niezbędnej: więc przebaczyliśmy mu kwaśną minę i solony rachunek. Zostawało nam jeszcze trzy dobrych mil do odbycia. Ruszyliśmy o trzeciej i pół z południa z miejsca. Konie które już tę podróż nieraz odbywały, widząc że są u kresu trudu, same się rwały ręczo naprzd. Ojcowie Kapucyni zapowiadali mi, że będziem przez pół godziny jechali środkiem lasu pierwotnego (*mato vergin*) ale niestety, znaleźliśmy go już znacznie nadpalonym i nadciętym. Widziałem jeszcze olbrzymie drzewa, pasożyty ogromne i najrozmaitsze gęstwiny niedostępne nawet równikowemu słońcu, kwiaty leśne, drzewa i krzewy kwitnące, nie mające jeszcze nazwy. Słyszałem śpiewy nieznanych ptaków *tańczących* w modrych sukienkach z czerwonym czepcem na głowach. Taki obyczaj tych ptaków zwanych *Tangura*, że jeden siedząc z nich wyżej przygrywa, a cztery inne po parze siedząc na **przeciwległych** gałęziach, przelatują z jednej na drugą, i trzepoczą się w takt podług kolegi muzykanta. O. Germain wielki naturalista, co raz to się zatrzymywał dla uszczknięcia jakiej gałązki albo kwiatka, uganiał się nawet choć napróżno za motylami: podziwiałem go, niezdolny naśladować. Wy tłumaczył mi, dla czego po spaleniu pierwotnego lasu, wyrastają innego rodzaju drzewa, mianowicie *rycina*: oto dla tego, że nasienie jego może leżeć lat wiele nawet

głęboko w ziemi i nie gnije. Po zniszczeniu więc dawnego lasu wyrasta zaraz z ziemi. Jeżeli zaś ten nowy las pozostaje dłużej nietknięty, wiatr, ptastwo, nanoszą nasion dawnych drzew które napowrót wyrastają. Gdy jednak raz poraż palą i nowy las, w końcu zostaje ziemia wypalona jakoby na cegłę, i nic już prócz lichych krzaków nie rodzi. Takim stepem chruścistym jechaliśmy ostatnie półtorej godziny. O pół godziny przed miastem spotkaliśmy księdza Gau kapelana sióstr, i razem z nim, oświeceni promieniami zachodzącego słońca, przy powiewie chłodnego wiatru, zajechaliśmy przed *Santa Casa da Misericordia*. Duży ten dom podług planu zmarłego biskupa zbudowany, na wzór seminarium w San-Paolo, z kościołem po środku a przeznaczony na szpital, nigdy w sobie chorych nie mieścił: ze śmiercią biskupa- zamiar jego pozostał nie wykonany. Mieszka w nim obecnie wzmiankowany ksiądz kapelan, o kilka minut drogi od klasztoru sióstr, i wielbny starzec, kapłan franciszkański, kwestarz na ziemię świętą. Ojciec Bartłomiej rodem Hiszpan, sterał tu siły dając sam jeden missye po całym kraju, obecnie z wielkim trudem buduje domek z kościołkiem dla siebie lub swego następcy, a tymczasem tu mieszka.

Nazajutrz rano, w niedzielę Męki Pańskiej, udałem się do klasztoru Sióstr św. Józefa, zaproszony do odmówienia Mszy konwentualnej w ich kościele St. Patrocinio ¹⁾• Zgromadzenie to założone r. 1650 w *Puy en Velay*, podług pierwotnego zamiaru św. Franciszka Salezego, bez klauzury, dla uczenia biednych dziewcząt, i posługiwania chorym po szpitalach i domach; rozszerzone po wielu dyeezyach południowej Francyi, zniszczone zostało, jak wszystkie inne zgroma-

¹⁾ Kościół ten zbudował pobożny pewien kapłan miejscowy imieniem Eliaz, który na ten cel oddał wszystko co miał, kwestował i pracował własnymi rękami; był bowiem murarzem, rzeźbiarzem, ale grubszej roboty się nie wstydził. Miał on twierdzić, że wie dlaczego ten kościół buduje, bo z czasem przy nim miały Anioły zamieszkać. Piękne proroctwo o pocziwych siostrach św. Józefa, wychowujących nowe pokolenie chrześciańskich matek. Obok sióstr św. Józefa są krajowe siostry *recolhide* w wielkim ubóstwie, w wielkiej prostocie i oderwaniu od świata żyjące, ze zbudowaniem dla miasta.

dzenia, podczas pierwszej rewolucyi francuzkiej. Kardynał Fesch przywrócił je w Lyonie, za pomocą jednej z dawnych Sióstr zatrzymanej na drodze do gilotyny okrzykiem ludu: „puście ją! Robersjderre już nie żyje!” Tenże kardynał wprowadził je do Chambery, zkąd rozszerzyły się po Sabaudyi i Włoszech, a mają nawet dom w Kopenhadze, Indjach i tutaj. Długi czas żyły podług pierwiastkowej reguły powiększonej w Chambery, a roku 1857 na przedstawienie biskupa, dziś kardynała Chambery, zostały przez Stolicę Apostolską potwierdzone. Tutaj sprowadził je przed laty ośmiu zmarły biskup za staraniem O. Eugeniusza, który jest ich przełożonym z ramienia kardynała Billet. Wychowują dziewczęta zamożniejszych rodzin, więcej może zaniedbanych od biednych w naszej katolickiej Europie. Mają jednak klasę bezpłatną dla biednych. Jest ich trzynaście czy czternaście, a pierwszą przełożoną swoją pochowały w głębi morza naprzeciwko *Cabofrio*, o kilka godzin od Rio Janeiro. Mają obecnie ośmdziesiąt dziewcząt białej i żółtej barwy, rasy czystej europejskiej i mniej więcej przemieszanej z afrykańską i indyjską. Komunikowały wszystkie Siostry, kilkanaście panienek, kilkadziesiąt osób z miasta, głównie kobiety, tak że Msza moja blisko godzinę trwała. Biedne Siostry! a przed Bogiem bogate! I zapędzone z miłości bliźniego na koniec świata a mało tu ocenione: bo jakem pisał, Brazylijczycy są powszechnie przekonani, że Europejczycy przybywają do nich przyciśnięci potrzebą i jedynie dla polepszenia sobie losu; i jeżeli w czem od nich wyżsi, uczeńsi, to dla tego by móżdż sobie na chleb zarabiać. Biedne Siostry! z chłodnych ale zdrowych gór swoich przeniesione na ten step spiekły (bo tu już pięć stopni ciepła więcej niż w San Paolo), przez wzgląd na stan obyczajów krajowych zmuszone do największej ostrożności w stosunkach nawet z duchownymi; rzadko nagrodzone wdzięcznością dawnych uczennic, nie zawsze pocieszane ich sprawowaniem się na świecie: można pojąć z jaką pociechą ujrzały dwóch kapłanów Sabaudzkich a mianowicie swego przełożonego, którego już od piętnastu miesięcy nie widziały: było to dla nich jakby przypomnieniem ojczyzny. Po śniadaniu oglądaliśmy zakład już przez zakonnice znacznie powiększony, a po obiedzie u *Misericordia* dałem błogosławieństwo Najświętszym Sakramentem Siostrzom w towarzystwie dwóch Oj-

ców Kapucynów, przy śpiewie dziewcząt i siostry nauczycielki. Po błogosławieństwie rozdałem wszystkim w domu obrazki Matki Boskiej, a O. Eugeniusz rozdawał dzieciom medaliki.

Ztamtąd udaliśmy się na miasto aby widzieć procesyą *dos passos*, to jest stacyi krzyżowych. Przypatrzyłem się, że tu się processyie pobożniej odbywają niż w St. Paolo. Wierni idą parami, mnóstwo niesie zapalone pochodnie, dwóch duchownych kazało na dwóch otwartych placach. Nazajutrz po obiedzie puściliśmy się konno dla obejrzenia kaskady o *Salto*, po indyjsku *Itu*, położonej o godzinę drogi od rzeki *Tiete*, która tam ściśnięta skałami z dwóch stron, wydobywa się wodospadem. Nie wiem dla czego biorąc nazwę indyjską *Itu*, nie zbudowano miasta przy tym wodospadzie nad rzeką z pięknymi brzegami, z możliwością użycia jej wody do fabryk, i spławną od tego miejsca. Tymczasem miasteczko obecne zbudowane na płaszczyźnie piaszczystej, tak że okrom chodników z łupkowego kamienia, w pośrodku ulicy brnie się piaskiem jak w Saharze i połyka się ten piasek zmiatany wiatrem. Niema tu dobrej wody do picia, miejsce nie zdrowe dla nagłych przejść od spiekoty do zimna, jak skoro wiatr północny zawieje; usposabiające do melancholii pomimo jasnego, stałe pogodnego nieba, pełne też ludzi bzikowatych. *Itu* niema przyszłości: pomimo kilku długich i szerokich ulic, równoległych trzech placów ogromnych ale trawą porastających, pomimo wielu kościołów, 'miasto coraz bardziej staje się dużą i pustą wsią: a nad rzeką przy kaskadzie już powstały młyny wodne, maszyny do przyrządzania i pakowania bawełny; tak że tam z czasem nowe miasto handlowe stanie. Jakkolwiek będzie z miastem obecnym i przyszłym, wodospad chociaż mniejszy od *Chaudiere* w Kanadzie, w tym samym jest rodzaju, i zawsze piękny. Wracając widziałem po raz pierwszy piękne zielone papugi dziko a swobodnie latające po lesie. Niektóre z nich tak są małe jak kanarki i te bardzo poszukiwane i cenione. Widziałem też kopce, jak małe kurhany mrówek białych, mniej licznych i mniej szkodliwych; mrówki bowiem czarne wykopują sobie prawdziwe katakumby podziemne, tak że nieraz jeździec z koniem się w nie zapada. Ztąd też trudność wytępienia ich nawet ogniem, bo wynoszą się w dalsze korytarze gdzie już ogień im nie dokucza: naj-

skuteczniejszy dym, ale tak daleko jak osiągnąć ich może. Spotkaliśmy też rodzinę z głębi kraju zdążającą już na wielki tydzień do miasta. W przedniej straży szły murzynki z koszami na głowie, jedna z nich prowadziła dwa psy gończe. W środku szły dwie lektyki z państwem, każda niesiona przez dwóch mułów przywiązanych do drągów wystających przed i za lektykę, z których przedni zadem obrócony a tylny głową do tego rodzaju powozu. Lektyki te nie zawieszone na sprężynach ni pasach, muszą być bardzo niewygodne a niebezpieczne gdyby muły zaczęły dokazywać, wprawdzie, dwóch murzynów idących piechotą obok, trzyma je pod grozą. W tylnej straży szła znaczna kupa murzynek z różnemi przybarami. Bardzo to jeszcze wszystko pierwotne: jak ci ludzie poradzą sobie gdy im niewolników nie stanie? bo obecnie żaden biały ni biała upuszczona chustki z ziemi nie podniesie, ale woła na murzyna lub murzynkę. Słońce nam dopiekało aż do chwili zajścia, tak żeśmy się na koniach pocili: nagle potem zawiął chłodny wiatr; to też niektórzy z naszych, nienauczonych jak ja we Włoszech by się przebrać po spoconiu, zakatarzyli się na dobre.

Nazajutrz (20-marca) było rozdanie nagród w klasztorze Sióstr; udaliśmy się tam o dziesiątej zrana. Było nas obecnych z dziesięciu księży, kilku ojców przybyłych po swoje córki i młodzik inspektor zakładów naukowych w tem mieście i jego okręgu. W sali, której ściany były poobwieszane rysunkami i robótkami ręcznemi uczennic, po kantacie zaczął się dyalog. Królowa Ester opowiadała swemu fraucymerowi jak poradziła sobie z Aswerusem by pozbyć się Amana a zbawić gardła swego ludu. Choć i dyalog był prawowierne nudny a królowa i jej sztab był w sukienkach zwykłych, dobrze zapiętych u góry, jedno że królowa miała koronę na głowie, jednak O. Eugeniusz nie bardzo był rad tej *exhibicji*. Młodzieź ogólnie, a panienki w szczególności, bez poprzedniej wprawy i repetycji, umieją tak dobrze różne role odegrywać, i tak chciwie szukają sposobności do pokazania się, zwrócenia na siebie uwagi, i pozyskania oklasków. W tym kraju zwłaszcza, gdzie wyłącznie cenione to tylko co na zewnątrz i na pokaz; gdzie *pretensje* uczennic bardzo rozwinięte, bo niewinność doskonała niezmiernie rzadka, dzięki niewolnikom i niewolnicom (którzy tak karzą panów swoich, psując ich

dzieci wraz od piersi): w tym kraju mówię, wszystko co obudzą namiętności i miłość własną, bardzo jest niebezpiecznie podsycać. Z drugiej strony, trudno nie zrobić pewnych ustępstw obyczajom miejscowym i nie dać *minimum* przynajmniej tego, czego rodzice sami tak chciwie szukają. Nastąpiło rozdanie nadgród i wieńców, a że ich było dużo, a nazwiska portugalskie takie długie, długo też trwała *litania*. Po nowej *kantacie*, królowa zdjawszy koronę, odczytała podziękowanie obecnym gościom. Pan inspektor by nie pozostać w tyle, odczytał też bardzo szumną oracyą na ton: „po płytkim gruncie rozbujających fluktów.” Sławił cnotę, moralność, szczerze umiętność, zapowiedział erę w której rozum będzie rządził światem; wspomniał nawet Boga stwórcy (wolno-mularstwo cierpi jeszcze urzędownie wielkiego budowniczego świata); ale wyraził: Chrystus, Kościół, religia, nie pokazały się nawet *pro forma* na tych urzędowych, postępowych ustach. A miał i komplement dla Sióstr na ton: „a szybkim pędem bystrych aqueduktów” — „kiedy przyszłość spojrzy w ciemności przeszłości, na widnokręgu brazylijskim dostrzeże jasną gwiazdę zakładu Sióstr św. Józefa w Itu.” Rozstąpi się ziemia! powieś się człowieku! Ma się rozumieć, że perora ta będzie wydrukowana w dziennikach prowincyi, a może dostanie się i do stołecznych. Biedne Siostry! nigdy się im nie śniło że one pracują na to, żeby rozum sam zawiązał światem. Oto owoc monopolu rządów świeckich nad wychowaniem młodzieży. Zapewniono mnie, że gdy ten młodzieniaszek został doktorem, dano mu obiad przy kaskadzie, a on wniósł toast: *niech żyje śmiertelność duszy!* nikt mu nie przyklasnął, ale każdy kielich wychylił. Ksiądz rektor zmarszczył brwi do reszty: żałował że nie przewidział takiego *factum* i antidotum nie przygotował. Tymczasem panienki defilowały z wieńcami na głowie, te które ich nie miały gryzły sobie wargi kunwulsyjnie drgające; potem jedne płakały że nie jadą na wakacje do rodziców, kilka płakało że musi się z mistrzyniami i klasztorem rozstać. Trudno wszystkim dogodzić, jak z deszczem i pogodą.

Dwudziestego pierwszego, komitywa moja z księdzem-kapelanem Sióstr, (którego mogłem zastąpić) puściła się w drogę dla zwiedzenia sławnych min żelaza w *Panama*:

a jam zaczął przybory do ćwiczeń duchownych, dając półtora dnia Siostrom do wytchnienia.

Przez dni siedm trwały te ćwiczenia, z takim pożytkiem, takim rozweseleniem ducha tych pocziwych Sióstr, iż nie wątpię że jednym z powodów dla których Pan posłał mię do Brazylii były te ćwiczenia. W każdym razie takie przekonanie Sióstr, które wywołało w ich sercach żywą wdzięczność ku Bogu, opiekującemu się każdym stworzeniem swoim; tem bardziej sługami swojemi. Siostry nie potrzebowały reformy, regularność ich wzorowa, ale metoda francuzka prowadzenia dusz, w skutek pewnych tradycyjnych naleciałości Jansenizmu, ścisła serca. Staralem się w nich obudzić uffiość i miłość ku Bogu, wlać swobodę ducha i ztąd ich szczęście. Przełożona dała im rekreacyą po tygodniu milczenia: otóż powiedziała mi że mało mówiły, jedno śmiały się serdecznie winszując sobie wzajem szczęścia, które przepełniało ich dusze. Niech Bóg będzie pochwalony za wszystko!

Podróżni nasi wrócili z góry Panema którą widzę w głębi z mego okna, i przynieśli ze sobą próbki nie powiem rudy, ale kamienia żelaznego, w którym jest ośmdziesiąt pięć na sto części żelaza. Bogactwo niesłychane, jakiego może kraj żaden w tym rodzaju nie posiada: ale co po tem, gdy tu urzędnicy rząd swój równie dobrze albo i lepiej niż w Rossyi okradają! Rząd pobudował był piece, założył gabinet mineralogiczny, laboratorium chemiczne, sprowadził maszyny z Anglii; otóż zamiast korzyści, musiał dopłacać jeszcze rocznie dwieście *contos*: ale urzędnicy wszyscy się zbogacili. W końcu rząd się zniechęcił, zamknął zakład, maszyny kazał przenieść w głąb kraju, które pozostały tu i owdzie po drogach *les-drożnych*. Gabinety, książki, nawet księgi rachunkowe, ba mapy własności rządowej gdzieś poginęły. Kompanie angielskie chciały wziąć te miny w dzierżawę: tyle jeszcze zostało sumienia czy wstydu w osobach rządzących, że tego skarbu cudzoziemcom w ręce nie oddały, i nowa administracya na mniejszą stopę i jak dotychczas dość pocziwie rzecz prowadzi, ograniczając się już na obszarze jaki sąsiedzi prywatni rządowi raczyli zostawić. Ze szczytów Panema widać góry *Bukutuhu* zamieszkałe przez dzikich Indyan, gdzie niebezpiecznie się zapuszczać: niekiedy napadają na *faaendy* (folwarki) Brazylijczyków i wszystkich mieszkańców w pień wyci-

nają: odwet to za wiekowe prześladowanie Europejczyków, wypychanie ich coraz dalej w głąb kraju i polowanie na nich po lasach za pomocą psów jak na dzikiego zwierza. »

Tymczasem zaczęły się ceremonie wielko - tygodniowe. Na ulicach Itu zwykle pustych, pełno osób jak w Rzymie przybyłych na święta, jedno że mniej i z bliższych okolic, wszakże aż do piętnastu mil do koła. Trzy razy do roku, na Boże Narodzenie, na Wielkanoc i na Zielone Świątki, bogatsi właściciele opuszczają swoje fazendy, mniej bogaci swoje *silio* albo osady, dworki, przerywają monotoność swojego zwykłego zajęcia i przybywają do miast i miasteczek okolicznych na święta, które są dla nich zarazem rodzajem zabawy. To też kosztu na nie nie szczędzą.

Itu z dawien dawna słynęło i słusznie, nabożeństwem swoich mieszkańców, wystawnością uroczystości; szczęśliwsze od wielu innych miejscowości, po dziś dzień posiada jeszcze lepsze względnie duchowieństwo i jakiego misyjonarza gorliwego ¹⁾. Dzięki snadź zasługom i modlitwom poprzedników, Bóg im dotychczas dostarczał świętobliwych kapłanów, ostatnim z których jest wspomniany O. Bartłomiej.

Uroczystością zajmuje się zwykle tak zwany *Festeiro*, zamożny jaki obywatel miejscowy, któremu parafianie ten drogo kosztujący i rujnujący zaszczyt (jak u nas w prowincjach zabranych marszałkostwo) ofiarują. W wiekach wiary nikt nie śmiał wymówić się od takiej ofiary, aby Boga nie obrazić i nie zhańbić siebie wobec swych współobywateli. Obecnie już bogacze lichwiarze, którzy sobie tytuł barona kupili, ze skąpstwa połączonego z niedowiarstwem nieraz odmawiają. Spada ten ciężar zatem na uboższych, którzy nie mogąc podolać wydatkom, wysyłają kwestarzy nie raz na rok przed uroczystością: zdarza się, że nie wydadzą całej kwoty i zbogacają się, zamiast się ubożyć, na wzór dawnych. Naj-

¹⁾ Smutnej sławy książdz *Feijo* (Feizo) który był regentem Państwa, chciał pożenić księży i Kościół Brazylijski od Rzymu oderwać, a pod koniec życia kierował powstaniem roku 1842, które obrało sobie osobnego króla dla prowincyi *San Paolo*. Ten sam Feizo Jansenista w gruncie, był w młodości swojej na czele bractwa gorliwych księży, którzy się zbierali w kościele *do Patrocino* należącym dziś do sióstr św. Józefa, i nawet biczowali się przy zamkniętych drzwiach.

popularniejszą jest uroczystość świętego Ducha, przypadająca w porze roku, kiedy już upał zaczyna być znośniejszym. Spotkaliśmy po drodze kwestarzy konnych z chorągwią czerwoną, kwestujących po okolicach. Ponieważ obchód zaczyna się od nowenny przygotowawczej, a pan *Festejro* trzyma stół otwarty dla wszystkich, płaci przez cały czas muzykę, światło i duchowieństwo: można sobie wyobrazić jaki to wydateS, Nadto, dzięki dobrym podaniom, rodzina *Festejra* daje obiad wszystkim obecnym ubogim, którym sama służy i rozdaje każdemu pietnaście funtów świeżej wołowiny, sześć funtów słoniny, nie licząc fasoli, ryżu i t. d., tak że biedni mają o czym przez cały tydzień bankietować. Pewien *Festejro* z okolic który był O. Eugeniusza z kazaniem zaprosił, kazał zabić dwudziestu dwóch wołów.

Wracam do uroczystości Wielko-tygodniowych w Itu. Przy Mszy Wielko - czwartkowej O. Eugeniusz pod koniec kazania polecił gorąco składkę na seminaryum polskie w Rzymie: wszyscy księża obecni upoważnieni zostali do przyjmowania jałmużn. Wpłynęło do trzystu *milreis* do naszego odjazdu, a jest nadzieja że przybędzie jeszcze ze dwieście.

Po obiedzie, już pod wieczór, byłem w głównym kościele parafialnym *Matris* na *Malutim*, które z kazaniem i myciem nóg trwało przeszło pięć godzin, ma się rozumieć że po Włoszech, muzyka i śpiew chudo się wydawały, ale wielki kościół rzęsiście był oświecony *a giorno*. Śpiew passyi w wielki piątek szczególnie biednie się wydawał, w porównaniu nawet do śpiewu w naszym małym kościółku św. Klaudyusza. Za to processya wieczorna bractw przy pochodniach wspaniale się udała. Mnóstwo było dziewczątek w bieli poubieranych za aniołków, byli i żołnierze rzymscy niosący drabiny i inne narzędzia męki, i św. Jan, i Marye, i muzyka i śpiew, a lud ogromnie skupiony zalegał wszystkie ulice i ogromną kolumną ciągnął się za duchowieństwem i muzyką. Po kazaniu O. Eugeniusza byłem przedmiotem ciekawości publicznej: w zakrystyi panowie we frakach -stawali przedemną i przypatrywali mi się z prostotą chłopaków wiejskich. Podczas processyi zawołał jeden głośno: „*olha! olha! que homen* (patrz co za człowiek), w Brazylii bowiem pełno kobiet rozrosłych i dobrej tuszy, ale mężczyźni to zwykle wymokli: wzrost więc mój i tusza odznaczały się w tej processyi. Na ten

krzyk kolegi, odpowiedział jego znajomy: *Deus me lwre!* (niech mię Bóg zachowa), dodaj, od takiego człowieka, gdybym miał popaść w jego ręce. Zapomniałem dodać, że tu nie tylko kobiety pospolite siedzą w kościele oparte na piętach, okryte długą zasłoną, wyglądając jak komiczne duże kopce mrówcze, lub małe stożki siana: ale i panie w paryzkich czepeczkach siedzą w kościele, nawet nie opierając się na piętach, jedno po prostu na ziemi, na poduszkach wszakże lub na kobiercach. Ławek tu bowiem i krzeseł niema, a trudnoby wystać na nogach przez tyle godzin. Ogromna kolumna siedzących pań zapelniała cały środek kościoła, a czoło kolumny zajmowało przód chóru: szelest wachlarzy i wonie rozmaite, ostrzegały księży o tym blizkim najeździe nieprzyjaciela. Przynajmniej że dzięki dobrym dawnym podaniom, dzięki długiemu pobytowi w Itu, ojczyźnie swojej, ostatniego biskupa, (który się w ojczyźnie krył przed prześladowaniem swoich kanoników), dzięki temu wszystkiemu, mało tu jeszcze nagości w kościele. Opowiadali mi dwaj pierwsi 00. Kapucyni, iż gdy w innem miasteczku weszli podczas wielkiego tygodnia ze zmarłym biskupem do kościoła, ujrzeni ode drzwi przez chór aż do ołtarza wyciągnięte dwie linie niemiłosierdzie obnażonych gardzieli i łopatek. Biedny biskup nie mogąc patrzeć na swoje owieczki ogolone do połowy jak pudle, (jedno ze od głowy), spoglądając w niebo, błogosławił na prawo i na lewo; a gdy podczas kazania powstał na to niepoczciwe przeniesienie do kościoła złego zwyczaju dworskiego, powstała w mieście wielka protestacya o wolność wystawiania w kościele zarówno jak w rzeźni świeżego lub i nie świeżego mięsa.

Tu na prowincyi widać wyraźnie mieszaninę w rozmaitych dylucyach trzech ras: białej, czarnej i miedzianej (indyjskiej), to też i barwa skóry bardzo rozmaita; cytryna oliwa i szafran wszakże przemagają.

Dodam jeszcze, że chłopaki w wielki piątek wieszają na każdym placu i na rogach ulic Judasza, a w wielką sobotę gdy dzwony ogłaszają Rezurekcyę, niemiłosierdzie ich rozbijają w puch i na marynatę. W niedzielę bardzo rano odbywa się rezurekcyja z processyą i kazaniem, tak że ze dniem wszystko skończone, i kościoły na resztę dnia szczelnie zam-

knięte. Wszyscy się bawią po domach, niektórzy już przedtem wypowiedani na wieś wracają.

Odwiedziłem też za miastem leżącą *Szakrę* (willę) sławnego tu bogacza i skąpca. Tysiące i tysiące ma drzew owocowych, mianowicie pomarańczowych. Znaleźliśmy smutnego tego starca chodzącego niby po pobojuwisku wśród swoich drzew pomarańczowych okrytych drobnem robactwem (jak świeżo winnice w Europie) i usychających. Oby podniósł oczy do nieba! Ponieważ ten Pan na starość bierze już tylko czternaście od sta lichwy, uważa się za honorowego człowieka i powstaje na oszustów i złodziei. Powtarzał mi z najlepszą miną przysłowie miejscowe:

*Quem furta puoco e ladrao,
Quem furta muelo e Barao*

„kto kradnie mało jest złodziejem, kto kradnie dużo zostaje baronem.” On sam kupił sobie baronostwo za pieniądze uciulane z lichwy.

Wielkanoc święto nasze, daleko spędziłem od was i od święconego, przynajmniej że we śnie byłem w Rzymie, a nawet u Ojca św. W wielki poniedziałek po Mszy pożegnałem się z pocziwami Siostrami dając im *do zobaczenia* w niebie. Nie wiedziały jak mi dziękować, bo dobre dusze wdzięczne są za najmniejszą usługę. Kilka już drobnych jałmużn wpłynęło dla seminarium od biednych: a na wychodnym oddźwierna służąca żółtej barwy dała pięć *milreis*: to prawdziwa jałmużna na którą Bóg z upodobaniem patrzy. Tymczasem bogacze należący tu do tak zwanego stronnictwa liberalnego, które na wzór europejskiego co raz bardziej bezbożnieje, dało sobie snadź słowo aby aby nic nie dać. Złe ma wszędzie instynkt do odgadnięcia i nienawidzenia rzeczy Bożych.

L I S T X .

CIYITA YECCHIA W KWAEANTANIE.

1-yo września 1866 roku, z Itu clo Bzymu.

Z Bordeaux rzuciłem do was krótki liścik w końcu czerwca, donosząc że dobił znowu do lądu starego świata. Dotychczas nie znalazłem sposobnej chwili clo opisanie zwrotnej

podróży mojej; czynię to dziś, odsiadując pietnaście dni kwarentany o kilka godzin od was, bom nie chciał jechać lądem przez zjednoczone Włochy. Opatrznie wszakże sądzę wziąłem to postanowienie: gdybym bowiem wrócił był do was tydzień temu, strudzony okropnie i wpadł w wir zaległych spraw i korespondencyj; bez cudu nie byłbym się wybiegał od ciężkiej choroby.

Otóż ponieważ punktem najdalszym, któremu dosięgnął w podróży mojej amerykańskiej było Itu; i ztamąd śpieszyłem się do was, przebywając miejsca już przedtem znane; pokrótce powrót mój wam opowiem; ile żem zgubił notatki moje, jak na swoim miejscu wspomnę.

Trzeciego dnia świąt wielkanocnych ruszyliśmy bardzo rano w drogę, jeszcze po ciemku: mulica nasza juczna i konie luźne zaledwo wyszły za miasto, wielkim pędem ruszyły na wieś, gdzie przez dni dziesięć doskonale miały pastwiska, a nadto obroki kukurudzane; widać że im tam ojczyzna, gdzie dobrze. Wyjechaliśmy podążyć za nimi jak niepyszni. Miejscowi murzyni odszukali je, pasące się spokojnie. Zamiast zatem o czwartej godzinie, zaczęliśmy podróż o dziewiątej zrana. Ale szczęściem dla nas dezercya ta nastąpiła na początku, bo gdyby później, a jeszcze po ciemku, konie nasze rzuciły się były w lasy, możnaby się z nimi pożegnać, a w każdym razie dzień cały stracić. I tak jeszcze, choć w biały dzień, mieliśmy dosyć do uganiania się za nimi. Napróżno przytroczono młode konie do starych; wiedzione wspólnym instynktem stawały z dwóch stron drzewa i dopóty ciągnęły powróż ku sobie, aż prysnął. Trudno było zatem wracać inną drogą, jakeśmy sobie zamierzali; wracając tą samą, mieliśmy przynajmniej tę korzyść, że konie od pół drogi wiedziały już, że wracają do St. Paolo i szły spokojnie, nawet pośpiesznie; a choćby który i uciekł, toby już uciekł do domu. Nic zatem nowego nie widzieliśmy po drodze, jedno że zamiast przebyć przez most, już nie istniejący na wezbranej rzece, konie nasze luźne przeszły ją wplaw, a za nimi, uniesiona ambicyą, mulica nasza juczna. Lękałem się o mój pugilares zamknięty w torbie, ale woda tak daleko nie doszła.

W St. Paolo pożegnałem znajomych i w niedzielę przedwodnią po obiedzie ruszyliśmy konno w drogę do Santos, z ojcem Generozem de Rumilly i z księdzem Karolem Ter-

rier, którzy łaskawie odprowadzali mię, aż do Rio Janeiro, korzystając z wakacyjnego czasu. Inni Ojcowie i para osób świeckich odprowadziło nas o godzinę drogi za miasto. Niech Bóg zapłaci tym Ojcom całą miłość dla naszego narodu, którą wyleli na mnie, niegodnego reprezentanta Polski.

Ośm godzin jechaliśmy bez przerwy, ostatnią już po ciemku, a wciąż wśród rzęskiego deszczu. Szczęściem mieliśmy opończe kauczukowe, ale zawsze nogom się dostało. Przenocowaliśmy blisko szczytu góry u pocziwej Szwajcarki z Friburga, która chociaż już miała dom zapełniony, przecież znalazła dla nas miejsce, posiliła i osuszyła, jak mogła. Nazajutrz rano mieliśmy mgłę, ale bez deszczu; po dwudziestu minutach dosięgliśmy już szczytu i zaczęliśmy się spuszczać na dół, a w miarę jak spuszczaaliśmy się ciepło nas ogarniało. Widok był prześliczny; okrom morza, zatoki, rzeki, wszystkie doliny zapełnione mgłą, przedstawiały obraz niezmięzonej powodzi, wśród której ostre tylko szczyty gór wystawały. Deszcze ściągnęły znowu w wielu miejscach ziemię z gór na drogę, wszakże mogliśmy przejechać; za to droga żelazna na wiele miesięcy zniszczona. Na dole góry, o dwie godziny od Santos, spotkaliśmy pociąg drogi żelaznej, składający się z lokomotywy i jednego wagonu klasy trzeciej. Odesłaliśmy zatem nasze konie do domu, ale wyczekaliśmy się aż do czwartej z południa, wyglądając napróżno przyjsia dyliżansu, który przybył ledwo we trzy godziny później. Konduktorem był Niemiec z nad Renu; w hotelu poznałem pana Lińskiego kuglarza, grzeczniej *prestigitateur*. Mówił mi, że przybył dzieckiem do Francji z ojcem swoim r. 1836; że ojciec zginął w ostatniem powstaniu. Wygląda przyzwoicie; mieszkańcy Santos życzliwie się o nim wyrażają; wyjeżdżał do San Paolo.

Nazajutrz siedliśmy na parowiec brazylijski *San Jose*, długi, wązki, chyboczący się okrutnie, ale szybki, zbudowany był przez Amerykanów południowych w czasie wojny, do przemykania kontrabandy. Wiatr mieliśmy stale przeciwny do końca. Towarzystwo było wyłącznie prawie brazylijskie. Pewna pani (a pobożna) wchodząc na pomost, gdy nas zobaczyła, zawołała głośno do męża: „co za nieszczęście, tyłu księży!” Więcej jeszcze jednym szczegółem podobieństwa w wyobrazeniach religijnych Brazylijczyków do Moskali, którzy także uważają za nieszczęście spotkać księdza w podróży.

Towarzysze moi rychło się pochorowali, a za nimi całe towarzystwo; dotrwałem tylko ja i doktor francuz, p. Ramauge. W zatoce spotkaliśmy upał silny, a powietrze przesyczone wilgocią; po całym tygodniu szarugi i chłodu, społem się znowu rdzennie, drapiąc się na Moro do Castello, ale z przyjemnością znalazłem się w mojej celi, wśród kochanych 00. Kapucynów. Nazajutrz odwiedziłem mojego skarbnika, p. Carvalho, wikarego kapitulnego i kilku znajomych. Dowiedziałem się, że ksiądz Mikoszewski kwestuje bardzo czynnie i że nawet urządza się na korzyść jego koncert w salach klubu Fluminense. Ksiądz Mikoszewski przybył tu opatrzony doskonałemi listami polecającemi od głównych kupców portugalskich, więc korespondenci ich chętnie czy niechętnie, ale dają. Tutejszy *Journal illustre* umieścił wizerunek księdza Mikoszewskiego, jako członka rządu rewolucyjnego polskiego i napisał o nim artykuł przychylny ¹⁾. Postanowiłem zatem nie kwestować dalej z mej strony, jedno odwiedzić tych, którzy mi byli przyrzekli jałmużnę.

Trzynastego pojechałem do pałacu cesarskiego, prosząc o posłuchanie. Czekałem śmiertelnych trzy godzin, bo cesarz po śniadaniu już był się zamknął w swym gabinecie, przygotowując się do wieczornej rady ministrów. Muszę oddać sprawiedliwość służbie i dworskim cesarskim: z wielką uprzejmością starali się mnie i innym czekającym, nudy tego oczekiwania osłodzić. O dwunastej i pół wyszedł cesarz; oświadczył mi, że jestem na wyjeździe, i że przychodzę złożyć mu moje uszanowanie pożegnalne. „Jak poszła kwesta?” zapytał. Słabo w stolicy, odpowiedziałem, trochę lepiej w St. Paolo. „Proszę wrócić do mnie raz jeszcze, abym się uścił z mojej obietnicy.” Zapytałem o dzień, o godzinę dogodną: wskazał mi dwudziesty drugi kwietnia, o czwartej z południa. Podziękowałem i oddaliłem się.

Dnia następnego wybrałem się do Petropolis, dla pożegnania się z ks. Internuncjuszem.

¹⁾ Ksiądz Mikoszewski ogłosił zrazu składkę na wygnanych kapłanów polskich, *para os desterrados padres Polacos*, ale znać ostrzeżony przez miejscowych przyjaciół, że w Brazylii kapłani nawet liberalni są nielubieni, zbierał już ogólnie na wygnańców polskich, *para os desterrados Polacos*.

JMKsiądz Sanguigni, ze zwykłą sobie dobrocią, dał mi list polecający do p. St. Georges, ministra francuzkiego, prosząc o miejsce *gratis* dla mnie aż do Europy. Otrzymałem wprawdzie list od agencji, ale bez rozkazu formalnego, ze względu że nie Francuz rodowity; to też nie otrzymałem miejsca, ile że statek był rzeczywiście przepełniony. Obiecano mi je jednak od Pernambuko, choć jeszcze przez dwa miesiące statki będą przepełnione jadącymi, lub wracającymi do Europy.

Byłem u cesarza; dał mi uprzejmie, choć skromną jałmużnę 300 milreis, tłumacząc się że więcej dać nie może; to też prosił, by go imiennie nie wypisywać na liście datkujących. Podziękowałem dodając, iż się dziwię, że tyle jeszcze dać może, dając wszystkim, którzy się do niego zgłaszają.

Do klasztoru przybyło dwóch 00. Kapucynów z prowincyi, którzy tu już od lat czterdziestu w Brazylii pozostają; kilka kolonij indyjskich założyli i języka ojczystego całkiem zapomnieli. Dziwnej prostoty i dobroci ludzie. Jeden z nich, który dawniej bawił w stolicy, przy kościele *da Gloria*, widząc później dzisiejszego cesarza już panującego, mówił doń:

„Najjaśniejszy Panie, kiedy ś. p. matka twoja przychodziła na mszę świętą do naszego kościoła, jam przez ten czas kołysał Waszą Cesarską Mość, abyś nie płakał.”

O gdyby rząd pocziwie postępował z missyonarzami i Indyanami, przez nich przyjmowanymi (bo za missyonarzem Indyanin idzie i przywiązuje się do miejscowości); gdyby tę kolonizację Indyan na szeroką stopę zarządził; zamiast szukania z takimi strasznymi nakładami kolonistów europejskich, miałby już dzisiaj trzy, do czterech milionów rolników więcej: bo tyle jeszcze jest Indyan dziko się wałęsających. Ale przy panującej bezbożności i kradzieży wśród tutejszej administracyi, trudno co przeprowadzić, i najlepsze postanowienia w praktyce karłowacieją.

Na kilka dni przed moim odjazdem pocziwi 00. Kapucyni uprosili mnie, abym dopłynął do Nikterohy, stolicy prowincyi Rio Janejro i odwiedził siostry niemieckie, zajmujące się tam wychowaniem sierot. Zowią się także od *Serca Jezusowego*, choć nie mają nic wspólnego z Sercankami francuzkiemi. Założone niedawno w Austrii, wypędzone zostały

z Wiednia w 1848 r.; w liczbie od trzydziestu do czterdziestu przybyły tutaj, z żyjącą jeszcze założycielką na czele. Znajdując mało poparcia w stolicy, ile że języka krajowego nie posiadały, przeniosły się w większości do Porte Alegre, stolicy prowincyi Rio Grandę do Sul, gdzie dzięki licznie osiadłym Niemcom, znalazły zajęcie, utrzymanie i możliwość rozmnażania się; to też tam mają swój dom główny. Część mniejsza przyjęła ofiarowaną sobie przez radę municypalną w Nikterohy, dyrekcję ośmdziesięciu sierot, i zostają zupełnie pod posłuszeństwem ludzi świeckich mając ledwo mszę świętą w niedzielę i czwartki. Wyspowiadałem trzy staruszki, które już nie mogły się nauczyć dokładnie języka portugalskiego; zmówiłem mszę świętą na intencję tego zgromadzenia: w kraju tym bowiem wszelki zakład europejski zawsze jest ważnym nabytkiem. Potem pożegnałem bliższych moich znajomych i łaskawców, a w niemożności pożegnania osobiście wszystkich, podałem do dziennika religijnego *Apostolo*, następujące podziękowanie:

SEMINARYUM POLSKIE W RZYMIE.

„Opuszczając tę stolicę czuję obowiązek i potrzebę wewnętrzną, podziękowania z głębi serca wielbnemu duchowieństwu i zgromadzeniom zakonnym obojej płci, zarówno jak pobożnym wiernym tego miasta, którzy odpowiadając gorącemu wezwaniu najprzewielebniejszego ks. wikarego kapitularnego, raczyli przyjść w pomoc Seminarium Polskiemu w Rzymie swemi jałmużnami; równie jak tym wszystkim, którzy mi ofiarowali gościnność, udzielili rady i pomocy, i oddali wszelkiego rodzaju usługi. Niech Bóg dobry będzie ich wielką zapłatą i odda im w trójnasób wszystkim dobrem.

„Donoszę dla pociechy naszych dobrodziejów brazylijskich, że Seminarium Polskie zostało już otworzone za pomocą funduszów naszych rodaków, do których zgłosiliśmy się naprzód. Ale że te fundusze, bacząc na stan obecnie nieszczęśliwy kraju naszego, po zakupieniu domu, wyporządzeniu mieszkania i t. d., wystarczają ledwo na utrzymanie małej liczby uczniów, nie przestaniemy błagać narodów katolickich, aby chciały się złożyć, na utrzymanie jednego lub więcej uczniów polskich, nieposiadających osobistego funduszu. Mam dobrą nadzieję, iż pomimo niepomyślnych okoliczności, zdołam zebrać, przed opuszczeniem kraju, fundusz brazylijski, dostateczny do utrzymania stale jednego ucznia w Seminarium Polskiem.

„Zerwanie ze strony Rossyi stosunków dyplomatycznych ze Stolicą Apostolską dowodzi, że rząd ma stałe postanowienie prześladowania dalej i owszem coraz mocniej katolicyzmu, tak, iż Polska może z czasem zostać krajem missyjnym; a wtenczas Seminarjum Polskie w Rzymie staje się niezbędnem; proszę zatem dobrych katolików, którzyby po moim odejździe chcieli przyjść w pomoc temu zakładowi, aby raczyli doręczyć ofiary swoje panu Józefowi Sebastyanowi Caryalho (*Ulica Biachuelo N. 45*), pozostawiam u niego duplikat podpisów tych wszystkich, którzy dotychczas przyszli w pomoc Seminarjum Polskiemu; lista pierwotna przedstawioną zostanie Jego Świętobliwości, a następnie złożoną w archiwum zakładu, celem przypominania stałe jego uczniom obowiązku wdzięczności, jaki zaciągnęli, i modlenia się za dobrodziejów swoich.”

Rio-Janeiro, 24-go kwietnia 1866.

Pożegnałem następnie rodzinę pocziwego mojego skarbnika: rozplakali się wszyscy, a jam prędko się wyniósł, aby na płaczu nie skończyć; pożegnałem zacnych 00. [Kapucynów i towarzyszków podróży ze St. Paolo i wsiadłem na brazylijski parowiec, *Cruzeiro do Sul*. Statek pełny był *Ochotników Ojczyzny*, wracających już z obozu do domu, przed bitwą. Niektórzy wyglądali na chorych, inni bynajmniej; jedno się skarżyli, że się z nimi źle obchodzono w obozie. Ci panowie najmocniej są przekonani, że broniąc ojczyzny, nie pełnią prostego obowiązku, ale świadczą wielką łaskę. W braku Paragujan, odbijali się, jak mogli, na półmiskach i jeszcze się wciąż skarżyli, tak, że im w końcu kapitan parowca powiedział morał, że w Brazylii ludzie zostają ochotnikami, aby podróżować, jeść i pić kosztem narodu. Nastąpiła ztąd żwawa kłótnia między północnymi (Pernambuko) i południowymi (Rio Janeiro) etc.; pierwsi grozili oderwaniem się, drudzy repressją. To pewna, że po wojnie szczęśliwej, czy nieszczęśliwej, a zawsze kosztownej i zawsze bezowocnej, wybuchnie jakie лихо w Brazylii. Znajdzie się tylu *wielkich ludzi*, tylu *bohaterów*, których rząd nie potrafi wynagrodzić i zaspokoić.

Zresztą na morzu nie widziałem ani ptastwa, ani ryb i do tego byłem cierpiącym dosyć/(choć nie z choroby morskiej^, żem nie mógł wysiąść w Bahia.

Dowiedziałem się wszakże, że Jego Excelencya Arcybiskup raczył ogłosić bardzo przychylny list pasterski na korzyść seminarjum polskiego w Rzymie, chociaż już po dwóch

nnych wywołujących składkę na Sto Piętrzę i na seminarjum południowo-amerykańskie. Napisałem dziękczynny list do arcybiskupa, prosząc go, aby dobrodziejstwo swoje płodnym uczynił, mianując ze swego ramienia skarbnikiem, męża gorliwego, a posiadającego szacunek powszechny, któryby składki ściągnął i do nuncyatury brazylijskiej, albo do Rzymu wprost odesłał. Przybyłem do Pernambuko czwartego maja i stanąłem u 00. Kapucynów, pałac bowiem biskupi jest w reperacyi, co mi bardzo na rękę wyszło, gdyż pałac leży na samym końcu miasta, podczas, gdy klasztor jest w samym jego środku.

Zastałem ks. biskupa zajętego i zmartwionego : mnóstwo chwastu weszło na roli Bożej. Uderzył weń gospodarz winnicy i ztąd krzyk. Wydał na korzyść moją następny list pasterski :

„Emmanuel de Medejros z Bożej i Świętej Stolicy Apostolskiej łaski Biskup Pernambuko, Radca Najjaśniejszego Cesarza, którego niech Bóg strzeże etc. etc. Z przyjemnością i pełen ufności przedstawiamy wielbny proboszczom i kapłanom naszej dyecezyi, kapłana polskiego ks. Hieronima Kajsiewicza, Przełożonego Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego i polecamy go ich miłosnemu przyjęciu i wzywamy wszystkich w imię Pana naszego Jezusa, Boskiego Odkupiciela, aby mu przyszedli w pomoc wszystkimi środkami, jakie poda ich sercom uczucie świętego braterstwa, aby otrzymał od wiernych dyecezyi najobfitsze, o ile być może, zasiłki dla Seminarjum Polskiego w Rzymie, które założył Święty nasz Ojciec Pius IX Papież; a założył celem dostarczenia wiernym katolikom uciemiężonej Polski, sług Bożych, niezbędnych do zachowania wiary katolickiej w tych stronach, w których schyzma rossyjska z dnia na dzień bardziej prześladowcza, rozpędziła kapłanów, wygnała biskupów, uwięziła zakonników i doprowadziła lud do życia w rozproszeniu, bez ołtarzów, bez kapłanów i postawionym w największem niebezpieczeństwie dla swojej prawowiernej religii.

„A dla zachęcenia wszystkich i każdego w szczególności z duchownych, tak zakonnych jak świeckich w tej naszej dyecezyi, w tem przedsięwzięciu wspierania najszanowniejszego księdza Hieronima w tem pobożnem dziele, dajemy świadectwo.... (tu kilka wierszy zbyt łaskawych i pochlebnych dla mnie), i zaręczamy, że czyniąc tak nietylko dokonają rzeczy nam miłej, ale zasłużą się przed Bogiem i zapewnią sobie błogosławieństwo najgodniejszego Namiestnika Chrystusowego na ziemi, Świętego naszego Ojca Piusa IX, dla którego serca wielką pociechą będzie wiedzieć, że wierni tej dyecezyi nie są obojętnymi na jęki prześladowanej

Polski, którą on kocha z najżywszem i ojcowskiem uczuciem. Dan w rezydencji naszej biskupiej Soledade, 11-go maja 1869 roku i t, d.

List ten ogłoszony został po artykule wstępnym w bardzo przychylnym dzienniku, najwięcej rozpowszechnionym w całej północnej Brazylii, *Diorio di Pernambuco* 14 maja. Nadto JM. ks. biskup ofiarował od siebie 200 milreis seminarium polskiemu, (przeszło 500 franków). Kwesta zatem legalnie została otwartą.

Z 16 dni pierwszych mojego tam pobytu, ledwo kilka było pogodnych, zresztą deszcz ulewny padał, to też wilgoć wielka, trudno wyjść na miasto i co zrobić. Pomimo deszczu, z powodu nowenny do Ducha Śgo, słychać było ciągle wystrzały i widać ognie sztuczne. O godzinie nieszpornej poszedłem pomnę, zobaczyć wielką processyą do *Espirito Santo*, na czele jej, na wózku okrytym srebrnymi obłokami aż do dołu, siedziała panna w kapie i tyarze papieżkiej, wyobrażała cesarza podług dawnych zwyczajów portugalskich; ciągnęło wózek czterech z bractwa Ducha Śgo, w czerwonych sutanach. Balon puszczone z placu, nie wzniósł się dla silnego wiatru, ale się spalił; wiatr zamiatał ogniem po całym placu, wielki popłoch i zabawa dla uliczników. Szły dalej bractwa różne i mnóstwo dziewczątek skrzydlatych; potem niesiono machinę, na której stało dwunastu Apostołów, nad nimi Matka Boska; nad całą grupą gwiazda srebrna, wyobrażająca Ducha Śgo, a wstęgi białe, spływające od gwiazdy na głowę Matki Boskiej i Apostołów, wyobrażały języki ogniste; nakoniec niesiono Przenajświętszy Sakrament. Za processyą szły trzy batalioniki gwardyi narodowej z odkrytymi głowami. Tylko oficerowie biali i część podoficerów; reszta albo czarni już wolni, albo mieszańce. Widać, że ich nie uczono maszerować na komendę: *sloma, siano*-, bo rekruci europejscy po trzech dniach służby rażniej i lepiejby szli w rzędzie. Mało w tem wszystkiem nabożeństwa, wiele zabawy i ciekawości; u Kapucynów jednych ludzie się modlą na dobre.

Najserdeczniejszym pomocnikiem moim w kweście a daleko czynniejszem od samego mego kassyera w Rio-Janeiro, był tu p. d'Autran d'Albuquerque, professor w akademii prawa, od blisko lat czterdziestu tj. od założenia tej szkoły wyższej.

Uczył się w Paryżu i wybornie mówi po francuzku; a katolik z całej duszy. On chodził ze mną od klasy do klasy, przemawiał do uczniów i tak się zebrało do '2000 franków, pomimo że to był koniec roku szkolnego, uczniowie więc ostatkami gonili. Miałem mówkę dziękczynną w języku portugalskim. Mentor mój chodził ze mną do swoich kolegów i zamożniejszych znajomych w mieście; słowem głównie jego zachodom winienem co się zebrało w tem mieście. Jego też wskazałem jako skarbnika, wyjeżdżając do Europy w liście pożegnalno dziękczynnym, ogłoszonym w dziennikach ').

Udało mi się otrzymać przejazd darmo na statku; ale aż do Lizbony sypiać musiałem w salonie. Siadłem na statek ostatniego maja, czy pierwszego czerwca; parowiec obszerny, jak fregata wojenna, dosłownie był napchany ludźmi, małpami i ptastwem. Kuchnia do tego miała zapas żywych wołów, baranów, mnóstwo drobiu; ci podróżni jednak pośpiesznie codzień ubywali. Towarzystwo nie było zajmujące; spekulanci i to obojej płci, głównie Włosi i Francuzi, wracający z zarobionym groszem do Europy i utracysze brazylijscy, spieszący do Paryża, marnować owoc potu swoich niewolników. Szczęście był drugi kapłan na pokładzie, Genuńczyk, kapelan zakonnic św. Dorotei, osiadłych w Montevideo: wracał na chwilę do ojczyzny dla wzmocnienia zdrowia; zresztą, jak zwykle modlitwa, brewiarz, książka wystarczyły mi. Zawinęliśmy na, kilka godzin do wyspy portugalskiej św. Tomasza, gdzie przesiadło się do nas mnóstwo wojskowych francuzkich ze Senegalu, i nieco kupców z nowym zapasem ptastwa afrykańskiego, opłynęliśmy wyspy Kanaryjskie i piętnastego dnia od Pernambuko zatrzymaliśmy się w Lizbonie, gdzie u księży Misyonarzy mógł mszę świętą odprawić. Koryto i brzegi Tagu piękne, miasto znać, że nowożytnie i po trzęsieniu ziemi, podług planu odbudowane.

Obracając się myślą ku Brazylii, tej olbrzymiej córki ciasnej Portugalii, nie wątpimy że Bóg chciał nagrodzić sto-

*) Zaczny ten mąż nadesłał rzeczywiście do Rzymu małą jeszcze sumkę, tak, że się dało założyć stypendyum brazylijskie. Otrzymałem dlań i drugiego profesora p. Drummond medale srebrna od Ojca św.

krotnie tu jeszcze gorliwość o wiarę dawnych Portugalczyków, dając im takie wspaniałe i rozległe państwo. Niestety, chciwość kupiecka, handel murzynami, ich wyzyskiwanie, zepsucie obyczajów i osłabienie wiary, spowodowały chłostę dla Portugalii, a pozostały zawsze grzechem i klęską wyzwolonej niby Brazylii. Brazylia jak Meksyk i wiele innych państw amerykańskich, które się od swych metropolii oderwały, lub na niepodległość wybiły, mogłyby posłużyć dla nie jednego narodu europejskiego za naukę, że napróżno kusić się o niepodległość i napróżno ją nawet odzyskać; gdzie ulepszenia położenia politycznego, ulepszenie moralne nie poprawi. Mianowicie Brazylia, była mi żywym dowodem, że kraj, w którym duchowieństwo ospałe, niewykształcone, i o swój obowiązek niedbałe, nigdy się na prawdę nie podniesie, pomimo nawet zyskanej swobody. Zniesienie niewoli, podniesienie duchowieństwa, nawrócenie przez nie i białych i czarnych Indian, są warunkiem niezbędnym odrodzenia i pomyślności tego kraju.

Dnia 18 czerwca po południu wpłynęliśmy na Garonnę. Brazylijczycy będący na pokładzie], patrzyli z zadziwieniem na liczne wsie i domki białe, gęsto rozsiane, wśród pięknej murawy i drzew. Ale wiatr chłodny, który nam dał w oczy przez całą drogę, coraz żywiej dawał się czuć, tak, iż kiedyśmy się przesiedli na mały statek rzeczny, jam zaczął drzeć od zimna: deszcz świeżo padał na lądzie i atmosfera była oziębiona. Położyłem się do łóżka; nazajutrz ból z piersi rozszedł się po krzyżach, dopiero po 3 dniach zdolny byłem ruszyć w dalszą drogę. Zatrzymałem się pół dnia w Angouleme, dla uczczenia ks. Cousseau biskupa miejscowego, dawnego znajomego z Poitiers, kiedyś to jeszcze missye odbywał po zakładach. Pokazywał mi piękną swoją katedrę romańską, starannie odświeżoną kosztem rządu.

Przybyłem do Paryża i stanąłem na Issy, z zamiarem przebycia dni kilku incognito z braćmi, spółkapłanami ze Zgromadzenia, i ruszenia dalej ku Rzymowi; ile, że miałem dotrzeć aż do Sabaudyi. Tymczasem w kościele spostrzegł mię dawny znajomy; *incognito* było niepodobne, trzeba było odwiedzić innych znajomych, pokazać się nawet na ambonie: co mi zabrało z dziesiątek dni.

Obiecałem był Pannom Wizytom rokiem przedtem dać rekolekcye, jak skoro już osiadą we własnym domu: otrzymałem był nawet w Ameryce list od jednej z nich, przypominający mi tę obietnicę; nie mogłem ich nie odwiedzić, ale postanowiłem sobie nic o niej nie mówić, jeżeli same nie przypomną mi: *Yerbum nobile*! ale jak na złość, kilka siostr gotowało się to do obłóczyn, to do ślubów; musiały one odbyć ćwiczenia duchowne, a wszystkie inne siostry postanowiły sobie, na ochotnika, z nich korzystać. Przeniosłem się zatem na dni dziesięć do Wersalu i zamieszkałem z ks. kapelanem klasztoru. Jakkolwiek upał był uciążliwy, a okrom trzech nauk, sześć godzin trzeba było siedzieć w konfesyonale; dziękuję Bogu, że mi pozwolił popracować około dusz, -tak szczerze i gorąco szukających Boga. Nie ograniczyło się wszakże na samych rekolekcjach, obłóczynach i ślubach; Matka przełożona, korzystając z tej okoliczności, że kilkanaście siostr nie mówi po francuzku, uprosiła sobie u ks. biskupa, abym z jego ramienia odbył wizytę klasztoru, której już od wielu lat w Wilnie mieć nie mogły. Wizyta biskupa na tem polega, iż po wstępnych modlitwach i nauce stosownej, wysłuchać trzeba osobno każdej siostry, wyznającej, po za spowiedzią, przekroczenia zewnętrzne przeciw regule, tak własne, jak innych siostr; każdej pojedynczo daje się stosowne napomnienie; potem wszystkim razem naukę, podług spostrzeżeń uczynionych i znajomości nabytej. Następnie w towarzystwie księdza kapelana i Matki Przełożonej obejrzałem każdy kąt domu, sprawdziłem rachunki klasztorne i t. d. Dzięki Najwyższemu i ta wizyta dała mi tylko powód do pociech i otuchy, że ten piękny kwiat duchowny, przesadzony na czas z biednej ziemi naszej na grunt obcy, bujniejszym nam jeszcze i wonniejszym wróci. Opuściłem nareszcie Paryż, ale już w drugiej połowie lipca; przybyłem do Yichy, aby nieco wypocząć po nowem strudzeniu się, ale mogłem tylko pięć dni korzystać z miłej gościnności państwa Poniatowskich ¹⁾, otrzymałem bowiem listy z Rzymu, nagłące mię do powrotu.

Musiałem jednak być jeszcze w Sabaudyi i Hyeres pod Tulonem. Puściłem się do Lyonu i stanąwszy tam, z nie-

*) Już obecnie w Panu spoczywających.

śmiałością zastukałem do klasztoru 00. Kapucynów: tymczasem i O. Gwardyan znany mi był z Rzymu i w drugim młodym kapucynie poznałem księżyka, który nie raz nas u św. Klaudyusza odwiedzał: dziwna ileż już ludzi znam na świecie! Nie mogłem korzystać z ich najserdeczniejszej, gościnności i przebojem prawie wybrałem się do Cbambery.

Jakkolwiek podróż moja zwrotna uciążliwszą była od podróży naprzód, przecież tu dopiero stała mi się prawdziwa psota. Między Lyonem a Chambery zawieruszyła się moja torba *enregistree*, w której była prawie cała moja bielizna, co więcej, notatki rekolekcyjne, część notatek z podróży; mianowicie obszerniejszy opis podróży z Rio - Janejro do Europy, i wiele przywilejów duchownych. Spodziewałem się, że lada dzień się odnajdzie. Sprawilem się z moich poleceń do 00. Kapucynów, u których stanąłem, do sędziwego kardynała biskupa, do przełożonej głównej sióstr św. Józefa, której córkom dawałem rekolekcje w Itu w Brazylii; zrobiłem nawet wycieczkę do Genewy, dla odwiedzenia przyjaciela mego Patka; ale torby mojej doczekać się nie mogłem. Zostawiłem zatem kwitek mój i upoważnienie O. Gwardyanowi do czynienia dalszych poszukiwań i puściłem się w drogę. Jedną korzyścią okupiła się ta strata, że spotkał niespodziewanie w przejeździe w Chambery rodzinę przyjacielską pp. Thajer z Paryża, którzy się mnie w Rzymie doczekać nie mogli.

Tymczasem wybuchła cholera w Marsylii i ustanowiona została piętnastodniowa kwarantana w Cmty Yecchia. Ale że epidemia była słabą, spodziewałem się, że rychło przejdzie; objechałem zatem Marsylię i przybyłem na początku sierpnia do Hyeres. Tu mnie pocziwe Polki obszyły i oblały, ale o torbie, ani słyhu; a cholera choć słaba trwała zawsze w Marsylii. Można było dyliżansem dostać się do Genui i podążać łądem do Rzymu; ale okrom odrazy podróżowania przez Włochy, gdzie księdzem każdy bezkarnie pomiatać może, a jeszcze podróżującym z paszportem papieżkim; można było wpaść gdzie w kwarantanę piemontską, jakoż rzeczywiście rychło ona w Genui urządzoną została, równie jak w Livorno: wołałem już wystawić się na kwarantanę papieżką.

Ruszyłem zatem w połowie sierpnia z miejsca, ale z Tuluonu musiałem wrócić dla niezdrovia i dopiero po tygodniu znowu przybyłem na dobre do Marsylii. Dwóch już tylko było cholerycznych w mieście; pisałem do Rzymu o rekomendacyę do delegata papieżkiego w Civita Vecchia i wypłynąłem dwudziestego trzeciego statkiem: *Quirinal*, z nadzieją, że całych piętnastu dni kwarantany nie odsiedzimy. Okrom dwóch żuawów papieżkich i jednego podpułkownika francuzkiego, wracających do pułków swoich, byłem na statku tylko ja, kapucyn jeden i malarz francuzki pan Navlet. Morze mieliśmy najspokojniejsze; przestaliśmy w porcie Livorno dwudziestego piątego, a dwudziestego szóstego ze dniem stanęliśmy w Civita Vecchia. Czekaliśmy kilka godzin; wypuszczono z lazaretu tych, którzy już byli swoje piętnaście dni odsiedzieli; zastaliśmy tylko dwóch oficerów francuzkich i jednego żuawa papieżkiego, którzy od dni ośmiu dopiero byli zamknięci, a osobne od nas skrzydło zajmowali i z nami stykać się nie mogli. Śmieszna wydawała się obawa posługaczy' zewnętrznych, abyśmy czasem się ich nie dotknęli: ale co robić.

Pan komendant lazaretu oświadczył, że ma polecenie od Mgra delegata, aby mi uprzyjemnił w czem zdoła pobyt. Sam też delegat raczył mnie w ciągu dnia odwiedzić; pytałem go: dla czego, gdy roku zeszłego ośm dni kwarantany wystarczało dla zachowania stanu Rzymskiego od mocniejszej w około cholery, tego roku potrzebowali piętnastu dni przeciwko słabszej; odpowiedział, że tak zaczęto w królestwie Włoskiem postępować. Skarżyłem się też, że nie ma kaplicy urządzonej dla księży, będących w kwarantanie. Jakoż nazajutrz na ołtarzu przenośnym po za klauzurą cholerycznych, na otwartym placu, zmówił kapucyn z miasta mszę świętą, ale ja z moim kolegą kapucynem zostaliśmy bez mszy i bez komunii świętej. Wszakże następnego dnia pozwolono już urządzić sobie kaplicę i wpisaliśmy nazwiska na świadectwie strażnika naszego pod przysięgą, żeśmy najdoskonalej zdrowi. Monsignor delegat pisał do Rzymu o skrócenie kwarantany: nie było sposobu otrzymania tej łaski, a zatem dopiero ósmego września z rana ucałuję was w Rzymie i otrzymamy wspólne błogosławieństwo Ojca ś. w *Madonna del Tolo*.

O.

LISTY Z DRUGIEJ PODRÓŻY AMERYKAŃSKICH

LIST I.

Neto - Torle, 7 czerwca 1871 r.

Najdrożsi inoile

Otrzymałem jedną naukę więcej, by nie układać planów naprzód i nie przesądzać przyszłości. Opuszczając lat temu sześć Amerykę, zapewniałem domowych i obcych, że już do niej nie wrócę; tymczasem wypadło wrócić — i wróciłem, a to z następujących powodów:

Reguła nasza wymaga, aby bracia nasi, pracujący na misjach i po parafiach nawet, mieszkali po trzech przynajmniej, tj. dwóch kapłanów i braciszek; a to aby mogli prowadzić życie wspólne, i tośmy zawsze biskupom żądającym naszych kapłanów oświadczały. Tymczasem doświadczenie nauczyło nas, że niektórzy z nich (w dobrej wierze niewątpliwie) postępują z przełożonymi Zgromadzeń jak kawalerowie zalecający się posażnym pannom. Obiecują im złote góry i miłość dozągonną; ale po ślubie nie raz rzeczy się inaczej pokazują. Na nie jednej parafii gdzie trzech miało się wygodnie utrzymać, ledwo jeden kapłan wyżyć może i długie lata mieszka odosobniony, jakoby kapłan świecki; wydobyć ich z takiego położenia, świętym dla nas obowiązkiem.

Brakowało też dotychczas misjom naszym amerykańskiemu domu centralnego, dość obszernego i zasobnego, aby młodzież wstępująca w Ameryce do Zgromadzenia, mogła być tamże na miejscu wychowywana. Otworzyliśmy wprawdzie mały zakład naukowy w Berlinie kanadyjskim; ale że to prowincja kolonizująca się jeszcze, o ludności nielicznej i względnie biednej dbającej jedynie o wychowanie techniczne młodzieży — zakład ten nie może być czem innem, jak prywatną szkołą.

W takim stanie rzeczy, Mgr. Mac-Closkey, brat ks. arcybiskupa Nowego-Yorku, przed kilku laty pierwszy rektor seminarium północno - amerykańskiego w Rzymie, obecnie biskup Louisville'ski w Stanie Kentucky; ofiarował Zgromadzeniu naszemu budynku kollegialne na 150 uczniów, z przyległymi ogrodami w miejscowości St.-Mary położone, pod warunkiem utworzenia tam napowrót klas gimnazjalnych, choćby zrazu tylko kilka niższych. Współcześnie ks. biskup w Chicago, wielkiem handlowem miście, w którym, i okolicach jego mieszka do 800 rodzin polskich, ofiarował nam tę parafię polską, zdolną niewątpliwie utrzymać trzech misjonarzy, którą objął tymczasowo ks. Adolf Bakanowski, były przełożony misji naszej w Texas. Trzeba będzie zatem pościągać z parafii pojedynczo mieszkających naszych kapłanów, przekazując je, o ile się da, księżom świeckim; trzeba będzie negocjować z biskupami, aby się wszystko polubownie odbyło; że zaś podejmowałem ich po dwakroć gościnnie w domu naszym w Rzymie, sądzę, że łatwiej mi przyjdzie sprawę tę przeprowadzić, niż kapłanom naszym młodszym, pod ich łaską pasterską pracującym. Ufam też Bogu, że obecność moja posłuży do założenia na dobrych podstawach nowego kollegium w Kentucky i zapewnienia przez to przyszłości misjom naszym w Ameryce; przeto po modlitwie i za zgodą braci radnych, podjąłem tę podróż, po otrzymaniu osobnego błogosławieństwa ku temu od Ojca świętego. Żał mi odjeżdżać braci rzymskich w tak nie wesołym ich położeniu; ale że mam wrócić w jesieni, sądzę, że przybędę jeszcze na czas podzielać wraz z nimi najcięższe przejścia; a tymczasem dzięki Bogu dobrze jestem zastąpiony.

Pomimo pośpiechu, zaledwie 6go maja zdołałem wyjechać z Rzymu, w sześć lat okrągłych od pierwszej mojej podróży do Ameryki. Zatrzymałem się przez dzień w

Florenccy dla odwiedzenia zacnego i znakomitego rodaka dość ciężką dotkniętego chorobą; ale da Bóg nie groźną ostatecznie. Patrząc na Florencyą, nawet z punktu jedności centralnej Włoch, każdy nienamiętny musi przyznać, że to miasto daleko z wielu miar stosowniejsze jest na stolicę od Rzymu,— ale sekty chciały upokorzyć Kościół w papieństwie, a republikańie wiedzą, że monarchia świecka nie ma korzeni w świętem mieście, i że imię republiki rzymskiej dość jest wielkie, by pocieszyć po utracie monarchii włoskiej. Zobaczmy, jak długo i ona pożyje, jeżeli się urodzi.

Dziwno, że pożegnałem się z Włochami, odwiedzając ciała czterech świętych zachowanych od skażenia: w Rzymie zwłoki św. Piusa V; we Florency św. Magdaleny de Pazzis, i błogosławionej Bagnesi, obu karmelitek; w Genui nareszcie św. Katarzyny genueńskiej. Ta ostatnia święta, znana mi już niejako od lat trzydziestu, bo ilem razy-przez Genuę przejeżdżał, zawsze ją odwiedzał w szpitalu Pamatone. Przed laty dwudziestu święta siedziała jeszcze w krześle z poręczami, w tej samej postawie, w jakiej oddała była czystego ducha Bogu przed czterema wiekami. Obecnie spoczywa w szklanej trumnie: szkoda; bo dawniej żywiej jeszcze przemawiał do duszy widok tryumfu świętości nad śmiercią samą. Byłem przy jej ołtarzu w pierwszy dzień oktawy jej święta, w dzień powszedni, a przecież przy trzech mszach, komunie były bardzo liczne; cóż to być musiało dnia poprzedniego w dzień jej uroczysty i w niedzielę. A jednak Genua jest narodem arcykupieckim, widno, że umie połączyć nabożeństwo z pracowitością i przemysłem. Pod naciskiem systematycznej propagandy bezbożności duch religijny wzmaga się w większej części ludności. We Florency dawniej tak apatycznej, widzisz dziś tylu mężczyzn, wszelkiej klasy społecznej i wieku co niewiast w kościele. Nie mówię już o Rzymie, gdzie nabożeństwo jest zarazem demonstracją za papieżem. Za to mniejszość, mianowicie młodzież po szkołach rządowych, psuje się coraz bardziej: i następuje już we Włoszech! jak gdzieindziej, w krajach, w których nowożytnie zasady zapanowały, rozdział na prawo i na lewo, przygotowanie i wzór tego na ziemi, co będzie na sądzie ostatecznym.

Co mnie też uderzyło we Włoszech, to, że ludzie po wagonach milczą, widocznie nie dowierzają sobie; a inaczej

bywało w krajach pod dawnymi rządami. Od czasów odrodzenia, wolności, zjednoczenia, ludzie stali się sobie obcymi, swoboda dawnych czasów zacofanych znikła: na jedno się tylko wszyscy Włosi zgadzają, że podatki są nieznosne, i że takie rządy muszą się zakończyć powszechnem bankructwem. A jednak są po dziś dzień Polacy i myślący nawet, którzy są za tą jednością przymusową Włoch terytorjalnie i historycznie federacyjnych, i przyrównują na opak Włochy do Polski, dobrowolnie, i historycznie jednej, a przymusowo podzielonej. Taka jest siła złego dziennikarstwa odurzająca najzdrowsze głowy. Ufam jednak, że fakta i to nie długo, zadadzą kłam oczywisty fałszywym teoryom. Z tą nadzieją żegnam Włochy.

W Genui trzeba było w biurze statku płynącego do Nizy złożyć paszport: rodowici Francuzi nie są wyjęci od tej niezbędnej formalności. Na statku pytałem marsylskiego kupca, jak mogła się u nich udać powtórna rewolucja. „Co chcesz panie, rzekł, prefekt kazał być na zebranie się gwardyi narodowej; domyślaliśmy się, że chce demonstracji na korzyść Wersalu (a trzeba pamiętać, że kupiectwo francuzkie ma sobie za obowiązek być w opozycji przeciwko wszelkiemu rządowi, dopóki hołota nie dobiera się do sklepów, wtenczas krzyczy na rząd, że nie broni porządku i bezpieczeństwa). „Otóż, mówił dalej mój kupiec, prefekt kazał być o ósmej z rana, a że handel zaczął znowu iść raźniej po długiej przerwie, każdy z nas wolał śpieszyć do sklepu wetować poniesione straty, niż iść na musztrę. Nikt zatem z zamożniejszych się nie stawił. Generał widząc to, opuścił z wojskiem miasto, Zebrało się kilkuset urwiszów, którzy podburzeni przez emisaryuszów, w znacznej większości obcych miastu i Francyi, poszli zająć prefekturę, i prefekta aresztowali. Wtenczas wrócił generał z posiłkami i nas rozbroił.” Podobnie i gwardya narodowa francuzka chciała dać naukę rządowi; widzimy jak za to Francya cała musiała zapłacić. Gdyby jednak tym powiedzieć: widzicie, że to instytucja nicpotem, że ona nie jedną rewolucją wywołała, innym konniwencyą dopomogła, żadnej nie stłumiła; że ją przeto nie zreorganizować, ale znieść trzeba, niezmiernieby się oburzyli, bo to właściwe ludziom obecnym bez zasad, dla których słabość jest dobrocią, sprawiedliwość okrucieństwem, loika fanaty-

zmem, by żadnej rany społecznej rdzennie nie leczyć, tylko kataplazmami rozmaitych sposobików i wybiegów politycznych okładać. Nie, nie można po amatorsku być żołnierzem lub stróżem porządku; trzeba każdemu z tych zawodów całkowicie się oddać! Niech municypalności mają swoich strażników, niech dążą wszędzie do posiadania konstablów anglo-amerykańskich; ale niech się kupcy nie bawią w żołnierza! Dziwna, przykrzą się im służby i warty, trzeba wciąż karać nie stawiających się, a jednak dbają o tę instytucję, bo tak im jak ich połowicom, podobają się szlify do paradowania. *Nitimur in vetita*. Nie dziwiłbym się, aby wojsko, zmuszone w strumieniach krwi swojej gasić rewolucje wywołane lub przepuszczone przez gwardyę narodową — nie zaprotestowało formalnie przeciw tej niezdrowej instytucji; coś podobnego stałoby się, zdaje się, po zdobyciu Paryża. Jedną ze mrzonek nowożytnych, jest nadzieja i chęć zastąpienia wojsk stałych przez gwardyę narodowe. Wiemy ile warte ruchawki bez karności, instrukcyi specjalnej i dobrych oficerów. Powołują się niektórzy na milicye szwajcarskie, ale nie pamiętają o jednej rzeczy, że do najnowszych czasów, pułki całe szwajcarów zaciągały się do służby zagranicznej, dawniej we Francyi, później w Rzymie i Neapolu, którzy po wysłużeniu pewnej liczby lat za granicą do kraju wracali, tak że były kadry doświadczonych oficerów i żołnierzy. Dziś to już ustało, i choć zostały zasoby z przeszłości, nie wiem czyby te milicje dotrzymały kroku, w obec wojsk prusko-niemieckich. Może i na to patrzeć się będziemy. Ale wracam do mojej podróży.

W Hyeres pod Tulonem pomodliłem się na grobach śp. Daryuszostwa Poniatowskich łaskawych na nas za życia, a w Touwent pod Chateauroux na grobie ś. p. Amadeusza Thayer, senatora Francyi, dobrodzieja naszego zgromadzenia. Dziwnie jak wojna z Prusakami i rewolucya paryzka zachwiała majątkami we Francyi. Wdowa po śp. senatorze posiada 120,000 frank, rocznego dochodu w domach i panoramach (albo *passages*) paryskich. Otóż obecnie żyje z pożyczzonego grosza, bo od 9 miesięcy nie miała już, szeląga dochodu, „a gdyby (dodała) granaty spaliły tę część miasta, w której posiadam wspomniane budowle, zostałabym z tym kawałkiem ziemi, niezdolnym utrzymać domu, i zakładów

miłosiernych w nim założonych." Zdaje się, że Bóg nie dopuścił tej klęski, i że sieroty i starce nie zostaną opuszczone. Szlachta posiadając miliony w ziemi, w tych częściach Francji, w których grasowała wojna, musi zaciągać pożyczki w Londynie lub Brukseli (gdzie się wyniosły kapitały paryzkie), bo dzierżawcy nie płacą, zrujnowani rekwizycjami.

Od Marsylii do Wersalu wielki jeszcze nieporządek na drogach; odbicie rozstroju duchowego w umysłach i sercach. Pociągi zapelnione to *mobilami* wracającymi z Algieru i wysłużonymi urlopnikami, to wojskiem spieszącym ich zastąpić, to nareszcie jeńcami paryżkami eskortowanymi przez żandarmów. Wysłużeni żołnierze mówili mi, że teraz nie warto już bić się w Algierze, bo dawniej kiedyśmy zdobyli jakie miasto, to nam oficerowie pozwalali brać co nam się podobało, a dziś sami wszystko zabierają. Może oni spotwarzają oficerów, ale widoczna, że już samej chwały nie dosyć Francuzom, i że nie sami Niemcy tylko lubią rabunek. To pewna, że Algier zrujnował wojsko francuskie; oduczył ich wielkiej umiejętnej wojny, czujności po obozach, a nauczył natomiast rabunku, niekarności i rozwinął w niem niezmiernie rozwiozłość obyczajów.

Zapomniałem powiedzieć, że otrzymałem w Touvent list od księdza Witkowskiego z Paryża z dopisem ks. Jełowickiego, który tu zamieszczam:

Paryż, d. 4 maja 1871 r.

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Po odebraniu listu Ojca, który mię doszedł w kilka dni po przyjeździe do Paryża, otrzymałem wieść pewną przez Siostrę Maryą (Siostrę Miłosierdzia od Ojca ukochanego, bym sobie tu rzadził jak uznaję za najstosowniejsze. Otóż Ojciec mój drogi, Paryża, tj. ambulanse żadną miarą opuścić nie mogę, właśnie w tej chwili niebezpiecznej, gdy kilku dziennie umiera, a których się zyskuje dla nieba. Położenie moje jest bardzo trudne, ale też pełne zasług, bo pracuję wśród niebezpieczeństwa. Gdybym dziś ambulans opuścił, upadłoby zupełnie, bo wszyscy w nim na mnie zwracają oczy i wszyscy mnie się boją. Jakkolwiek Komuna wypędziła Siostry Miłosierdzia, (które właśnie O. Witkowski był tam wprowadził), zniszczyła wszystkie oznaki religijne, mnie jednak zostawiła kaplicę i

wolność religijną. (Chciała zrazu i jego wypędzić, ale sami ranni komuniści protestowali przeciw temu i wymogli że go pozostawiono). Czy szal jest prawdziwy czy fałszywy, to mniejsza; lecz są prawdziwe dusze do zbawienia i to w chwili wielkiego niebezpieczeństwa. Jeżeli ja ambulans opuszczę, wtenczas innemu księdzu nie pozwolą wejść do niego; a tymczasem wszystkie biedne dusze, które umrą bez pomocy duchownej, ciężcy będą na sumieniu naszym. Jednem słowem, nie podobna opuszczać stanowiska, na którym mnie Pan Bóg zostawił. Położenie moje jest może jedno z najważniejszych w Paryżu, i w opozycji uajzupełniejszej z owymi waryatami czerwonymi naszej narodowości, których mamy tu dosyć, a którzy się nawracają. Postaram się być temi dniami w Wersalu, lecz tylko na dzień jeden, bo inaczej mi uczynić niepodobna . . . Byłem temi dniami u ks. Buquet, niewidomego biskupa sufragana, albo koadjutora ks. arcybiskupa, prosił mnie i zaklinał, bym miejsca mego nie opuszczał; toż samo potwierdzają księża wikaryusze, którym w tej chwili usługę oddaję." Ksiądz Jełowicki dodał co następuje od siebie: „Posyłam kopię listu O. Władysława, może bowiem pierwsza kopia nie zastała Ojca już w Rzymie. Był tu wczoraj malarz Zaleski z drugim Polakiem, tylko co byli widzieli O. Władysława najbezpieczniej sobie poczynającego. Mieszka przy kaplicy w ambulansie, do którego wchodzi kiedy chce, a od dni kilku panowie rządcy zapraszają go do swego stołu; tak wszystkich sobie zjednał. Żadne więc mu niebezpieczeństwo nie grozi, choć był gotów na nie. Od początku tej komunistycznej wojny, po kilku i kilkunastu dniennic w jego ambulansie umiera, a dotąd tylko czterech bez Sakramentów umarło, i to dla tego, że umarli zanim się wytrzeźwili. Więc go upoważniłem do zostania, według roztropności, *usque ad revocationem*, a na powitanie Ojca do Wersalu przyjedzie. Proszę nam donieść o dniu przyjazdu". Napisałem by się nie ruszał z Paryża, choć mnie kosztowało pozbawić się pociechy uściskania takiego syna, ale przy rosnącym zagrożeniu i podejrzliwości obustronnej mógł się tylko zachować od śmierci nie ruszając się z miejsca; jak się też za łaską Bożą stało, bo ambulans ten na polach Elizejskich za pałacem kryształowym położony, rychło po wejściu wojsk do Paryża musiał być zajęty i od panowania komuny wyzwolony.

Tu mi się następuje uwaga: kilkudziesięciu księżj sprzymierzonych przez lat tyle pragnęło odebrać nam missyę paryzką, tymczasem podczas podwójnego oblężenia i bombardowania Paryża, nie było o nich słyhać, a ci których chciano wyrzucić, dotrwali na zajętem stanowisku.

W miarę jak zbliżałem się ku Paryżowi, ostrożności policyjne coraz były surowsze. Wszakże dzięki sutannie i siwym moim włosom, zwykle mnie nie tykano, powiadając: *Mr. le cure ne va pas pour sur a Paris*, później jednak tak nie było, odkąd hersztowie komunistów zaczęli uciekać z Paryża, najrozmaiciej przebrani. Nie jednego aresztowano. Widać było coraz częstsze ślady zniszczenia na stacyach kolei żelaznych z czasów wojny jeszcze, i napisy niemieckie na domach. Od Juvisy czuć już było bliskość obozu. Adjutanci, ordynansy, pędzą cwałem tam i napowrót, ciągną sznurem, działa, jaszczyki i furgony z żywnością. Dnia 17 maja wieczorem stanąłem w Wersalu i zamieszkałem u gościnnego księdza kanonika Szrajtera kapelana panien Wizytek, a po chwili z wielką pociechą ducha uściskałem kochanego Ojca Aleksandra, którego nakazem wypędziłem z Paryża wraz po zawieszeniu broni. I wielki był czas, bo zaledwo przybył do Wersalu, rzuciła mu się krew z piersi, w skutek wycieńczenia i niewygód podczas oblężenia i dawnej choroby gardłowej. Szanowny dr. Gałęzowski, pozwala jednak powolnej podróży i posyła do wód.

Ze sióstr Wileńskich Nawiedzenia Najświętszej Panny kilka znowu ubyło od czasu ostatniego mego pobytu w Wersalu, a mianowicie ostatnia przełożona Matka Balińska, którą zastąpiła Matka Jelska. Przez cały czas wojny i dotychczas przeżywał Bóg cudownie sługi swoje. Poczciwa wiara z Poznańskiego przynosiła im nawet jałmużnę, ach! bo lud nasz pocziwy kocha tak i wielbi „święte panienki.” Życie to sióstr wersalskich, oparte na ostrzu codziennej Opatrzności, tworząc nowe między nami podobieństwo, droższymi nam je jeszcze czyni.

Odwiedziłem izbę. Już to samo, że posiedzenia jej tak w Bordeaux jak tutaj odbywają się w teatrze, przykre czyni wrażenie. Mniej przykre zapewne niż saturnalia komunistyczne po sprofanowanych kościołach paryzkich, ale zawsze to ni wesołe, ni poważne. Nie śniło się pewno Ludwikowi XIV,

który i *Stanów generalnych* ścierpieć nie chciał, że izba republikańska (z imienia przynajmniej) będzie obradowała nad zapłaceniem haraczu Prusakom, (należącym wtenczas do *ne-lulosów* politycznych) w tem samym miejscu, gdzie on siebie adorował ubóstwiany przez pudrowanych dworaków płci obojej. *Sic fata mutantur.*

Wielkie w tej izbie wersalskiej, jak w kraju, który przedstawia, rozszycie duchowe, wielkie rozjątrzenie zobopólne, bo położenie fałszywe. Izba w dwóch trzecich jest monarchiczną, a musi odzywać się i działać w imieniu republiki. Monarchiści podzieleni na legitymistów, orleanistów i nieco bonapartystów, republikanie znowu na czerwonych albo skrajnych, i umiarkowanych republikanów nie tak z upodobania jak z przekonania, że to złe mniejsze. Na tej ostatniej frakcyi opiera się głównie Thiers, ale tak długo trwać nie może. Śliczny list, manifest Henryka Y, w skutek poddania się mu hrabiego Paryża jako głowie rodziny, jednoczy dwie główne frakcye monarchiczne. Francuzi pragnący pokoju i bezpieczeństwa widzą jasno i wyznają, że nie ma dla nich innego wyjścia, nad powrót Bourbonów, choć ze stratą wolności pracowania w niedziele i innych podobnych wolności. Jeden z wieśniaków z okolic Paryża, adoratorów słońca, bo innego bóstwa nie znają, odezwał się: *eh Hen, nous irons a la Messe, si on ne petit pas faire autrement, mais au moins nous serons tranquilles.* Wszakże część orleanistów odcienia książąt d'Aumale i Joinville, działających dotychczas na własną rękę, i schlebających *wielkim zasadam* 1789 r., przyłączy się zapewne do republikanów umiarkowanych, i może po części bonapartyści, jak skoro zwątpią o możliwości przywrócenia na *teraz* na tron panów swoich. W każdym razie będzie to zawsze mniejszość izby, choćby kompletujące wybory dostarczyły jej z miast, sporego kontyngensu. Na tej mniejszości opiera się i opierać myśli Thiers i trzyma się tem tylko, że niema kim go na razie zastąpić, nie ma człowieka, któryby posiadał w równym stopniu rutynę rządową, a miał lepsze od niego zasady.

Na razie słusznie on mówi, że Rzeczpospolita najmniej jeszcze Francuzów dzieli, ale z drugiej strony prawdą jest, że stan taki przechodni nie daje pokoju ni bezpieczeństwa. Kompromis stronnictw na strachu oparty długo trwać nie

może, walkę i rozstrzygnięcie odwlec można, nie można ich uchylić. Przy objęciu władzy, pozornie słuszny niby postawił program, że chce Francją uporządkować, a izba obecna uchwalwszy nowe prawo elektorale, ustąpi miejsca *konstytuancie*. Tu podstęp. Bo dla czegoż izba, w podwójnym komplecie, jak zwykle konstytuanty wybrana, nią być nie ma? Alboż wybraną została z mandatem ograniczonym? Nie. Nigdzie nie było powiedziane, że ma tylko pokój z Prusakami zatwierdzić. Wybraną została głównie, aby nową władzę legalną stworzyła i kraj zbawiła. Jeżeli nie jest konstytuanta, toby jej można zaprzeczyć prawa stanowienia nowej ustawy wyborczej i obcinania głosowania powszechnego, które Napoleon III wprowadził ostatecznie do prawa publicznego Francji. Czy izba przyszła, wybrana przez część narodu, większą będzie miała powagę wobec Francuzów wierzących jeszcze w głosowanie powszechne, od izby obecnej? Szczęściem, że deputowani republikańscy, niecierpliwi, a może bojący się powrotu Napoleonidów, podali projekt do uchwały, że Rzeczpospolita jest stałą formą rządu dla Francji, i tem samem uznali izbę obecną za konstytuanta. Bardzo to nie na rękę Thiersowi, który izbę obecną znajduje zbyt *ruralną i klerikalną*. Nie trzeba jednak brać tej nazwy zbyt ściśle. Opatrznie się wprowadzić stało, że naród francuzki ostateczną zagrożony zagładą, nie patrząc, już jakich kto opinij politycznych, szukając tylko ludzi prawych, wybrał tem samem większość ludzi religijnych, choć bardzo nieśmiało religijnych. Wyobrażenia nowożytnie, że religia jest rzeczą sumienia, stosunkiem prywatnym tylko duszy z Bogiem, nie zaś rzeczą wiary publicznej narodów, tak weszły głęboko do umysłów, że gdy w Bordeaux przed otwarciem izby, deputowany jeden po raz pierwszy wybrany, odezwał się z pomysłem zaczęcia obrad ode Mszy do Ducha świętego, zakrzyczany został przez kolegów swoich. A jednak z dawnych czasów pozostał we Francji samej zwyczaj otwierania szkół i trybunałów Mszą do Ducha świętego. Widzieliśmy następnie z jaką trudnością przeszła świeżo w Wersalu uchwała izby, żądająca publicznych modłów za Francją. Dla Thiersa to już za wiele. Nie głosował on, nie głosowali Favre, Picard i Jules Simon otwarty niechrześcianin, niefortunni przedstawiciele republiki 4 września, których Thiers upornie zatrzymuje (świeżo, le-

dwo że najlepszego jeszcze z nich, Picarda poświęcił) dla przeprowadzenia swej republiki *sereine* (rzekłbym *de serins*). Bo jakkolwiek Thiers nie jest już Volteryaninem, jak w młodości swojej, ale zaledwo, że jest deistą, *on revient toujours a ses premiers amours*. Przyjmuje on Boga, ale konstytucyjnego, *qui regne, mais ne gobiérne pas*, i kroku naprzód uczynić nie chce, bo czyż ludzkość nie doszła pełnoletności swojej, i Boga wyręczyć w zarządzie świata nie potrafi? Doszedł on nawet, dzięki wczytaniu się w pomysły polityczne Napoleona I, do pojęcia potrzeby niezależności Papieża przez panowanie w domu własnym, ale dalej nie poszedł. Jakkolwiek najzdolniejszy człowiek stanu dawnej szkoły, skryształizował się w ideale monarchii lipcowej, opartej na klasie średniej, gotów poświęcić się dzisiaj dla zbawienia Francyi, pod formą republiki umiarkowanej (tak miło poświęcać się, byle być zbawcą narodu swego!) ale zawsze opartej na ulubionej klasie średniej, to jest kupieckiej. A przecież ta klasa najbardziej bezmyślna, politycznie nad koniec łokcia dalej nie widzi, najmniej religijna i najmniej patryotyczna. Coby się było stało z Francją, gdyby nie była zachowała swoich żandarmów i marynarzy Bretonów i Prowensalów, złożonych z wieśniaków jeszcze wierzących, a nie z kupców, adwokatów, dziennikarzy!

Otóż, jak powiedziałem, pilno Thiers'owi pozbyć się konstytuanty *ruralnej i klerikalnej*, a stworzyć sobie nową na obraz i podobieństwo swoje. Ale nie sędzę, by mu się to udało, bo wyraźnie Bóg psuje wciąż szyki roztropności ludzkiej, i objawia się ciągłemi niespodziankami, i czynić tak będzie aż ludzie, a najprzód Francuzi, nie uwierzą, że Bóg jest *królem królów i panem panujących*, i że nie tylko ludzie pojedynczy, ale narody i rodzaj ludzki cały od niego zależą, i winny mu hołd i cześć i posłuszeństwo oddawać będą.

Wybaczenie, żem Wam wypisał myśli, jakie mi przychodziły podczas, gdy siedział w teatrze parlamentu francuzkiego. Może się one komu zdadzą, bo co we Francyi się dzieje, odbija się wreszcie Europy, mianowicie też u nas, którzy, jak jeden dyplomata zagraniczny niegrzecznie się wyraził, jesteśmy tylko *matpeczkami francuzkiemi*. Od trzech pokoleń, rozkładające ideje nowożytne francuzkie zajeżdżały do nas, jak do karczmy otwartej, bez oporu, a katolicy nasi

sami, najwięcej, że *le Correspondant* strawić mogli. Z dzienników politycznych ledwo że jeden lub drugi prawdę mówi i to ostrożnie, bacząc na osłabiony organizm duchowy narodu. A że Thiers jest znakomitą i zajmującą personifikacją idei nowożytnych, pozwólcie, że jeszcze coś o nim dodam.

Zaklął się on raz uroczyście w izbie, wzywając Boga na świadectwo, że on nie ma winy w tem co się stało, i że aktem uajpatriotyczniejszym w jego życiu jest podpisanie takiego traktatu z Prusakami. Że jest patriotą, to prawda, i wielką zasługą z jego strony, że sobie ręk nie umył nad klęską ojczyzny. Wierzę, że zaklął się w najlepszej wierze, ale niech wybaczy, ma i on udział znaczny, choć pośredni, w tem co się dzieje. On był jednym z głównych sprawców rewolucyi lipcowej i uwieńczył ją kolumną ¹⁾. On bronił wychowania uniwersyteckiego, które zbezbożniło i ośłupiało Francją, jak dziś sami członkowie *de l'Institut et de l'Academie des sciences* wyznali. On przez rywalizacyą swoją z Guizotem otworzył służbę republice 1848 roku. On w dziele swojem *le Consulat et l'Empire*, dając za czystą prawdę bulletyny napoleońskie (choć stało się prysłowiem *menteur comme un bulletin*) wlał we Francuzów przekonanie o ich niezmierniej wyższości nad wszystkimi innymi narodami, że są narodem bohaterów, olbrzymów, którym zwycięstwo z prawa się należy. Dzieło to jego, i sprowadzenie z jego popędu zwłok Napoleona I do Paryża, uczyniło możebnem drugie cesarstwo. Mowa jego po Sadowie, że nie należy pozwolić jednego kroku więcej naprzód Prusom w Niemczech, przyspieszyła ostatnią kampanię; popieranie Favr'a (który nie chciał przyznać Bismarkowi, że jest motłoch *populace* w Paryżu), by nie dopuścić rozbrojenia gwardyi narodowej paryzkiej, wyprawienie pośpieszne z Paryża klerykalnych *mobiles de l'Ouest*, którzy byli dwa razy przetrącili ruch Belleyilczyków; uczyniło możebnym wybuch w takich rozmiarach rewolucyi komunisty-

¹⁾ Kiedy mu powiedziano w roku 1831, że lud rozdrapał i wrzucił do Sekwany pałac arcybiskupi, odpowiedział: *ce n'est rien, cela va degager l'eglise*. W lat 40 ten sam lud zburzył hotel jego, zabrał mu brzozy i papiery; ranożaby powiedzieć: *ce n'est rien, cela va degager la place St. Georges*.

cznej. Nie jest zatem tak niewinnym pan Thiers w tem co się dzieje, jak mu się zdaje, i jest coś zadowolenia faryzeuszowskiego w jego cnocie politycznej. Szczersze wyznanie zrobili *publikanie—dziennikarze*, wołając jak *Le Temps*, „kto z nas nie przyczynił się do tego co się dzieje?” karmiąc naród omłotem samych brudów obyczajowych i podając w śmieszność nie tylko co święte, ale wszystko co po ludzku pocziwe. To nie przeszkodzi by ci panowie nie wrócili *in id ipsum*, jak skoro strach przejdzie, ale wyznaue takie na razie zawsze jest drogocennem.

tWracając do pana Thiersa, jest coś tragicznego w walce tego rewolucjonisty umiarkowanego, z rewolucjonistami *logicznymi*. Bo jak skoro niema innego życia po za tem ziemskim, a przynajmniej polityka rządowa nie ma się tą rzeczą zajmować, gdyż podług p. Dupin *la loi est athee*, jak skoro najbardziej jeszcze chrześcijański statysta nowożytny we Francyi, p. Guizot nie umiał nic innego poradzić narodowi, aby był szczęśliwym jedno *enrichissez-vous*, socyalizm i komunizm jest koniecznem następstwem zasad nowożytnych i żadne „ale” temu nie zaradzą. Zdaje się, że p. Thiers zużywa się, i musi zużyć do końca, aby przekonać, że największa zręczność ludzka Francuzów nie wybawi, jedno władza oparta na Bogu i na odwiecznych zasadach moralności objawionej.

Goy tak stronnictwo umiarkowane obraduje w teatrze wersalskim, Komuna dokazuje w Paryżu po kościołach, obdartych naprzód ze wszelkich kosztowności (na mocy prawa *napbitego karabinu*) a potem sprofanowanych. Wypędzają z nich modlących się, zdzierają białe wstęgi dziatkom wracającym od pierwszej komunii, tu ubierają posąg Matki Boskiej na kantynierkę, tam jej lulkę do ust wtykają, hostye poświęcone rozrzucają po podłodze, kładą do kieszeni, depcą... Zakładają w nich kluby męskie, a szczególnie żeńskie, jakoby zemsta szatana przeciw kobietom zapelniającym głównie kościoły paryzkie, mianowicie też w tym miesiącu maju, osobnej czci Najświętszej Panny poświęconym Po konfesyonałach zasiadają *ouvriery* z lulkami a *brule-gueule* w ustach, a coś nakształt niewiasty włązi na ambonę i bluźni na potęgę! Najwymowniejszą z takich oratorek była pani Dymitrieff, nihilistka moskiewska, to też słuchacze dowiadywali się pilno gdzie mieszka. Zdarzało się, że gdv jedna za długo mówiła z am-

bony, druga wskakiwała na ołtarz i prawila swoje. Zaręczano mi, że bezwstydnica naga wlaźła na ołtarz, wołając: *adorez-moi*. Ale, że osoba, która mi to doniosła, nie widziała faktu na własne oczy, nie twierdzę ostatecznie, choć i to było potrzebne do parodyi na zimno pierwszej rewolucyi i przy takim zbydlęczeniu i szataństwie wszystko już możebne. Klubów samych nie dosyć, więc i teatru otwarte, rnaryonetki mianowicie się podobają rządzącej publiczności. W tem wołają: *un convoi de blesses*! Wybiega publiczność, popatrzy na krew ciekącą z wozów jak w rzeźni, na marmeladę z kości i mięsa i wraca do maryonetek. Miłe też zbiegowisko na Montmartre, patrzeć jak pękające granaty wyrzucają w powietrze siekaninę ciał ludzkich, „zdaleka to nie robi przykrego wrażenia” odezwała się jedna dziewczka. Obrońcy zaś komuny wszyscy upojeni winem z infuzją tytoniu i dla tego wszyscy ranni umierają.

Francuzi nie mogąc strawić, że w wieku i stolicy cywilizacyi takie potwory się wyrodziły, folgują miłości własnej, zwalając wszystko na cudzoziemców, tymczasem bardzo ich tam mało. Irlandczyka ani jednego, Włochów kilku albo kilkunastu, Polaków do pięćdziesięciu. Na 1000 jeńców przyprowadzonych dotychczas do Wersalu, ledwo 20-stu cudzoziemców, głównie naszych. Nieszczęśni, paradowali w czamarkach i rogatywkach; oniby widać i w piekle radzi się hańbą swoją popisywać! Nie pamiętali, okrom innych powodów, w jakim położeniu postavili resztę rodaków we Francyi, mianowicie starców naszych z 1831 roku. Co do mnie, raz pierwszy wstydziłem się we Francyi nazwać się Polakiem, i dla tego tak mi było przykro pokazywać paszport. Przyganiiali mi w roku 1841-m *umiarkowani i rozsądni* nawet, że ostro zgromił wygnańców naszych mieszających się do burd owoczesnych w Europie. Przyganiiali mi w roku 1863, że ogłosił *mechaników* ostatniego powstania za mazzinistów. Tymczasem Donibrowscy[^] Wróblewscy, znakomite figury powstańcze, służą komunistom paryzkim, którzy się bić nie chcieli przeciwko Niemcom, których Mazzini sam potępił, twierdząc, że społeczeństwo, wyrzekające się "Boga i ojczyzny" ostać się nie może. Gdyby Dombrowski z ran nie był umarł, możeby go jeszcze stawiano za przyszłego zbawcę Polski (jak to już podobno je-

den dziennik galicyjski zaczął) na miejsce Mierosławskiego spoczywającego na laurach.

Dnia 21-go maja przybył do Wersalu ksiądz Postawka, który podczas wojny pruskiej był już z ambulansem, a po Sedanie do Paryża wrócił i tam podczas rządów komuny, z wielkiem nieraz niebezpieczeństwem życia, ostatni przy kościele swoim dotrzymał; wreszcie zmuszony z kościoła ustąpić, zdał go za kwitem komunie. Opuścił miasto za paszportem austriackim, nie wiedząc o tem, że wojska już weszły do Paryża. Wrócił więc. Ksiądz Postawka kończył swe nauki w Rzymie, *ducha zaalpejskiego* zachwycił, do księży *stowarzyszonych* nie należał, Zmartwychwstańców się nie bał i kiedy przyszła ciężka godzina, pocziwie i po kapłańsku się znalazł.

Przez cały czas mego pobytu dziesięciodniowego w Wersalu, działobicie nieustające (z małemi przerwami) w dzień i w nocy, było muzyką stałą przy tej okropnej biesiadzie. W wigilią Wniebowstąpienia i w wigilią wejścia wojsk do Paryża (20—21) kanonada była straszną, nie było słycać pojedynczych strzałów, ale salwy nieustające baterij działowych najcięższego kalibru. P. Kosiłowski zaręczał, że i pod Sebastopolem takiej muzyki nie słyszał. Dwudziestego pierwszego zrana, w towarzystwie tylko co wspomnianego rodaka i ks. kanonika Szrajtera, udałem się przez Sevres na taras meudoński, oglądać zamek spalony i sławną redutę pruską 0 GO działach. Posługiwali się nią świeżo Francuzi; ślady podwójnego zniszczenia wszędzie widoczne, ludność teraz znowu do domów wracała. Widziałem pierwsze pożary paryżkie; ale gdy Montmartre został zdobyty, opuściłem Wersal z dobrą myślą, że się nie sprawdzą proroctwa grożące Paryżowi zagładą. Niestety! nie wszystko jeszcze skończone.

Dnia 24-go maja udałem się przez *Le Mans* i *Sabie* odwiedzić uczonego Opata O. Gueranger, wskrzesiciela Benedyktynów kongregacji św. Maura we Francyi. W roku 1835 odbyliśmy tę pielgrzymkę pieszo z księdzem Semeneńką, 1 miesiąc cały w towarzystwie świętej pamięci Montalemberta spędzili. Było wtenczas wszystkiego pięciu zakonników. Wpadłem tu był przelotnie w roku 1849 i znalazłem tylko chór kościelny przybudowany. Obecnie jest 60 zakonników i osobny klasztor i kościół gotycki. Zakonnice w pobliżu; oprócz dwóch innych klasztorów w Liguje (gdzie św. Marcin prze-

bywał) i w Marsylii. Ze Solesmes wyszedł uczony kardynał Pitra. Poznałem tu też młodego i uczonego O. Guepin, który przygotował do druku najobszerniejszy, bo dwutomowy i najdokładniejszy zapewne żywot św. Jozafata, dzięki wskazówkom i źródłom polskim, jakich mu dostarczył nasz ksiądz Kalinka. Opowiadał mi, że zupełnie inaczej od francuzkich troszczyli się o swych żołnierzy oficerowie pruscy. To był ostatni punkt, do którego Prusacy się posunęli; dodał niewesołą wiadomość, że i w tych okolicach, stosunkowo bardziej wierzących, liczba komunij wielkanocnych tego roku o wiele się zmniejszyła, wmawiano bowiem ludowi, że to księża i szlachta sprowadzili Prusaków.

Dnia 25-go w południe udałem się do Brest. W Yuitre dotknąłem granic Bretanii. Grunt tu ubogi, bo tuż pod piaskiem granit. Lud wiejski żywi się rodzajem mamałygi z prosa z mlekiem, ale za to ma coś granitowego w charakterze. Musiałem nocować w Rennes, bo pociąg dalej nie szedł, widziałem żuawów ex-papieżkich tu się formujących. Wszystko tu jeszcze prościej, skromniej, niż w reszcie Francyi, *altvaterisch*, jakby Niemiec powiedział, i życie też znacznie tańsze. Mszę św. zmówiłem nazajutrz w katedrze nowożytnego zupełnie stylu, jak ogólnie tutaj gmachy publiczne.

W Brest dnia 27-go przy śniadaniu, pan *Le Roy de Keranion, capitaine au long cours*, Bretończyk, ofiarował mi druki swoje o ważności portu i jego wielkiej przyszłości. Wykazuje, co prawda, że to punkt najbliższy Europy od Nowego Yorku — *finis terrae* przez Rzymian nazwany, że węgiel kraju Galles bliższy jest Brestu niż wielu portów angielskich, i że tu przeto okręty chętnie, bo korzystnie zaopatrywać się weń będą, że sam port wojenny ogromny, głęboki, bezpieczny, służyć może dla handlu, gdy tymczasem Hayre, prowadzący jedną trzecią handlu francuzkiego, musi czekać na przypływ morza, aby okręty zawinąć mogły, a Bordeaux i Nantes wywożą już tylko produkta francuzkie. Ale okrom portu wojennego, Brest otrzymał koncesyą na założenie portu handlowego, tuż przy ujściu małej i głębokiej rzeczki, *Port-Napoleon*, a dziś *Port-Marie* nazwanego. Powietrze tam zdrowe, grunt za bezcen, granit pod ręką; więc widzi już ogromne miasto z kolosalnemi dokami, obok których londyńskie i liwerpoolskie znikną i t. d. Naturalnie, że

ci panowie przypuszczają pokój stały, bezpieczeństwo, ludność i bogactwo rosnące, tymczasem przychodzą niespodzianki, jak wojna pruska, komuna itp. psujące szyki. Pan ten przeprowadził założenie linii statków transatlantyckich, wysyłających co tydzień jeden okręt; spodziewał się, że z czasem co dzień dwa ich odchodzić będzie, tymczasem już tylko co czternaście dni jeden odpływa, a zapowiadają nawet, że kompania zbankrutuje. W czasie wojny statki te woziły wybrakowane strzelby amerykańskie i działa o lawetach sosnowych, słono sprzedawane, a teraz nie mają co robić. Na *Ville de Paris* znajduję wszystkiego 70 podróżnych. Kilkanaście osób na pierwszych; porządną parę rodzin, które się nawet na pomocy nie pokazywały — generał Trobriand, Francuz w służbie amerykańskiej, wracający po klęsce ojczyzny do Utah gdzie komenderował; jakiś doktor amerykański o wydatnych rysach izraelskich, stolarz francuzki wracający do New-Yorku, para *commis-voyageurs* i para dam *du demi-monde*. Na naszym drugim miejscu tego towaru nie było; kupcy podróżni i wracający, lub po raz pierwszy jadący za ocean, mianowicie do Kalifornii, i spekulanci, ogólnie nie świetny, ale przyzwoity *peuple*, większość podróżnych zajmowała trzecie miejsce. U nas odznaczał się dwudziestoletni *rentier* z Washingtonu, który pracował nominalnie przynajmniej, przy konsulu amerykańskim w Marsylii, odwołany i zmuszony do powrotu odcięciem żywności, ale obiecujący pomścić się za kilka miesięcy, gdy dojdzie do pełnoletności; jadł, pił, spał i gawędził potężnie; choć małoletni, już dobrze podtył. Był i Alzateczyk, wściekły zarazem na Prusaków i na Francuzów. Był i perukarz, *artiste en cheveux*, który dotychczas sprzedawał *articles de Paris* w Hawanie, a obecnie po upadku ukochanej komuny wynosi się znowu z dwiema córkami do Galveston w Texas. Pięknie trafił: dowiaduję-się tutaj, że podwójny huragan miasto okrutnie zniszczył. Panny mi powiadały, że odbyły pierwszą komunię w parafii *de St. Augustin*, że były w kościele, gdy komuna wpadła zabrać kościół, że ksiądz przy ołtarzu odważnie się znalazł i t. d. Ciekawy byłem, co też te panny czytają (bo książki swoje zostawiały na stole do użytku publicznego) oto *La Vie parisienne illustree*, pełną ślizkich, jaskrawych, a nawet plugawych artykułów i drzeworytów. Takie rzeczy nie

rażą już Paryżanek! a i reszta Francyi i Europy takim omłotem się, karmiła.

Mieliśmy odpłynąć 27-go maja o 3-ej po południu, tymczasem czekaliśmy na próżno do 11 -ej zrana nazajutrz na pocztę. Niewesoło było opuszczać Europę w takiej niepewności, wiedzieliśmy już bowiem o spaleniu ważniejszych gmachów paryzkich przez komunistów, i o miotaniu bomb petrowych z Belleville. Podróż mieliśmy mniej przyjemną, niż w takiej porze roku spodziewać się było można. Burzy właściwie nie było, ale wiatr mieliśmy prawie stale z boku, długi nasz i wązki szrubowiec potężnie się kołysał, i cierpiących na morzu dosyć utrapił. Wiatr był zimny, a mianowicie gdyśmy zrobili zagięcie ku *Terre-Neuve*, podróżni zażądali opalania salonów. Spotkaliśmy wtenczas dwie pływające góry lodu, było też trochę mgły i gwizdania parą, ale to wszystko w miniaturze w porównaniu z tem, czegom doznał w pierwszej przeprawie do Kanady. Małośmy statków spotkali, ledwo gdzie ryba albo delfin się pokazał, ptactwa morskiego na Oceanie nie spotkać, więc też podróżni mało wrażeń upolowali; domino, szachy, karty, jedzenie, gawędy i sen musiały czas zapełniać. Jakkolwiek kapitan nie był zadowolony z ruchu maszyny, jednak po upływie 9-ciu dni stanęliśmy wobec wspomnianego portu Nowo-Yorskiego, któremu się lepiej teraz niż po raz pierwszy przypatrzeć mogłem. Urzędnicy celni i sanitarni przynieśli wiadomości i dzienniki na statek, że powstanie w Paryżu stłumione i pożary powstrzymane. Więc na teraz dzięki Bogu skończone, ale czy na długo? Czy duch Paryżan nie jest zbyt zepsuty, aby mógł być uleczony? Ze smutkiem widzę pośpiech władzy, by dawny stan rzeczy i życia paryzkiego przywrócić, i zatrzeć co rychlej ślady wandalizmu komunistów. Przeciwnie, niechby te ruiny sterczały na świadectwo, do czego prowadzi oświata bez Boga! Już dziś zaczynają dzienniki wymawiać komunę; co będzie, gdy materialne ślady ich piekielnego herostratyzmu zostaną zatarte? *Ipsi viderint*

O godzinie 6-tej wieczorem byłem już w gościnnym klasztorze 00. Redemptorystów, znalazłem tych samych przełożonych i braciszków. Kochani 00. zaprosili mnie do odśpiewania Mszy świętej i odbycia procesyi w dzień Bożego Ciała, w kościele napełnionym jak ul. Rad byłem oddać tę małą

usługę Ojcom tym, zmęczonym w konfesyjale, rad byłem po utraceniu 9-ciu dni, w pobliżu Pana Jezusa dłużej pobawić; nie obeszło się bez potężnego zmęczenia, bo w Nowym Yorku panowały upały tropikalne (jednego dnia 200 koni omnibusowych padło). Można kochać lub nie kochać Niemców, ale trzeba przyznać, że ci, co do kościoła przychodzą, poważnie i pobożnie w nim się znajdują. Patrząc w Hostyę przenajświętszą, widziałem jednak w przechodzie głowy pobożnie ku niej zwrócone, jak słoneczniki ku słońcu, i szmer westchnień pobożnych wzlatujących wraz z kadzidłem ku Panu, i ofiarowałem Mu wszystkich pobożne uczucia, i prosiłem, by o nich nie zapomniał, choćby który się w ciągu życia jeszcze zapomniał, i by w godzinę śmierci był im miłościw wszystkim. Nazajutrz byłem w Brooklyn oddać Wizytom tamtejszym listy od naszych Wizytek wileńsko-wersalskich. Duch Boży ten sam wszędzie i we wszystkich, więc i Wizytki amerykańskie kubek w kubek podobne do naszych europejskich, widać że to córki świętego Ojca i świętej Matki.

Jeden z 00. Redemptorystów, Ojciec Urban, sławianin urodzony przy źródłach Odry, ślicznie wyćwiczył w śpiewie dzieci szkół obu, żeńskiej i męskiej. Słyszałem codziennie melodię „*Przed tak wielkim Sakramentem*” i jedną z kolęd naszych. Po raz drugi mówił mi o potrzebie utworzenia kaplicy dla Polaków i Czechów bardzo tu zapuszczonych, ale nie łatwo o środki materialne, a o kapłanów jeszcze trudniej. Zobaczmy co Bóg da zrobić.

Poświęciłem dwa dni państwu Zborowskim zamieszkującym śliczny pałacyk w Morrisania, nie wiem jak powiedzieć, pod Nowym-Yorkiem, czy w Nowym-Yorku. Niby to dwór wiejski jeszcze, ale miasto tak gwałtownie się zbliża, że na łakach pana Zborowskiego municypalność poznać już kamieniami przyszłe ulice. Gdyśmy weszli na śliczny wzgórek panujący nad okolicą, właściciel z pewnym gorzkim żalem (ile protestant) powiedział: „Mości księżo, tu zapewne stanie z czasem katedra katolicka, a mój dom będzie oficyną pałacu kardynała arcybiskupa.” Czują Amerykanie, że katolicyzm ich zalewa, wszakże dopóki będą osobne kościoły niemiecko-katolickie i irlandzko-katolickie, dopóki te dwie ludności nie zaczną się łączyć węzłami rodzinnymi między sobą i z dawno osiadłymi mieszkańcami, kościół katolicki nie zapuści głębszych

korzeni w tym kraju, będzie zawsze tylko kolonią europejską ze zewnątrz podtrzymywaną.

Drożyżna tu taka, że z małej swej własności (na nasze rozmiary) pan Zborowski płaci 5000 dolarów podatku, a robotników do 3 dolarów dziennie. Muncypalność nakłada ogromne podatki, a jednak miasto brudne; okrzyczane ulice rzymskie świecą czystością w porównaniu! Rada muncypalna bowiem składa się z Irlandczyków i synów Irlandczyków tu zrodzonych, którzy pamiętają o sobie. I tu coraz więcej ludzi chcących grubo zarabiać, mało pracując. Rozpusta, pijaństwo, zła wiara rosną coraz bardziej, przeto i tu są gotowe żywioły do stworzenia Komuny nakształt paryzkiej, jak mi mój zacny gospodarz powiadał. Chciał mnie dłużej u siebie zatrzymać, ale mi pilno do moich. Dla tego też podziękowałem zacnym 00. Redemptorystom, którzy gotują się odbyć uroczyste trzydniowe nabożeństwo 16, 17 i 18 tego miesiąca z powodu Jubileuszu papieżkiego i ogłoszenia ich świętego założyciela, Alfonsa de Liguori, doktorem Kościoła. Milej mi będzie obchodzić, choć mniej świetnie, jubileusz papieżki w naszych parafiach, ile że w moc otrzymanego przywileju mogę im dać błogosławieństwo w imieniu Ojca św.

Dnia 14-go wieczorem stanąłem u zacnego naszego biskupa w Hamilton, już w Kanadzie, który wymógł, abym ze trzy dni u niego zabawił, i zaraz kazał zapowiedzieć w kościele, aby Polacy, Czesi, Niemcy i Włosi korzystali ze sposobności i spowiadali się. Zaczynają już zgłaszać się penitenci, nawet ze spowiedziami z całego życia.

V. 5. 20-go Czerwca. List ten zaczęty 7-go tego miesiąca, dziś dopiero kończę i wysyłam; nierychło nowy napiszę, bo miesiąc cały zajmą mi potrójne rekolekcyje tu i w Chicago. Dodaję zatem, że 17-go wieczorem stanąłem w Berlinie kanadyjskim w niewielkim ale schludnym i bardzo praktycznie urządzonym budynku naszego małego kolegium. Nazajutrz odśpiewałem Mszę św. i dałem benedykcyą papieżką. Musiałem wysłuchać trzech nauk z ogłoszeniem nabożeństwa za Ojca Św., w języku polskim (dla Polaków i Czechów) i angielskim przez księdza Jana Wołłowskiego, który w niespełna lat trzy wybornie nauczył się po angielsku, i w języku niemieckim przez księdza Ludwika Funkena. Ten odwiózł mnie

dnia 19-go do św. Agaty do brata swego, przełożonego misyi naszej. Znalazłem tu nową piękną kamienicę wystawioną ze składek dla sierót naszych parafij.

Katolicki dziennik wychodzący w Baltimore opowiada pod dniem 12-ym tego miesiąca poświęcenie przez J. M. księdza biskupa Foley nowego polskiego rzymsko-katolickiego kościoła w Chicago, pod wezwaniem św. Stanisława Kostki. Kościół długi jest stóp 95, 40 szeroki, kosztował 16000 dolarów. Obok jest piękny i obszerny dom parafialny; proboszczem jest obecnie ks. Adolf Bakanowski ze Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego. Parafia składa się ze 600 rodzin, których liczba niewątpliwie się rychło powiększy. Bractwo polskie zaprosiło inne bractwa katolickie w mieście do wzięcia udziału w tej uroczystości, co też najchętniej zostało przyjętem od wszystkich. *Deo gratias.*

LIST II.

St. Mary's College, Kentucky.

Zanim się dalej obrócę, spieszę wysłać ten list z opisaniem tego co zaszło w mojej podróży od dwóch miesięcy. Jak w Berlinie kanadyjskim niespodzianie zaskoczyłem ks. Ludwika Funkena, tak w St. Agatha brata jego ks. Eugeniusza; obaj oni są dobrze znani w Ameryce, mianowicie od katolickich Niemców. W Nowym Yorku mieszkałem razem z kapłanem przybywającym z *Far-West*, który mię się pytał, czy znam poetę ks. Eug. Funkena. Pisuje on też artykuły do Tygodników katolickich, w jednym z nich podawał myśl misjonarzy morskich, którzyby kapelanowali na statkach przepływających Atlantyk; zdaje się, że *Lloyd Tryesteński* na dobre o tein myśli. Ks. Ludwik Funken pisuje głównie w duchu naszej reguły o wychowaniu chrześcijańskim. Parafię św. Bonifacego odwiedziłem w sam dzień jubileuszu papieżkiego t. j. 17-go czerwca. Ks. Elena nie otrzymawszy na czas okólnika od ks. biskupa, wezwał był niedzieli poprzedniej parafian na ochotnika na dzień dzisiejszy. Stawiło się tyle i więcej co w dzień świąteczny; musiał spowiadać przez sześć

godzin ciągle. Powiedział mi, że starszyzna dowiedziawszy się o mojemu przybyciu do Kanady, chciała mię uczcić fajerwerkami, ale im odradził, powiadając, że wyraźnie tego nie chce, a potem dodał: moglibyście naszemu przełożonemu oddać podobną usługę, jakąście oddali N. Biskupowi, którego o mało konie nie uniosły, jakeście z nienacka pukać zaczęli. Wysłuchali rady i ograniczyli się na podaniu mi następnego adresu: „Do Przewielebnego Ojca Przełożonego głównego Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego. My niżej podpisani mieszkańcy św. Bonifacego pozdrawiamy serdecznie waszą Przewielebność, i cieszymy się wielce, że go wśród nas widzieć możemy. Węć raz jeszcze wołamy „*Witaj nam!*”¹¹ a zarazem składamy nasze najprzynależniejsze dzięki, że od lat tylu zaopatrujesz nas w gorliwych pasterzy, którzy wpośród nas mieszkają, i z wszelką miłością do dobrego nas prowadzą; a dzieciom naszym przystęp do wyższej nauki przez założoną szkołę otwierają. Prosimy Cię zarazem Przewielebny Ojczy, aby wielebni synowie twoi długo jeszcze wśród nas bawili, teraz szczególnie, gdy gorliwych kapłanów potrzebować będziemy...” Wszak na wieśniaków nie źle? a wiem że sami adres ten ułożyli.

Ostatni frazes wskazuje na przeczucie coraz żywiej kielkujące wśród katolików amerykańskich, że nie zawsze i nie długo już może cieszyć się będą wolnością religijną, i że tu, jak w Europie, towarzystwa tajne zaczną kościół prześladować. Przebija się też w tym adresie obawa, byśmy parafii ich nie opuścili. Gmina ta licząca 300 zamożnych dworów kmiecych głównie Alzacczyków, dokuczała wszystkim poprzednim proboszczom; bo mianowicie dawni wojskowi, ducha opozycji francuskiej, aż tu przenieśli. Ks. Głowalski pierwszy ich przygłaskał; ale widząc, że posłany został do nowego Kollegium w Stanach Zjednoczonych, więc przypuszczają, że może nie będziemy dbali o tę dobrą parafę i całkiem ją opuścimy. Obiecałem im, że przed opuszczeniem Kanady przybędę w dzień niedzielny z nabożeństwem dla udzielenia im papieżkiego błogosławieństwa, i wróciłem do St. Agatha, by tam tego aktu nadchodzącej niedzieli dopełnić. I tu pocziwy lud gorliwie się spowiadał, modlił, i złożył 95 dolarów na św. Piętrzę, wiele to, bo ta parafia mniej liczna, a przed zniwami gospodarze są bez pieniędzy. Po odbyciu pierwszych rekolekcyj z naszymi w języku polskim, udałem się w sobotę

przed pierwszą niedzielą lipca do św. Klemensa nowej parafii, którą misjonarze nasi objęli po pierwszych moich odwiedzinach w Kanadzie. Z tego powodu może, przyjęli mię strzałami tak, że koń dał zrazu szczupaka. I tu było przeszło 200 komunii a nazajutrz już w dzień roboczy jeszcze ze 60. Do konfesyonału przychodzili do mnie niektórzy tak przestraszeni, że aż mi się śmiać chciało: za tak surowych biorą widać księży z Rzymu, a potem lada kto może na tem odłuziu zaimponować.

Tymczasem wyczytałem w dziennikach sprawozdanie z dokonanego poświęcenia kościoła polskiego (św. Stanisława Kostki) przez Imci ks. biskupa Folej w Chicago. Towarzyszyło mu pięciu kapłanów, mszę wykonała muzyka kościoła św. Wacława ze zwykłym Czechom mistrzostwem (mówi dziennik niemiecki), po Mszy śpiewanej nastąpiło bierzmowanie 300 osób, w liczbie ich wielu dojrzałych już mężczyzn i niewiast.

Imponujący pochód do kościoła z pięciu kapłanami i jedenastu *marszałkami* na koniach (albo niosącymi chorągwie, albo jadącymi przy chorągwi, przytroczonej pionowo do siodła luźnego konia) składało ośm bractw w liczbie 2200 mężczyzn: Diektóre z nich miały do 5 mil (angielskich) do przebycia, by się dostać do polskiego kościoła.

Ksiądz Bakanowski podziękował drogą pisemną duchownym i świeckim za ten dowód bratniej miłości okazany przez współudział w uroczystości. W nadesłanem mi sprawozdaniu listownem, ks. Bakanowski pisze, że znalazł Wielebnego Arcypasterza nieomagającym ze zmęczenia, bo musiał wysłuchać dwóch kazań, i sam trzecie powiedział, dodając do tego, trudzącą ceremonię poświęcenia kościoła, summę i bierzmowanie, przy upale w natłoczonym kościele, nie dziw przeto, że dzień taki odchorował; ale bardzo był zadowolony i dziękował ks. Bakanowskiemu, że do tak pięknego porządku Polaków doprowadził, o których był już zwątpił. Własność kościoła i plebanii przysądzono biskupowi, a używanie naszemu Zgromadzeniu, co nie mało kosztowało trudu i kłopotu nowego proboszcza i nawet pewne nieprzyjaźni wywołało. Co robić! nic bez krzyża! A że Chicago z położenia swego może się stać ogniskiem naszych misyj polskich w Ameryce, tem bardziej trudności początkowe dziwić nie powinny.

Ks. Bakanowski odwiedził już pięć stacyj polskich po za miastem do jego parafii należących (niektóre z nich leżą nawet po za obrębem prowincyi i dyecezyi), naturalnie że długo sam jeden pracy takiej podołaćby nie zdołał; da Bóg, rychło się da dostarczyć mu pomocnika.

Ks. rektor małego naszego kollegium w Berlinie zaprosił Imci Ks. Biskupa dyecezalnego, aby raczył zaszczyścić obecnością swoją rozdanie nagród w dniu 6-go lipca, co też łaskawie uczynił. Egzaminowano młodzież ze czterech języków: łacińskiego, angielskiego, francuzkiego i niemieckiego, z historyi św. i powszechnej, z matematyki, chemii itd. Imci ks. Biskup, obecny major miasta (protestant) i rodzice, wyraźnie byh zadowoleni z postępu uczniów. Nasz ks. Wołowski słuchał swych uczniów z historyi, arytmetyki, algebry, w języku angielskim, którego w ciągu trzech lat dosyć się nauczył, że i kazać w tym języku może. Znużeniu słuchaczy zapobiegał wyborny kwintet śpiewaków złożony z młodszych członków Zgromadzenia i byłych naszych uczniów. Uderzyło mnie, że ks. Funken egzaminował jednego protestanta externa, z czasów Grzegorza XII; i że go tenże najmocniej bronił. Pytałem tedy ks. Funkena, dla czego tę kwestyę wybrał? Odpowiedział mi, że go uczeń sam o to prosił, bo w duszy jest już katolikiem nie nacieramy, dodał, o abjuracyą, bo jak owoc dojrzeje, sam opada. Ciągłe się po naszych misyach dzieją nawrócenia. Niedzieli poprzedniej w kościele św. Agaty trzech dorosłych mężczyzn rewokowało. Imci ks. Głowalski, choć czem innem zajęty, już jednego protestanta kościołowi pozyskał. Dwóch czy trzech nauczycieli po naszych parafiach mamy z nawróconych; i zwykle wyższego wykształcenia. Jednym z nich jest p. Neubronn von Isenburg oficer badeński. Dzieci jego dziwne postępy czynią: wobec mnie ośmioletnia dziewczynka dosyć zawiłe zadanie arytmetyczne w kilka minut rozwiązała, a kilku chłopaków w minutę później się sprawiło.

Nastąpiły potem tygodniowe rekolekcyje dla reszty naszych kapłanów, na które przybył i ks. Szymon Wieczorek ze swojego polskiego Paryża w Michigan. Po nich dojechałem z miesięcznem nabożeństwem do jednej z naszych stacyj w nowym Hamburgu, gdzie i kazać po niemiecku, i z konie-

czności słuchać spowiedzi po angielsku musiałem. Tak mi przeszedł miesiąc z górą w Kanadzie.

Na wyjeździe otrzymałem zdanie sprawy o pobycie w Rzymie naszej deputacji do Ojca św. Dziękowałem Bogu za ten wielki akt katolicko-narodowy, i dziękuję uprzejmie jej członkom, którzy raczyli pamiętać o mnie nawet wobec Ojca Św., i wywołali tę niepospolitą dla mnie pociechę, że ten W. Papież pamięta, za czem pojechałem do Ameryki i mówi: „że i tam się dobrze dla waszych robi!” O! gdybyśmy nie byli zmuszeni łamać się z codziennym niedostatkiem, i mieli nieco zasobów, ileżbyśmy mogli więcej tu sprawić dla 100,000 blisko rodaków rozpryszonych po północnej Ameryce. Ks. Gardner wikary generalny w Milwaukee, Niemiec czeski, ukwestował w całych Stanach Zjednoczonych znaczny fundusz na tak zwane *Seminaryum słowiańskie*, które myśli powierzyć jakiemuś Zgromadzeniu czeskiemu, a tymczasem zaopatrzył już kilka miejscowości w czeskich kapłanów krajowych. Namby się taka rzecz pewno nie udała; a dziś już, dobre czasy dla kwest i tu przeszły, bo się one i wiernym sprzykrzyły, i biskupi miejscowi myśląc o potrzebach własnych dyecezyi, na własnym gruncie polować na ochotnika nie pozwalają.

Wracam do mojej podróży. Dnia 18-go lipca opuściłem Kanadę. Niedaleko jeziora Huron spotkałem w wagonie kolei żelaznej rodzinę Indyan, ale już osiadłych w pobliżu. Co też oni myślą sobie, patrząc na nas Europejczyków, którzyśmy ich ojcowiznę najechali; ale kwestya, czy już myślą o tem. O koczujących Indyanach wiemy dobrze, że czują i cierpią nad tem, ale na próżno, skazani są fatalnie na zagładę przez nieubłagane plemię anglo-amerykańskie.

Do Detroit nie wstąpiłem, wiedząc od O. Szymona, że ks. biskup objeżdża swoją dyecezyę. Odłożyłem te odwiedziny za moim da Bóg powrotem, uprzedzając o tem listownie ks. wikarego generalnego. Nowy ten biskup wziął w kupę księży kupców i kilkunastu już zasuspendował. Jeden z nich, wcześnie przybywszy do pustej dość jeszcze prowincyi, założył wielkie rybołówstwo, fabrykę tarcic i t. d., a z konieczności musiał i bank założyć, i obracał własnym kapitałem 300.000 dolarów; zasuspendowany, poddał się; już bank zwinął. Amerykanów to nie gorszy i owszem podziwiają oni zręczność takich dobrodziejów. Ale za to ks. biskup nie daje księdza,

aż gmina zapewni mu 600 dolarów rocznego dochodu, by ksiądz mógł sobie coś na stare lata odłożyć, ile że na mi-
syach zdrowie się rychło zużywa. Założył już też dyecezal-
ną kasę oszczędności.

Grunt tu bardziej płaski niż w Kanadzie, ślady świeżej
kolonizacyi wszędzie, bo pniaki drzew wyciętych nie miały
jeszcze czasu pognić, choć niektóre okolice lepsze wskazują
zagospodarowanie się. Coraz więcej widać na polach kuku-
rudzy, najlepsza wskazówka że się jedzie ku południowi.
Przybyłem do Chicago rano 19; ogromne jezioro Michigań-
skie podmywa szyny kolei żelaznej. Wszakże nie można tu
mówić o kolei żelaznej w liczbie pojedynczej, ale o kolejach
żelaznych rozchodzących się we wszystkich kierunkach. A że
je budowano, gdy miasto było daleko mniejsze, idą one dziś
po środku ludnych ulic, i choć częste bywają przypadki,
niepodobna tego stanu rzeczy zmienić, bo dziś panują na
świecie wielkie towarzystwa przemysłowe, i tłómaczą się tem,
że wynagradzają poranionych i rodziny zabitych; jeden ży-
dek dostał 3000 dolarów za stratę oka i połowy szczęki i
zaraz sobie kupił fermę: nie jeden zazdrości mu pewno
szczęścia. Po ulicach nieustanne dzwonienie przychodzących
i'odchodzących pociągów; w ten sposób tylko przechodzący
są ostrzegani. Ale bydło nie rozumie tego znaku, i nieraz
na zrazy bywa posiekane. Podziwiałem też Opatrzność nad
dziatkami, które się kręcą wciąż wśród tych pociągów, rzad-
ko jednakże bywają pokaleczone lub zabite. Już to Anioło-
wie Stróżowie muszą mieć tu więcej do czynienia! A z ko-
leбки też prawie uczą dziatki amerykańskiego „*help your
self*” (radź sam sobie). Chicago położone pomiędzy krainami
jezior a ogromnem łożyskiem Mississipi, wzrosło w kilku lat
dziesiątkach do 300,000 ludności i przeznaczone jest dalej
jeszcze się rozszerzać; aż zwykłym trybem rzeczy ludzkich
zatrzyma się, a potem zacznie upadać. Czytałem świeżo, że
mieścina jakaś nad Missouri przy *pacific rail road* położona,
obiecuje sobie, że zakasuje wszystkie wielkie obecne miasta
handlowe, i stanie się centralnem ogniskiem handlu.

Na razie pilno mi się było dostać do kościołka pol-
skiego i mszę św. zmówić; kazałem się wieść na koniec *of
the noble Street*, o trzy mile angielskie od *Depot* albo dwor-
ca. Dotychczas ta *Noble Street* deskami drewnianymi zabu-

dowana, ale jest szeroka, drzewami zasadzona, rychło będzie gazem oświetlona, i nazwa prorocza na teraz, rychło się zapewne stwierdzi. Wysiadłem w probostwie świeżem, schludnem *cottage*, ale drzwi były zamknięte, bo ks. Bakanowski był w kościele; a jedyna jego służba, p. organista, przygrywał na organach. Przechodząca Polka widząc mój kłopot, radziła mi, bym zostawił tłumoki na ganku, że tu nikt nie ruszy: „nie głupim moja kobieto (odpowiedziałem) idźcie do kościoła, niech ksiądz proboszcz klucze przyszłe,” i tak się stało. Kościół stoi nad szkołą pomieszczoną na dolnem piętrze i objąć może do 1000 wiernych, to też już obecnie nie wystarcza i trzeba będzie dodać galerye po bokach— kosztował 18.000 dolarów. Za taką sumę można było w tym kraju nawet coś obszerniejszego i okazalszego wybudować, ale wielu było radców, wiele nianiek, więc też dziecko słabowite; główna rzecz wszakże, że już jest. Ludzie chcący Polski bez kościoła, wszystko robili co mogli, aby się parafia polska nie zawiązała i protegowali złych księży, których się mnóstwo po Stanach Zjednoczonych włóczy; upajali ich, a potem pokazywali pocziwym rzemieślnikom i wyrobnikom, mówiąc: „oto wasi księża, za którymi przepadacie.” Ale lud polski jak irlandzki, mają to od Boga, że nawet źli księża nie mogą im odjąć wiary. Ks. Bakanowski musiał jak Izmael walczyć na wszystkie strony, aż zawiązanie parafii przeprowadził.

Byłem u ks. biskupa i znalazłem u niego najuprzejmiejsze przyjęcie. Młody to jeszcze, piękny i dobrze ułożony prałat, dał mi wszelką władzę w dyecezyi, i prosił, bym jak najwięcej dobrego dla niej czynił. Przystał na sprowadzenie z czasem sióstr jakich polskich dla uczenia dziewcząt itd. Obecnie luźna intelligencja szuka zbliżenia do Kościoła; odwiedziło mię nawet kilku z nich, oby to wszystko było szczerze, równie jak zamiar zbudowania drugiego kościoła, na drugim końcu miasta, bo jest już do kilku tysięcy ludzi polskiej mowy.

Odwiedziłem następnie p. Doktora Piszczaka (rodem z Galicyi) i jego rodzinę, dających wciąż najżywsze dowody życzliwości dla kościoła polskiego i jego proboszcza. Odwiedził mnie następnie naczelnik kościelnych (*trustees*) p. Sma-

rzewski rodem z Warszawy, który się tu Shermanem nazwał, by go Amerykanie wymówić mogli.

Odwiedził mię też pocziwy **P.** Kiołbasa, założyciel i były naczelnik towarzystwa św. Stanisława Kostki. Mając on matkę i całą rodzinę w Texas (w San Antonio) przeniósł się tam był, i bawił czas niejaki (w Panna Marya) jako nauczyciel szkółki parafialnej i organista; ale znowuż dla tęsknoty żony swojej za rodzicami, musiał wrócić do Chicago. Za jego staraniem parafia z pomocą muzyki czeskiej dała mi serenadę wieczorną, a w niedzielę podczas sumy śpiewacy i śpiewaczki tegoż narodu uświetnili nabożeństwo.

Wstępując na ambonę, gdym spojrzał na wiarę polską natłoczoną w kościele w tak dalekiej obczyźnie, zbierało mi się na płacz; i już niewiasty brały się do chustek. Więc przeszedłem wraz do objaśnienia ewangelii niedzielnej o przebiegłym włodarzu, a szczególnież onych słów, że „synowie tego świata przebieglejsi są w rodzaju swoim od synów światłości.” Dodałem wszakże, iż niekiedy i synowie światłości dobrze sobie radzą. Uczynili tak Polacy w Chicago budując kościół i szkołę polską i ukazując nagle zdumionym krajowcom i Europejczykom innych narodowości, miasto rozszytych indywiduów, organiczną korporację. Wskazali też drogę tym, którzy się jeszcze luźnie trzymają a którzy powinni by pamiętać, iż jakkolwiek w tym kraju jest wiele różnych wyznań i kościołów, kto jednak do żadnego nie należy, jest pogardzony jako *infidel* niewierny albo poganin.

Drugim dowodem i na większą skalę jeszcze, że synowie światłości umieją niekiedy sobie dobrze radzić, była deputacya z Poznańskiego i Galicyi do Ojca św. z powodu Jego jubileuszu, i tu odczytałem szczegółowe sprawozdanie. Fakt, że Unici galicyjscy podpisywali się krwią własną, głębokie sprawił wrażenie. Wyciągnąłem ztąd naukę, że jak burze i namiętności ludzkie dzielą, tak wspólna wiara jednoczy, że Rusini, którzy już byli poszli z Polakami na ostre noże, wraz z nimi podpisują adres do Ojca św. i to jeszcze jakim inkaustem! Na zakończenie dałem błogosławieństwo Ojca św. wraz z odpustem. Sądzę, że dzień ten sprawił miłe i głębokie wrażenie w naszych chikagańskich rodakach.

O dwóch jeszcze ciekawościach miejscowych muszę wspomnieć. Pierwsza z nich, że dwóch młodych książąt pol-

skich założyło tu bank i dobrze sobie radzi; dowód, że Polak do wszystkiego sposobny, byle cbciał fałdów przysiedzieć, i nie wydawał nad możność. Miałem do tych panów (bo tu tytułu swego nie używają) list i pewne zlecenie; ugościli mię najuprzejmiej w domu swoim, a nadto obwieźli po mieście całem; i pod dwoma tunelami zbudowanymi pod rzeką. Nareszcie pokazali sławne *Water Works*. Chicago zbudowane na błotnej równinie nie miało dobrej wody do picia. Miasto zbudowało kanał dwumilowy pod jeziorem, ztamtąd sprowadza wodę do wieży zbudowanej w mieście, i za pomocą trzech olbrzymich machin rozsyła ją po wszystkich domach. Nadto, by się pozbyć źle woniejących brudów, Chicago kosztem trzech i pół milionów dolarów zbudowało kanał kilkunastomilowy do najbliższej rzeczki wpadającej przez Ohio do Mississipi. Gdy po raz pierwszy kloaki Chicago przelały się do tej rzeki, wszystkie tam ryby pozdychały. Zdawałoby się, że ludność nadrzeczna zbuntuje się, i odeszle *retro* takie prezenta. Gdzietam! doskonały to dla nich interes (*business*). Chicago połączone za pomocą jezior z zatoką S. Laurent na północ; za pomocą tego kanału ma otwartą żeglugę aż do Nowego Orleanu i Golfu meksykańskiego na południe; potem świeże i częściowe transporta nie będą tak zabójcze, a potężne nurty Mississipi wszystko strawią; a więc naprzód—*go a head!* Pokazywał mi jeszcze mój książęcy przewodnik dom żyjącego dotychczas w New - Yorku, założyciela miasta Chicago pana Ogdyeu (jeżeli mię pamięć nie myli) na tem samem miejscu zbudowany, gdzie królik indyjski miał swój hamak; tak tu rzeczy prędko po sobie następują. Czy rasa anglo-amerykańska, która wyniszczyła Indyan i sama rychło nie zagięnie w masie świeżo napływających Europejczyków, mianowicie płodnych Irlandczyków i Niemców? *That is the question*. Oni sami przeczuwają, że tak będzie i nie mogą ukryć swej niechęci do europejskich żebraków, *German and Irish beggars*.

Odbywszy się tak z Chicago, ruszyłem 25 lipca przez Indyanapolis do Luis-Ville; 300 tylko mil angielskich (dzień podróży expresse) dzieli te dwa miasta, a jakaż różnica w klimacie! Aż do Chicago i w jego okolicach czuć wiatry zimne od północy, i wilgoć od olbrzymich jezior; więc choć w dzień słońce pali, wieczory, noce chłodne, i massa powietrza nigdy

nie jest całkiem ogrzaną. W Louis-Ville przeciwnie, znalazłem się jak w Rzymie i to w czasie kanikularnym. Zajechałem do domu uprzejmego ks. Biskupa, który nie chcąc nawet spojrzeć na moje papiery, dał mi wszelkie *facultates* w swej dyecezyi. Ale z atmosferą trudniej szło niż z ludźmi. Jakkolwiek miałem okienko otwarte u kurytarz i schody, dusiłem się jednak od gorąca w nocy. Nazajutrz ubytek sił, niesmak, nieswojość, i zacząłem wątpić, bym w tej porze mógł dojechać do Texas. Wyszedłem na miasto; trzecią część z okładem ludności stanowią murzyni. Rozmówiwszy się z ks. Boucher (rodowitym Francuzem) wikarym generalnym, co do naszego nowego kolegium i otrzymawszy od niego potrzebne objaśnienia, wyjechałem dla obejrzenia murów i miejscowości kolegium.

Leży ono 60 mil na południe Louis-Yille, ale w okolicy pagórkowatej. Uderzyło mię, że w wagonach zakonnice podróżowały w habitach zakonnych, i nikt temu się nie dziwił. Wiedziałem, że w okolicach są Trapiści i dwa liczne pensjonaty żeńskie trzymane przez nasze zakonnice, dowód, że ludność katolicka musi tu być dość silna. Dowiedziałem się od p. Mat^{ingly} sąsiada w St. Mary's (który mię wraz z ojcem Głowalskim i ks. Yermont proboszczem miejscowym przyjął na stacy i powóz swój stale na usługi ofiarował) dowiedziałem się, mówię z przyjemnością, że okolica cała na 6 — 7 mil w około St. Mary's jest czysto katolicką, tak, że jeden tylko właściciel protestant znajduje się w pobliżu, a i ten dwóch chłopców swoich chce nam oddać do kolegium. Pan Mattiugly (wysoki, suchy mężczyzna, jak w ogóle ludność tutejsza) wytłumaczył mi ten fenomen tem, że okolica została kolonizowaną temu lat kilkadziesiąt przez wychodźców katolickich z Marylandu. Pojmuję teraz dlaczego tak inne klasztory w okolicy, jak kolegium katolickie zostało założone w St. Mary's. Założone zaś zostało r. 1821. Ks. Flaget, Francuz rodem, był pierwszym biskupem tej Dyecezyi. Z portretu jego widać, że to był poważny i energiczny człowiek. (Drugim biskupem był uczeń tego kolegium, a od roku 1864 arcybiskup baltimorski John Spalding). Następnie (1832 r.) objęli ten zakład OO. Jezuici, i byli tu do roku 1854. Były to świetne czasy tego zakładu, który liczył 200 internów. Wszakże gdy biskup nie chciał im oddać budyn-

ków i gruntów na własność, wynieśli się do N. Yorku, i tam na przedmieściu Fordham świetne kolegium otworzyli. Po nich nastał Imci ks. Lavialle, Francuz też rodem, ale gdy został biskupem w Louisville, zakład ten zaczął upadać, tak w skutek wojny domowej, i niewypłacania się podupadłych rodzin, jak z braku dobrej administracji. Wszakże w ostatnim roku swego istnienia (1867) liczył jeszcze 125 internów (*boarders*). Kolegium leży o pół mili od stacji kolei żelaznej, tejże nazwy, do której przytykają grunta kolegium. Okrom mnóstwa zabudowań gospodarskich, gmachy kolegialne składają się z dwóch pawilonów murowanych, każdy na cztery piętra o siedmiu oknach od frontu; pawilony nie są połączone ze sobą. Do jednego z tych pawilonów przybudowana oficyna o trzech piętrach z pokojami dla profesorów i gości, z dwiema kaplicami i refektarzem osobnym.

Pawilon środkowy jest już zaczęty i od pierwszego piętra z ciosowego kamienia wyprowadzony, spory zapas cegły pozostał jeszcze, mnóstwo przygotowanego materiału do tej budowy sąsiedzi rozdrapali. Widać, że od przejścia ks. Lavialle na biskupstwo nic już w budynki nie włożono, bo zapuszczenie było większe niż je można było przypuścić po dwuletniem nieużyciu. W spiżarni stał kwaterą wąż ale nieszkodliwy, (są w tej prowincyi grzechotniki), dalej winnych pokojach mieszkały jaszczurki; lisy, zające biegały bezpiecznie po ogrodzie; wszystko się to już powynosiło przed człowiekiem panem swoim, tylko *moqing bird* (oiseau moqueur przedrzeźnia wszystkich, nawet koniki polne skrzeczące chórem.

Od dwóch miesięcy wiele już ks. Głowalski naprawił i oczyścił, a za miesiąc da Bóg, reszty się dokona, co niezbędne na razie, bo zresztą i w ciągu zimy można tu budować. Ludność okoliczna interesowana, by miała gdzie tanim kosztem synów swoich wychowywać, pokazuje się bardzo chętną i chojną. Ks. Głowalski upoważniony przez ks. biskupa do kwestowania po całej dyecezyi, w kilku wycieczkach otrzymał około 2 tysiące dolarów w gotowiźnie i bydło, głównem bogactwie tego kraju. Jak skoro będzie się mógł lepiej zastąpić w domu, puści się na dalszą objażdżkę kwestarską, pomimo upału, który go raz już był na łożo rzucił. Zdaje się, że będziemy mieli najliczniejszą klasę początkową

i to konną, wszyscy tu prawie konno jeżdżą, mężczyźni i kobiety. Syn każdego fermiera (a posiadają tu oni do 1000 morgów gruntu) ma swego konia, i będą przybywali i wracali do domu konno. Tacy externi płacą tu rocznie po 40 dolarów, a prócz nauki nic się im nie daje. Wszakże i piesi uczniowie t. j. interni zgłaszają się z Louisville, Cincinnati a nawet z Arcansas. Właściwe to Ameryce, że w katalogu każdego zakładu naukowego znajdziesz tu nazwiska uczniów lub uczennic ze wszystkich prawie części Stanów Zjednoczonych, dowód, jak tu wiadomości o wszystkim przez dzienniki się rozchodzą, i jak ludność łatwo się z miejsca na miejsce przenosi. Jestem pewny, że ci, którzy się w tem kolegium uczyli, gdziekolwiek są, tu raczej chłopców swoich przyszlą; nadchodzące listy sprawdzają ten mój domysł i dowodzą wielkiej miłości uczniów do tego zakładu. Przychodzą i okoliczni oglądać gmachy i cieszą się serdecznie, że lepsze będą porządki niż za dawnych czasów. Ile, że my tylko 200 dolarów rocznie (od internów) wymagamy, a wspomniany sąsiad p. Mattiugly za dwóch synów swoich starszych do 1000 dolarów wydawał w St. Louis, chce nam teraz oddać pięciu młodszych swoich synów na półpensjonarzy. Dał już 500 dolarów na restaurację domu, i jak skoro przybyłem, zaprosił mię do siebie na ucztę, i całe sąsiedztwo sprosił. Uderzyło mię, że kobiety są dobrze ułożone, proste, skromne, przyzwoite, owoc wychowania po sąsiednich klasztorach katolickich. Obiad tutejszy domowy składa się z wieprzowiny i gotowanej kukurudzy i kartofli, ale dla nas była nadto i baranina i kurczęta itd. Ale to wszystko raz po raz podawane (przez córkę gospodarza domu i jedną sąsiadkę usługującą do stołu) trzeba było brać na ten sam talerz wszystko razem, jeden tylko ks. proboszcz Belgijczyk rodem brał potrawy z kolei, jednak na ten sam talerz. Gospodarz domu przy pierwszym stole nie jadł, siedział tylko dla zabawienia gości, należy to do etykiety. Dziwnie się tu zresztą krótko przy stole siedzi, popija się zwykle wodą albo mlekiem z lodem, dla nas było wszakże piwo i wino, ale miejscowi napojów tych prawie nie używają. Próbowałem już tej metody w domu, ale pierwsza próba się nie udała, do wszystkiego się wszakże włożyć można, tylko że prze-

skok od *Layer - Bier* kanadyjskiego, do mleka z lodem był za nagły.

Muszę przytoczyć jako dowód świeżo zniesionego niewolnictwa, że czarna służąca przez cały czas objadu, odpędzała muchy jakąś długą wiechą. Chciał nam tę samą usługę oddawać murzyn przyjęty na służącego; aleśmy go uwolnili od trudu, zapewniając, że i muchy dla nas grzeczne i my się ich nie boimy. Łagodna, potulna dusza, służył on już u księży, i w wolnych chwilach z pewną ostentacją śpiewa psalmy po łacinie.

Odwiedziłem też naszego proboszcza, który sprowadził tu sobie starą matkę i dwie siostry, żyje w rodzinie, gospodaruje razem z niemi, znalazłem go obcinającego za bujny płot żywy.

Trzeciego sierpnia. O naszych podróżnych z Rzymu jeszcze nie słyhać. Dodam więc tymczasem kilka uwag o duchu politycznym w tym kraju. Czytaliście w dziennikach o ostrej represyi wywieranej przez wojska i policję, w New-York na Fenianów irlandzkich, którzy nie chcieli dozwolić, aby Oranżyści paradowali po ulicach miasta. Podług prawodawstwa tutejszego nie mieli i cienia słuszności. Naprawdę wołają, że Oranżyści przysięgają na wierność panującym w Anglii, byle byli protestantami; bo to rzecz władzy miejscowej: niechby im tego przed trybunałami i opinią publiczną dowiedli, równie jak że nie mają racji egzystencji w tym kraju; co święta prawda. Ale na ten fenomen zwracam waszą uwagę. Jakkolwiek z polecenia ks. Arcybiskupa N. Yorku wszyscy proboszczowie polecieli najmocniej katolikom, aby się do tej burdy nie mieszała, co też i uczynili, jakkolwiek Fenianie są w buncie przeciw kościołowi, i w manifestach swoim wyraźnie oświadczyli, że katolicyzm tu nie ma nic do czynienia, bo między nimi jest pełno protestantów; jedno tylko, że oni jako Irlandczycy nie mogą ścierpieć, aby tu nawet na wolnej ziemi nieprzyjaciele ich obchodzili rocznicę bitwy pod Boyne, rocznicę ujarzmienia ich ojczyzny; jakkolwiek policymeny po większej części złożeni z Irlandczyków, z wyjątkiem jednego czy dwóch, posłuchali komendy, i na własnych rodaków strzelali; pomimo tego wszystkiego, mówię, dzienniki protestanckie i ministrowie po swoich pagodach jednym głosem uderzyli na katoli-

ków jako winnych. — Czego to dowodzi? że dane zostało hasło przez lożę główną, aby wypadek ten zużytkować, dla przygotowania umysłów do prześladowania katolików. Tak zupełnie jak sekciarze niemieccy i francuzcy, wmówili landwerzystom i mobilom, że wojnę wywołali księża i katolicy. Jak tu walczyć na broń równą z taką olbrzymią machiną do wszelkiego kłamstwa i wszelkiej nieprawości? Potęgi ich organizacyi dowodzi fakt świeży. Jakiś jegomość dla pomśczenia się nad swoim sąsiadem, wykradł mu kilkunastoletnią córkę i uwiózł daleko. Po daremnych poszukiwaniach, drogą władz sądowych i policyjnych, adwokat poradził nieszczęśliwemu ojcu udać się do massonów, i córeczka wnet wytropioną została. A jest tu 500,000 wolnych murarzy (ojców rodzin, naczelników wielkich fabryk, ministrów itd.) 300,000 Oldfellow's okrom innych stu pomniejszych towarzystw. Można śmiało powiedzieć, że co tylko nie należy sercem całem do kościoła katolickiego, wpisane jest w tym kraju do jakiegoś towarzystwa tajnego, mówię mianowicie o ludności męskiej (byle nie żebraczej), choć są loże i dla kobiet. I dla tego, siłą rzeczy, tleje wciąż walka ukryta między temi dwiema organizacyami; kościołem katolickim z jednej, towarzystwami tajnymi z drugiej strony; a musi przyjść do walki otwartej. Dwa te obozy zarysowały się dokładnie z powodu dogmatu o nieomyślności papieżkiej. Nadto Towarzystwo tak zwanych *Know-nothings*, które przed laty kilkunastu zaczęło było otwartą wojnę z duchowieństwem naszym i kościołami katolickimi, i nagle było przycichło, i jakoby się rozwiązało (snać zmiarkowawszy, że opinia publiczna jeszcze nie dość była przygotowana t. j. skrzywiona); nagle się objawiło napowrót, i w Baltimore wydało manifest, wzywając, aby katolika żadnego do urzędu nie przypuścić, i owszem wszędzie katolikom przeszkadzać.

Wybory tegoroczne odsłaniają żywioły domowej koalicji pomiędzy ludnością niemiecką a angielsko-amerykańską. Do ostatnich tryumfów niemieckich w Europie, nie było gorętszych republikańców i zwolenników tutejszych instytucyj od Niemców. (Wychodźcy ich z 1848 roku wydawali prawie wszystkie, dzienniki niemieckie). Widzieliśmy też, jak się zjadle bili przeciw secesyonistom. Obecnie nagle się wszystko zmieniło. Powstali *America's miide* Niemcy, którzy się tu ma-

jątku dorobili, i w książkach, dziennikach, publicznych *lectures* dowodzą, że w Ameryce wszystko złe, że i tu *Fleiss* niemiecki musi zwyciężyć. Między sobą mówią poufnie, że powinny być podwójne Stany Zjednoczone, angielskie i niemieckie, niektórym do szczęścia brakuje króla niemieckiego. Wyraźnie ta sama intelligencja, która zużytkowała tak doskonale Niemców pracujących we Francji, organizuje teraz nie krocie ale miliony Niemców osiadłych w Ameryce, na korzyść własnej polityki, ale gra niebezpieczna. Niechno tylko *Yankees* przekonają się, że idzie na seryo o podział ich kraju; nastąpi wojna exterminacyjna przeciw Niemcom, do której użyją Irlandczyków, Murzynów i Indyan samych. Pierwsze starcie odbędzie się przy obecnych wyborach. — Agenci niemieccy od miesiąca upominają się, dla czego w Stanach i miejscowościach, w których ludność niemiecka przeważa, tak mało dotychczas było urzędników Niemców, i napędzają swoich leniwców do ostrej walki przy urnach wyborczych. Z drugiej strony ludność angielskiego języka dała sobie słowo, by Niemców do urzędów nie dopuścić. Zobaczmy, -jaki będzie rezultat wyborów, i jakie ztąd następstwa.

Trzecim żywiołem do wojny domowej z czasem jest walka wciąż trwająca pomiędzy tutejszemi demokratami czyli konserwatorami, a republikanami czyli radykalistami. Pierwsze stronnictwo składa się głównie z dawno osiadłych i zamożnych krajowców, tworzących rodzaj patrycyatu. Drugie opiera się na rewolucyjnych żywiołach, przybywających z Europy (do miast głównie) i na murzynach. To ostatnie stronnictwo dążące do centralizacji rewolucyjnej, na wzór panującej dziś w Europie, użyło pozorów filantropii, aby zgnieść Stany Południowe i rządzić tam rewolucyjnie; użyje następnie innych pozorów grożącego niebezpieczeństwa ze strony katolicyzmu czy Niemców, aby takie samo gospodarstwo w innych Stanach zaprowadzić, i dojść do zniszczenia *self-government* pojedynczych Stanów. Widzicie więc, że nie wszystko złoto co się zewnątrz świeci, i że to Eldorado liberalne mieści w sobie zarody walk strasznych i rozkładu.

Dwunastego sierpnia. Przybyli nareszcie nasi od św. Klaudyusza nauczyciele i dozorczy do kolegium. Odwiedziłem

tymczasem w okolicy Trapistów w Gethsemani, i najliczniejszy może zakład żeński (pensjonat) bo 350 panien wychowujący. Ale to odkładam do przyszłego listu.

LIST III.

St. Mary's College, Kentucky, 15 września 1871.

Kiedym pisał list poprzedni, zamierzałem sobie dotrzeć aż do Texas; telegrafowałem do naszych Misjonarzy, że ruszę ztąd pierwszych dni września po otwarciu kollegium i zwolnieniu nieco upałów. Tymczasem ks. Barzyński przed otrzymaniem telegramu puścił się w drogę pod koniec lipca, i przybył tu wielce utrudzony po dziesięciodniowej podróży. Wyraźnie Bóg tak rozporządził rzeczy, gdyż nie wiem, czybym trud taki wytrzymał. Przez pięć miesięcy kropla deszczu nie spadła w Texas, i wszelki zasiew spalony na polach, źródła powysychały, bydło powyzydchało w wielu miejscach z braku wody i paszy, zarażając powietrze zgnięmi wyziewami. Po wsiach trzebaby było poprzestać na kawałku starej słoniny; nie sądzę, bym to wszystko był przetrzymał. Ksiądz Barzyński zatem trudem swoim zachował mi życie, ale niestety przyspieszył rozwinięcie choroby piersiowej, którą brał, jak to zwykle suchotnikom, za katar zadawniony. Na początku tego lata towarzysząc księdzu biskupowi, zwiedzającemu polskie parafie, objechał pięćset mil na wozach wolar-skich a 100 mil na koniu; i ta przejażdżka pod skwarem zwrotnikowym (prawie), śród tumanów piasku (bardzo często), pewnie mu nie pomogła. Rozmówiwszy się z nim o stanie i potrzebach misyi, gdy ks. Bakanowski przywołany z Chicago przybył, zacząłem z obydwoima tygodniowe rekolekcyje. Obaj korzystali z nich sumiennie, a ksiądz Barzyński z tem uroczystem uczuciem, że to prawdopodobnie ostatnie; i wdzięczny był Bogu, że je mógł odbyć pod przewodnictwem swego przełożonego. A że, nie uważając już na panującą w Golfie meksykańskim żółtą febrę i jakąś zarazę, nie czuł się na siłach do odbycia zwrotnej podróży, przyjął zaprosiny księdza Bakanowskiego i udał się na leki i wypoczynek do „zimnego

(względnie do Kentucky) ale gościnnego Chicago," jak się w swoim liście wyraził. Dzięki Bogu, i trafnemu leczeniu p. doktora Piszczaka w Chicago, znacznie ma się lepiej.

Przechodzę teraz do opisanie moich wycieczek w okolicach, o których wspomniałem pod koniec ostatniego mego listu. Naprzód zwiedziłem opactwo Trapistów w Gethsemani, 0 kilkanaście md angielskich ztąd położone. Jest-to kolonia opactwa francuzkiego z Meilleray w Bretanii, równie jak dwa inne w Nowej Szkocyi iw Wisconsin jeżeli mnie pamięć nie myli. Zakonnicy w liczbie 60 są albo Francuzi albo Irlandczycy, ani jeden rodowity Amerykanin nie wstąpił do Trapy. Powiadają oni, gdyby dawano mięso i można mieć czasem konia do odwiedzenia krewnych i przyjaciół, to możeby się i namyślili. W Ameryce atmosfera ogólna protestancka, która i katolików obwiewa, mało tu kto rozumie i ceni umartwienie. Nie dziwo zresztą: pomoc kapłańską w dozach tylko homeopatycznych dostają. Dwie parafie pobliskie przez całe lato obsługiwał ks. Głowalski, a trzecia sąsiednia opuszczona. A wiele jest dusz pięknych, dobrć woli do przyjęcia uprawy staranniejszej.

Jakkolwiek Trapiści cudów okazali pracą swoją na krzemienistym i piaszczystym gruncie, mało to jest jednak ocenione niestety! znaczna część duchowieństwa jest im przeciwną. Utrzymują ci mnisi i szkołę dla okolicznej młodzieży; ale i to nie rozbraja wszystkich; cenią tu nadewszystko pracę czynną misyonarską. I dla tego nas duchowieństwo chętnie wita i ze względu na kollegium, i w nadziei że mogą u nas znaleźć pomoc. W rzeczy samej, podczas rekolekcyj duchowieństwa (dyecezalnego), ksiądz Fennesy pracował przy katedrze w Louisville, jam zastąpił proboszcza naszego w niedzielę, a ksiądz Wołowski dał rekolekcyę zakonnikom obok Gethsemani i przygotował rój dziewcząt do pierwszej komunii.

I klimat tutejszy uciążliwy dla Trapistów, chodzą jak cienie. Śpiew w chórze nie tak jak we Francyi, pełny i grzmiący, mianowicie sławne *Salve Regina*, jeden tylko głos silny słyszałem, ale i ten już w połowie zużyty. Do tego mróz wiosenny zwarzył kwiaty drzew owocowych tak, że nawet jabłeczniku tego roku mieć nie będą. Na dobitkę, rychło po moim wyjeździe, pożar strawił im młyn kosztujący 14,000 dolarów, niezaasckurowany, a z mm jedyne może źródło do-

chodu. Krzątają się teraz za kwestą, by tę klęskę powetować. Sąsiednia ludność jest im jednak przychylna. Musiała ona przychodzić z hojną pomocą, gdyż ci Ojcowie wybudowali wielki klasztor na 200 zakonników z pięknym kościołkiem dla wiernego ludu, z własną fabryką gazu itd. co wszystko pewnie grubo kosztowało. Być może, że to właśnie zazdrość obudzą. Dla mnie widok Trapy zawsze budujący i miłe obudzający wspomnienia. Odjechałem wdzięczny O. Opatowi za gościnność, z ochotą wrócenia po raz drugi, jeżeli mi czas pozwoli.

Drugi wielce zajmujący zakład religijny w diecezyi, jest wspomniony już przezemuie klasztor żeński w Nazareth (o 30 mil od nas), z pensjonatem na 300 — 400 uczennic. Pocieszającą rzeczą jest, że choć to w Stanach Zjednoczonych, gdzie wszystko jak na drożdżach rośnie, zakład ten zaczął się na najskromniejsze rozmiary, i rozwijał się powoli.

Roku 1812 kilka pobożnych niewiast zaczęło życie wspólne w domku z krąglaków zbudowanym (blockhouse), podług reguły Sióstr św. Wincentego a Paulo, i uczyło panienki właścicieli okolicznych. Nie wiem już jaką drogą opatrzną się stało, że kilka panienek zamożniejszych przybyło z Louisiany, które przywiozły ze sobą 500 od razu doi. gotówki. Nigdy pocziwe Siostry nie widziały tyle gotówki razem, uradziły zatem, że trzeba ten skarb odłożyć na zbudowanie kaplicy (trwa po dziś dzień ta kapliczka murowana, ale na inne cele użyta, bo stanęła nowa na większe rozmiary.) Panienki z Louisiany zbudowane takim postępkem Sióstr, opisały go rodzicom swoim, i coraz więcej zaczęło przybywać pensjonarek z południa.

Południe biedniejsze w zakłady naukowe, podtrzymuje wiele zakładów męzkich i żeńskich w środkowych Stanach, i rodzice radzi też wychowywać dzieci w mniej gorącym, (względnie), klimacie. Z przybywaniem uczennic rozciągały się mury pensjonatu po prawicy i po lewicy, i doszły dzisiejszych poważnych rozmiarów. W roku zeszłym Siostry wybudowały osobny gmach do rozdawania nagród (exhibition hall), który kosztował 30,000 dolarów. Dolne piętro stanowi jedną ogromną salę rekreacyjną w czasie zimna lub słoty, a górna sala, opatrzona teatrzykiem w głębi, podnosząca się ku drzwiom, tak jest dobrze akustycznie urządzona, że obecni

wszystko widzą i słyszą co się w głębi dzieje. Dormitarze i wszystkie porządki gospodarskie jak najlepiej utrzymane. Dzięki Bogu, żem zwiedzał klasztor podczas wakacyi, gdy nie wielka liczba tylko pozostałych panienek brząkało na kilku fortepianach: w czasie roku szkolnego kilkadziesiąt instrumentów w kilkudziesięciu osobnych pokojach jest w, ciągłej robocie. Co to być musi za kakofonia! Liczba Sióstr wszystkich po różnych zakładach i parafiach dochodzi już liczby 300. W domu głównym, licząc nowieyuszki, jest ich sto. Z tych tylko 10 jest mistrzyń i 10 dozorczyń w takim olbrzymim zakładzie. Nauki nie muszą stać wysoko, dozór panien łatwiejszy niż chłopców, ale w porównaniu do Europy jakież to mały *personel* uczący! Siostry tutejsze noszą kornet, choć już zmniejszony i spłaszczony, rodzaj czepca używanego przez stare niewiasty. Ten czepiec zachował siostry w czasie wojny domowej od nieprzyjemności, a może i ciężkiej zniewagi. Nowieyuszki klasztorne siedziały w sali grzbietem obrócone do okna zajęte szyciem. Jeden z żołnierzy włóczących się po dziedzińcu, zajrzał przez okno i powiedział do drugich: „nie ma tu co robić, to same staruszki, wynośmy się.” Po-, mimo że Nazareth zostało pensjonatem modnym, Siostry zachowały wiele prostoty. Przełożona, czwarta już z rzędu, przybyła wraz z asystentkami najprzód z powitaniem, a potem pożegnaniem, i za każdym razem prosiła na kolanach o kapłańskie błogosławieństwo. Wizerunki jej poprzedniczek mają wyraz rozumu, prostoty i energii. Siostry te pokazują się wielce przychylni naszemu kolegium, a mogą nam wielu uczniów, z pobożniejszych rodzin przyczynić przez korespondeneyę z rodzinami panienek.

Muszę wspomnieć jeszcze o jednej wydatnej osobistości w tym zakładzie, tj. o jego dyrektorze, ks. Chambisy. Sędziwy ten kapłan rodem z Auvergne we Francyi, od lat 40 już pracuje w tej dyecezyi. Pierwszego roku objęcia kolegium przez OO. Jezuitów, ks. Chambisy, umiejący już po angielsku, był profesorem w kolegium (St. Mary's); jest to jeden punkt zetknięcia więcej z tym poważnym, gościnnym i otwartym kapłanem.

Nazareth leży o parę mil angielskich od Bartstown, pierwszej siedziby biskupów w Kentucky. Było to naówczas dość przyzwoite miasteczko, kiedy Louisville składało się

z kilku *farm* blisko siebie leżących. Bartatown skarłało, Louisville zolbrzymiało od tego czasu.

Ks. biskup obecny przeniósł do gmachów pojezuickiego kolegium swoje małe seminaryum, ale że było puste podczas wakacyi, nie widzieliśmy go nawet. W tymże gmachu odbyły się ćwiczenia duchowne dla księży po siedmioletniej przerwie.

Wracając do domu, mieliśmy podróż nieco dramatyczną. Chcieliśmy zajechać na obiad do Dominikanów, mających tu swój alumnat, a potem odwiedzić Dominikanki, trzymające także mały pensjonat. Tymczasem po dwu miesięcznej suszy lunął deszcz ulewny, i suche łożyska małych rzeczulek (*creeks*) w kraju tym górzystym nagle się wypełniły. Koń nasz, powolny zresztą, spotykając niespodzianą głębinię i widząc pływające drzewa, nie chciał iść naprzód, a cofając się, nie miał siły wypchnięcia koczka na brzeg. Skoczyłem zatem w wodę, ulżywając ciężaru powozowi, a dodając całą siłę moją do wycofania się na ląd stały. Nie dość na tem, żeśmy zostali bez obiadu; zdążając ku domowi, spotkaliśmy głęboki rów w świeżo nasypanej żwirowce, pędem wezbranego strumienia wyżłobiony: trzeba było znowu odprządz konia, i przenieść koczek na drugą stronę. O parę mil od domu, poczciwy sąsiad ostrzegł nas, że szosa przed nami zepsuta; ledwie że po ciemku, przez *farmy* sąsiednie dostaliśmy się do domu, i o ósmej wieczorem zasiedliśmy do stołu.

Okrom tych wycieczek na zewnątrz, odbyłem małą wyprawę wewnątrz naszego terytorium. Założycielem naszego kolegium był kapłan irlandzki, William Byrne, jego to grobowiec skromny odwiedziłem na smętarszu kolegijskim. Zaczął on w domu jakimkolwiek i był sam jedynym profesorem, posługując się starszymi i zdolniejszymi studentami do uczenia młodszych; jednym z takich pomocnikiem, był dzisiejszy metropolita Kościoła katolickiego w Stanach, arcybiskup baltimorski, Spalding, należący do licznie rozgałęzionej tu rodziny; także mając zaszczyt znania osobiście tego wielce sławnego praelata, widząc jego przywiązanie do kolegium Panny Maryi, napisałem doń przed odjazdem, polecając nowo otwarty zakład modłom i błogosławieństwu. Ksiądz Byrne uczył się sam po grecku i powtarzał potem uczniom, czego się mniej więcej dokładnie nauczył. Co więcej, był on sam służącym swoich uczniów, zimą zrana sam im w piecach palił. Pła-

cono go byłem i zbożem: wypasał 011 bydło na darowanych obszarach, a potem sprzedawał je wraz z innymi płodami na większych targach. W końcu nabył opuszczoną gorzelnię i tę przerobił na użytek szkolny: tak powstało kolegium P. Maryi. Pokój temu mężowi wielkiego poświęcenia! Nie wątpię, że się modli za nami. Grób jego, jak groby niektórych uczniów tu pochowanych, zarosły wybujałym zielskiem; ale wkrótce smętarz będzie oczyszczony i w dzień zaduszny procesjonalnie odwiedzany.

Dowiedziałem się też od dawnych uczniów zakładu, że centrum gmachu zgorzało za czasów 00. Jezuitów i zostały tylko dwa skrzydła. Ostatnia administracja przygotowała materiały do odbudowania, i założyła podwaliny na gmach środkowy; ale dokonać nie mogła: zobaczmy, czy nam Bóg pozwoli myśl tę z czasem wykonać.

Tymczasem dwa skrzydła pozostałe, dzięki wapnu i werniksowi, zaczęły przybierać nowy pozór; zwiedzający sąsiedzi nie mogli się nadziwić i nacieszyć z tej zmiany. Jako dowód spustoszenia, dosyć powiedzieć, że brakowało 200 szyb w oknach.

Zbliżał się 4 września, dzień otwarcia szkół, a wszystkiego mieliśmy dwanaście zgłoszeń się' (*applications*). Z tych kilku tylko na czas przybyło, i z dziesiątek niespodziewanych, bo tu się uczniowie złączą przez miesiąc cały, a nawet po wielkiejnocy jeszcze przybywają. W obec tych kilkunastu uczniów i ich rodzin lub sąsiedztwa, odbyło się otwarcie roku szkolnego, poprzedzone mszą świętą i śpiewami wybornie wykonanymi przez kilku młodszych członków Zgromadzenia.

Następnie w sali głównej, O. Fennessy, jako Anglik rodowity i dyrektor nauk, miał piękną przemowę o ważności moralnego kształcenia młodzieży. Jeden z najsędziwszych kapłanów w diecezyi, który przed laty pracował był nad podźwignieniem kolegium, wyborne dał rady młodzieży i nam pomyślnie prorokował, wołając: „na twarzach tych ojców czytam zapowiedź udania się przedsięwzięcia." *). Ceremonię zakończyła kantata na cześć Maryi Panny. W dzień narode-

*) Przed przybyciem ks. Głowalskiego na zwiady, śniło mu się, że jadą księża, którzy kolegium podniosą.

nia M. B. (tu nie ma święta) zaczęły się klasy dla trzydziestu uczniów. W kilka dni potem, w święto imienia Maryi Panny, (właściwe święto kolegium) było już 46 uczniów w kaplicy na mszy śpiewanej. O. Fennessy trafnie i pięknie podniósł w swej nauce tę koincydencję, nie wywołaną sztucznie ale naturalną, początku roku szkolnego z temi dwoma świętami Matki Boskiej, w zakładzie, który nosi Jej imię. Jako jeden dowód jeszcze opieki Matki Najświętszej nad tym zakładem, uważamy ten fakt, że z dwóch profesorów świeckich dobranych do pomocy, jeden był naczelnikiem, drugi sekretarzem bractwa Maryi Panny, założonego dla uczniów w dawnym kolegium, o czem się później dowiedzieliśmy. Szukaliśmy tylko ludzi zdolnych a szczerze pobożnych; obaj są Irlandczykami.

Obecnie, gdy piszę, jest już 60 uczniów. Wszyscy nam winszują, bo rok ciężki, brak pieniędzy wielki, i zakłady dawne, sławne jak sam Nazareth, mniejszy mają komplet uczennic niż lat zeszłych. Wyrażna ręka Boża i opieka M. Panny, bo z nieznajomości kraju nie jeden się błąd popełnił.

Uczniowie nasi, z wyjątkiem nie wielu, są to podrostki, a że mieszkańcy tutejsi są powszechnie wysokiego wzrostu wyglądają raczej na uczniów uniwersytetu, i jako z takimi, trzeba się z nimi obchodzić. W domach rodzicielskich nawykli do zupełnej wolności, to też okrom środków przekonania, napomnienia i małych kar, niema innego nad oddalenie. Wszakże w ogólności, jakkolwiek w porównaniu do młodzieży europejskiej wielce nieokrzesani, są jednak dosyć powolni, i uszanowanie dla sukni kapłańskiej jest niepoślednie. O ile wiemy, w listach swoich do rodziców wyrażają zadowolenie swoje ze stołu i z nauczycieli, skarżą się jedynie na to, że dużo uczyć się trzeba — o co się pewnie rodzice nie gniewają.

Przyszłość w ręku Boga i zależy wiele od naszej cierpliwości i taktu.

Misya tu moja właściwie skończona: radbym się tylko doczekać listów z Europy. Zanim nadejdą, opiszę jeszcze pokrótce Kentucky i sławną na świat całą jaskinię mamutów, *Mamoth Cave*, uciekając się o pomoc do mego przewodnika.

Kentucky stanowiło część obszarów Wirginii przed założeniem rzeczypospolitej amerykańskiej. Cały kraj po lewej stronie rzeki Ohio aż do Mississipi należał do niej nominal-

nie, ale mało mieszkańców pochodzenia europejskiego było się tam osiedliło.

Dzieje przechowały imię Daniela Boone, jako pierwszego człowieka, który się przedarł w roku 1769 do tej części Wirginii, zamieszkałej przez Indian i dzikie zwierzęta jedynie. Wróciwszy ze swej awanturycznej wyprawy, puścił się tam na powrót w r. 1773 z oddziałem ochotników, z którego powstała milionowa ludność, zamieszkująca dzisiaj Kentucky.

W r. 1790 Stan Wirginii odstąpił rządowi federalnemu tę krainę, rządzoną zrazu jako terytorium, która jednak już w r. 1792 dotyla była zaludnioną, że ją kongres przypuścił do unii jako stan niezależny.

Kentucky leży po lewej stronie rzeki Ohio, oddzielającej je od Stauów Ohio i Indiana na północ. Na zachód pasma Alleghanów i góry Cumberland z niego wyrastające, rozgraniczają Stan ten od Wirginii. Na południe graniczy on z Tennessee; na zachód Ohio i Missisipi. Grunt górzysty od południo-zachodu, od strony gór Cumberland, poprzerynany jest głębokimi wąwozami, pagórkowaty w środku, roztacza się na wschód szerokie i stepami, które tu i ówdzie naturalne łąki przeplatają. Na północ i na północ-zachód pasmo gór od 15-20 mil szerokie, odrywające się od Alleghanów pod kątem prostym, wznosi się nad lewym brzegiem Ohio; zaokrąglone jego grzbiety, głębokie doliny, lasy cieniste, tworzą cudne krajobrazy, upiększone jeszcze wspaniałem łożyskiem Ohio, które Francuzi nazwali *la belle riviere*. Cały ten grunt słynny ze swej żyzności, rodzi w obfitości kukurudzę; pszenicę, owies, konopie, tytoń i chmiel, główne produkta tego kraju. W stronach górzystych i w pobliżu łąk hodowla koni, wieprzów i bydła dochodzi szerokich rozmiarów. Konie kentuckie wielce są cenione w Stanach, wywóz bydła wszelkiego rodzaju, wieprzowiny, i wołowiny solonej tworzy podstawę wielkiego handlu.

W chwili gdy to piszę, właściciele skarżą się na zahaczenie wszelkich transakcyj, przypisując to zemście kapitalistów republikańskich północy i zachodu, za wybory demokratyczne w tym Stanie.

Mnóstwo rzek, wpadających do Ohio, przepływa terytorium, ułatwiając stosunki handlowe. Tryskają one w stronie południowo-zachodniej, przerynają się przez ziemie prze-

ściowe, podtrzymując obfite pokłady węgla ziemnego i rudy żelaznej, użytkowane na szeroką stopę.

Rzeki te krążą następnie po formacyi starego wapienika, głęboko podziurawionego; z kąd tryskają źródła słone, w części obrócone na zakłady balneologiczne. Część gliniasta tej formacyi poprzerynana jest licznymi jaskiniami, a naj-sławniejsza z nich *mamutowa*, którą poniżej opiszemy. Stan ten ostatni z tej strony, posiadający dawniej niewolników i stykający się całą granicą północną, ze Stanami o ludności wyłącznie białej, często miewał zatargi z filantropicznymi spekulantami po obu stronach Ohio, a właścicielami upominającymi się o zbiegłych murzynów. Dziś ta kwestya jest rozwiązana, a raczej rozciętą mieczem. Stan Kentucky nie przystąpił był do secesjonistów w czasie ostatniej wojny, ale trzy czwarte młodzieży kentuckiej walczyło w szeregach południowców, i sympatye ludności miejscowej białej, są dla południa, nie dla północy.

Bezstronny badacz, patrząc na obie strony Ohio, musi uznać wyższość pracy wolnych ludzi nad pracą niewolniczą. Rolnictwo w Kentucky jest zaniedbane. Drogi żelazne teraz dopiero zaczynają się upowszechniać w tych stronach w kierunku południowym. Wszakże mieszkańcy Kentucky pełni są energii i czynności, choć nie taję, że bardziej przedsiębiorczy ludzie wynoszą się ztąd, pozostawiawszy na miejscu miększe charaktery. Gościnni są, ale w skutek wspomnianych zatargów granicznych, gorąco się zajmują polityką generalną. Żywi w dyskusyi, posuwają się nieraz do ostateczności. Wraz z sąsiadami swymi w Tennesy, gotowi zawsze pierwsi puszcząć się do nowych krain za zachód Mississipi... Suche, żyłastej, silnej budowy, celni strzelcy, koloniści odważni, prawdziwymi są potomkami tego Daniela Boone, który pierwszy ze szczytu Alleghanów wskazał *głęboki wschód* (*the great West*). Żywi i bardziej towarzyscy od sąsiadów swoich południowych i północnych, zdradzają krew przodków swoich w Wirginii. Dbają bardzo o staranne wychowanie swoich dzieci. Uniwersytet w Lexington jest jednym z najbardziej cenionych w Stanach.

Powiedzmy teraz nieco o sławnej jaskiui mamutów. Odległa jest ona o 90 mil tak od Louisville jak od Nashville (Tennessee) a o 130 mil od Lexington i od Fraukforth. Pomiędzy

Mundsforville i Threeforks znajduje się droga prowadząca do jej otworu. Kilka dni czasu musi poświęcić, kto ją chce dokładnie zwiedzić, i wyczerpnąć wszystkie wspomnienia mitologiczne do niej przywiązane. Zbliżając się do wejścia, czuć ciągi zimnego powietrza; wchodzi się otworem wystarczającym zaledwo na dwie osoby.

Kilka schodów i kurytarz naturalny, wskazują przy blasku pochodni podziemie bez granic. Przechodzi się z kolei *Rotundę*, kościół, wydrążenie przypominające wnętrze świątyn gotyckich, zdolne pomieścić 5000 osób; a o trzy ćwierci mili od wejścia ulica gotycka, wiedzie dalej do *izby upiorów*, do *kaplicy gotyckiej*, do *krzesła djabelskiego*, i doprowadza o $2\frac{1}{4}$ mili od wejścia do kopuły *Ammett*. Schodzi się potem do kopuły *Gorram* o 620 stóp niżej od poziomu i spotyka się studnię bezdenną, gdzie mało kto się zapuszcza. Potem odsłania się wydrążenie nowe, służące za łożysko *Martwemu morzu*, jezioru wewnętrznemu, stykającemu się ze *Styx River*, strumieniem krążącym sobie spokojnie we wnętrznościach ziemi, tak że nikt nie wie, z kąd przybywa i dokąd dąży. Łódź przewozi podróżnego na drugi brzeg. Ciąg przejść, kopuły i wydrążeń prowadzi c dwie mile poniżej do *Winnicy Marty*, potem do jaru *kul śnieżnych*, pokrytego wyrostami gipsowymi. Przechodzi się góry *Skaliste* blisko *Strasznej dziury* i przybywa się nareszcie do *portu Serena*, miejsca, na którym poprzestają zwykli podróżnicy. Jest się wtenczas mniej więcej o siedm mil od wejścia, ale daleko od kresu tych wydrążeń, rozciągających się w innych kierunkach.

Pomimo ciągłych zwiedzań, i to od tak dawnego czasu, granice tych podziemi nie są jeszcze znane. Niektórzy jednak zapuścili się o 20 mil w głąb. Sprawdzono 200 kilkadziesiąt kopuły, wiele jezior i rzek wewnętrznych, z dziesiątek katarakt, ze trzydzieści studni albo raczej jam, a w liczbie ich niektóre obwodu i głębokości nie do uwierzenia. Opisywać w szczegółach najdziwniejsze kształty tych pieczar podziemnych i świetnych stalaktyków wszędzie porozwieszanych nie naszą jest rzeczą. Dosyć nam było zwrócić uwagę polskiego czytelnika, aby jeżeli dostanie się kiedy do środka Stanów Zjednoczonych, mając czas po temu, nie omieszkiał zwiedzić tego podziemia jedyne w swoim rodzaju, w którym Bóg stworzył ryby bez oczu, do zaludnienia tych rzek bez

światła. Mumie indyjskie znalezione w Izbie upiorów, dowodzą, że miejscowość ta była znaną pierwotnym mieszkańcom tej ziemi. Za dni naszych zwiedzają je nie tylko ciekawi i uczeni, ale chorzy i kalecy, mianowicie też suchotnicy, na których atmosfera ta podziemna zdaje się wywierać wpływ zbawienny.

L I S T I I I.

CZĘŚĆ II.

Chicag, 7 października.

Zdążam już kii wam i korzystam z chwili wolnej, by list ten trzeci i ostatni z tej podróży dopełnić.

Nie mogłem odmówić życzeniu braci moich w kolegium, aby z nimi dzień imienin moich przepędzić, i dla tego pobyt mój tam nieco nad ścisłą potrzebę się przedłużył. Czasu wolnego użyłem na przeczytanie dziejów Stanów Zjednoczonych. Podziwiać trzeba odwagę i wytrwałość właściwą plemieniu anglo-saksońskiemu, ale żadnej myśli wyższej w ich wzroście historycznym nie widać; przyszli szukać ziemi i dostatku, podbili kolonie holenderskie, szwedzkie, co więcej francuzkie, zrazu daleko silniejsze; i zamiast uchrześcianić i oświecić Indyan, systematycznie ich wytępiali i tępią do reszty. Kto wie, czy zabrawszy ziemię ostatniemu człowiekowi miedzianej cery (*red men*), nie zaczną się tępić między sobą. Odczytałem uważnie ich konstytucyą, wiele tradycyi z Anglii przeniesionych, wiele praktycznego rozumu, ale wszystko jedynie do pomyślności ziemskiej skierowane. Stany zawiązały się w federacyą dla wspólnej obrony, bezpieczeństwa i dobrobytu; i gdyby na końcu nie było napisano *roku pańskiego*, nieby nie zdradziło, że to ustawa Stanów chrześcijańskich. A ile wtenczas mieli jeszcze więcej ducha chrześcijańskiego niż dzisiaj! Duch rewolucyi francuzkiej, dał się i tu uczuć. Wtenczas już Jefferson i inni byli republikanami *a la française* i centralistami. Stronnictwo federalistów, demokratów, zrazu liczniejsze, dziś już w mniejszości, stara się ono bronić wol-

ności miejscowych, osobistych, wolności sumień i moralności w urzędach publicznych; ale już bodaj zapóźno. Zapewne tu, jak w Europie, wezbrany potok socjalizmu zmyje dawne brudy w krwawym nowym brudzie, aż sam się nie roztrąci o niemożebność takiego ustroju społeczeństwa, i zostawi *table rase* do nowej budowy, jeżeli jeszcze czasu i zasobów na to starczy. Po odwiedzeniu kapitana Grares, deputowanego do legislatury prowincjonalnej, który się sam ofiarował wyrobić dla naszego kolegium *akt inkorporacyi* z prawem dawania stopni, odbyłem następnie wizyty pożegnalne w sąsiedztwie.

W dzień św. Hieronima była msza śpiewana, obiad wspólny w refektarzu z uczniami, i wakacyą po obiedzie dla tych ostatnich. Poleciwszy raz jeszcze Zakład Matce Boskiej Różańcowej i świętym Aniołom Stróżom, w dzień ich, a 2go października udałem się do Louis-ville w towarzystwie Ojca Elleny prezydenta kolegium, który mię odprowadzał. Niestety! nie zastaliśmy ks. biskupa w mieście, zajętego jeszcze wizytą dyecezyi i bierzmowaniem; rozmówiliśmy się zatem z ks. wikarym generalnym. Ojciec Ellena, zaopatrzwszy się w gry różne dla uczniów na porę zimową, które -chce im darować w mojem imieniu, wrócił do domu. Ja miałem całe przedpołudnie wolne do obejrzenia się po mieście.

Louis-yille po lewej stronie rzeki Ohio, leży . na wysokiej kotlinie lekko pochylonej, i stoi stromo nad brzegiem rzeki o 70 stóp nad powierzchnią wód niskich. Spady (*falls*) Ohio, widziane z miasta, przedstawiają widok bardzo malowniczy, w porze letniej , gdy rzeka płytka. Wtenczas jeszcze szeroka na milę angielską, przebija się przez zawady, które napotyka po drodze. Dzieli się na tysiąc pieniających się strumyków, które wężykują we wszystkich kierunkach i spadają na pokład kamienny, zanim dotrą do katarakt o 2 mile za miastem, gdzie właściwie żegluga się zaczyna. Znakomity kanał boczny, zastępuje niegościnną w tem miejscu rzekę, na którą wazą się puszczać statki tylko w porze wysokich wód. Dopiero pod miastem Cairo, o 397 mil poniżej, Ohio wpada do Mississipi.

Louis-villo, jak wszystkie miasta nowożytne, regularnie jest zbudowane. Liczne ma zakłady dobroczynne i kościoły; pod względem architektonicznym celują jeszcze, pałac sprawiedliwości i pałac miejski. Wiele tu fabryk i handel oży-

wiony; ludność dochodzi już 120 tysięcy (mnóstwo Murzynów i Niemców); i rośnie pospieszniej w ostatnich latach niż w Chicago.

Dnia 5 października zrana przybyłem do Chicago, i zastałem jeszcze ks. Barzynskiego, wzmocnionego na zdrowiu, a zatrzymanego kwarantanną, wystawioną w Galveston przeciw żółtej febrze. Ponieważ kazanie moje było zapowiedziane na następną niedzielę, a ks. biskup z Detroit wróci dopiero 12 b. m. do miasta, zatrzymałem się tu na kilka dni. Przybyło znowu z parę rodzin polskich z Europy, inne zarabiają sobie w New-Yorku na środki do przyjechania tutaj. Świeżo przybyli, już sobie ponajmowali grunt na lat 5 i postawili domki drewniane, które przewożą, gdy sobie grunt na stałe zakupią. Tu bowiem całe kamienice z miejsca na miejsce przenoszą, i ulice całe tak rozszerzają, cofając domy w tył pod linią. Ma się rozumieć, że fundamenta na miejscu pozostają.

Dnia 22 października na Oceanie. Od wczoraj jesteśmy na morzu. Żałowałem, że nie siadł na statek 14 dni przedtem; tymczasem morze było przez ten czas niegodziwe, a obecnie takie, że i w miesiącu lipcu spokojniejszego spotkaćby nie można. Ale że to się zmienić może, korzystam z ciszy i wczasu, by zapisać co zaszło od dwóch tygodni.

Mówiłem o zręczności w przesuwaniu i przenoszeniu domów w Chicago; tymczasem pożar zniósł całe bogate miasto tak, że tylko fundamenta pozostały. Dziwne zrzędzenie, bym jadąc do Ameryki, widział palący się Paryż, a wracając do Europy był pośród palącego się Chicago! Nie jeden nie znający mnie, mógłby mię wziąć za jednego z tych *myślicieli* opisujących ciekawe wypadki podróży, siedząc spokojnie przy ogniu swego kominka.

Przystąpmy do rzeczy.

Z 7 na 8 października w nocy był pożar, który strawił domy na 20 akrach gruntu. Od kilku miesięcy nie było tu deszczu, i wszystko tak suche jak pruchno; dosyć zapalną przyłożyć, aby się zapaliło. Ale pożary są tak częste w Ameryce, że to nie zrobiło najmniejszego wrażenia. Kiedym po raz pierwszy był w Chicago, część miasta zwana Washington się spaliła; to też jedna Poleczka powiedziała: „ile razy O. Generał do nas przyjedzie, musi być pożar w mieście.”

Kazanie miałem podczas sumy; clióć na wotywie poprzedniej kościół był pełny, podczas sumy był dosłownie natłoczony. Kościółek wyraźnie za mały. Mówiłem z Ewangelii niedzielnej o zaproszonych na ucztę i wypraszających się od przyjsia, już dla kupionej wsi, już nabytych wołów i t. d. Zwróciłem uwagę moich rodaków, że żyją wśród ludzi oddanych wyłącznie i zbytecznie myślom nabycia majątku i wielkiego majątku, i to jak najprędzej, -i nie zawsze przebiegają w środkach: i upominałem, aby się nie dali porwać tym wirrom gorączki kupieckiej. Dalej zwróciłem uwagę, że Chicago jak wszelkie wielkie miasta handlowe, pełne jest zepsucia, i że nie trzeba szukać sposobności do złego, gdyż ona się sama nastęcza: i przeto nie można się mieć dosyć na baczności. A nadewszystko polecałem żyjącym w małżeństwie, aby się nie lękali mieć wiele dzieci, jak bogaci rodowici Amerykanie; aby ufali Opatrzności bożej itd. ').

Pocziwa wiara złożyła 65 dolarów na moją podróż, choć księża nasi zapomnieli kwestować podczas wotyw.

Nazajutrz 9 t. m. miałem opuścić Chicago. Wieczorem jadąc do miasta widziałem jeszcze gorejące płomieniem ostatki domów po zesłodniowym pożarze, wracając zaś do domu, widzieliśmy łuny nowego ognia, który się zajął nie zbyt daleko od wczorajszych na ulicy Dekowen zamieszkałej przez samych Czechów. Gęsi zachowały Rzym, napisał jeden z dzienników, krowa zgubiła Chicago. Chłopak czeski doił krowę w oborze pełnej trzasek; krowa kręcąc się przewróciła lampę, i zapaliły się wióry. Drewniane domki czeskie rychło zgorzały. Wiatr się zmienił o pół do 10 i popędził płomień ku rzece; i przeniósł je za rzekę do bogatej strony miasta położonej między dwoma ramionami rzeki i jeziorem;

¹⁾ Trzeba bowiem wiedzieć, że jak Nowy-York jest ściekiem brudów Europy, tak Chicago w ostatnich czasach zastąpiło Nowy-Orlean, i stało się ściekiem zepsucia Nowego-Yorku i całych Stanów Zjednoczonych. Towarów suchych (*dry goods*) można tu było dostać taniej niż w Nowym-Yorku, bo każdy, który chciał korzystnie zbankrutować w tem ostatnim mieście, sprzedawał wprzód za pół ceny do Chicago wszystko co miał w sklepie. Tu tedy osiadali bankruci, szachraje, urwipółcie wszelkiego rodzaju pod wyglądem obyczajów; dość powiedzieć, że *fift Avenue* zajęte było prawie całe, przez domy nierządu.

gdyby się wiatr nie był zmienił, cała część drewniana miasta i kolonia polska z nią, w jednej chwili byłaby poszła z dymem. Co powiększyło klęskę, to przekonanie mieszkańców, że przy obfitości wody w całym mieście i dobrych pompach nie mogło być wielkiego niebezpieczeństwa; ogień był niedaleko, a ludzie kładli się spać spokojnie. Nie liczyli się z wichrem, który przez półtóry doby dął wciąż w jednym kierunku i wirując jeszcze. Gdy się nadto gaz zapalił, i polał dachy, największe kamienne gmachy jak *Corhouse*, *Post office* i t. d. paliły się jak drewniane domki. Pozajmowały się spirytusy, kamfina itd. Z wieży naszego kościoła widziałem ogień, który jak wały wzburzonego morza podnosił się wysoko w górę, a potem rozlewał się na prawo i na lewo. I ludzie i konie od służby ogniowej strudzeni nocy poprzedniej, mdły tylko opór stawiały. Konie pourywały się i pouciekały, rury się popsuły, kotły w sławnych *water-icorks* popękały, maszyny nadwerżone: wody nie stało, zdaleka trzeba było czerpać z jeziora lub rzeki. Zaczęto minami wysadzać całe zabudowane kwadraty, by przerwać przypływ tego morza płomiennego; ale i to na próżno; wicher zapalał kilka ulic naprzód. Ztąd i trudność, niepodobieństwo ratowania rzeczy i życia. Zrywali się ludzie z łóżek na pół lub całkiem nieubrani, w którą stronę się zwrócili, wszędzie ogień spotykali, nie jednemu się zdało, że się świat cały palił. Jedni z przerażenia, drudzy z rozpacz, że wszystko stracili, rzucaли się do rzeki lub do jeziora. Ilu tam poginęło i potonęło? Dzienniki wyraźnie kryją liczbę. Mosty się zajęły lub skręcone zostały na środek rzeki, aby się nie zajęły. Tłoczono się po ciemku (bo gazu już nie było) pod tunele rzeczne. Sparły się wozy i ludzie; krzyk, płacz, złorzeczenia, kaleczono się, zdeptywano na śmierć.

Do tego przyłączyli się złodzieje i rzezimieszki. Na wiadomość o pierwszym ogniu, *profcsyoniści* z Nowego-Yorku i inszych miast wielkich przybyli pospiesznymi pociągami obłowić się w mętnej wodzie. Nie brak ich było i w Chicago. Do tego wypuszczono z palącego się więzienia wszystkich) wyjąwszy kilku mężobójców, których uwięziono. Wszyscy ci ludzie nie stracili czasu, i wyrwali z rąk pogorzalców co jeszcze byli zachowali, zabijając w razie potrzeby broniących się. Tak znaleziono na ulicy bankiera Ullmana; sądzono zrazu

że go płomień zadusił, przekonano się później że był uduşzony. Byli i złodzieje przebrani za policmenów, czy policmeny chcący korzystać ze sposobności; brali bowiem pod straż rzeczy, których później właściciele nie znaleźli. Do tego (jakkolwiek później dla uspokojenia ludności starano się temu zaprzeczyć) rabusie czy komuniści podkładali ogień, kilku ich powieszono na latarniach. Żyda, który w polskiej dzielnicy tę operację odbywał, kijami i siekierami na miejscu zgładzono. Naczelnik policyi w drukowanym ogłoszeniu, dał na to pozwolenie, bo generał Sheridan przybył z wojskiem ze St. Louis, stan wojenny później dopiero ogłosił.

Co do naszych Polaków, na 9 członków gminy, pięciu się spaliło. P. Dziewior teść p. Kiołbasy pięć domów stracił; ucierpiała też pewna liczba naszych wyrobników, którzy się potem schronili do szkoły polskiej pod kościołem. P. Majewski emigrant z 1830 roku, stracił dwoje dzieci i trzy wnuczki. Inny Polak z Warszawy dwoje dzieci, ale może później się odnalazły, bo się to nie jednemu zdarzyło. Jedna Szwedka, widząc dziecko, które już miała za stracone, omdlała, a potem zaczęła je pieścić, jak tylko matka pieścić umie. Niemiec zaczął tańczyć z wesela, a potem podnosząc w górę maleństwo, zawołał tryumfalnie: „*Nun komm jetzt heim su deiner Mutter.*”

Pogorzelnicy mieli powszechnie asekurowane domy, ale zdaje się, że nie jedna kompania częściowo tylko się uiszi, lub całkiem zbankrutuje.

Katolicy stracili katedrę, dom biskupa, śliczne kościoły Redemptorystów, Benedyktynów i cztery inne; nadto kilka klasztorów żeńskich, domy sierót i t. d. Żaden dziennik protestancki o tem nie wspomniał, póki biskup nie ogłosił telegramu do Arcybiskupa w Baltimore. Gdybyśmy tak ciężkich klęsk nie ponieśli, byliby zapewne rozgłosili, że katolicy podłożyli ogień.

Pośród tej strasznej katastrofy, pokazały się czasem piękne strony serca ludzkiego, ale brzydkich jeszcze więcej. Widziano starą żonę, dźwigającą sparaliżowanego męża na plecach, widziano pocziwe niewiasty unoszące świeżą położnicę, musieliśmy cieszyć młodą Francuzkę, którą rodzice powierzyli zapewne starszej siostrze a sami się spalili ratując swoją chudobę i t. d. Ale też odsłoniły się brzydkie rany serc zepsutych. Woźnice żądali niemiłosiernie 20, 30 i 50

dolarów za przewiezienie ostatków uratowanej własności. Nacoczny świadek widział jak woźnica żądał 10 dolarów za przewiezienie przez most tłumoków. Najmujący miał tylko 7, ale pomyślał sobie, niechno przewiezie, to mi potem resztę daruje, lub poczeka. Ale się omylił, bo furman odwiózł rzeczy napowrót, i wrzucił do ognia.

Znaleziono po piwnicach ludzi zapitych na śmierć, na innych odzienie się paliło a oni dolewali jeszcze. Zdarzyły się też komiczne sceny, „miejsca, miejsca” wołało kilku ludzi—rozstępuje się tłum a kobieta jakaś prowadzi na sznurku nierogaciznę, jedyny zapewne swój kapitał. To znów młoda Irlandka, niosła na jednym ramieniu dzieciątko, na drugim prosię. Widziano też rodzinę niemiecką ze 4 osób złożoną. Ojciec wiozł na taczkach obok chudoby baryłeczkę *Lagerlier*, ale że było za ciężko, a płomień ścigał, zatrzymał się, napili się wszyscy a potem ojciec rzucił beczułkę, wołając: „*lebe wohl!*” Życie ludzkie jest melodramatem; wśród scen tragicznych zdarzają się i komiczne.

Sto tysięcy osób zostało bez dachu, najwięcej Niemców i Skandynawów zamieszkających na *Nortli Sight*, (50.000 już się rozjechało) drogi żelazne darmo pogorzalców i pomoc dla nich przewożą. Ale mnóstwo biednych ludzi na razie koczowało na łąkach pomiędzy rzeką a nami. Niestety! w nocy z poniedziałku na wtorek spadł deszcz obfity przy zimnym wichrze; szczęśliwie dla pożaru, nieszczęśliwie dla pogorzalców; wiele bowiem osób ze czczości i zimna zmarło; ile że tej nocy pod karą 500 dolarów nie wolno było ognia w domu nawet rozniecić. Stary jeden mason widział w tem rękę Bożą, że kto od ognia się wybiegał, od zimna i wody zginął.

Rekapitulując ten niezwykle pożar, powiemy, że się spaliło 2300 akrów zabudowanych na przestrzeni 4 i pół mil angielskich w długości, a przeszło pół mili w szerokości. Znikło 18.000 budynków rozmaitej wielkości, a z tych 15.000 handlowych i przemysłowych. Stratę obliczają na 300 milionów dolarów. (Miasto miało już 14 milionów dolarów długu). Major miasta w pierwszej odezwie po chrześcijańsku się wyraził, uznając rękę Bożą i poddając się jej. Druga już nie była taka; widząc, że cały świat ogłosił składki, że banki uratowały po większej części swoje *save's*, (kufry żelazne

zamurowane w ścianach, lub zachowane w piwnicach sklepionych), odezwał się, że *Chicago zginąć nie może*, choć tymczasem wichry obalały mury, które ogień był zachował. Dziwno, że tu i owdzie dom lub kościół jaki pozostał — wielkie gmachy z dymem poszły, mniejsze obok pozostały — drzewa i chodniki się popaliły, a obok krzewy i trawa pozostały; wytłumaczyć to można naturalnie tylko przez wiry wichru.

Wszakże zaufanie majora ma pewną swą podstawę. Chicago przez swe położenie ze 12 drogami żelaznymi, gotowemi we wszystkich kierunkach, tak ważnem jest dla handlu, że z trudnością całkiem upaść może. Ci co kapitał jakiś uratowali, odbudowują się na ciepłych jeszcze fundamentach; drugim kapitałisci z innych miast odkupują grunt i ruiny, płacąc 60 na 100 więcej nad ceny przedpożarowe. Bankierowie wynieśli się do swoich rezydencji na Wabash Avenue i tam swoje *office's* otworzyli. Z przyjemnością później się dowiedziałem, że książęta Sapiehowie bynajmniej nic nie ucierpieli; ogień zatrzymał się na kilka domów przed ich mieszkaniem. Domy Nowo-Yorskie przysyłają na kredyt nowe towary swoim korespondentom w Chicago; a ci napowrót magazyny w najętych domach albo w budach z tarcic, otwierają. I przeto za większą klęskę uważać trzeba zniszczenie powiatów całych w Wisconsin i Michigan, przez palenie się lasów; o czem dzienniki spółcześnie prawie donosiły; bo bogaczy, bogacze z interesu i z próżności wspierają; ale kto zajmie się biednymi *farmerami*, którzy wszystko stracili, a *savo'w* i kapitałów na innych bankach nie mieli? A potem przyszli drudzy z kolei; ci którzy tylko co grubo dali na Chicago, nie mogli dać tyleż na Michigan.

Pilno mi było dostać się do Detroit dla rozmówienia się z ks. biskupem, i gdzie mnie ksiądz nasz Wieczorekjniął 13^o oczekiwać.

Dnia 11-go października udało mi się wyjechać z miasta jednokonką niekrytą, siedząc na moim tłumoku, i siąść do wagonu na stacyi przedmiejskiej przemienionej tymczasowo na stacyą główną. Jadąc z Monroe, gdzie obecnie ksiądz biskup mieszkał, widziałem palące się lasy tuż przy drodze żelaznej; a inne w głębi ogromną krwawą świecącą łuną. Pociąg jeden zagrożony ogniem i z tyłu i z przodu, całą siłą pary szczęśliwie się przebił. Stałem u gościnnego prob-

szcza kościoła św. Józefa, gdzie ks. Wieczorek zbiera swoich Polaków, gdy do nich do Detroit dojeżdża; ale ks. Wieczorka nie było, choć trzy dni na niego czekałem. Widziałem w Monroe proboszcza, jego sąsiada, tylko co przybyłego, który mi powiadał, że Minden o 4 mile angielskie tylko od kolonii polskiej odległe, już było spalone. W N. Yorku już dowiedziałem się, że i kościół i cała kolonia zgorzała, trzech ludzi zginęło, służący ks. W^Tieczorka mocno się poparzył, on sam przy życiu zachowany.

O gdybyście mogli ogłosić składkę na tych biednych pogorzalców! Za przyczynę tych pożarów dają nieostrożność strzelców. Torfy podziemne się paliły, i spółcześnie we wszystkich kierunkach zajmowały się lasy. Miasteczka całe jak Pisthego w Wisconsin, Manastee, Holland, Forestville i t. d. w Michigan ze szczeniem spłonęły, a kolonij bez liczby. Kolonista, który krwawą pracą wykarczował las, doczekał się przychówku; w ostatniej dopiero chwili przed ogniem się cofa, to też ścigany nieraz, dopiero w zimnych nurtach jeziora, jakiegokolwiek znajduje bezpieczeństwo. Matki stały po pas w wodzie godziny całe z dziećmi-na rękę, aż nadszedł statek parowy, który je przytulił.

Dnia 14 wieczorem przybyłem do ks. Biskupa w Hamilton w Kanadzie. Jak w Detroit w czasie mego pobytu, bywało po parę pożarów co dzień; tak w Kanadzie miasteczka Windsor i London, dzięki podpalaczom, stały się pastwą płomieni w Hamilton zaledwo wyszłem z koła ogniowego. Długi czas, Towarzystwa tajne podkładały ogień rewolucyi pod gmach społeczny; przyszła nareszcie *Internationale*, która ogniem fizycznym pali bogaczów, a tych jest najwięcej i najzamożniejszych wśród braci sprzysiężonych.

Dnia 10 i 17 odwiedziłem i pożegnałem naszych braci zgromadzonych u św. Agaty, zabierając ze sobą O. Eugeniusza Funken na kapitułę do Rzymu. Dnia 19-go na noc stanęliśmy w Nowym-Yorku w gościnnych murach O.O. Redemptorystów zasmuconych klęską braci swoich w Chicago. Uwinąwszy się z paszportami etc. we 30 godzin, siadamy 21 na statek Pereire o sile 1000 koni. Kwestya, czy tam jeszcze bezpieczni będziemy od ognia, bo statek tej końipanii Lafayette, jakoby zarażony w Ameryce, spalił się w porcie Havre wraz z rzeczami podróżnych.

Na Oceanie czas mieliśmy na tę porę roku piękny i pogodny, wiatr prawie stale pomyślny; żagle rozpięte dopomagały parze. Pod koniec żeglugi groziła burza; a że lat kilka temu huragan połamał był maszty na tym statku, oficerowie byli bardzo czyuni; ale skończyło się na strachu. Długi jednak nasz parowiec ubiegając 14 węzłów (*noeuds* w stylu marynarskim) t. j. 14 mil morskich na godzinę, chybotał się potężnie, i wiele osób chorowało, mianowicie też niewiasty. Publikum nasze nie było zajmujące, sami kupcy, przemysłowcy, Francuzi wracający na stałe do ojczyzny, lub chwilowo dla odwiedzenia rodzin lub zakupienia nowych towarów. Ze sposobu w jaki mówili o Stanach Zjednoczonych, można się było domyśleć czy im interesa poszły pomyślnie lub nie. Jeden dawny wojskowy, który zbankrutował na fermie, psy wieszał na Amerykanach, i odgrażał się Prusakom. Kilku Amerykanów zabłąkanych w tej massie cudzoziemców, zapijało nudy w milczeniu. Jednem słowem nie było z kim o poważnych rzeczach pomówić.

Jeden jedyny wypadek ważny dla nas kapłanów, zdarzył się na statku. Dowiedziałem się, że pewien podróżny płynący z młodą żoną do Europy, znajduje się w niebezpieczeństwie życia i już sparaliżowany. Udałem się do lekarza okrętowego, prosząc go, aby się dowiedział czy jest katolikiem, i czy chce widzieć kapłana. Pokręcił się, potargował pan doktor, ale w końcu obiecał. Po dwóch godzinach wrócił, zapraszając. W przekonaniu, że to Amerykanin, posłałem Ojca Fuńkena jako bieglejszego w języku angielskim. Niestety był już w ostatnich chwilach konania. Żona niejako spowiadała się za niego, świadcząc, że był dobrym, wprawdzie dodała, towarzyszył mi do mego kościoła, czując że to nie było w porządku. Gdy były jeszcze poznaaki jakiegokolwiek przytomności umysłu, ale pewności nie było, dał mu O. Funken rozgrzeszenie *sub conditione* i za chwilę potem podróżny skonał. Dowiedzieliśmy się później, że był Francuzem, że cierpiał na suchoty, i jechał zapewne do Europy, dla zmienienia klimatu. Grubą sumę pieniędzy miał przy sobie. Wdowa, by nie wrzuceno ciała do morza, kazała je balsamować, i zamierza odwieść do Ameryki następnym statkiem. Co mię uderzyło i pocieszyło, to interesowanie się powszechne, czy umierający miał ostatnią pomoc kapłańską. Pytał się o to woluomularz, pytał

aktor jadący ze San-Francisco do Bordeaux i błaznujący darmo przez całą drogę, pytali i inni. *Świadectwo duszy w gruncie zawsze chrześcijańskiej*. Wysiedliśmy na ląd w Brest 30 października przed południem po 9 dniowej okrągło żegludze. Odjeżdżając do Paryża po 7 godzinnym wypoczynku, słyszeliśmy, że statek nasz nie mógł się dostać do Havre, i wrócił napowrót. W dzień Wszystkich Świętych zrana, stanęliśmy w Paryżu, i tegoż dnia widziałem podczas nabożeństwa w Assomption przerzedzone szeregi naszych rodaków. Oglądałem następnie zbliżone ruiny gmachów, które widziałem palące się przed pół rokiem ze wzgórza w Sevres. *Ministerstwo finansów*, mieszkanie *mamona*, boga świata obecnego, *Tuilleryów i teatrów*, gospod zbytku, płochości i rozpusty, *Hotel de ville*, gniazdo komuny za pierwszej i za ostatniej rewolucji. Dziwno, że ruiny gmachów nowożytnych głupie i prozaiczne, jak gmachy same; *Hotel de ville* tylko, dawniejsze i artystyczniejsze, i w ruinach pięknie wygląda; piękniej nawet niż dawniej, bo na zakopconych murach, linie architektoniczne lepiej się wybijają. Ale nad te ruiny zewnętrzne straszniejsze są ruiny w duszach. Paryżanie nic a nic się nie poprawili, i popsuli się raczej. Po kościołach mniej ludzi niż dawniej. Kto im mówi o karach Bożych, otrzymuje bluźnierczą odpowiedź: „tą drogą Bóg nas nie pozyska, musi się brać inaczej do rzeczy.” Słowem, mieszkańcy chcą tak żyć i tak być jak dawniej, gniewają się tylko że mniej dostatku; władzom pilno jedynie o naprawienie śladów pożaru i wojny, a gangrenę społeczną kataplazmami okładają. *Ipsi viderint*, przechodzę do moich rodaków.

W Niedzielę d. 5 listopada miałem kazanie w l'Assomption, zgromadzono się dość licznie jak na obecne czasy. Wypadała ewangelia na niedzielę XXIII po świętkach o *Hemoroisie*. Gdy o podróży dalszej przez Francją i Włochy nie warto pisać, postanowiłem zakończyć moje listy spisaniem *domówienia* dzisiejszego kazania; brzmiało ono mniej więcej jak następuje:

„Mili Bracia! Na początku dzisiejszej nauki, przedstawiłem wam stan naszego wychodźstwa w Ameryce, który *głodowym* nazwałem; wychodźstwa za chlebem, głównie z pod zaboru pruskiego. Na zakończenie chcę powiedzieć do was wychodźców politycznych słowo, które może będzie niemiłym

komu chcącemu się jeszcze ludzić, ale słowo, zdauiem mojem potrzebne. Bóg wie, czy was jeszcze kiedy zobaczę. Kapłan winien obecnie mieć duszę swoją jak na dłoni, na każde zawołanie; ile że wracam do Rzymu, gdzie szatan od roku karnawał swój wyprawia. Nie jedna prawda, bracia mili, jest już w poczuciu powszechnem, a jednak nie przechodzi w przekonanie, aż ją głośno kto wypowie; to tedy winienem i chcę dziś uczynić. Proszę was o pilną uwagę, i wzywam na świadków, gdyby, jak mi się często zdarzyło, słowa moje przekreślić chciano.

Mówiłem dziś do was o Hemoroissie ewangelicznej wycieńczonej krwotokami, która na leki i lekarzów majątek swój strwoiła, a jak św. Marek świadczy, coraz gorzej się miała. Mogę powiedzieć, że i Polska jest taką Hemoroissą i to nie od lat dwunastu, ale od wieku całego, krwotokami wycieńczoną a pomimo i w skutek raczej lekarstw, dawanych jej przez empiryków politycznych, coraz niebezpieczniej chorą. Polska traciła krew swoją, w tylu wojnach o niepodległość, traciła przez mordowanie się przymusowe synów jej w pułkach różnych mocarstw ze sobą walczących, traciła przez więzienie po warowniach, i w zaprowadzeniu sybirskim, traciła nareszcie przez wychodztwo na zachód, po każdym niefortunnym wysiłku.

„Najpoważniejszą z tych emigracyj, była niewątpliwie nasza z r. 1831, która obejmowała czoło narodu. Nie brakowało jej mężów zdolnych i czynnych w służbie sprawy narodowej; była też wtenczas opinia publiczna pewną siłą na świecie; były jeszcze ostatki organizmu Europy; kraj nasz we wszystkich trzech podziałach długo był pozbawiony wszelkiej reprezentacji i wolności druku emigracya więc nasza, miała niewątpliwą użyteczność: czy jednak, tyle dokonała, by powetować stratę, jaką kraj poniósł z ubytku takiej masy sił umysłowych i moralnych? Jabym nie śmiał zatwierdzić. W każdym razie miała tę wielką niedogodność, że była za liczną. Emigracya nie może stworzyć dostatecznej siły fizycznej do podźwignięcia kraju; a liczba zawadza jej wpływowi moralnemu. Na wiadomość o sympatyach francuzkich, i jakimkolwiek wsparciu pieniężnem od rządu (któreśmy żołdem nazwali) nie jeden, by się nie przespać w więzieniu, lub dla tego, że nie miał co robić w kraju, puszczał się za granicę na męczeń-

nika tanim kosztem. Cała ta rzesza jęczała, zebrała przez lat 40, i w końcu sprzykrzyła się Francuzom. Do tego walka garstki emigrantów w Rzymie, przeciw wojskom francuskim broniącym Papieża, i mieszanie się do ruchów rewolucyjnych w Paryżu, oddawna już były osłabiły wielce sympatyje ku nam; a świeża służba komunie przemieniła je w odrazę, często w nienawiść i pogardę. Wiem ci dobrze, że nasi nie palili i nie rabowali, wiem że powszechnie głodem przyciśnięci zaciągnęli się w niepocziwe szeregi; ale koniec końców walczyli za tych, którzy palili i rabowali własną stolicę i nic dziwnego, że Francja dziś o Polakach i słyszeć nie chce. Wiem, że odraza do wszystkich, za część winnych, jest niesprawiedliwą, ale powiedzcie bracia, gryby znaczna część emigrantów rojalistów z pierwszej rewolucji francuskiej, goszczonych po dworach polskich na Rusi, przyłączyła się była do hajdamaków palących i rabujących te dwory, powiedzcie, mówię, czyby ówcześni Polacy nie byli ich zarówno hurtem potępiłi? Darmo, w moc prawa solidarności, musimy jedni za winy drugich cierpieć; i od lat czterdziestu wciąż tego doświadczamy.

„Emigracja nie tylko się sprzykrzyła Francuzom, ale i krajowi samemu. Nieszczęsna propaganda, i inicjatywa lub udział w kilku powstaniach skrajnej jej części, sprawiły, że poważniejsza część obywatelstwa polskiego wpływu emigracji się boi, posługi jej nie przyjmuje, choć gotowa przytulić jej członków na własnej ziemi.

„A zatem, wychodźstwo jako korporacja polityczna istnieć przestała.

„Zdaniem mojem nastąpiło to już w skutek ostatniego naszego powstania, ale wielu ludziły jeszcze ostatki sympatyj, ostatki wpływu Francji Napoleońskiej; ale dzisiaj tego blichtru nie ma. Mówiąc tak, stwierdzam fakt, programatów żadnych nie stawiam. Nie ma w tem nic z naszej strony osobistego; od posługi pobożnej względem was się nie usuwamy, i prawdopodobnie my ostatni plac ostrzelamy; wskazuję tylko to, co jest, a czego wyznać przed sobą, nie jeden nie śmiał jeszcze.

„A następnie życzę i proszę Boga, by nowych emigracji już nie było, i by ekspijacja tego rodzaju na nas się skończyła. Życzę i proszę Boga, by już odtąd reszta sił

narodu, była używana na miejscu, do pracy organicznej na jaką stać jeszcze. Zadanie to stało zawsze przed nami od upadku kraju; ale niecierpliwość młodych pokoleń, nigdy na to przystać nie chciała. O bracia moi! oby po wieku klęsk i zawodów wszyscy się na to zgodzili, że lepiej walczyć, cierpieć i umrzeć w kraju, bo ztąd idzie nauka i pokrzepienie dla innych. Lepszy powiem Sybir sam, bo ztamtąd więcej wróciło do kraju niż z Zachodu, a wróciło oczyszczonych i poważniejszych; gdy ztąd, z małym wyjątkiem, złe tylko, płochosć i zepsucie wynosić umiemy.

„Mówiąc to wszystko, nie myślę stanąć przeciw słowom Zbawiciela: „Gdy was w jednym mieście prześladują, uciekajcie do innego,” nie myślę narzucać męczeństwa przymusowego na tych, którzy się doń nie poczuwają: wiem że będą indywidua wynoszące się za granicę z Polski jak z innych krajów, ale niech już ustanie ono epidemiczne *ucieJcinierstwo*, jak lud nasz bez złości nazywa, niech już nie będzie *profesyi przystawiania do winigrantów*; niech ustanie pretensya rządzenia krajem zdaleka; niech ustanie ta szkoła, nie już wzajemnego uczenia ale wzajemnego łudzenia się i oszukiwania, emigracyi przez kraj, kraju przez emigrację.

„Zresztą, gdyby się komu zdawało, że reprezentacya polityczna narodu za granicą może być jeszcze użyteczną, niech nie tai sobie drugiego bolesnego faktu: że gdyby dwóch tylko wychodźców pracowało w tym celu, jedenby przeszkadzał drugiemu; a gdyby jeden tylko pozostał, to drugi przybyłby choć z końca świata, byle mu tylko przeszkadzać. Nie, nie ma błogosławieństwa Bożego na tej drodze; długie bolesne doświadczenie aż nadto tego dowiodło. Pracujmy nad wyleczeniem się z wad narodowych, które nas o ziemię powaliły, pracujmy nad nabyciem zdrowia moralnego, za którem i siła społeczna przychodzi. Nie liczymy już, jak biedna Hernorossa, na szarlatanów i środki empiryczne. Prośmy Boga o żywą wiarę, nadzieję i miłość, i za ich pomocą dotknijmy się Zbawiciela naszego, a siła Jego wstąpi w nas, i otrzymamy, choć na innych drogach, to czego pragniemy, a nadto żywot wieczny, i do nas też powie Dawca życia: „Ufaj córko, wiara cię twoja uzdrowiła.”

LIST IV.

pogląd na amerykę i amerykańów.

Marsylia, 28 listopada 1871 r.

Dopiero za moim powrotem do Europy a mianowicie do Francyi, dowiedziałem się, że i te pobieżne listy z ostatniej mojej podróży chętnie przez wielu czytowane były. To mnie pobudza, do obejrzenia się raz jeszcze poza sobą, i patrząc już zdaleka na Amerykę, spisać pewne ogólne postrzeżenia o Amerykanach. Korzystam z kilku dni wolnych, przed wybraniem się do Rzymu, gdzie mnie prace i zajęcia innego rodzaju czekają, aby ten zamiar jakokolwiek wykonać, i dziś się z wami temi ostatnimi kartkami podróżnemi dzielę.

A naprzód przypominam, co zresztą wam bliższym moim wiadomo, że nie podróżowałem, ani jako specjalny uczonec, ani jako turysta mający i czas i myśl niezajętą, i zasoby pieniężne do rozglądania się swobodnie po zwiedzanym kraju. Przeciwnie podróżowałem jako misyonarz z wytkniętym z góry celem, a spisywałem, co się nadto przy sposobności postrzedz udało. Rzecz prosta, że mnie przedewszystkiem strona religijna i obyczajowa zajmowała; ale niepodobna w Ameryce nie dotknąć strony politycznej, już dla tego, że urządzenia tutejsze odmiennością swoją uderzają Europejczyka, już przeto, że atmosfera polityczna tak tu przeważnie panuje, że każdy, chętnie czy niechętnie, poczuć ją musi.

Gdybym się w czym pomylił, nie byłoby dziwo; choć tuszę sobie, że grubo przynajmniej się nie pomylił; już to może w skutek nabytego w częstych podróżach pewnego daru postrzegania, już dla tego, że rozpytywałem się sumiennie, tak Europejczyków dawniej tu osiadłych jak Amerykanów rodowitych, i czytał nadto ich książki i dzienniki.

A naprzód, jeżeli kogo zdziwiła różnica pomiędzy opisywanym przezemnie zbytkiem i zepsuciem miast wielkich, obok prostoty zwyczajów i życia u właścicieli bogatszych nawet na prowincyi, niech pamięta, że Stany Zjednoczone nie są bynajmniej krajem jednolitym jak na przykład Fraucya lub

Niemcy. Powstały one ze zlewku wszystkich narodowości europejskich, choć nie przeczę, że rasa anglo-saxońska inne pochłania, modyfikując się jednak w stosunku przymieszki żywiołów obcych, rodzaju zajęć i życia. Przeliczne też i przeróżne są wyznania religijne w Zjednoczonych Stanach; choć dziki purytanizm panujący zrazu w *New-England* albo północnych Stanach pierwotnych, wyrzył typ swój duchowny twardego fanatyzmu na reszcie mieszkańców, fanatyzm ten przechodzi obecnie w *infidelism* albo niedowiarstwo, wyraz jednak twardości i suchości, w duszach i na twarzach pozostał.

Nadto, gdy cywilizacja materyalna i pewny porządek społeczny, panują w starych Stanach nadatlantyckich, hordy opryszków i oszustów posuwają się wraz z nowymi drogami i bez dróg nawet ku oceanowi spokojnemu, i tworzą zrazu społeczeństwo bez rządu. Karczownicy *pioners* sadowią się po stepach i lasach głębokiego wschodu, długie lata odludnie i dziko mieszkając, i dzicząc rzeczywiście. Jeden z braciśzków naszych, który podrostkiem, zbiegał za chlebem większą część Ameryki północnej a mianowicie one nowe kolonizujące się Stany, opowiadał mi, iż widział jak rodzina osadnicza, złożona z trzech pokoleń, mężczyźni i niewiasty chodzili kąpać się pospołu do rzeki nago i bez najmniejszego sromu: na miejsce Indyan wyniszczonych, sami zostają Indianami. Ztąd pochodzi, że Europejczycy czytając po dziennikach, że pięść i rewolwer, są władzą prawodawczą i wykonawczą, w rozmaitych miejscach Stanów Zjednoczonych, wyobrażają sobie, że tak się dzieje w Nowym-Jorku, Fdadelphii lub Bostonie: tymczasem rzeczy takie dzieją się po osadach i miasteczkach nowych *terytoryów* jeszcze nieurządzonych, nie przeto by we wspomnianych i innych wielkich miastach nie było jak w Europie armii całej oszustów i złodziei (którzy w znacznej części z Europy też przybywają): ale jest w nich policja i są trybunały. A zatem pamiętać trzeba, powtarzam, że Stany Zjednoczone, są mozaiką ułożoną z kamieni bardzo różnej wartości, ogłady i rozmiarów.

Zwracam jeszcze waszą uwagę na żywioły, z jakich powstały pierwsze kolonie w Ameryce: była to prawie Syberia angielska. Gubernatorowie ówcześni skarżyli się, że im rząd samych łotrów przysyła z matki ojczyzny. Ledwo jedna dziesiąta część porządnych ludzi tu przybywa, pisał jeden spół-

czesny ¹⁾, a i sami urzędnicy nie zawsze byli lepsi: owszem zdzierstwa ich i nadużycia były jedną z pobudek do oderwania się tych kolonij od starej Anglii. Sama tylko religia, wychowując nowe pokolenia, mogła być przetworzyć takie społeczeństwa; ale jak sami pisarze protestanczy świadczą, tacy tylko ministrowie przybywali do nowych kolonij, którzy dla braku zdolności i cnoty, nie mogli znaleźć pomieszczenia i wyżywienia w starej ojczyźnie. Łatwo pojąć, że tacy ludzie przybywając do Ameryki, o tem tylko myśleli, jakby się najprędzej zbożać, uposażyć w domy, ziemie i t. d. Dziwić się owszem i dziękować Bogu trzeba, że z takich żywiołów, wcześniej nie powstało gorsze jeszcze społeczeństwo, jakim jest obecnie i codzień się staje, po rozkładaniu się i psuciu w ciągu wielu pokoleń. Obecnie jest to społeczeństwo chciwych materyalistów, dążących do nabycia coraz więcej i coraz prędzej; nieprzebierających w środkach, niszczących niemiłosiernie wszystko, co im po drodze zawadza. Niszczących:

1. Indyan, gościnnych właścicieli ziemi, do której pierwsi koloniści angielscy żebrakami przybyli.

2. Murzynów, których Anglicy sami do kolonij swoich sprowadzili, a których gwałtowna emancypacja zniszczyć jednak może i prawdopodobnie zniszczy. Niszczących już:

3. Ludzi rasy białej, i gotowych niszczyć ich dalej.

4. Niszczących sami siebie, nie tylko na duszy ale i na ciele.

5. Niszczących nareszcie samą przyrodę.

O tym pięciorakim kierunku niszczącego ducha Amerykanów północnych, choć pokrótce, powiedzieć nieco wypada,

¹⁾ Mówiąc o przeszłości, słusznieby poprzeć twierdzenie moje dowodami, wszakże, by nie obciążać tej pracy lekkiego autoramentu długimi cytataми, które zresztą przy braku składowczy i poprawiaczy angielskich, stają się niezrozumiałemi, porzestane na przytoczeniu jednego ale klasycznego dzieła pod tytułem: *Christian Missions; Their Agents, and their results.* by T. W. M. Marshall. 2. vol. third edition. New-York: Bet J. Sadtler et Con., 31. Barclay Street. 1870. Znakomity ten pisarz porównywa zasoby, środki i owoce misyj tak katolickich jak i protestanckich po całym znanym świecie, opierając się na wyznaniach samych tylko pisarzy protestanckich: a jakkolwiek to porównanie zabójczem jest dla protestantów, nikt mu z nich zaprzeczyć lub fałszerstwa dowieść nie zdoła.

a następnie łatwo przyjdzie wyciągnąć horoskop tego narodu.

I. *O tępieniu Inclyan* przez Amerykanów północnych wspominaliśmy już mimochodem tak w dawniejszych jak w obecnych naszych listach. Ale zbrodnia ta, dopełniana przez wieki na zimno wobec Boga i świata całego, tak jest okropna, tak niesłychana, że nie można dosyć o niej mówić, bo nie można dosyć jej potępić.

Tak purytanie w Massachusetts i na Hudson-rywer, jak anglikanie w Wirginii zostali najserdeczniej przez Indyan przyjęci, którzy nawet ze zgłodniałymi przybyszami, szczupłymi swymi zapasami żywności, chętnie się zrazu dzielili, i gruntów im swoich za bezcen ustępowali. Gdy Anglicy zapuszczali się w głąb kraju, Indyaue strzegli ich okrętów jak żrenicy oka. Gdy w skutek jakiegoś nadużycia przybyszów młodzież miejscowa cbiała się pomścić, królowa potajemnie połamała im strzały, aby zamysłu swego wykonać nie mogli. Otóż *ewanyidyczni* ci koloniści jak skoro cokolwiek się wzmochnili, zaczęli gospodarzy swoich obdzierać i z domu wypędzać. A jeżeli krajowcy broniąc się, choćby jednego z białych zabili, natychmiast ci bez litości namioty ich i zapasy żywności, i to nieraz w środku zimy palili, mordując do szczytu starców, dzieci i bezbronne niewiasty. Niecbiw, że się Indyanie przy sposobności mścili; ztąd nowy powód dla *bladych twarzy*, aby ludzi czerwonych znowu mordowali i w głąb kraju wypychali. Predykanci protestanczy stosowali do biednych Indyan wyrok zagłady na grzesznych Chananejczyków wydany przez Jehowę i pobudzali Anglików do mordu, i sami biednych dzikich zabijali i *skalpowali*. Tak czynili Amerykanie, zależąc od Anglii, tak czynili i czynią będąc już niepodległymi. Ze 20 traktatów zawierali z naczelnikami Indyan, i nigdy ich nie dotrzymali. W miarę postępującej kolonizacji ludzi białych, musieli się Indyanie cofać w nowe pustkowia; a i tych im jeszcze nie dosyć najezdcy zostawiali, aby pokrzywdzeni właściciele ziemi, mogli znaleźć sobie dostateczne pożywienie. Jeżeli z głodu skradną lub zrabują, znowu ich biali tępią i w ciśniejsze coraz stepy przepędzają. W czasie mego ostatniego pobytu garstka opryszków cywilnych, napadła w nocy koczowisko kobiet indyjskich, śpiących bezpiecznie pod opieką stacyi wojskowych Stanów Zjednoczonych i nie-

miłosiernie je wymordowała. Oburzony oficer, komendant tej stacyi, zaniósł skargę do władz wyższych, dzienniki przez kilka dni miały o czem pisać; ale i na tem też się wszystko skończyło. Obok żelaza używają też Amerykanie do tępienia biednych dzikich rozpalających napojów. Zapomogi dawane przez rząd wydziedziczonym Indyanom są także krwawą ironią; bo grosz, który dostaną, wraz od nich kupcy wyłudzą za wódkę i arak, tak że z niczem do swoich namiotów wracają, i mrą potem głodem wraz ze swemi rodzinami. Co więcej, chciwość białych nie cofa się przed trucizną dla rychlejszego wytępienia Indyan: i tu już muszę cytować, bym nie był posądzony o stronniczość i przesadę. Pan Juliusz Froebel pisze w r. 1859 co następuje: „Faktem jest, że biali próbowali zatruć *całe pokolenia* Indyan; i ja sam słyszałem nie raz rozprawy nad tem zadaniem, jakby to w najlepszy sposób wykonać. Historia, o zamierzonym zarażeniu ospą odległych pokoleń indyjskich, obiega po wschodnich stanach, i słyszałem ją opowiadaną ze wszystkieni szczegółami.¹⁾ *Seven Jears in Central Ameryca ch. V. p. 272.* Pan Hopkinson (przytoczony przez Macdonalda: *British Columbin et. Ch. Y. p. 133*) mówiąc przed se:latem amerykańskim z powodu wojny toczonej w Florydzie, i o jej zgubnych następstwach, uczynił następne wyznanie: „Początek tej wojny jest ten sam co wszystkich naszych wojen indyjskich. Leży on, bez możności wykorzenienia go, w ciężkich krzywdach jakiemiśmy obsypali nieszczęśliwe pokolenia tych krajów. Trzysta lat spłynęło w łono wieczności, odkąd biały człowiek postawił stopę na tych wybrzeżach, a każdy dzień, godzina i chwila każda, naznaczone zostały jakimś aktem okrucieństwa i ucisku,... uważam los Indyan za rozstrzygnięty ostatecznie. Muszą oni zginąć. Wyrok zagłady od dawna wydany a wykonanie jego szybko postępuje. Chciwość, mości panowie, policzyła liczbę akrów ich ziemi i obliczyła ich siły; siła i chciwość kroczą wspólnie ku ich zagładzie.” W r. 1861, jeden z najznakomitszych protestanckich kaznodziei w Ameryce, tak ocenił wobec swych słuchaczy tę nieodpokutowaną winę, z której ostateczna liczba rychło musi być zdana: „Naród nasz grzeszniejszy jest od jakiegokolwiek bądź innego narodu. Zbrodniczem obchodzeniem się z Indyanami wywołuje ciężki wstyd. *Wszelkiej zbrodni wypisanej w kalendarzu dopuszczono się na niej.*

Powolne prześladowanie, łamanie każdego traktatu z nimi zawartego gdy to nam było korzystnem; i rabunek ich ziemi" *).

Zbytecznemby było rozwodzić się dalej nad tym przedmiotem. Sam obecny prezydent Stanów Zjednoczonych, pan Grantt, w ostatnim messażu zapowiedział, że jeżeli Indianie nie poddadzą się rozporządzeniom rządowym, muszą zginąć. Tak protestanci anglo-amerykańscy, najechali i wymordowali systematycznie naród cały: z tysiąca ludków rozmaitych, dziś już bodaj i trzysta tysięcy głów nie zostało. A tymczasem żyją miliony Indian i w południowej i środkowej Ameryce, równie jak w Kanadzie; Indian nawróconych przez misyonarzy katolickich, osiadłych* i cywilizowanych. Sam protestancki misyonarz Prytchard wyznaje, że to porównanie opromienia katolików, a na nich gruby cień rzuca.

II. Ten sam amerykański duch zniszczenia grozi czterem milionom Murzynów zamieszkującym obszary Zjednoczonych Stanów. Osadnicy angielscy, pierwsi sprowadzili czarnych do Wirginii, i przeto rozmnożyli się oni najliczniej w Stanach południowych, choć jak byli tak są rozproszeni i na północy. Rząd angielski cierpiał przez parę wieków niepoczciwy handel Murzynami, w końcu ruszony jakimś punktem honoru, handlu tego zakazał, i Murzynów po swoich koloniach pospiesznie i bez uprzedniego przygotowania usamowolnił. Wszakże i na tej filantropicznej czynności chciał zarobić, bo przyznał sobie prawo do rewidowania okrętów obcej narodowości (mianowicie na brzegach afrykańskich), czy czasem nie wiozą Murzynów na sprzedaż. I purytanie Stanów północnych Ameryki, nie radzi, że się Europa przymówiła o opiekę nad niewolnictwem, sprzedawszy ostatniego Murzyna właścicielom wielkich plantacyj na południu, zaczęli gwałtownie na nich nastawać, aby Murzynów swoich usamowolnili. Aby przygotować, to jest oszukać opinią, puścili w świat sławny romans pani Beecher-Stoye, żony predykanta metodysty „*Strzecha stryja Tomasza*” a wywoławszy opór w południowcach, w imię źle zrozumianego punktu honoru, i obrony prawa własności, doprowadzili rzeczy aż do wojny domowej. Zgniółłszy południowców, pomimo czteroletniego oporu pięciu milionów ludno-

*) Rev. Henryward Bucher przytoczony w Ney.York. Evening-Express Januar 5. 1861.

ści przeciwko trzydziestu, usamowolnili cztery miliony Murzynów, bez przygotowania ich do używania tej wolności, i ma się rozumieć, bez najmniejszego wynagrodzenia dla dawnych właścicieli. Można by o tych biednych Murzynach to samo powiedzieć, co rzekł minister Badeni za czasów Księstwa Warszawskiego o usamowolnieniu przez Napoleona I, naszych pocziwych wieśniaków, bez nadania im własności: „zdjąłci im dyby, ale i z butami.” Niewolnictwa pewno bronić nie myślimy, i już w listach z pierwszej naszej podróży do Ameryki oświadczyliśmy, iż żałujemy, że południowi właściciele nie zaczęli na czas, i stopniowo, wyzalać Murzynów swoich, dając pierwszeństwo najlepszym i najpojętniejszym. Chcemy tylko protestować przeciwko potwarzom pani Beecher-Stoye, jakoby Murzyni jęczeli przed emancypacją pod jakąś dziką tyranią. Nadużycia są wszędzie, i przy wszelkim ustroju społecznym; samolub, silniejszy, zamożniejszy, przebieglejszy, znajdzie zawsze sposób ukrzywdzenia słabszych; ale w ogólności stosunek pomiędzy Murzynami a ich panami, był patryarchalny i ojcowski. Pisarze poważniejsi od pani Beecher-Stoye a protestanci także, dziwili się szczerze, na widok czułości macierzyńskiej, z jaką panie *białe* pielęgnowały czarnych niewolników swoich w chorobie, po szpitalach przez nie same pozakładanych. Anglicy europejscy mianowicie, patrząc na pokarm i odzież murzynów, wyrazili życzenie, aby niewolnicy biali, to jest robotnicy w ich ojczyźnie, równie dobrze się mieli. Najlepszym dowodem, że w ogólności srogości nie było, jest najprzód to, że po emancypacji gwałtownej, pomimo poduszczeń, i zapewnionej bezkarności mało się zdarzyło zemst osobistych; powtóre, że dawniejsi niewolnicy powszechnie zostali dzierżawcami i służącymi u byłych panów swoich.

Że chrześcijańska miłość bliźniego nie pobudziła bynajmniej Amerykanów z północnych Stanów, do wyzwolenia Murzynów, najlepszym tego dowodem, że podziśdzień pogarda dla czarnych większa jest na północy niż na południu; a to pomimo praw policyjnych, które się nimi opiekują; i pomimo względu, że Murzyni powszechnie głosują z republikanami, czyli radykalistami przeważającymi na północy, przeciw demokratom, czyli konserwatorom, do których południowcy ogólnie należą. Co więcej, po kościołach nawet widoczna ta pogarda

na północy. Wszystkie sekty protestanckie, mają zwykłe osobne lokale dla Murzynów; tymczasem na południu, przynajmniej po kościołach katolickich, mianowicie po mniejszych miejscowościach, gdzie tylko jeden jest kościół, widać podczas nabożeństwa pomieszanych czarnych z białymi. Jeżeli "ci ostatni, starają się trzymać od nich w pewnej odległości, tłumacząc to stroniem ostrym zapachem potu murzyńskiego. Twierdzą zatem, że Amerykanie północni nie wyzwolili czarnych z miłości do nich, ale z nienawiści do swoich plemienników na południu, aby ich zrujnować, nie tracąc sami grosza na tej emancypacji. A jakkolwiek nie śmiem twierdzić, że zamierzali sobie z góry sprowadzić drogą tej gwałtownej emancypacji zniknięcie niepotrzebnej już sobie a obrzydłej rasy czarnej, w praktyce lękać się można takiego następstwa. Katolicy Murzyni wprowadzić stopniowo się ucywilizują, ale bodaj że większość protestanckich w skutek pijaństwa i rozpusty pomału niknąć będzie, jak już rzeczywiście na południu liczebnie maleje. Jeden bowiem tylko kościół katolicki ma łaskę daną sobie od Boga dźwigania ras najbardziej upośledzonych; w ręku protestantów barbarzyńcy psują się jeszcze bardziej, i w końcu nikną. Wzmiankowane przez nas dzieło Pana Marshal, dowodzi zwycięzko tego faktu na całej kuli ziemskiej. A zatem, czeka prawdopodobnie i czarnych zagłada z rąk mniemanych ich dobrodziejów, z rąk Anglo-Saxonów amerykańskich.

III. Ten sam duch niepohamowanej chciwości i to przekonanie, jak się jeden pisarz protestancki wyraża, że się ziemia Amerykanom należy, pędzi ich do niszczenia samejże rasy białej: a to niszczenie zaczęło się na rasie meksykańskiej w skutek podboju dwóch wielkich prowincyj, nowego Meksyku i Teksas. Łagodna ta rasa, mocno indyjską przemieszana, usuwa się stopniowo, i topnieje pod naciskiem gwałtownych szalbierzy z północy.

b. System exterminacyjny zastosowany został na szeroką skalę w południowej części samych Stanów Zjednoczonych w czasie i po skończonej olbrzymiej wojnie domowej. Wskazaliśmy w listach poprzednich, że wojna domowa może się powtórzyć z kilku powodów: religijnych, politycznych lub socjalnych, nie tylko na południu ale i w reszcie Stanów Zjednoczonych.

c. Jakkolwiek rozsądniejsi lękają się dalszego rozpościerania się ku południowi, już dla nieobarczania się obcemi żywiołami, już dla niepopadnięcia w miękkość i gnuśność, do jakiej sam klimat gorący pobudza, niemniej przemagający duch chciwości, w mnóstwie awanturników, pędzi ich naprzód w tym kierunku i w końcu przemoże. Już teraz czychają na Kubę, później zechce się wszystkich Autyllów; potem środkowej, a nareszcie i południowej Ameryki aż po Patagonię. Jedno, co może zbawić rasę łącińską¹, to wyleczenie się na czas z trucizny niedowiarstwa i zasad rewolucyjnych przejętych z Europy. Szczęściem, że ruch ten zwrotny już się zaczął. Jest poczucie i są próby związania się w silną konfederację.

IY. Co więcej rasa północna amerykańska niszczy samą siebie.

a) Wycieńcza się na siłach gorączkowem życiem z chciwości. Amerykanin rzadko je spokojnie i strawi spokojnie przyjęty pokarm; ztąd choroby żołądkowe powszechne. W^r skutek nieumartwienia i nieprzezwyćżania się w niczem, nie umieją ścierpieć upału: więc spoceni siadają na przeciągach, lub się rozbierają do koszuli, albo też czynią jedno i drugie, i ztąd reumatyzmy powszechne u nich. Szukałem powodu upodobania Amerykanów w zakładaniu nóg wysoko? Zapewniano mnie że to czynią, aby krew odpływała od zreumatyzowanych ich stóp i goleni. W skutek tegoż nieumartwienia i chęci zarabiania bez przerwy, nie mają cierpliwości w chorobie; i dla tego na lada dolegliwość, używają najtęższych środków lekarskich i nie znają konwalescencji; bo oni o tyle dbają o życie, o ile żyjąc mogą zarabiać.

b. Wspomnieliśmy już, że Amerykanin nie ma pojęcia umartwienia chrześcijańskiego. Zamiast walczyć z potróją pożądlivością *ciała, oczu i pychy żywota*, wyłącznie jej hołdują; i *comfort* jest dla nich tylko *minimum* używania: mówię tu zawsze głównie o wielkich miastach. Ztąd przedwczesne i gorączkowe szukania sensacyj przyjemnych, życie sztuczne i przyspieszone jakoby w cieplarni, ztąd niszczenie organizmu zanim się on rozwinie, a następnie starość przedwczesna i choroby piersiowe mianowicie u niewiast. Mężczyznom alkohol, tytoń i wszystkie korzenie i narkotyki, już bodaj nie wystarczają. Sądzę, że człowiek nowożytny, tak

w Ameryce jak w Europie, pomimo całej pychy i pretensyi do ciągłego postępu, skończy jak Chińczyk na opium; coraz więcej fenomenów wskazujących, że tej pysznej nowożytnej cywilizacji materialnej, grozi *marasmus senilis*.

c. Pomijam choroby społeczno-obyczajowe: wielożęstwo coraz częstsze, nieplodność dawnych rodzin amerykańskich, i w ogólności okropna zgnilizna obyczajowa (za świadectwem tutejszych moralistów) staranniej tylko niż w Europie ukrywana: bo o tem i mieliśmy już sposobność napomknąć i długo mówić przykro. Ale czego zamilczeć niepodobna, to świeżego odkrycia, że amerykańskie szkoły niekonfesyjne, (które dziś sekciarze w Europie rozpowszechniają) prowadzą wprost do najstraszniejszej rozpusty nawet w stolicy purytanizmu.

Dziennik *Herald*, wychodzący w Bostonie, w numerze swoim z 20 października zeszłego roku, zawiera artykuł wielce godny uwagi o stanie szkół publicznych w Zjednoczonych Stanach. Wiadomo, że te szkoły urządzone podług planu wolnych myślicieli, przeznaczone są dla dzieci wszelkich wyznań, a religii jakiegokolwiek bynajmniej tam nie uczą. Podajemy wyjątek z tego artykułu:

„Co rok naczelnik policji ogłasza statystykę prostytutki w tem mieście; ale jakże mało obywateli rzuci obojętnem okiem na obraz nędzy, jaką im ten wykaz przedstawia! Jakkolwiek te liczby są dosyć wymowne, aby przejąć wstydem i smutkiem serce ludzkie, pewni jesteśmy, że widzimy tylko słabe przedstawienie rozpusty i niemoralności panującej we wszystkich klasach społeczeństwa.

Kilka miesięcy temu profesor Agassiz, którego wartość naukowa znana każdemu, chciał zgłębić osobiście ten przedmiot, a co ujrzał, przejęło go zgrozą. Sondując przepaść spodlenia, w jakie popadli mężczyźni i niewiasty, zaczyna rozpaczać o tyle zachwalonej cywilizacji 19 wieku.

Przebiegł jaskinie rozpusty, już publicznej, już prywatnej, rozszerzonej po wszystkich kątach miasta. Oświadcza, że spisał katalog każdego z tych haniebnych domów i ich mieszkańców, że dowiedział się czynów zdolnych wywołać osłupienie w publiczności, gdyby jej były wiadome.

Rozmawiał swobodnie z nieszczęsnymi ofiarami zepsucia, i dowiedział się przyczyn, które je do zguby doprowa-

dziły. Z wielkim swoim zdziwieniem, większa część tych *gołębic zbrukanych przypisywała swój upadek wpływowi, jaki na nich wywarły szkoły publiczne*; jakkolwiek Boston słusznie jest dumnym ze szkół swoich (?) widocznem jest dla niego, że one potrzebują reformy. W większej liczbie tych szkół, książki i ryciny najsprośniejsze są w obiegu wśród dzieci płci obojej.

Tajemnica, z jaką sobie ich udzielają, dodaje im uroku nieprzepartego a dla pana Agassiza nie pozostaje najmniejszej wątpliwości, że większa liczba chłopców i dziewcząt posiada egzemplarze takich publikacyj, których sobie nawzajem pożyczają. Łatwo sobie wystawić następstwa koniecznie ztąd wypływające: najobrzydliwsze praktyki i stosunki. Złe to nie gnieździ się w samym tylko Bostonie, rozlewa się po innych miastach i po wsiach nawet.

Kilka lat temu zaledwo, drugie miasto Massachusetts przerażone zostało odkryciem, że jedna ze szkół była teatrem rozwiozłości, i że dzieci obu płci miewały tam umówione schadzki. A świeżo temu podobne zgorszenie się powtórzyło, ale władze nie chciały mu dać rozgłosu, aby szkoła nie została opuszczoną (!). Te wypadki dowodzą, że rodzice i nauczyciele nie dopełniają obowiązków swoich względem dzieci sobie powierzonych." My powiadamy, że dowodzą daleko więcej.

Y. Nie dość, że Amerykanie siebie sami niszczą, oddani przedewszystkiem przemysłowi, psują oni jeszcze samą przyrodę. Od lat kilku dziesiątków coraz więcej klęsk dotyka ziemię. Cholera, choroba na bydło, choroby kartofli, zboża, wina, jedwabników dawniej nie znane: brak regularnych pór roku, gradobicia, uragany, trąby powietrzne, trzęsienia ziemi, tam gdzie nawet dotąd nigdy nie bywały. Ludzie biorą te wypadki za fenomena przechodnie, nie sumują ich wszystkich razem, by w nich nie uznać znaków chłosty Bożej: a tego właśnie przypuścić nie chcą, musieliby bowiem zmienić swoje fałszywe, materyalne, pogańskie życie. Badajmy zatem, czy ludzie nie mają w tych fenomenach udziału, czy się do-nich przynajmniej nie przyczyniają. Przy dokładniejszym poszukiwaniu, znajdziemy, że działanie przemysłu, tego głównego czynownika chciwości i zmysłowości nowożytnej, nie tylko do-

sięga rodzaju ludzkiego, ale też zwierząt i roślin a nawet atmosfery, a przez nią ogólnej substancji naszego planety.

Jednym i może najgłówniejszym powodem perturbacji żywiołów jest trzebieenie lasów.

Wprawdzie Turcy dali nam pierwszy przykład, wypalając ogromne bory, by sobie pastwisk przyczynić. Trudno powiedzieć, czy koczujących Arabów wyłączna wina, że Liban dawniej gęsto cedrami porosły, dziś został prawie skalistą pustynią; że Palestyna, Syrya, Mezopotamia i inne pasy tak środkowej Azji jak północnej Afryki, niegdyś żyzne i ludne kraje, dziś przeszły w prawdziwe stepy. Nie dziwimy się, że w naszej Europie, mianowicie środkowej, Francuzi w skutek rozdrobnienia gruntów podczas wielkiej rewolucji; Niemcy, szczególnie też kraje austriackie, od czasu reform Józefa II, podziału wielkiej własności, pomnożenia osad, opalania licznych fabryk drzewem; nie dziwimy się, mówię, że w naszej ciasnej i przeludnionej Europie lasy zostały wytrzebione. Ale co dziwniejszego, że w wielu miejscowościach północnej Ameryki brak lasów już się czuć daje. Nie winujemy ich za wielkie straty, jakie w tej mierze ponieśli przez pożary w r. 1830 i pod koniec zeszłego roku, gdy się lasy paliły od Stanu New-Jorskiego do Minesotty na obszarze większym niż cała Francya; oskarżamy jedynie kał'czowników amerykańskich i przemysłowców tępiących niemiłosiernie odwieczne bory.

Ludzie powszechnie myślą tylko o potrzebie paliwa i budulcu, a nie pamiętają, że las jako las niezbędny jest, mianowicie też w okolicach górzystych. W skutek obnażenia gór z lasów traci naprzód śnieg swą obronę, przeciw pierwszym gorącym promieniom wiosennego słońca. Gdzie on sobie dawniej miesiącami jeszcze spokojnie leżał, gdy z płaszczyzn oddawna był już zniknął, i swem stopniowem topnieniem roślinność orzeźwiał, źródła karmił, mało ciepłika atmosferze zabierając; teraz musi cały nagle spadać; a spadając w czasie, gdy wegetacya jeszcze nie rozwinięta, porywa ze sobą dużo dobrego humusu. Podobny skutek sprawiają deszcze letnie, gdy zamiast spadania jak dawniej na gęste lasy, spływają hurtem na otwarte pola, gdzie gęstwina, trawa, iglice lub liście pędu ich nie przetrącają. Tak góry łysieją, źródła wysychają, rzeki pomniejszają się, powodzie bywają coraz

częstsze i gwałtowniejsze. Z tego com widział na własne oczy, mogę wnosić na daleko więcej gdzieindziej.

I atmosfera cierpi na tem wytrzebieniu lasów. Powietrze traci czynny środek oczyszczający przeciw szkodliwym wyziewom, co się szczególnie sprawdza na lasach iglicowych. Gdzie lasy wytrzebione, nie podobna trzymać zarybionych stawów, stojące wody bowiem febrę sprowadzają. Elektryczność traci także jeden z dobrych przewodników dany od przyrody; pola tracą obronę przeciwko wiatrom. Sądzę, że nagłe zmiany w temperaturze i złagodzenie zimna na północy, powiększenie chłodu na południu, tak w Europie jak w Ameryce, trzeba głównie przypisać wytrzebieniu lasów.

Prawdopodobnie jeszcze jedna klęska spadła ztąd na świat, choć mało kto na to zwraca uwagę. Mnóstwo małych śpiewających ptaków straciło miejsce pobytu i schronienia. Że te ptaszyny tępią ciąglem swoim grzebaniem i dziobaniem nieskończoną liczbę szkodliwych owadów, jest rzeczą powszechnie uznaną. Ale czy nie niszczyły one także nieodśięgłych oku ludzkiemu żyjatek i kryptogamów, które z ubytkiem swoich prześladowców rozmnożone, a nie znajdując pokarmu w lesie, czy nie rozlały się po polach niszcząc rośliny, sprowadzając chorobę kartofli, winnic i t. d.? Wprawdzie nie można tych pytań ostatecznie rozwiązać, ale znów podejrzenia nasze mają za sobą dużo prawdopodobieństwa.

Drogi żelazne, żegluga parowa i fabryki, zużywając lasy wywołały potrzebę węgla kamiennego: a czy rozwinięte olbrzymio od lat 50-ciu tego rodzaju paliwo nie wpływa na atmosferę bliższą a następnie na zdrowie ludzkie? czy oświetlanie gazem i nieoczyszczoną kamfiną nie sprawia równie zgubnych skutków?

Ale co prawdopodobnie daleko szkodliwiej działa na atmosferę, to przetrącenie elektryczności powietrznej ziemskiej, liniami kolei żelaznych i telegrafów, która już i tak przez ubytek lasów, ważnego regulatora utraciła. Długie przewodniki, najlepszego rodzaju, przeryniają Amerykę we wszystkich kierunkach, a pod morzem stykają się z innemi, w dalszych częściach świata. Burza wprawia wszystkie druty w ruch nieregularny od Nowego Jorku do San-Francisco: piorun może uderzyć w Bostonie, a w Nowym Orleanie pożar sprowadzić. Jak potem przyjąć, że to wszystko może się obyć bez wa-

znego zwichnienia, owszem bez rozsadzenia całego systemu atmosferycznego ?

Zwróćmy teraz uwagę na świat roślinny. Amerykanie w New-England i koloniści europejscy prowadzą rolnictwo poprawne. Owoż wiadomo, że ono się opiera głównie na nawozie. Prawdą jest, że wszelkie zwierzęce ostatki assymilują się z humusem i służą za pokarm mającym na nim zejść roślinom: jak prawdą jest że żadna substancja w przyrodzie nie ginie, jedno że się wszystko przeistacza. Ale czy dawniej obchodzono się z nawozem podobnie jak dzisiaj, gdy się przymusza gwałtem ziemię do wydawania, posypując ją masą zwierzęcych ekskrementów, nawet dokładnie nie rozłożonych.

Ostatki browarów, guano, potaż, kompost i inne najsilniejsze środki gnojenia w nowszych czasach bywają używane. A więc gdy znaczna część zboża w taki sposób się rodzi, i tak zrodzone podobnie się rozplądza, trudno przypuścić, że chleb z takiego zboża nie wpływa na zdrowie pospolite. Karmienie samo bydła i koni jest równie sztuczne, a następnie i mięso jego i mleko mniej zdrowe i choroby bydłace powszechniejsze. To pewna, że gdy zeszłego lata objawiła się śmiertelność koni po wielkich miastach Zjednoczonych Stanów, konowały nie znaleźli innego środka, nad poradzenie zmiany karmu, to jest nad powrót do normalnego.

Obejrzyjmy się jeszcze raz na najważniejszy czynnik w alitacji człowieka, to jest na wodę. Że jej co raz mniej i coraz mniej dobrej, tośmy już widzieli. Ale jaki wpływ na wodę do picia wywierać musi zwyczaj spuszczenia do rzek kloak miast kolosalnych? jaki wpływ wywierają brudne wody z fabryk i pralni? a jaka ztąd szkoda dla zdrowia ludzkiego?— niewątpliwie większa, niż zwykle przypuszczamy.

Pomijam, że dwa arcyważne zasoby żywności, ryby i zwierzyna, do coraz mniejszych rozmiarów są sprowadzone; a inne zanieczyszczone i zepsute. Więc gdy rodzaj życia jest inny, i wyziewy ogólne inne być muszą; co też bez wpływu na atmosferę i powietrze być nie może.

Przez jeszcze zwracamy na ten fakt uwagę: że od niejakiego czasu burze bywają częstsze i złośliwsze niż dawniej pioruny i grady niekiedy codzienne, częstsze powodzie i trzęsienia ziemi, meteory przeróżne coraz pospolitsze, powietrze coraz bardziej anormalne i niestałe: pory roku nie chcą



się już ani zaczynać ani kończyć. Rzecz widoczna, że się machina tego świata starzeje, pleśnią i mchem porasta. Jęczy przyroda, mówiąc ze świętym Pawłem, pod tyranią zepsutego a zużytego Pana swego, i wzdycha za swym wyzwoleniem.

Wiele z tego cośmy dotychczas powiedzieli, tyczy się też naszej starej Europy, ale wydatniejsze jest, w tej niby młodej Ameryce; nie ma tam jak u nas siły oporu w podaniach i nazwyczeniach, i przeto pęd ku rozkładowi społeczeństwa chrześcijańskiego daleko tam pospiesniejszy. Zresztą mówię obecnie o tak zwanym nowym świecie.

Tak Amerykanie północni, (mówię zawsze o wydatnej ich części, dającej pęd i kierunek duchowi ujemnemu tej rasy); tak Amerykanie północni, gnani naprzód duchem chciwości bez serca i wnętrzości, niszczyli od początku, i dobijają rasę miedzianą albo czerwoną, autochtonów tej ziemi, Indyan. Jeden z urzędowych rzeczników protestantyzmu przyciśniony sumieniem wykrzyknął w dobrej chwili lat temu 50: „przebóg! ileż ma nasz naród do odpowiedzenia przed trybunałem rozdawniczej sprawiedliwości" '). Ciż Amerykanie wystawili następnie, jakeśmy widzieli, niedoroslą rasę Murzynów na niebezpieczeństwo zagłady, pozostawiając ją samej sobie. Niszczą obecnie rasę białą, niszczą samych siebie, psują i niszczą przyrodę. Pełni siły przedsiębiorczej, gorączkowej i nieustającej energii, bogaci w odkrycia na polu materyalnem i przemysłowem, przy rosnącym niedowiarstwie i bezbożności, Amerykanie północni są i stają się coraz bardziej rodzajem olbrzymów, nemrodów epoki chrześcijańskiej, narodem najbardziej przygotowanym do przyjęcia antychrystyzmu; gdy bowiem w Europie solidaryzm dopiero kiełkuje, w Ameryce północnej są już blisko dwie trzecie części ludności niechrzczonej, lub praktycznie niechrześcijańskiej, pomimo przymusowego święcenia niedzieli.

Jaka będzie przyszłość tego narodu?

Ciężkie zaprawdę, ciężkie są jego rachunki ze sprawiedliwością Bożą: to też i chłosty spadające mają coś olbrzymiego. Jakże przestraszny był ów zeszłoroczny pożar lasów!

" ') „*Alas whai lias not our nation to ansver for, at the bar of retributive justice!*”

Dzienniki polityczne nawet widziały w nim coś nienaturalnego. Kłęby dymu i iskier podnosiły się z ziemi i spadały na zamieszkane osady; snopy płomieni przelatwały wielkie jeziora i zapalały miasta. A ona straszna pożoga Chicago, w której pogorzalców ocalonych słota i zimno dobijały; a odbudowane po miesiącu domy nowy uragan obalił. Grożą temu krajowi, jakeśmy wspomnieli, zdaniem naszym, wojny domowe (a będą dzikie i straszne), wojny socyalne, wojny polityczne i prawdopodobnie wojny religijne.

Zkąd tedy ratunek? Odpowiedział na to pytanie prorocznie jeden pisarz protestaucki wołając: „Tarczą naszą jest wiara katolicka” *The Catholic Faith is the shield of America* ¹⁾. Zaprawdę wiara katolicka jest już obecnie tą tarczą; ale gdy katolicyzm oczyszczony i wzmocniony prześladowaniem, wyleczy się z naleciałości duchowych Ameryki, rdzennie protestanckiej i kupieckiej, i porośnie bogaciej w doktorów i świętych; o! wten czas podwójnie kościół nasz będzie tarczą zbawienia dla tego kraju. Dziwna, że główny organ polityczno-protestancki w tym kraju sam to bez ogródki wyznał: „Jeżeli religia, mówi, ze swymi nieśmiertelnymi obietnicami ma się ostać na świecie, a zimne niedowiarstwo (raczej pogaństwo, *infidelity*) niema zalać całej Europy i Ameryki, nic innego nie pozostaje, jedno powrót do Kościoła katolickiego.” (*New-York Herald quoted in Morning-Star, Aug. 23. 1859*). Fiat — Amen.

O niebezpieczeństwach grożących ludności polskiej, wynoszącej się do Ameryki. ²⁾

Szanowny Panie!

Piszesz Pan do mnie, we własnem i towarzyszków swoich imieniu, ubolewając nad częstszym coraz wynoszeniem się naszych rzemieślników i parobków do Ameryki, którzy pociągani do tego kroku przez emigracyjnych agentów niemieckich

¹⁾ *English woman in America Ch. III. p. 95.*

²⁾ List pisany do p. Daszkiewicza w Poznaniu.

ludzą się ich obietnicami wielkiego tam zarobku i dobrobytu, a nie wiedzą o ukrywanych przed nimi starannie zawodach, a niekiedy i nędzy ostatecznej, jaka ich tam spotkać może. Dodajesz Pan, że głos kapłana, tem bardziej takiego, który już po dwa kroć zwiedzał Amerykę, wyrzucić może silniejszy wpływ na umysły kuszonych, niżby to sprawić zdołał głos człowieka świeckiego: i przeto wzywasz mnie, abyin ogłosił zdanie moje w tym przedmiocie.

Szanowny Panie, na dłuższą pracę nie starczy mi czasu, i wątku nie stać. Już w listach, gdzieindziej przezemnie ogłoszonych, pokazałem rozkład religijny i społeczny w Ameryce, olbrzymim krokiem postępujący naprzód, zapowiadałem grożące, i to w niedalekiej przyszłości wojny i polityczne i socyalno-religijne: toby już powinno dać naszym do myślenia. Bo mogłoby się powtórzyć, co się już działo w czasie ostatniej wojny domowej, że Amerykanie północni umieli się wykręcić od służby wojskowej, gdy tymczasem osiadli już koloniści musieli należeć do mobilizowanych milicij, a świeżo przybywających z Europy zdradziecko pakowano wprost do pułków. Ale cóż, kiedy rzadko kto korzysta z doświadczenia drugich!

Na nieszczęście ci, którzy wywędrowawszy umierają z nędzy i chorób, naturalnie że milczą, i nie mogą ostrzedz pozostałych w kraju, że ich coś podobnego łatwo spotkać może. Na parafii „Panna Marya” w Texas, przez nas obsługiwanej, gęste i wielkie mogiły świadczą, że znaczną część pierwszych osadników tyfus wymiótł ze świata. Milczą też osadnicy o złych latach, jak np. o podwójnej strasznej posuszy w Texas od lat sześciu, która wszystko wypaliła na polach, i główny dobytek, bydło, o śmierć przypawiła. Milczą, bo wstyd im wyznać, że nie znaleźli czego szukali, i że zbłądzili nie słuchając rad tych krewnych i przyjaciół, których we wsi swojej lub miasteczku porzucili. Ale niechno przyjdą dobre lata, a dolary brzękną w kieszeni, wtenczas piszą ua gwałt do pozostałych krewnych i przyjaciół, by do nich przybywali; bo rzecz prosta, że wychodziec, tem bardziej Polak, rad jak najwięcej Ojczyzny ze sobą wynieść. Zaprzeczyć też nie można, że lud nasz spokojny, pracowity a silny, poszukiwany jest bardzo w Stanach Zjednoczonych do ciężkich robót, więc ci, którym Bóg zdrowie zachowa, rzeczy-

wiecie rychło dorabiają się grosza, zdobywają się na domy własne po miastach, lub na grunta po wsiach, i to przyciąga innych. Ale nie myślą, że w Ameryce panuje nielitościwe hasło: *help yourself*, tj. radź sobie sam jak możesz; a koloniści polscy nie znajdą poparcia w ciężkiej doli, jak je znajdują Niemieccy we wielomilionowym zorganizowanym narodzie, przesiedlonym za Atlantyk; jedno kupkami rozproszeni, wyglądają jakoby drobne niepostrzeżone wysepki na tem wielkiem morzu amerykańskiego świata: więc któremu z Polaków noga się powinie, ginie bez ratunku. Ale cóż kiedy każdy się ludzi, że jeszcze się powiedzie, i dla tego ten wzgląd mało wrażenia czyni.

. Słowianin czystej krwi, od czasu jak go znamy w dzieciach, trzymał się upornie jak perz rodzinnego gruntu, trzymał się oburącz strzechy i mógł przodków swoich; przy nich cierpiał, i przy nich umierał. Jeżeli chłop moskiewski, po połowie koczowniczy, opuszcza rodzinne gniazdo, to tam się puszcza, gdzie podbój rządowy już dosiagnął, albo rychło dosięgnąć ma. Sam Wielkorossyauin do innych części świata dla zarobku się nie wynosi, tem mniej to dotychczas Polak czynił. Tymczasem u was, gdzie dochodzą już fale ducha propagandy kolonizacyjnej niemieckiej, zdaje się że duch niemiecki już to drogą szkół, już atmosfery ogólnej, przegryza rodzime usposobienie ludu naszego. Niemiec bowiem, świeżo tylko w skutek sztucznej propagandy piśmiennej poczuł się rzekomo do szerzej pojętego Patryotyzmu, w powszechnem rozumieniu tego wyrazu. W gruncie przywiązany on tylko jest do niemieckiego obyczaju, który przenosi ze sobą wszędzie; a zresztą, nie przyciśnięty nawet głodem jak nasze biedactwo, jedno dla polepszenia losu i powiększenia majątku, rozchodzi się po całym znanym świecie, od skrzepłej Syberyi do spiekłej Brazylii: a i w nowej Ojczyźnie, jak skoro otworzy mu się widok większego zarobku, znowu opuszcza dom swój i groby rodziców i dzieci, i dalej się w świat wynosi. Miałaby duch podobny ogarnąć i ludek nasz w dzielnicach niemieckich, skoro go, pomimo szczerze katolickich uczuć, nie powstrzymuje od wędrówki myśl tak prosta i oczywista, że, miejsce jego, z arcy rzadkim wyjątkiem, nie zajmie katolik, choćby Niemiec, jedno protestant?...

Ale jest jeszcze inna uwaga, która zapewne najwięcej skutkować będzie na umysłach naszego ludu, bo się tyczy sumienia i zbawienia duszy, więc tę przedewszystkiem podnoszę.

Ponieważ u nas nie ma uorganizowanej wędrowki do Ameryki, lud nasz nie przybywa z kapłanem swego języka, jak to często koloniści irlandzcy i niemieccy czynią, którzy zresztą i tak wszędzie znajdują swoich duchownych. Nasi biedacy, przysiadłszy gdziekolwiek, nuż w prośby płaczliwe do Biskupa miejscowego, o księdza polskiego. Biskupi amerykańscy, z początku sprowadzali kapłanów emigrantów, już to z r. 1831, już z 1848 i później przybyłych jeszcze. Ale obecnie, nie wchodząc w powody, z trudnością już przyjmują kapłanów świeckich, i domagają się koniecznie zakonników. Otóż obecnie na 60 do 100 tysięcy Polaków, rozproszonych po całej północnej Ameryce, jest wszystkiego 20 księży polskich, z których 6 Zmartwychwstańców, 3 Jezuitów, 3 Franciszkanów, a reszta księży świeckich. Nie świetnie zatem rzecz stoi z obsłużeniem duchownem naszych emigrantów w Ameryce: jeden ksiądz na 3 do 5000 ludzi, i to rozsianych po przestrzeniach kilkudziesięciu milowych, nie zawsze i raz na rok do każdego dojechać może. A skoro za łaską Bożą ustanie kiedyś prześladowanie w Rosyi, natenczas przy najlepszej woli nie uda się znaleźć kapłanów polskich dla Ameryki.

O tem powinniśmy myśleć nasi ochotnicy do Nowego Świata. Powinni pamiętać, że dzieci ich wprawdzie skoro zamerykanieją, przynajmniej bez nauki i Sakramentów nie umrą, kiedy tymczasem oni sami, przybywając już w wieku dojrzałym, nie nauczą się po angielsku do tyła, by kazania należycie rozumieli, lub porządnie wypowiadać się mogli, i w godzinę śmierci chyba na migi, lub przez tłumacza tego arcyważnego aktu dokonają, a być może że i księdza nie znajdą!

Oto szanowny Panie, kilka uwag luźnych na prędce spisanych, na które zdobyć się mogłem. Zostawiam Panu wolność wszelką użycia ich, lub nieużycia. W każdym razie wdzięczny jestem za odezwanie się do mnie, i polecając Pana mojemu Bogu, nawzajem modlitwom Waszym i Towarzystwa się polecam.

Rzym, 4 kwietnia, 1872 r.

I X .

P A M I Ę T N I K

O POCZĄTKACH

ZGROMADZENIA ZMARTWYCHWSTANIA PAŃSKIEGO.

Co było od początku, cośmy słyszeli, cośmy widzieli oczyma naszymi, cośmy oglądali, i ręce nasze dotykały. Świadczymy. i opowiadamy. . . . (I Jan. 1. 2.)

W S T Ę P .

Pańskiego 1866, jeden z przyjaciół naszych bawiący w Paryżu, doniósł mi że Redakcja *Rocznika Towarzystwa Literacko-Historycznego* postanowiła zdać sprawę ze zakładów polskich religijnych, dobroczynnych, i naukowych za granicą; i że pominąć nie może naszego Zgromadzenia: jeżeli zatem nie dostarczymy im objaśnień potrzebnych, winą naszą będzie, gdy co niełpkiadnego drukiem ogłosi, tem więcej że ono dotąd za granjzami Pp.lski jedynie się rozszerzało. Powolny temu wezwaniu spisałem krótki pamiętnik, który ogłoszony został w ^Roczniku tegpż Towarzystwa 1867 (XIV—XL); lecz że pojawił się z uzupe,łpieniami, które choć nader zyczliwą, jednak nie,pioją,były ipis.ąpe ręką, nie mógł być przezemnie tamże podpisany. Bacząc że to tre-

ściwe sprawozdanie dość przychylne znalazło przyjęcie, ale nie zaspakaja ciekawości i nowych członków wstępujących do¹ Zgromadzenia, i przyjaciół jego, i osób obcych a jednak dobrej wiary i chcących mieć sąd o tem Zgromadzeniu: postanowiliśmy pierwotne sprawozdanie znacznie rozszerzyć, jakkolwiek, każdy to zrozumie, że żyjący i a żyjących nie mogą jeszcze Wszystkiego powiedzieć, i żem obszerniej stosunkowo¹ opisał to, czegom się sam bezpośrednio dotykał. Praca ta jest zatem osobistą moją, nie zaś urzędową kroniką Zgromadzenia.

ROZDZIAŁ I.

Bohdan Jański (1835—1840).

Zgromadzenie to¹, nazwane później od Zmartwychwstania Pańskiego, poczęło się w Paryżu, wśród Polaków wychodźców politycznych. I ludzie zdawali się być nieodpowiedni, i miejsce nieśposobne; jednak niedostatkom Bóg miłosiernie zaradził.

Emigracja polska przybywszy do Francji po nieszczęśliwym powstaniu 1831-go roku, łudziła się nadzieją że wraz zaczyną się tworzyć legiony i że na czele wojsk francuskich do¹ ojczyzny wróci. Chłodniejsi nie spodziewali się tak rychłej zmiany; wszakże bacząc na nieustalony jeszcze stan Europy, i z położenia swego potrzebując nadziei, nie śmieli jej odpychać: młodzi dlatego że młodzi, starzy dlatego że starzy, pragnęli a więcej spodziewali się rychłego powrotu. O szukaniu koi-zeni nieszczęść narodowych, źródła upadku tylu powstań, nikt nie myślał, a przynajmniej nikt głośno myśleć nie śmiał.

Emigracja fiasza znalazła się we Francji w niekorzystnych-wielce dla religii czasach. W skutek rewolucji lipcowej kapłani musieli kryć się, lub po świecku się nosić; a kościoły, w Paryżu mianowicie, były puste. Wśród rodaków naszych rzadkie jeszcze było prawdziwe niedowiarstwo lub odraza do Kościoła i do duchowieństwa¹; ogólnie part¹wała pośród nich

obojętność połączona z wielką nieznajomością własnej religii. Przynieśli tedy do Francji tę religijność ogólną zwykłą Słowianom, karmiącą się wspomnieniami rodzinnymi, podaniami narodowymi; przy umyśle skrzywionym już naleciałościami fałszu. Stronnictwo zwane liberalnem, zwycięskie i panujące we Francji, podejmowało nader życzliwie wychodźstwo polskie, opiekowało się niem, ale wpływem swoim (obok wpływu dzienników i książek) wszczepiało w nie stopniowo uprzedzenia swoje i odrazę do Kościoła, wciągając też i wpisując naszych do łóż wolno-mularskich. Pomimo to, na początku, po wielkich zakładach (*depôts*) do tysiąca i więcej liczących osób, jak w Avignon, Besançon, Bourges, i t. d. ¹⁾ wychodźcy urządzili sobie tradycyjnie Msze wojskowe ze śpiewami polskimi; ale i to rychło przy rozdrabnianiu się zakładów upadło, ile że w kapłanach swoich nie wiele znaleźli pomocy. Była jeszcze wtenczas może chwila i sposobność pochwylenia umysłów, i zatrzymania ich na ślizkiej pochyłości niedowiarstwa: ale się to niestety nie stało. Okrom wspomnianych już powodów, rozmiłowanie się młodzieży w zasadach terroryzmu wielkiej rewolucji francuskiej, nadzieja poruszenia ludności wiejskiej i wywalczenia w ten sposób ojczyzny, połączone z koniecznem przy zasadach rewolucyjnych zagłuszaniem sumienia co do wyboru środków: wszystko to rozwijało wielkim pędem niedowiarstwo a po części i otwartą już bezbożność wśród polskiej emigracji.

Wśród tej hałaśliwej rzeszy, był człowiek spokojny i zamyślony, dwadzieścia kilka lat wieku liczący, sam nie emigrant a wyłącznie prawie z emigrantami przestający. Wzrostu był średniego, delikatnej raczej budowy ciała; rysy twarzy miał regularne, cienkie, zachodnio-europejskie. Czoło jego

¹⁾ Dla czytelników mniej z historią emigracji obznajomionychb dodać winienem objaśnienie, że rząd francuski z obawy aby zbyt wielka ilość Polaków, naonczas wielce popularnych, zebrana w Paryżu, nie dała mimowolnie powodu do ponawiających się wciąż zamieszek w stolicy, wyznaczał przybywającym z Niemiec kolumnom na miejsce pobytu odleglejsze miasta departamentowe. Przebywające tam oddziały zwykle z wojskowych złożone, zostawały z razu pod rozkazami Ministra wojny i zwane były po wojskowemu *depôts*, zakładami.

wysokie, brunatnym kędzierzawiącym się włosem bogato pokryte; oko duże i ciemne dziwnie wdzięczne w spojrzeniu; miły wyraz ust jego; wszystko słowem, pokazywało w nim zdolność zarazem i dobroć, w wysokim stopniu rozwinięte. On już był przebiegł stromą pochyłość niedowiarstwa; zajrzał w tę ciemną, źle woniejącą i bezdenną przepaść; i teraz wracał z utrudzeniem pod górę, spotykając po drodze rodaków swoich świeżo do Francji przybyłych, i pędzących na dół z całym upojeniem ludzi nierozczarowanych jeszcze w błędzie. Nie wymijał ich bynajmniej dojrzały podróżnik; owszem miłością bratnią przejęty zatrzymywał i wyzywał na rozmowę. Z dziwną cierpliwością z niecierpliwymi, uprzejmością z nieokrzesanymi często, starał się zarozumiałych a przytém, jak to bywa najczęściej, nierozumnych przekonać, oświecić, upamiętać. A taki urok i wdzięk posiadał, że bez względu na to, co o nim po za nim mówiono, powszechnie go w głębi duszy szanowano, i ci którzy jego wyobrażeniom nienawiść byli poprzysięgli, nie mogli osoby jego samej podobną objąć nienawiścią. Był to ś. p. Bohdan Jański.

Urodzony w Ciechanowcu, miasteczku województwa płockiego, około roku 1807-go, z rodziców stanu miejskiego, odbył szkoły w Pułtusk, pod kierunkiem 00. Benedyktynów. Zgromadzenie to najstarsze w Kościele zachodnim, najstarsze w Daszej Polsce, żyło u nas przez siedm wieków na sposób pierwotny, to jest pojedynczemi niezależnemi opactwami: dopiero w końcu 17-go wieku, na wzór Zgromadzenia św. Maura we Francji, i Zgromadzenia Bawarskiego; po wiekowym trudzie, i zachodach kilku opatów Świętokrzyskich, zawiązało się było w Zgromadzenie benedyktyńsko - polskie św. Krzyża. To też kiedy nowożytna chciwość sięgnęła po dobra kościelne, a mianowicie po bogate uposażenia opactw benedyktyńskich: nie znajdowały się te opactwa u nas, jak tu i owdzie może naonczas, w stanie upadku; ale owszem odświeżone i w pełnym kwiecie. Zgromadzenie pułtuskie odznaczało się światłem, gorliwością w nauczaniu, i miało dar wraźnia w duszę młodych uczniów bojaźni Pańskiej i trzymania ich w karności, obudzając w nich zarazem uszanowanie i miłość dla siebie. Iluśmy spotkali uczniów z tej szkoły, wszyscy wspominali z wielką wdzięcznością dawnych mistrzów swoich; pracy ich i szczepieniu, wszystko co w sobie dobrego

znali, chętnie przypisując. S. p. Bohdan, nie niższy od innych we wszelkiem znaczeniu uczuci, żywszą od wielu zachował dla zakonu benedyktyńskiego pamięć.

Po ukończeniu szkół, odbył trzyletni kurs administracji, na uniwersytecie warszawskim, a następnie, kosztem rządów, jako jeden z najzdolniejszych uczniów, wysłany został na lat parę przed powstaniem 1830-go roku, za granicę: za powrotem wykładać miał prawo handlowe, w szkole politechnicznej cywilnej w Warszawie.

Przyszłość naukowa ś. p. Jańskiego, powoływała go do ekonomii politycznej, która, jakkolwiek pożyteczna i szacowna być mogła niektóre jej części, stała się teologią materializmu, chcącego tu na ziemi znaleźć a raczej stworzyć raj wymarzony. Jeszcze wtenczas złudzenie było powszechne, ledwo jaki człowiek wierzący, niesłuchany i zakrzyczany, zwracał uwagę na to że w zwojach togi ekonomicznej, ukryty leżał socjalizm i komunizm. We Francji umiejętność ta (jeżeli tylko tego miana godna), za organ swój główny, a wymowny, miała dziennik *Le Globe*: rzecz prosta, że młody nasz Anacharsis, w ścisłe z nim rychło wszedł stosunki. Gdy pewna liczba ekonomistów francuzkich zawiązała się w szkołę? pod nazwą St. Simonistów, i nasz Polak znalazł się w ich gronie: wszakże należał do tych którzy z Bazard'em na Czele, chcieli tylko szkoły społecznej albo towarzyskiej, a nie religijnej; na założenie której targnęła się pycha dziwaczna, pana a później Ojca Enfantin. Rzecz godna uwagi, że tak pan Bazard, jak inni St. Simonieści, którzy szukali jedynie reformy towarzyskiej, wszyscy prawie wrócili do praktyki religijnej, a niektórzy nawet dobrze się Kościołowi zasłużyli. Z liczby tych był niezawodnie nasz rodak.

Jeżeli się jednak kointf dziwno Wyda, iż ś. p. Bohdani Jański, pobożnie wychowany, mógł przystać do St. Simonistów, niech sobie przypomni, cośmy na początku powiedzieli, o ogólnej ówczesnej atmosferze dachowej w Europie i w Polsce samej. Niech pamięta, że lat kilka przebył w Warszawie, a potem podróżował na Zachód; że następnie wszedł do stowarzyszenia ekonomistów światłych wprawdzie, ale szukających organizacji ludzkości, i religii jakiegokolwiek, Ogólnie katolickiej nie znających: że nareszcie rodak nasz był młodym wystawionym w Paryżu na wszelkie możliwe pokusy

zaciemniające umysł, i sąd zdrowy o rzeczach krzywiące. Pamiętając że Augustyn później święty, tak długo był Manichejczykiem, pojmiemy jakim sposobem Jański lat kilka mógł być trwać w St. Simonizmie.

Co świadczy o jego zdolnościach i moralnych przymiotach, to iż jakkolwiek obcy wśród Francuzów, wysłanym został przez nieb do Anglii dla traktowania z Owen'iem, organizatorem także materialistowskim społeczeństwa. Jański nasz już był ostygł w pierwszym zapale i w pierwszej wierze w St. Simonizm, kiedy emigracja przybyła do Francji. Ze szkoły tej wyniósł wszakże uczucie potrzeby społecznej organizacji: a tę rad by był przeprowadzić w ciele narodowym, a mianowicie tej jego części którą miał pod ręką, to jest w emigracji.

W ciągu 1832-go roku, przybył do Paryża sławny wieszcz nasz Adam Mickiewicz, z przyjacielem młodości swojej i cierpień za Nowosilcowa, Ignacym Domeyką. Mickiewicza zaskoczyło było powstanie listopadowe w Rzymie. Za długo się ztamtąd wybierał, za długo się przebierał z Poznańskiego do Królestwa; tak że go na granicy zaskoczyła wieść o wzięciu Warszawy. Skompromitowany już wobec rządu rosyjskiego, udał się do Drezna a następnie do Paryża. Szczęśliwszy od wielu innych, że wybierając się z Rzymu do Polski, wypowiedział się był na drogę: co większa poczuł w sobie powołanie do stanu duchownego (jak mi to sam powiadał); ale odłożył zapewne spełnienie tej myśli do ustalenia się spraw krajowych. Nie zdaje się jednak by już się wtenczas był głębiej w nabożeństwo wdrożył; owszem czwarta część jego Dziadów, w Dreźnie spisana, dowodzi wielkiego rozstrojenia ducha; wszakże wobec emigracji w Paryżu, występował jako chrześcianin katolik, i kilka lat następnych przeżył w wielkiem uspokojeniu wewnętrznym. Pomny może na myśl kapłaństwa w Rzymie poczetą, Adam patrząc na gorączkowe i niepłodne zabiegi i robótki emigracyjne, powiadał: „aa nic się to wszystko ^dąło; trzeba dla Polski zakonu.” Nosząc się z tą myślą zamieszkał wspólnie z Jańskim i Ignacym Domeyką w pobliżu obserwatorium paryzkiego: nie przyjmując wszakże żadnej formy zewnętrznej. Zaczęli od wydawania pisma religijno-politycznego pod tytułem „Pielgrzym”: które jakkolwiek nie dojrzałe jeszcze duchowo, podobnie jak jego

wydawcy, wszakże wobec kierunku wprost przeciwnego reszty dziennikarstwa emigracyi, i dzięki talentowi redaktorów, w ciągu pół-rocznego tylko swego trwania, wywarło jednak wpływ pewien na niektóre umysły, i w kraju dobre znalazło przyjęcie. Wszakże Mickiewicz, jak ogólnie poeci i artyści, nie miał usposobienia do systematycznego porządku w życiu; próba życia wspólnego się nie udała, pierwsza trójka rychło się rozeszła. Mickiewicz wszedł w śluby małżeńskie r. 1834. Ignacy Domeyko, ukończywszy szkołę min, przyjął posadę profesora uniwersytetu w San-Jago w Cbili, gdzie po dziś dzień wielkie usługi umiejętności i religii oddaje, a imieniowi polskiemu powszechnie poszanowanie u pobożnych i niepobożnych w tamtych stronach pozyskał.

Pozostał zatem sam jeden ś. p. Bohdan Jański, z myślą i sercem wiernie do pierwszego celu zwróconem. Przyzywany kilkakrotnie jeszcze na katedrę do Warszawy, ostatecznie odmówił; a żyjąc z dawania lekcyj, i pisywania artykułów (mianowicie o Polsce i Sławiańszczyźnie) do Encyklopedyj, Przeglądów, i t. p. apostołował wciąż na upatrzonem, wśród młodszej mianowicie braci, z dziwną wiarą, cierpliwością i zręcznością nawet. Ś. p. Stefan Witwicki przybyły dobrowolnie na wygnanie roku 1833-go, połączony przyjaźnią z Mickiewiczem i Jańskim, powiadał o tym ostatnim: „kiedy Bohdan wychodzi na połów jakiej grubej ryby to go spotykam z bukiecikiem u boku i cygarem w ustach.”

Bóg miłosierny który zdaleka przysposabia sobie narzędzia sposobne do spełnienia celów swoich, postanowił oczyścić, i do duchownej dojrzałości doprowadzić nowego sługę swego. Postanowił cierpieniem oczyścić ciało sh:be i grzeszne, a stawiając mu przed oczy duszy śmierć blizką i sądy swoje, oderwać go od wszystkiego co znikome i przechodnie, a obrócić do rzeczy wiecznych i niezmiennych. Spuścił Bóg na ś. p. Jańskiego niebezpieczną chorobę piersiową, z płuciem krwi i wielkiem wycieńczeniem sił połączoną, a lat blisko dwa trwającą. Wszakże ponieważ rosnąca miłość Boża wzmaga gorliwość o zbawienie bliźnich: i wtenczas mozolnego misyonarstwa swego całkowicie nie zaniechał. Z początkiem 1835 roku, wraca mu Bóg siły a zarazem więcej przysyła pracy; on ją chętnie podejmuje, i czysto już po katolicku około dusz braci swoich chodzić zaczyna.

W tym samym czasie przyłączył się do niego Piotr Semenenko. Urodzony w połowie 1814-go roku koło Tykocina na Podlasiu, chodził do szkół naprzód w Tykocinie u Missyonarzy, potem w Białymstoku, a nareszcie w Krożach na Żmudzi. Skończył je już w 15-tym roku życia, a przeczekawszy rok cały w domu, wszedł w 1830 roku do uniwersytetu wileńskiego. Tymczasem wybuchło powstanie; więc za nadejściem korpusów Giełguda i Chłapowskiego na Litwę, wstąpił do baterii artylleryi pieszej i z nią wszedł do Prus Wschodnich. Umieszczony w pobliżu Królewca rzucił się do autorów niemieckich, a przybywszy do Francji im młodszy tem skrajniejszych się chwycił stronnictw: za co nawet od rządu francuzkiego ścigany wielkiej biedy doświadczył. Jański nasz wiedząc z doświadczenia jak daleko młody człowiek pozbawiony kierunku zapędzić się może, sądząc że się poświęca dla ludzkości; poznał też iż ta gwałtowność polityczna całkiem była sztuczną w Semeneńce, z przyrody łagodnym i rozważnym, a do życia umysłowego raczej niż czynnego stworzonym. Litując się przeto jego duszy, i marnowanych zdolności, zachodził go zdaleka, łagodnością swoją przyswajał, a rozmową uczącą i zajmującą dumnemu młodzieńcowi imponował. Przyszły mu w pomoc bolesne zawody i przykrości które spadły na Semenenkę, Bóg reszty dokonał; tak że dnia 15-go stycznia 1835-go r. pojednał się on z Kościołem. Od tej chwili, Semenenko mieszkając z Jańskim przez kilka miesięcy nie wychodził z domu, chyba że do kościoła, poszcząc, modląc się, i czytając zasadnicze dzieła katolickie dla sprostowania pojęć tyloma błędnymi systematami skrzywionych.

Drugim z kolei był Hieronim Kaysiewicz. Urodzony 7-go grudnia 1812-go roku w województwie Augustowskim, nad Niemnem, szkoły odbył w Sejnach. Drugi rok chodził na wydział prawa i administracji na uniwersytecie warszawskim gdy go powstanie zaskoczyło. Wszedł do 11-go dywizyonu 3-go pułku ułanów w korpusie Dwernickiego. Otrzymałszy kilka ran ciężkich w bitwie pod Nową Wsią, wzięty do niewoli, trzymany w Puławach i odbity przez oddział powstańczy pułkownika Łagowskiego, Wielliorskiego i Juliusza Małachowskiego, dopiero 1832-go r. w Paryżu przez sławnego Dupuytren'a z ciężkiej blizny pod okiem jakkolwiek wyleczonym został. Politykował i on lat parę choć mniej zajadle,

a w końcu przykładem Mickiewicza i rozmowami jego do praktyki religii pociągniętym został. Kaysiewicz poczuł w sobie powołanie do stanu kapłańskiego w dzień Wniebowzięcia Matki Najświętszej ¹⁾; zwierzył się z tej myśli Semenence który nawzajem mu wyznał że ma podobne postanowienie: odtąd stali się jakoby nierozdzielni. Obaj młodzieńcy czując potrzebę skupienia ducha odbyli w jesieni tegoż roku pieszą pielgrzymkę do świeżo otworzonego klasztoru Benedyktynów w Solesmes, departamencie *Sarthe*; gdzie przebyli cały miesiąc na nabożeństwie, opływając w pociechy duchowe których Bóg zwykle nowonawróconym i słabym jeszcze na duchu, nie szczędzi. Był tam także społecznie dla skupienia i spokojnej pracy, młody, pobożny i sławny już par Francyi pan de Montalembert, niegdyś uczeń Lamennais'go, a stały przyjaciel sprawy polskiej. Mieszkał on w Paryżu w jednym domu z Cezarem Platerem, znał się z Adamem Mickiewiczem, a Jański był mu nauczycielem języka polskiego: tą drogą i nowi młodzi nawróceni weszli z nim w stosunki. Z nim razem odbyli pobożną wycieczkę ze Solesmes do opactwa Trappistów (Cystersów reformy Ojca de Rance) zwanem Port-de-salut koło Laval. Milczenie zupełne i ciągłe panujące w tym klasztorze, umartwienie wryte na twarzach zakonników obok pokoju i wesela duchowego; śpiew ich w chórze, szczególnie przeciągłe *Salve Regina* i *Parce Domine* z wyciągniętymi w krzyż ramionami, czyscowemi jakoby głosami zawodzone: śpiew ich nocny, kołyszący pobożne sny i dający rodzaj widzeń niewyraźnych: wszystko, głęboko religijne na młodych pielgrzymach sprawiało wrażenie. Nieraz potem już kapłanami będąc, wymykali się z gwaru paryzkiego do Trappy, dla skupienia się w duchu: wszakże do takiego rodzaju życia

¹⁾ Pierwszy któremu Kaysiewicz to objawił tego samego dnia jeszcze, był Adam Mickiewicz. Posłyszawszy tę dobrą nowinę, rzucił mu się na szyję i zawołał rozrzewniony: „niechże będą Bogu dzięki! I ja miałem powołanie, ale je zmarnowałem: może ty mnie zastąpisz.” To powołanie otrzymał był Mickiewicz w Rzymie roku 1830-go po odbytej spowiedzi z całego życia podczas gdy się modlił w kapliczce Matki Boskiej w kościele *del Gesu*. Powstanie polskie, emigracja, były powodem puszczenia w odwołkę wykonania tej myśli, a ożenienie się następnie, ostatecznie ją zniweczyło.

bynajmniej me czuli się powołanymi. Przeciwnie, życie Benedyktynów, pracą umysłową zamiast ręcznej, obok modlitwy zajętych, mogących absolutnie i czynnie około dusz pracować, dosyć pociągało młodych ochotników do stanu kapłańskiego, nie znających jeszcze szczególnego swego powołania. Myśl, że Benedyktyni dziś gasnący w Polsce, pierwszymi jej byli Apostołami, wywierała pewien wpływ na ich umysły.

Za powrotem do Paryża zwierzyli się z tem Jańskiemu. On, jak później zobaczymy, nosił myśl podobną w głębi duszy, ale na teraz, czuł potrzebę trzymania się razem i przygotowania stowarzyszenia czynno-zakonnego na posługi przedewszystkiem potrzebującego i prześladowanego Kościoła polskiego. Już wtenczas były doszły pewne wiadomości o zniesieniu jednym pociągiem pióra przez cara Mikołaja dwustu klasztorów na Litwie, o prześladowaniu ks. Gutkowskiego biskupa podlaskiego i o gwałtownem podkopywaniu Unii. Przyjaciele nasi, szczególnież też śp. Stefan Witwicki, gorąco nad tćm pracowali, by się trzymać kupy, modlić się i czekać. Ze samych okoliczności wynikła potrzeba wspólnego pożycia nowo nawróconych, mianowicie powołanych do stanu kapłańskiego. Widzieliśmy już w jakim stanie była emigracya; wkrótce objawiła się pośród niej apostazyja praktyczna. Po zakładach, szczególnież po sekcjach demokratycznych, małpowano Konwent francuzki, i brano Boga na kreski: *jest -li* czy *nie?* Tych, którzy w kościele zginali kolano, wytykano palcami, i nazywano pogardliwie *katolikami-*, jakoby oni już nimi nie byli; i w rzeczy samej już nie byli. Nie by pojedyncze osoby lub rodziny nie trzymały się jeszcze jakkolwiek swojej religii; ale to była rzecz prywatna: publicznie i w massie emigracya była w apostazyi. Kiedy za powrotem Kajsiewicza i Semenienki ze Solesmes, jednowiercy ich starsi i młodszy, zebraли się na powitanie w ich mieszkaniu: oprócz nich i Jańskiego znaleźli się jeszcze Adam Mickiewicz, Stefan Witwicki, Bohdau i Józef Zalescy, Ignacy Domeyko, Władysław Laskowicz, Waleryan Chelchowski i Edward Duński: dodawszy jeszcze nieobecnego Cezarego Platera, dwunastu wszystkich tak zwanych *katolików*; bo wyraz *Jezuita* nie był jeszcze w użyciu. Wśród takiej atmosfery gwałtowna była potrzeba punktu oparcia i wzajemnej pomocy, przeciw rozlicznym pokusom bijącym na świeże nabożeństwo nowouwróconych.

W dzień zatem Popielcowy 1836 roku, Semenenko i Kaysiewicz wprowadzili się do małego przez Bohdana najętego *domku* na dziedzińcu przy ulicy *Notre Durne des Champs*, pod N. 11. Za nimi za dni kilka Edward Duński, a wkrótce i sam Jański. Nieco później przybył Józef Hube, były profesor uniwersytetu warszawskiego, urodzony w Warszawie 19 marca 1805 r.; pomijając innych przechodnich tylko mieszkańców. Wszyscy oddawali się wspólnym modlitwom i nauce. Majątek nasz był tak znaczny, żeśmy bielizny na siennikach nie mieli, sami na targ za kupnem chodzili, sami gotowali z niebezpieczeństwem otrucia się nieraz. Pierwszego funduszu na biedne porządeczki i najem mieszkania dostarczył Jański. Już wtenczas Cezary Plater zaczął nas docześnie wspierać równie jak Montalembert i państwo Amadeuszostwo Thayerowie, którzy też od pobożnych Francuzów i Belgów, wcale nam osobiście nie znajomych, roczne subskrypcje stufrankowe otrzymywali. Emigracya, nie pomna żeśmy pomoc od rządu otrzymywaną do spółki składali, łamała sobie głowę z kąd mogliśmy choć tak liche dostawać fundusze. Jeden z dzienników emigracyjnych ogłosił, żeśmy płatni przez księcia Modeńskiego i Metternicha; nadto, że jakiś Pawlikowski miał być ich pośrednikiem. Redaktor przyparty przez Bohdana Zaleskiego jak mógł takie brednie ogłaszać, odpowiedział najswobodniej: „a cóż, alboż mi nie uwierzyli?” Ta odpowiedź wiele tłumaczy.

Ci, którzy nas bliżej znali, i w uczciwość naszą wierzyli, brali krok nasz za jakiś głęboki manewr polityczny, uważali nas jako klub katolicki na kraj, i na duchowieństwo polskie obmyślany: inni poprostu ciskali nam w oczy takie dilemma: „alboście zgłupieli, alboście łotry.” Inni jeszcze, ludzie zresztą poważni, którzy się tego później pewno wstydzili, z lekkości rozpowiadali, i rozpisywali o nas aż do kraju niesłychane dziwolągi: że mamy krucyfiksy ogromne od sufitu aż do podłogi, że się biczujemy do krwi, itd.

Pełno tedy rodaków przychodziło dla oglądania tych *półgłówek*, a nie znajdując nic dziwnego, widząc nas spokojnymi, prostymi, uprzejmymi, wyraźne zdziwienie i zbudowanie okazywali na twarzy, a często i słowa to wyrażali. Najmniej było jednak takich, którzy nam wierzyli gdyśmy po prostu mówili, że nam Bóg dał powołanie, abyśmy służyli

braciom naszym najprzód na wygnaniu, a potem da Bóg w kraju: zawsze ludziom chce się odgadnąć coś tajemnego tam nawet, gdzie nic tajemnego uie masz.

Nam wszakże obojętne było co ludzie o nas myśleli i mówili, tak nam było dobrze w duszy. Wspólne mieliśmy godziny wstawania, spoczynku, i modlitwy: sam posiłek uświęcony był czytaniem duchownem. Na Mszę świętą chodziliśmy do kościoła Karmelitanek przy ulicy Vaugirard, uświęconego męczeństwem kilkudziesięciu kapłanów i biskupów za pierwszej rewolucyi, i służyliśmy do mszy sławnemu księdzu Lacordaire, który o tej samej godzinie mszę odprawiał w tym kościele, a który już wtenczas nosił w zanadrzu myśl odnowienia zakonu Św. Dominika we Francyi. *Brat starszy* (jakeśmy nazywali Jańskiego) rozłożył na nas pracę. Przełożyliśmy między inuemi rzecz o *Eucharystyi* księdza Gerbet, ogłoszoną drukiem przez Towarzystwo dobrych książek. Towarzystwo to założyli byli Cezary Plater, Jan Koźmian i inni; ale że druga wraz książka którą wydali *Chrystus Pan w obec wieku*, wyszła współcześnie w kraju, a niektórzy członkowie się rozjechali, towarzystwo upadło: zresztą zastąpiły je rychło prace osobiste Aleksandra Jełowickiego. Odwiedzali nas bracia nasi starsi po za domem mieszkający, słuchali naszych odczytów, zachęcali nas swemi rozmowami, i cieszyli się naszym szczęściem. O tych początkach naszego Zgromadzenia, czytaliśmy bezimienny artykuł w Miinchenskich *Historisch-politische Blatter*, około r. 1840; ale go pod ręką niemamy. Odwiedzali nas także znakomici cudzoziemcy jako to: pan Montalembert, uczony i pobożny ksiądz później biskup Gerbet, opat Gueranger, i inni duchowni i świeccy. Był to czas nowego wzmożenia się duchowego we Francyi po burzy 1830 roku. Widzieliśmy wtenczas w kolebce wiele zakładów, które się później olbrzymio rozrosły. Pamiętam Towarzystwo św. Wincentego a Paulo, kiedy ledwo kilka dziesiątków stowarzyszonych liczyło. Kajsiewicz z Piotrem Semenenką zapisani do pierwszej setki arcybractwa Serca Maryi Panuy, założonego przez śp. księdza Desgenettes. Bóg opatrnie styka ze sobą ludzi, którzy w okresie jakim, na różnych stanowiskach ale w jednym kierunku pracować mają.

Niepodobna pokochać Pana, zakosztować jak słodki jest, a nie zapalić się zarazem świętem pragnieniem, by i bliźni

nasi podobnego dostąpili szczęścia. To też nietylko ustnie przychodzących do nas, ale i oddalonych rodaków staraliśmy się listami pociągnąć do znajomości i miłości Jezusa. Tak już zarysowały się choć z grubego dwa cele każdego Zgromadzenia bogomyślnie czynnego, a w szczególności naszego: to jest pracowania nad uświęceniem własnym i nad uświęceniem bliźnich.

To i wiele innych rzeczy, dotyczących się pojęcia myśli, przyszłości naszego Zgromadzenia, któreby trudno dziś przypomnieć i wyrazić, a nawet trudno było na razie; doskonale powiedzieliśmy sobie i pojęli, a w części odgadli, w dzień Zielonych świątek 1836 roku, w którym to dniu Bóg wylał w miłosierdziu swoim szczególną łaskę na małą naszą garstkę, na czterech nas będących niejako węglami nowej budowy. Dwaj czy trzej inni, którzy nie mieli albo z nami pozostać albo się stale połączyć, nic a nic z rozmowy naszej nie zrozumieli, i jak przy pierwszych Zielonych świątkach, jakoby za pijanych nas mieli.

Teraz pilno już było Semenence i Kajsiewiczowi, zacząć regularne nauki teologiczne. Do seminaryum dyecezalnego trudno się było dostać dla braku funduszków: ale spowiednik wynalazł sposób. Znał on zacnych kapłanów prowadzących kolegium Stanisława w Paryżu (tak nazwanego przez Ludwika XVIII, na cześć dziada swego Stanisława Leszczyńskiego). Tam ich umieścił w liczbie dozorców (*maitres d'etude*) uczącej się młodzieży świeckiej, gdzie też był dla nich dodatkowy, upoważniony przez arcybiskupstwo kurs teologii. Radość ich była bez granic. Weszli oni tam 29 czerwca, w dzień śś. Piotra i Pawła; a 15 sierpnia w święto Wniebowzięcia Matki Boskiej przywdziali sukienki duchowne, i jedni z pierwszych pokazywali się w nich na ulicach paryzkich, dość jeszcze do owego czasu opróżnionych ze sukien duchownych.

Jak wcześniej rząd rosyjski zaczął się nami zajmować i mieć nas w podejrzeniu, dowodzi wypadek następujący. Jeden z nas korzystając z dobrej sposobności, napisał do swego biskupa prosząc go o pozwolenie i świadectwa potrzebne do spodziewanych święceń. Biskup odesłał prośbę do Warszawy. Rząd odpisał dro^gą dyplomatyczną, że proszący nie kwalifikuje się do kapłaństwa, i pytał, w jakim celu kilku emigrantów polskich weszło do *College Stunilas*? Tak od

samego początku po dziś dzień mieliśmy przeciwko sobie i demagogią polską i schyzmę rossyjską.

Co niedzielę zrana i co czwartek po obiedzie, mogliśmy wychodzić z kolegium i wtenczas bywaliśmy w *domku*, gdzie nowi kandydaci kształcili się duchowo pod przewodnictwem Jańskiego. W ten sposób przeszedł nam rok cały.

W środku lata 1837-go r. wrócił z Rzymu pułkownik Zamoyski ¹⁾. Opowiadał on, że przedstawiał kardynałowi Lambruschini, Sekretarzowi Stanu, i saniemuż Ojcu świętemu Grzegorzowi XVI, iż bacząc na stan religii w naszym kraju, byłoby rzeczą użyteczną, gdyby młodzi Polacy mogli się uczyć w Propagandzie; na co mu odpowiedzieli: „przyślijcie nam a my ich przyjmujemy.” Hrabia Zamoyski dodawał, że jest naszym obowiązkiem zająć to stanowisko, w braku innych ochotników, tem bardziej, że Stolica Apostolska nie prawie nie wie o szczegółach prześladowania Kościoła polskiego w Rosyi. Mickiewicz, Cezary Plater, Witwicki, Bohdan Zaleski, którzy obok n*s i nad nami stanowili jakoby izbę wyższą, z którąśmy się stykali przez naszego przełożonego, byli wraz z nim tego zdania, że powinniśmy jechać do Rzymu: a myśmy w tein ich zdaniu uznali wolę Bożą. Opuszczaliśmy *College Stanislas* po czternastomiesięcznym pobycie, gdzie nam było tak dobrze, za dobrze na nowicyat; bo i przełożeni nas kochali, i uczniowie szanowali ze względu na przeszłość, narodowość i położenie nasze. Więc 6 września puściliśmy się w drogę. Mickiewicz zapłakał żegnając się z nami, jak gdyby przeczuwał, że już nie mieliśmy się ujrzeć z weselem. Miejsca nasze w kolegium zajęli Józef Hube i Edward Duński, zdecydowani już na księży.

Kiedyśmy opuszczali Paryż, cholera dziesiątkowała dosłownie Rzym: spodziewaliśmy się przybyć tam na koniec zarazy, jak za łaską Bożą rzeczywiście się stało. W Lyonie pokłoniliśmy się Matce Boskiej cudownej na Fourvieres, a ponieważ w Marsylii i portach Śródziemnego morza grasowała

¹⁾ Z tej pierwszej swojej bytności w Rzymie, spisał hrabia Zamoyski bardzo interesujące sprawozdanie ogłoszone w szacownem dziele ks. Lescoeur *UEglise Catholique en Pologne sous le gouvernement russe*. Paris, 1860, s. 55.

cholera, puściliśmy się drogą lądową przez Mont - Cenis do Turynu, ciesząc się widokiem Alp i cudnej równiny włoskiej. Świeża tam jeszcze była pamięć niedorzecznego napadu emigracyi naszej na Sabaudyą, imię polskie źle brzmiało w Piemoncie: w gorszeni położeniu mieliśmy się znaleźć w Lombard}}! bez języka i znajomych. Bóg miłosierny dał nam za przewodnika Anioła swego.

W Tortonie siadając do powozu, znaleźliśmy się w towarzystwie biskupa w stroju dominikańskim: z rozmowy we francuzkim języku dowiedzieliśmy się, że to był Monsignor O^l Finen biskup Kilallah w Irlandyi, jadący do Rzymu w sprawach swojej dyecezyi. Mówił doskonale po włosku bo był dawniej przez lat wiele spowiednikiem księżnej Lucca; rozmowny był i uprzejmy. Wspólny cel podróży, potrzeba towarzystwa, i możność rozmówienia się, zbliżyły nas do siebie; szczególnie gdyśmy się mu zwierzyli że jesteśmy Polakami: postanowiliśmy odtąd razem podróżować. Okrążając cholere musieliśmy wjechać do Mantuy. Urzędnik policyjny austriacki, doskonale mówiący po polsku, odgadł zaraz naszą narodowość pomimo naszych paszportów francuzkich, i pytał nas, czyśmy nie wiedzieli o kartelu extradycyjnym, kiedyśmy śmieli wjechać do posiadłości austriackich. Pomimo widocznego powodu cholery, długo się namyślał czy ma podpisać nasze paszporta, i niezawodnie, przez wzgląd jedynie na biskupa, dla którego największe okazywał uszanowanie, puścił nas dalej. Jedna bieda przeszła, nastąpiła druga. Zatrzymani zostaliśmy i osadzeni w kwarantannie na granicy państwa papieżkiego, szczęściem, że znowu razem z biskupem. Tak nas obdzierano za żywność, żeśmy widzieli już dno naszych emigranckich sakiewek, kiedy przez wzgląd na biskupa, otrzymaliśmy od legata papieżkiego w Ferrarze, kardynała delia Genga Sermatei (synowca Leona XII) pozwolenie wolnego przejazdu, po rewizyi odbytej *pro forma*.

Towarzystwo księdza biskupa jak z jednej strony opatrywało nasze bezpieczeństwo, tak z drugiej nielitościwie kieszeń kaleczyło. Uważani od oberżystów za officyałów zagranicznego prałata, niemiłościewie bywaliśmy obdzierani, zwłaszcza, że przybywały do tego nieprzewidziane wydatki, z powodu cholery i kwarantanny. Obliczyliśmy się w Bolonii, że mamy jeszcze o czem dojść piechotą do Rzymu, ale już

o czym dojechać nie mamy. Oświadczyliśmy to naszemu zacnemu biskupowi, który nam kazał być spokojnymi i do Rzymu nas dowiózł. We Florencyi opatrzył nas groszem hr. Zdzisław Zamoyski, biskupa naszego ze wszelką uczciwością podejmował, i uprosił, by mu synka pierworodnego (Stefana) ochrzcił; tem bardziej zacny nasz prałat nie chciał przyjąć zwrotu pożyczki. Przybyliśmy do Rzymu 14-go października właśnie na *Te Deum* po zakończonej cholerze odprawiane, wśród wesołych okrzyków tłumu, strzałów i pukawek. Tego dnia jeszcze otrzymaliśmy błogosławieństwo Ojca świętego Grzegorza XVI. wracającego po odprawionem *Te Deum* z kościoła *Santa Maria Maggiore*.

Nazajutrz udaliśmy się do Ojca Suszyńskiego S. J. Zwanego tutaj Aridiuim, z listem polecającym do niego od pułkownika Władysława Zamoyskiego i od O. Saprynowskiego z Turynu. Kiedy emigracja białoruska 00. Jezuitów wypędzonych z Rosyi za Aleksandra I. przybyła do Włoch, znacznie przemagała liczebnie odrastającą wtenczas dopiero prowincją włoską. Dla nieprzerażenia zatem Włochów, takim napływem barbarzyńców z północy, starszyzna zakonna przechrzcila ich na Włochów: tak zacny ksiądz Kułak nazywał się Palma, ks. Radoszkiewicz Allegri i t. d. Ksiądz Suszyński (Aridini) poznał nas z księdzem Dmowskim, professorem filozofii, i innymi ojcami Polakami mieszkającymi wraz z nim w kolegium rzymskiem. Co więcej, pocziwy ten Ojciec zaprowadził nas do kardynała Franzoni, przełożonego Propagandy, jako pierwszej i najbliższej w sprawie naszej instancyi.

Czekając w przedpokoju, spotkaliśmy i poznaliśmy Monsignora Mezzofante (później kardynała) profesora i korepetytora wszelkich możebnych języków w kolegium Propagandy. Drobnej był twarzy i tuszy; ruchawy, prosty i uprzejmy. Dowiedział się on o darze swoim języków, a może go otrzymał, z rzeczy miłosiernego uczynku wyświadczonego naszym legionistom w Bononii swojej ojczyźnie. Widząc ich zaglądających do kościołów, i modlących się, a nie mogących się spowiadać, nauczył się po polsku, i był ich spowiednikiem. Tak mu to łatwo przyszło, że wziął ztąd pochop do uczenia się iuuuych języków. Po chwili rozmowy powinszował nam,

że dobrze po polsku mówimy; a gdy wyczytał na twarzach naszych zdziwienie: „nie dziwcie się, rzekł, nie dziwcie, bo dzisiejsi Polacy, nie tylko już nie mówią językiem Skargi, waszego Złotoustego, którego ja codzień czytuję, ale nawet nie mówią językiem Krasickiego.” Później odwiedzaliśmy go nie raz z wolniejszą myślą niż w tej pierwszej chwili.

Świątobliwy kardynał Franzoni przyjął nas i wysłuchał łaskawie; wszakże oświadczył, że do Propagandy przyjmują tylko młodzież przybywającą z poleceniem biskupów właściwych z krajów w stanie misyj będących. „Obecnie, dodał, nie ma nawet miejsca wolnego, wszakże pomieszczę was jakkolwiek, jeżeli kardynał Sekretarz Stanu na to przystanie.” Tak trzeba było skończyć na tem od czego • zacząć wypadało. Po chwili stanęliśmy przed kardynałem Lambruschini. Wysoki to był, poważny i surowy starzec; o wielkiem, bystrem i przenikliwym oku. Serce nam mimowolnie biło, bo losy nasze miał w swoim ręku. Oddaliśmy mu list hrabiego Zamoyskiego; przeczytał go uważnie raz i drugi, a potem rzekł: „gruba zaszła pomyłka. Kiedym mówił że radziłybyśmy mieć Polaków, to rozumiał takich, którzyby przybyli z paszportami rosyjskimi i mogli potem wrócić do kraju: wy tego uczynić nie możecie; więc co nam po Was.” Ojciec Suszyński przedstawił mu w jakim stanie jest religia w Polsce, ile już złego rząd Kościołowi wyrządził. „Wiem ja o tem, odpowiedział kardynał, ale dotychczas dowodów urzędowych na to nie mam, i upomnieć się nie mogę. Gdybym przyjął tych młodzieńców, dałbym przyczepkę rządowi rosyjskiemu do skarżenia się na nas, że jego nieprzyjaciół politycznych przyjmujemy i popieramy. Żał mi bardzo, rzekł serdeczniejszym tonem zwracając się do nas, że nateraz nic uczynić nie mogę. Macie paszporta francuzkie, bawcie tu pod opieką Francyi; później zobaczymy.”

Wyszliśmy nie weseli i na duszy było łzawo. Przewidując konieczność opuszczenia Rzymu, przypomnieliśmy sobie, że Mickiewicz polecił nam być złożyć list jego w pałacu Poli, do księżnej Zeueidy Wołkońskiej, świetnej ongi pani w Moskwie i Petersburgu, a obecnie nawróconej i pobożnej katoliczki w Rzymie. Chcieliśmy list u odźwiernego zostawić, ale że służba zwykle na wzór państwa się układa, zaprosiła

nas na górę. Księżna przyjęła nas z uprzejmością prawdziwie chrześcijańską, a dowiedziawszy się o naszej przygodzie, szturmowała za nami do Propagandy. Gdy jednak kardynał Franzoni odwoływał się stale do pozwolenia Sekretarza Stanu, pośpieszyła za nim pocztą na wieś, gdzie właśnie się był wyniół: wszakże nie nie wskórała.

Kardynał Lambruschini był powiedział: „czekajcie, a potem zobaczymy;” niestety nie było już o czym doczekać się pomocy z Paryża, choć tylko 15 groszy na dzień wydawaliśmy na mieszkanie i stół. Zaczęli Ojciec Suszyński, który wciąż o nas myślał, wynalazł nareszcie miejsce od ciężkiej potrzeby, na dozorców w domu sierot (orfanelli). Prowadziliśmy uczniów do klas niższych, do collegium rzymskiego, a sami współcześnie słuchaliśmy kursów teologii. Miejsce to na pozór podobne było do onego jakie zajmowaliśmy w Paryżu: ale jakże w rzeczy odmienne. Niezuani przełożonym, nie znając języka, niezdolni przez czas długi porozumieć się z uczniami; pozbawieni wszelkiego towarzystwa, ledwo przez godzinę na dzień mogliśmy się z sobą widzieć. Mieszkanie było wilgotne i niezdrowe: obaj cierpieliśmy mocno na oczy, Kajsiewicz nadto na mocny, prawie ciągły ból zębów. Takich przebyliśmy miesiące czternaście; zasilani tylko szczególną łaską Bożą.

Wiedzieli bracia nasi i przyjaciele w Paryżu, o tem nie wesołem naszym położeniu. W jesieni 1838 r. przybyło dwóch nowych na nauki do Rzymu, Józef Hube i Edward Duński z uwiadomieniem o zapewnionych z kraju czterech stypendyach po 600 franków rocznie. Otrzymaliśmy byli ten fundusz za sprawą Bohdana i śp. Józefa Zaleskich od spoczywających już w Bogu Dariusza i Dyonizy (z Iwanowskich) Poniatowskich i niektórych z ich krewnych. Najęliśmy zatem sobie osobne mieszkanko, *Piazza Morgana* pod numerem 24, w parafii *Santa Maria in Campitelli*, i zaczęliśmy życie wspólne w Rzymie. Zaczęto nam dawać nazwę collegium polskiego i mieliśmy ławkę osobną, jak inne collegia, w audytoryach. (Obok nas utworzyła się ławka francuzka, na której siadywali ksiądz Labouillierie, obecny biskup Carcasone, ksiądz de Cazales, wikary generalny i znany pisarz, itd.) Wszakże fundusz pierwszoroczny z kraju wzięty z góry, wyszedł był w znacznej części na podróż dwóch braci nowo-

przybyłych i na zakupno niezbędnych porządków domowych. Nadto odebraliśmy wiadomość, że dobrodziej nasi za powrotem, pociągnięci do śledztwa choć najniesłuszniej o należenie do spisku Konarskiego, uwięzieni jedni, przerażeni wszyscy, dalszej nam pomocy przysyłać nie mogą. Pochwaliwszy Boga, powiedzieliśmy sobie, iż będziemy wytrzymywać dopóki będzie o czym: a po wydaniu ostatniego grosza, przedamy łóżka i krzesła nasze, i piechotą wrócimy do Paryża. Ale Bóg chciał tylko nas doświadczyć, aby Opatrzność swą miłosierną dotykałniej dać poznać.

Zaraz po przybyciu do Rzymu poznaliśmy Augustyna Tkeynera, rodem Szlązaka, z ojca Węgra a matki Polki. Był na razie professorem literatury w kolegium Propagandy, później wstąpił do Zgromadzenia Oratoryanów. Przechodząc sam rozmaite koleje i zażywszy biedy, szczerze się nami zajął. Pisał o nas do biskupa Jordańskiego, koadjutora Prymasa Węgier. Ten w odpisie wymyślając żwawo *dzikowi leśnemu niszczącemu winnicę Pańską* (cesarzowi Mikołajowi) przysłał dla nas sto talarów, obiecując więcej: ale go rychło Pan do chwały swojej powołał.

Pomoc dalszą znaleźliśmy w Cezarym Platerze, który przybył na końcu roku 1838 do Rzymu i z nami zamieszkał żywiąc nas z własnej kieszeni. Mieszkanie to Platera zetknęło nas z Polakami podróżującymi, których się właśnie było kilkunastu zjechało tej zimy, i odtąd co rok więcej przybywało. Między innymi był śp. generał Józef Szymanowski, który rychło zamieszkał z rodziną w Rzymie, i serdecznie się potrzebami naszymi zajmował. Inni też słysząc, że żyjemy z Opatrzności, przychodzili nam w pomoc, tak że później i kilkunastu nas, i kilkudziesięciu choć z biedą wyżyć mogło, świadcząc jeszcze innym biednym rodakom.

W jesieni 1839 roku przybył do nas Karol Kaczanowski były kapitan artylerii, urodzony w Pińsku z początkiem tego stulecia. Na początku r. 1840 Bohdan Jański, zwinąwszy domek paryzki, przybył do Rzymu z zamiarem zaczęcia nauk teologicznych. Ale niestety przywiózł już ze sobą zaród śmiertelnej choroby piersiowej. Gdyby był po chorobie przed pięciu laty odbytej troskliwie ochraniał siły swoje, mógłby był, po ludzku mówiąc, przedłużyć swe życie. Z drugiej strony, nie byłby zapewne odpowiedział woli Boga, który mu

zostawił czas do pokuty, uświęcenia się i podźwignienia wielu innych z upadku. Prowadził tedy życie umartwione, czynne, kłopotliwe. Szukał dusz rodaków zbłąkanych po zakątkach całego wielkiego Paryża. Dla jednych wyszukiwał miejsca, gdzieby i chleb doczesny, i dobry przykład, i zbudowanie mieli. By zapewnić nawrócenie innych, brał ich do *domku*, z wielkim trudem wyszukując grosz, dla przeżywania kilkunastu i więcej osób. Nie wszyscy z czystym zamiarem przychodzili; inni, szczerzy w pierwszej chwili, wracali następnie do dawnych narowów. Jański zmuszony udzielać się często na zewnątrz, nie miał zawsze zastąpić się kim dostatecznie wewnątrz domu. Ci, którzy dłużej przy nim byli, więcej wyrobieni na duchu, przechodzili z kolei do stanu duchownego: wciąż tedy miał do czynienia z rekrutami. I siły fizyczne Bohdana, i zasoby materyalne wyczerpywały się; zresztą potrzeba domu dla braci świeckich zmniejszała się w miarę częstszych nawróceń wśród emigrantów. Pięciu już teologów w Rzymie obiecywało rychło misjonarzy dla Paryża: w każdym razie pilno mu było samemu do Rzymu. Zastąpić go mógł po części okrom innych Jan Koźmian zajmujący się wychowaniem kilku młodzieńców z kraju, przez pobożne rodziny mu powierzonych.

W ciągu tego ruchliwego i kłopotliwego życia w Paryżu wybiegał często do Mortagne, głównego domu Trapistów; otrzymał był nawet dla nas afiliacją do modlitw i zasług tego pokutniczego zgromadzenia. Ostatniego roku zabawił tam do trzech miesięcy: zapiski jego, dotyczące się potrzeb osobistych duszy i przyszłości Zgromadzenia, dowodzą jak głęboko czuł i widział. Post ciągły po domach Trapistów; modlitwy długie a gorące (bo kiedy się Bohdan modlił, zapalał się cały na twarzy): wszystko to tucząc duszę musiało wycieńczać ciało. Nareszcie pod jesień 1839 r. w podróży do kolegium Juilly w okolicach Paryża, gdzie był parę rodaków umieścił, przemokły do nitki i zaziębiony, wrócił z katarem, który się rychło w suchoty przemienił. W tym już stopniu była choroba, że powietrze włoskie, zamiast powstrzymania, rozwijało ją pospiesznie. Siłę i pogodę umysłu obok słodczy serca zachował do końca. Jeżeli na chwilę drażliwość czysto nerwowa go podchwyciła, sam się niejako sobie dziwił i uderzając ręką w czoło mówił: „co też się ze mną dzieje!” Doktor,

który obok przybyłego brata Terleckiego go leczył, tak się w chorym rozmiłował, że nie miał serca, pomimo prózb naszych, ostrzedz go o blizkiej śmierci. Gdy w końcu jeden z nas to uczynił, nie zmięszał się bynajmniej: „nie od dzisiaj, rzekł, myślę o śmierci; oddawna do niej się sposobie[^] nie sądziłem jednak by już tak była blisko. A potem z rodzajem łagodnego żalu dodał: „czemuż mnie doktor nie ostrzegł kiedym go o to prosił.” Niezwłocznie zaczął dyktować swoje ostatnie rozporządzenie. Ostatnie Namaszczenie i Przenajświętszy Sakrament przyjął z wielką pobożnością i przytomnością, która go rychło opuściła ¹⁾). Skonał łagodnie, nad ranem d. 2 lipca w dzień Nawiedzenia Matki Boskiej i wśród klęczących w około i łzawo się modlących braci. Zwłoki jego pogrzebane na smętarzu św. Wawrzyńca; zanim Zgromadzenie zdobyło się na grób wspólny, na kamieniu jego nagrobkowym proroczyśmy byli wyryli napis: *hic resurrecturus quiescit*. Emigracya pomimo różności zdań i rozburzonych namiętności, z żalem i współczuciem żalobną tę posłyszała nowinę; a katolicy poczuli się osieroconymi; ou bowiem początkował i ześrodkowywał w sobie ruch religijny w emigracyi. To też towarzysze jego, na litografii wydanej w Rzymie, podług obrazu olejnego, wykonanego na parę tygodni przed śmiercią przez malarza Sarneckiego, podpisali:

ś.p. BOHDAN JAIŚSKI

p i e r w s z y p o k u t n i k j a w n y

I Apostoł emigracyi polskiój we Francyi.

Co do nas, ponieważ nic nam więcej nie przekazał okroin myśli trzymania się razem, nie możemy go uważać za naszego założyciela; kochamy jednak jego pamięć jako przesłańca naszego Zgromadzenia, a największego naszego dobrodzieja.

¹⁾ Winienem tu wdzięcznie wspomnieć Mgra de Falloux, który chorego naszego odwiedzał i Mszę świętą dla niego miewał.

ROZDZIAŁ II.

Przełożęństwo Piotra Semenienki (1840—1845).

Przełożonym obrany został Piotr Semenenko. Troska główna teraz była o święcenia; nikt z nas tonsury, ani czterech mniejszych święceń jeszcze nie był otrzymał. Podczas naszego pobytu w *College Stanislas*, pan de Montalembert będąc w Rzymie uzyskał był u Ojca świętego wraz z błogosławieństwem potrzebne dyspensy; ale zaginęły one jakoś w konsystorzu paryżkiin, i trzeba było teraz na nowo się o nie starać. Otrzymaliśmy je u Grzegorza XVI, i dwóch nas pierwszych dostało święceuia mniejsze w ciągu zimy 1839 roku: a dla innych był już precedens utworzony. Nie mając bowiem metryk naszych, musieliśmy przysięgą stwierdzać, żeśmy chrzczeni i katolicy, jak później musieliśmy przysięgać, żeśmy nie żonaci.

Te pierwsze święceuia, stosunki grona naszego z Polakami przybywającymi z kraju, a nadewszystko mieszkanie u nas Cezarego Platera, który pierwsze dokumenta dowodzące prześladowania rządu rossyjskiego przywiózł był do Rzymu: wywołały reklamacye urzędowe Rossyi przeciwko nam. Hrabia Potiomkin oskarżył nas przed papieżem jako ludzi niebezpiecznych i wichrzących, jako agentów politycznych i nicpo- niów: ale go Grzegorz XVI. stropił zręczną swoją dobrodu- sznością. Biorąc bowiem do rąk książeczki nadgroldowe z kol- legium rzymskiego, rzekł do niego: „panie ministrze, wybacż że ci wierzyć nie mogę; musisz być źle informowany. Młó- dzieńcy ci, od dwóch lat już są tutaj; uczą się dobrze, zy- skują medale i pochwały; professorowie są z nich zadowol- nieni i najlepsze im dają świadectwa.” Rzecz prosta, że am- basador nie mógł się rozpierać z professorami. Kardynał Lambruschini zaś zbywał ambasadora dyplomatycznie pytając go za jakimi siedziemy tu paszportami, a gdy posłyszał od- powiedź: „naturalnie że za francuzkiemi:” odesłał do posła

francuzkiego, oświadczając, że musi szanować paszporta francuzkie, jak wszelkie inne. Tak przeszła i ta burza.

Po tylu latach teologii trzeba było myśleć o święceniach wyższych, i wypadało dotrzeć do samego Ojca świętego. Otrzymaliśmy posłuchanie pierwsze i ostatnie u Grzegorza XVI. „Od jak dawna jesteście już tutaj,” spytał? „od trzech lat Ojcze święty,” odpowiedzieliśmy. „Jako? od trzech, a jeszcze u mnie nie byli?” Nieśmieliśmy być natrętnymi bez szczerzej potrzeby. „Na przyszłość bądźcie śmielsi,” rzekł z dobroduszną ale poważną prostotą. „Cóż mi tedy powiecie” spytał? Opowiedzieliśmy nasze zamiary, położenie i potrzebę tytułu do święceń wyższych. „Czy chcecie święcić się dla Propagandy?” — „Nie możemy złożyć przysięgi absolutnej pójścia gdzie nas poszła; albowiem chowamy się dla Polski.” — „Pojmuję, rzekł Papież: czy chcecie zatem należeć do dyecczyi rzymskiej?” — „Nie możemy, rzekliśmy, dla tegoż samego powodu; nie mielibyśmy co robić osiadając stale w Rzymie.” — „No, to i ja nie widzę sposobu” rzekł Papież, i odesłał nas do Monsignora Brunelli, naonczas sekretarza Propagandy, aby mu przypomniał o naszej sprawie. Wszakże do niczego nas to nie doprowadziło, bo zawsze zostawało wybierać między Propagandą a dyecezyą Rzymską: a ani jedno ani drugie nie było dla nas. Wtenczas zacny nasz przyjaciel pan de Montalembert stał się znów dla nas narzędziem Opatrzności. Za jego staraniem głównie ś. p. ks. Affre postąpił był na arcybiskupstwo paryzkie; u niego to otrzymał wpływem swoim, że nas wszystkich sześciu przyjął do swej dyecezyi w myśl zachowania nas dla Polski; i papiery potrzebne nadesłał. W miesiącu tedy sierpniu 1841 r., Semenenko i Kajsiewicz już doktorowi® teologii weszli na miesięczne rekolekcyje przygotowawcze do trzech święceń wyższych. Wszakże musieli je przerwać; albowiem jak się zdaje ambasada rossyjska w Rzymie przez agentów swoich umiała różne przeszkody i zwłoki wywoływać, tak iż jeden poważny kapłan zawołał: „doprawdy, potrzebna wam cierpliwość Joba”; a to były tylko początki trudności i zawał na każdym kroku życia naszego. Nareszcie 21-go listopada w święto Przedstawienia się Matki Boskiej w kościele otrzymaliśmy subdyakoniat, we trzy dni potem za dyspensą dyakoniat, a 5go grudnia kapłaństwo, z rąk wicegerensa Monsi-

guora delia Porta. Dnia 8go grudnia 1841 r., w święto Niepokalanego Poczęcia Maryi Panny, odprawiliśmy po raz pierwszy Przenajświętszą Ofiarę w kościele Santa Maria Maggiore: ksiądz Semeneuko przed cudownym obrazem Matki Boskiej, ksiądz Kajsiewicz przy zwłokach świętego Hieronima, swego Patrona w kaplicy żłobka Pańskiego. Obecni byli Polacy dość licznie tej zimy w Rzymie zgromadzeni, jak np. generałstwo Chłapowscy, Szymanowscy, Walerostwo Wielogłowscy, i t. d. Spędzeni też śniegami z gór pasterze owiec licznie przystąpili do stołu Pańskiego wraz z Polakami przypominając tak i pierwszych pasterzy i mędrców ze Wschodu u żłobka Pańskiego. (Rychło ksiądz Hube i Duński dostąpili zaszczytu kapłaństwa, a następnie i inni).

Dotychczas musieliśmy się ograniczać na przysposabianiu dusz do spowiedzi i doprowadzaniu ich do kapłanów polskich i francuzkich: odtąd już sami zaczęliśmy udzielać Sakramenta święte. Jubileusz ogłoszony za potrzeby Kościoła hiszpańskiego, obok cudownego nawrócenia się Alfonsa Ratisbonne, pobudziły do szczerej spowiedzi naszych rodaków nawet mniej pobożnych. W ciągu tej zimy był w Rzymie ksiądz Dupanloup, obecnie biskup orleański, naonczas wikary generalny paryzki i przełożony małego seminarium. Jako dycecezalnych księży chciał księdza Semenę i mnie zabrać na nauczycieli do swego zakładu. Obronił nas wspólny nasz spowiednik śp. Ojciec de Ydlefort S. J., mówiąc: ^zostaw ich, Bóg im wytknął inną drogę."

Kilka miesięcy przedtem przybył nam siódmy brat w osobie Władysława Godlewskiego. Ponieważ Towiańszczyzna już kiełkowała i przewidywaliśmy potrzebę rozdzielenia się między Rzym i Paryż; spędziliśmy cały wielki post na naradach wspólnych celem ułożenia pierwszych zarysów ustawy mającej nami rządzić. Zanadto mieliśmy jeszcze mało doświadczenia, abyśmy mogli ua coś dojrzałego się zdobyć; wszakże niektóre zamiary zasadnicze już i w tej pierwszej regułce były wyrażone. Skończyliśmy narady w Wielką sobotę około północy, i postanowiliśmy złożyć śluby w ręce księdza Piotra Semeuénki, wybranego na przełożonego rzeczywistego; bo dotychczas, od śmierci Jańskiego, był 011 tylko tymczasowym, a i gromadka nasza była tylko zebrauiem ludzi dobrej woli, nie zaś stałem Zgromadzeniem, ślubami przed

Bogiem do wspólnego życia związanem, i któreby miało prawdziwego z prawa przełożonego. Postanowiliśmy uczynić to w katakumbach św. Sebastjana, gdzie nas sławny kardynał Micara posyłał „uczyć się polityki dla nas stosownej i potrzebnej.” Któryś z braci rzucił pytanie jak się mamy nazywać? zdaniem jednych należało nam czekać aż od wiernych otrzymamy nazwę. Wszakże na zapytanie: jak odpowiedzieć pytającym o nazwę naszego Zgromadzenia? inny z braci przedstawił, iż wypada nam przyjąć miano, które sam Bóg daje w skutek aktu zawiązania się naszego Zgromadzenia i to bez uprzedniego rozmysłu, w rocznicę *Zmartwychwstania Pańskiego*. Wszystkim się ta myśl podobała, postanowiliśmy jednak na teraz się z tem nie odzywać, celem uniknięcia rozmaitych przypuszczeń i podejrzeń; jak się rzeczywiście później stało. Obrządek złożenia ślubów tak dla nas uroczysty spełnił się w Niedzielę Wielkanocną podług zamierzenia z wielkiem rozweseleniem ducha naszego i dziękczynieniem Bogu.

Podobało się Bogu dać nam dowód zewnętrzny, że On nam natchnął przyjętą przez nas nazwę Zmartwychwstańców. W jesieni bowiem tegoż roku, bez najmniejszego zachodu z naszej strony, za staraniem księżnej Borghese matki, z domu La Rochefoucault, otrzymaliśmy w administracyą jeden z kościołów francuzkich w Rzymie, dawniejszy prowincjonalny Burgundczyków, a poświęcony św. Andrzejowi Apostołowi Słowian i św. Klaudyuszowi. Kościół ten był nam całkiem nieznanym, bo po jeduej i jedynej Mszy rannej bywał zamknięty przez dzień cały: z jakimże miłem zdziwieniem, znaleźliśmy jeden ze trzech ołtarzów poświęcony zmartwychwstaniu Pańskiemu, i ozdobiony pięknym obrazem tej tajemnicy. Tem to pziwniejsze, że dotychczas nie słyszeliśmy o drugim ołtarzu poświęconym Zmartwychwstaniu w całym Rzymie, a w licznych naszych podróżach, w jednym tylko Neapolu spotkałiśmy małą kapliczkę poświęconą tej tajemnicy. Ojciec św. Grzegorz XVI. ułatwił nam łaskawie objęcie tego kościoła wyznaczając pensyą byłemu jego rektorowi. Ale cofnijmy się o kilka miesięcy przedtem.

Zbliżała się chwila naszego rozłączenia. Bracia nasi świeccy pisali raz poraż z Paryża, zaklinając nas na wszystko co może być najświętszego, byśmy przybywali na pomoc

emigracji ciągniętej do przepaści przez Towiańskiego, za sprawą przeważną Mickiewicza. Mickiewicz, który dwoma laty wprzód będąc professorem literatury starożytnej w Lausanne, zachwycał protestantów łaciną Ojców Kościoła i hymnami Prudencyusza, Mickiewicz, który ich kilku do Kościoła przyciągnął, i wzywając nas do rychłego przybycia tamże obfity nam połów dusz obiecywał; Mickiewicz który kiedy wrócił do Paryża dla objęcia katedry literatury słowiańskiej w *College de France*, (którą mu był wyrobił wspólny nasz przyjaciel Montalembert razem z księciem Adamem Czartoryskim), zamierzał po roku lub dwóch wykładu przybrać sobie za zastępcę księdza Piotra Semenenkę: tenże sam Mickiewicz dnia 3 maja 1842 roku, pociągnął czterdziestu czterech Polaków do tak zwanego *koła*, a wielu innych chwiało się pod ciężką a ciągłą pokusą. Pospieszył zatem ks. Duński do Paryża pod koniec maja, a gdy listy jego były wielce niepokojące, opuścił i ksiądz Kajsiewicz Rzym 26 czerwca i przybył do Paryża 12 lipca, w wigilią wypędzenia z tego miasta Towiańskiego przez policję francuską: tak że z nim osobiście zetknąć się nie mógł.

O Towiańskim i jego nauce pisać tu nie myślę: kto nie czytał może odczytać co w tej mierze podówczas ogłosił Stefan Witwicki, serdeczny przyjaciel Mickiewicza. Chęć raczej mówić o rozmowach moich z Adamem, a wprzód dać objaśnienie jak mógł tak nagły przeskok nastąpić. Nie bez boleści przyjdzie mi o tem mówić, bom wiele temu mężowi winien, nigdy się z tem nie krył, owszem przy każdej sposobności głośno to wyznawał. Opatrznie, poznałem Adama w najlepszych jego latach, w latach ukojenia wewnętrznego i praktycznej jego religijności. Ale prawda przedewszystkiem: „*amicus Plato, magis amica veritas*”. Im większa cześć w narodzie dla tak znakomitego męża, tem ściślejszy obowiązek odkrycia stron jego ujemnych; aby młodzież powodująca się uczuciem i uwielbieniem bezwzględnie, wad samych ludzi genialnych nie naśladowała. Otóż trzeba powiedzieć, że Mickiewicz będąc na wygnaniu w Rosyi, wszedł błąd w stosunki bliższe ze szkołą Martinistów, i wczytał się mocno w pisma St. Martin'a, luźnego i nieprawowiernego mistyka. Tłómaczył też na język polski wiersze Anioła Silezjusza (Szlązaka) i chętnie przestawał zawsze z rozmaitego rodzaju marzycielami,

nawet z kabalistami żydowskimi; pomimo prośb i ostrzeżeń Witwickiego, Bohdana Zaleskiego i innych bliższych swoich przyjaciół: to pokazuje kierunek stały jego umysłu do rzeczy ciekawych i nowych. Drugim wypadkiem, mało znanym a wielce tłumaczącym nagły zwrot w jego umyśle, była ponawiająca się umysłowa choroba żony po każdym porożu. Rana ta w domowym jego życiu, obok piękącego nieraz niedostatku, doprowadzały go często do stanu rozstroju wewnętrznego i rozpacz. Dziwna rzecz że ś. p. żona Adama w stanie swej chorobliwej egzaltacji zapowiadała *mistrza*, jako Mojżesza przychodzącego zbawić naród polski. Czy Towiański był znany Mickiewiczowi z czasów jeszcze Wileńskich lub późniejszych, nie jest mi wiadomem; ale to pewna, że około roku 1834-go i później, Towiański kręcił się wraz z doktorem Gutem za graucą, i kusił z kolei wszystkie nasze znakomitości jako to arcybiskupa Dunina, jenerała Skrzyneckiego i t. d. Dodać jeszcze potrzeba, że Mickiewicz w polityce miał tendencje panslawistyczne, jak i Towiański. Kilkoletni pobyt jego w Moskwie, widok tej wielkiej fnateryalnej siły, wielu dobrych znajomych i przyjaciół których tam znalazł, upadek nareszcie powstania polskiego, i Francyi za Ludwika Filipa, skłaniały go do tego: liczył tedy jedynie na restauracyą rodziny Bonapartów, i prawdopodobnie był w stosunkach z nielicznymi ich wtenczas zwolennikami. To wszystko wiele już tłumaczy. Ale kiedy przypomnimy sobie, że Towiański równie jak jego zwolennicy, pociągają głównie ludzi pochlebiając ich miłości własnej, wmawiając im że mają wielkiego ducha, wielkie powołanie, i byleby się poddali *pratodzie*, wielkich rzeczy dokażą: kiedy przypomnimy sobie, że Towiański mianował Adama mistrzem słowa, prorokiem, który wieszczym duchem wyśpiewał że uczucie, jest głównym działaczem ducha ludzkiego, mówiąc: „miej serce i patrz w serce”: kiedy nareszcie przypomnimy sobie że Towiański obiecywał to wszystko, nadto odbudowanie Polski, podniesienie Słowiańszczyzny, itd. Mickiewiczowi, pogrążonemu, jak widzieliśmy, w rozpacz; nie zdziwi nas, że się ten mógł poddać Towiańskiemu. Nadto Mickiewicz twierdził, że Towiański (zkażynąd Mag i magnetyzer potężny) uleczył jego żonę; to uleczenie Mickiewicz brał i dawał za dowód posłannictwa z góry swojego mistrza, nie pomny że i dawniej po niejakiem czasie małżonka jego

przychodziła mniej więcej do normalnego stanu; że więc uleczenie to, podług prawideł w Kościele przyjętych, za cudowne uważane być nie może. Nareszcie Towiański wysławiał duchy Izraelskie jako najwyższe, i cierpienia rozproszonych Judy liczył im ku zasłudze; Adam zaś z wielu powodów, których wyliczać niema potrzeby, skłonność ku żydom okazywał. Dostyc że Mickiewicz sam uwiedziony, uwiódł kilkudziesięciu innych podbitych jego wyższością i wierzących mu z góry na słowo.

Gdyśmy przybyli do niego z księdzem Duńskim przyjął nas z pewnym ambarasem i zawołał: „Czegożecie tak długo siedzieli w Rzymie, teraz już nie czas rozprawiać, sprawa się zaczęła, hasło dane, trzeba iść naprzód, i t. d. Wszakże dnia pewnego, już w środku lata, gdym był z nim sam na sam, tak mówił po katolicku, i w końcu wyrecytowawszy całe *Credo* katolickie na kolanach, z ramionami na krzyż złożonymi, dodał: „przysięgam ci że w to wszystko wierzę.” Uradowany, rozrzucony, odezwałem się: „Adamie, kiedy tak, to możemy się porozumieć, proszę cię tylko o jedną łaskę.” A gdy oświadczył się z gotowością uczynienia mi zadosyć, mówiłem dalej: „wiesz żeśmy świeżo wyświęconymi kapłanami, nadto cudzoziemcami, i świeżośmy przybyli do tej dycezyi. Po tem wszystkim co już zaszło, niepodobna nam przestawać z wami swobodnie, przyjmować was do Sakramentów świętych, jeżeli ksiądz arcybiskup do tego nas nie upoważni. Zróbże mi łaskę i powiedz to przed nim coś przedemną powiedział.” A gdy odrzekł: „chętnie to uczynię, tylko mi otrzymaj posłuchanie,” byłem u arcypasterza który uprzejmie pozwolił mu się stawić. Z bijącym sercem czekałem powrotu Mickiewicza, a gdy przyszedł do mnie. powiedział: „wiesz, Oll daleko pokorniejszy odemnie; jamci mówił do niego na kolanach, ale on przedemną jakby laik się tłomaczył.” Pytając o szczegóły, zrozumiałem że poprzestał na ogólnem zaręczeniu o swojej prawowierności, a potem zaczął interpellować swego pasterza w następny sposób: „czy sądzisz żeś ty dobrym biskupem?” Zdziwiony arcybiskup rzekł: „tak dobrego przekonania o sobie nie mam, ale cóż Pana tak we mnie razi?” — „Byłem niedawno, mówił Adam, na posiedzeniu tak zwanego Instytutu katolickiego; młokos pewien wyperfumowany, nadęty, czytał jakąś lichą rozprawkę, a ty

pasterzu, tyś go publicznie pochwalił." — „Co chcesz, panie Mickiewicz, odparł spokojnie ksiądz Affre, wiara dziś tak osłabiona, że zachęcamy wszelki wysiłek ku dobremu." — „Nie byleś wprawdzie, pasterzu, odparł szorstko Mickiewicz; a potem jak czasu twego używasz? Wydajesz książeczki; dobreć są one, ale koniec końców, i człowiek świecki umiejący dobrze katechizm mógłby się na podobne[^] zdobyć. A co gorszego, to że pisujesz bez końca już do Prefekta, już do ministrów; na miły Bóg, czyż to zajęcie dla ciebie? miej płatnego skrybę do takich bazgranin, a sam pilnuj obowiązków biskupich." Ś. p. ksiądz arcybiskup, zamiast się oburzyć, zaniepokojony niejako w sumieniu, zapytał łagodnie: „więc cóż chcesz panie bym czynił?" Mickiewicz mówił doń z rosnącym zapałem i z rosnącym zuchwalstwem: „Kościół katolicki w Polsce jest rozbijany przez schyzmę, a czyś odezwał się kiedy wraz z twymi kolegami w jego obronie? co więcej, zdarza się nieraz że w tem mieście, dzieci wasze duchowne mordują się na ulicach, a czy wy występujecie wtenczas by ich rozbroić, jak czynili w podobnych razach wielcy biskupi w dawnych wiekach?" Bodaj czy nie zostało w duszy arcybiskupa to słowo, i czy nie spowodowało go do pójścia w dniach czerwcowych 1848-go roku na barykady, gdzie śmiercią męczeńską poległ, wołając: „oby krew moja była ostatnia przełana!" Cokolwiekbądź na razie, jako człowiek sumienny i wyższy, z pewnym niepokojem ś. p. Affre powtórzył: „więc mi powiedz nareszcie czego wymagasz ode mnie?" Na to Mickiewicz, jak zwykle nowatorowie, mocni i przesadzający w krytyce, a słabi gdy przychodzi postawić program dodatni odparł: „ja prosty laik, tyś biskup: módl się do Ducha świętego a zrozumiesz co masz czynić. Ale koniecznie zrób coś takiego, aby gdy wychodzisz na ulicę, lud klękał przed tobą, prosił cię o błogosławieństwo, i otrzymawszy je wierzył że jest lepszym, i został nim rzeczywiście. Otrzymaj to a będziesz prawdziwym biskupem. Bądź mi zdrów," i z tem odszedł.

Naturalnie że takie postawienie się Mickiewicza wobec władzy duchownej zawiodło moją nadzieję, i usposobienie z którego poszło nie dało rękojmi na przyszłość, i możliwości porozumienia się. Muszę jednak dodać na pochwałę ś. p. księdza Affre arcybiskupa paryzkiego, że gdym do niego wrócił

powiedział mi dobrotliwie : „wasz poeta jest człowiek egzaltowany, ma on jednak dobre chęci, nie odpychajcie go zatem, i bądźcie z nim cierpliwymi." Szczegóły tej rozmowy tak mi żywo utkwily w pamięci, a nadto tak często powtórzyłem je moim zaufanym, iż jestem pewny pomimo lat 28 które odtąd upłynęły, że treść jej i wszystkie ważniejsze wyrażenia, dokładnie podałem. Szczegóły tej rozmowy nie były jeszcze w żadnej biografii ś. p. arcybiskupa umieszczone; nie pilno nam było bowiem rozgłaszać jej, mianowicie wśród obcych, dla wielu powodów które każdy łatwo pojmie. Niestety nadzieje przezemnie powzięte do niczego nie doprowadziły i wypadło nam walczyć z tym z którym byłoby tak miło i tak korzystnie wspólnie pracować.

Pau Karol de Montalembert, spólcześnie z otrzymaniem u rządu nowej katedry sławiańskiej, wyrobił także ustanowienie posady dla kapelana emigracji polskiej w Paryżu, którąśmy mieli objąć za naszym przybyciem. Tak w miłosierdnym zamierzeniu Bożem mieliśmy z dwóch katedr religijnej i naukowej, działać w duchu religijnym: nieprzyjaciół wszelkiego dobra, złąkł się następstw tak korzystnego położenia, i katedrę przeciw ambonie obrócił. Nieraz bowiem kazanie moje było zbijaniem błędów wygłoszonych na poprzedniej lekcji Mickiewicza: wtenczas zwykle *prorocy* (tak zwano Towiańszczyków) na znak proteStacyi z kościoła wychodzili.

Nabożeństwo dla Polaków otwarte zostało dnia 10-go września 1842-go roku, w kościele św. Rocha, w kaplicy grobu (du Calvaire), jednej z najpobożniejszych w Paryżu: opisałem ją w kazaniu *o pokucie* (Kazań przygodnych, tom 1-szy). W lat kilka potem została przerobioną; dziś regularniejsza jest ale mniej uroczysta. Nabożeństwo przyjęte zostało lepiej przez naszych rodaków niż się można było spodziewać; schodziło ich się do dwustu, liczba nie mała bacząc na rozproszenie naszych po ogromnym Paryżu; ile że biedniejsi kończyli miasta lub przedmieścia zamieszkują. Przyczynić się do tego mogła, jak zwykle się dzieje, sama nowość rzeczy ; a potem zwrot ku religii dość silny od lat kilku we Francyi, a jeszcze drażliwą kwestyą o wychowaniu nie przetrącony. Wychodźcy, zwłaszcza polscy, łatwo przyjmują wyobrażenia i usposobienia ludów pośród których mieszkają; tem bardziej przejmują wszystko łatwo od Francuzów, nawet po części dobro i prawdę. Nadto

kwestią domowa Towiańszczyzny, dzięki osobistości Mickiewicza który jej nadal ważył; napady obcesowe Towiańszczyków na niejednego zatylego w grzechu brata; argumenta ich *ad kominem* w żywe oczy miotane; wstrząsały nie jednym sercem i przynaglały umysły do oświecenia się w nauce Kościoła: każdy bowiem napastowany przez nowotników, przyznawał się do starej wiary przodków, choć jej ani znał, ani przepisów jej nie spełniał. Nareszcie Ojciec święty wystąpieniem swym publicznym, przeciwko prześladowaniu religii w państwie rosyjskiem, ułagodził umysły rozdrażnione mniemaną exkoinunika za ostatnie powstanie.

Dopomogła też waga jaką rząd rosyjski przywiązywał do tego nabożeństwa i prześladowanie jakiego doświadczało ze strony ambasady rosyjskiej w Paryżu. Zaledwo bowiem powiedziałem kazanie o *rządach Opatrzności*, wnet ambasada rosyjska wystosowała notę dyplomatyczną do pana Guizot ministra spraw zagranicznych, skarżąc się: że kaznodzieja zelżył z ambony cesarza, że w kazaniu pełno było aluzji do Rosyi, że podnieca ducha buntu, i obudzą grzeszne nadzieje w Polakach, i t. d. Pan Guizot udał się z tem do arcybiskupa; arcybiskup przywoławszy mnie, kazał sobie podać objaśnienia na piśmie. Odpisałem w treści: że imienia cesarza ani razu nie wzmiankowałem, że nie myślałem czynić żadnych aluzji, wszakże aby uniknąć podejrzenia podobnego trzeba by chyba wyrzec się przytaczania proroków. Takie jest bowiem podobieństwo, między narodem polskim, a ludem Izraelskim oddawanym na czas za grzechy swoje, w ręce narodów niewiernych: że aluzye tkwią w gruncie samym rzeczy i tryskają samorodnie. Że nie naznaczam dnia, godziny, ani sposobu, w jaki się Bóg zmiłuje nad Polakami jeżeli się poprawią; ale jak mam tę nadzieję tak ją głoszę: inaczej musiałbym opowiadać Boga nie dającego się przebłagać pokucie, czego ani mogę, ani chcę i t. d. Pan Guizot odczytawszy me pismo powiedział: „*si ce n'est que cela, crst tout simple; il ne peut pas faire autrement.*” Ksiądz Fayette, naonczas proboszcz św. Rocha, później biskup Orleański, spotkawszy pana Guizot u królowej powiedział doń: „panie ministrze, cesarz Mikołaj powinien by wiedzieć że nie ma nic do czynienia w moim kościele. Zresztą mogę pana zaręczyć, że kaznodzieja nic pewno pochlebnego swoim rodakom nie mówił. Byłem na

66

tem kazaniu, i choć języka nie rozumiem, widziałem na twarzach słuchaczy że wcale nie byli pyszni z tego co słyszeli." Tak się na razie skończyło. Kilka razy jeszcze pan Donei, naczelnik policji królestwa, oświadczał że znowu są na nas skargi i polecał ostrożność. W końcu jednak dodawał: „między nami mówiąc, nie lubię i ja Moskali i despotyzmu." Nabozęństwo szło tak dobrze za łaską Bożą że w kilka miesięcy od jego zaczęcia kilkudziesięciu rodaków, zwyciężając ogromny wzgląd ludzki i wstyd fałszywy, przystąpiło publicznie do Stołu Pańskiego, a pierwszym z nich był ś. p. E. Jełowicki. Do komunii Wielkanocnej przystępowało do stu i dwustu, a w liczbie ich ludzie wysoko na świeczniku emigracyjnym stojący; między pierwszymi którzy przykład zbawienny dali, miło mi postawić generała Mycielskiego, księcia Adama Czartoryskiego, generała Zamoyskiego, i t. d. Nie słychać też już było by który umierał bez Sakramentów świętych, co dawniej niestety dość często się zdarzało. Towiańszczyzna też odtąd, stanowczych nabytków wśród Polaków w Paryżu już nie czyniła.

Ksiądz Semenenko w ciągu tegoż 1842-go roku, udał się do Poznania, gdzie ksiądz arcybiskup Dunin miał zamiar, powierzyć naszemu Zgromadzeniu swoje seminaryum dycezyjne. Ugościł go najserdeczniej w pałacu swoim, ale nie mógł otrzymać u rządu by gość mógł pozostać w księstwie. Kilka nauk jakie mógł powiedzieć i gorliwe przesiadywanie w konfesyjone wywołało krzyk dzienników protestanckich że Jezuityzm zalewa prowincję. Zawiązawszy zatem stosunki osobiste z gorliwszymi duchownymi i świeckimi, wracał do Rzymu przez Paryż. W Brukselli miał rozprawę z Towiańskim którą opisał w przedmowie do książki swojej: *TotciańsJci et sa doctîne*.

Korzystając z jego obecności w Paryżu i możliwości zastąpienia się na ambonie, postanowiłem zacząć wycieczki misyjne po liczniejszych zakładach na prowincyi. Wielki Post 1843-go roku poświęciłem Tuluzie gdzie bawiło do stu naszych rodaków, a znalazłem wybornego pomocnika w Walerym Wielogłowskim: kilkudziesięciu braci wygnańców przystąpiło do spowiedzi i komunii świętej. Dowiedziałem się tam o propagandzie schyzmatycznej Mirskiego który sam zostawszy zaprzańcem dla dostąpienia amnestyi, pociągał licznych krewnych

swoich mieszkających w Tuluzie do podobnego kroku. Wraz z Wielogłowskim uderzyliśmy na gwałt; i z tego powodu miałem za powrotem do Paryża kazanie *o ivytrivałości*. Propaganda scyzmatycka została przetrąconą a Mirski wracał sam jeden do Rossyi wielce się gniewając na mnie i na, Zmartwychwstańców. Podobne missye odbyłem w ciągu lata w Tours, Angers, Beaurais, i t. d. a następnych lat w Brukselli i Londynie. W Brukselli mieszałem w liczbie słuchaczy zarazem Lelewela i jenerała Skrzyneckiego. Co do Londynu uproszony zostałem przez ś. p. księdza Brzezińskiego, kapelana emigracyi polskiej w tem mieście, abym go zastąpił podczas jego podróży do wód mineralnych. A że współcześnie emigranci nasi w Paryżu zamyślali posłać adres do O' ConneH'a siedzącego jeszcze w więzieniu, coby mogło zaszkodzić emigrantom polskim wobec rządu angielskiego: ofiarowałem się dojechać do O' Connell'a i oświadczyć mu ustnie współczucie i uwielbienie Polaków dla jego osoby. Opatrzony listem polecającym od pana de Montalembert odbyłem tę wyprawę wraz z jenerałem Chłapowskim i synem jego Stanisławem, obecnymi naówczas w Londynie; oraz ze Stanisławem Koźmianem już dawniej osobiście znanym O' Connell'owi. Odwiedziliśmy wielkiego agitatora w więzieniu jeszcze ale już na wyjściu, gdzie przyjmował co dzień po kilkaset osób proszących o posłuchanie; a następnie zaproszeni przez niego odwiedziliśmy go na wsi w Derynan Abbey. Zdaje mi się że Stanisław Koźmian opisał tę wyprawę w swoich wspomnieniach z pobytu w Anglii.

W Poitiers tylko świeżo opuszczonem gnieździe centralizacyi demokratycznej znalazłem uorganizowany systematycznie opór. Wierni poleceniu danemu nam jeszcze przez ś. p. Bohdana Jańskiego aby starać się ich pozyskać Bogu, wraz po przybyciu do Paryża byliśmy w Wersalu dokąd się centralizacya była przeniosła. Nie wymagaliśmy by pokazywali wiarę której nie mieli; prosiliśmy tylko by zajmując się ludem polskim nie powstawali na wiarę tego ludu: ale niestety nie mogliśmy nic otrzymać, i jeden tylko Wysocki spokojnie z nami mówił. Pismo ich *Demokrata* nieraz przeciwko nam wystąpiło. W 1845-ym roku żądali od nas byśmy odbyli żałobne nabożeństwo za księdza Ściegiennego Pijara który miał lud na panów podburzać i na Sybir wysłanym został. Odmówiliśmy pisząc, że Kościół błogosławi oręż na sprawie

dliwą wojnę, ale nie błogosławi nożów na rzeź braci. Trzeba wiedzieć że przed kilkoma laty jeszcze ksiądz Ściegienny żył na Sybirze i bardzo korzystnie nauczycielstwem się zajmował. Ale wróćmy do roku 1843-go.

Ksiądz Semenenko wracając do Rzymu znalazł miłego gościa w domu, w osobie księdza Aleksandra Jełowickiego. Szczegóły o swojej młodości i życiu na świecie aż do roku 1838-go opisał ksiądz Jełowicki w sposób bardzo zajmujący w drukowanych *Wspomnieniach* swoich. W jesieni 1838-go roku wszedł na ucznia teologii do *College Stanislas* opuszczonego już przez naszych pierwszych braci. Zmiana życia dawniej tak ruchawego na siedzące, natężona praca, bo obok kursów przełożył tak szczęśliwie złotą książeczkę o *Naśladowaniu Chrystusa Pana*, wpłynęły szkodliwie na jego zdrowie: śmiertelnie przechorował na tyfus, który silny jego organizm wstrząsł na długo. Po roku przeniósł się wraz z księdzem Kamockim (później misjonarzem św. Wincentego a Paulo) do seminarium Wersalskiego i tam w grudniu 1841-go r. na kapłana wyświęcony został: prawie współcześnie z wyświęceniem pierwszych nas w Rzymie ¹⁾). Gdyśmy przybyli do Paryża, ksiądz Jełowicki pracował czynnie jako wikary przy parafii St. Cloud. Gorliwie walczył z poczynającą się Towiańszczyzną, i on to wydał autograf *Biesiady* podług oryginału otrzymanego od ś. p. generała Skrzyneckiego. Był na jednym z pierwszych moich kazań, o *prawdziwych i fałszywych cudach i prorocत्वach* głównie przeciwko Towiańszczyźnie wystosowaniem. Tak nim był przejęty że z wielkiem rozrzewnieniem i większą jeszcze pokorą w zakrystyi mi dziękował. Gdyśmy wyszli wraz ze Stefanem Witwickim samotrzeć na przechadzkę, ten ostatni tak się odezwał: „księżę Aleksandrze, oto widzisz stworzył Bóg pośród nas zgromadzenie i widocznie błogosławi; po co szukać obcych bogów, po co chodzić samopas; trzeba skupiać siły.”

Ksiądz Jełowicki odpłacił się Witwickiemu podobnem zapytaniem; który nie mówiąc że tego nie uczyni tłumaczył się swoim stanem zdrowia. W jesieni tegoż roku pojechał

¹⁾ Patrz *Pamiętka święceń pierwszych kapłanów polskich na wygnaniu*, przez niego wydana.

ksiądz Jełowicki do Rzymu w charakterze wysłańca, albo posła księdza arcybiskupa Dunina, mając tak przystęp otwarty do Grzegorza XVI-go, i łaskawie od niego przyjmowany. Siedział w konfessyonalu w kościele francuskim św. Ludwika; pracował piórem, modlił się i czekał. Emigracja uparta zawsze w podejrzewaniu księdza Jełowickiego o widoki osobiste, głosiła że pojechał do Rzymu po fiolety; a on tymczasem myślał o wejściu do jakiego Zgromadzenia. Wiele powodów ciągnęło go do jakiego dawnego i ustalonego zakonu; nie mógł jednak spokojnie naszego pominąć i bił się wciąż z myślami. W jesieni tegoż roku, bawiąc dla kąpieli morskich w Neapolu, otrzymał u spowiednika swego pozwolenie, prośbienia raz i drugi Pana Boga o znak jaka Jego wola, aby raz położyć koniec bolesnej niepewności. I raz, i drugi znak Boży wskazywał mu nasze Zgromadzenie, nie śmiał się już zatem dalej opierać. Gdy jednak nazajutrz wyszedł ze Mszą świętą do ołtarza, tak mu żywo stanęło w pamięci ile matka jego przeboleła gdy zostawał księdzem świeckim, i ile przecierpi gdy się dowie że zostaje zakonnikiem, że znowu gwałtowna walka zawrzała w jego duszy. W tem słyszy kapłana przy bocznym ołtarzu czytającego z Ewangelii te słowa: „kto się nie wyrzeknie dla mnie domu, matki, siostry, brata, itd. nie jest mnie godzien.” Ewangelią tę, i to jeszcze przez pomyłkę, czytał Ksiądz nasz Józef Hube, przypadkowo przybyły do Neapolu. Wziął te słowa jako z nieba do siebie powiedziane; obiecał Panu dalej się już nie wahać; wraz za powrotem do Rzymu prosił ks. Hubego o przyjęcie, i zaczął nowicyat w domu naszym. Wydawnictwo katolickie księdza Jełowickiego przeszło w ten sposób pod zarząd Zgromadzenia.

W roku 1844-ym czy 45-ym otworzyliśmy byli w Paryżu dom przytułku dla nowoprzybywających emigrantów na dwadzieścia osób. Uczyli się języka francuskiego, rysunku linearnego, początków matematyki, historii i geografii polskiej. Zaprowadzono warsztaty dla kilku łatwiejszych rzemiosł; inni chodzili na naukę na miasto. Wszakże te wyroby znajdowały jedynie pokup pomiędzy mało licznymi rodakami; Francuzi bowiem taniej je po więzieniach i u wprawnych prywatnych rzemieślników dostawali. Populacja ta była przechodnia, psuła wiele materiału nim się czego poduczyła, a poduczysz się zakład opuszczała: tak że wciąż trzeba było opędać

wydatki z jałmużn co się w końcu dobrodziejom przykrzyć zaczęło. Nadto młodzież tę rozpolitykowaną podburzano wciąż przez dzienniczki emigracyjne i agentów naumyślnie przysyłanych; trudno było nie już do nabożeństwa ale do karności doprowadzić pomimo poświęcenia i starań zacnego kapitana Orłowskiego dozorca zakładu: zakład więc został w końcu zwinięty. Przez ciąg wszakże dwuletniego swego trwania, przyszedł w pomoc dwustu przeszło wygnańcom, jak zdanie sprawy w *Dzienniku narodowym*, wykazuje, a taniej niezawodnie jak gdyby się pojedynczym do rąk dawało jałmużnę. Łóżka nawet i sprzęty się nie zmarnowały, bo te które się całkiem nie zużyły zostały darowane *szkółce wojskowej*, rychło potem przez zacnego kapitana Korzeniowskiego założonej.

Wszakże bracia nasi świeccy, jako to Witwicki, Zalescy, Wielogłowski, Waleryan Chelchowski, Karol Królikowski, Władysław Laskowicz i t. d. (niektórzy z nich założyli później prześliczne *Towarzystwo czci i chleba*) na razie rozebrawszy między siebie różne dzielnice miasta, donosili nam o chorych, po szpitalach i domach prywatnych leżących, tudzież o biednych. Temi ostatnimi zajmował się najgorliwiej przez lat wiele ksiądz Karol Kaczanowski, zanim pod nazwą *św. Kaźmierza* powstała *konferencja polska Towarzystwa św. Wincentego a Paulo*, za sprawą Waleryana Kalinki, któremu, między młodszymi łatwiej powiodło się utworzyć, i przez lat 10 utrzymać grono, jakiego ze starszych zawiązać nie było podobna.

Zajmując się głównie Polakami nie mogliśmy jednak odmówić kazań i do Francuzów, na prośby proboszczów miejscowych już w Paryżu, już podczas wycieczek i podróży na prowincyi. Zanim też założono *Oeuvre pour les Allemands* arcybiskupstwo przysyłało do nas Niemców i Włochów do spowiedzi; spowiadaliśmy ich także po szpitalach odwiedzając naszych chorych rodaków.

Pod koniec 1845-go roku zaszła wewnątrz Zgromadzenia pewna zmiana. Ksiądz Semeuenko od pewnego już czasu cierpiał na piersi, a do tego na pewien stan o ciężałości wyrażnie chorobliwy, i wkrótce przywiedziony był do ostateczności. W takim stanie nie mógł dalej rządzić Zgromadzeniem; usunął się zatem, wyjeżdżając z porady lekarza naprzód do południowej Francyi a później do Tunis. Na miejsce jego

obранy został przełożonym ksiądz Kaysiewicz, dla dopełnienia zbywających dwóch lat przełożęństwa, albo do następnej kapituły. Wyjechał on do Rzymu polecając misją paryzką głównie Ojcu Hubemu.

ROZDZIAŁ III.

Przełożęństwo ks. Hieronima Kaysiewicza (1845—1847).

Przez tych lat dwa prace nasze misyjne szły zwykłym torem. W Paryżu okrom emigrantów uczęszczali na nabożeństwo polskie rodacy z kraju coraz w większej liczbie przybywający do Paryża. W Rzymie, po wstąpieniu mianowicie na tron Piusa IX-go, licznie zjeżdżali się rodacy, i kościółek św. Klaudyusza był dosłownie zapełniony. Jubileusz ogłoszony przez Ojca świętego Piusa IX najpobożniej obchodzili; a co Wielkanoc były bierzmowania na które zjeżdżał kardynał Franzoni, i przeto sam siebie biskupem polskim nazywał. By zatem nie powtarzać się, powiemy raczej nieco obszerniej o kilku ważniejszych wypadkach, które zaszły w ciągu tych lat dwóch: a najprzód o ś. p. Matce Makrynie Mieczysławskiej.

Dnia 10-go września 1845-go roku przybyła ona do Paryża z listami polecającymi od generała Chłapowskiego, Jana Koźmiana, i Jmc. księdza Przyłuskiego arcybiskupa Poznańsko-Gnieźnieńskiego, który pierwszy protokół urzędowy z opowiadań jej spisać kazał. Nietylko między Polakami ale i pomiędzy Francuzami zaczęła się rozchodzić wieść o dziwnem męczeństwie jakie przez lat siedem wraz z wiernymi Unii Bazyliańkami wycierpieć miała. Zakonnice Serca Jezusowego, chciały ją też widzieć, i wyjeżdżającą z powracającym do Rzymu księdzem Jełowickim, dały listy polecające do domów swego zakonu a najprzód w Lyonie. Tymczasem wiadomość rozchodziła się po całej Francji już to przez listy prywatne, już przez dzienniki: tak iż gdy przybyła do Lyonu, powóz kardynała arcybiskupa de Bonald czekał na nią. Zawieziono ją do klasztoru Serca Jezusowego; rychło została oto"

czoną mnóstwem pobożnych osób które ją chciały widzieć i słyszeć szczegóły jej cierpień: ks. Jełowicki był jej tłumaczem. Na prośby proboszczów, a za pozwoleniem arcybiskupa, musiał to samo opowiadać z kolei po kościołach, każąc nieraz trzy i cztery razy na dzień po godzinie i więcej. Ksiądz Jełowicki, który cierpiał na zupełne wyczerpienie głosu, uczuł teraz nagle piersi swe jakoby odnowione, tak iż go tysiące słyszeć mogły. Wzmocniło to jego wiarę w prawdziwość opowiadań i świętobliwość Matki Makryny, której modlitwom niespodziane swe uzdrowienie przypisywał, ile że mu mawiała: „mów ojcze, a nie się nie bój.” Przy wychodzeniu z kościołów podarto nieraz jej welon na głowie na relikwie. Zapał ten rośł po drodze, bo ludność była południowa, wierząca; nareszcie doszedł do najwyższego stopnia w Marsylii: tak że nie łatwo przyszło księdzu Jełowickiemu, zachować Matce habit cały w przeprowadzaniu jej do statku.

Rozgłos tego wszystkiego dochodził do Rzymu przez pisma francuskie. Za przybyciem do miasta świętego, ksiądz Jełowicki umieścił wielbłąd Matkę w Sacrecoeur, a sam udał się natychmiast do kardynała Lambruschiniego Sekretarza Stanu, prosząc o posłuchanie u Ojca świętego. Kardynał obiecał je otrzymać i sam odwiedzić Matkę, a na razie kazał ją pocieszyć wiadomością otrzymaną od nuncjusza Wiedeńskiego, o mniemanem, przybyciu do Galicji trzech innych Sióstr za nią podążających: co się jednak nie sprawdziło. Po dniach kilku udała się Matka Makryna do Watykanu, w towarzystwie przełożonej zakonnic Serca Jezusowego i księdza Jełowickiego: kardynał Mezzofante jako świadomy języka polskiego był ftikże obecny. Po wysłuchaniu z wyraźnem wzruszeniem długiego sprawozdania Papież zawołał: „siedem lat, siedem lat, powtarzał, i tyle cierpiał, a ja nic nie wiedziałem. Dziwna by rzecz była, dodał, gdyby się cesarz w moim przedpokoju spotkał ze swoją ofiarą.” I dał polecenie księdzu Jełowickiemu, aby spisał zeznania Matki. Ksiądz Jełowicki zaprosił na pomocnika i świadka Ojca Ryłkę S. J., naonczas rektora Propagandy, którzy przybrawszy jeszcze księdza Lejtnera Lwowianina, uścili się ze swego zadania na dzień przed przybyciem cesarza do Rzymu. Zarzucano im pomieszczenie tylu nadzwyczajności w których i pamięć Matki i jej wyobrażenia mogły być powodem niedokładności. Ozy

niedokładności zresztą drobne zostały dowiedzione nie umiem powiedzieć; to tylko pewna że sprawozdawcy dopełnili swego obowiązku, spisując co słyszeli. O. Ryłło, bardzo lubiony od ś. p. Grzegorza XVI-go dla swoich zdolności, gorliwości apostołskiej i dowcipu, przypadając do stóp papieżkich rzekł: „Ojcie święty, nigdy cię o nic nie prosił choć mnie nieraz do tego zachęcałeś; teraz cię błagam, abyś stanął mocno w obronie Kościoła polskiego wobec jego prześladowcy.” Pod takimi wrażeniami przyjął Grzegorz XVI-sty cesarza Mikołaja: o tem spotkaniu zdał sprawę ś. p. kardynał Wiseman w swoich wspomnieniach o czterech ostatnich papieżach. Ponieważ jednak to dzieło mianowicie w Polsce mało jest upowszechnione albo całkiem nieznane, i my sami go nie posiadamy; a jednak ważny ten wypadek dziejowy nas Polaków szczególnie obchodzi; sądzę że czytelnicy moi chętnie pozwolą abym przerwał rzecz o Matce Makrynie i opowiedział spotkanie się cara Mikołaja z Papieżem podług współczesnych wrażeń i zapisek moich.

Cesarz Mikołaj, ufający wiele osobistemu wpływowi swemu, rad był wstąpić do Rzymu wracając z Neapolu (gdzie po części dla zdrowia żony swojej bawił): tem bardziej, że podróż tryumfalna Matki Makryny przez Francją do Rzymu, i krzyk powszechny oburzenia w Europie rozgłoszeniem jej cierpień wywołany (bo była jeszcze wtenczas w Europie opinia publiczna, i była siłą z którą się sam Mikołaj liczyć musiał), że mówię fakt ten, wkładał nań obowiązek przekonania się o nim albo zaprzeczenia mu swoją obecnością. Grzegorz XVI trapił się niepomału otrzymawszy zapowiedź tych odwiedzin cesarskich: „czego chce odemnie ten człowiek, mówił z goryczą; czy przybywa urągać się we własnym moim domu starości mej i bezskutecznym skargom moim?” W skutek tych wrażeń zaczął nawet nieco na zdrowiu szwankować. Wszakże w chwili stanowczej dał mu Bóg siłę potrzebną.

Co się działo na tem posłuchaniu trudno dosłownie opowiedzieć: bo tylko świątobliwy kardynał Acton jako tłumacz był samotrzeć obecnym; a przysięgłszy na milczenie nic o tem nie wyjawiał przynajmniej za życia Grzegorza XVI. Wszakże Ojciec święty tak był szczęśliwy z dopełnienia przykrego obowiązku który mu oddawna, jak się sam wyrażał, ciężył kamieniem na sercu; tak był święcie dumny iż „mówił

do cesarza jak na papieża przystało, *li parlai da papa*," iż się z tern częściowo to przed jednym to przed drugim wymówił. Z wielką tedy godnością, okiem i głosem pełnymi łez, zapytał cesarza: dla czego prześladował Kościół Boży? dla czego uciemniał sumienia swoich polskich poddanych, a synów jego? A gdy cesarz odparł, że to były potwarze jego nieprzyjaciół, a mianowicie emigrantów polskich, a bogdaj czy nie mianował księży od św. Klaudyusza; Ojciec święty mówił dalej: „mam tu zeznanie żyjącego świadka, mógłbym go postawić wobec ciebie, ale że jeden świadek nie wystarcza więc tego nie uczynię. Ale oto własne twoje rozporządzenia:" to mówiąc przesunął mu przed oczyma długi szereg ukazów prześladowczych, i ciągnął dalej: „ty panujesz doczesnie nad 60-ciu milionami poddanych, ja mam ich tylko trzy; ale za to mam 200 milionów duchownie poddanych. Jam ci nic nie zawinił, na żadne prawo twoje nie nastąpił, a patrz jak ty ze mną i z Kościołem katolickim się obcho-dzisz. Pamiętaj że jest wyższy Pan i Sędzia nad obu nami. Śmiertelni jesteśmy; ja starzec, jedną stopą już w grobie, gotuję się rychło być powołanym przed Sąd Najwyższego; ale i ty tam staniesz, i będziesz się musiał sprawiać z postęp-ków twoich." Cesarz był wyraźnie zmięszany, pierwszy raz w życiu prawdę posłyszał, i prawdę wygłoszoną z powagą. Miał całując dłoń papieżką zapewniać, że o wielu rzeczach nie wie, w wielu jest oszukany; ale że zaraz po powrocie do stolicy swojej wyznaczy kommisją, i wszelkie nadużycia zbada i naprawi. Wyszedł z posłuchania spocony, z wyso-kiemi rumieńcami na twarzy; przebiegł sale. korytarze, scho-dy, zamyślony i roztargnięty: minął nawet był swój powóz. Rozpowiadano w Rzymie że ostro wyrzucał posłowi swemu panu Buteniew że go nie ostrzegł o takim usposobieniu kuryi rzymskiej. I kardynał Lambruschini Sekretarz Stanu niemniej się godnie znalazł. Wysokiego wzrostu, poważnej postawy, wszedł na pokoje cesarskie jakoby basza o trzech buńczu-kach, (jak się z gniewem świta cesarska wyrażała); czarnem, dużem, bystrem okiem, wytrzymał wzrok carski, którego pod-dani jego wytrzymać nie śmieli. Mikołaj miał rzec do kar-dynała: „panie kardynale wiem żeś moim wrogiem." — „Nie o to teraz chodzi, miał odeprzeć kardynał; Wasza Cesarska Mość przyzywała mnie celem mówienia o sprawach Kościoła

w jego państwach"; a rozłożywszy papiery, czytał do czego Rossya traktatami i konkordatami, już dla prowincyj, już dla Królestwa się zobowiązała, co posłowie jego w spisanych na razie notach i protokółach obiecywali; a jak to wszystko fakta i ukazy cesarskie obalały itd.

Spółeczeństwo rzymskie zimno i godnie się zachowało. W kościele Ara Coeli Franciszkanin polski i emigrant pokazywał cesarzowi grób św. Heleny i demonstrował, że kościół ich na kościach męczenników stoi. Chcącemu wjechać do Colosseum (co niewolno) żołnierz bagnet nadstawił: za co został wynagrodzony. Niedługo więc bawiąc Mikołaj opuścił Rzym dnia 17go Grudnia 1845 roku. Jakby na dobitkę podoficer papieżki, który kłusował przy powozie cesarskim przez dwie stacje pocztowe z dobytym pałaszem i nabitą bronią był Polak, Piotrowski, dezterter z wojska rossyjskiego wyznaczony do tej służby nie rozmyślnie, ale jako dobry jeździec. Dowiedział się o tem hrabia Orlów na stacyi, szukając tłumacza do rozmówienia się z pocztylionami.

Wracamy teraz do relacyi o Matce Makrynie. Relacya ta przez nieporozumienie została ogłoszona drukiem i wywołała żwawą polemikę. Biskupi francuzcy zaczęli ogłaszać listy pasterskie. Nie na rękę to było Stolicy Apostolskiej, której car Mikołaj obiecał był uroczyście powstrzymać wszelki ucisk i prześladowanie. Dowiedziałem się na pewne, iż ambasada rosyjska ma urzędownie zażądać wydalenia księdza Jełowickiego z Rzymu: że rząd papieżki tego nie uczyni, ale z drugiej strony niechciałby odmowną odpowiedzią zaszkodzić rozpoczętym negocyacyom o konkordat z Rossyą: uznałem zatem za rzecz stosowną usunąć na czas jaki księdza Jełowickiego z Rzymu. 28go Kwietnia 1846 roku wyjechał on zatem do Francyi, każąc po francuzku w Montpeliers, Tours wielu innych miastach i Ostendzie (gdzie też dał missyę Polakom dla kąpieli morskich zgromadzonym) wspominając zawsze i o Matce Makrynie.

Wszakże rząd rossyjski nie mógł się dalej zamykać w potępiającem go milczeniu. Pan Buteniew poseł jego rozdawał w Rzymie autografowane noty bez podpisu datowane z Petersburga: Styczeń 1846 r. Czepiając się zmiany litery w imionach własnych i tym podobnych kruczków, zupełnie przeciwny zamierzonemu sprawiły skutek. Pan Rossi poseł fran-

cuzki, człowiek bystry a zimny, powiedział przejrawszy te szpargały: „dotychczas wątpiłem o prawdziwości zeznań Matki Makryny, ale teraz zaczynam wierzyć na dobre”. Ojciec Ryłło znający wiele miejscowości na Litwie i Żmudzi, i głęboki znawca serca ludzkiego, zapytywany o zdanie, odpowiadał: „bądźcie spokojni, zachodziłem Matkę ze wszystkich stron, ze dwieście różnych pytań jej zadałem, na wszystkie mi dokładnie odpowiedziała”. Zakonnice Serca Jezusowego dawały świadectwo jej pobożności. Niejeden akatolik z powodu jej wszedł do kościoła. Ale tem bardziej gdy w jesieni tego roku, ksiądz Blanpin, misjonarz francuzki w Afryce, od trzech lat mimo wszelkich środków lekarskich słowa przemówić nie mogący, odzyskał głos w końcu nowenny, którą wraz z Matką odprawiał, przed ulubionym jej obrazem *al fresco* na korytarzu *Mater admirabilis* przez nią zwanym: liczba osób uciekających się do niej w różnych potrzebach niezmiernie się powiększyła nie wyjmując samychże dostojników Kościoła. Ojciec św. wtenczas, mając ten fakt zaświadczony sobie przez księdza Blanpin i dwóch biskupów śp. księdza Luquet biskupa Hezebonu *in partibus*, i księdza Pompallier biskupa z Oceanii, których ksiądz Jełowicki przed Papieżem stawiał, pozwolił urządzić kapliczkę na tem miejscu z przywilejem odprawiania tam nabożeństwa, nadał odpustami, sam ją już przedtem w dzień św. Jana Kantego nawiedziwszy. Ksiądz Jełowicki otrzymał wtedy od brata swego śp. Edwarda ofiarę na urządzenie tej kapliczki. Inne datki jakie od obcych osób Matce Makrynie dawane były, zapisywał starannie (jak dotychczas istniejące rachunki poświadczają), i oddał je później księżnie Zofii z Branickich Odessalchi, która dodawszy swego i przez siebie zebranych pieniędzy, zakupiła później i wyrestaurowała obecny klasztor z kościołem Bazylianek polskich w Rzymie. Co więcej ksiądz Jełowicki głównie się przyczynił do zapewnienia dalszego bytu temu klasztorowi, namówiwszy jedną majątną Polkę, krewną swoją dziś już zmarłą¹⁾, chcącą fundować klasztor pod rządem rossyjskim, by raczej przeznaczyła te

¹⁾ Śp. Wiktoriją z Orłowskich Sobańską.

pieniądze na klasztor dla Matki Makryny w Rzymie, gdzie nie ulegnie moskiewskiej konfiskacie.

Ksiądz Jełowicki był zatem i duchownym i doczesnym dobrodziejem Matki Makryny: była mu też ona szczerze wdzięczną. Zaszedł wszakże wypadek, który spowodził pewne nieporozumienie. Roku 1848 Matka Makryna pod wpływem wyobrażeń staro - szlacheckich, miała zupełnie niespodzianie do licznie u nich zgromadzonych rodaków wcale nie stosowne przemówienie. My wszyscy i ksiądz Jełowicki, dowiedziawszy się o tem szczerześmy to jej przyganili: a ksiądz Jełowicki usunął się od dyrekcyi Matki Makryny. Rychło potem wysłany został dla objęcia misyi polskiej w Paryżu, którą do obecnej chwili prowadzi. Wszakże ile razy wracał do Rzymu największe mu pokazywała zaufanie i wdzięczność. Jeszcze w roku 1864 uprosiła go aby dał rekolekcyje w jej klasztorze.

Słyszeliśmy jednak że niekiedy się na nas żaliła; z pewnością tego nie wiemy: a do świadectwa nieboszczki odwołać się już niepodobna. Mówiliśmy o jej stronach dodatkowych, musimy wyznać że miała i ujemne. Możemy to powiedzieć nie ubliżając jej dobrej sławie. Będąc już jak tuższy u Przedwiecznego Źródła wszelkiej prawdy, woli dziś ona niewątpliwie szczerą prawdę niż przesadzone pochwały. Pewni zresztą jesteśmy, że nawet w obec i owego sądu nic ona nie straci a raczej zyszcze na bezstronnem ocenieniu. Żywa jej wiara i niezachwiane mężtwo w prześladowaniach, na najwyższe zasługują uznanie. Wszakże dla dobra zapewne jej duszy, dla utrzymania jej w trudnej cnocie pokory, odsłonił Bóg przed ludźmi niektóre jej ułomności. Była łoś bardzo bogata natura, ale brakło jej wyższego duchowego wykształcenia, którego zresztą nabyć nie miała sposobności. Wrodzona żywość charakteru nie pozwalała jej ważyć dostatecznie słów swoich; a rządzenie się głównie sercem i wyobraźnią (jak to u nas nie rządkiem nawet u osób pobożnych), usposabiało ją do przywidzeń. Czasem sny i marzenia własne brała za objawienia z nieba, i za takowe je podawała. To wszystko dawało nieraz i niejednemu powód do niekorzystnych o niej sądów: jak inni znowu, w drugą wpadając ostateczność, każdego jej słowa jak wyroczni słuchali. Stawiało to w trudnem położeniu kapłanów, jej doradców i

przyjaciół, i zmuszało ich nieraz do upomnień. Działo się to jednak zawsze w granicach miłości chrześcijańskiej, a Matka, ile razy swój błąd poznała, szczerze się zeń upokarzała. Tyle niech starczy, co do stosunków naszych ze śp. Makryną Mieczysławską.

Drugim wypadkiem dość ważnym z tej epoki jest przybycie 00. Bazylianów polskich do Rzymu. Że rzecz dla publiczności może być zajmującą, należy bowiem do dziejów Kościoła naszego, mając nadto pod ręką dokumenta autentyczne, pozwolimy tu sobie nieco obszerniej o niej powiedzieć.

Roku 1842, śp. arcybiskup Dunin polecił księdzu Jełowickiemu, aby wyjednał pewne dyspensy na pobyt w Poznańskim „dla uciśnionych Bazylianów tu (do Poznania) z pośród prześladowania schronionych”, jak się wyraża w swoim liście z 20go Grudnia tegoż roku: chodziło głównie o pozwolenie dla nich odprawiania Mszy św. w obrządku łacińskim. Nie myśleli oni wtedy jeszcze, jak ten list dowodzi, o Rzymie.

W relacji współczesnej księdza Jełowickiego o posłuchaniu swem u Grzegorza XVI. z 20go Czerwca 1843 roku, czytamy co następuje: „przypomniałem Ojcu św. dwóch Bazylianów od prześladowania moskiewskiego do Poznania schronionych, (tu nadmienił o owych żądanych dyspensach) lecz dodałem: „iż może by się Ojcu św. raczej podobało, kazać oddać tym Ojcom kościół w Rzymie do polskich dawniej Bazylianów należący, a który jako opuszczony, został oddany, a raczej pozwolony przez Propagandę Misyonarzom francuskim. „Czy są tu?” zapytał Ojciec Św., pragnąc wyraźnie aby tak było. Po jaśniejszem wytłomaczeniu się mojem polecił mi abym oświadczył Monsignorowi Vizzardelli, aby się zaraz zajął tym interesem”. A więc pierwsza myśl sama wrócenia kościołka Matki Boskiej Zyrowieckiej Ojcom Bazylianom, należy się księdzu Jełowickiemu, a następnie Zmartwychwstańcom: w tym samym bowiem roku (1843) jakieśmy widzieli, ksiądz Jełowicki wstąpił do Zgromadzenia. Ojciec Dąbrowski jednak i jego socyusz nie spieszyli się do Rzymu, i dopiero w lat trzy, gdy im rząd pruski nie pozwolił bawić ani w archidiecezyi Poznańsko-Gnieźnieńskiej, ani nawet w diecezyi wrocławskiej, jedno nie umiających po niemiecku nad Reu

wysyłał, zgłosili się do Rzymu przez świątobliwego biskupa suffragana księdza Dąbrowskiego, którego pamięć po dziś dzień jest w błogosławieństwie w całej Wielkiej Polsce. Ksiądz Jełowicki jako powiernik Archidiecezyi w Rzymie był w korespondencji nie tylko ze samym Arcybiskupem ale i z jego Suffraganem. Ten ostatni pisał doń polecając OO. Bazylianów. Oto list jego z dnia 26go Października 1846 r.

Kochany księżu Alexandrze!_____W swoim więc tułactwie do tego klasztoru *) chcieliby się dostać. W mniemaniu zaś że mogę im dopomóc i tam przyjęcie wyjednać, złożył u mnie ksiądz prowincyał mój imiennik prośbę, którą tu dołączam. Ja zaś, któremu na chęci nie zbywa, tylko władzy niedostaje, jak zwykle do kochanego księdza Alexandra o pomoc się udaję, w mocnem przekonaniu: że gdy w połączeniu księża Alexander, Hieronim i Piotr po wezwaniu Ducha św. się naradzą, niezawodnie tam przytułek nieszczęśliwym a godnym lepszego losu wyjedną. Ten jest cel tej prośby, naprędce, trzęsącą się jeszcze od słabości ręką kreślonej. Racz ukochany księżu Alexandrze uczynić co możesz. Wiem że Ci na chęci nie zbywa, a z dobroci sprawy wnoszę, że ją Bóg dobrym skutkiem uwieńczy. Polecając Ci zaś tych nieszczęśliwych kapłanów nie przepominam o sobie, boć miłość od siebie się poczyną. A o tem pewnie nie wątpisz, że z powziętą raz do Niego miłością, przywiązaniem i szacunkiem pójdę do grobu; jako z całego serca kochający Wasz brat w Chrystusie, którego łaska niech będzie zawsze z Wami".

**(podpisano): Ksiądz Dąbrowski
suffragan Poznański.**

Na ten list odpisał ksiądz Jełowicki pod dniem 12go Listopada 1847 roku: „Ojcowie Bazylianie Dąbrowski i Krajewski przybyli do Rzymu temu miesiąc, o niczem nie uprzedziwszy; bo gdy przez ośm miesięcy po odebraniu wezwania przyjechania do Rzymu nie zgłosili się; myśleliśmy że już

*) Wzmiankowanego po-Bazylińskiego *Madonna del Pascolo* (N. P. Zyrowieckiej).

nie przybędą,. Daliśmy im gościnność u siebie i prosimy dla nich o cierpliwość u Boga, bo reszta się z łaski Bożej znajdzie".

Ponowił wnet starania swoje, i był u Ojca Św., już Piusa IX., wraz z kardynałem Franzoni prefektem Propagandy, przedstawiając Mu dwóch Ojców Bazylianów. Ojciec św. gotów był zwrócić im kościół? z klasztorkiem, który ambasada rosyjska z niewielkim uposażeniem darowała była Propagandzie. Ale kongregacja Propagandy rozpatrzywszy się we wszystkich szczegółach tej sprawy, i po przedstawieniu ich Ojcu Św.; ograniczyła się na zabezpieczeniu utrzymania obu tym Ojcom i wyznaczeniu mieszkania przy ich kościele, na najwyższym i jedynym dobrem piętrze tego klasztoru: a to z następujących powodów:

1) że kościół był w ręku zgromadzeuia francuzkiego, które go obsługiwało z wielkiem zadowoleniem okolicznej ludności; i że wypadało przed oddaleniem wynaleść dlań inny kościół;

2) że Ojcowie Bazylianie nie umieli po włosku i przeto na razie Zgromadzenia tego zastąpić nie mogli;

3) że Propaganda chciała się przekonać, czy ci dwaj Ojcowie potrafią odnowić swoje Zgromadzenie.

Tymczasem Ojciec Krajewski tęskniąc do życia konwentualnego, skończył na przeniesieniu się do Lwowa, gdzie świątobliwie żywota dokonał. Potrzebny był zdolny Bazylianin do kolegium św. Athanazego (grecko - sławiańskiego); a obiecywany Propagandzie przez księdza biskupa Dąbrowskiego w osobie Ojca Pirogowicza, do Rzymu nie przybył. Para młodych ludzi weszła była do nowicyatu, ale żaden się nie utrzymał. Propaganda osądziła zatem, że położenie obecne wystarcza dla samego tylko i sądziwego już Ojca Dąbrowskiego.

W lat wiele później, kiedy Stolica Apostolska, w skutek długich próśb i przedstawień naszych rodaków (w czym i my braliśmy udział), uwierzyła nareszcie w możność sprowadzenia ostatków Bazylianów i odnowienia ich w Rzymie; poleciła by ich zawezwać: i oświadczała się (sami to z ust kardynała Antonellego słyszeliśmy), że na ten cel wyznaczy jaki przestronny klasztor z ogrodem sposobnym do życia konwentualnego, nie zaś *Madonna del Pascolo*, przydatny jedy-

nie na to, na co był przeznaczony: na mieszkanie kilku zakonników, na prokurę, albo agencją Zgromadzenia. W skutek takiego oświadczenia pisaliśmy na wszystkie strony, ale żaden staruszek Bazyljanin, za granicę wynieść się już nie chciał. I zdarzyło się, co się nieraz zdarza, że nasi szturmują lata całe o co z gorączkową natarczywością: nareszcie Rzym gotów przystąpić do dzieła, a tu nas Polaków niestać na materiał.

Wracamy teraz znów do początków panowania Piusa IX. Wszyscy cisnęli się do stóp jego, każdy chciał mu miłość swoją oświadczyć, i co tylko miał pod sercem wypowiedzieć. I ja też prosiłem o posłuchanie; ile że w skutek komisji istotnie naznaczonej w Petersburgu za powrotem cesarza Mikołaja, pan Błudow wysłany do negocjowania konkordatu ze śp. Grzegorzem XVI., przybył do Rzymu na sam początek panowania Piusa IX., wraz z przybranym mu do pomocy prawnikiem, panem Romualdem Hube, Radcą Stanu a bratem naszego księdza Józefa.

Aby pan Błudow nie zaskoczył Ojca Św., nieobeznanego jeszcze z kościelną kwestią polsko-rosyjską, przygotowałem dość obszerny memoriał, w którym dla przekonania się o szczerości intencji rządu, radziłem Stolicy Apostolskiej domagać się pozwolenia powrotu do Kościoła, unitom siłą lub zdradą przyciągniętym do spbyzmy. Radziłem dalej domagać się wypuszczenia na wolność żyjących jeszcze po klasztorach moskiewskich Bazyljanów i kapłanów unickich. Nareszcie upomnieć się o stale rezydującego nuncjusza papieżkiego, jeżeli nie w Petersburgu to w Warszawie.

Że jednak zapewne na to rząd rosyjski nie przystanie, wypadnie wybrać Rzymowi między zerwaniem zupełnem a dalszem temporyzowaniem. W pierwszym razie nie pozostaje nic innego do czynienia prócz ogłoszenia Rosyi w stanie misyi. Obok gotowości naszego małego Zgromadzeńka na usługi Stolicy Apostolskiej w tym i w każdym razie, musiałem sumiennie oświadczyć, iż misyonarstwo w Rosyi trudniej by się daleko udawało niż w Chinach samych, a to dla sieci policyjnej rozciągniętej po całym kraju, obejmującej wsie i dwór każdy. Że wprowadzić wysłańcom politycznym udaje się ukryć czas niejaki pod fałszywymi nazwiskami, z fałszywymi paszportami i za pomocą różnych wybiegów: ale że kapłani

tych środków używać nie mogą, ukrywanie się dłuższe misjonarzy po ludzku jest niepodobne, mianowicie w prowincjach zabranych gdzie katolicy są nieliczni, i miasta tylko i dwory szlacheckie zazwyczaj zamieszkują.

Pozostaje więc temporyzowanie, i zapewne Rzym tej drogi trzymać się będzie; w takim razie wypada się starać:

a) o biskupów jeżeli nie doskonałych to przynajmniej prawowiernych;

b) o bardziej kanoniczne urządzenie konsystorzów i seminariów;

c) o otworzenie nowicyatów zakonnych, szczególnie dla zakonów żebrzących;

d) domagać się erygowania biskupstw dla Syberyi, tudzież dla Kaukazu i prowincyj południowych;

e) w każdym razie, dla ożywienia wiary i powstrzymania propagandy schizmatyckiej wypadałoby beatyfikować Wielebnego Andrzeja Bobolę i kanonizować Błogosławionego Józafata Kuncewicza;

f) podnieść i rozwinąć kolegium greckie już w Rzymie istniejące i przetworzyć je w kolegium grecko-słowiańskie;

g) ożywić i przywiązać do Stolicy Apostolskiej duchowieństwo unickie w Galicyi i w Węgrzech;

h) nareszcie postarać się o misjonarzy obrządku sławiańskiego dla tylu milionów Słowian schizmatyków w Turcyi, których rząd turecki ochotnie widzieć będzie.

Te i tym podobne myśli, już to główne w tym memoriale, już w dodatkowych notach, podawaliśmy Stolicy Apostolskiej. Kto czytał konkordat przypomni sobie, że tyle mniej więcej zdołał Rzym otrzymać, a między innemi ustanowienie nowego biskupstwa Chersońskiego (obecnie teres-polskiem zwanego) z koadjutoryą Saratowską.

Miałem szczęście złożyć ten memoriał w ręce samego Ojca św. na posłuchaniu dnia 19go Sierpnia 1846 roku, a kopią jego doręczyłem później kardynałowi Gizzi Sekretarzowi Stanu. Ojciec św. zapewne przez kardynała Ferretti i Monsignora Brunelli korzystnie dla nas uprzedzony, nie tylko ze zwykłą swoją łaskawością memoriał przyjął, ale nadto pochwalił czystość i porządek służby Bożej w naszym kościele, dodając, „ale za to dom macie niegodziwy.” Nie zdało się stósownem, korzystać z podanej sposobności i prosić o

dom lepszy, owszem odpowiedziałem: „iż dla miłości kościoła znosimy takie mieszkanie, czekając aż Bóg sam lepszym opatrzy”: i tak po dziś dzień biedujemy. Przedstawiłem Ojcu św. iż rodacy nasi, mianowicie poddani rossyjscy, niebcą za pośrednictwem ambasady 'starać się o posłuchanie u Jego Świątobliwości; prosiłem zatem aby nasze polecenie wystarczało: na co łaskawie przystał. Nieraz osobiście przedstawiałem naszych rodaków; miałem zatem sposobność częstego widywania Ojca św. i znajdowałem w nim zawsze wielkie współczucie dla naszego narodu, i pewność że doczekamy się lepszych czasów. Zrazu nie mógł nawet odgadnąć przyczyny tak długich i tak ciężkich naszych cierpień: rozpatrzywszy się lepiej w naszej historii, wskazał znane trzy powody: *rozwoły, uciemiężenie ludu wiejskiego, i upośledzenie unitów*; a później dodał jeszcze: duch rewolucyi i niedowiarstwa grasujący w naszym narodzie.

Okrom czujności o sprawę ogólną naszego kościoła w Rzymie (w czym także osobno, z ramienia księcia Czartoryskiego zacnie a nieraz korzystnie pracowali wzmiankowany już hrabia Cezary Plater a później dobry nasz przyjaciel pan Ludwik Orpiszewski), z położenia i konieczności musieliśmy ułatwiać także stosunki pomiędzy duchowieństwem świeckiem i zakonem, i wiernymi a kongregacyami duchownymi w Rzymie; wyrabiać nadto różne łaski duchowe.

W Rzymie też spotkać można misjonarzy rozjeżdżających się w różne strony świata. A że wszędzie są Polacy, zaopatrywaliśmy ich w duchowne książki polskie, które tak dostawały się nie tylko na Kaukaz i nad Wołgę, ale nawet na wyspy Sandwich.

Upłynęło pięć lat wyznaczonych w roku 1842 do zebrania następnego ogólnego zgromadzenia. Nie łatwo to przyszło Zgromadzeniu jeszcze tak nielicznemu a pracującemu czynnie. Nadto ksiądz Semenenko bawił jeszcze w Tunis, niezdolny do natężonej pracy umysłowej. Ksiądz Terlecki przyjąwszy obrząd unicki, osądził że musi działać na własną rękę. Ksiądz Godlewski, który właściwie wisiał przy nas od początku, chętnie pozostał w Paryżu, by nas zastąpić na ambonie. Tak ze siedmiu którzy przed laty pięciu składali Zgromadzenie ogólne zebrało się tylko czterech: ksiądz Kaysiewicz, ksiądz Ilube, ksiądz Kaczanowski i ksiądz Duń-

ski. Na miejsce nieobecnych lub ubytych przybraliśmy księży Jełowickiego i Bentkowskiego, którzy już byli śluby złożyli. Dnia 20go Października r. 1847 wraz z kilkoma nowicyuszami weszliśmy na rekolekcye, a w dzień Wszystkich Świętych w liczbie sześciu zawiązaliśmy się w Zgromadzenie ogólne.

Jakkolwiek bracia starali się otrzymać z uieba światło potrzebne do stosownego rozwinięcia zarysów pierwotnych naszej reguły, jakkolwiek do przedłużonych modlitw dodawali ostre trapienia ciała; Bóg światła nie dawał. Przymuszone Towiańszczyzną rozdzielenie się nasze pomiędzy Paryż a Rzym, wraz po ukończeniu nauk i wyświęceniu się, kiedy właśnie mogliśmy byli pracować nad organizacją wewnętrzną, praca gorączkowa na zewnątrz przez pięć lat następnych, wyrobiły w każdym pewne wyobrażenia osobne, które nie łatwo było sprządz w jedno albo uchylić. Przyszła nam wtedy myśl, że zapewne Bóg i nie chce abyśmy nową regułą tworzyli, jedno się oparli na jednej z już istniejących; jak nam to już kilka osób pobożnych i doświadczonych było radziło. Wzięliśmy się zatem do czytania różnych reguł zakonnych: z nowszych najbardziej nam się podobała reguła św. Wincentego a Paulo, z dawnych św. Benedykta. Ale celem Zgromadzenia Missyonarzy św. Wincentego a Paulo jest zajmowanie się głównie ludem wiejskim; a czuliśmy dobrze, że w czasach obecnych, mianowicie w naszej biednej Polsce, trzeba pracować dla wszystkich i nad wszystkimi. Zostawała zatem reguła św. Benedykta, ile że ona życia czynnego na zewnątrz bynajmniej nie opisuje, pozostawiając wszystko rozporządzeniu przełożonego: a więc i nie krępuje. Przypomnieliśmy sobie, że śp. Jański z tą myślą *in petto* umarł, żeśmy ją na pierwszym Zgromadzeniu ogólnem roztrząsali, i głównie dla naszej małej liczby i niepodobieństwa odbywania chóru, na bok odłożyli.

Z żywą wdzięcznością ku Bogu, od którego wszelkie dobro pochodzi, wyznać tu trzeba: iż bracia wszyscy byli w usposobieniach najszlachetniejszych, gotowi objąć regułę św. Benedykta w całej jej pierwszej surowości, gotowi umrzeć nawet: bo po ludzku żaden prawie nie czuł się na siłach do wytrzymania długo surowości w niej przepisanych. Tem bowiem dał nam Bóg wskazówkę od początku, jaki rodzaj życia nam przeznaczył, że najślabi pośród nas długo wy-

trzymują trud życia czynnego, a najmocniejsi nie wytrzymują ostrego trapienia ciała. Wszyscy zatem byli tego zdania, by przy regule św. Benedykta, pozostać jednak Zgromadzeniem misyjnym, z nazwą naszą Zmartwychwstańców. Podaliśmy prośbę o posłuchanie do Ojca Św., i otrzymaliśmy je 27go Grudnia w dzień Śtyck Młodzianków. Przełożony przedstawił pokrótce stan rzeczy, prosząc o radę. „Więc chcecie porzucić piękne wasze dotychczasowe życie Apostolskie, *il vostro bel viver Apostolico* ?” — „Nie Ojcie Św., ale spodziewamy się pogodzić je z regułą św. Benedykta, jak dawniej Benedyktyni, pierwsi misjonarze Europy godzili”. — „Trzebaby to widzieć w szczegółach”, rzekł Pius IX. i ciągnął dalej: „że się chcecie oprzeć na regule św. Benedykta, patriarchy wszystkich zakonników na Zachodzie, nic przeciwko temu niemam: ale pamiętajcie że wszystko się z następstwem czasu modyfikuje. Urządźcie się przeto w taki sposób, byście mogli jak najwięcej dobrego czynić w kościele Bożym. Potrzebuje on dziś robotników, którzyby mu potu podostatkim, a w razie potrzeby krew swoją dali.” (Było to powtórzeniem słów kardynała Micary: „wy chodźcie do katakumb uczyć się polityki”). Na zapytanie nasze czy możemy liczyć na opiekę Ojca Św., po dwakroć odpowiedział: „bądźcie spokojni, przygotujcie tylko wasze konstytucje”.

Gdy tak Ojciec św. stwierdził, co tkwiło w głębi dusz naszych, by życia apostolskiego nie opuszczać, spisany został dnia 5go Stycznia 1848 roku akt tymczasowy na lat dwa, obowiązujący do uczenia się reguły św. Benedykta, poczem przełożony miał przedstawić projekt nowych konstytucyj. Dnia 10go tego miesiąca obrany zostałem na nowo przełożonym. Wyznałem wszakże przed braćmi, że w skutek doświadczenia widzę, iż powołanie moje przemagająco kaznodziejskie, trudno się daje pogodzić z obowiązkami przełożonego, i trzymam duszę moją w bolesnym niepokoju. Podziękowałem zatem stanowczo dnia 10go Stycznia, a ksiądz Hube wybranym został przełożonym na lat dwa następujących.

Jakkolwiek myśl o regule św. Benedykta nie dała się ziścić, wlała ona przecie w dusze nas wszystkich pokój wielki, i to na tak burzliwe następne dwa lata; i wyrobiła w nas

pewne pojęcia wspólne, winniśmy przeto zachować zawsze niezmierną wdzięczność ku wielkiemu patryarsze życia zakonnego na Zachodzie.

ROZDZIAŁ IV.

Przełożęństwo księdza Hube (1848—1855).

W Rzymie przez pierwszych lat parę mało było do czynienia, dosyć raczej do cierpienia. Mickiewicz był już zerwał prawie z Towiańskim, i chciał położenie swoje w obec Kościoła uporządkować. W skutek listów śp. Walerego Wielogłowskiego mówiłem o tem Ojcu św. i otrzymałem pozwolenie by Adam przybył do Rzymu. Opóźniłem w tym celu wyjazd mój do Paryża aż do 5go Lutego, a on przybył do Rzymu dopiero dnia następnego.

Zrazu Mickiewicz występował spokojnie i w duchu katolickim; ale gdy wybuchła rewolucya lutowa w Paryżu, którą jak twierdził miał mistrz zapowiedzieć, wpadł znowu w stan gorączkowy, zaczął formować legion itd. Co najgorszego, to, że i nas i ogólnie Polaków skompromitował w obec Ojca św. mówiąc gwałtownie i w sposób niestosowny. Podczas republiki rzymskiej mieli bracia nasi kilka rewizyj u siebie, w skutek oskarżeń o reakcyę: ale więcej choć wciąż zagrożeni nie ucierpieli, a jedyni prawie w szacie kapłańskiej pokazywali się na ulicy.

W Paryżu było zrazu gorączkowe życie. Gdym tam przybył, już ksiądz Godlewski postanowił być iść do Polski bezwzględnie prowadząc ochotników z krzyżem w ręku. Kiedy wszedł do Kaplicy św. Rocha w dzień Zwiastowania Najświętszej Panny 25go Marca, ksiądz Godlewski święcił przy ołtarzu sztandary wojenne na drogę. Podczas kazania, wracając do tego wypadku powiedziałem w treści: iż podług zwykłego biegu rzeczy i rozsądku na niebezpieczną i nieroztropną puszczają się próbę; ale że temu postanowieniu przeszkodzić nie mogę, radzę aby przynajmniej gorąco się

opiece Matki Boskiej polecili itd. Jakoż zanim doszedł do Strazburga na czele swego legionu, już za Jezuitę i arystokratę okrzyczany i bodaj poturbowany, osiadł wtem mieście i przez lat dwa ciężkiej biedy *zażył*. Wystaraliśmy się później o przytułek dla niego w zakładzie pani de Chateaubriand w Paryżu założonym dla starych i chorych księży, gdzie też szczęśliwie życia dokonał.

Tymczasem otrzymałem nalegające listy od obu panów Koźmianów, abym co rychlej do Poznania przybywał. Pisali oni, iż cokolwiek z tej zawieruchy będzie, na razie umysły były dobrze usposobione i że należało z tego korzystać. Ponieważ Polonia się była w wielkiej części rozproszyła, a Ojciec Kaczanowski wystarczał na razie do obsłużenia missyi paryskiej, udałem się dnia 13go Kwietnia do Niemiec. W Berlinie dowiedziałem się, że stan wojenny w Poznańskim ogłoszony; do Poznania niepodobna już było się udawać, i nie bez trudności i niebezpieczeństwa udało mi się dostać do domu zacnych jeneralstwa Chłapowskich w Turwi. Mogłem przez dni czterdzieści kazać i spowiadać po okolicznych kościołach parafialnych, i w kaplicy Turewskiej. Wszakże już 30go Maja z rozkazu władzy musiałem księztwo opuścić. Czterdzieści dni zabawiłem we Wrocławiu, gdzie i licznie tam bawiącym rodakom i żołnierzom górnośląskim mogłem być użytecznym. Nie brakło mi też zajęcia w Dreźnie przepełnionem zwykle Polakami. Pisałem naonczas do Ministerstwa w Berlinie prosząc o wolny pobyt w Poznańskim, oświadczając gotowość opuszczenia tej prowincyi na każde skinienie rządu jak skoro by dalsze moje przebywanie w Prusiech nie zdało mu się stósownem; ale otrzymał odpowiedź odmowną. Wybierałem się już napowrót do Paryża gdy za usilnem staraniem kilku pań pobożnych w Krakowie, otrzymałem niespodzianie od generała Schlika, austriackiego rządcy cywilno-wojskowego, pozwolenie przybycia do tego miasta. Nieomieszkałem z niego korzystać, i dnia 14go Sierpnia przybyłem do Krakowa umieszczony za staraniem zastępcy administratora (śp. księdza prałata Rozwadowskiego) w domu księży emerytów przy kościele św. Marka. Zaraz na wstępie jakaś gazeta w Krakowie, przez Leona Zienkowicza wydawana, a będąca organem skrajnej demokracji, ogłosiła trzy artykuły dowodzące, że jestem: 1) Austriakiem, 2) zdrajcą

ojczyzny, 3) Jezuitą. Szczerze podziękowałem Bogu, bo mi ten napad starczył za rekomendacją i gwarancją przed rządem, tak iż bezpiecznie sobie poczynać i mówić mogłem. Wyznaję, że z pewną niewygodą przychodzi mówić o moim pobycie w Krakowie, gdzie dobry Bóg pozwolił mi dość korzystnie popracować. Po łasce Najwyższego przypisuję to modlitwom dusz pobożnych i braci moich zakonnych, którzy dla mnie wyprasali łaski i siły potrzebne. Wiem także, że nowość ludzi pociąga: charakter mój wygnańca przybywającego z zagranicy, wiele mi dopomagał. Rzecz prosta, że nie wchodzi w zakres tego pamiętnika sprawozdanie o dobrem, jakie duchowieństwo miejscowe czyniło i czyni; jedno o mojem chwilowem i przelotnem współdziałaniu. Wyznaję narreszcie z wdzięcznością, iż bez łaskawego poparcia ze strony władzy duchownej, i bez braterskiej pomocy wielu kapłanów miejscowych, i dobrej woli mieszkańców Krakowa, nie byłbym wskórał w niejednej rzeczy. W czasie dziewięciomiesięcznego mego pobytu w Krakowie, zawsze pod grozą wejścia Moskali, kazywałem po wszystkich kościołach gdzie byłem zaproszony, a bywałem często. Kazywałem również na Zamku mianowany jednym z kaznodziei katedralnych. Otworzyłem też z początkiem roku 1849 w kościele, przy którym mieszkałem, katechizmy wyższe albo konferenoye dla osób dojrziałych i potrzebujących wyższego religijnego oświecenia: na nauki te licznie się bardzo zbierano. Co do spowiedzi, tych było bez końca; często przed wschodem słońca bywałem wołany do konfessyonału.

Dla zastąpienia braku kongregacyj dekanalnych za łaskawem przychyleniem się księży kanoników Rozwadowskiego i Scypiona, pod ich przewodnictwem i w ich mieszkaniu zbierali się kapłani na konferenoye duchowne, na które przybywali księża proboszczowie i wikaryusze z okręgu. Między innemi zajęciami, różni kapłani podjęli się wywiedzenia się i zdania dokładnego sprawy ze stanu obecnego bractw duchownych, mianowicie tych, które były obowiązane zajmować się dobroci uczynkami: a to celem podtrzymania ich i ożywienia. Znalazłem w księgach bractw różnych, że do końca siedemnastego wieku mniej więcej, pierwsi panowie i panie do nich się wpisywali, później już samo tylko mierzchaństwo. Następnie zamierzaliśmy sobie wejść w stosunki

z cechami, i takowe do dawnej żywotności przywrócić. Już zdania sprawy ze stanu bractw szczęśliwie zaczęły się odbywać, już niektórzy kapłani zajęli się gorliwie wykładem katechizmów, inni uczeniem ludu po szkołkach, gdy z niewiadomego powodu zacny zresztą ksiądz administrator za powrotem swoim do Krakowa niechętny się tym konferencyjom pokazał, jakkolwiek zupełnieśmy się byli pod jego kierunek oddali i z góry byli postanowili, że praw żadnych i przepisów stanowić nie chcemy. Rzecz prosta, że przeciwko władzy szukać nawet dobrego na tej drodze nie było podobnem. Wszakże porozumiewania się prywatne między gorliwszymi kapłanami nie ustały, a brak konferencji choć w części zastąpiło pismo religijne pod tytułem Tygodnik kościelny, wychodzące pod imieniem i opieką księdza kanonika Scypiona. Pilno mi było ogłosić w niem konkordat świeżo zawarty, a który rząd rossyjski taił u siebie: to też ogłoszenie to było mu bardzo nie na rękę.

Zamiarem Tygodnika było prostowanie fałszywych wyobrażeń w części duchowieństwa. Mania bowiem reform politycznych przeszła była do księży niektórych, mianowicie młodszych, którzy podobnie chcieli sejmikować i reformować w kościele. W Przemyśle młodzi duchowni korzystając z nieobecności zacnego swego biskupa (księdza Wierchlejskiego) bawiącego na sejmie, zawiązali się w rodzaj soboru, a bardziej konwentu, i wydali program swój reform, których pragnęli. Naturalnie figurowało tam bardzo wydatnie porównanie dochodów wikaryalnych z proboszczowskimi, nabożeństwo w języku narodowym, żony, itp. rzeczy. Zakląłem JM. Księdza Woytarowicza, biskupa Tarnowskiego, przybyłego naonczas do Krakowa, aby raczył donieść o tem księdzu biskupowi i nuncyuszowi w Wiedniu; sam zaś w Tygodniku łagodnie zaatakowałem ten program, aby lepszym i umiarkowańszym zostawić pole do odwrotu. Tak się istotnie za łaską Bożą stało. Zresztą starszym dzielić się dochodami nie chciało, o żonach nie myśleli wcale, więc skończyło się na wyśmianiu młodszych. Tak się na razie to lichy rozeszło, a pod dwoma następnymi biskupami, i dzięki wybornemu prowadzeniu seminarium dyecezalnego, duchowieństwo przemyskie wzorowo stanęło.

Tygodnik kościelny, pospiesznie rozpoczęty w nagłej potrzebie, przerwany raz stanem oblężenia, skończył się ostatecznie, przy wejściu Rossyan.

Co do zakładów miłosiernych z przyjemnością przypominam sobie że słowem i zachodem przyczynił się do założenia domu dla opuszczonych dzieci krakowskich, głównie nakładem pana Piotra Michałowskiego, utrzymywanego po dziś dzień staraniem zacnej jego wdowy. Byłem też ich spowiednikiem i nauczycielem religii aż do mego wyjazdu.

Za pobudką też jednej zacnej Polki zawiązało się bractwo z pań krakowskich pod nazwą *Sióstr parafialnych św. Elżbiety*. Główne zajęcie ich było opiekowanie się chorem, starcami po domach, dostarczanie roboty we właściwych parafiach. Nadto by przyjść w pomoc już to ubóstwu niektórych kościołów, już niedbalstwu niektórych duchownych, Siostry ofiarowały się opatrywać pracą i datkiem bieliznę zakrystyjną i szaty kościelne. Niektórzy proboszczowie i przełożeni zakonów przyjęli z wdzięcznością tę ofiarę, inni z oburzeniem odrzucili. Świeckie pustaki puszczały w obieg rozmaite karykatury na te zacne panie, ale się tem odstraszyć nie dały. Wzięły też pod opiekę swoją zakład dla biednych dziewcząt przeznaczony do kształcenia dobrych panien służących. Utrzymanie tymczasowe zapewnione było już dla osiemnastu dziewcząt, a zanimby się fundusz znalazł na dom osobny, mieszkały tymczasem w klasztorze św. Józefa.

Z tych zakładów jedne istnieją, drugie zmieniły formę, inne po moim wyjeździe upadły.

Pozwolił też Bóg wywołać pierwszą składkę na ziemi polskiej na korzyść Ojca świętego wygnanego do Gaety. Po Mszy odśpiewanej w kościele św. Marka d. 22 go marca 1849 roku przez J. M. księdza biskupa Lętowskiego, miałem kazanie o potrzebie panowania doczesnego dla papieżów ¹⁾, a następne 25-go tegoż miesiąca w kościele Bożego Ciała. Składki wywołane przyniosły kilka tysięcy złotych. Tak zwani liberaliści i pseudo-patryoci na gwałt krzyczeli, że grosz tak potrzebny z kraju wyciągam: tymczasem doczesnie nawet, w rok potem po zgorzeniu Krakowa, trzy razy tyle od Papieża pogorzelnicy otrzymali.

¹⁾ Patrz tom 1-szy kazań przygodnych.

JliłL

Nie jedyny to był dowód złej woli tych panów względem mnie. W miarę jak powstawałem na propagandę bezbożności i rozwiązłości przybyszów z zagranicy wśród rodzin krakowskich, guiew tych panów się wzmacniał. Stawali przed kościołem, gdym miał kazać i odciągali wchodzących przysięgając, że duchem austriackim i szpiegiem. Słyszałem nieraz przechodząc ich obelgi, otrzymywałem listy bezimienne, z groźbą obicia i zabicia. Nienawiść tę przenieśli następnie za granicę, gdy musieli Kraków opuścić w skutek ogłoszonego stanu oblężenia. Ten sam los mnie czekał, jak skoro władze cywilne, które mnie znały, zostały w działalności swojej zawieszone. Wprawdzie wielu poważnych obywateli miejscowych pragnęło i pracowało, bym mógł pozostać na miejscu. Pisałem do Rzymu do księdza Ilubego prosząc o radę, i otrzymałem odpowiedź najstanowczej przeciwną. Ostrzeżono mnie też z dobrego źródła z Warszawy, że za wejściem wojsk rosyjskich pierwszy miałem być aresztowany. Opuściłem zatem Kraków dnia 30-go kwietnia, trafiłem w Dreźnie na bójkę ludności z wojskiem saskim i pruskim, aresztowany na chwilę i wypuszczony, opuszczając Badeńskie w powstaniu, ledwom w Szwajcaryi mógł się leczyć na chroniczne już zapalenie gardła. W Interlacken w braku kaznodziei francuzkiego zastępowałem go przez lato i dnia 14-go września wróciłem do Paryża.

Chcieliśmy skorzystać z zebranego soboru prowincjonalnego w Paryżu, aby wprowadzić sprawę Towiańszczyzny; ale sobór paryzki uważając to za rzecz małoważną nie chciał się nią zająć: trzeba było poprzestać na wyroku, który o *Biesiadzie* Towiańskiego ogłosiła Kongregacja *Indexu*.

Nastąpiło tymczasem nabożeństwo w dzień 29-go listopada (1849). Gdym w kazaniu o *duchu narodowym i duchu rewolucyjnym* ¹⁾, wyrzucał pod koniec mniejszości emigracyi mieszanie się do wszystkich nieporządných ruchów w ostatnich czasach, a szczególnie powstał na tych którzy się bili w Rzymie, i w Stambule poturczyli; kilkunastu zaczęło tupać nogami. Dał Bóg zgromić ich jeszcze mocniej, i przywieść do milczenia. Po kazaniu, ksiądz Kaczanowski zaprosił na nabożeństwo expiacyjne, na które się stawiło nazajutrz sto

¹⁾ Patrz tom I-szy kazań przygodnych.

kilkadziesiąt osób. Niestety policja, obecna na takich nadzwyczajnych i licznych zgromadzeniach, posądziła o wszczęcie wrzawy niejakiego pana Swieżyńskiego, świeżo przybyłego emigranta z Krakowa, i Francją mu opuścić nakazała. Napróżnom pisał do ministra przedstawiając iż to religii zaszkodzi, charakter mój kapłański w posądzenie i nienawiść poda; napróżnom błagał o odwołanie wyroku: policja była nieubłagana. Ma się rozumieć, że nieprzychylni winę na nas zwalili. To to zapewne *straszne i reakcyjne* kazanie, potwarcy nasi z daleko późniejszą datą do Wiednia przenieśli gdzieś nigdy nie kazał. Powstała też była dość żywa polemika po dziennikach emigracyjnych, poznańskich i krakowskich, ile że współcześnie ogłoszony w *Przeglądzie Poznańskim* list otwarty *O stosunkach kapłanów do narodowości i polityki* nie podobał się nawet niektórym duchownym.

W Październiku 1850-go roku przybył ksiądz Hube z Rzymu do Paryża na zgromadzenie ogólne gdzie już oprócz mnie byli ksiądz Kaczanowski i ksiądz Jełowicki. Był i ksiądz Semenenko któremu Bóg miłosierny był od niejakiego czasu zupełnie zdrowie przywrócił, i który przez następnych lat kilka bardzo korzystnie w konfessyonalu i na ambonie w Paryżu pracował i dla uczącej się młodzieży krajowej osobne kouterencje miewał. Ksiądz Bentkowski dotknięty śmiertelną piersiową chorobą pozostał w Rzymie. Ubył nam też ksiądz Duński z którym w końcu rozstać się musieliśmy. Pracował on gorliwie zrazu nad nawróceniem Towiańszczyków, a w końcu dał im się podchwycić. Posiadający wiele zdrowego rozsądku, pełen miłości i dobrych uczynków, nie posiadał całkiem zdolności metafizycznych, i dla tego teologii, mianowicie dogmatycznej, dobrze się nie nauczył. Cierpiąc też częste krwotoki i zmuszony miesiącami do leżenia na łóżku lub siedzenia na krześle, czytał wciąż Ewangelią, i naturalnie że przyszedł do samowolnego rozumienia nie jednego tekstu. Otóż i Towiańszczycy powstawali na dogmatykę, cenili jedynie mistykę, i Pismo według upodobania i wygody sobie tłumaczyli. Na tym punkcie zetknął się ksiądz Duński z Towiańszczykami, ta pochyłość doprowadziła go do upadku. Długośmy kryli chorobę ducha zacnego zkądiaś brata, ale gdy świeccy zaczęli się gorszyć a on upamiętać się nie chciał, musieliśmy go ze Zgromadzenia wykluczyć. Wszakże kapłan francuzki

który w lat kilka później towarzyszył mu przy śmierci, pocieszył nas zapewnieniem że umarł prawowiernie. Pokój jego duszy!

Tak na tem trzeciem zebraniu było nas tylko pięciu.

Po odbytych wspólnych ćwiczeniach duchownych, dnia 21-go listopada w święto Ofiarowania się Najświętszej Panny zaczęliśmy nasze narady w mieszkaniu przy kościele l'Assomption do którego nabożeństwo dla Polaków w tym roku przeniesione zostało. Ojciec Hube oświadczył naprzód iż w skutek danego sobie polecenia temu lat dwa zgłębiał sumiennie regułę św. Benedykta, ale im więcej zgłębiał tem bardziej się przekonywał że nam chcącym się urządzić do życia czynnego trudno lub niepodobna było dorobić stosowne konstytucye, i móżd jeszcze sumiennie zwać się Benedyktynami. Przypomnił że takie było zdanie Ojca świętego: i radził abyśmy korzystając z nauki zaczerpniętej przez wspólne dwuletnie badanie reguły św. Benedykta, i celu naszego Zgromadzenia, przystąpili do urządzenia się podług potrzeb naszych, z pomocą Ducha świętego. Bracia po gruntownem i sumiennem rozważeniu powodów i dowodów Ojca Hubego, przystali na nie; i zaprosili go, aby przygotowane przez siebie pomysły do reguły własnej Zgromadzenia, odczytać zechciał. Co gdy uczynił i inni bracia radni zawezwani przez niego, uwagi swoje, dodatki i rozwinięcie naprzód ustnie a potem piśmiennie przedstawili: wszystko to tak tchnęło jednym duchem że pozostała tylko praca uporządkowania i dania jedności stylu. Polecone to zostało Ojcu Semenence, który ze znaną zdolnością z zadania się wywiązał, i przeto główna zasługa we wszystkich pracach naszych nad regułą, jemu się należy. Jak temu lat dwa (w roku 1848-ym), Bóg dotykalnie nam chciał pokazać iż bez Niego nic zbawiennego dokonać, ale nawet ani począć nie można, tak teraz miłościwie objawił, że może wielu dać ducha jednego. W niespełna trzy tygodnie od zaczęcia naszych narad, przy innych zajęciach i przeszkodach, stanęła reguła Zgromadzenia cała i bez szwu; tak iż się bracia nie mogli dosyć nadziwić, i nadziękować miłosierdziu Bożemu. Co więcej pojęcie i rozwinięcie zasad doskonałości chrześcijańsko - zakonnej tak w niej już było wysokie, że z całą szczerością wyznać musimy, iż ono nie z nas było wysnute, ale z góry nam zostało podane.

Potem, z wolną już myślą, rozbieraliśmy każdy ustęp, każde wyrażenie, postawiwszy sobie to prawo, aby wśród modlitwy dopóty się zastanawiać i szczegół każdy ze wszech stron oglądać, ażbyśmy wszyscy do jednego rozumienia przyszli. I dał to Bóg, że pięciu Polaków, ludzi w dojrzałym już wieku, z usposobień przyrodzonych całkiem do siebie nie podobnych, na wszystko się snadno i jednomyślnie zgodziło. Dnia 2-go lutego 1850-go roku, w święto Oczyszczenia Matki Boskiej skończyliśmy tę pracę, a 7 go marca ostatecznie podpisali Ojcowie Hube, Kaysiewicz, Semenenko, Kaczanowski, i Jełowicki. O. Hube wybranym został powtórnie na przełożonego na lat siedem następnych, a O. Kaysiewicz na zastępcę przełożonego. O. Hube pośpieszył natychmiast do Rzymu.

Ksiądz Bentkowski miał czas ucieszyć się wiadomością o szczęśliwym wypadku narad, na których intencją modlił się i cierpiał, ale nie dał mu Pan doczekać się powrotu Przełożonego, jak tego pragnął, powołując go do siebie. Tu miejsce wspomnieć o nim choć po krotce.

Alfred Bentkowski, był synem uczonego profesora; równie piękny z wejrzenia jak łagodny i zdolny. Powstanie listopadowe zaskoczyło go w 17-ym roku życia, ledwo co po ukończeniu szkół zaczynającego chodzić do uniwersytetu. Był z Giełgudem na Litwie i wkroczył z innymi do Prus. Za radą zapewne ojca nie poszedł do Francji, ale się spokojnie uczył medycyny w Królewcu, dokończył kursów w Berlinie, a zwiedziwszy Wiedeń osiadł w Poznaniu. Szczególnie protegowany od doktora Marcinkowskiego, i powszechnie kochany, zaczął praktykę medycyny. Wszakże krzyki polityczne, zawiści i potwarze do tyła smuciły piękną jego duszę, że rychło mu się sprzykrzył pobyt w Poznańskim. Cierpiąc też już potrosze na piersi, ohotnie podjął się towarzyszyć do Włoch młodemu jednemu a słabowitemu rodakowi. Przybył do Rzymu na Wielkanoc roku 1842-go. Po raz pierwszy wtenczas znalazł czas wolny i myśl dość swobodną do pomyślenia o obowiązkach religijnych, które był zaspiał przy studiach medycyny, i wśród atmosfery filozoficznej w ojczyźnie Kanta. Widok Rzymu, pokój i zgoda panująca w naszym gronku, rozmowy z księdzem Semenenką, doprowadziły rychło tę duszę, naturalnie niejako pobożną, do Boga, owszem do zapragnienia doskonałości i oddania się zupełnie na Jego

służbę. Niczego wszakże ostatecznie nie przesądzając wrócił do Poznania. Wziął się do czytania dzieł religijnych już to dla wyleczenia się z niewiadomości i naleciałyby wątpliwości, już dla zbudowania; przystępował do Sakramentów świętych i wkrótce ostatecznie postanowił wejść do zakonu. A że zakonów naówczas w Poznańskim nie było, i pragnął już połączyć się z nami, przybył roku 1843-go do nas do Rzymu. W roku 1844-ym, dla dogodzenia nabożeństwu swemu, towarzyszył księciu Romanowi Sanguszcze do Ziemi Świętej, a wróciwszy spokojnie odbywał nauki, i rósł w miłości Bożej i we wszelkich cnotach duchownych; sztuki lekarskiej na leczenie biednych używając. W roku 1849-ym wyświęcony na kapłana, w dzień w którym u św. Kaliksta kilku kapłanów zamordowano, ze zgrozy mocnym krwotokiem dotknięty, gaśł powoli na chorobę piersiową. Na dwa dni wprzód zapowiedział śmierć swoją, a widząc braci bardzo zasmuconych, pocieszał ich mówiąc: „gdyby mi było wolno, odpowiedziałbym wam rzeczy zdolne was bardzo rozweselić.” Opatrzony wszystkimi Sakramentami przez spowiednika swego Monsiguora Colombo, który Alfreda naszego anielskim młodzieńcem nazywał, zasnął spokojnie w Panu dnia 26-go lutego 1849-go roku. Księża i zakonnicy z różnych klasztorów przybyli ze Mszami, a lud rzymski wdzięczny za chętnie i szczęśliwie dawane dawniej rady lekarskie, i pełen dlań uwielbienia licznie zbiegł się na jego pogrzeb, bo błogi nasz zmarły w twarzy i całej postawie ciała taką skromność, takie skupienie wewnętrzne okazywał, iż go powszechnie za świętego miano, i drugim świętym Alojzym nazywano. Wielka to strata dla Zgromadzenia na ziemi, ale wielki nabytek w niebie.

Wypada znów wspomnieć o nowych prześladowaniach, jakich doznaliśmy ze strony i swoich, i obcych. Pierwszego roku panowania Piusa IX-go kleryk jeden z kraju, któregośmy przyjęli w skutek usilnego polecenia Monsignora Viale Prela nunCyusza w Wiedniu, i następnie oddalony przez nas, podał do Sekretarza Stanu i innych kongregacyj rzymskich paszkwil, w którym oskarżał nas o najohydniejsze i najplu-gawsze zbrodnie: pisywał zaś to wszystko, biorąc od nas jałmużnę. Inny na braciszka przyjęty, chcąc gwałtem zostać kapłanem a niezdolny, oddalony przez nas, czernił nas równie przez lata całe, rzucając nawet memoriały do powozu papież-

kiego. Szczęściem że władze rzymskie Die są łatwowierne; nie łatwo u nich zyskać zaufanie, ale i nie łatwo utracić. Po upadku republiki Mazziniego w Rzymie oskarżeniśmy zostali, i zdaje się przez wyższe sfery, o bratanie się z republikanami. Rząd rossyjski tak był pewny swego, że w Warszawie rozpowiadał iż jużemy zostali wypędzeni z Rzymu. Rzeczywiście pan Silva Dandini, ówczesny dyrektor policji papieżkiej, chciał to być uczynić, ale nie mógł bez dołożenia się kardynała Wikarego. Wikaryat zapytał o to wspomnianego Monsignora Colombo, prezydenta sekcji kryminalnej trybunału, i przeto bardzo nienawistnego konspiratorom, który się ukrywał przez cały czas trwania republiki pośród nas i był świadkiem czynności naszych od rana do wieczora. Ten prałat poświadczył, iż wprawdzie legioniści Polacy nachodzili nas i że nieraz musieliśmy im dawać jałmużnę, ale żeśmy im zarazem mówili, że źle sobie poradzili przychodząc wojować do Rzymu przeciwko Papieżowi. O tem wszystkiem dowiedzieliśmy się dopiero wtenczas, gdy już niebezpieczeństwo było przeszło. Kiedy O. Hube wrócił do Rzymu i przedstawił się Ojcu świętemu, tenże łaskawie go przyjął, o członków Zgromadzenia wypytywał z życzliwością, i jakkolwiek skarżył się na Mickiewicza, i inne gorączkowe głowy polskie, dodał wszakże: „wiem że u was jak gdzieindziej są źli i dobrzy.” Wszakże pan Buteniew tak zręcznie wyzyskiwał w Gaecie wśród okolenia papieżkiego niesforne ruchy Polaków, że nie tylko ostudził rodzinę Borghesów dla nas i dla sprawy naszej, ale sprawił, że gdym wrócił w jesieni 1850-go roku do Rzymu, przez wiele miesięcy nie mogłem otrzymać posłuchania u Ojca świętego, aż on sam dowiedziawszy się o tem przysłał po mnie Monsignora cle Merode przybocznego prałata swego. Była wtenczas na przedpokojach papieżkich reakcja przeciwko tym wszystkim, którzy pierwszego roku panowania Piusa IX-go łatwy przystęp do niego mieli: a do liczby tych i ja należałem.

Uderzającą była ta zwiększona ku nam nienawiść ambassady rossyjskiej (jakkolwiek i w latach poprzednich ciągle od niej byliśmy prześladowani); lecz naonczas czujność jej do tego stopnia się wzmogła, że przyjezdnym Polakom niebezpiecznem było zachodzić do kościoła św. Klaudyusza: nieraz urzędnik ambassady przechadzał się w niedzielę przed

kościółem patrząc kto doń wchodzi i zeń wychodzi. Szukając powodów tej zwiększonej nienawiści, znajduję następny. Rewolucyjne poruszenia od roku 1848-go do 1849-go, do których Polacy tak czynnie na nieszczęście się mieszały, skompromitowały powszechnie imię polskie w Europie, a jak wspomniałem i w Rzymie. Liczyła ambassada że pod tą niepopularnością i my upadniemy, że będziemy ztąd wypędzeni, zaczem że rząd rossyjski odzyska w Rzymie wpływ, jakiego używał w pierwszych latach po upadłem w roku 1831-ym powstaniu. Nie udało się jej to, pozostaliśmy i nadal łaskawie od Ojca świętego przyjmowani. Był to dla niej zawód, klęska dyplomatyczna. Przytem dochodziły rządu rossyjskiego w Warszawie niezmiernie przesadzone doniesienia o wpływie naszym na rodaków znaczniejszych podróżujących po Europie, a z nami mających stosunki. W roku 1849-ym na 1850-ty pewien wysoki urzędnik z Warszawy, Polak rodem, nieproszony niepytany postanowił był sobie sprowadzić do W^Tarszawy księdza Hubego. Mówił o tem z bratem jego senatorem, a ten z księciem Paszkiewiczem, dodając wszakże: iż ponieważ brat jego jest przełożonym Zgromadzenia Zmartwychwstańców, zapewne sam jeden wrócić nie zechce. Ksiądz Paszkiewicz udał się do ambasad w Paryżu i Rzymie, żądając objaśnień co do naszego postępowania za granicą. Te po uprzednim porozumieniu się ze sobą, odpowiedziały: „że choć do konspiracyj politycznych nie należemy, to jednak tak dalece *egzaltujemy* Polaków pod względem religijnym, że jeśli zostawi się nam możność działania tak dłużej, to za nic nie będzie można ręczyć, (*et si on les laisse faire on ne pourra repondre de rien*)”. Ta zabawna groźba była jeszcze jedną więcej pobudką do zaostrzenia kontroli nad nami. Nie mogąc się nas pozbyć w Rzymie, ambassada rossyjska przyjęła system odosobnienia nas grozą od krajowców, a następnie ogłodzenia: tegoż samego środka próbował rząd narodowy rewolucyjny z roku 1863-go: nie po raz to pierwszy spotkała się w ten sposób rewolucya z despotyzmem !

Przysłano sukurs ambassadzie. W jesieni roku 1850-go przybył do Rzymu znany ze swej niedobrej sławy ksiądz prałat Butkiewicz, rektor Akademii duchownej warszawskiej, w chęci wyrobienia sobie przy pomocy rossyjskiej arcybiskupstwa warszawskiego, a przynajmniej biskupstwa augustow-

skiego. Doszły nas zaraz ostrzeżenia o nim z kraju, a przysiętem że ma polecenie od rządu dowiedzieć się, z kim jesteśmy w stosunkach i kto nam dostarcza wiadomości o czynnościach rządu i złych księży, zgubnych dla Kościoła. Nigdyśmy rzeczywiście więcej ich nie odbierali niż w ciągu dwuletniego prawie pobytu księdza Butkiewicza w Rzymie; a musiały być dokładne, gdyż on sam, nie tęgi zaprawdę dyplomata, w ciągu rozmowy nieraz jakby z bólem wykrzykiwał: „wszystko wiedzą, wszystko wiedzą!” I w istocie odebraliśmy wówczas piśmienne od Ojca świętego podziękowanie za dostarczane wiadomości.

Ksiądz Butkiewicz miał w Rzymie daleko trudniejszą, niżli spodziewał się przeprawę. Na wstępie musiał odpowiedzieć na sześć zarzutów, które mu była Stolica Apostolska uczyniła:

- 1) iż na rektorstwie swoim szkodzi wierze;
- 2) iż formułę dziwną przysięgi dla uczniów Akademii wprowadził;
- 3) iż z uczniami srogo się obchodzi, a nawet kilku do pułków oddał;
- 4) iż dobrych professorów odesłał, złych do Akademii sprowadził;
- 5) iż rady niebezpieczne rządowi daje;
- 6) iż ubliżył stanowi duchownemu, chwając w mowie pogrzebowej księdza kanonika Kotowskiego.

Tylko na punkt drugi ze ścisłością odpowiedział, zaręczając, iż ta sama formuła przysięgi wymagana jest przez rząd od wszystkich: wszakże zarzucają mu duchowni z Królestwa, że on to podał myśl rządowi, by ją do Akademii wprowadzić. Ale ta odpowiedź znalezioną została niedostateczną, a Ojciec święty mu zapowiedział, że będzie musiał czas dłuższy w Rzymie pobawić, i znosić się z Monsignorem Ferrari sekretarzem spraw kościelnych nadzwyczajnych, dobrym naszym znajomym. Zaczął zatem pisać dłuższe tłumaczenie się, a właściwie dzieje Kościoła polskiego z ostatnich lat stu, mianowicie też pod rządem rossyjskim od czasu rozbioru Polski. Jakkolwiek myślą główną tego pisma była chęć dowiedzenia, że stan Kościoła i duchowieństwa u nas jest dziś lepszy niż był za Polski niepodległej (co z tablicami statystycznymi w rękę zbić najłatwiej): to pewna, że ono

wiele rzeczy zajmujących i nowych dla niejednego zawiera, już to zapamiętanych od księdza biskupa Skarszewskiego i innych duchownych z tej epoki, już z tego co widział i do czego sam należał. I to długie factum jednak nie pomogło. Kiedy ksiądz Butkiewicz z jednej strony oświadczył przed Ojcem świętym, że pragnie osiąść na pustyni i resztę życia na pokucie spędzić, a z drugiej ambassada rossyjska wszystkie sprężyny poruszała, by przebojem zdobyć mitrę dla swego ulubieńca, poznano się w Rzymie na farbowanych lisach, i zbyto natrętnego kandydata prelaturą honorową, przez grzeczność dla potężnego jego opiekuna. Na tem poprzestaniemy choćby wiele więcej powiedzieć było można, a przestajemy dlatego, że ksiądz Butkiewicz więcej może ze słabości charakteru, niż z rozmyślnej złej woli grzeszył.

W Rzymie prześladowania przeciwko nam ucichły. Dawny nuncyusz papieżki w Paryżu Monsignor Fornari, łaskawy na nas od lat kilkunastu, zostawszy kardynałem gorąco się za nami oświadczył przed kardynałem Wikarym i prosił, by w każdym razie do niego się zgłoszono o objaśnienia. Kardynał Wikary wyznał, że istotnie byliśmy oskarżani o mieszanie się do polityki, lecz że się przekonał, iż jesteśmy prawdziwymi kapłanami. W lat parę zabrał nam Bóg tego opiekuna, ale On sam pozostał. Tymczasem z księdzem Butkiewiczem, który na wiosnę 1853-go roku wracając do Warszawy zatrzymał się w Paryżu, prześladowanie tam się przeniosło. Oddalony jeden braciszek z domu paryzkiego, który miał styczność z księdzem prałatem, i rychło zaczął jak najwykwintniej się ubierać, denuncyonował księdza Jełowickiego przed rządem, iż on przejmuje pieniądze z kraju dla emigrantów przesyłane, że sypia na materacu biletami bankowymi wypchanym, a nikomu nic nie daje. Zdaje się, że ta denuncyacya była ponawiana, bo policya wzięwszy ją na seryo, zasięgała zdania u najpoważniejszych wygnańców i nas badać przychodziła. Dzięki Bogu, iż to posądzenie o bogactwo przypadło w chwilę, gdy taki niedostatek był w domu, iż bracia nasi paryzcy musieli pójść prosić o jałmużnę u niektórych rodaków.

Roku następnego (1854-go) nowa burza spada niespodzianie na księdza Jełowickiego. Odbiera list następującej treści od prefekta policyi:

„Mając niemyślne dowody, iż pobyt księdza grozi bezpieczeństwu publicznemu i interessom Francyi, nakazuję Mu, jak najrychlej opuścić Francją, i nigdy do niej nie wracać.”

Udał się ksiądz Jełowicki do pana prefekta w towarzystwie księcia Władysława Czartoryskiego, i prosił o wyjaśnienie tej niespodzianki. Nie bez trudności dowiedział się nareszcie, iż jest miany za agenta rosyjskiego (dotychczas byliśmy zawsze oskarżani o ultra-polonizm i o rewolucyjność); że namawia emigrantów polskich do brania amnestyi, że powstaje przeciwko Turcyi alliantce Francyi (zaczynała się bowiem wojna na Wschodzie), i odwodzi Polaków od wchodzenia do służby tego mocarstwa, a więc działa przeciwko interesom Francyi, i t. d. Poszło to ztąd, że powstawaliśmy przed kilkoma laty przeciwko apostazyi rodaków naszych schronionych do Turcyi po upadku wojny węgierskiej, i przeciw tym którzy tej apostazyi z punktu patryotycznego bronili. Rozpoczęcie wojny wschodniej, i rzucanie się gorączkowe Polaków, dały sposobność i nałożyły obowiązek księdzu Jełowickiemu, ostrzegania ich, aby się strzegli podobnej hańby, a nawet unikali pozorów zewnętrznych poturczenia się, przybieraniem ich stroju i nazwy ¹⁾. Tego się zatem nieprzychylni uchwycili, nie wiem już przez kogo podżegani, aby się na zawsze księdza Jełowickiego z Paryża i z Francyi pozbyć. Nie dał się na razie pan prefekt przekonać; zostawił wszakże czas do przedstawienia obrony, i świadectw osób niepodejrzanych rządowi. Obrona była łatwa, i nie brakło świadectw od generałów, dyplomatów, senatorów francuzkich. Cofnięty został rozkaz wyjazdu z oświadczeniem, że to nastąpiło nie w skutek wysokiej protekcyi, ale z powodu przekonania się o niewinności oskarżonego.

¹⁾ Nie byliśmy przeciwni pracy polskiej na Wschodzie w zasadzie, ani pomaganiu Turcyi i jej obronie przez Polaków. Daliśmy tego dowód posyłając w r. 1855-ym księdza Kaczanowskiego na kapelana przy Dywizyi polskiej, pod dowództwem generała Zamoyskiego formującej się. Szczerze katolickie i polskie usposobienie tego dowódcy dawało nam rękojmię, że podkomendni jego nie będą narażeni na niebezpieczeństwo zturczenia się, i mogliśmy dla tego ze spokojnem sumieniem do dzieła tego przyłożyć rękę.

Przykrość tę, rychło Bóg miłościwie i hojnie nadgrodził. Po szczęśliwej wyprawie francuzkiej na Bomarsund, przewieziono jeńców rossyjskich na wysepkę Aix, do dyecezyi Rochelle'skiej należącej. Monsignor Villecour, światły i gorliwy biskup tej dyecezyi, dowiedziawszy się od miejscowego proboszcza, iż są między niemi katolicy Polacy, najpobożniej do kościoła uczęszczający, a nie rozumiejący po francuzku, zaprosił po porozumieniu się z ministrem wojny księdza Jełowickiego, zaszczytnie już duchowieństwu francuzkieinu znanego (mianowicie z ogłoszonego *Miesiąca Maryi Panny*) do zajęcia się potrzebami duhownemi swoich współziomków. Udał się tam niezwłocznie; na trzystu jeńców znalazł 170 katolików z Królestwa i Litwy; resztę składali Żydzi, protestanci, Dońce starowiercy, i nareszcie Moskale *blahaczestwi*. Rodacy nasi byli ogólnie jeszcze młodzi, a już[^] mowę swoją znacznie nadpsuli: pomocy religijnej nie mieli od czasu wtłoczenia ich do pułków. Ksiądz Jełowicki postarał się najprzód u władz wojskowych o oddzielenie Polaków od Rosssyan, bo ci ostatni i w niewoli jeszcze ich prześladowali, nazywając *Francuzami*, *buntownikami*; za nim już odwiedzający mieszkańcy miejscowi większe współczucie dla naszych pokazywali. Dokonawszy tego rozdziału, zaczął z niemi ćwiczenia duchowne dwa razy na dzień zbierając ich do kaplicy zrana na Mszę; a wszystko przeplatane pobożnemi pieśniami w języku ojczystym, których żołnierze nie byli wcale zapomnieli, z największem skupieniem i rozrzewnieniem. Cóż dopiero powiedzieć, gdy nastąpiła Kommunia generalna? ode drzwi kościoła szli na kolanach do Stołu Pańskiego zalewając się łzami: podobnie się działo przy Bierzmowaniu, na które łaskawie zjechał sam arcypasterz. Duchowieństwo francuzkie i lud, nie nawykłe do widoku takiej prostej, żywej, i gorącej wiary, głębokie pokazywali wzruszenie i zdumienie: a ksiądz biskup zachował do końca życia najserdeczniejszą miłość dla narodu polskiego. Poczciwe nasze wiarusy zanim ich odesłano na Wschód do dywizyi jenerała Zamoyskiego, złożyli się na zostawienie pamiątki w kościołku, w którym na ziemi obcej, tyle szczęścia i błogości doznali. Nie brakło i tam wszakże wysłańców szatana, z dawnej emigracyi, którzy przychodzili buntować ich przeciwko wierze i kapłanom: ale oni, tak na bezbożność swoich, jak Francuzów, patrzyli okiem litującej

się pogardy. A że mamy wciąż do cierpienia od dwóch ostateczności, zaraz *Dziennik Petersburgski* wystąpił zjadliwie przeciwko missyi księdza Jełowickiego, kłamiąc od początku aż do końca. Nie trudno przyszło oskarżonemu odpowiedzieć zwycięzko w kilku artykułach umieszczonych w dzienniku *V Univers*.

Ito zgłos, jaki miała cała ta sprawa, obudził gorzką gorliwość w niektórych dawnych kapłanach i świeckich w Paryżu. Ponieważ ksiądz Jełowicki zajęty był na wyspie Aix, a ksiądz Kaczanowski wysłany został w tym samym czasie do Algieru w interessach Zgromadzenia (1854) i objechał w powrocie z polecenia ministra wojny Toulon i Korsykę, gdzie dużo naszych jeńców wojennych bawiło (przy czem 24-ech schyzmatyków wprowadził do Kościoła): zdarzyło się, że przez jedną czy dwie niedziele nie było kazania polskiego w *Assomption*. Wspomniani duchowni, którzy na pewno, a świeccy prawdopodobnie na nabożeństwo polskie nie uczęszczali, udali się w deputacyi do księdza Arcybiskupa przedstawiając, iż my (Zmartwychwstańcy) objąwszy missyą dla emigracyi polskiej bynajmniej jej nie pilnujemy; że zresztą jesteśmy niepopularni jako nie-patryoci: że przeto proszą o pozwolenie otwarcia sobie osobnego nabożeństwa. Ksiądz Arcybiskup na razie podchwycony nie umiał nic stanowczego odpowiedzieć; ksiądz proboszcz św. Magdaleny nie rozumiejąc dobrze o co chodzi, pozwolił by jeden z obżalujących nas kapłanów, miewał tymczasem kazanie w należącym do niego a pozwolonym nam kościele *IJ Assomption*. Kapłan ten wykladał formalnie kurs historyi z ambony. Że jednak panowie ci wiedzieli, jakeśmy położeni w arcybiskupstwie i u proboszcza, i że za powrotem księdza Jełowickiego a wyjaśnieniem rzeczy całe ich rusztowanie runie: udali się z tą samą skargą do rządu. Współcześnie kilkunastu dawniejszych księży polskich, w drukowanej odezwie do braci emigrantów, oświadczyło: iż oni dotychczas (przez lat 23) musieli myśleć o zapewnieniu sobie utrzymania, ale że teraz tak się urządzili, aby mogli oddawać usługi duchowne swoim rodakom; co się im jako kapłanom polskim i ludziom narodowym z prawa należy: w skutek czego zapraszają ich do osobnego kościoła na nabożeństwo w dzień 29-go listopada. Ale też na tem się skończyło. Bo ksiądz Jełowicki uwiadomiony o wszystkim wrócił

z Aix do Paryża; objaśnił władzę duchowną, i proboszcza; nareszcie władzę policyjną: która obiecała być odtąd ostrożniejszą w przyjmowaniu zaskarżeń. Zapowiedział następnie nabożeństwo na 29-go listopada w kościele *L' Assomption*, na które przyszła liczniejsza i poważniejsza część emigracyi, wraz z zakładami uczącej się młodzieży. Odbył jeszcze nowennę, z codzienną nauką, do Niepokalanego Poczęcia Matki Boskiej: a zastąpiwszy się na ambonie w Paryżu pośpieszył do La Roclielle, zaproszony przez biskupa, do kazania w jego katedrze Adwentu dla Francuzów. Ponieważ spodziewano się lada dzień ogłoszenia Niepokalanego Poczęcia Matki Boskiej dogmatem wiary, i istotnie Ojciec święty uczynił to na dniu 8-ym grudnia tegoż roku, wobec dwustu kardynałów i biskupów zebranych z różnych części świata: ksiądz Jełowicki kazał głównie o tej pocieszającej tajemnicy. Tak mu dobry Bóg pobłogosławił, iż dnia pewnego, podczas kazania, sam ksiądz biskup do łez się rozrzewnił; a po zakończonem kaznodziejstwie, przyszedł wraz ze swymi wikaryuszami jeneralnymi podziękować za pracę i zbudowanie, jakie dał jego owczarni. Wrócił potem nasz misyonarz do swojej trzódki polskiej, i mógł znowu pracować koło niej aż do czasu, w pokoju. Władza tylko duchowna żądała, aby odtąd, dla odjęcia nawet pozorów wszelkich do skargi, dwóch przynajmniej kapłanów naszych stale bawiło w Paryżu.

Na zebraniu biskupów, zaproszonych przez Ojca świętego tego roku do Rzymu, dla towarzyszenia ogłoszeniu wspomnianego dogmatu, jeden tylko ksiądz Przyłuski arcybiskup poznański przedstawiał episkopat polski. Metropolita unicki ze Lwowa wymówił się bardzo już podeszłym wiekiem. Z biskupów pod rządem rossyjskim będących, żadnego nie zapraszała nawet Stolica Apostolska, wiedząc iżby to na próżno uczyniła. Ksiądz Przyłuski przywołał do Rzymu, celem otrzymania konsekracyi biskupiej, przybranego sobie na koadjutora księdza Stefanowicza (świeżo zgasłego w Panu). Pobożny ten prałat, odbył ćwiczenia duchowne w domu naszym pod przewodnictwem O. Przełożonego, i w naszym kościółku był święcony przez kardynała Franzoniego, z pomocą J. M. księdza Cullen arcybiskupa prymasa Irlandzkiego, i ś. p. księdza Grant biskupa *SouthwarJe* (część Londynu). Ojciec święty uszczęśliwił niezmiernie księdza biskupa Stefanowicza uprzej-

mera przyjęciem i dla nas też znalazł łaskawe słowa jak to zwykł czynić przy każdej sposobności.

Ponieważ tej zimy (z roku 1854 na 1855) odbywały się kolejno po rozmaitych kościołach rzymskich nabożeństwa trzydniowe, na podziękowanie Panu Bogu za nowe uwielbienie Najświętszej Maryi Panny: na żądanie pobożnych rodaków, i z ich pomocą, i myśmy takowe trydium odbyli na zakończenie tegorocznego zimowego nabożeństwa dla Polaków w dniach 13, 14, i 15 Kwietnia. Kościółek św. Klaudyusza był pięknie przybrany, rzęsiście oświecony, a bogactwem kwiatów i pięknem ich ułożeniem wszystkie kościoły przesadził, (jak to się też dzieje przy corocznem ubieraniu grobu Pańskiego). Pisał o tem trydium dziennik urzędowy rzymski, i po dwakroć *Univers* paryzki. Ponieważ dnia 12go Kwietnia zdarzył się ów tragiczny wypadek zawalenia się Ojca św. wraz z całym dworem u św. Agnieszki: myśmy pierwsi nazajutrz odśpiewali *Te Deum*, dziękując za uratowanie.

Miło wspomnieć że w tej epoce, t. j. 1854 śp. Zygmunt Krasiński, (który był w roku 1847 przykładnie się wyśpiewał w Rzymie i wyśpiewał potem cudny swój psalm 5ty, psalm *dobrej woli*)] że mówię Zygmunt Krasiński odwiedził wtenczas po raz ostatni Rzym z całą swoją rodziną, zajęty z pomocą naszą kształceniem religijnem dzieci swoich. Doszedł on był do wielkiej delikatności sumienia i w tym kierunku się rozwijał aż do śmierci swojej, która go w lat kilka później w Paryżu zaskoczyła.

Wypada też nadmienić, że w okresie tyra Zgromadzenie nasze okrom trudów misyjnych zdobyło się na niektóre prace drukiem ogłoszone, których główniejsze wspomniemy. I tak O. Hube wydał dziełko swoje o częstej Komunii, które na parę języków obcych przetłomaczone i w Warszawie przedrukowane, zbawienne owoce dla dusz wydało. O. Jełowicki okrom ćwiczeń duchownych i Roku Chrystusowego, wydanych z gorącym zaleceniem księdza arcybiskupa Przyłuskiego, ogłosił swój piękny Miesiąc Maryi, na kilka języków przełożony, przez wielu biskupów mianowicie francuzkich wiernym zalecony, i którego dedykacją przyjął łaskawie Ojciec św. O. Kaysiewicz ogłosił swoje Rozmyślania o męce Pańskiej i Żywot

błogosławionego Andrzeja Boboli w polskim i fraiickim języku. Dzieło O. Semenienki, *Towiański et sa cloctrine* spowodowało Ojca św. do mianowania go członkiem kongregacji Indeksu. Nadto obaj ostatni byli czynnymi współpracownikami Przeglądu Poznańskiego, do którego Ojciec Semenienko mianowicie dostarczył artykułów przeciw księdzu Pocielowi, magnetyzmowi, stołom wirującym, o słowie polskim, a później Biesiady filozoficzne; ksiądz Kay-siewicz Rzecz o rozwodach itd.

Tak stały rzeczy u nas w połowie 1855 roku gdy O. Hubę oświadczył chęć usunięcia się od przełożństwa. Słabego zdrowia, usposobiony do cichego i pobożnego życia, wybornie dźwigał brzemie swoje podczas epoki cierpienia za republiki w Rzymie, ale czuł je dolegliwiej odkąd się życie czynne zaczęło napowrót. Trapił go mianowicie niedostatek finansowy w Zgromadzeniu. Otrzymaliśmy wprawdzie zapis od śp. Zofii z Giżyckich Łubieńskiej 10,000 złp. na nabycie rezydencyjki letniej, nabyliśmy winnicę pod Rzymem, aleśmy nie mieli funduszu, aby w tej winnicy korzystnie prowadzić gospodarstwo. Jedyny fundusz zapisany Zgromadzeniu przez śp. Wiktorję z Orłowskich Sobańską dostarczał dochodu na utrzymanie stałe kilku kapłanów polskich w Rzymie dla wygody duchowej przybywających tam rodaków, ale i ten nie wystarczał już do wychowania choć nielicznej jeszcze młodzieży zakonnej. Położenie takie męczyło Ojca Hubego i niepokoiło jego sumienie. Gdy nadto pomimo odbytej umyślnie podróży nieudało mu się, nie już w Galicyi ale nawet na Szląsku założyć kolonii Zgromadzenia, zrażony niepowodzeniem, i swojej niezaradności niesłusznie przypisując to co było miłosierzną dla nas próbą Bożą, postanowił ostatecznie usunąć się od przełożństwa i wyjechał do Francyi, gdzie odtąd latem w Paryżu dopomaga księdzu Jełowickiemu, a zimą obsługuje kolonijkę polską zjeżdżających się chorych do Hyeres pod Tulonem. Dopełnienie brakujących dwóch lat jego przełożństwa spadło na mnie jako zastępcę, za przystaniem braci radnych. Nie cofnąłem się przed tem brzemieniem, albowiem byłem naonczas pomocnikiem zawiązującym się w Rzymie Siostrzom zakonnym, nazwanym później od Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny, a byłem przekonany, że z woli Bożej posługę tę sprawuję.

ROZDZIAŁ V.

Przełożęństwo księdza Hieronima Kaysiewicza (1855—1864).

Widzieliśmy jak trudne były nasze początki. Lat wiele biedziliśmy się zaniineśmy doszli do własnej Reguły. Niekorzystnymi były dla poczynającego się Zgromadzenia tak częste zmiany przełożonych, a niedostatek finansowy pod niejednym względem przeszkadzał wewnętrznemu porządkowi. Przybyła śmiertelna choroba księdza Semenienki, rok cały trwająca, choroby całej służby domowej, i tym podobne krzyże przechodnie. Ale stałą a boleśnie trapiącą troską było niepowiększanie się Zgromadzenia. Trzech dawnych członków ubyło, księży Duński, Terlecki i Godlewski; śp. Stefan Witwicki zaledwo śluby zakonne złożył, umarł w roku 1847; podobnież ksiądz Bentkowski zaledwo wyświęcony przeniósł się do wieczności. Z wielu którzy przyjęci byli na próbę, jeden tylko pozostał ksiądz Tomasz Brzeska, przybyły w roku 1847, rodem z górnego Szląska. Po kilkunastu latach trwania było nas wszystkiego sześciu kapłanów i kilku braciszków. Nie zwiększało się więc Zgromadzenie i co gorsza nie było nadziei zwiększenia, bo emigracya z roku 1830 starzała się, a młodym duchownym z kraju nie pilno było puszczać się na wygnanie. W obec tak smutnego stanu rzeczy jednemu ze starszych braci przyszło na myśl, iż ta niepłodność pochodzi ztąd, iż jesteśmy wyłącznie Polakami, rekrutujemy się z wygnańców i pracujemy dla emigracyi z natury swojej przechodniej, i niemającej przyszłości; a na grunt polski pomimo kilkokrotnych zachodów dostać się nie było podobna. Wnosił zatem, iż należało przyjmować cudzoziemców i pracować również i dla cudzoziemców. Nigdyśmy ich w zasadzie nie wykluczali; owszem mieszkał z nami lat kilka młody i zdolny kapłan rzymski ksiądz Marchetti: ale poczuł w sobie powołanie do misyj afrykańskich i zapracowawszy się rychło, świątobliwie na Malcie życia dokonał. Raczej cudzoziemcom nie przychodziło na myśl zgłaszać się do nas,"

bo obcy brali nas za zakład wyłącznie polski, nazywając nas w Paryżu *pretres polonais*, *mission polonaise*, a w Rzymie *collegio polacco*, *preti polachi*, *congregazione polacca*. Nadszedł czas w którym i pod tym względem rzecz się wyjaśniła i uzupełniła bez żadnego z naszej strony starania i bez żadnej też zasługi. W roku 1853 zjawiał się był młody Westfalczyk, zdolny i przyzwoity, imieniem Eugeniusz Funcken, gorąco prosząc o przyjęcie. Gdy zapytany czy wychowany na chlebie polskim, zechce się po polsku nauczyć, i w razie potrzeby w Polsce pracować, chętnie się na to zgodził, i został przyjętym. Ksiądz Tomasz Brzeska wysłany dla zdrowia do stron rodzinnych i tam czas niejaki w Piekarach pracujący, przysłał kilku Górno-Szlązaków. W miesiącu Sierpniu tegoż roku 1855, dwóch młodych księży Piemonckich pragnących pracować po misyjarsku, ale pod posłuszeństwem, poznawszy w Spezia pobożne rodziny polskie, za ich wskazówką postanowiło do Zmartwychwstańców się przyłączyć, a gdy ani mała tychże liczba, ani ich ubóstwo odstraszyć ich nie mogło, zostali przyjęci. Tak się dom zaczął napełniać pomimo ciężkiego niedostatku. Rok przeszło potem, jakby umyślnie dla przybyłych świeżo członków, otrzymało Zgromadzenie od Ojca św. opuszczoną a bardzo starożytną świątynię Mentorella w Apeninach w dyecezyi Tivoli, o siedm godzin drogi od Rzymu położoną. Miejsce to uświęcone jest już na początku drugiego wieku ery chrześcijańskiej cudownem ukazaniem się Zbawiciela Placydowi, powszechnie znanemu pod imieniem św. Eustachego, hetmanowi rzymskiemu, a później męczennikowi. Ozdobił je Konstantyn Wielki bazyliką, św. Sylwester papież poświęcił, Benedyktyni przebudowali, a spaloną w XV. wieku, O. Kircher uczony archeolog S. J. w XVII wieku odnowił. Kościół ten słynny jest nadto cudownym posągiem Matki Boskiej, a jakkolwiek pozbawiony od wieków już zamieszkałych przy nim stale kapłanów, nie przestał być miejscem pielgrzymki, mianowicie na wielki odpust Święto-Michalski. Tę świątynię tedy Zgromadzenie powierzyło swoim nowym włoskim członkom, a od objęcia jej przez tych gorliwych misyjarzy nabożeństwo ludu i korzyść dusz niezmiernie się wzmogły.

Tu z kolei przychodzi mi dotknąć sprawy, która nam zrazu wiele trudu przyniosła, a później wielu skarg na nas

była powodem. Lat temu kilkanaście rząd rosyjski w Królestwie chciał rozesłać uczniów Seminarium unickiego w Chełmie do Moskwy i innych Akademij duchownych schyzmatycznych. Kilku pojechało, czterech przeniosło raczej wygnanie. Pierwszy przybył do Rzymu ksiądz Malczyński Klerykiem jeszcze i pragnął wstąpić do naszego Zgromadzenia; ale że zarazem chciał przejść na obrząd łaciński nie przyjęliśmy go, jakkolwiek zresztą ze wszech miar się zalecał. Na usilne prośby nasze przyjął go wyjątkowo, pomimo wiek doroślejszy nad przepis, śp. kardynał Franzoni do kolegium Propagandy ¹⁾. Wkrótce potem przybyło trzech innych Kleryków tejże dyecezyi Chełmskiej, ale dla tych, ile że już starszych wiekiem, Propaganda nie chciała uczynić wyjątku od prawa. Otrzymaliśmy więc wezwanie od kardynała Prefekta, w imieniu Ojca św. wystosowane, abyśmy ich przyjęli pod naszą opiekę aż do czasu skończenia nauk, za opłatą ze strony Propagandy.

Jużeśmy poprzednio drogo okupili doświadczenie, co to za niedogodność mieszania konwiktorów z młodzieżą zakonną; ale jak oprzeć się życzeniu Ojca Św.? jak nie przytulić wyznawców wiary i wierności dla Stolicy Apostolskiej? Przystaliśmy zatem, choć rychło widzieliśmy sprawdzone nasze obawy. Jeden z trzech, (nazwiska już nie pamiętam), który był zaręczony w kraju, wrócił rychło za amnetyą. Pozostali ksiądz Michał Krypiakiewicz i ksiądz Józef Mosiewicz. Wypraszałiśmy się nieraz od nich w Propagandzie, składając się głównie ciasnotą mieszkania, ale nam odpowiadano: „w takim razie stracą subsydia, bo Ojciec św. niebce by w mieście bez dozoru mieszkali”. By nie pozbawiać chleba rodaków i współwygnańców, cierpiało się dalej.

Po ukończonych naukach trzeba było myśleć o wyświęceniu. Biskupa dyecezalnego nie było, a choćby był, nie śmiał by przysłać im papierów potrzebnych. Kościół zaś nie święci księży nie mających zapewnionego utrzymania lub

¹⁾ Gdzie też nauki swe skończył; wysłany do Bulgarii był czas niejaki przełożonym duchownym Unitów Bułgarskich, a świeżo mianowany administratorem apostolskim, ostatecznie Biskupem dyecezyi łacińskiej Alessio w Albanii. Z tym prałatem zachowaliśmy do końca uprzejme stosunki.

zajęcia, by nie narażać ich na nieprzyzwoite wałęsanie się. Wtedy otrzymawszy od dwóch wspomnianych kleryków uroczyste zapewnienie, że po wyświęceniu będą pracowali na missyach gdzie ich Propaganda poszle, dopóki nie będą mogli wrócić do swej dyecezyi, podałem prośbę do Ojca Św., aby w moc władzy apostołskiej, i jako *Ordinarius* dyecezyi Chełmskiej[^], (bo bezpośrednio mu poddanej a nie obsadzonej), raczył dwóch kleryków tejże dyecezyi Krypiakiewicza i Mosiewicza wyświęcić na kapłanów, obowiązujących się tymczasowo pracować na missyach.

Ojciec św. łaskawie się przychylił do prośby i ksiądz Krypiakiewicz pierwszy został wyświęcony na kapłana; ale gdy chodziło o udanie się na missyą, wręcz odmówił.

Zawiedziony tak i zawstydzony w obec Ojca Św., oświadczyłem temu kapłanowi, że dalej u nas mieszkać nie może. Stracił przy tej sposobności ksiądz Krypiakiewicz miesięczną pensyą, którą od Propagandy pobierał; ale czy mogliśmy inaczej postąpić?

Że ksiądz Mosiewicz dostąpiwszy dyakonatu, do kapłaństwa się nie zabierał, składając się słabością zdrowia (i rzeczywiście jest cierpiący), lat kilka jeszcze osłanialiśmy go przed Propagandą skarżącą się że za fundusz łożony na bezczynnego diakona, mogłaby utrzymywać kapłana pracującego na missyi. Ody nam Ojciec św. ofiarował missyą w Bułgaryi, proponowaliśmy czyby niechciał choć na czas tam pojechać. Przystał, otrzymał błogosławieństwo Ojca św. na drogę, lecz nie pojechał. Gdy tymczasem z Bułgaryi powrócił do Rzymu ksiądz Malczyński, najlepiej u Propagandy położony i naturalny opiekun dla księdza Mosiewicza, uprosiliśmy tego ostatniego aby także nasz dom opuścił.

Zarzucano nam żeśmy przeszkodzili promocyi księdza Krypiakiewicza na biskupstwo Chełmskie. Ten zarzut zdaje się być zrobiony dla żartu, boć nikt przecie o takiej promocyi naprawdę myśleć nie mógł. Nie mieliśmy najmniejszej potrzeby sprzeciwiać się kandydaturze księdza Krypiakiewicza, lecz gdyby była w istocie postawioną t gdyby nas o zdanie zapytano, z czystym sumieniem oświadczylibyśmy się przeciw temu i nie wahamy się tego głośno wyznać. Słyszeliśmy wprawdzie, że ambasada rosyjska w Rzymie, aby nie dopuścić na stolicę Chełmską śp. ks. Kalińskiego, (który umarł

wyznawcą wiary i prawie męczennikiem w podróży do Wiatki) ofiarowała się przyjąć raczej choćby księdza Krypiakiewicza; ale to wszyscy w Rzymie za złośliwy żart tylko wzięli, żart który nie czyni zaszczytu księdzu Krypiakiewiczowi, a pomnaża liczbę nieprzyzwoitości, jakich się poselstwo rossyjskie wobec Rzymu i Kościoła Unickiego dopuściło.

W każdym razie nie ma to nic wspólnego z nominacją księdza Kuziemskiego, która w lat wiele później nastąpiła, a w której my najmniejszego udziału nie wzięliśmy. Każdy cokolwiek obeznany z tą ostatnią sprawą wie dobrze, że ją przeprowadził świeżo zmarły ksiądz Metropolita Litwinowicz z poselstwem rossyjskiem w Wiedniu, i wziął na siebie odpowiedzialność przed Rzymem za trafność tego wyboru; poparł go zaś głównie nuucyusz wiedeński Mgr. Falcinelli, którego nasi rodacy, jeśli co przeciw tej nominacji mieli, zawczasu powinni byli oświecić, a przedewszystkiem zyskać u niego potrzebne zaufanie.

Wspomnieliśmy, że O. Kaczanowski wysłany został do Turcyi podczas wojny Wschodniej na kapelana dywizyi polskiej, która z końcem wojny rozwiązana została. Po długiej niepewności i oczekiwaniu, za staraniem jenerała Zamoyckiego, część legionistów polskich otrzymała prawo kolonizowania się na ziemiach Reszyda-Baszy w sławnej Tessalskiej dolinie Tempeja; a to na warunkach wieczystego czynszu. Reszyd, najznakomitszy statysta turecki, przyjaciel Polaków i nie fanatyk, obiecał zbudować kościół i dom dla proboszcza, zapewnić dlań utrzymanie i uważać go za pierwszą osobę w osadzie *Heszydie* od naszych przez wdzięczność nazwanej. Tak jenerał Zamoyski jak głos powszechny przyznają Ojcu Kaczanowskiemu główną zasługę zawiązania tej kolonii. Niestety! były w niej od początku zarody śmierci. Kolonizowało się też dziewięciu oficerów, a choć niektórzy z nich z wielką gorliwością i bezinteresownością nad utrwaleniem tej osady pracowali, inni natomiast nie mieli nic pilniejszego nad zakładanie stronnictw pomiędzy kolonistami. Do tego wiarusy nasze urodzone na płaszczyznach polskich, pomimo rad i ostrzeżeń kapłana i innych doświadczeńszyci, nie chcieli się budować na górach, jedno na dolinie niezdrowej w skutek długiego zapuszczenia, i stojących tu i owdzie wód. Jeszcze za życia zamożnego i hojnego właściciela, Turcy obyczajem swoim

z trudnością dostarczali obiecanej pomocy; a gdy rychło umarł, i spadkobiercy jego dłużejłożyć nie chcieli, koloniści zdemoralizowani przez ciągłe febry, w różne strony się porozchodzili.

Współcześnie prawie J. M. ksiądz Charbonnel, biskup z Toronto w Kanadzie, ze łzami prawie w oczach błagał nas o odstąpienie mu choć dwóch misjonarzy, dla Niemców, Czechów i Polaków osiadłych w jego dyecezyi; miał bowiem kilka parafij, które od lat wielu księdza nie widziały. Otrzymał wzmiankowanego już księdza Funckena, i na początku tegoż roku 1857-go powstała missyja w Kanadzie. Nie piszemy o niej obszerniej, gdyż czytelnik znajdzie szczegóły o dalszym jej rozwoju w naszych listach Zaatlantyckich.

Ustalała się też i kwitła najstarsza missyja Zgromadzenia w Paryżu. Nie była ona nigdy, jak widzieliśmy na chwilę nawet opuszczona, ale częste zmiany przełożonych nie dozwalały wprowadzić do niej jednego ciągu działania, niezbędnego w każdej sprawie. Poruczona od roku 1850-go O. Aleksandrowi Jełowickiemu, w jego ręku się dotąd przy kościele Assomption utrzymała. Nie wygodne to ze wszystkim pomieszczenie, jak zwykle w obcej świątyni, w której pewna część posług parafialnych francuzkich się odbywa; ale regularne co niedziela polskie nabożeństwo ściągające wychodźców ze wszystkich stron Paryża, częste ćwiczenia duchowne (na Wielkanoc lub w miesiącu Maryi) dla Polaków urządzone, częsta obecność uczniów szkół polskich obojej płci w święta bardziej uroczyste, sprawiły, że kościół ten jakkolwiek do parafii Magdaleny należący i ledwo przez kilka godzin co tydzień przez Polaków zajmowany, znany jest w Paryżu dość powszechnie pod nazwą kościoła polskiego i prawie uchodzi za polską parafią. W istocie, tu się związały z ołtarzem wszystkie nasze wspomnienia narodowe; tu rocznice polskich tryumfów lub nieszczęść, dni wesela i dni żałoby uroczystem nabożeństwem obchodzone; słowem Bożem uświęcane; tu objają się o mury paryzkie, pieśni religijne, któremi od wieków lud polski w ciszy wiejskich kościółków przyzywa miłosierdzia Pańskiego; tu w starym herbie trzech Polski narodów zajaśniała Pani, nieba i ziemi; tu raźniej płynie z duszy modlitwa za ojczyznę, bo i tu ojczyzna żyje pełniejszym i czystszy życiem, pod jawną opieką jej Najświętszej Królowy. Tutaj

głos kapłanów Bożych czci pamięć mężów zasługi, którzy swym zgonem naród zasmucili; tu słyszeć się daje głos przestrogi w każdym ważniejszym wypadku z blizka lub z daleka wiary dotyczącym i przed każdą dla narodu pokusą; tu ów święty nasz Patron, któremu wielki Papież porучzył losy pogrobowej Polski, Jan Kanty, odbiera od wygnańców, co rok, cześć rzewną, gorącą, uroczystą, od wszystkich partyj i obozów politycznych przyznaną; ztąd wreszcie dochodzą Ojca świętego, jakkolwiek słabe bo wątpliwości sił odpowiednie, ale niezmiennie dowody wierności naszej dla Stolicy Piotrowej! A tak siłą rzeczy i siłą pocziwego uczucia, które u nas z Bogiem zaczynać i z Bogiem wszystko lubi kończyć, kościół Assomption stał się jakby duchową wychodźtwa stolicą i choć nie polski jednak polską, najprzedniejszą w Parjżu instytucją, do której każdy emigrant choćby najbiedniejszy i najdalej zamieszkały, przynajmniej kilka razy do roku zajść musi.

W roku 1855-ym 0. Aleksander Jełowicki oddał uroczyste missyą swoją i wychodźtwa i całą Polskę pod opiekę *Matki Boskiej Zivycieżkiej* (Notre Danie des Yictoires) zawieszając w jej świątyni w Paryżu wielkie i piękne złote *votum* ponawiając w ten sposób ślub króla Jana Kazimierza w imieniu narodu przed dwoma wiekami uczyniony. Piękne kazanie, które przy tej uroczystości powiedział, zostało w zbiorze jego drukiem ogłoszone. Rzewnie też przemówił ksiądz Desgenettes sędziwy proboszcz kościoła, założyciel Arcybractwa Najświętszej Panny. Widok zbolałych wychodźców, starców i niewiast cisnących się na kolanach pod opiekę Maryi Panny, dziwnie był wzruszający. Napis na ofiarowanem *votum* był następujący: „Ci w koniach, ci w jeźdźcach, a my w sercu Maryi chlubić się będziemy" ').

Tymczasem skutkiem częstszych podróży Polaków do Francji, zwłaszcza po wojnie wschodniej, missya paryzka zaczęła także wywierać silniejszy wpływ na kraj; a dopomagało temu rozwinięte na większy rozmiar wydawnictwo dzieł religijnych. Usługi, jakie na tem polu missya paryzka oddała, liczyć się zawsze będą do pierwszych w historii naszego

') Lat kilka przedtem posłaliśmy do kościoła Grobu Chrystusowego w Jeruzalem na *ex roto* kielich, który mi pokazywano podczas wycieczki mojej do Ziemi Świątej.

Zgromadzenia. Zamieściliśmy gdzieindziej tytuły około sześćdziesięciu dzieł religijnych przez nas ogłoszonych *); w większej części są to dzieła treści religijnej, książki do modlitwy, czytania budujące, rozmyślania i tym podobne pisma dążące do obudzenia w wiernych życia wewnętrznego. Kto sobie przypomni jakie to były książki, które nie w jednym miejscu służyły w Polsce ku modlitwie, układane przez ludzi świeckich nie mających pojęcia o liturgii, nieraz nawet przez księgarzy protestanckich lub żydowskich; kto wie ile w tych książkach było modlitw albo niewłaściwych, albo grzeszących pod względem dobrego smaku i polszczyzny; kto pamięta jaki był niedostatek dzieł lepszej treści ku codziennemu wiernych pożytkowi: ten zrozumie z łatwością wagę i doność wydawnictwa Zgromadzenia. Wszystkie książki i książeczki przez missyą paryzką ogłoszone, tysiącami egzemplarzy rozszły się i rozchodzą po kraju; można powiedzieć, że na nich się modli dzisiaj większa część Polski. Różnej formy i treści, zastosowane do pojęcia każdego stanu i wieku, zastosowane także do charakteru narodowego, przytem zamknięte ściśle w obrębie modlitw Kościoła, są one czystym i zdrowym dla duszy pokarmem, a przez swe zalety redakcyi i języka, są nieraz prawdziwym wzbogaceniem naszej literatury. Mało jest dzieł w polskim piśmiennictwie, któreby pod względem piękności, czystości, a zarazem dziwnej harmonijności wyrażen i stylu dały się porównać z paryżkiem tłumaczeniem *Filotci* św. Franciszka Salezego; a na podobne uznanie zasługuje także tłumaczenie *Naśladowania Jezusa Chrystusa* przez paryzką missyą dokonane.

Dodatkiem do missyi paryżkiej w ciągu miesięcy letnich bywała missyą Ostendzka, na którą po odbytem zebraniu ogólnem i potwierdzeniu jednomyślnem ranie na przełożenstwie na następnych lat siedm, udaliśmy się wraz z księdzem Jełowickim, podczas gdy ksiądz Semenenko kazał w Paryżu. Missyą ta zaczęta już była w roku 1845-ym, zrazu tylko dla kilkudziesięciu osób przybyłych z wód niemieckich na rozkaz lekarzy do morskich kąpielei: ale liczba przybywających po-

*) *Bocznik Tow. Ilist. Literackiego* w Paryżu na rok 1867. Wiadomość o Zgrom. Zmartwychwstańców s. XXXVIII.

większała się co roku. Od wstąpienia na tron Aleksandra II mnóstwo poddanych rosyjskich korzystając ze zwolnienia w trudnościach paszportowych, wyjechało za granicę. Także choć w ciągu sierpnia dużo osób już było odjechało, jeszcze do sześciuset było we wrześniu. Podczas kazań kościoł pokapucyński bywał zapelniony, a kazania były codzienne. Całe ranki i jeszcze po obiedzie trzeba było spowiadać. Nie tylko się spowiadały niewiasty zwykle chętniejsze, ale wielu mężczyzn, znakomitych obywateli, wysokich urzędników, czyniło to bez najmniejszego względu ludzkiego. Dużo było spowiedzi z całego życia, dużo prawdziwych nawróceń. Miejsce to też bardzo stosowne do missyi : bo okrom przechadzki nad morzem niema nic zresztą, coby rozrywało i odrywało. Nabożeństwo było siłą rzeczy jedyną i najmiłą rozrywką: głód wielki słowa Bożego i Sakramentów świętych przywieźli byli ze sobą krajowcy: to też chciwie pili z tego źródła zbawienia. Na pamiątkę ofiarowali nam wspaniałe kielichy; a kto mógł spieszyl do Paryża słuchać kazań w Assomption.

Zwróć może uwagę czytelnika częste nasze podróże (co nam zresztą zarzucano): ale my w ten sposób zastępowaliśmy naszą małą liczbę. W Rzymie latem niema zajęcia czynnego, więc gdy się czegoś nie pisało, można było popracować w Paryżu, Ostendzie; ile że zmiana miejsca i pracy jedynym dla nas zwykle odpoczynkiem. Dał też dobry Bóg w ciągu tych podróży po kraju lub za granicą, pozyskać niejednego różnowiercę Kościołowi i pocieszyć wiele dusz zasmuconych, wahających się, lub wewnętrznie zamąconych.

W Rzymie okrom kaznodziejstwa zwykłego odbyliśmy w zimie z roku 1857-go na 1858-my, uroczysty obchód żałobny po ś. p. kardynale Lewickim, metropolicie Halickim; urządzeniem zajął się przyjaciel nasz ksiądz Jan Koźmian, mieszkający od roku przeszło z nami i oddający się naukom teologicznym. 'Prezydował temu obchodowi ś. p. kardynał Altieri, obecny był w trybunie ś. p. kardynał Reisach. Mszę świętą śpiewał Mgr. Bedini Sekretarz Propagandy, później kardynał, w asystencyi Mgr. Bastide naczelnego kapelana francuzkiego. Obecnymi byli arcybiskupi grecki i ormiański, biskupi Besi i Luquet; prałaci Latour d'Auyergue audytor francuzki i de Merode szambelau papieżki; ksiądz Dąbrowski prowineyał Bazylianów; rektorowie seminaryum francuz-

kiego i niemieckiego; i wielu innych zakonników i księży świeckich różnych obrzędów. Assystowało kollegium grecko-sławiańskie i część Propagandy. Po Mszy pontyfikalnej, ksiądz Donicki kapłan galicyjski, w towarzystwie wspomnianych już księży Mosiewicza i Krypiakiewicza, odśpiewali *Panachidę* w języku cerkiewnym, po czym nastąpiło *Libera* podług obrządku łacińskiego. Mowę pogrzebową powiedzianą przeze mnie w języku włoskim ogłosił *Przegląd Poznański* w języku polskim, a *V Univers* we francuzkim ¹⁾, umieszczając list z opisem tego obchodu bardzo zaszczytnym dla Zgromadzenia.

Aby nie nużyć czytelnika monotonnem powtarzaniem zwykłych zajęć naszych, ściśnemy je w pewne ogólniejsze obrazy, obszerniej nieco tylko mówiąc o nowych zakładach lub zajęciach i wypadkach. Ostatnie zebranie ogólne z roku 1857-go było nader ważnem dla Zgromadzenia; na niem już zupełnie dojrzała myśl jego o swoim celu i powołaniu, a tem samem objawiła mu się wyraźnie racya istnienia. Dla tego i reguła mogła być tak już łatwo w łonie jego być uznana i przyjęta. Każde bowiem zgromadzenie nowo zakładające się z natury rzeczy powinno mieć jakiś cel i powód istnienia swego rodzaju, to jest jemu właściwy; inaczej członkowie nowe zgromadzenie zakładający znaleźliby odpowiedniejsze miejsce w zgromadzeniach już istniejących. Członkowie pierwsi naszego Zgromadzenia przez lat piętnaście od swego pierwszego skojarzenia się w 1842-im roku pracując wśród świata w apostolskim zawodzie, mieli czas przypatrzeć się i biedom świata i potrzebom Kościoła, i za łaską Bożą rozpoznać, czem ma być w naszych czasach nowe zgromadzenie, chcące pożytecznie służyć i Bogu i ludziom. Zdawało nam się wtedy, że n; jgłówniejszym nieprzyjacielem Boga i Kościoła a tem samem szczęścia ludzkiego i zbawienia, jest w tych naszych czasach socyalizm, czyli system, szkoła, dzieło całe przez coraz większą liczbę ludzi w czyn wprowadzane, a którego zadaniem wygłoszonem jest: aby społeczeństwo ludzkie urządzić bez Boga, bez Chrystusa, bez Kościoła, wprost środkami ludzkiemi i w imię człowieka, w imię jego woli i jego siły, a urządzić daleko lepiej, mądrzej, szczęśliwiej, niż kiedykolwiek Kościół Chrystusa uczynił to lub może uczynić. Jak

¹⁾ Patrz w II-gim tomie kazań i mów przygodnych.

w średnich wiekach *Mahometanizm* i wewnątrz rozwiązałość *ciała* zbuntowanego przeciw obyczajowi chrześcijańskiemu, jak w XVI - ym wieku *Protestantyzm* i bunt *rozumu* ludzkiego przeciw prawdzie chrześcijańskiej; tak dzisiaj *Socyalizm* i rokosz *woli* ludzkiej przeciw chrześcijańskiemu zakonowi i chrześcijańskiej władzy są głównymi, wydatnymi nieprzyjaciółmi Kościoła, Chrystusa, Boga. Jak wtedy przeciw pierwszym nieprzyjaciółom Bóg wzbudził w Kościele w wieku XIII-ym cały zastęp zakonników (Dominikanów, Franciszkanów), jak przeciw drugim w XVI-ym wieku i później wzbudził inne zgromadzenia (Teatynów, Jezuitów, Piarów, Oratoryanów, Missyonarzy), tak teraz w XIX-ym wieku wzbudzi niezawodnie odpowiednie tym nowym dzisiejszym nieprzyjaciółom zgromadzenia z siłą potrzebną do walczenia z nimi. I to. pojawiwszy, stosownie też do tego, z obowiązku sumienia położyliśmy odpowiednie zasady dla naszego Zgromadzenia, dalecy od uroszczenia aby się równać z owymi wielkimi zgromadzeniami kościelnymi, ale żeby w danym razie, skoro już raz nasze Zgromadzenie nie wiadomo jak zawiązało się, by mówię to uczynić, do tego wziąć się, co w tym danym razie, w tym czasie, w tym miejscu, w tych okolicznościach właśnie jest do uczynienia.

A to dzieło do uczynienia, chociaż w ostatecznem swem zamierzeniu i ziszczeniu jest olbrzymie i nadludzkie, jednakże w pierwszym wzięciu się do niego bardzo jest proste i pospolite. Idzie bowiem o urządzenie społeczeństwa po chrześcijańsku, przeciw tym którzy je chcą urządzić po ludzku i po pogańsku. Każdy system socyalny chcący urządzić towarzystwo ludzkie po swojemu, musi zacząć i zaczyna od jakiejś jednostki społecznej, musi urządzić najprzód jedną gminę; tak Fourier zaczyna od falansteru, inni od czego innego. Jednostką społeczną chrześcijańską jest parafia. Urządzić społecznie po chrześcijańsku parafią, jest to rozwiązać zadanie urządzenia całej społeczności ludzkiej, całego narodu, całego rodzaju ludzkiego. A jednak cóż jest prostszego, cóż pospolitszego jak urządzenie parafii, jak apostołstwo i usługa parafialna?

W skutek tego, na zebraniu ogólnem roku 1857-go zgodziliśmy się jednomyślnie i z całą świadomością rzeczy, aby przyjąć i uświęcić jako jeden z celów głównych naszego istnie-

nia i pracy, i życia zajmowanie się rządem parafij, z wszelką rozumie się uległością biskupom, i na tych samych warunkach względem nich co i reszta księży, a z tą jedną różnicą, że między sobą prowadzimy życie wspólne, i ślubami zakonemami związane. Nie mamy pewno żadnej pretensyi aby zastąpić duchowieństwo świeckie, co zresztą byłoby czystem niepodobieństwem; ale mamy zamiar, chęć, wolę najszczerzą, aby te parafie które tu i owdzie mogłyby nam być powierzone, uczynić wzorem chrześcijańskiego życia, a tem samem i innym kapłanom dać niejako okazją, pobudkę, a nawet i pomoc we wzięciu się do podobnego dzieła. Co zaś do samegoż urzędu parafij, w tem postanowiliśmy sobie mieć przed oczyma co Duch święty uczynił między pierwszymi Chrześcianami, że byli jednym sercem, jedną duszą i wszystko im było wspólne. Tak i dzisiaj, nie żadnym rygorem prawa, ale dobrą wolą, którą da tenże Duch święty, parafia może przyjść do tego, iż prawdziwie będzie jedną rodziną i wszyscy będą kochali się i żyli jak bracia.

Ten jest główny cel Zgromadzenia naszego, który właśnie w tymże 1857-ym roku spełniać się zaczął przez zawezwanie, jakieśmy to widzieli, niektórych z naszych Ojców do Ameryki i oddanie im pod zarząd parafij, których dziś już tam pięć w samej Kanadzie liczą.

Ale przy tym głównym celu koniecznie przychodzą i inne, chociaż poboczne lecz nader ważne. Najważniejszym jest wychowanie. Oczywista, że do samego dobrego zarządu parafij, trzeba w łonie swoim przysposobić dobrych robotników. Lecz prócz tego ogół społeczeństwa ludzkiego wymaga większych szkół, o których tem bardziej trzeba myśleć takiemu zgromadzeniu, które podobne urządzenie społeczeństwa ma na celu. Bo tu idzie o wychowanie chrześcijańskie, o ludzi z wyobrażeniami i zasadami chrześcijańskimi, aby zupełna była harmonia w takiej społecznej rodzinie chrześcijańskiej. Za drugi tedy choć poboczny cel mamy wychowanie takie chrześcijańskie. Inne z powyższych wypływają.

Po takim ustaleniu się wewnętrznem, już to jedno pozostawało, aby Zgromadzenie prosiło Kościół o potwierdzenie. Straszono je tymczasem, że z nazwą swoją Zmartwychwstania daje prawdopodobność potwarzom nieprzyjaciół, jakoby było czyśto narodowo-polskie i polityczne. Ale gdy Bóg przy-

słaniem kilku cudzoziemców do Zgromadzenia, i założeniem missyj zagranicznych «djął podstawę podobnym podejrzeniom, przełożony podał prośbę do Ojca św. dołączając przychylne świadectwa Kardynała wikarego rzymskiego, Kardynała arcybiskupa paryzkiego, biskupów z Tyoli i Hamilton w Ameryce; i dnia 14go Września 1860 roku, w dzień podniesienia Krzyża Św., wyszedł wyrok pochwalny, z potwierdzeniem i upoważnieniem do składania przez członków Zgromadzenia trzech ślubów prostych, po uprzednim roku nowicyatu. Tak Zgromadzenie Zmartwychwstania Pańskiego zyskało prawowitą podstawę do dalszego rozwijania się w Kościele Bożym.

Rychło też otworzyło się nowe pole do pracy w kierunku odpowiednim powołaniu Zgromadzenia. Objawił się ruch bułgarski ku zjednoczeniu z Rzymem, spowodowany raczej pobudkami narodowymi i politycznymi wyzwolenia się z pod jarzma duchowieństwa greckiego, niż popędem nadprzyrodzonym do zjednoczenia się ze Stolicą Apostolską. Wszakże gdyby byli ludzie gotowi i środki do pochwylenia i oczyszczenia tego ruchu, możnaby go było uświęcić. Ale dwóch zaledwo księży naszych unitów mogła Stolica Apostolska na razie tam posłać. Francya, która zrazu ruchowi temu pomagała, zaczawszy zbliżać się ku Rossyi, przestała bronić go od połączonego nacisku Greków, Moskwy i Anglii; pieniądze zrazu przychodzące z Francyi, rychło się wyczerpnęły w obec łączności duchowieństwa wschodniego; arcybiskup Sokolski znalazł się niespodzianie w Ławrze kijowskiej, słowem ruch cały jak ogień słomiany, puściwszy zrazu wielką łunę, gasł nędznie. W takim stanie rzeczy 1862 r. w Czerwcu przywołał mnie Ojciec św. i żądał odemnie misyonarzy do Bułgaryi i to takich, którzyby chcieli przyjąć obrządek wschodni; ale przedtem chciał abym dojechał na miejsce, obejrzał stan rzeczy i zdał zeń za powrotem sprawę. Popłynąłem zatem do Carogrodu, dojechałem do Bułgaryi, postrzeżenia swoje skreśliłem w *Listach se Wschodu* i dziełku o *Unii w Bułgaryi* drukiem ogłoszonych, a w treści zdałem Ojcu św. sprawę, że już niewiele tysięcy zostało wiernych Unii, mianowicie w okolicach Saloniki i Adryanopola; i radziłem aby w tem ostatnim miejscu założyć szkołę dla kształcenia parochów i nauczycieli wiejskich dla Bułgaryi. Ojciec św. polecił mi jako Przełożonemu Zmartwychwstań-

ców myśl tę wykonać. Obliczałem roczny wydatek Missyi bułgarskiej na 15,000 franków, spodziewając się pomocy z kraju, gdzie Unia bułgarska szczerze wywołała zajęcie; główny jednak fundusz, za wdawaniem się Propagandy przez Towarzystwa religijne francuzkie miał być zapewniony. Takie były rachuby co do funduszków, obaczmy jak srogo zawiodły; na razie jednak największa była trudność ze znalezieniem misjonarzy. Sędziwy O. Karol Kaczanowski, kapelan wojskowy w czasie wojny wschodniej, a potem kolonii probowania w okolicach Saloniki, nie odmówił stargania reszty sił w Bulgaryi. Ale dwóch zaproszonych księży unickich cofnęło się w ostatniej chwili, tak że O. Kaczanowski wyjechał r. 1863 z jednym tylko bratem dla otworzenia tymczasem przynajmniej szkoły elementarnej. Podążyli rychło za nim dwaj kapłani ze Zgromadzenia, Tomasz Brzeska i Szymon Kobrzyński, którzy i obrząd słowiański przyjęli, podążył też i uzdolniony do wykładu szkolnego brat - pomocnik. Pierwsi ci robotnicy pracowali najprzód na przedmieściu Kieszane, a później w zakładzie otwartym w środku miasta. Podążyli później ku pomocy księża Ferrigno, Szymoński, Chauland i inni, wstąpiło dwóch młodych Bułgarów, tak że dom tamtejszy liczy obecnie czternastu członków. Missyą trwa już rok dziewiąty, Bóg widzi z jakim trudem utrzymywana! Niemają to kłopot dla Zgromadzenia, które często nie wie samo z czego opłacić piekarza, znaleźć co rok kilkanaście tysięcy franków na odległą Missyą w Bulgaryi. Na początku, Towarzystwo szkół wschodnich w Paryżu ofiarowało 12,000 franków; lecz po roku ta subwencya spadła do 2,000 franków, którą tylko z wielkiem wysileniem można było podnieść do 4 lub 5 tysięcy franków rocznie. Za staraniem kilku przyjaciół i opiekunów w Paryżu, przyznał Missyi rząd francuzki kilkorożowe wsparcie, którego użyto na kupienie i przebudowanie domu w Adrianopolu. W Polsce jedno tylko Poznańskie okazywało nieco troskliwości o Missyą: otrzymaliśmy od Bractwa, św. Jozafata kilka razy po dwa lub trzy tysiące franków: obecnie i Prusy zachodnie i Szląsk interessują się coraz goręcej. Przyjaciele paryzcy dostarczali książek i szkolnych przyborów dla uczniów. Tak choć w ciągłym niedostatku i nieustającej niepewności, jednak z żywą ufnością w Bogu Missyą trwała i rosła. Dzisiaj ma dwa domy (choć

jeden jeszcze niezapłacony), szkołę o 70ciu uczniach, dwa internaty *bułgarski* i *mięszany*, i można śmiało powiedzieć jest główną jeśli nie jedyną podstawą Kościoła unickiego w Bułgarii. Missyjonarze nasi uczą dzieci, katechizują mieszkańców, spowiadają, każą w mieście, dają missye po parafiach okolicznych, a obecny przełożony missyi O. Tomasz Brzeska stał się głośnym kaznodzieją bułgarskim. Zdawało się że rzecz się ustaliła i że po długim mozole wyrobiliśmy nareszcie stałe dochody dla Missyi od towarzystw francuzkich. Tymczasem ostatnia wojna francuzka zburzyła te nadzieje i znowu trzeba było rzecz zaczynać jakoby od początku. O. Brzeska puścił się na kwestę do Austrii, kołatał do wszystkich drzwi, i zebrał dosyć, by mieć o czem przez rok następny prowadzić dalej zasiew Słowa Bożego w Bułgarii. Za gorliwem wdaniem się śp. księcia Jerzego Lubomirskiego, dwór Cesarski i oba Miuisterya przyszły w pomoc, ale tylko z pomocą jednorazową. Jak będzie dalej nie wiemy, ale wierzymy mocno, że Pan miłosierny, który nas do tej pracy, nie narzucających się bynajmniej powołał, odkryje nowe źródła i nowe pomoce wtedy, gdy rozum ludzki ich wynaleźć nie potrafi. Ze wszystkich naszych przedsięwzięć Missya Bułgarska po ludzku sądząc najmniej jest zabezpieczoną i najmniej zdaje się mieć przyszłości; ale tyle dowodów opieki Boskiej, których w tej sprawie doznaliśmy, wzbudziło w nas nieomylnie przekonanie, że ona właśnie ma najtrwalszą, bo w samym tylko Bogu podstawę.

Na początku tej Missyi i niedługo po powrocie ze Wschodu, zesłał Bóg na mnie, a we mnie i przezemnie na Zgromadzenie, krzyż ciężki, aczkolwiek oczywiście chwilowy. Ten zaś przypadł w udziale z okoliczności następnej. Pod koniec 18G2 roku otrzymałem listy różne z Polski tak od poważnych duchownych jak od najzacniejszych świeckich, którzy mnie o pomoc naglili w sprawie niezmiernie bolesnej dla każdego katolickiego serca, a polegającej na tem, że pewna liczba duchowieństwa w Królestwie brała udział w działaniach komitetów tajnych, do tego stopnia, że aż niektórzy kapłani polscy składali stowarzyszeniom tajnym przysięgi. Zarazem uwiadomiono mnie, że tak Arcybiskup poznański jak i Arcybiskup warszawski wszelkimi siłami starali się odwrócić duchowieństwo polskie od tak niekościelnego po-

stępuku, jednak dodawano, -że trudy najprzewielebniejszych areypasterzy nie wiele otrzymywały owoców. Zatem proszono mnie bym się odezwał do narodu a mianowicie do duchowieństwa w celu powstrzymania nieszczęsnego ruchu, który najgorszy ze wszystkich miał cios Polsce zadać. Zdawało się że nie bez zasady rachowano iż głos kapłana, który żyć zaczął na polu bitw za ojczyznę, a który potem lat dwadzieścia i kilka żywota kapłańskiego poświęcał wyłącznie dobru tejże ojczyzny, mógł wpływ wywrzeć pożądany.

Nie od rzeczy też tu dodać, że nie same rady najszlachetniejszych ziomeków, ani własny tylko sąd o niebezpieczeństwie grożącym duchowieństwu polskiemu a nawet całej Polsce wywołał owo moje wystąpienie. Odebrawszy wyżej wymienione listy, nie poprzestałem na mem wrażeniu, jeno z położeniem obznajomiony i pragnący dostać wyższej wskazówki działania, poradziłem się trzech najprzychylniejszych naszej sprawie a wysoko postawionych prałatów, którzy mi odrzekli: że nietylko chwalebne byłoby z mej strony się odezwać, nietylko zasłużonem z pierwszego najgłówniejszego powodu ocalenia polskiego duchowieństwa i ludu, ale jeszcze ze względu drugiego, ważnego bardzo : że jeżeli owa dążność poddawania się duchowieństwa władzom tajnym sprzysiężonym nie zostanie powstrzymaną i ograniczoną do prostego wyrażenia wyjątku, tedy Ojciec św. nie będzie mógł dalej opierać się żądaniom rządu moskiewskiego, który natarczywie domaga się potępienia przez Stolicę św. duchowieństwa polskiego. Jasno tedy wypada, że choćbym nawet nie pragnął sam się odezwać, toć byłbym musiał głos podnieść w tej sprawie, choćby dla odwrócenia klęski powtórnej encykliki 1832 roku, tym razem bardziej zasłużonej.

Wysłałem tedy na samym początku roku 1863 do *Tygodnika katolickiego* list mój do *księży spiskujących*, i abym nie był okrzyczany za rzecznika stronniczego szlachty, dodałem do *szlachty niemądrze umiarkowanej*. List ten w skutek powstania przyspieszonego branką młodzieży, wyszedł na jaw w sam dzień powstania, kiedy już krew popłynęła. Nadto władze rossyjskie w Warszawie wyrzuciwszy wszystko, co było w liście przeciwko rządowi, (na którego błąd księży uwiedzionych zwałem) i zręcznie ułożywszy nową całość, najprzód w dziennikach Królestwa, potem Carstwa, a

nareszcie w organach swoich za granicą rozgłosił. List ten w takiej formie, w takich okolicznościach, w taki sposób rozgłoszony, wywołał niezmierne oburzenie w kraju. Drugi list w złagodzonej formie ale toż samo powtarzający, nie zdołał pierwszego wrażenia całkiem zatrzeć. Zresztą oprócz *Tygodnika* nie chciano go w polskich dziennikach drukować. Wszakże wypadki pokazały, że niestety! nie myliłem się, i jak dziś wielu, tak da Bóg wszyscy przyznają, że jeżeli się pokusiłem o rzecz dla jednego niemożliwą, uczyniłem to zawsze z najczystszej miłości Kościoła polskiego i rodzinnego Kraju, i nie bez przewidzenia rzeczywistych potrzeb jego i niebezpieczeństw grożących. Ci co o tym liście sądzą z wrażenia jakie wynieśli po odczytaniu go w roku 1863, niech go zechcą odczytać po raz drugi dzisiaj, a mniemamy, że przy zmienionych okolicznościach znacznie także sąd swój zmienią.

Do tej epoki należą trzy wypadki (drugi przynajmniej co do początków swoich) bardziej pocieszającej treści: a pierwszym z nich jest nabożeństwo nakazane za Polskę w r. 1863 podczas processyj jubileuszowych w Rzymie. Szczegóły o nim znajdzie czytelnik w nauce przygodnej z *rzeczy nabożeństwa dziękczynnego* odbytego przez nas z tego powodu w kościele św. Klaudyusza w Rzymie. Na processyach tych byliśmy parę razy, osobno jako Zgromadzenie, na wzór innych zgromadzeń zakonnych.

Drugim jest potwierdzenie przez Stolicę Apostolską i przeniesienie się do Galicyi Sióstr Niepokalanego Poczęcia Maryi Panny. Jakkolwiek ich było siedm dopiero i od lat niewielu się były zawiązały, nietylko że zostały potwierdzone, ale nadto Stolica Apostolska wyraziła wielce zaszczytne dla nich życzenie aby jak najrychlej starały się mieć dom swój w Rzymie. Odtąd Siostry Niepokalanego Poczęcia połączone z nami w duchu, co ufam za łaską Bożą i na przyszłość pozostanie, są jednak osobnem Zgromadzeniem od Stolicy Apostolskiej tylko i biskupów miejscowych zależnem. Winniśmy tu wspomnieć, iż JM. ksiądz Wierzchlejski arcybiskup lwowski przyjął te Siostry z pasterską miłością i otacza je ojcowską opieką.

Trzecim wypadkiem jest myśl podjęta w tymże r. 1863 kanonizacyi św. Jozafata. Sprawa ta nam od dawna leżała

na sercu. Przypominamy, żeśmy o tę łaskę prosili Ojca św. w memoryale naszym podanym mu zaraz na początku jego panowania. Przeszła jednak wielka kanonizacja męczenników Japońskich, a o kanonizacji św. Jozafata nikt nie pomyślał. Dopiero wraz po tej uroczystości, wielbny O. Mikołaj Couteri, mnich bazyliński w klasztorze greckim Grotta-Ferrata pod Rzymem, postrzegł, że zdanie kongregacji Obrzędów co do możebnej kanonizacji Wielebnego Jozafata wydane, w tymże czasie, i w tychże słowach było wyrażone, co i zdanie dotyczące się męczenników japońskich. Ojciec św. uderzony tem wyraźnie opatrzmem zapomnieniem i przypomnieniem, przychylając się do prośby Bazylianów, polecił Kongregacji Obrzędów rozpatrzyć stan sprawy Błogosławionego Jozafata.

Wtenczas Monsiguor Bartolini, sekretarz tejże Kongregacji Obrzędów, ofiarował mnie pierwszemu zaszczytny urząd postulatora w sprawie tej kanonizacji, przypominając mi nawet że lat kilkanaście przedtem o tę łaskę Ojca św. prosił. Wszakże choć z żalem, stanowczo jednak musiałem odmówić, a to z następujących powodów:

1) sprawa ta wymagała zbierania znacznych składek, a my wtedy właśnie zajęci byliśmy z polecenia Ojca św. zbieraniem takowych na tworzące się kolegium polskie; trudno zaś tym samym osobom zbierać jednocześnie duże składki na dwa odmienne cele;

2) wybierałem się do Ameryki dla zwiedzenia naszych misyj w Kanadzie, a zamierzałem sobie dotrzeć aż do Brazylii, dla uezbierania tam cokolwiek grosza na kolegium. Nie mogłem też przedstawić na moje miejsce księdza Semeneki, bo ten był już przeciążony natłokiem różnych zajęć. Nie tylko bowiem jako przyszły rektor musiał się trudnić sprawami zakładającego się kolegium, lecz nadto miał mnie nieobecnego zastępować w przełożeniu główuem Zgromadzenia. Nastręczyłem zatem Monsignorowi Bartolini O. Dąbrowskiego, jako najstosowniejszego do zajęcia się tą sprawą, najprzód dla tego że jest tego samego obrządku i z tego samego zakonu co św. męczennik, a powtórnie że był wolny od wszelkich obowiązkowych zajęć, i mógł swobodnie swym czasem rozrządzać.

Usunąwszy się tym sposobem na wstępie, żadnegośmy nadal udziału w tej sprawie nie brali, zachęcając tylko prywatnie naszych znajomych do jej popierania. Jeżeli zaś jakie pieniądze przeznaczone na sprawę kanonizacyi na ręce nasze przyszły, oddawaliśmy O. Dąbrowskiemu, z wyjątkiem kilku tysięcy franków zebranych przez księdza Gratry wśród pobożnych pań polskich w Paryżu, a które ten kapłan polecił doręczyć ziomkowi swemu kardynałowi Pitra.

Zaszła mała różnica między nami a O. Dąbrowskim co do szczegółu jednego przy obchodzie kanonizacyjnym, którą niechętni nam jak zwykle przesadzili. Niektórzy rodacy obecni w Rzymie, nalegali na O. Dąbrowskiego, aby obok herbu Świętego, umieszczone były herby polskie. Myśmy zaś radzili nie wszczynać o to sporu z władzą kościelną, tem bardziej, że dla uniknienia protestacyj rozmaitych rządów, Ojciec św. był postanowił, nie umieszczać herbów narodowych przy żadnym świętym.

Dodam jeszcze, że w panegiryku św. Jozafata, publicznie podziękowałem O. Dąbrowskiemu za gorliwość z jaką się ze swego urzędu wywiązał.

ROZDZIAŁ VI.

Przełożęństwo księdza Hieronima Kaysiewicza (1864—1871).

Pociecha z kanonizacyi św. Jozafata nastąpiła dopiero w roku 1867. Tymczasem ciężkim krzyżem skończyło się przełożęństwo moje w roku 1864. A jakkolwiek bolesnym był ten krzyż, nie przygniatał by on tak bardzo, gdyby współcześnie więcej bólu i sroższego jeszcze nie dodawały nieszczęścia krajowe sprawione powstaniem z roku 1863. Im więcej przybyło sił narodowi w ciągu kilku ostatnich lat organicznej pracy, tem więcej ich użyło na zgubę narodu owo powstanie, oddalając znów na długo szczęśliwszą dolę, która zdawała się być już tak blisko.

Cożkolwiek bądź, w Maju 1864 roku, upływało siedm lat od ostatniego zebrania ogólnego naszego Zgromadzenia. Nadchodziło nowe, które też otwarte zostało w dzień Zielonych Świątek w Mentorelli. Należeli do niego okrom mnie i księdza Semeneki, księży Jełowicki i Hube z Paryża, ksiądz Kaczanowski z Adryanopola, ksiądz Funcken z Kanady; i przypuszczeni świeżo z głosem doradczym ksiądz Tomasz Brzeska i ksiądz Aloizy Oldoini przełożony Mentorelli. Trzydniowe ćwiczenia wspólne, zdanie sprawy z całego dotychczasowego życia Zgromadzenia, narady wspólne, a nade wszystko łaska Boża sprawiły w zebranych jaśniejsze i głębsze jeszcze niż dotychczas pojęcie celu Zgromadzenia i środków, za pomocą których ma do niego zdążać. Ugrunтоваła się wiara w przyszłość Zgromadzenia, i rozszerzyło się w Panu serce braci. Narady nie były długie, bo i teraz nie było robionych w Regule znacznych poprawek. Przy doręczeniu dekretu potwierdzenia w roku 1860 Konsultor Kongregacji biskupiej i zakonnej, chwając wielce i ducha i formę naszej Reguły, zwrócił na to jedynie uwagę, żeśmy ślub ubóstwa za ściśle opisali na wzór zakonów czyniących śluby uroczyste. Tośmy zatem odmienili stosownie do tego co prawo kanoniczne opisuje o ślubach prostych. Przed obiorem przełożonego głównego błagałem braci moich, aby mnie poświęcili jako kozła ofiarnego, i zamiast stawiania na świeczniku, schowali mnie jako niewygodnego pod korzec; ale nie zostałem wysłuchanym. Wszyscy bracia szlachetnie chcieli brać udział w moim krzyżu, i jednomyślnie zostałem na drugie lat siedm wybrany Przełożonym głównym Zgromadzenia.

W kilka miesięcy po tem zebraniu, ksiądz Semenenko wyjechał do Galicyi i w Poznańskie, dla porozumienia się z biskupami krajowymi względem założenia w Rzymie seminaryum polskiego. Nie po raz pierwszy to wówczas myśl ta powstała. Już w pierwszym roku pobytu naszego w Rzymie, podaliśmy władzom tutejszym memoriał o zamiarze naszym zajęcia się w przyszłości seminaryami. Roku 1850 hrabia Montalembert przybywszy do Rzymu, przyjmowany ze szczególnem odznaczeniem jako obrońca papieztwa w Izbach francuzkich, poddał myśl otworzenia seminaryum polskiego w Rzymie pod naszym przewodztwem, choćby tylko na początek dla kleryków z Poznańskiego i Galicyi. Ojciec św. mówił o

0 braku funduszków; wszakże tej trudności zaradził książę Czartoryski ofiarując na początek 5000 franków rocznego dochodu. Ale choć w ten sposób trudność finansowa upadła, inna zjawiła się natomiast; obawa ambasad trzech dworów, 1 skutkiem tej projekt został pogrzebany. W roku 1857-ym korzystając z licznie zebranych rodaków na misji w Ostendzie, zaczęliśmy już zbierać składki; ale te szły oporem, bo nam tylko z grzeczności dawano coś odczepnego, nie rozumiejąc potrzeby podobnego zakładu i powiadając głośno, że i my sami niedługo do Polski wrócimy. Były to jeszcze złudzenia w pierwszych latach panowania cesarza Aleksandra II. Dodam tu mimochodem że w roku 1857-ym byliśmy rzeczywiście najsilniej naciskani przez najzacniejszych kapłanów z Warszawy aby wracać do Królestwa, bo w ich przekonaniu swobodnie już odtąd można było pracować na niwie kościelnej. Odpisałem wtenczas: „co wam się zdaje wschodzącym słońcem dla nas jest tylko błędnym ognikiem na bagnie.” List ten zwrócono mi po śmierci osoby do której pisałem, i jest w naszych archiwach. Myśmy zatem nie przestali myśleć o seminaryum polskiem za granicą. Co nas głównie pobudzało do tego, był ów wzgląd aby Polsce nie brakowało tego potężnego środka, jaki inne narody mają w swoich seminaryach w Rzymie, a który prowadzi do dwóch wielkich rezultatów: jednego aby być w nieprzerwanym związku z głową chrześcijaństwa i środkiem wiary katolickiej, drugiego aby w naukach teologicznych i wykształceniu ducha kapłańskiego utrzymać się na równi z innemi katolickimi narodami. Anglia, Szkocya, Irlandya, Niemcy i Węgry już od XVI-go wieku miały te zakłady w Rzymie, później powstały inne, a nareszcie w tych ostatnich czasach Francya sama, mimo wzorowych seminaryów w jakie obfituje, a za nią Ameryka północna (Stany Zjednoczone) i południowa (Brazylia, Chili, i t. d.) uznały potrzebę i korzyść nieobrachowaną istnienia podobnychże w Rzymie, i na wielkie rozmiary założyły tam takie domy. Jedna Polska była pozbawiona w Rzymie własnego zakładu, co przy jej nieszczęściach i biedach innostronnych jeszcze smutniejszym wydawało się brakiem. Tem bardziej ta potrzeba w ostatnich czasach czuć się dała, gdy naród nasz na dwa zarówno zgubne wystawiony wpływy, ucisku moskiewskiego i rewolucyjnej propagandy, przez oba od Kościoła i

Rzymu odciągany, na najcięższą był narażony pokusę zachwiania się w wierze swojej. Duchowieństwo krajowe siecią ukazów uwikłane i jakoby odcięte od swej głowy, nie zdołało utrzymać równowagi, i ulegało naprzemian to rządowej przemocy, to pogrożkom ulicznym. Dopiero głos Papieża wskazał mu drogę prawdziwą, drogę gołębiej prostoty z roztropnością węzową połączonej. I oto coraz liczniej świadczy ono prawdzie, znosząc pogroźki, wygnanie, i śmierć samą. Część duchowieństwa naszego ocalała, zwrot ku lepszemu nastąpił; lecz wiele jeszcze pracy trzeba by dobry przykład wszystkich za sobą pociągnął. Najpotężniejszym do tego środkiem jest dobre wychowanie młodzieży duchownej, w ognisku wiary i pod okiem najwyższego Pasterza.

Jakoż przed kilku laty w chwili strasznego przesilenia, gdy wróg sroższy niż kiedybądź ostateczną zagładę nam poprzysiągł, gdy mocarstwa zachodnie ręce ze krwi naszej umyły, gdy wszelka ludzka nadzieja ostatecznie upadła, sam tylko Ojciec święty nie zwątpił o naszej przyszłości; owszem w tej właśnie chwili dał nam zadatek przyszłego odrodzenia, myśląc stanowczo o założeniu w Rzymie kolegium dla duchowieństwa polskiego: brak tylko funduszków stawał na przeszkodzie. Wtedy przychylni nam prałaci przedstawili, iż gdybyśmy mogli dostarczyć jakiego funduszu na początek, Ojciec święty przyłożyłby się całą siłą do wprowadzenia dzieła w życie. Przypomnieliśmy sobie summę zebraną przez księdza Jełowickiego na postawienie osobnej świątyni dla Polaków bawiących w Paryżu, wynoszącą około 100,000 franków. Summa ta zbyt była szczupłą na cel zamierzony, zwłaszcza gdy obietnica darowania placu ze strony miasta, spełzła na niczem, a wycieńczenie kraju po powstaniu czyniło prawie niepodobnem zbieranie dalszych składek. Poradziłem zatem O. Jełowickiemu aby przedstawił Ojcu świętemu wszystkie te okoliczności, i zapytał jako sędziego spraw sumienia, czy nie korzystniej będzie użyć tej summy na założenie kolegium polskiego w Rzymie. Usłuchał tej rady ksiądz Jełowicki, a Ojciec święty nie tylko zatwierdził myśl, ale ją wielce pochwalił: a gdy znaczniejsi dawcy, którzy O. Jełowickiemu do uzbierania tego funduszu pomogli, zgodzili się na takie jego użycie; zaczęto już myśleć w Rzymie o wyszukaniu stógowego pomieszkania. Nie pojmujemy jak mogli ludzie nie-

chętni czy niebaczni prawić i pisać jakoby O. Jełowicki sumy zbierane rzekomo na Świętopietrze samowolnie potem oddał na kolegium polskie; gdy ten ostatni sprawozdanie ze swej czynności i listy do Ojca świętego w tym przedmiocie pisane, równie jak odpowiedź tegoż ogłosił w francuzkim dzienniku *Le Monde*, w poznańskim *Tygodniku katolickim*, a także, o ile pamiętamy w *Czasie* krakowskim. (Świeżo wszystkie te dokumenta zostały zamieszczone przy zbiorze kazań księdza Jełowickiego). Że ten ostatni prawie co roku składa Ojcu świętemu uzbierany przez siebie grosz Piotrowy, i niejednym już listem dziękczynnym został zaszczycony, to wszyscy wiedzą z drukowanych sprawozdań i listów papieżkich (bądź po dziennikach bądź przy wzmiankowanym zbiorze kazań): ale te ofiary nie mają związku z ową summa stu tysięcy franków na kolegium ofiarowaną. Osobno były zbierane pieniądze na Świętopietrze, a osobno na kościół w Paryżu, i osobne też otrzymały przeznaczenie.

Wypadało atoli przed otwarciem nowego w Rzymie zakładu porozumieć się z biskupami polskimi od których tyle pomyślne rozwijanie się jego zależało. W tym celu O. Semenenko otrzymał od Ojca św. upoważnienie do uczynienia odpowiednich kroków, i opatrzone listem do Nuncjusza wiedeńskiego, a przez tegoż dalszemi listami do każdego z biskupów, zwiedził po dwakroć Galicyą i Kraków, a następnie Poznań. Znalazł tam czego można się było spodziewać, to jest najchętniejsze przystanie do tego zbawiennego dzieła ze strony pasterzy i gorliwych duchownych i wiernych, liczne obietnice, nawet nieco funduszów. Mówię *niewiele*, bo po chętnym hrabi Rechbergu nastąpił Schimerling i wydał okólnik wzbraniający nam składek publicznych, podobny zakaz istniał już w Prusiech: mógł zatem O. Semenenko otrzymywać drobne dary prywatne, dalsze szły na fundujące się bursy albo stypendya o których rychło wspomniemy. Miło mu też zapewne było wstąpić na pierwsze kazalnice w kraju, z przystępnych dla niego, i we Lwowie, a potem w Krakowie (tu zaś z kazalnicy Skargi) głosić słowo Boże do chętnie słuchającej go a licznie zbierającej się publiczności. Za powrotem swoim do Rzymu na osobnej audyeucyi opowiedział i przedstawił cały stan rzeczy Ojcu świętemu, wyrażaie ze wszystkiego zadowolonemu. Ojciec święty mianował wtedy komissyą oso-

bną do zajęcia się już tą fundacją, złożoną z prezydenta kardynała Clarelli, i dwóch członków: Mgra Franchi arcybiskupa Tessaloniki, dawnego nuncjusza w Toskanii, później zaś w Hiszpanii, i sekretarza spraw duchownych, i Mgra Simeoni protonotariusza apostolskiego, sekretarza Propagandy w sprawach wschodnich; sekretarzem zaś mianowany był Mgr Passerini prałat domowy Jego Świątobliwości który następnie, za usługi w tem dziele oddane, został podniesiony na protonotariusza apostolskiego. Znaleziono wkrótce lokal, część klasztoru OO. Mercedaryuszów (De mercede, Redemptionis captivorum) do którego dokupiono przyległe śpichrze służące dziś za koszary; a gdy ową część klasztoru urządzono jak wypadało, zostawiając na potem przebudowanie śpichrów, mieszkanie dostateczne już było gotowe przy końcu 1865-go roku.

Tak ważne dzieło, którego doniosłość jak zwykle lepiej ocenili nieprzyjaciele niż własni nasi rodacy; tak ważne dzieło, mówię, wymagało złamania licznych trudności, a najprzód zniweczenia intryg, bawiącej jeszcze wtedy w Rzymie rossyjskiej ambassady. Gdy już samej myśli kolegium polsko-papieskiego przetrącić nie było można, nieprzyjaciele o to jedynie nadal się starali, aby nie w nasze ręce przynajmniej zarząd kolegium się dostał: wiemy że różne osoby usługi swe ofiarowały, i każdą z nich chętniej by byli oni od nas widzieli. Mimo to Ojciec święty, dzięki własnej łaskawości i zachodom przychylnych Zgromadzeniu prałatów, nam ten zakład powierzył, sobie samemu wybór rektora zachowując. Czujemy całą wagę odpowiedzialności jaka ztąd na nas spada, ufamy wszakże w pomoc Opatrzności Bożej która najlichszych narzędzi używa do spełnienia wielkich rzeczy.

Niepodobna tu zapomnieć przeważnej pomocy jakąśmy znaleźli w tej i tylu innych sprawach w nieodżałowanym śp. kardynale Reisach. Przekacny ten i ze wszech miar niepospolity mąż gorącym był przyjacielem sprawy polskiej, a niezmordowanym rzecznikiem interessów jej Kościoła.

Wśród tych starań przybyła nam w pomoc Zofia z hrabiów Branickich księżna Odescalchi. Zyskawszy przez dwudziestoletni przeszło pobyt swój w Rzymie, przez swoje cnoty i wysoką wartość osobistą, znakomity wpływ tak u Ojca św. jak w całym społeczeństwie rzymskiem, używała ona zawsze

tych tak pozyskanych korzyści na dobro kraju i Kościoła polskiego. Zakładanie seminaryum polskiego w Rzymie było rzeczą, której ona nie mogła zostać obcą; to też z całym uczuciem jakoby obowiązku wzięła się do niego. Nietylko bowiem przeważnym swym wpływem najwięcej się przyczyniła do zniweczenia nieprzyjaznych zabiegów i natychmiast zapewniła z własnych funduszków utrzymanie jednego ucznia, ale nadto większą część burs czyli stypendyów, dziś już w liczbie ośmiu ze składek swem staraniem zebranych ufundowała. Nie odważamy się tu wymienić wszystkich łaskawych dawców przez księżnę czy przez nas uproszonych, nie wiedząc czyby wszyscy na to pozwolili. Sądzę jednak że można bez niedogodności wymienić hrabiów Żółtowskich z Poznańskiego, hrabinę Katarzynę Potocką z Krakowa, księżnę Jadwigę z Zamojskich Sapieżyń, Olimpię z Tarnowskich hrabinę Grabowską ze Lwowa, i Wielebną Kapitułę tegoż miasta.

Jedną prócz tego bursę zwaną Piusa IX-go, stanowi dochód z wynajęcia koszar żołnierzom, a jedna powstała ze składek zebranych przezemnie w Ameryce. Jest więc obecnie wszystkich burs jedenaście.

Tym sposobem kolegium mogło już zacząć byt swój i prace. Z początkiem roku szkolnego 1865-66-go, w miesiącu Listopadzie, przed mającem nastąpić jego otworzeniem, kiedy już nawet trzech alumnów przybyło (jeden z Poznania, jeden z Galicyi, a jeden z Polski pod Rossyą) Ojciec święty mianował ostatecznie rektorem O. Piotra Semenenkę, a skoro w kilka miesięcy później lokal dostatecznie wysechł i tymczasem trzech nowych uczniów przybyło (znowu jeden z Poznania, jeden z Galicyi, a jeden z Polski pod Rossyą), w pierwsze nieszpory Zwiastowania Najświętszej Panny, t. j. w przeddzień 25-go marca 1866-go r. (w który dzień również przypadała Niedziela Kwietnia, początek wielkiego tygodnia Męki i Zmartwychwstania Pańskiego) komisya papieżka z całym kolegium inaugurowała uroczyscie i szczęśliwie jego otworenie. W kilka tygodni później, 16-go maja, Ojciec święty sam zaszczyił je swoją obecnością i całogodzinne przebywaniem w jego murach, zwiedzeniem każdej celi i pobłogosławieniem w każdej jej mieszkanca; tudzież czułą a wiele znaczącą przemową jeszcze uroczysciej zagaił całą przyszłość tego nowego zakładu, który jakoby upominek swego ojcowskiego

serca dla Polski, przekazywał jej Kościołowi na wszystkie potomne wieki.

Kolegium polskie w Rzymie liczy teraz piąty rok swego istnienia. Na początku drugiego roku, to jest w ostatnich miesiącach 1866-go roku, komisya przewodnicząca założeniu tego kolegium, dopełniwszy swego dzieła, złożyła swoje urządowanie w ręce Ojca świętego; a na jej miejscu Ojciec św. mianował protektorem kolegium krewnego swego, kardynała Millesi Ferretti, który do tego nowego urządowania wziął się z wielkim zapałem i z najlepszą dla zakładu dobrą wolą. Liczba uczniów stopniowo doszła była do dziesięciu. Tego roku zmniejszyła się w nim, podobnie jak we wszystkich seminariach narodowych w Rzymie, z powodu najazdu Piemontczyków, i obawy biskupów przysyłania nowych uczniów w tej chwili. Dotychczas wróciło dwóch uczniów do Galicyi, pięciu do Poznańskiego; z dwóch emigrantów z Królestwa i Litwy jeden udał się do Stanów Zjednoczonych obsługiwać kolonistów polskich, drugi popłynął jako misyonarz na Wschód.

A więc nieprawda jest co nam zarzucano by emigranci nie byli przyjmowani do tego seminaryum. Dodamy wszakże, że wybór kandydatów nie od rektora, ale od założycieli burs zależy; ci zaś chętniej przedstawiają młodzież poleconą im przez biskupów, niż emigrantów mało lub wcale im nieznaną: a to dla słuszych powodów. Polecenie bowiem biskupa daje większą rękojmią dobrego wyboru, i jest warunkiem w regulaminie wymagany, a przez Ojca świętego rektorowi nałożony. Przy tem młodzież z Galicyi lub Poznańskiego nie tylko jest powszechnie lepiej naukowo przysposobiona, ale nadto może bez przeszkody do swej dyecezyi wrócić (co także regulamin przepisuje), i zaraz po skończeniu nauk wziąć się do pracy we własnym kraju; gdy tymczasem emigranci wychodzący z kolegium muszą dopiero szukać przyjęcia albo w Galicyi, albo na misyach. Jeśli mimo to niektórzy zostali przyjęci, to jedynie na nasze wstawienie się i na tak zwaną bursę brazylijską którą możemy rozporządzać; mamy bowiem mocną ufność w Bogu że się rychło zmiłować raczy nad nieszczęśliwym krajem, i wybawi go ze srogiego prześladowania. A wtedy niezmiernej będzie wagi zastęp młodych i gorliwych kapłanów, zdolnych zagoić rany długoletniego męczeństwa.

* 2e zaś przy ograniczonej liczbie burs czyli stypendyów nie

wszyscy mogą być przyjęci, a do tego nie wszyscy są dostatecznie uzdolnieni, to już nie nasza wina. Niektórzy z młodych emigrantów znaleźli za naszym staraniem pomieszczenie po seminariach we Francji, w ogóle dobrze urządzonych; ale cóż, kiedy rzadko który wytrwał, i albo sami się oddalili, albo im wyjść kazano!

Dodamy także dla objaśnienia, że Zgromadzenie nasze nie tylko nie odniosło z tej fundacyi żadnej korzyści materialnej, ale przeciwnie nie mało je ona kosztowała. Młodzież którą Zgromadzenie dla siebie wychowuje, nie ma, i z natury rzeczy nie może mieć przystępu do tego zakładu poświęconego wychowaniu młodzieży na księży świeckich. Przez wzgląd na obecną szczupłość funduszy kolegialnych, rektor i wice-rektor poprzestają na wspólnem z alumnami mieszkaniu i pożywieniu, inne zaś potrzeby swoje opędzają z funduszy Zgromadzenia, nie pobierając by najszczuplejszej pensyi.

Wszystko jednak co się dotychczas zrobiło nie wystarcza do ostatecznego utrwalenia zakładu. Mieszkanie zbyt jest ciasne, zamiar restaurowania przyległych koszar okazał się niepraktycznym; o nabyciu zaś nowego domu myśleć nie podobna bez nowych funduszy. Z tego powodu gdy kraj już dał na ile obecnie mógł się zdobyć, ksiądz Semenenko podał myśl kardynałowi Millesi opiekunowi kolegium, aby się udać do Francji, tak zawsze skorej do wszelkiego dobrego uczynku, a zwłaszcza do niesienia pomocy Polakom. Otrzymawszy upoważnienie kardynała i osobne w tym celu błogosławieństwo Ojca świętego jeździł w lecie 1869-go r. do Francji, i częścią od biskupów, częścią od innych wiernych kilkanaście tysięcy franków już otrzymał. Obecne jednak smutne wypadki wstrzymały rozpoczęte starania.

Taki jest przebieg sprawy założenia kolegium polskiego.

Otwarty był i inny zakład dla duchownych polskich w Rzymie który kosztował nas wiele zachodu i troski, a pożytków takich jak kolegium nie obiecywał. Po upadku powstania z 1863—64-go roku kapłani polscy zaczęli przybywać do Rzymu. Zrazu przyjmowaliśmy ich do naszego najętego mieszkania, i dzieliliśmy się chudą strawą naszą; wkrótce jednak wiedząc o rychłym przybyciu większej liczby, zastukaliśmy do ojcowskiego serca Piusa IX-go dla wyjednania im osobnego zupełnie przytułku, choć z długiego doświad-

czenia wiedzieliśmy co nas czeka: *za twoje myto jeszcze cię obito*. W tym zachodzie wsparła nas księżna Odescalchi, równie jak arcybiskup Franchi, a nadewszystko najzacniejszy kardynał Reisach, opiekun zakładu św. Trójcy dla pielgrzymów, który część tego lokalu ze stołem dla księży wyгнаńców ofiarował. Liczba kapłanów przybyłych doszła do dwudziestu i więcej. Zrazu otoczeni byli powszechnem współczuciem, i niektórzy do końca je zachowali. Ale ogólnie nie przeszedłszy przez dosyć ścisłą karność seminariów, rozproszeni później po obozach, nie zachowywali się ze skupieniem i powagą przynależną: niestety! byli niektórzy nałogowi i nieprzykładni. Urzędnicy zakładu, nie bardzo chętni nowym gościom, zaczęli mówić o nich niekorzystnie i dochodziło to do władz rzymskich. Zaczęli być mniej dobrze uważani i przypisywali to naszym *intrygom*, chęci pociągania do Zgromadzenia, obawie utraty naszego wpływu, i t. d. Nawet sam kardynał choć najlepiej usposobiony, zaczął się zniechęcać, ale przez lat kilka udawało się nam go uspakajać. Że w końcu przytułku tego odmówić musiano to rzecz prosta. Sama nazwa tego zakładu pokazuje że on jest przeznaczony do ugoszczenia czasowo pielgrzymów przybywających na wielkie święta do Rzymu. Ojciec święty uczynił dla kapłanów naszych, czego nie uczynił dla daleko liczniejszych księży włoskich, zbiegłych przed prześladowaniem piemonckiem; ale z natury rzeczy przytułek ten mógł być tylko przechodnim, dopóki księża nasi nie znaleźli dla siebie utrzymania i zatrudnienia. Rzeczywiście większa ich liczba rozjechała się do Francji, Belgii, i Szwajcaryi. Pod koniec zostało tylko trzech kapłanów, a powoli nazbierało się sześciu kleryków. Oddawna administracja zakładu czyniła przedstawienia kardynałowi opiekunowi, że nie można funduszów na inne cele przeznaczonych obracać stale na Polaków, że na święta brakuje miejsca dla pielgrzymów, i t. d. Kardynał zaniepokojony w końcu w sumieniu przedstawił rzecz całą Ojcu świętemu, a ten kazał zakład zwinąć. Z trzech pozostałych kapłanów jeden pojechał do Belgii a dwóch umieściło się w Galicyi.

Otóż jak skoro oświadczyliśmy że nie możemy dalej popierać przybywających z Polski seminarzystów, natychmiast podniósł się głos, że my postaraliśmy się o zamknięcie zakładu. Tu musimy uczynić ogólną uwagę, która pewno nie

zyska nam wielu stronników. Już obcy spostrzegli (z powodu naszych powstań) że Polacy uważają za możebne to wszystko czego gorąco pragną (bo kierują się zwykle wyobraźnią i uczuciem): to samo się dzieje w życiu prywatnem. Nieraz człowiek utrudzi się i narazi innym chodząc za czyją sprawą lub potrzebą; a gdy w końcu musi oświadczyć że już więcej uczynić nie może, wnet interessowany wydaje sąd: *może, tyllco nie chce*. Nadto wygnańcy (z jakiegokolwiek powodu, nie mówimy tu o najzacniejszych) są przekonani, i cierpko się z tem odzywają, że im się wszystko należy. Z boleścią także dostrzegliśmy że wychodźstwo późniejsze, dzięki zapewne wychowaniu moskiewskiemu, niżej, ogólnie mówiąc, stoi moralnie, od pokolenia z 1831-go roku; i dla tego snać trudno się z nimi porozumieć. Na wdzięczność ludzką nikt doświadczony nie liczy; ale spotykając ciągłą i zajadłą niechęć za usługi oddane, za dobrodziejstwa otrzymane, nieraz przychodzi smutek i troska jaką może mieć przyszłość kraj, który tyle i takich żywiołów w łonie swoim posiada!

Przejdźmy teraz do Paryża. Dosyć liczni kapłani polscy, z kategorii tych, którzy się skompromitowawszy w ostatniem powstaniu, przybyli najprzód do Paryża i tam zawiązali się w *Stowarzyszenie*: ogłosili to w dziennikach emigracyjnych, to w broszurach, pełno zaskarżeń przeciwko naszemu Zgromadzeniu. Ze się one po wielkiej części tyczyły osoby księdza Jełowickiego i stosunków paryzkich, zażądałem od przełożonego naszej misyi tamecznej objaśnienia. Otrzymałem je w liście w całości tu przyłączonym i w odpisie ustępu do księdza Zulińskiego z dnia 15-go września 1864-go roku.

Oto list księdza Jełowickiego pisany do mnie:

„Paryż, 25-go czerwca 1869 r. — Z powodu zapytania najmilszego Ojca zabieram się do skreślenia po krotce stosunku mojego z księżmi polskimi, których nam ostatnie powstanie naprowadziło do Francyi, zwłaszcza do Paryża; gdzie jako Przełożony misyi polskiej spełniałem względem nich posługi wywołane ich potrzebami, obowiązkiem miłości bliźniego, i wolą najwyraźniejszą Arcybiskupa paryzkiego.

„Pierwszym z tych księży był ksiądz Karol Kobrzyński, który stanął przedemną zbiczony krwią swoją od cięcia w głowę przez Moskali. Postać jego łagodna i pobożna, podobieństwo jego przez bliźnę z najmilszym Ojcem, który za ojczyznę walczył aż do krwi, zniewoliły ku niemu serce moje, i był mi

zrazu miłym gościem, tuż synem duchownym, następnie współ-pracownikiem, a w końcu bratem w Zgromadzeniu naszym, które już od Jat kilku uwesela i buduje apostolskimi pracami w misyi naszej bułgarskiej.

„W parę miesięcy po przybyciu księdza Kобрzyńskiego, księży polscy coraz liczniej przybywali do Paryża. Przyjmowałem ich z równym uczuciem braterstwa. Celki się nasze dla nich rozszerzyły, po dwóch ich mieszcząc, stół nasz był ich stołem, i za łaską Bożą znaleźli u nas nie tylko pożywienie i odzienie, ale i pomoc duchowną, wspólnie się z nami modląc, rozmyślając w godzinach właściwych, i ukrzepiając się czytaniem duchownem i rachunkiem sumienia, według obyczaju właściwego pobożnym kapłanom. Szło mi o to aby tych kochanych braci, z obozowej kurzawy otrzepawszy, do spokojnej przy ołtarzu służby przysposobić. I skoro którzy przy tych ćwiczeniach duchownych skupiwszy ducha odbyli spowiedź świętą, uzyskiwałem dla nich w arcybiskupstwie pozwolenie do odprawiania Mszy Św., i stosowne przy kościołach paryzkich lub na prowincyi umieszczenia z dostatecznym wynagrodzeniem. Tym sposobem do połowy maja 1864 roku umieściłem już był szczęśliwie około dwudziestu. I była między nami doskonała zgoda; bywali na naszych nabożeństwach, zwłaszcza też wieczornych w Wielkim Tygodniu i w miesiącu Maryi; i Polacy też tłumnie przybywający do Paryża, licznie się z nimi na te nabożeństwa zbierali.

„W połowie maja 1864-go roku gdym zawołany do Rzymu na zebranie ogólne naszego Zgromadzenia opuszczał Paryż w towarzystwie dwóch nowicyuszów naszych, księdza Kобрzyńskiego o którym wspominałem i księdza Jana Wołłowskiego, pozbawionego prawej ręki (a który już dzisiaj w jednej z naszych misyj amerykańskich, jak sam pisze w misyonarskiej pracy raj znalazł), zostawiłem dom nasz i kościół w Paryżu dwom zacnym Ojcom Kapucynom, Fidelisowi i Krescentemu, którzy bardzo gorliwie miasto nas obsługiwali w kościele i w domu biedną bracię naszą. Ale też, czasu mojego pobytu w Rzymie, niektórzy księży polscy porozpoczynali w Paryżu obce nam robotki, których pierwszym wynikiem był *komitet* ks. Mikoszewskiego, do którego za moim powrotem chciano też użyć i mego imienia, na co zgodzić się nie mogłem. I pierwsze to ich dzieło, szumnie i brzęcząco rozpoczęte, wkrótce się obaliło za przybyciem do Paryża księdza Kotkowskiego, około którego otworzyło się równie niewłaściwe *Stoicarzyszenie kapłanów polskich*.

„Tymczasem coraz nowi do Francyi, a najwięcej do Paryża, przybywali księży. Wszystkim jak mogłem służyłem, już to ugaszczając ich w domu naszym, już to otrzymując dla nich zasiłki od rządu francuzkiego i od księdza Perraud dyrektora *de l' Oeuvre du Catholicisme en Pologne*, już nakoniec wyjednawszy od Ojca Etienne, jenerała Lazarystów, przyjmowanie każdego księdza polskiego na tygodniowe rekolekcyje, *pro Deo* a przez które

każdy z nowoprzybywających księży przejść był obowiązany, nim się powazyłem prosić o *celebet* dla niego. U Lazarystów było wtedy trzech czy czterech świątobliwych kapłanów Polaków, bardzo zdolnych do tej posługi, z którą sam nikomu się nie narzucałem.

„Ale niestety znajdowali się księża, którym nie skoro było do ołtarza, może dla warunku odbycia rekolekcji świętych. Takim był i ksiądz Korolec, o którego mnie osobno kochany Ojciec zapytuje; który jednak w końcu zgodził się na rekolekcje i gdy przez jednego ze współkapłanów przysłał mi był świadectwo z odbytych rekolekcji, chociaż osobiście nie dał mi się poznać, otrzymałem dla niego *celebret*; w czym dowód oczywisty że mi o czołobitność, o co mię oskarżono, zgoła nie chodziło. I ksiądz Korolec używał tego *celebretu* od czasu kiedy go zażądał aż do śmierci swojej. Byłem na pogrzebie jego w kościele *Sainte Marie des Batignolles*, serdecznie się modląc bym go poznał w Niebie.

„Nikomui nie odmawiałem przypuszczenia do ołtarza, i żadnych innych warunków nie stawiałem, jak odbycie rekolekcji świętych. Ale w sumieniu nie mogłem starać się w arcybiskupstwie o *celebret* ani dla zakonników mających w Paryżu klasztory swojego zakonu, a więc swoją prawną władzę, ani dla tych księży świeckich, którzy po otrzymaniu za mojein pośrednictwem *Celebretu* w Paryżu, mieli nieszczęście popaść w suspensę, którą władza biskupia była zmuszona ich ukarać. Nie odmówiłem też żadnemu z księży polskich wstawienia się do Stolicy Apostolskiej o zdjęcie *Cenzur kościelnych* za zbrojne i ,krwawe należenie do wojny, lub za skazywanie na karę śmierci; bo im który był chorszy tem prędszy mu z ratunkiem spieszyć czułem się obowiązany. Dwóch tylko kapłanów odkryło mi się z podobną potrzebą, i dla obu, gdy przykładowie odbyli rekolekcje u Lazarystów, zdjęcie *Cenzur kościelnych* u łaskawości Ojca świętego otrzymałem. Mam dotąd kopie prózb które za nimi pisałem, a które przez ręce kochanego Ojca przechodziły.

„Pozostaje mi jeszcze nadmienić o przypuszczaniu nowoprzybyłych księży polskich do kazania i do spowiadania. Do kazania z początku zapraszałem wszystkich, ale mało który to zaproszenie przyjął, a z tych nie wszyscy okazali zdrową naukę. Przyłączone tu trzy listy moje, z których pierwszy do księdza Żulińskiego, posłuży do wyjaśnienia, dla czego nie udało się księżom nowoprzybyłym otrzymać w arcybiskupstwie pozwolenia na otwarcie, w osobnym od naszego kościele, nabożeństwa dla Polaków; a właśnie ta okoliczność wywołała niczem nieusprawiedliwioną niechęć ku nam tak nazwanego *Stowarzyszenia kapłanów polskich*, do którego dzięki Bogu nie wszyscy nowoprzybyli księża należeli i z którego wielu się już wymazało. Niebaczni ci *Stowarzyszeni* na własne dusze wzięli odpowiedzialność za dusze tych wszystkich, których namowami swemi ustnemi, pisauemi

i drukowanemi odwrócili od przychodzenia do naszego kościoła, a tem samem od przyjmowania z naszej ręki Sakramentów świętych w życiu, a nawet, jak się sami wyrażają, i przy śmierci. Lecz do tego ostatniego jeszcze dzięki Bogu nie przyszło; bo dotąd każdy konający, o którym zdołaliśmy się dowiedzieć, najrzewniej Sakramenta święte z naszej ręki przyjął.

„Zresztą, wchodząc w prawdziwą potrzebę, stopniowo coraz większej liczbie kapłanów polskich otrzymywaliśmy prawo spowiadania nie tylko w naszym kościele. I w 1865-tym roku było już kapłanów polskich mających prawo spowiadania, a rozrzuconych po całej przestrzeni Paryża, *dwudziestu*. Imiona i nazwiska ich, z wymienieniem gdzie mieszkają, i przy którym kościele służbę sprawują, na głównych drzwiach kościoła naszego, dla uwiadomienia wszystkich Polaków, przez dwa lata wciąż były wywieszone.

„Oto jest w całej tej rzeczy prawda, którą wobec Boga i z pamięcią na Sąd Jego piszę. A będą; w prawdzie, czuję się w miłości, i spodziewam się że wszyscy nieprzyjaźni nam, księża czy nie księża, wiedzą dobrze że mamy ich za braci, i że w złym swoim razie tem skorszymi nas znajdą ku swojej posłudze; czego może już za łaską Bożą który z nich sam na sobie doznał. — Prosząc najmielszego Ojca o błogosławieństwo, etc.”

Dodajemy ustęp z listu księdza Jełowickiego do księdza Żulińskiego, z dnia 15-go września 1864-go roku:

„Otrzymałem dla księdza dobrodzieja pozwolenie spowiadania, ale z wielką trudnością, i wyłącznie w kościele *de V Assomption*, i tylko na jeden miesiąc tymczasem. Powodem tych wszystkich trudności i ograniczeń jest to, że Księża Dobrodzieje nie jesteście jeszcze znani w arcybiskupstwie, które dotąd polega jedynie na mojej odpowiedzialności, którą jakkolwiek ofiaruję do pewnego stopnia, wszakże nią się przeciążyć nie mogę. Inna bowiem jest komu ufać, inna zaś za kogo ręczyć. Otóż ufając księżom dobrodziejom ofiaruję im chętnie udział w pracy apostołskiej w granicach moich, to jest w kościele naszym. Co do zaręczania po za tą granicą, wątpię nawet aby mogło być przyjęte. Bo jeszcze i teraz wyraźnie ksiądz Megnan, w obecności księdza Hubego, którego mu przedstawiłem jako zastępcę mego w czasie nieobecności mojej, i z naleganiem oświadczył, iż żadnemu z nowoprzybyłych księży polskich nie da władzy inaczej, jedno pod warunkiem aby pod moim okiem pracował. Przykrym bardzo dla mnie samego jest ten warunek, bo wolę być pilnowanym niżli pilnować; ale łatwo pojąć tę ostrożność władzy duchownej względem księży nieznanych jej zgoła, i nie posiadających jeszcze języka francuzkiego, a chcących w języku dla niej obcym pracować.

„Z tych wszystkich powodów, gdym wspomniał księdza Megnan o zamiarze księdza Mikoszewskiego pracowania dla Polaków w osobnym od naszego kościele, nie chciał ani o tem słuchać. I powtórzył z mocą: „nie znam tych księży którzy się nam dotąd nie bardzo dobrze przedstawiają. Spotykam ich często odzianych po świecku, nie noszą tonsury i nie dają oznak pobożności.” A chociaż ja mu oświadczyłem, że inaczej księży naszych nie widuję jedno bardzo po kapłańsku odzianych, i że żadna dotąd na nich skarga mię nie doszła, on mi powtórzył że ich spotyka często w świeckich sukniach, i że skoro raz jeszcze którego z nich spotka bez sutany i bez tonsury, oddali go od ołtarza, bo taka tu jest konieczna dyscyplina kościelna. Musiałem umilknąć, bo sam bez skutku przypominałem księżom naszym noszenie tonsury.”

Czytelnik bezstronny osądzi kto winien w całej tej sprawie.

Zresztą w Paryżu, gdzie jest dostatek księży, nie łatwa rzecz dla świeżo przybyłego otrzymać ambonę lub konfessyonał, i nie ma w tej odmowie nic ubliżającego. Nawet miejscowi kapłani nie wszyscy są spowiednikami. Cóż dopiero mówić o otrzymaniu kościoła i otworzeniu osobnego nabożeństwa?

Zdarza się owszem księdzu Jełowickiemu gorzkie nieraz wyrzuty od władz kościelnych odbierać, za zbytnią łatwość w polecaniu. Ksiądz biskup Wersalski, choć niezmiernie nań łaskaw, surowo mu wyrzucał w mojej obecności że wyjednał pozwolenie spowiadania dla jednego kapłana z liczby *stowarzyszonych*, któren nigdy nie chciał być u proboszcza (choć ten pierwszy był u niego), i nosił się po świecku choć to pod cenzurami zakazane, a jednak Mszę świętą odprawiał. Kiedy zaś *proprio motu* erygowali czternaście parafij polskich w Paryżu, nie łatwo mu się udało przebłagać arcybiskupa, słusznie zagniewanego za tak niepojętą swawolę; tem bardziej gdy przyszło wstawiać się za kapłanami pod processem kryminalnym będącymi. A jednak wszystko to czynił ów *straszny* ksiądz Jełowicki; zbierał nawet składkę na kapłana który podpisał wyrok jego potępienia (interdyktu na kościół *Assumptiori*).

Tryumfowali potem, że młoda, euiigracya, przestała chodzić do naszego kościoła. Tymczasem pobożniejsi z niej skarżyli się, że ci księża wzbraniając im słuchać naszych

kazań, osłabiali ich wiarę swemi rozmowami. Zresztą zakaz taki łatwy do wykonania; bo czy stara czy nowa emigracja, tylko na nabożeństwa narodowe schodziła się licznie, *dla ojczyzny*; dla Boga w dnie niedzielne, mało zawsze względnie bywało.

Skarżyli się jeszcze na nas kapłani *Stowarzyszeni* żeśmy im misyi duchownej dla Polaków w Paryżu nie odstąpili. Nigdyśmy do tej misyi nie byli przywiązani, bo nas wiele trudu i trosk kosztowała, mało pociechy przynosiła. Na pół roku przed zawiązaniem *Stowarzyszenia* kapłanów, naradzaliśmy się na zebraniu ogólnem naszym w Rzymie czyby nie wypadało tego uczynić, w nadziei że nowoprzybyli kapłani lepiej zdołają trafić do serc współczesnego im pokolenia. Wstrzymywało nas od takowego kroku:

1) przywiązanie do naszej posługi pobożniejszych z dawnej emigracji, choć już nielicznych ;

2) poczucie obowiązku, zwyciężanie w nas samych wady ogólnej w naszym charakterze, rzutkości i zmienności: chcieliśmy wytrwać na raz zajętem stanowisku, dopóki Bóg pozwalał cokolwiek dobrego czynić i złemu zaradzać;

3) wzgląd na trudność niezmierną zastąpienia kimkolwiek księdza Jełowickiego' w jego rozległych stosunkach i wpływach osobistych, długoletnią pracą i niepośledniem stanowiskiem społecznem nabytych;

4) obawa że zaczęną i opuszczą, jak uczynili księża świeccy, którzy przed przybyciem kapłanów z ostatniej emigracji otworzyli byli drugie nabożeństwo dla Polaków w kościele Sorbony. Każdy bowiem ksiądz świecki, będąc obowiązany do posług przy jakiej parafii, a najbardziej zajęty w Niedzielę, materyalnie nie mógłby się podzielić. Pytanie przy tem wielkie czyby była zgoda i jedność ducha między pracującymi, i czy niejeden nie wyniósł by się raczej do Galicyi lub gdzieindziej, jak się już powszechnie stało;

5) dawało nam najwięcej do myślenia stanowisko jakie wielu z tych kapłanów zajmowało w ostatnióm powstaniu. Postanowiliśmy wszakże upatrywać ludzi, w ręce których moglibyśmy z dobrem sumieniem zdać misyję. Stukaliśmy do pojedynczych kapłanów, i do członków polskich Zgromadzenia św. Wincentego a Paolo: jedni nie mogli, drudzy nie chcieli, inni jak ksiądz Żelechowski, były proboszcz z Odessy,

i ksiądz Strutyński misyonarz, rychło pomarli. A tak dźwigamy ciężar tej misyi, dlatego tylko że nie mamy w sumieniu na kogo ją przenieść. Zresztą od ostatniej wojny we Francyi i oblężenia Paryża, nie słyszeliśmy już o współzawodnikach.

Podczas oblężenia Paryża ksiądz Jełowicki dochodził do bliższych ambulansów, a ksiądz Witkowski okrom że był kapłanem jeńców niemieckich, od których otrzymał serdeczne podziękowanie, w pismach publicznych ogłoszone; posługiwał nadto stale rannym francuzkim w wielkim ambulansie. A że wraz po kapitulacyi, kapłani francuzcy wrócili do swoich dawnych zajęć, ksiądz Witkowski nie chciał pozostawić chorych swych bez duchowej pomocy, i pozostał w powtórnie oblężonym Paryżu, pod obrzydliwym rządem a raczej nierządem Komuny, i wytrwał do końca narażając rozmyślnie życie własne. Wracamy do kapłanów z nowej emigracyi.

Chcąc otworzyć jakiegokolwiek pole dla gorliwości kapłańskiej nowoprzybyłych, przedstawiliśmy niektórym z nich aby odbywali misyjki po zakładach na prowincyi. Ojciec Perraud najchętniej dawał pomoc na to z kasy towarzystwa *L'oeuvre du Catholicisme en Pologne* przezeń założonego; ale i to nie bardzo się powiodło. Niektórzy bowiem (choć były zaszczytne wyjątki) więcej się bawili polityką niż spowiedzią, zbierali wiernych nie do kościoła ale na schadzki pokątne, i zamiast misyj zakładali *gminy*.

Za dawnej emigracyi kilku złych księży, przepędzanych z dyecezyi do dyecezyi, potrafiło zhańbić duchowieństwo polskie wobec Francuzów. Było się to jakoś zatarło, i nowoprzybyli kapłani polscy doznali najlepszego przyjęcia ze strony duchowieństwa francuzkiego. Dziś to samo się powtarza na szerszą skalę. Cóż dziwnego potem, jeśli się nam wymknęło czasem jakieś słowo cierpkie niesmaku? Kadzi niejako jesteśmy przyznać się choć do tej winy, gdy innych zarzutów przyjąć na siebie nie możemy.

Rzecz nie do pojęcia, że kapłani *stowarzyszeni w Ostrzeżeniu* swem w osobnej, dziś już zapomnianej, broszurze drukowanym, zarzucają nam iż przeszkadzamy im w dostaniu się do Księstwa i Galicyi; kiedy w chwili gdy to pisali było już ich tam trzydziestu, a żadnego z nas: więc albo nasza

złość bezsilna, albo jej niema. W każdym razie nie było się czego skarżyć.

Ksiądz Arcybiskup poznański ma dosyć swoich własnych kapłanów, obcych nie przyjmuje. Nie nasza rzecz radzić ma aby się narażał na trudności z rządem pruskim, który tak blisko jest skolligaconym z moskiewskim. Zresztą nie naszą też rzeczą jest wchodzić w powody arcypasterza, ani powtarzam on rad naszych potrzebuje.

Co do Galicyi: gdyby wszyscy czytali tam *Ostrzeżenie*, sądźmy, że nie jeden, równie szlachetny jak Ojciec Fidelis, poczuł by się do obowiązku zaświadczenia publicznie odebranej od nas pomocy. Niejednemu bowiem wyrobiliśmy paszport, daliśmy pieniądze na drogę i poleciliśmy znajomym dostojnikom galicyjskim. Ale słyszeliśmy dwóch biskupów galicyjskich skarżących się już na niektórych księży emigrantów do siebie przyjętych: jeżeli w końcu ich oddałą wina *niezawodnie będzie Zmartwychwstańców*. Dobrze jeden z naszych historyków zauważył, że miłość własna nie pozwala nam w jakimkolwiek wypadku przyznać się do winy, albo przynajmniej przyjąć części jej na siebie: trzeba koniecznie znaleźć kozła ofiarnego, na którego się osobiste lub publiczne grzechy składa! Takim kozłem ofiarnym są obecnie Zmartwychwstańcy. I jak Tertullian mówi o poganach swego czasu, że winę wszystkiego składali na Chrześcian; „czy Nil wylał za nadto, czy całkiem nie wylał, czy deszczu za wiele czy za mało, Chrześcianie winni, Chrześcian rzucić na pożarcie bestyom”: tak się i nam dziś dzieje. I świeccy i duchowni wmawiają w siebie, że Zmartwychwstańcy wszystkim i wszystkimi się zajmują. Jacyż to kolosalni ludzie ci Zmartwychwstańcy, gdy tak mogą wszystkiemu podołać!

Księża *stowarzyszeni* skarżą się jeszcze, żeśmy ich na czas polubownie nie ostrzegli, a potem bezwzględnie potępił. Zapomnieli widać, że na kilka miesięcy przed ogłoszeniem swego *Ostrzeżenia* prosili księdza Semenenkę będącego przejazdem w Paryżu, aby chciał być rozjemcą między nimi a księdzem Jełowickim: a ten ostatni, nie zasłaniając się bynajmniej stanowiskiem swoim urzędowym względem nich, chętnie przystał na to. Otóż ksiądz Semenenko, którego nikt jeszcze o żywość lub niecierpliwość nie oskarżał, w długiej rozmowie z ówczesnym prezesem *stowarzyszenia*, i innym jego

kolegą, wykazywał obszernie pierwszym artykułem ich ustawy, że *stowarzyszenie* jest nie kościelne jedno polityczne. Prawda że oni przy swoim do końca obstawali, nawet zabójstw politycznych zacięcie bronili; lecz jakim prawem mogą się teraz skarżyć żeśmy ich nie ostrzegali?

A zatem wszystkie zarzuty są prostą przyczepką, sprawa między kapłanami *stoicarzyszonemi*, księdzem Mikoszewskim (skarżącym się żeśmy byli powodem jego wydalenia z Rzymu) i t. d. jest sprawą różnicy zasad. Pokazało się to z listów zuchwałych księdza Mikoszewskiego pisanych do Ojca Św., i listu kapłanów *stowarzyszonych* do Ojców Soboru. Sam ksiądz prałat Sosnowski, tak zresztą dla piszących pobłażliwy, musiał się jednak publicznie zastrzedz przeciwko ich zasadom. Powtarzam, sprawa między nami jest sprawą zasad; my stoimy przy Papieżu i biskupach, władzę w Kościele czcimy jako z góry idącą od Boga; przeciwnicy nasi chcieliby wprowadzić do Kościoła pojęcia tak zwane nowożytnie, i władzę pochodzącą z dołu przez lud: porozumienie zatem między nami niemożliwe. Zresztą jeden z naszych kapłanów ma już przygotowaną pracę do druku, w której kwestyą zasad rozbiera: my zatem jej nie poruszymy.

Co do skarg księdza Mikoszewskiego przypominamy wykrzyknik księdza Butkiewicza: „wszystko wiedzą w Rzymie!” Rzeczywiście wszystko wiedzą. I duchowieństwo, i gorliwi świeccy otrząsnąwszy się z długiej ospałości poczuli się do obowiązku uwiadomiania o wszystkim Rzymu. Wiedział Rzym jakie stanowisko zajmował ksiądz Mikoszewski w czasie powstania, wiedział co w swoim *Głosie kapłana* pisał nie tylko przeciwko Zmartwychwstańcom ale przeciwko własnemu arcybiskupowi. Ma też Stolica Apostolska swoich nuncjuszów wszędzie, nie dla czczej formy tylko. Wiedział zatem Rzym że ksiądz Mikoszewski był oddalony z Paryża przez władzę polityczną za ścisłe stosunki ze skrajnym stronnictwem przewrotu. Wiedział następnie o jego ruchach w Hiszpanii, Portugalii, Brazylii, Ameryce południowej; i nic dziwnego że nie chciał mieć gościem nieupoważnionego reprezentanta Kościoła polskiego. Dodamy jednak dla zapobieżenia nadal wszelkim podobnym rozprawom, że każdy katolik, a tem bardziej każdy kapłan obowiązany jest powiedzieć szczerze swe zdanie o osobach, o które go właściwa zwierzch-

ność kościelna zapytuje. Wie o tem każdy co się teologii uczył. Wymaga tego dobro Kościoła, dobro publiczne, przed którym interes prywatny ustąpić musi. Nikt się tem gorszyć nie będzie, jeśli jest prawym synem Kościoła, i Kościół jako swą matkę miłuje. Otóż i nam się czasem zdarza pofne zapytania względem rozmaitych osób od urzędów kościelnych odbierać, na które z całą sumiennością, jak miłość chrześcijańska z jednej strony, a z drugiej sprawiedliwość nakazuje, staramy się odpowiadać. Rachunku z tego przed nikim zdawać nie możemy, chyba przed Bogiem i przed zwierzchnością duchowną. Czy nasze zdanie wpłynęło kiedy na zachowanie się władz tutejszych względem którego z naszych rodaków, tego nie wiemy i nigdy zapewne wiedzieć nie będziemy, tem bardziej że prócz naszego głosu jest zawsze wiele innych danych, na których się władza w swem postępowaniu opiera; tuszymy wszakże żeśmy nikomu nie zaszkodzili, a może niejednego z zarzutów oczyścić zdołali.

Co do naszych oskarżycieli, zapewniamy najuroczyściej, że żadnej do nich nie mieliśmy i nie mamy urazy, żadnego powodu im szkodenia; owszem chętnie im wszelką pomoc nieść jesteśmy gotowi, choć się w zasadach wielce różnimy. Ganiąc zasady osobom krzywdy nie czynimy. Miłość dla osób a nienawiść dla błędu, oto stare chrześcijańskie i nasze także hasło.

Pojawiają się wciąż jeszcze w dziennikach włoskich, czyjegokolwiek pióra nie wchodzimy w to ale zawsze polskiego, artykuły podżegające rozognione namiętności rewolucjonistów włoskich przeciw nam, dotychczas bez skutku: snąc w cudzoziemcach antykatolickich nawet, budzi ckliwość to miotanie się Polaków już tyle nieszczęśliwych, na własnych swoich rodaków i to przed obcymi, których te osobistości nie obchodzą. Zresztą, dzięki Bogu, wśród obcych nieprzyjaciół nie mamy! Jeden z najznakomitszych prałatów polskich powiedział nam świeżo* „albo nigdy nie odpowiadajcie, albo musicie odpowiadać zawsze i na wszystko: bo jak skoro odpowiadacie czasem tylko, ile razy zamilkniecie mnóstwo ludzi powie, że nie macie co odpowiedzieć: a czy podobna Wam wciąż polemikę prowadzić? Wierzajcie mi, ludzie poważni, o których zdanie dbać możecie, nie uwierzą potwarzom; systematycznie niechętnych niczem nie przekonacie. Jeżeli

w rzadkim jakim razie pokaże się użyteczność odpowiedzi, to Bóg wskaże niewątpliwie!' Sprawdziliśmy już nieraz mądrość tego zdania. Raz czy dwa odpowiedzieliśmy w pismach zagranicznych na zarzuty nam czynione. Kilka razy w pismach krajowych, a zawsze na usilne domaganie się naszych przyjaciół troszczących się o to by kłamstwo słabszych umysłów w kraju nie uwiodło. Więc i nadal tak samo postępować zamierzamy, w duchu naszej Reguły która o tyle nam pozwala bronić się od potwarzy, o ile by na naszym milczeniu chwała Boża ucierpieć mogła. Zkądinąd zbyt trudna to kapłanom szermierka z ludźmi dla których potwarze są chlebem powszednim. Odpowiadać na wszystko zbyt mało mamy ochoty i zgoła nie starczy uam czasu.

Niechże raz na zawsze przekonają się łaskawi nasi przyjaciele i dobrodzieje w kraju, że nam niepodobna bronić się przeciwko ciągłym i systematycznym napaściom. Musielibyśmy chyba tylko to robić i czytać dzienniki w których prócz żółci i plotek często więcej nic nie ma. Bezimienny autor znakomitej broszury świeżo ogłoszonej pod tytułem: *„Wo ist die Zukunft Europa's*, powiada że ludzie uczciwi tak niekorzystnie muszą walczyć przeciwko złemu dziennikarstwu jak żołnierz ze strzelbą skałkową przeciwko kartaczownikom. On myśląc o Wiedniu dodał: jak bankier płaci tak adwokat pisze; a my o Galicyi myśląc moglibyśmy powiedzieć: jak żyd płaci tak adwokat pisze. I bogdajby tylko adwokaci u nas pisywali! ale pisują chyba tacy którzy nie mają klientów, piszą lekarze nie mający pacyentów, piszą studenci którzy nie zdali egzaminów, oficjaliści którzy miejsca postradali itd. itd. i ci tworzą niby opinią publiczną. Co to za pociecha móżdż pluć w górę i błotem przechodzących obrzucać! Cóż dopiero gdy mogą zarazem ulżyć trawiącej żółci! Wienici ja że są najszlachetniejsze wyjątki, że dziś wielu ludzi z najczystsze go poświęcenia oddaje się dziennikarstwu; podobnie jak w wojnie narodowej i ojcowie rodzin i seminarzyści idą na wojnę; ale dotychczas zawsze to walka ze skałkówką przeciw kartaczownicy!

Więc jaki ratunek, powie kto, i jak oświecić mnóstwo ludzi nie złych ale łatwowiernych, wierzących jeszcze we wszystko co napisane, co stoi *czarno na białym*? Nie widzimy innego środka jak w zużyciu się złego, samem naduży-

ciem. Podczas oblężenia Paryża jeden i drugi dziennik czerwony upadł z braku czytelników. W końcu może i dobrodusza nasza szlachta wiejska, i poczciwe mieszczaństwo, a nawet i „dobrodzieje” przestaną złe dzienniki trzymać i wierzyć *iv brudne na białem*, a niecb braknie abonentów niezawodnie upadną, bo tylko ludzie uczciwi piszą z poświęcenia i jeszcze nieraz płacą drukarza z własnej kieszeni. Po wielkich stolicach gdzie wiedzą co się dzieje za kulissami dziennikarskimi, za ile się poprzedawały organa najpoważniejsze niby, aby wmówić światu jedność włoską lub uczynić popularną we Francji i Anglii wojnę Prusaków przeciwko Danii i Austrii, tam nie wierzą już w *czarne na białem*. U nas daleko jeszcze od tego; wszakże w Galicyi samej muiej już żywa wiara w dziewiczość fabrykantów opinii publicznej: niedawny proces dwóch dzienników we Lwowie i świadectwa jakie sobie nawzajem ci panowie oddawali przetarły choć z grubego oczu naszym dobrodusznym. Ufajmy że z czasem przy śmielszem coraz występowaniu organów katolickich i u nas trzeźwiej ludzie na rzeczy i osoby poglądać zaczną. Co do nas pocieszamy się słowami Zbawiciela: „błogosławieni jesteście, gdy wam złorzeczyć będą, i prześladować was będą, i mówić wszystko złe przeciwko wam, kłamając, dla mnie (to jest z powodu mnie). Radujcie się i weselcie się: albowiem zapłata wasza obfita jest w niebiesiech” (Mat. V.)

Wprawdzie św. Paweł pisze do ucznia swego biskupa: „staraj się o dobrą sławę, *cura de bono nomine*.” Niewątpliwie dobra sława pozwala kapłanowi korzystniej dla dusz pracować, i dlatego też nieprzyjaciele Kościoła starają stę osławić kapłanów, mianowicie gorliwszych, wiedząc że z mnóstwa kłamstw i potwarzy zawsze jakiś osad uprzedzeń w umysłach pozostanie: „*mentez morbleu, mentez*, mówił Voltaire, *il en restera toujours quelquechose*.” Ale doświadczenie samo już nas nauczyło jak prawdziwie mówił św. Franciszek Salezy, haniebnie spotwarzony a bronić się nie chcący: „ufam że mi Bóg zostawi tyle dobrej sławy ile mi jej potrzeba do Jego służby.” Pomimo wszystko co już przeciwko nam napisano, więcej mamy jeszcze do czynienia niż podołać możemy. Zresztą my starsi na których głównie pociski padają, możemy się pocieszać po ludzku nawet, wyrażeniem się ś. p. biskupa Łętowskiego: „że Polacy obchodzą się z ludźmi jak ze zwie-

rzyną; dopiero ją znajdują dobrą gdy cuchnie." Otóż rychło i nam dadzą pokój, gdy już im na świecie zawadzać nie będziemy. A rzeczywiście chodzi nam o to tylko żeby imiona nasze *znalazły się w księdze żywota*.

ROZDZIAŁ VII

Przełożęństwo ks. Hieronima Kaysiewicza (1864-1871).

(Ciąg dalszy).

Widzieliśmy powyżej że na ostatniem zebraniu ogólnem Zgromadzenia (1864) zasiadali przybyli członkowie z Ameryki i z Turcyi. Missyą Zgromadzenia w Kanadzie nabrała już takiej wagi, iż na tem zebraniu wyniesioną została w duchu Reguły, na dom regularny Zgromadzenia, drugi dopiero po rzymskim. Inne bowiem jako to paryzki, bułgarski i włoski w Mentorelli zakład, są dotąd missyami tylko. Ten wzrost missyj Zgromadzenia w Ameryce spowodował nowo potwierdzonego Przełożonego głównego aby ją odwiedził, tem bardziej że coraz pomyślniejsze widoki na przyszłość skłaniały do lepszego opatrzenia fundamentów w obecnej chwili zakładanych. Tak więc w roku 1865-ym wyjechałem dla zwiedzenia missyi kanadyjskiej. Znalazłem tam pięć wielkich parafij stale obsługiwanych, dziesięć stacyj missyjnych co miesiąc odwiedzanych, nadto świeżą osadę polską (z dwieście rodzin) Paryż nazwaną, w stanie Michigan, o trzysta mil angielskich położoną, a odwiedzaną dwa razy do roku; przytem zakład dla sierot utrzymywany przez siostry miejscowe; a na końcu znalazłem już dobrze rozpoczęte dzieło, bo małe kolegium czy gimnazjum dla uczącej się młodzieży. Wdzięczna ta ludność choć obca i mieszana, przyjmowała przełożonego Ojców swoich duchownych w processyi z chorągwiami przy wystrzałach z moździerzy i t. d. W Montreal, w Kanadzie francuskiej, kazałem podczas podwójnych rekolekcyj proboszczom i wikarym dyecezyi, a wszędzie mówiłem o prześladowaniu w Polsce, bo wszędzie o to się dopraszano.

Z północnej Ameryki musiałem dopłynąć aż do Brazylii, albowiem nowo obrany biskup ogromnej dyecezyi Pernambuco upewniał mię że znajdę tam hojną pomoc dla seminarium polskiego które właśnie jak widzieliśmy zakładało się w Rzymie. W skutek wszakże uciążliwej wojny z Paraguay, bankructw, upadku handlu, ledwo żem zebrał w Brazylii fundusz na stałe utrzymanie jednego ucznia. Miałem jednak sposobność obznajomienia Brzązyljczyków ze sprawą polską i Kościoła polskiego.

Zaledwo powróciłem był z Ameryki w jesieni 1866-go roku gdy otrzymałem naglące wezwanie o otworzenie tamże nowej misyi. Nadszedł bowiem list od księdza Dubuis, biskupa Galveston w Texas, przybyłego do Europy po misyonarzy, w którym mi przedstawił, że ma w sześciu czy siedmiu miejscowościach kilka tysięcy Polaków pobożnych i rządzonych, a bez jednego kapłana swego języka; że główna kolonia *Panna Marya* założona jest na cześć Tej, którą Polacy czczą jako swoją królową, i przeto ufa, że Zgromadzenie nie zaniedba braci swoich, krwi swojej, dusz krwią Chrystusa Pana odkupionych a pozbawionych środków zbawienia; że tak ufa iż Matka Najświętsza nie opuści go w tej potrzebie, iż już zatrzymał dwa miejsca dla misyonarzy naszego Zgromadzenia na statku odpływającym 28-go września z Brestu do Nowego Yorku. Zdawało się że takiemu wezwaniu, zakłęciu, niepodobna było odmówić. Zgromadzenie wysłało O. Adolfa Bakanowskiego jako przełożonego misyi, dodając mu księży Barzyńskiego i Feliksa Zwiardowskiego. Po przybyciu pocieszeni zostali pobożnością kolonistów, mianowicie w osadzie wiejskiej *Panna Marya*, gdzie się lud i bez kapłana do kościoła na modlitwę schodził i dzieci katechizmu się uczyły. Kilka dni drzwi się u misyonarzy nie zamykały, aż się lud nacieszył i napłakał z radości. Tak jest powolny, iż przed Adwentem chcąc się trochę zabawić przy skrzypcach, przyszli starsi prosić O. Bakanowskiego o pozwolenie, a nazajutrz wszyscy stawili się w kościele na Mszę zrana, aby pokazać iż żadnego nadużycia nie było. Wybudowali już dom kamienny, który ma tymczasem służyć za'plebanię księżom, a potem za klasztor dla sióstr i szkołę dla dziewcząt. Podobnie kilkadziesiąt rodzin wyrobników polskich w mieście San An-

tonio zdobyło się na zbudowanie kościoła, domu na szkołę, mieszkanie dla proboszcza.

Rychło potem musieliśmy posłać księdza Szymona Wiczorka na proboszcza do nowej kolonii polskiej w Stanie Michigan, a dyecezyi Detroit (dawniej już odwiedzanej przez jednego z naszych kapłanów z Kanady) którą pocziwi koloniści na pociechę nazwali Paryżem. Świeżo biskup z Louisville w Kentucky ofiarował Zgromadzeniu budynki pokollegialne z obszernym ogrodem, zdolne pomieścić stu-pięćdziesięciu uczniów w St. Mary. Współcześnie sześćset rodzin polskich mieszkających w Chicago (Illinois) i w okolicach, zdolnych utrzymać trzech kapłanów, domaga się wraz z biskupem byśmy objęli tę parafię (obsługiwaną już tymczasowo przez księdza Bakanowskiego).

Inny fakt o którym wspomnieć wypada jest podróż moja odbyta do G-alicyi w roku 1868-ym na 1869-ty. Ksiądz Semenenko podczas podwójnej podróży swojej w sprawie seminarium, miał sposobność poznania hrabiego Gołuchowskiego, naonczas namiestnika cesarskiego w Galicyi, który dawniej (w innych zresztą okolicznościach politycznych) był uprzedzonym przeciwko Zgromadzeniu, teraz objaśniony, że zwykłą sobie energią pragnął byśmy osiedli w Galicyi. Ze swej strony ksiądz Arcybiskup zawsze się nam łaskawym okazywał; to spowodowało moją podróż. Nie mogąc na razie rozporządzać większą liczbą kapłanów, a chcąc coś korzystnego małemi siłami rozpocząć; przeciwko zwyczajowi Zgromadzenia, prosiłem księdza Arcybiskupa aby nam powierzył dykcją swojego seminarium *puerorum*, którego uczniowie zresztą, w moc fundacyi, uczęszczają na kursą gimnazyalną po za domem: chodziło tylko na razie o dykcją i korepetycję. Najprzewielebniejszy Arcypasterz nie pokazał się przeciwnym tej myśli, żądał tylko czasu cło umieszczenia i stosownego uposażenia kapłanów dyecezalnych zawiadujących tym zakładem. Tymczasem hrabia Gołuchowski usunął się z posady namiestnika i rzecz poszła w odwłokę. Byżbyżycie podróż odbyta kazałem przez Adwent w katedrze i w innych kościołach Lwowskich; i odwiedziłem Siostry Niepokalanego Poczęcia w Jazłowie, które (jak już wyżej wspominaliśmy) pod tą nazwą potwierdzone przez Stolicę Apostolską, roku 1863-go w liczbie siedmiu czy ośmiu przeniosły się były do Gahcyi.

Tak ksiądz Semeuenko podczas dwóch swoich podróży do Galicji, jak ja obecnie, mieliśmy czystą i świętą pociechę widzieć tę młodą płonkę, zeszlą w Rzymie, a przesadzoną na grunt ojczysty, bujnie rosnącą z widocznym błogosławieństwem Bożem. Kilkadzieści Sióstr, wychowuje nowe pokolenie córek obywatelskich z powszechnem zadowoleniem rodziców, tych nawet którzy dotychczas byli uprzedzeni przeciw wychowaniu klasztornemu. Mury obszernego pałacu Poniatowskich ofiarowane na ten cel przez zacnego pana barona Błazowskiego, a wyrestaurowane staraniem Wielebnej Matki Przełożonej, nie mogą pomieścić wszystkich panien cisnących się do tego przybytku pobożności i nauki: co rok Przełożona, z rozdarłem sercem musi odprawiać 20—30 panienek których przyjąć nie podobna. Oby dobry Bóg co rychlej pozwolił Siostram otworzyć drugi zakład, a następnie wiele innych!

Podobno ta podróż moja i rozgłoszona przedwcześnie wiadomość, że mamy wziąć pod nasz kierunek zakład wychowawczy we Lwowie, stały się nową okazyą do namiętnych na Zgromadzenie napaści bądź w gazetach, bądź w osobnych broszurach, o których w poprzednim rozdziale wspomniałem. Nigdy nam, od samego początku nie brakowało nieprzyjaciół, już to swoich, już obcych; ale nienawiść z jaką nas od roku 1863-go ścigano, silniejsza była niż kiedykolwiek. Zdawało się, jakoby stronnictwo rewolucyjne w Polsce ujrzało w nas jednego z głównych swoich przeciwników (oczywiście nie siłą ani znaczeniem członków Zgromadzenia, ale myślą i zasadą której bronimy), a korzystając z tego że okoliczności silniejsze od naszej woli zmuszały nas dotąd pracować i rozwijać się poza granicami Polski, postanowiło systematycznie oczernianiem wstęp nam do kraju utrudnić. Ale Bóg miłosierny stokrotnie nagrodził przykrości, jakich z tego prześladowania doznaliśmy. W tym to właśnie czasie ustała główna nasza troska, która dawniej wielokrotnie nas trapiła, niepłodności naszego Zgromadzenia. Od roku 1864-go poczęli zjawiać się coraz gromadniej nowi kandydaci do naszego grona, bądź to młodzież wiele obiecująca, bądź też ludzie już dojrzałsi, którzy w świeckiem lub duchownem życiu mieli sposobność odznaczenia się. Prócz kilkunastu Polaków, którzy w tym czasie przybyli i próby nowicyatu za łaską Bożą szczęśliwie przebyli, zgłosiło się tyluż blisko cudzoziemców, zwłaszcza

też Włochów, tak że można już było gdy wypadki nacisnęły, pomyśleć o osobnym dla Włochów nowicyacie i alumnacie na wyspie Malcie, podczas kiedy nowicyat i alumnat polski jeszcze w Rzymie się znajduje. Doczekało się też Zgromadzenie ze swych amerykańskich i niemieckich wychowanców ludzi, z których pomocą może już, z pewną nadzieją powodzenia, znaczniejsze, jak wspomnieliśmy, w Ameryce wziąć na siebie dzieła. Raz jeszcze w ten sposób otrzymaliśmy z góry przestrożę, by wszelkie krzyże i dolegliwości na nas zsyłane przyjmować ochotnie i wdzięcznie, bo one'są zawsze zapowiedzią nowego miłosierdzia Opatrzności.

A mieliśmy współcześnie inne pociechy. W tych właśnie latach Kościół kilkakrotnie obchodził w Rzymie świetne tryumfy. Kanonizacya Męczenników japońskich, osiemnastowiekowa rocznica męczeństwa świętych Apostołów, wraz z kanonizacyą św. Jozafata i innych Sług Bożych, uroczyste sekundycy Piusa IX-go, a wreszcie wielki Sobór Watykański, ściągnęły do Rzymu biskupów polskich oraz wielu księży z Galicji, z Poznańskiego i z Prus Zachodnich. Zetknięcie z dostojnymi księżętami i reprezentantami Kościoła polskiego przyniosło nam wiele radości, nieraz wiele zbudowania. Zostanie także na zawsze nader miłem dla nas wspomnieniem, że kilkudziesięciu księży polskich z tej okazji w Rzymie bawiących, chciało dzielić niewygody naszego mieszkania lub być naszymi stołownikami. Byliśmy najbliższymi świadkami ich pobytu w Rzymie. Ich cnota, ich nauka i gorliwość apostołska wlały w nas błogą otuchę o przyszłość kraju, a uprzejmość towarzyska jakiej doznaliśmy dozwoliła nam wejść z nimi w ścisły i ufamy trwały, przyjacielski stosunek.

Na tem wypadałoby zakończyć nasz obraz; wszakże jeszcze jedno wspomnienie wrywa się z serca. Był między nami młodzian, a zgasł niedawno, o którym nie miałbym prawa pisać dla publiczności, bo •niczem nie dał się jej poznać. Ale przez te kilka lat, które między nami przebył, tak dobrze nam dał się poznać, taką świętobliwością zajaśniał, takeśmy go wszyscy pokochali, że pamięć rzewna wciąż o nim żyje i dziś jeszcze, kiedy niejeden z nas o nim wspomni, to mu łąza w oczach zabłyśnie. Czytelnik więc przebaczy jeśli sercu własnemu folgując, dodam tu wzmiankę o Władysławie Felińskim*

Urodził się on na Wołyniu 14-go grudnia 1847 roku. Pierwszych lat dziesięć spędził na wsi przy rodzicach. W notatkach które po sobie zostawił, oskarża się że był pysznym, krnąbrnym i t. d. Jeżeli wyznanie to nie pochodzi z pokory widzącej w sobie więcej jeszcze złego niż go było w istocie, to tem chlubniej dla niego, że wierny łasce Bożej w późniejszym życiu rdzennie się pozbył podobnych usposobień. Następnie oddany został na nauki do korpusu kadetów w Kijowie. Zakład ten, kilka lat przedtem otwarty został z wielkim przepychem, a dla przynęcenia młodzieży przyjmowano ją bezpłatnie. Ubożsi korzystali z takiego ułatwienia, i Władysław nasz spędził tam trzy czy cztery lata. Wiadomo co rząd zamierza przez takowe zakłady: przyzwyczaić młodzież do zbytku i wystawy aby potrzebując wciąż pieniędzy zależała od rządu, i nie przebierała w środkach ich dostania; aby zagrożona w materyalizmie, niezdolną była do szlachetniejszych popędów duszy. Wiadoma nadto, iż za panowania Mikołaja niewiara rozkrzewiła się była w professorach, którzy systematycznie zatruwali młode dusze uczniów. Dla naszego Władysława zdolnego, chciwego wszystko wiedzieć i zbadać, celującego zawsze i wszędzie w naukach, ambitnego, co zwykle się trzyma zdolności niemiarkowanych zasadną cnotą, atmosfera zakładu była bardzo niebezpieczna i zgubna. W jednym ze swoich pisemek dziękuje Bogu że go wtenczas, jak nieraz później, drogą patryotyzmu ze zgubnych ścieżek wyprowadził. Nie przytaczamy wyjątków z pozostałych po nim listów i pismek dla nieprzedłużania tej wzmianki o nim. Spodziewamy się że później krótki ten nasz życiorys, podobnemi przytoczeniami dopełniony i rozszerzony zostanie.

W⁷ roku 1862-im gdy się ruchy demonstracyjne rozpoczęły w Warszawie, patryoci zdołali trafić do korpusu kadetów. Starsi uczniowie przekładali młodszemu, że rząd dąży do zdemoralizowania ich i wynarodowienia, i rozbudzali w nich uczucie polskości. Władzio Feliński wziął to żywo do serca, i napisał do ojca list błagalny, zaklinając aby go wyrwał z tego miejsca zepsucia: dodawał, że teraz mu się dopiero oczy otworzyły i że dłuższy pobyt w zakładzie cięższym był dlań od śmierci samej. Ojciec posłał ten list Arcybiskupowi warszawskiemu, prosząc go, aby wziął chłopca do siebie. Ksiądz Arcybiskup odpisał że chętnie to uczyni, byle go ojciec

z korpusu wydstał: wiedział bowiem, że raz tam oddanych odbierać nie wolno. Tymczasem żwawy młodzian, nie doczekawszy się odpowiedzi ojca, otrzymał pozwolenie wyjazdu na wakacje; i zabrawszy się z jakimś oficerem udającym się do Warszawy, przybył niespodzianie do Arcybiskupa. Jakim sposobem się stało, że go nie przywołano napowrót do korpusu? niewiadomo. Zapewne przy ówczesnych niepokojach, zapomniano o nim; a może nie wiedziano gdzie go szukać. Tak Bóg wydobył naszego Władysława z położenia, w którym przy dłuższem życiu byłby niezawodnie dostąpił wysokiego stopnia w zawodzie obranym; ale co by się było stało z jego duszą?

W Warszawie odbył na wstępie rekolekcyje, które ksiądz Arcybiskup wraz z bratem swoim, księdzem Julianem Felińskim, urządził był dla chłopców wychowujących się w jego domu. Wtedy dopiero zaczęły mu się na dobre oczy otwierać: od razu pokazał jak najlepszą wolę, spowiadał się co tydzień, i był wzorem kolegom, nie już tylko pod względem naukowym ale i obyczajowym. W szkołach zawiązał przyjaźń z gronem lepszej młodzieży; i apostołował wśród niej, z całą gorącością świeżej gorliwości. Jeden z najserdeczniejszych jego przyjaciół chciał się z nim razem Bogu poświęcić: myśl ta bowiem już była zaświtała w duszy Władysława; ale zbyt jeszcze był dziecinny, i nie mógł sobą rozporządzać. W domu też księdza Arcybiskupa był Aniołem Stróżem młodszej dziatwy, opuszczonej po wyjeździe księdza Juliana Felińskiego do Włoch dla zdrowia, i po uwiezieniu arcypasterza do Rosyi. Wszakże gdy szkół dokończył, powołanie jego już było dojrzałe. Dla ostatecznego naradzenia się z księdzem Arcybiskupem, puścił się sam 18-to letni młodzian z Warszawy do Jarosławia w czasach największej grozy policyjnej; i zanim urzędnicy się opatrzyli kilka tygodni tam spędził. Ksiądz Arcybiskup skłaniał go zrazu do uczęszczania na kursą w Szkole Głównej, ale w końcu przychylił się do zdania brata swego, aby nie wytrzymywać dłużej młodzieńca na świecie. W tych czasach stracił on był ojca, wraz potem siostrę bardzo świątobliwą osobę, i rychło matkę; tak iż zupełnym sierotą wyjechał za granicę. Z Warszawy skierowano go do 00. Jezuitów w Krakowie; ale on nie śpieszył się z wyborem, zamyślał bowiem odbyć wprzód nauki teolo-

gicznie w seminarium polskim w Rzymie. Po przybyciu jednak do miasta świętego rychło zmienił pierwotny zamiar. Poznawszy Zgromadzenie Zmartwychwstańców postanowił doń wstąpić.

W Zgromadzeniu, nie tylko był wzorem zakonnego życia, ale i innych do miłości Bożej pobudzał. Nowicyat bardzo gorliwie odbył, a nauki słyszane dosłownie prawie spisywał. Nikt by się jednak z obcych nie domyślił ile miał ze sobą do walczenia. Wrażenia złego pierwszego wychowania stłumił był wprowadzie w Warszawie, opierając się na powadze Kościoła i arcybiskupa, drugiego ojca swego; owiany zresztą i przenikniony na wskroś panującą tam naówczas, gorączkową atmosferą polityczno-religijną. Ale obecnie, przy samotności zewnętrznej i uciszeniu wewnętrznym, wszystkie trudności i zarzuty przedstawiały się napowrót daleko silniej, bystrości jego i badawczemu umysłowi: tak że musiał przejść po raz drugi cały proces wewnętrzny by wszelki zaród niedowiarstwa w sobie z łaską Bożą zwyciężyć, i dojść do szczerej, prostej i silnej wiary. Co go ratowało przy tej bolesnej walce, to pragnienie i praktyka częstej Komunii świętej: jakiegokolwiek bowiem mgły zalegały jego umysł, wiedział z doświadczenia że ten pokarm niebieski krzepi go i oświeca zarazem. Pomimo tej pracy wewnętrznej nie zamykał się samolubnie sam w sobie. Świeżo przybywających szczególną otaczał troskliwością; tak iż ci nawet, którzy z braku powołania i wytrwałości występowali z nowicyatu, z tem się głośno oświadczało że w bracie Władysławie całkowite pokładali zaufanie. Podtrzymywał też pokrewnych swoich lub znajomych pełnymi gorliwością i namaszczenia listami. Jeden z nich, który w skutek niereligijnego wychowania o Bogu był prawie zwątpił, obecnie jest bardzo przykładnym młodzieńcem. O kolegach też swoich nie zapominał, i do końca krzepił ich i budził swoimi listami. W jednym z takowych bardzo przekonująco dowodzi że bez miłości Bożej niema prawdziwego patryotyzmu.

Przez rok nowicyatu zdrowie mu dostatecznie dopisywało. Pierwszy rok nauk odbył jeszcze w Kollegium rzymskim, ale już z wysileniem. Niemniej jednak kajeta wszystkich kursów najporządniej spisane zostawił. W ciągu roku 1869-go dnia 11-go czerwca przyjął był święcenia mniejsze. W jesieni tego roku, tuberkuły zagnieżdżone najprzód we

wnętrznosciach, objawiły się w płucach. Na kursą już chodzić nie mógł, ale rychło wyćwiczył się na biegłego mistrza ceremonii, i zarówno z innemi alumnami ułożył dla próby jedno kazanie. Na wiosnę roku 1870-go dostał zapalenia wątroby. Młodzież nasza czuwała przy nim z kolei w dzień i w nocy; nie tylko z cnoty zakonnej i obowiązku braterskiego, ale jeszcze w skutek wielkiej miłości jaką go wszyscy otaczali, i chęci zachowania go dla Zgromadzenia. Po wyjściu z tego niebezpieczeństwa, mniemał że już zupełnie wyzdrowiał, i jako rzecz zwykła suchotnikom zaczął projekta na przyszłość układać. Wtenczas musiałem z obowiązku sumienia ostrzedz go że się myli, i że życie jego, co najdłużej na miesiące jest policzone. Dodałem że po ludzku niema nadziei; że liczne nowenny odbyte na jego intencją nie przyniosły polepszenia: co więcej Ojciec święty sam, zagadnięty przez księdza Jełowickiego, odpowiedział: „niech się nad nim spełni wola Boża.” Usłyszawszy to wszystko młody nasz chory zmieszał się na chwilę, ale rychło przyszedł do równowagi; owszem zaczął pragnąć i przed kolegami swemi objawiać pragnienie rychłej śmierci. Gdym mu i to przyganił, trzymał się odtąd w zupełnej zgodności z wolą Bożą. Rozpisał wtedy listy pożegnalne do swoich krewnych i znajomych które wszystkich do łez poruszyły.

Po niejakiem czasie ostrzegłem go znowu, że życie jego już tylko ilar tygodnie policzone, i polecałem, by starał się jak najściślej trzymać w zjednoczeniu z Bogiem, i cierpieć wszystko dla jego miłości, tak aby mu wszystko było policzona ku zasłudze; i aby mógł albo o czyściec nie zawadzić, albo przynajmniej jak najkrócej tam pogościć: „bo wiesz, dodałem, że w czyścju niewygodnie, a co więcej że to stan niedoskonały jeszcze.” Na to mi odpowiedział uśmiechając się swobodnie: „mój ojcie, liczę wiele na szkaplerz który noszę. Czytałem w żywocie jakiegoś Świętego, że prosił wciąż o to aby umarł w piątek, tak aby go Matka Boska w moc danej obietnicy, w następną sobotę wydobyła z czyścja.” Zobaczymy że się nie zawiódł na swojej rachubie, przynajmniej co do dnia śmierci.

Ponieważ lekarz pozwolił mu dawać czegokolwiek by zażądał, chory nasz czując niesmak do wszelkiego pokarmu, a z drugiej strony instynktowo pragnąc podtrzymać uciekające

już siły, żądał niekiedy rzeczy wyraźnie szkodliwych. Ale jak skoro mu przedstawiłem, że zakonnik nawet i w ostatnich chwilach życia winien być umartwionym, i że niewolno mu przyczyniać się do skrócenia dni swoich choćby o jedną chwilę, zaraz prosił, by go już odtąd nie pytano, czego by sobie życzył, jedno by mu brat infirmyer dawał, co sam za stosowne dlań osądzi.

W miarę jak rosły jego cierpienia, (bo wewnątrz jego było jedną wielką raną, a pod koniec i grzbiet i boki był do żywego odleżał), rosła jego cierpliwość. Gdym go spytał ^{raz} co mu najbardziej i gdzie dolega, odpowiedział uśmiechają⁰ „już to właściwie wszystko i wszędzie”. Stryj jego przygotował go do dłuższych cierpień, ale on stanowczo twierdził, że mało ma już czasu przed sobą. Na cztery dni przed śmiercią, widząc go więcej zboląłym, przypomniał mu słowa św. Magdaleny de Pazzis: *i cierpieć i nie umrzeć*. Natychmiast się chory rozpogodził, ale odpowiedział, że nad cztery dni żyć się nie spodziewa: jak rzeczywiście się stało. Sam lekarz dawał mu kilka dni więcej życia, i przeto miły brat Władysław miał w Niedzielę następną, w obec kolegów swoich wolnych od szkoły, przyjąć ostatnie Sakramenta, i złożyć śluby zakonne, których formułę był z góry własnoręcznie napisał i podpisał. W piątek zrana prosił o Komunię Św., mówiąc że to jego dzień zwykły. Po obiedzie odezwał się: wszak to dziś mam złożyć śluby, a posłyszawszy że jeszcze nie, uspokoił się. Wieczorem o godzinie dziewiątej wpada do mnie brat infirmyer powiadając, że chory źle się ma bardzo: przybiegam, i widzę że zaczął konać. Główka mu bezsilnie już opadała; pochwycił mnie oburącz za ramie jak dzieciątko tulące się do łona matki. Posłałem po oleje święte, a tymczasem jeden z przywołanych braci, odczytał formułę ślubów, której on się ręką dotykał, i na końcu dodał: *Amen*. Po absolucyi i błogosławieństwie papieżkiem, z pełną przytomnością przyjął oleje św. „A Pana Jezusa nie da mi Ojciec?” zapytał. Odpowiedziałem mu że doba się jeszcze nie skończyła od Komunii rannej, by zaczekał do północy: on jednak mądrzej instynktowo się spieszył. Prosił potem by go samego zostawiono, czuł się bowiem wyczerpniętym tyłu wzruszeniami, i spodziewał się snem pokrzepić. Ponieważ lekarz zapewniał, że północ niewątpliwie przeżyje,

poleciłem młodzieży, by się udała na spoczynek; dwóch tylko pozostało na straży. Po jedenastej brał infirmyer wszedł do chorego, i ujrzał go patrzącego z podniesionymi ramionami w górę, i uśmiechającego się, jakoby miał jakie wesołe widzenie; a gdy się doń zbliżył serdecznie go uściskał. Gdy lekarz odszedł, choć jeszcze północ nie była doszła, wewnętrznym przeczuciem ciśnięty wróciłem do chorego, i postrzegłem, że infirmyer choć doświadczony, po raz drugi nie poznał, że młody brat nasz jest w ostatnim akcie konania. Ledwo żem zdołał zmówić ostatnie modlitwy poddając mu w przerwach akty strzeliste i przedstawiając krucyfik do pocałowania. Przy litaniach Matki Boskiej a mianowicie przy ostatnim ich wierszu „*Królowo bez zmazy pierworodnej poczęta*”, na ośm minut przed północą (dnia 16go Czerwca 1870 roku) po kilkakrotnem lekkim drgnięciu ust kochany nasz brat Władysław Feliński oddał spokojnie ducha Bogu. Ufajmy, że jego wiara w sobotnią pomoc Matki Boskiej Szkaplerznej n^o została zawiedziona. To pewna że ci, którzy duszę jego polecali Bogu, wielką czuli błogość i wewnętrzne namaszczenie. Niejeden znów zamiast za niego, do niego się modlić zaczął. Wszyscy koledzy prosili o jaką pamiąteczkę po nim. Zwłoki jego wystawione zrazu w celi, zniesione potem do kościoła, po odbytem nabożeństwie, odprowadzone zostały processjonalnie przez braci na cmentarz św. Wawrzyńca, do grobu Zgromadzenia. Spoczywają tam obok popiołów Bohdana Jańskiego, Stefana Witwickiego, ks. Alfreda Bentkowskiego, i młodego braciszka rodem z Guadagnolo pod Mentorellą.

W^T ośm miesięcy potem przybył do ich liczby młody kapłan Zgromadzenia ksiądz Józef de Nardis rodem ze Sezze pod Rzymem. Przyjęty do Zgromadzenia gdy miał lat kilkanaście dopiero, otrzymał w niem całe swoje wychowanie poduczył się był po polsku, gotów był pracować czy w Polsce, czy na missyach zagranicznych, choć delikatna budowa ciała nie czyniła go do tego sposobnym. Wyświęcony na kapłana w połowie 1867 roku zaczął kazać gorliwie i z talentem, ale po roku zaczęły się objawiać-symptomata choroby piersiowej. Żałował jedynie, że nic prawie dla Kościoła i Zgromadzenia nie miał czasu uczynić: ufamy że Bóg szczerze jego chęci przyjął za czyn. Podobnie jak śp. Włcl II \-1 <\

Feliński na chwilę przed skonaniem wdzięcznie się uśmiechnął i poszedł do pana dnia 9go Marca przed godziną jedenastą z wieczora.

Tak czterej bracia, którzy tu w Rzymie w Zgromadzeniu umarli, jak jeden braciszek z górnego Szląska, który w Kanadzie życia dokonał, wszyscy umarli z suchot. Mówią powszechnie, że to choroba wybranych; i rzeczywiście pozostawia ona przytomność umysłu do ostatniej chwili, a przeto możność przygotowania się do dobrej śmierci. Wprawdzie przywiązane jest do tej choroby złudzenie dłuższego życia; ale złudzenie to jest niebezpiecznem tylko dla osób w świecie, gdzie krewni i przyjaciele, zbyt często nie mają odwagi powiedzieć choremu prawdy. Zresztą dzięki Najwyższemu, wszyscy nasi drodzy zmarli tak spokojnie i swobodnie przechodzili z czasu do wieczności, że i my pocieszać się możemy słowami pobożnego jednego Kartuza: „dobre jest twarde życie, byle śmierć była wesoła”.

Streszczając wszystko cośmy dotychczas o Zgromadzeniu Zmartwychwstańców powiedzieli, postrzegamy z wdzięcznością dla Pana, że od roku 1857 zaczęliśmy za łaską Bożą istotnie się rozwijać, i pełnić drobną, bo odpowiednią do sił naszych, ale czynną służbę w Kościele Bożym.

Posiadamy:

1) w Rzymie dom św. Klaudyusza służący zarazem za siedzibę dla Przełożonego głównego; tamże alumnat i nowicyat główny;

2) kolegium duchowne polskie;

3) w diecezji Tivoli pod Rzymem kościół Najświętszej Panny w Mentorelli;

4) nowicyat i alumnat włoski na wyspie Malcie;

5) w Paryżu missyę przy kościele *VAssomption*;

6) w Adrianopolu dom missyjny i kolegium;

7) w Ameryce: dom regularny w Kanadzie, a przy nim pięć parafij i dziesięć kościołów, prócz tego małe Kolegium o kilku klassach;

8) w Stanach Zjednoczonych dwie parafie w Texas, jedna w Michigan, a jedna w Chicago, i nowe kolegium w Diecezji Louisville;

9) w Galicyi: rezydencją i kapelanią w Jazłowcu.

Zgromadzenie Zmartwychwstańców liczy obecnie członków 78miu, to jest: kapłanów trzydziestu pięciu, nowicyuszów i studentów siedmnastu, braciszków dwudziestu sześciu. Kapłani i kandydaci do kapłaństwa w dwóch trzecich należą do narodowości polskiej. Oby się nad wszystkimi sprawdziło życzenie i błogosławieństwo Ojca Św., któreśmy temu lat dwa usłyszeli. Kiedyśmy bowiem stawili się przed nim gromadnie, zdziwiony i ucieszony że już nas jest tylu, zawołał: „dzieci moje! o Polsce to już Pan Bóg pomyśli, a wy się uświęćcie, abyście uświęcili w kraju waszym sprawiedliwych, a zwrócili na dobrą drogę tych, którzy z niej zeszedli !”

Na zakończenie tego obrazu dodać winienem, że szczegółem może najbardziej uderzającym tej naszej, zresztą mało znaczącej historii jest *tajemnica* naszego doczesnego utrzymania. Nie mamy kapitałów ani żadnych stałych dochodów; żyjemy z dnia na dzień i to głównie w kraju, gdzie ludność jest mało ofiarna i na widok księdza raczej rękę do niego wyciąga po jałmużnę, niżliby mu jej udzielić miała. Jakie są środki utrzymania Missyi Bułgarskiej tośmy powyżej powiedzieli. Parafie nasze w Ameryce żyją z dochodów miejscowych. Kolegium polskie w Rzymie ma swoje fundusze, które jeśli nie są dostateczne aby je odpowiednio do swego celu urządzić, to jednak wystarczają na bieżące potrzeby. Ale Dom główny Zgromadzenia w Rzymie wraz z nowicyatem i alumnatem nie ma wcale stałego opatrzenia. Winniczka, którą posiadamy pod Rzymem, tyle właściwie przynosi, ile jej zarząd kosztuje. A jednak utrzymać potrzeba w Rzymie samym osób mniej więcej trzydzieści, nie licząc w to kosztów nabożeństwa i porządków kościoła. Od lat trzydziestu Opatrzność przysyła chleb codzienny i chociaż w ciągłej biedzie, w ciągłych kłopotach, nigdyśmy jednak nie zabrnęli w znaczniejsze długi: zawsze nam z tej lub owej strony nadejdzie ratunek, często w samą chwilę, gdy już groziła ostateczna ruina. My sami kiedy się na przeszłość obejrzymy, na długie trzydzieści lat takiego życia, nieraz myśłą wpadamy w pewien rodzaj osłupienia, i nie możemy nie widzieć w tem cudu, a razem dowodu, że miłosierna ręka Opatrzności jest nad nami wyciągnięta i zdaje się naszemu groa-

ku błogosławić. Nie taimy wprawdzie że dzisiaj, po klęskach i ostatecznem wyniszczeniu ziem polskich zwłaszcza pod rządem rossyjskim, daleko nam ciężiej idzie, i że nieraz do-
 prawdy niewiedzieć zkąd wziąć, aby choć tylko piekarza zapłacić. Nie taimy, że potwarze dziennikarskie systematycznie po dziś dzień rozgłaszane, niemało się przyczyniły do oziębienia hojności w naszych dobrodziejach. Niejeden, choć niezupełnie wiei-zy, jednak przypuszcza że coś w tych oszczerstwach musi być prawdy, kiedy się one tak zawzięcie powtarzają; inny choć wcale nie wierzy, jednak nie łatwo zwróci swą myśl i rękę ku ludziom, którzyby na niego ściągnąć mogli swą niepopularność. Nie do wszystkich jednak trafiły potwarze, nie wszyscy się ich ulękli; zostali nam przyjaciele i dobrodzieje, tem drożsi im mniej liczni i przeciwnościami już wypróbowani. W którejkolwiek stronie Polski znajdują się oni, chciałbym aby ich doszedł mój głos serdecznej wdzięczności; chciałbym aby mieli przeświadczenie, że jeżeli Pan Bóg ma jakieś względem nas zamiary, to oni wtem dziele są Jego współczynnem, miłosiernem narzędziem. Może im miło będzie dowiedzieć się, że wszyscy Bracia zakonni modlą się za nich co dzień dwa razy, że prócz tego każdy kapłan Zmartwychwstaniec co miesiąc jedną mszę za nich odprawia. A tu nie mogę zamilczeć naszej wdzięczności szczególniejszej dla pana Kajetana Morawskiego, który w chwili gdy dzienniki polskie (z wyjątkiem jednego lub dwóch) przepełnione były potwarzem na nas szkalowaniem, z szlachetną odwagą podał myśl jawnej i czynnej za nami protestacyi w formie składki publicznej na korzyść Zmartwychwstańców. Ich imiona nam przysłane zachowamy nietylko w archiwum Zgromadzenia, ale i w sercach naszych przed Panem, w czasie i da Bóg w wieczności. Nie godziłoby się także przemilczeć, że i u cudzoziemców znaleźliśmy w tej ostateczności pomoc: czcigodny oratorynin francuzki ksiądz Perraud, dyrektor stowarzyszenia *L' Oeuvre du Catholicisme en Pologne*, wsparł nas hojnie po dwakroć; był podobnie naszym dobrodziejem p. Amadeusz Thayer, dziś już w Bogu spoczywający. Obecnie choć oszczerstwa przycichły (nie wiemy na jak długo) nie polepszyło się bynajmniej nasze finansowe położenie: owszem mniej niż kiedykolwiek, pod tym względem, jesteśmy pewni naszego jutra. Zabór Rzymu od-

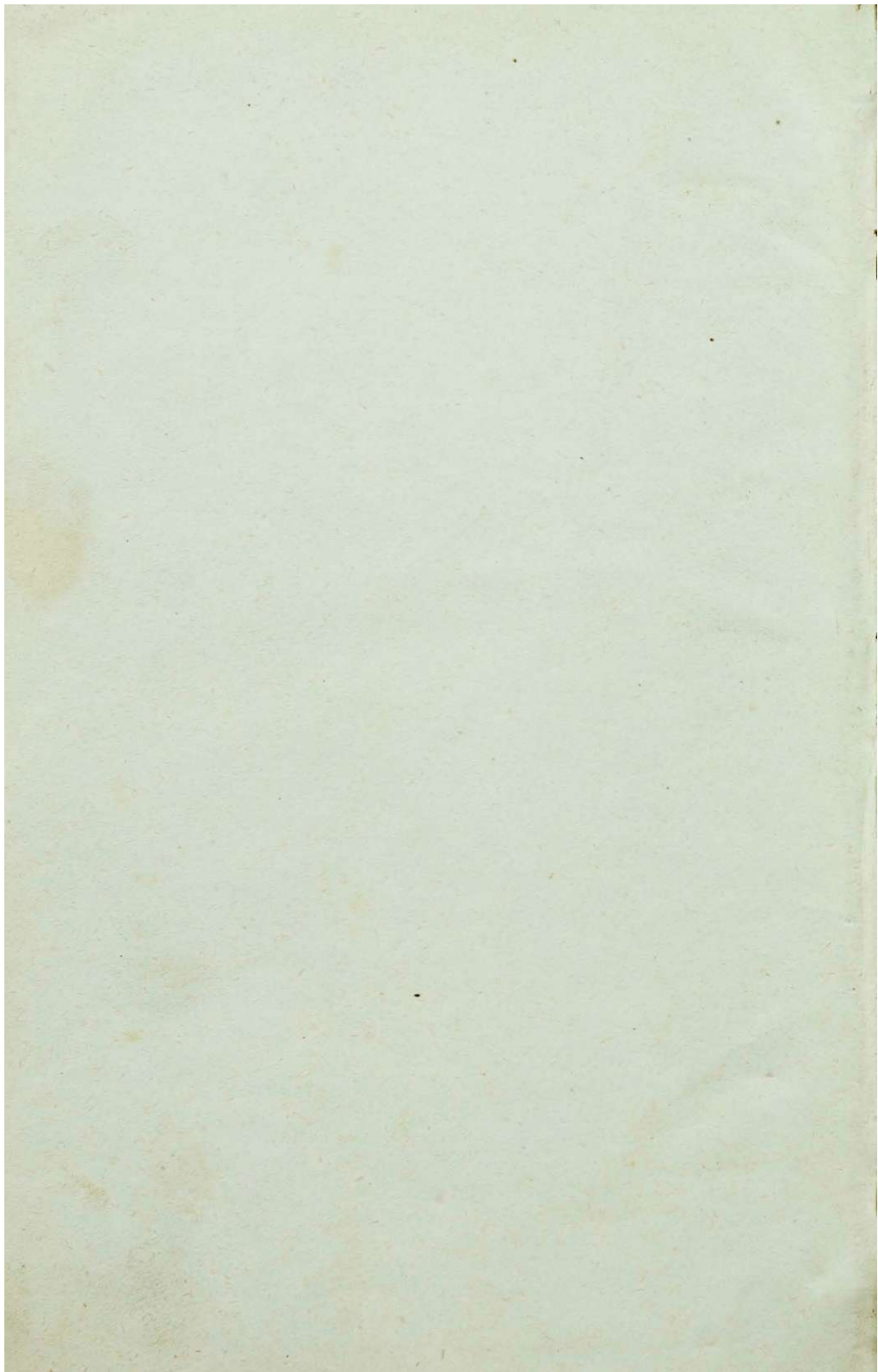
straszający od pielgrzymek osoby pobożne, klęski i ruina Francji i niebezpieczeństwa całej Europie grożące, na nową i cięższą jeszcze próbę wystawiają wiarę naszą. Ale pamiętając że to jest chwila mocy ciemności, czas zadosyćuczynienia za grzechy wielu, pamiętając że kraj nasz, wierni wszyscy i sam Namiestnik Chrystusowy ucisk srogi cierpią, nie trwożymy się naszym niedostatkiem bynajmniej: owszem, chętnie i my krzyż nasz dźwigamy, dziękując Panu, że nam pozwala brać udział w dziele prześląganja sprawiedliwości Jego.

Pisałem w Rzymie, 13go Kwietnia 1871 r.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH w I Ucin TOMIE.

	str.
I. List otwarty o stanowisku kapłana względem sprawy narodowej a polityki	1
II. Na wiadomość o pożarze Krakowa	11
III. Papieztwo i sprawa rzymska z punktu widzenia Petersburskiego.	16
IV. Rady dla młodych kaznodziei i spowiedników . . .	35
V. List do ks. Aleksego Prusinowskiego.	73
VI. List otwarty do Braci księży grzesznie spiskujących i do Braci szlachty niemądrze umiarkowanych	80
VII. Prawodawstwo kościelne w rzeczy tajnych Towarzystw.	94
VIII. Listy z podróży do Braci i Przyjaciół:	
A) Listy ze Wschodu	110
B) Listy Za-Atlantyckie.	166
C) Listy z drugiej podróży Amerykańskiej . . .	324
O niebezpieczeństwach grożących ludności polskiej, wynoszącej się do Ameryki . . .	398
IX. Pamiętnik historyczny o Zgromadzeniu XX. Zmartwychwstańców.	402





ul. św. Tomasza 8
31-014 Kraków
tel./fax 21-21-43

